

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**HENRYK SIENKIEWICZ**

**BEZ DOGMATU**

Tower Press 2000  
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Rzym, 9 stycznia 1883.*

Przed kilku miesiącami spotkałem kolegę mego i przyjaciela, Józefa Śniatyńskiego, który w ostatnich czasach zajął wybitne stanowisko między naszymi piszącymi. W rozmowach, jakie prowadziliśmy o literaturze, Śniatyński przypisywał ogromne znaczenie pamiętnikom w ogóle. Mówił, że człowiek, który zostawia po sobie pamiętnik źle lub dobrze pisany, byle szczery, przekazuje i daje przyszłym psychologom i powieściopisarzom nie tylko obraz swoich czasów, ale jedynie prawdziwe ludzkie dokumenty, którym można zaufać. Przewidywał także, że przyszłą i formą powieści będzie wyłącznie forma pamiętnikowa; twierdził na koniec, że kto pisze pamiętnik, ten tym samym pracuje dla swego społeczeństwa i zjednywa sobie prawo do zasługi.

Ponieważ mam lat trzydzieści pięć, a nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek zrobił coś dla mego społeczeństwa, choćby dlatego, że życie moje od ukończenia uniwersytetu upłynęło z małymi przerwami za granicą; ponieważ dalej, pomimo całego humoru, z jakim o tym wspominam, całego sceptycyzmu, jakim jestem na kształt gąbki przesiąknięty, niemało jest gorczy w tym wyznaniu, postanowiłem przeto pisać pamiętnik. Jeśli to ma być istotnie pracą i zasługą, niechże choć w ten sposób się zasłuży.

Chcę być jednak zupełnie szczerym. Biorę się do tego pamiętnika nie tylko z powyższych względów, ale i dlatego że ta myśl mnie bawi. Śniatyński utrzymuje, że gdy raz się człowiek przyzwyczai do spisywania swych wrażeń i myśli, to potem stanowi to jedno z najmilszych zajęć w życiu. Jeśli się okaże przeciwnie, to Boże zmiłuj się nad moim pamiętnikiem! Zwodziłbym sam siebie, gdybym nie przewidywał z zupełną pewnością, że urwie się on jak zbyt naciągnięta struna. Gotów-em dużo znieść dla społeczeństwa, ale nudzić się dla społeczeństwa – o nie! tego nie zrobię, bo nie potrafię.

Natomiast postanowiłem nie zrażać się pierwszymi trudnościami; poprobuję przyzwycząić się i zasmakować w tej robocie. Śniatyński w czasie naszych rozmów powtarzał mi ciągle: „Tylko nie wpadaj w żaden styl, nie pisz po literacku.” Mała rzecz! Rozumiem to dobrze, że im pisarz znakomitszy, tym mniej pisze po literacku; ale ja jestem dyletant i nie panuję nad formą. Wiem to z własnego doświadczenia, że człowiekowi, który myśli wiele i odczuwa mocno, zdaje się nieraz, że tylko spisać po prostu to, o czym myśli i co odczuwa, a powstanie jakaś rzecz niepowszednia – tymczasem, gdy się do tego zabierze, wpada natychmiast w jakieś formuły stylistyczne i choćby pisał sam dla siebie, w jakąś pozę, w pospolitą frazeologię; myśl nie chce spływać przez ramię, palce i stalówkę na papier, i można rzec, że nie głowa pióro, ale pióro głowę prowadzi, i prowadzi w sposób płaski, czczy, sztuczny. Tego się boję

dla siebie, głównie z tego powodu, że jeśli brak mi wprawy, języka, malowniczości, prostoty pisarskiej itd., to z pewnością nie brak mi smaku – i mogę sobie zbrzydzić własny styl do tego stopnia, że robota stanie mi się wprost niemożliwą. Ale to się pokaże później. Obecnie zamierzam poprzedzić właściwy pamiętnik krótkim wstępem biograficznym.

Nazywam się Leon Płoszowski, mam lat, jak wspomniałem wyżej, trzydzieści pięć. Pochodzę z rodziny zamożnej, która do ostatnich czasów zachowała fortunę znacznie więcej niż średnią. Co do mnie, jestem pewien, że majątku rodzinnego nie powiększę, ale też go nie utracę. Położenie moje jest tego rodzaju, że się nie potrzebuję wspinać na żadne wyżyny ani też nigdzie wkupować. Co do kosztownych i rujnujących uciech, jestem życiowym sceptykiem, który wie, ile co jest warte, albo inaczej mówiąc, który wie, że wszystko jest diabło mało warte.

Matka moja umarła w tydzień po wydaniu mnie na świat. Ojciec, który kochał ją nad życie, dostał po jej śmierci napadów melancholii. Wyleczywszy się z niej w Wiedniu, nie chciał już wracać do rodzinnego majątku, tamtejsze bowiem wspomnienia rozdzierały mu duszę; odstąpił Płoszów siostrze swojej, a mojej ciotce, sam zaś przeniósł się w roku 1848 do Rzymu, z którego przez trzydzieści kilka lat ani razu nie wyjechał, nie chcąc oddalać się od grobu matki. Zapomniałem bowiem nadmienić, że trumnę matki sprowadził z kraju i pochował ją na Campo Santo.

Mamy na Babuino własny dom, zwany Casa Osoria, od rodzinnego herbu. Wygląda on trochę na muzeum, ojciec bowiem ma istotnie niepospolite zbiory, zwłaszcza z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Obecnie stały się one przewodnią ideą jego życia. Za młodu był to człowiek niezmiernie świetny tak pod względem powierzchowności, jak umysłu. Że zaś nazwisko i wielka zamożność otwierały przed nim wszystkie drogi – rokowano o jego przyszłości wielkie nadzieje. Wiem to od tych, którzy kolegowali z nim na uniwersytecie berlińskim. Zajmował się wówczas bardzo filozofią – i powszechne było mniemanie, że nazwisko jego zagrmi z czasem przynajmniej równie głośno jak Cieszkowskiego, Libelta etc. Życie towarzyskie i niesłychane powodzenie u kobiet odciągnęło go później od ścisłej pracy naukowej. Nazywano go w salonach *Leon l'Invincible*. Mimo tych powodzeń nie przestał jednak zajmować się filozofią, i wszyscy spodziewali się, że lada dzień wystąpi z jakimś znakomitym dziełem, które uczyni go sławnym w Europie.

Nadzieje te zawiodły. Z dawnej świetności zewnętrznej pozostało tyle, że dziś jeszcze jest to jedna z najpiękniejszych i najszlachetniejszych głów, jakie w życiu spotkałem. Malarze są tego samego zdania, a niedawno jeszcze jeden z nich mówił mi, że doskonalszego typu patrycjusza trudno sobie wyobrazić. Pod względem naukowym ojciec mój był, jest i pozostanie bardzo zdolnym i bardzo wykształconym szlachcicem-dyletantem. Wierzę do pewnego stopnia, że dyletantyzm jest przeznaczeniem wszystkich Płoszowskich, i rozpiszę się o tym później, gdy mi przyjdzie mówić o sobie samym.

Co do mego ojca, wiem, że przechowuje w biurku poźółkły już traktat filozoficzny: *O Troistości*. Rękopis ten przeglądałem i znudził mnie. Pamiętam tylko, że są tam jakieś zestawienia trójcy realnej: tlenu, wodoru i azotu – z trójcą transcendentną, skryształizowaną przez chrześcijaństwo w pojęciu Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha; oprócz tego pełno analogicznych trójek, poczynawszy od dobra, piękna i prawdy, a skończywszy na logicznym sylogizmie, złożonym z premisy większej, mniejszej i wniosku – dziwna mieszanina idei heglowskich z ideami Hoene-Wrońskiego, wysiłek myśli bardzo kunsztowny, a zupełnie czczy. Jestem też przekonany, że ojciec nigdy nie każe tego drukować, choćby z tego powodu, że filozofia spekulatywna zbankrutowała pierwiej jeszcze w jego umyśle niż w całym świecie.

Przyczyną tego bankructwa w jego umyśle była śmierć matki. Ojciec, który mimo swego przezwiska: *l'Invincible*, i mimo swej opinii pogromcy serc był człowiekiem niezmiernie tkliwym, i który matkę swoją po prostu ubóstwiał, postawił zapewne mnóstwo strasznych pytań swej filozofii, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi ani żadnej pociechy, poznał jej całą

czczość i jałowość wobec życiowego nieszczęścia. Musiała to być istotnie bajeczna tragedia w jego życiu, gdy naraz odjęto mu dwie podstawy, gdy naraz rozdarło mu się serce i mózg. Wpadł wówczas, jak wspomniałem, w melancholię, potem wyleczywszy się wrócił do uczuć religijnych. Powiadano mi, że był czas, iż modlił się dzień i noc, że klękał na ulicy przed wszystkimi kościołami i dochodził do takich religijnych uniesień, iż w Rzymie jedni mieli go za obłąkanego, drudzy za świętego.

Widocznie jednak znalazł w tym więcej pociechy niż w swoich filozoficznych trójkach, bo stopniowo uspokoił się i zaczął żyć życiem rzeczywistym. Serce jego zwróciło się z całą siłą uczucia ku mnie, a zamiłowania estetyczne i umysłowe ku pierwszym czasom chrześcijaństwa. Umysł jego żywy i lotny potrzebował pokarmu. Po roku pobytu w Rzymie począł zajmować się archeologią, przez studia zaś dodatkowe doszedł do znajomości czasów starożytnych. Książd Calvi, mój pierwszy guwerner, a zarazem wielki znawca Rzymu, popchnął stanowczo ojca w kierunku studiów nad wiecznym miastem. Przed kilkunastu laty zawarł ojciec znajomość, a w końcu przyjaźń z wielkim Rossim, z którym całe dni przepędzał w katakumbach. Dzięki swym niezwykłym zdolnościom doszedł wkrótce do takiej znajomości Rzymu, że niejednokrotnie zadziwiał samego Rossiego swą wiedzą. Zabierał się też nieraz do pisania, ale jakoś nigdy nie kończył tego, co zaczął. Może być, że uzupełnianie zbiorów zabierało mu wszystek czas, a jeszcze prawdopodobniej dlatego nie pozostawił nic po sobie prócz zbiorów, że nie ograniczył się na jednej epoce ani na jednej jakiejś specjalności w zakresie swych badań. Zwolna średniowieczny Rzym baronów począł go pociągać z równą siłą jak pierwsze czasy chrześcijaństwa. Była epoka, że miał pełną głowę Colonnów i Orsinich; potem zbliżył się do renesansu i rozkochał się w nim zupełnie. Od inskrypcyj, grobowców, pierwszych zabytków chrześcijańskiej architektury przeszedł do czasów dalszych, od bizantyńskich malowideł do Fiesolich i Giottów, od nich do innych quattro- i cinquecentistów itd.; rozmiłował się w rzeźbach, obrazach; zbiory na tym korzystały niezawodnie, ale wielkie dzieło w naszym języku o trzech Rzymach, o którym z początku marzył, przeszło do krainy nie spełnionych zamiarów.

Co do swych zbiorów, ma ojciec szczególniejszą ideę. Oto chce je po śmierci zapisać Rzymowi, z tym tylko warunkiem, by były umieszczone w osobnej sali i by ta sala nosiła napis; *Muzeum Osoriów-Płoszowskich*. Naturalnie, stanie się według jego woli – dziwi mnie tylko, że ojciec jest przekonany, że tym sposobem odda daleko większą usługę swemu społeczeństwu, niż gdyby swe zbiory przeniósł gdzieś do kraju.

Przed niedawnym jeszcze czasem mówił mi:

„Widzisz, tam nikt by ich nie widział, nikt by z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo.”

Nie wypada mi roztrząsać, czy w tym nie ma trochę próżności rodowej i czy myśl, że nazwisko Płoszowskich zostanie wyryte na marmurze w wiecznym mieście, nie była rozstrzygającą w tej sprawie. Krótko mówiąc, sądzę, że tak było. Ostatecznie jest mi to dość obojętne, gdzie te zbiory zostaną umieszczone.

Natomiast ciotka moja, do której, mówiąc nawiasem, wyjeżdżam w tych dniach do Warszawy, oburza się na myśl pozostawienia zbiorów w Rzymie, a ponieważ jest to osoba, której nic w świecie nie zdoła wstrzymać od wypowiedzenia tego, co myśli, wypowiada więc swoje oburzenie bez żadnych ogródek w każdym liście do ojca. Przed kilku laty była w Rzymie i kłócili się z ojcem z tego powodu codziennie, a byliby się może pokłócili na dobre, gdyby przywiązanie, istotnie niezmiernie, jakie ciotka ma do mnie, nie było hamowało jej zapędów.

Ciotka moja starsza jest o kilka lat od ojca. Ojciec po nieszczęściu, jakie go spotkało, wyjechałszy z kraju, wziął przy działach majątkowych kapitały, jej zaś zostawił majątek rodzinny, Płoszów. Ciotka zarządza nim od lat trzydziestu kilku, i zarządza doskonale. Jest to osoba niepospolitego charakteru, dlatego poświęcam jej słów kilka. Mając lat dwadzieścia była narzeczoną młodego człowieka, który umarł za granicą właśnie wówczas, gdy ciotka

wybierała się za nim w podróż. Od tej pory odrzucała wszelkie partie i pozostała starą panną. Po śmierci mojej matki towarzyszyła ojcu do Wiednia i Rzymu, gdzie przemieszkiwała lat kilka, otaczając brata najtkliwszym przywiązaniem, które potem przeniosło się na mnie. Jest to w całym znaczeniu wielka dama, nieco despotyczna, wyniosła i weredyczka, mająca tę pewność siebie, jaką daje majątek i wysokie położenie towarzyskie – w gruncie rzeczy zaś uosobiona zacność i poczciwość. Pod szorstkimi pozorami kryje ona złote, pobłażliwe serce, kochające nie tylko swoich, nie tylko mego ojca, mnie, domowników, ale ludzi w ogóle. Jest tak cnotliwa, że doprawdy nie wiem, czy to stanowi jakąkolwiek jej zasługę, bo nie potrafiła-by być inną. Dobroczynność jej weszła w przysłowie. Pędza dziadów i baby jak konstabl, a opatruje jak św. Wincenty à Paulo. Jest bardzo religijna. Nigdy żaden cień zwątpienia nie wkraść się w jej duszę. Co czyni, czyni z mocy niewzruszonych podstaw; dlatego nigdy nie waha się w wyborze drogi. Z tego także powodu jest zawsze spokojna i ogromnie szczęśliwa. W Warszawie nazywają ciotkę z powodu jej szorstkości: *le bourreau bienfaisant*.

Niektórzy, a zwłaszcza niektóre, nie lubią jej; powszechnie jednak zażywa wielkiego miru we wszystkich warstwach społecznych.

Płosów leży w pobliżu Warszawy, w której ciotka ma swój własny dom. Z tego powodu zimę spędza w mieście. Co zima też usiłuje mnie ściągnąć do siebie, by mnie ożenić. Teraz właśnie otrzymałem tajemniczy i nagły list, pełen zaklęć, bym przyjeżdżał. Trzeba będzie zresztą to zrobić, bo od dawna nie byłem w kraju, ciotka zaś pisze, że się starzeje i że chciała-by mnie widzieć przed śmiercią.

Wyznaję zaś, że nierad jeżdżę do kraju. Wiem, że najdroższym zamiarem ciotki jest – ożenić mnie; otóż za każdym moim pobytem sprawiam jej pod tym względem gorzki zawód. Strach mnie bierze na myśl o akcie tak stanowczym, po którym trzeba by rozpocząć jakby drugie życie, podczas gdy ja tym pierwszym jestem porządnie zmęczony. Na koniec, jest coś kłopotliwego dla mnie w stosunku do ciotki. Jak dawniej znajomi na ojca mego, tak ona dziś patrzy na mnie jako na człowieka wyjątkowych zdolności, po którym wielkich rzeczy należy się spodziewać. Pozwolić, by pozostała przy tym mniemaniu, wydaje mi się nadużywaniem jej dobrej wiary; oświadczyć jej, że nie tylko wielkich rzeczy, ale niczego nie ma się po mnie spodziewać, byłoby to przesądzać przyszłość tylko prawdopodobną, a zarazem zadać staruszcze cios stanowczy.

Może, na nieszczęście dla mnie, wielu bliższych mi ludzi dzieli mniemanie ciotki. Wzmianka o tym pozwala mi przejść do skreślenia mego własnego wizerunku, co nie będzie rzeczą łatwą o tyle, o ile jestem istotą rzeczywiście w wysokim stopniu złożoną.

Przyniosłem na świat nerwy bardzo wrażliwe, wydoskonalone przez kulturę całych pokoleń. Pierwszymi latami mego dzieciństwa zajmowała się ciotka, po jej odjeździe zaś, jak zwykle w naszych rodzinach – bony. Ponieważ mieszkaliśmy w Rzymie, w otoczeniu obcym, ojciec zaś chciał, bym znał dobrze swój język, przeto jedna z moich bon była Polką. Mieszka ona dotychczas w naszym domu na Babuino i zarządza gospodarstwem domowym. Ojciec zajmował się mną także dużo, zwłaszcza od piątego roku mego życia. Chodziłem na rozmowy do jego pokoju, które rozwijały mnie niepospolicie, a może nawet przedwcześnie. Później, gdy studia i poszukiwania archeologiczne oraz dopełnianie zbiorów pochłaniały ojcu wszystek czas, przyjął do mnie nauczyciela, księdza Calvi. Był to człowiek już stary, z wiarą i duszą nadzwyczaj pogodną. Kochał on nad wszystko sztukę. Sądzę nawet, że religię odczuwał przede wszystkim przez jej piękność. W muzeach, wobec arcydzieł, lub słuchając muzyki w kaplicy Sykstyńskiej, zapamiętywał się zupełnie. W tych głębokich upodobaniach jego do sztuki nie było jednak nic pogańskiego, gdyż nie wspierały się one na sybarytyzmie, na używaniu zmysłowym, ale na uczuciu. Ksiądz Calvi kochał po prostu sztukę tą czystą i pogodną miłością, z jaką mogli ją kochać Da Fiesole, Cimabue lub Giotto – a co więcej, kochał ją także z pokorą, bo sam nie miał najmniejszego talentu. Natomiast im mniej mógl, tym więcej odczuwał. Nie umiałbym nawet powiedzieć, która ze sztuk pięknych była mu ulubioną, zdaje

się bowiem, że głównie kochał we wszystkich harmonię, która odpowiadała jego wewnętrznej harmonii.

Nie wiem sam dlaczego, ale ile razy przypomnę sobie ojca Calvi, tylekroć przypomina mi się zarazem ów starzec, stojący obok św. Cecylii Rafaela i zasłuchany w muzykę sfer.

Między moim ojcem a księdzem Calvi prędko zaczęła się przyjaźń, która trwała aż do śmierci tego ostatniego. On to utrwalił w ojcu zamiłowanie do poszukiwań archeologicznych i w ogóle do wiecznego miasta. Łączyło ich prócz tego przywiązanie do mnie. Obaj uważali mnie za dziecko wyjątkowo uzdolnione i zapowiadające Bóg wie jaką przyszłość. Przychodzi mi nieraz na myśl, że stanowiłem dla nich także pewnego rodzaju harmonię, pewne dopełnienie świata, w którym żyli, i że kochali mnie poniekąd takim samym uczuciem, jakim kochali Rzym i jego zabytki.

Taka atmosfera, takie otoczenie nie mogły nie wywrzeć na mnie wpływu. Chowano mnie w sposób nieco oryginalny. Chodziłem z księdzem Calvi, a często i z ojcem, po galeriach, muzeach, za Rzym, do willi, ruin i katakumb. Ksiądz Calvi równie wrażliwy był na piękność natury, jak sztuki, wcześniej więc nauczył i mnie odczuwać poetyczną melancholię Kampanii Rzymskiej, harmonię, z jaką łuki i linie zrujnowanych wodociągów rysują się na niebie, czyśtość zarysów pinii; zanim umiałem dobrze cztery działania, zdarzało mi się w galeriach poprawiać Anglików, którym nazwiska Caracci i Caravaggio mieszały się w głowach. Wcześniej i łatwo nauczyłem się po łacinie, bo język włoski, którym, jako mieszkaniec Rzymu, władałem biegle, ułatwił mi tę naukę. Mając lat jedenaście, wypowiadałem swoje poglądy na mistrzów włoskich i zagranicznych, które, mimo całej swej naiwności, nie przeszkadzały księdzu Calvi i ojcu rzucać na się zdumionych spojrzeń. Nie lubiłem np. Ribeiry, bo był mi z nadto czarny i biały, przez co wydawał się trochę straszny, a lubiłem Carla Dolce, słowem – uchodziłem w oczach ojca, księdza Calvi i w znajomych nam domach za cudowne dziecko; słyszałem nieraz, jak mnie chwalono – i to podniecało mą próżność.

A swoją drogą nerwy moje w tym otoczeniu i takiej atmosferze wyrobiły się wcześniej i pozostały raz na zawsze nadzwyczaj wrażliwe. Dziwna rzecz jednak, że wpływy powyższe nie były ani tak głębokie, ani tak stanowcze, jakby się można było spodziewać. Że nie zostałem artystą, to się tłumaczy tym, że zapewne nie miałem talentu, jakkolwiek. moi nauczyciele muzyki i rysunku byli przeciwnego zdania; ale zastanawiam się nieraz nad tym, dlaczego ani ojciec, ani ksiądz Calvi nie potrafili mi wszczepić nawet swoich zamiłowań w tym stopniu, w jakim mieli je sami. Czy odczuwam sztukę? – tak; czy potrzebuję jej? – także tak! Ale oni ją kochali, ja zaś odczuwam ją jak dyletant, potrzebuję jej zaś jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych. Należy ona w ogóle do rzędu moich upodobań, nie do rzędu moich namiętności. Nie mógłbym się może obejść bez niej w życiu – ale całego życia bym jej nie oddał.

Ponieważ stan szkół włoskich w ogóle wiele pozostawiał do życzenia, ojciec oddał mnie do kolegium w Metz, które ukończyłem z małym trudem, a natomiast ze wszystkimi odznaczeniami i nagrodami, jakie tam można otrzymać. Na rok przed ukończeniem uciekłem wprawdzie do Don Karlosa i przez dwa miesiące włóczyłem się z oddziałem, Tristana po Pirenejach. Wyszukano mnie za pośrednictwem konsula francuskiego w Burgos i odstawiono do Metz na pokutę; należy jednak wyznać, że pokuta nie była zbyt ciężka, albowiem i ojciec mój, i przewodnicy duchowni w skrytości duszy dumni byli z mojej wycieczki. Zresztą świetne powodzenia egzaminowe prędko wyjednały mi przebaczenie.

Oczywiście, wśród kolegów, których sympatie w takiej szkole, jaka istniała w Metz, musiały być po stronie Don Karlosa, uchodziłem za bohatera; że zaś jednocześnie byłem pierwszym uczniem, wodziłem więc rej w całej szkole i nikomu nie przyszło do głowy spierać się ze mną o to stanowisko. Rosłem w mimowolnym przekonaniu, że i później, na szerszym polu, tak samo będzie. Przekonanie to dzielili nauczyciele i koledzy; tymczasem faktycznie tak jest, że wielu z moich towarzyszków szkolnych, którym do głowy nie przychodziło wówczas, żeby



kiedykolwiek mogli współzawodniczyć ze mną, zajmuje dziś we Francji wybitne stanowiska, bądź na polu literackim, bądź naukowym, bądź politycznym, podczas gdy ja nie wybrałem sobie zawodu, a po prawdzie byłbym w kłopotcie, gdyby mi kazano go wybrać. Stanowisko moje towarzyskie jest wygodne; odziedziczyłem już majątek po matce, odziedziczę kiedyś po ojcu; będę gospodarował w Płoszowie, będę administrował mniej więcej mądrze albo niemądrze całą fortuną, ale już sam zakres tych zajęć wyłącza nadzieję, żebym mógł kiedykolwiek odznaczyć się w życiu i odegrać jaką rolę.

Nie stanę się nigdy świetnym gospodarzem i administratorem, to wiem z pewnością, bo jakkolwiek nie mam zamiaru uchylać się od tych zajęć, nie mam także ochoty poświęcić im życia z tego prostego powodu, że aspiracje moje są rozleglejsze.

Czasem stawiam sobie pytanie: czy my, Płoszowscy, nie łudzimy się co do naszych uzdolnień? Ale gdyby tak było, łudzilibyśmy się sami – ludzie zaś obcy, obojętni, nie popadaliby w ten błąd. Zresztą, ojciec mój był i jest człowiekiem istotnie niepowszednio, wyjątkowo uzdolnionym. Co do mnie, osobiście, nie chcę się nad tym rozwodzić, żeby to nie wyglądało na głupią próżność, ale jednak mam najszczerze przekonanie, że mógłbym być czymś nieskończenie większym, niż jestem.

Oto np. w uniwersytecie w Warszawie (ojciec i ciotka życzyli sobie, bym uniwersytet ukończył w kraju) kolegowałem ze Śniatyńskim. Obaj czuliśmy w sobie powołanie literackie i próbowaliśmy sił na tym polu. Nie mówię już o tym, że byłem uważany za studenta zdolniejszego od Śniatyńskiego, ale dalibóg to, co pisałem wówczas, było lepsze, bardziej obiecujące od tego, co pisał Śniatyński. A dziś co? Śniatyński się wybił względnie wysoko, ja zaś nie przestałem być wielce obiecującym panem Płoszowskim, o którym tu i ówdzie ludzie mówią, kręcąc głowami: „Gdyby się tylko do czegoś wziął!”

Ludzie nie liczą się z tym, że trzeba umieć chcieć. Myślałem nieraz, iż gdybym nie miał żadnego majątku, to musiałbym się do czegoś wziąć. I zapewne. Musiałbym w jakiś sposób zarabiać na chleb, ale wewnętrznie jestem przekonany, że i w takim razie nie wyzyskałbym swoich uzdolnień w dwudziestej części. Zresztą, taki Darwin, taki Buckle, to byli ludzie bogaci; sir John Lubbock jest bankierem, większość znakomitych ludzi francuskich opływa w dostatki; pokazuje się więc, że majątek nie tylko nie przeszkadza, ale pomaga do zajęcia stanowiska na wszystkich polach. Przypuszczam nawet, że mnie osobiście oddał on wielką przysługę, bo uchronił charakter mój od wielu zwichnięć, na które naraziłoby go ubóstwo. Nie chcę powiedzieć przez to, żebym miał charakter słaby; z drugiej strony, walka mogłaby go nawet zahartować – ale bądź co bądź, im kto mniej znajduje na drodze kamieni, tym mu łatwiej uniknąć potknięcia lub upadku.

Próżniactwu nie przypiszę także mojej nicości. Posiadam w równym stopniu łatwość przyswajania sobie wiadomości i ciekawość. Czytuję wiele i pamiętam wiele. Być może, iż nie zdobyłbym się na żelazną wytrwałość, na pracę długą, powolną, rozległą – ale ten brak wytrwania powinna właśnie łatwość zastąpić. Wreszcie nic mnie nie obowiązuje do pisania słowników, jak to czynił Littré. Kto nie umie świecić z wytrwałością słońca, może przynajmniej zabłysnąć jak meteor. Ale ta nicość w przeszłości, ta prawdopodobna nicość w przyszłości... Cierpko mi się robi i nuda poczyna mnie gnębić, więc urywam na dziś pisanie.

Rzym, 10 stycznia.

Wczoraj na wieczorze u ks. Malatesta usłyszałem frazes: *l'improductivité slave*. Doznałem ulgi, jak owi chorzy nerwowi, którzy dowiedziawszy się od doktora, że objawy ich choroby są znane i że wiele osób cierpi podobnie, cieszą się z tej wiadomości. Prawda! prawda! ilu to ja mam kolegów – nie wiem, czy w całej Słowiańszczyźnie, bo jej nic znam – ale ilu u nas! Myślałem o tej *improductivité slave* całą noc. Niegłupi był człowiek, który to tak sformułował. Jest w nas coś takiego; jest jakaś nieudolność życiowa do wydania z siebie wszystkiego, co

się w nas mieści. Można rzec, że Bóg dał nam łuk i strzały, tylko odmówił zdolności do napięcia tego łuku i wypuszczenia strzał. Pogadałbym o tym z ojcem, zwłaszcza że ojciec lubi podobne rozprawy, ale boję się dotknąć bolączki. Myślę natomiast, że napełnię i przepełnię dziennik tą kwestią. Może to jednak właśnie będzie dobrze, może to będzie stanowiło jego główną wartość? Przy tym cóż naturalniejszego nad to, że będę pisał o tym, co mnie najwięcej obchodzi? Każdy człowiek nosi w sobie jakąś swoją tragedię. Otóż moją tragedią jest ta *im-productivité* Płozowskich. Wobec ludzi nie ma teraz zwyczaju zdradzać się z takimi rzeczami. W niedawnych jeszcze czasach, gdy romantyzm kwitnął w sercach i w poezji, nosiło się swą tragedię jak malowniczo drapowany płaszcz, obecnie nosi się ją jak jegierowski kaftanik: pod koszulą. Ale dziennik to co innego; w dzienniku wolno i należy być szczerym.

Rzym, 11 stycznia.

Zostaję tu jeszcze parę dni, więc korzystam z czasu, by zanim przejdę do zapisywania zdarzeń z dnia na dzień, rozejrzeć się w przeszłości i raz z nią skończyć. Jak już wyżej wzmiankowałem, ani myślę pisać obszernej autobiografii; kim jestem i jakim jestem, przyszłe moje życie pokaże to dostatecznie. Szczegółowe badanie dawniejszego byłoby przeciwne mojej naturze. Jest to rodzaj nudnego dodawania: wypisuje się pojedyncze cyfry, jedna pod drugą, następnie podkreśla się je i sumuje. Owóż nie cierpiałem całe życie czterech działań arytmetycznych, a pierwsze z nich było mi właśnie najnieznośniejsze.

Chcę jednak mieć jakieś, choćby bardzo ogólne pojęcie o sumie, by stać się sobie samemu mniej więcej jasnym – więc w równie ogólnych zarysach idę dalej.

Po ukończeniu uniwersytetu skończyłem szkołę rolniczą we Francji – z łatwością, lecz bez szczególnego pociągu, jak człowiek, który wie, że go zajęcia rolnicze czekają na pewno w przyszłości, ale który czuje, że się poniekąd do nich zniża i że nie odpowiedzą one nigdy ani jego zdolnościom, ani ambicjom. Dwa jednak dobre rezultaty osiągnąłem z tego pobytu w szkole rolniczej. Oto rolnictwo przestało być dla mnie bajką o żelaznym wilku i pierwszy lepszy ekonom nie wywiedzie mnie w pole; po wtóre, przez pracę w polach, na otwartym powietrzu, zebrałem znaczny zapas zdrowia i sił, dzięki którym dawałem mniej więcej skuteczny opór takiemu życiu, jakie wiodłem później w Paryżu.

Albowiem następne moje lata upływały między Rzymem i Paryżem, nie mówiąc o krótkich wizytach w Warszawie, do której od czasu do czasu wzywała mnie ciotka, bądź to z tęsknoty ku mnie, bądź z chęci ożenienia mnie z jaką dzierlatką swego wyboru. Paryż i jego życie pociągnęło mnie niezmiernie. Jakkolwiek byłem wówczas dobrego o sobie mniemania, jakkolwiek miałem większe zaufanie do swego rozumu, niż mam dziś, i tę pewność siebie, jaką daje niezależne stanowisko towarzyskie – jednakże przez pewien czas odgrywałem rolę naiwne na tej wielkiej scenie świata. Zakochałem się naprzód śmiertelnie w pannie Richemberg z Komedii Francuskiej i chciałem się z nią koniecznością ożenić. Ile stąd wypadło zawikłań tragikomicznych, nie będę się rozpisywał, bo mi dziś trochę wstyd tych czasów, a trochę mi się śmiać z nich chce. Potem wyprowadzano mnie jeszcze niejednokrotnie w pole, albo też i samemu zdarzało mi się brać liczmany za dobrą monetę. Kobieta francuska, tak jak zresztą i polska, choćby należąca do najwyższej sfery i choćby przy tym cnotliwa, byle młoda, przypomina mi fehmistrza na szpady. Jak fehmistrz potrzebuje mieć co dzień swoją „godzinę sali”, by nie wyjść z wprawy w robieniu bronią, tak i te panie fechtują się w zakresie sentymentu po prostu dla wprawy. Jako chłopak młody, nie brzydszy od diabła i należący do lepszego towarzystwa, byłem nieraz zapraszany na taką „godzinę sali” – że zaś w naiwności ducha brałem te ćwiczenia na serio, zdarzało mi się więc nieraz również na serio coś oberwać. Nie były to wprawdzie rany śmiertelne, ale dość bolesne zakłucia. Zresztą jestem przekonany, że każdy musi złożyć swoją daninę naiwności w tym świecie i w takim życiu. Mój czas trwał względnie krótko. Potem przyszedł period, który mogę określić słowem: *la revanche*. Placi-

łem za swoje, jeżeli zaś i wówczas wyprowadzano mnie niekiedy w pole, to dlatego, że chciałem iść w pole.

Mając wszędy łatwy wstęp, poznałem rozmaite warstwy towarzystwa, począwszy od domów legitymistycznych, w których zresztą nudziłem się, skończywszy na tej świeżej, bardzo utytułowanej arystokracji, stworzonej przez Bonapartych i Orleanów, a stanowiącej wielki świat... może nie paryski, ale na przykład nicejski. Dumas syn, Sardou i inni biorą swoich hrabiów, margrabiów i książąt z tego właśnie gatunku, który, nie mając żadnej wielkiej tradycji dziejowej, a w bród tytułów i pieniędzy, zajęty jest głównie używaniem życia. Do tych kół należą i wysokie finanse. Co do mnie, kręciłem się w nich najchętniej ze względu na „te pannie”. Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycji obowiązującej. Z tym wszystkim jest to świat bardzo błyszczący. „Godziny sali” są w nim tak długie, że równają się dniom i nocom, mogą być zaś niebezpieczne, bo tam nie ma zwyczaju stępieć floretów. Tam też brałem te bolesne lekcje, pókim się dostatecznie sam nie wyćwiczył. Byłoby dowodem próżności, a co więcej, złego smaku, rozpisywać się o swych powodzeniach, powiem więc tylko, że tradycje młodości ojcowskiej starałem się, jak mogłem, utrzymać.

Najniższe okręgi tego świata stykają się niejako z najwyższymi wielkiego półświata. Ów półświat jest niebezpieczniejszy, niż się na pierwszy rzut oka zdaje – bo bynajmniej nie jest trywialny. Cynizm jego ma pewne pozory artyzmu. Jeżeli tam nie pozostawił zbyt wielu piór, to tylko dlatego, że zanim tam wszedłem, miałem już dziób niezłe zakrzywiony i niezgorzej ostre pazury.

Ale w ogóle, mówiąc o życiu paryskim, można powiedzieć to, że kto wychodzi z tego młyna, musi się czuć nieco zmęczony, a cóż dopiero ten, który jak ja wychodził po to tylko, żeby wracać. Człowiek później dopiero zaczyna rozumieć, że jego zwycięstwa równają się Pyrrusowym triumfom. Mój silny z natury organizm stawiał dość skuteczny opór temu życiu, ale nerwy mam nadszarpane.

Paryż posiada wszelako jedną wyższość nad wszystkimi innymi ogniskami życia. Oto nie znam żadnego miasta w świecie, gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie jak tam. Człowiek nie tylko przyswaja sobie tam mimo woli to, co w dziedzinie umysłowości jest najnowszym, ale umysł jego traci zarazem jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany. Powtarzam: ucywilizowany, bo we Włoszech, w Niemczech i w Polsce spotykałem głowy, nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istnieć poza promieniem ich światła, tak wyłączone i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z nimi był wprost niemożliwy.

We Francji, a ściślej mówiąc: w Paryżu, podobne objawy nie istnieją. Jak potok bystro bieżący wyokrągla kamienie, trąc je jedno o drugie, tak prąd życia wyokrągla tam i humanizuje umysły. Oczywiście pod podobnymi wpływami i moja głowa stała się głową ucywilizowanego człowieka. Potrafię dużo wyrozumieć; nie rzucam pawich krzyków, gdy usłyszę coś przeciwnego moim poglądom albo coś zgoła nowego. Być może, iż takie uwzględnianie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym.

Prąd umysłowy niósł mnie – płynąłem. Jeśli stosunki towarzyskie, salony, buduary, kluby pochłaniały znaczną część mego czasu, to nie pochłaniały go jednak wyłącznie. Porobiłem dużo znajomości w świecie naukowym i artystycznym i żyłem życiem tego świata, a raczej żyję nim dotychczas. Z wrodzonej ciekawości czytałem bardzo wiele, że zaś przyswajam sobie łatwo to, co czytam, więc mogę powiedzieć, że wykształciłem się znacznie. Idę mniej więcej razem z ruchem umysłowym mego wieku.

Jestem też istotą w wysokim stopniu świadomą siebie. Czasem posyła się do diabła to drugie ja, badające i krytykujące pierwsze – nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnej rozkoszy, żadnej namiętności. Być może, iż samowiedza jest znamieniem wyższego rozwoju umysłowego, ale zarazem jest czymś osłabiającym niezmiernie odczuwanie. Nosie w sobie wiecznie, czujną krytykę siebie samego jest to odłączyć od całości potrzebną na to część ducha – a więc życie i jego wrażenia odczuwać nie całością, lecz tylko pozostałą resztą.

Jest to równie męczące, jak dla ptaka byłoby męczące latanie jednym skrzydłem. Prócz tego samowiedza zbyt rozwinięta odbiera także zdolność do czynu. Gdyby nie ona, Hamlet zaraz w pierwszym akcie byłby na wylot przewiercił stryjaszka i z całym spokojem objął po nim sukcesję

Co do mnie osobiście, jeśli czasem chroni mnie ona i wstrzymuje od kroków nierozważnych, to natomiast daleko więcej nuży mnie, nie pozwala mi się skupić całkowicie i wyłączyć w jednym działaniu. Noszę w sobie dwóch ludzi, z których, gdy jeden ciągle rozeznaje i krytykuje, drugi żyje tylko pół-życiem i traci wszelką stanowczość. Męczy mnie i ta świadomość, że się z tego jarzma nie otrząsnę, że owszem, o ile umysł mój będzie się rozszerzał, o tyle i samowiedza będzie się stawała coraz dokładniejszą, i że umierając nawet, nie przestanę krytykować Płoszowskiego umierającego, chyba że gorączka zwarzy mój mózg.

Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociągała mnie tak jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie ni mniej, ni więcej zakres, jak wszechświat i wszechbyć, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania. Obecnie stała się ona o tyle rozsądną, iż przyznaje, że jej w dawnym ogólnym znaczeniu nie ma – i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wiedzy. Doprawdy, gdy o tym myślę, chce mi się powiedzieć, że i rozum ludzki ma swoją tragedię i że zaczęła się ona dla niego właśnie wraz z tym wyznaniem swojej niemocy. Ponieważ piszę osobisty pamiętnik, będę więc mówił o tych rzeczach ze stanowiska osobistego. Nie mam się za fachowego filozofa, bo z fachu, jak już wspomniałem, jestem niczym, ale – jak wszyscy ludzie myślący – zajmowałem się najnowszym ruchem filozoficznym, byłem i jestem pod jego wpływem i mam zupełne prawo mówić o tym, co weszło w skład i wpłynęło na wytworzenie się mojej istoty umysłowej i moralnej.

Przede wszystkim zaznaczam, że moje wierzenia religijne, które wyniosłem jeszcze nie-tnięte z Metz, nie ostały się wskutek czytania książek przyrodniczo-filozoficznych. Nie idzie za tym, bym był ateistą. Och, nie! To było dobre dawniej, za owych czasów, gdy jeśli ktoś nie uznawał ducha, mówił sobie: materia – i zaspokajał się tym słowem. Dziś tylko parafialni filozofowie stoją na takim zacofanym stanowisku. Dziś filozofia takich rzeczy nie przesądza, dziś odpowiada na podobne pytanie: „Nie wiem” – i to „nie wiem” wszczepia w duszę. Dziś psychologia zajmuje się analizą bardzo ścisłą wszelkiego rodzaju objawów psychicznych, lecz zapytam o nieśmiertelność duszy, odpowiada także: N i e w i e m – i istotnie nie tylko nie wie – ale nie może wiedzieć.

A teraz łatwo mi będzie określić stan mego umysłu. Oto: nie wiem, nie wiem, nie wiem! W tym, w tej rozeznanej impotencji rozumu ludzkiego, leży tragedia. Bo pomijając, że natura nasza duchowa będzie zawsze gwałtu krzyczała o odpowiedź na podobne pytania, toż to przecie są pytania największej wagi realnej, najbardziej człowieka obchodzące. Jeśli po tamtej stronie jest coś, i to coś wieczystego, to nieszczęścia i straty po tej stronie maleją do zera. Można by do nich zastosować słowa Hamleta: „A to niech diabli porwą żalobę, ja wezmę sobole.” „Zgadzam się na śmierć – mówi Renan – ale niech wiem, że mi się ona na coś przyda.” A filozofia odpowiada: N i e w i e m .

Człowiek zaś szamocze się w tej wielkiej niewiadomej, czując, że gdyby się mógł na którąkolwiek stronę przechylić, to jednak byłoby mu lepiej i spokojniej. Ale cóż na to poradzić? Czy winić filozofię, że zamiast budować systematy, które się co dzień rozlatywały jak domki

z kart, uznała własną niemoc i zajęła się badaniem i uporządkowywaniem zjawisk, leżących w przystępnych dla rozumu granicach? Nie! Sądzę tylko, że ja i każdy inny miałby prawo przyjść do niej i powiedzieć jej: Podziwiam twoją trzeźwość, uwielbiam ścisłość analizy, ale z tym wszystkim uczyniłaś mnie nieszczęśliwym. Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszej dla mnie wagi – a miałaś jej dosyć, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nie odpowiadała nie tylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki. I nie mów, że ponieważ nie przesądzasz nic, więc pozwalasz mi wierzyć we wszystko. Nieprawda! Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją – jest zwątpienie i krytyka. Tę swoją naukową metodę, ten sceptycyzm, tę krytykę tak wszczepiłaś w moją duszę, że stała się ona moją naturą. Wypaliłaś jak kamieniem piekielnym we mnie wszystkie te nerwy ducha, którymi się wierzy bezkrytycznie i po prostu, tak że dziś, gdybym chciał wierzyć, to nie mam czym. Pozwalasz mi chodzić na mszę, jeśli mam ochotę, ale zatrulaś mnie sceptycyzmem do tego stopnia, że dziś jestem sceptykiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! i męcę się, i szaleję w tej ciemności!...

*Rzym, 12 stycznia.*

Wczoraj pisałem w pewnym uniesieniu. Ale też zdaje mi się, że dotknął próchna i mojej własnej, i ogólnej ludzkiej duszy. Bywają epoki, że obojętniej na podobne pytania, czasem jednak targają mnie one bez miłosierdzia – tym bardziej że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiej o nich nie myśleć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedzieć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić! Próbowałem zresztą nieraz powiedzieć sobie: Dość! z tego błędnego koła nie wyjdiesz, więc w nie nie wchodź! Mam wszystko po temu, by zrobić z siebie syte i wesołe zwierzę – ale nie zawsze mogę na tym poprzestać. Powiadają, że w naturze Słowian leży pewien pociąg do mistycyzmu, do rzeczy zaświatowych. Zauważyłem, że np. na mistycyzmie kończą wszyscy nasi wielcy pisarze. Cóż dziwnego, że się czasem trochę pomęczą ludzie zwyczajni. Co do mnie, musiałem o tych swoich wewnętrznych niepokojach napisać, by sobie skreślić dokładny obraz stanu swej duszy. Przy tym człowiek potrzebuje się czasem sam przed sobą usprawiedliwić. Oto np. ja, z tym wielkim „nie wiem” w duszy, zachowuję przepisy religijne i nie mam się za człowieka nieszczerego. Byłoby tak, gdybym zamiast: „Nie wiem” – mógł powiedzieć: „Wiem, że nic nie ma.” Ale ten nasz sceptycyzm nie jest otwartą negacją: jest to raczej bolesne i męczące podejrzenie, że może nic nie być; jest to gęsta mgła, która otacza nasze głowy, przygniata nasze piersi i przesłania nam światło. Więc wyciągam ręce do tego słońca, które może za tą mgłą świeci. I myślę, że nie sam jeden jestem w tym położeniu – i że modlitwę wielu, bardzo wielu z tych, którzy chodzą na mszę w niedzielę, można by streścić w słowach: „Panie, rozprosz mgłę!”

Nie mogę o tych rzeczach pisać zupełnie zimno. Zachowuję przepisy religijne jeszcze i dlatego, że wiara jest mi pożądana, ponieważ zaś ta słodka nauka, w której się wychowałem, kładzie jako warunek wiary łaskę, więc czekam łaski. Czekam, żeby mi zesłano taki stan duszy, w którym mógłbym uwierzyć tak głęboko i bez cienia wątpliwości, jak wierzyłem będąc dzieckiem. To są moje powody szlachetne; nie powoduje mną żaden interes, bo przecie wygodniej by mi było być tylko sytym i wesołym zwierzęciem.

Jeśli zaś chodzi o to, bym swoją zewnętrzną religijność usprawiedliwił mniej szlachetnymi a bardziej praktycznymi powodami – ach! mam ich mnóstwo. Oto, przywykłem od dzieciństwa; spełnianie pewnych przepisów stało się niemal we mnie nałogiem; oto, jak Henryk IV mówił, że Paryż wart jest mszy, tak ja mówię sobie: Spokój bliskich wart jest mszy; ludzie mojej sfery spełniają w ogóle obowiązki religijne, a moje sumienie czułoby się obowiązane do protestu tylko w takim razie, gdybym mógł sobie powiedzieć coś bardziej stanowczego,

niż: nie wiem. Oto na koniec, chodzę do kościoła, bom jest sceptyk podniesiony do kwadratu, to się znaczy, że jestem sceptykiem nawet względem własnego sceptycyzmu.

I jest mi z tym źle. Dusza moja wlecze jedno skrzydło po ziemi. Byłoby mi zaś jeszcze gorzej, gdybym te wszystkie kwestie brał zawsze tak do serca, jak brałem je pisząc te dwie ostatnie kartki. Na szczęście dla mnie tak nie jest. Wspominałem już, że przychodzą na mnie epoki zobojętnienia. Czasem życie porywa mnie w swoje objęcia, a choć w gruncie rzeczy wiem, co mam myśleć o jego słodyczach, jednak oddaję mu się w zupełności – i wówczas to moralne: *To be, or not to be?* nie ma dla mnie znaczenia. Dziwna, a mało badana dotąd rzecz, jak niesłychane ma znaczenie w tym względzie sugestia społeczna. W Paryżu, na przykład, bywam spokojniejszy nie tylko dlatego, że mnie ten młyn ogłusza, że kipię razem z tym wrzątkiem, że mi serce i głowę zajmują moje „godziny sali”, ale że tam ludzie, nie zdając sobie może sprawy, żyją tak, jakby każdy miał wszelką pewność, że w to życie warto jest włożyć wszystkie siły, bo poza nim jest tylko proces chemiczny. I puls mój poczyna bić razem z tym pulsem, i nastrojam się zgodnie do tego nastroju. Bawię się lub nudzę, biję lub jestem bity, ale mam względny spokój.

*Rzym, Babuino, 13 stycznia.*

Mam zaledwie cztery dni czasu do wyjazdu, chcę zaś jeszcze przed wyjazdem streścić to, com o sobie powiedział. Jestem człowiekiem nieco zmęczonym, bardzo wrażliwym i nerwowym. Mam wyrobioną do wysokiego stopnia świadomość siebie, popartą względny wykształceniem, czyli w ogóle mogę uważać się za istotę umysłowo rozwiniętą.

Sceptycyzm, ów sceptycyzm podniesiony do kwadratu, wyłącza we mnie wszelkie niewzruszone przekonania. Patrzę, obserwuję, krytykuję – i czasem zdaje mi się, że chwytam istotę rzeczy, ale zresztą gotów jestem zawsze i o tym powątpiewać. O moim stosunku do religii mówiłem. Co do przekonań społecznych, jestem o tyle konserwatystą, o ile człowiek w moich warunkach być nim poniekąd musi i o ile konserwatyzm odpowiada moim upodobaniom. Nie potrzebuję mówić, jak daleko od tego do poglądu na zachowawczość jak na dogmat, którego krytykować nie wolno. Jestem człowiekiem nadto ucywilizowanym, abym stał bezwzględnie po stronie arystokracji lub demokracji. W takie rzeczy bawią się jeszcze po zaściankach lub w dalekich stronach, gdzie idee przychodzą, tak jak mody, o kilkanaście lat za późno. Od czasu jak nie istnieje przywilej, kwestia jest, podług mnie, zamknięta; tam zaś, gdzie ją zacofanie podtrzymuje, stała się kwestią nie zasad, ale próżności i nerwów. Co do mnie, lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej.

Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę, piękne kobiety. Pod względem estetycznym posiadam nerwy nie tylko wyrobione, ale może nawet przerafinowane. Składała się na to i ich przyrodzona wrażliwość, i wychowanie, jakie odebrałem. Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciech ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie, chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia, i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nie tyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć. W ogóle zdaje mi się, że jestem człowiekiem – być może – trochę popsutym, ale porządnym, lubo naprawdę mówiąc, poniekąd zawieszonym w powietrzu, bo nie wspierającym się na żadnych dogmatach, ani pod względem religijnym, ani społecznym. Nie mam także celu, dla którego bym życie mógł poświęcić.

Na zakończenie tej syntezy słowo jeszcze o moich zdolnościach. Ojciec, ciotka, koledzy, a czasem i ludzie obcy uważają je za wprost nadzwyczajne. Ja przypuszczam, że mój umysł ma pewną błyskotliwość. Ale czy *l'improductivité slave* nie rozwieje pokładanych we mnie na-

dzieci? Na mocy tego, com dotychczas zrobił, a raczej na mocy tego, zem dotychczas nic nie zrobił nie tylko dla drugih, ale nawet dla siebie, godzi mi się przypuszczać, że tak.

A rozeznanie to kosztuje mnie więcej, niż się zdaje. Ironia moja, gdy o sobie myślę, ma smak goryczy. Jest coś jałowego w tej glinie, z której Bóg stworzył Płoszowskich, skoro na niej tak łatwo i bujnie wszystko porasta, a nic nie wydaje ziarna. Gdybym istotnie przy tej jałowiznie, przy tej niemocy czynu, posiadał nawet genialne zdolności, to byłbym jakimś szczególnym rodzajem geniusza bez teki, jak bywają ministrowie bez teki.

To określenie: g e n i u s z b e z t e k i, wydaje mi się bliskie istoty rzeczy. Muszę wziąć na nie patent wynalazku. Ach! i znowu ta pociecha! Oto nie sam jeden, dalibóg, nie sam jeden będę nosił to miano. Imię moje jest legion! *L'improductivité slave* niech sobie istnieje swoją drogą, a swoją drogą g e n i u s z b e z t e k i to nasz czysto nadwiślański płód. Raz jeszcze powtarzam, że imię moje jest legion. Nie znam zakątka ziemi, w którym by tyłu marnowało świetne zdolności, w którym by ci nawet, którzy coś dają, dawali tak mało – tak niesłychanie mało w stosunku do tego, co im Bóg dał.

Rzym, Babuino, 14 stycznia.

Drugi list od ciotki z naleganiem, bym przyśpieszył przyjazd. Jadę, kochana ciociu, jadę – a Bóg widzi, że robię to tylko z przywiązania do ciebie, bo inaczej wolałbym tu zostać. Ojciec mój czuje się niezdrów; od czasu do czasu doznaje drętwienia w całej lewej połowie ciała. Na prośbę moją wezwał lekarza, ale jestem pewien, że lekarstwa, jakie mu przepisano, zamknął do szafy, jak to zresztą zwykł czynić od kilkunastu lat. Raz otworzył tę szafę i pokazując mi setki butelek i buteleczek, słoików, słoików, pudełek, powiedział: „Zlituj się, gdyby to najzdrowszy człowiek zjadł i wypił, to jeszcze by nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek chory!” Dotychczas pogląd taki nie wyrządził ojcu wielkiej krzywdy, ale jestem niespokojny o przyszłość.

Drugim powodem niechęci do wyjazdu są dla mnie zamiary ciotki. Naturalnie, że chodzi jej o to, by mnie ożenić. Nie wiem, czy ciotka ma coś upatrzonego; dałby Bóg, żeby nie miała, ale z zamiarami nawet się nie ukrywa. „Że o taką partię, jaką ty jesteś (pisze mi), rozpocznie się zaraz wojna białych i czerwonych róż, to łatwo przewidzieć.” Ależ ja jestem zmęczony, nie chcę być powodem żadnej wojny, a zwłaszcza nie chcę, jak Henryk VII, kończyć wojny róż – małżeństwem. Z drugiej strony, oczywiście, ciotce nie mogę tego powiedzieć, ale sam przed sobą mogę zeznać: oto nie lubię Polek. Mam lat trzydzieści pięć; miałem, jak każdy człowiek, który dużo żył, rozmaite uczuciowe przygody w życiu; spotykałem i Polki – iż tych przygód, z tych zetknięć, wyniosłem wrażenie, że to są najtrudniejsze i najbardziej męczące kobiety w świecie. Nie wiem, czy są cnotliwsze na ogół od Francuzek lub Włozek; wiem to tylko, że są o wiele patetyczniejsze. Zimno mi się robi, gdy o tym pomyślę. Bo rozumiem elegię nad stłuczonym dzbankiem, gdy po raz pierwszy ujrzy się u stóp skorupy; ale deklamować tę elegię z równym patosem nad wielokrotnie drutowanym dzbankiem, to do prawdy zakrawa na operetkę. Miła rola „czulego słuchacza”, któremu przyzwoitość nakazuje brać to na serio! Dziwne, fantastyczne kobiety, o płonących głowach a rybim temperamentem! W uczuciach ich nie ma nie tylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się one w formach uczucia, mniej dbając o treść wewnętrzną. Z tego powodu nie potrafisz nigdy Polki obrachować. Z Francuzką, z Włoszką, jeśliś logicznie ułożył premisy, możesz być mniej więcej pewien swojego *ergo*. Z Polką bynajmniej! Ktoś powiedział, że jeśli się mężczyzna myli, to mówi, że dwa razy dwa jest pięć – i błąd może być sprostowany; kobieta zaś, myśląc się, twierdzi, że dwa razy dwa jest lampa, i wtedy choć głową o mur bij. Otóż przede wszystkim w logice Polek może wypaść, że dwa razy . dwa nie jest cztery, ale lampa, miłość, nienawiść, kot, łyż, obowiązki, wróbel, pogarda – zgoła nic nie potrafisz przewidzieć, niczego obrachować, przeciw niczemu się ubezpieczyć. Być zresztą może, że z powodu tych wszystkich wilczych do-

łów cnota Polek lepiej jest ubezpieczoną niż innych kobiet, choćby dlatego, że oblegający nuży się śmiertelnie. Com jednak zauważył i czego nie mogę im darować, to tego, że te wilcze doły, palisady, pastki, ta zaciekłość obrony, wszystko to nie tyle obrachowane jest na ostateczne odpędzenie przeciwnika, ile na wyzyskanie wzruszeń walki.

Mówiłem raz o tym – naturalnie obwijając rzecz ile możności w bawelnę – z jedną bardzo sprytną kobietą, na wpół tylko Polką, bo ojciec jej jest Włochem. Ta, wysłuchawszy mnie, odrzekła:

– Pan masz w tej sprawie pogląd lisa na gołębnik. Nie podoba ci się to i psuje ci humor, że gołębie mieszkają zwykle wysoko i że mają skrzydła lotniejsze od kurzych. Wszystko, co mówisz, wypada raczej na korzyść Polek.

– A to jakim sposobem?

– Bo im Polka jest nieznośniejszą jako cudza żona, tym może być pożądaną jako własna.

Przyparto mnie, jak to mówią, do muru i na razie nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Może być przy tym, że mam trochę pogląd lisa na gołębnik. Niewątpliwym jest także, że gdybym się miał żenić w ogólności, a w szczególności żenić z Polką, to bym tej Polki szukał nie tylko między gołębiami mieszkającymi wysoko, ale i między gołębiami białymi.

Jestem jednakże jak owe ryby, które na pytanie, z jakim sosem chcą być przyprawione, odpowiadają, że przede wszystkim wcale nie życzą sobie być przyprawione. Tu wracam do zarzutów przeciw wam, miłe rodaczki. Kochacie w ogóle więcej dramat w miłości niż samą miłość. W każdej z was siedzi królowa – i tym ogromnie różnicie się od innych kobiet; każda z was sądzi, że już tym samym wyrządza łaskę i dobrodziejstwo, jeśli się pozwala kochać, żadna nie zgodzi się na to, by być tylko dodatkiem, tylko dopełnieniem męskiego życia, które ma przecie inne cele. Wy chcecie, żebyśmy dla was istnieli, nie wy dla nas. Następnie kochacie lepiej dzieci niż męża. Dola jego jest dolą satelity. Widziałem to, obserwowałem nieraz – takie jesteście powszechnie; gdzieniegdzie tylko świecą wyjątki, jak diamenty wśród osypiska. Nie! – moje księżniczki – pozwólcie uwielbiać się z daleka.

Odsunąć raz na zawsze na drugi plan wszystkie cele, wszystkie ideały, płonąć codziennie jak kadzidło na ołtarzu żony – i do tego własnej żony, o panie moje – to dla człowieka trochę za mało!

Moja samowiedza pyta mnie wprawdzie zaraz: Właściwie, co ty masz lepszego do roboty? jakie zamiary, jakie cele? Jeśli kto, to ty stworzony jesteś na ofiarę całopalną.

Ale nie – do licha! W małżeństwie trzeba tak zmienić życie, tyle wyrzec się ze swoich przyzwyczajzeń, wygod, upodobań, nałogów, że chyba istotna i wielka miłość może to opłacić. Mnie się to nie trafi. Ożenienie się jest tak bajecznym aktem wiary w kobietę i woli, że się na nie nigdy nie zdobędę. Powtarzam jeszcze raz: „Nie chcę być z żadnym sosem przyprawiony.”

*Warszawa, 21 stycznia.*

Przyjechałem dziś rano, ale zem się zatrzymywałem w Wiedniu, więc droga nie dała mi się zbyt we znaki. Godzina jest późna, nerwy spać mi nie dają, zatem zasiadam do pisania. Rzeczywiście wchodzi mi ono w zwyczaj – i znajduję w nim pewien powab. Co za radość w domu! co za pocziwa ta ciotka! Z radości pewnie także nie śpi, a przy obiedzie nie mogła nic jeść. Gdy jest u siebie w Płoszowie, klóci się zawsze z panem Chwastowskim, swoim rządcą, bardzo tęgim szlachcicem, który słowa nie pozwala sobie powiedzieć i odcina się zęb w zęb. Dopiero gdy się tak skłóca, że rozstanie zdaje się być nieuniknione, ciotka milknie i je z apetytem, a nawet z pewną zawziętością. Dziś musiała poprzestać na wyłajaniu służby, co jej nie wystarczyło. Humor miała jednak przepyszny i ile było niezgłębionego przywiązania w spojrzaniach, które rzucała na mnie przez całe poobiedzie spod okularów, to się nie da opisać. W kółku jej znajomych nazywają mnie fetyszem, o co zresztą ciotka mocno się gniewa.



Oczywista rzecz, że przewidywania i obawy moje się sprawdziły. Nie tylko istnieją zamiary, ale istnieje coś upatrzonego. Ciotka ma zwyczaj chodzić wielkimi krokami po obiedzie i głośno myśleć. Otóż mimo tajemnicy, jaką starała się otaczać, usłyszałem monolog następujący:

„Młody jest, przystojny, bogaty, jeniałny – chybaby głupia była, gdyby się w nim zaraz nie zakochała.”

Jutro jedziemy na piknik, jaki młodzież wyprawia damom. Ma to być zabawa bardzo świetna.

Warszawa, 25 stycznia.

Nudzę się często na balach jako *homo sapiens*; nie cierpię ich jako kandydat do małżeństwa, ale lubię je czasem jako artysta – naturalnie, artysta bez teki. Co to za piękna rzecz, na przykład, szerokie, rzęsiście oświecone i pełne kwiatów schody, po których kobiety przybrane balowo wchodzą na górę. Wszystkie wydają się wówczas bardzo wysokie, a gdy się patrzy na nie z dołu, jak ciągną za sobą powłóczyste suknie, przypominają aniołów w śnie Jakuba. Lubię ten ruch, światła, kwiaty, te lekkie tkaniny, pokrywające jakby jasną mgłą młode panny; a cóż dopiero mówić o obnażonych szyjach, gorsach i ramionach, które po zdjęciu narzutek zdają ścinać się, krzepnąć na powietrzu i przybierać twardość marmuru. Mój zmysł powonienia rozkoszuje się także. Przepadam za dobrymi perfumami.

Piknik udał się bardzo dobrze. Trzeba przyznać Staszewskiemu, że umie takie rzeczy urządzać. Przyjechałem razem z ciotką, ale straciłem ją zaraz w przedsionku, bo Staszewski zbiegł umyślnie, żeby jej podać rękę na schody. Biedne ciotczysko ma jakąś długą gronostajową narzutkę, której używa na wszystkie wielkie wystąpienia, wskutek czego nazywają ją „Dostojną Peleryną”. Wszedłszy na salę zatrzymałem się nie opodal drzwi, żeby się rozejrzeć między ludźmi. Człowiek doznaje dziwnego wrażenia, gdy po kilkuletniej niebytności znajduje się wśród swojskich twarzy. Czuje wówczas doskonale, że są to bliższe istoty niż te, które gdzie indziej spotykał, a jednak przypatruje im się, bada je i robi spostrzeżenia jak obcy. Szczególniej kobiety zajęły moją uwagę.

Bądź co bądź towarzystwo u nas jest wykwintne. Twarze widziałem ładne lub brzydkie, ale takie, jakie wytwarza stara i wyrafinowana cywilizacja. Szyje i ramiona kobiet, przy całej nieraz okrągłości młodzieńczej, przypominały mi po prostu wyroby sewrskie. Jest w nich jakaś spokojna wytworność, jakieś wykończenie. Co za stopy widziałem, co za ręce, co za rysunek czaszek! Doprawdy, że tu nie udają Europy, tu nią są.

Stałem tak z kwadrans, rozmyślając jeszcze i nad tym, którą z tych głów, który z tych gorsów ciotka przeznacza dla mnie? Tymczasem nadeszli Śniatyńscy. Jego widziałem przed kilku miesiącami w Rzymie, ją znałem już także poprzednio. Lubię ją, bo ma ogromnie słodką twarz i należy do tych wyjątkowych Polek, które nie pochłaniają życia mężom, ale oddają im swoje. Po chwili wsunęła się między nas jakaś młoda osóbka, która, przywitawszy się ze Śniatyńską, wyciągnęła do mnie łapkę opiętą w białą rękawiczkę i spytała:

– Nie poznajesz mnie, Leonie?

Trochę mnie zakłopotало to pytanie, bo istotnie w pierwszej chwili ani wiedziałem, kogo mam przed sobą, zacząłem jednak potrząsać tą rączką, kiwać głową, uśmiechać się i powtarzać: – A to dobre! a jakże! owszem! owszem! – jak człowiek, który nie chce okazać się niegrzecznym. Przypuszczam nawet, że miałem przy tym dość głupią minę, bo pani Śniatyńską rozśmiała się, potem zaś rzekła:

– Ależ pan jej naprawdę nie poznaje: Anielka P.

Anielka! moja kuzynka! Cóż dziwnego, że jej nie poznał! Widziałem ją przed dziesięciu czy jedenastu laty, w sukience po kolana. Przypominam sobie, że to było w Płoszowie, w ogrodzie; miała wówczas różowe pończoszki i komary ogromnie ją cięły po nóżkach, skut-

kiem czego tupiała jak konik. Jakże miałem teraz poznać, że ten gors ubrany fiołkami, że te białe ramiona, ta przystojna twarz o ciemnych oczach, słowem: że ta panna w całym rozkwicie – to tamta pliszka na cienkich nogach! O, jaka ładna! Ależ motyl wylął się z tej poczwarki! Oczywiście, powitałem ją po raz drugi i najserdeczniej. Potem, gdy Śniatyńscy odeszli, a ona powiedziała mi, że ciotka i matka przysłały ją po mnie, podałem jej ramię i poszliśmy razem w głąb sali.

Nagle zrobiło mi się w jednej chwili jasno w głowie. Oczywiście, że ciotka ma na celu Anielkę! Oto cała tajemnica, oto niespodzianka! Ciotka zawsze bardzo kochała tę dziewczynę i wiecznie gryzła się kłopotami majątkowymi pani P. Dziwno mi tylko było, że te panie nie stanęły w domu ciotki, ale nie chciałem się nad tym zastanawiać, bom wolał przyglądać się Anielci, która, jak łatwo zrozumieć, zaczęła mnie teraz w inny sposób interesować niż pierwsza lepsza panna. Po drodze miałem dość czasu i na rozmowę, i na egzamin, albowiem szliśmy na drugi koniec sali, a już tłok robił się coraz większy. Moda tegoroczna nakazuje nosić rękawiczki średnio długie, nie dochodzące do łokcia, spostrzegłem więc naprzód, że ramię Anielki, które wspierało się na moim, ma ciemnawy ton od pokrywającego je, zbyt może obfitego puszku. Aniela nie jest jednak brunetką, choć na pierwszy rzut oka robi wrażenie brunetki. Włosy jej przyświecają jak brąz. Oczy ma jasne, ale i one wydają się czarne z powodu niezmiernie długich rzęs; brwi jej natomiast są zupełnie czarne i istotnie prześliczne. Cechą charakterystyczną tej małej główki o niskim czole jest właśnie owa zbytnia bujność włosów, brwi, rzęs i puszku, który na bokach twarzy staje się delikatny jak pela i zupełnie jasny. Wszystko to razem wzięte może z czasem wyjść na niekorzyść jej piękności, obecnie jednak jest tak młoda, że oznacza to tylko jakąś żywotność i bujność organizmu i czyni z tej dziewczyny nie zimną lalkę, ale ciepłą, żywą i pełną ponęt kobietę.

Nie zapieram się, że jakkolwiek moje nerwy są wybredne i nie poczynają grać z lada powodu, odczułem te ponęty doskonale. To mój typ. Ciotka, która, jeśli słyszała o Darwinie, to zapewne uważa go za jakąś „paskudną” głowę – zastosowała się mimowolnie do jego teorii naturalnego doboru. Tak! to mój typ! Tym razem nie lada przynętę osadzono na haczyku.

Jakieś prądy elektryczne poczęły przebiegać z jej ramienia po moim. Widziałem zresztą, że i ja robię na niej korzystne wrażenie, a to zawsze ożywia. Egzamin, który czyniłem jako artysta, wypadł równie pomyślnie. Są twarze, które wydają się jak przekład z muzyki lub poezji na ludzkie rysy. Do takich właśnie należy twarz Anielki. Nie ma w niej pospolitości. Dziewczynom ze szlacheckich domów wychowanie zaszczenia tak skromność, jak się dzieciom szczepi ospę – jest w niej więc i ten wyraz, jest coś niewinnego, a spod tej niewinności widać gorący temperament. Co za połączenie! To jakby ktoś powiedział: niewinny diabeł!

Przypuszczam zresztą, że przy całej niewinności Anielka może być trochę kokietką; zauważyłem zaraz, że posiada zupełną świadomość swych ponęt. Oto wiedząc, na przykład, że ma prześliczne rzęsy, spuszcza je co chwila na oczy bez koniecznej potrzeby. Ma także bardzo miły sposób podnoszenia głowy i patrzenia na mówiącego. Z początku rozmowy była trochę sztuczna, bo onieśmielona, ale po chwili już byliśmy tak, jak gdybyśmy się nigdy od owych płoszowskich czasów nie rozstawali.

Ciotka jest nieoceniona ze swoimi dystrakcjami – tylko spiskować bym z nią nie chciał. Ledwieśmy z Anielką przyszli do tych pań, ledwie zdołałem powitać jej matkę i przemówić z nią kilka słów, gdy ciotka widząc moje ożywienie rozpromieniła się w oczach, następnie ruszyła ramionami i zwróciwszy się do matki Anielki, rzekła głośno:

– Ślicznie jej w tych fiołkach! Ha! może to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczyć!...

Matka Anielki zmieszała się bardzo, Anielka również, a ja zrozumiałem, dlaczego te panie nie zajęły do domu ciotki. Był to widocznie pomysł pani P. Ona i ciotka musiały prowadzić już od dawna jakieś układy. Przypuszczam, że Anielka nie była wprost do nich dopuszczona, ale dzięki panińskiej przenikliwości w takich razach, mogła się ich domyślać.

Więc żeby położyć koniec ogólnemu zakłopotaniu, zwróciłem się do niej i powiedziałem:  
– Z góry cię ostrzegam, że źle tańczę, ale będą mi cię co chwila porywali, zatem daruj mi jednego walca.

Anielka w odpowiedzi podała mi karnet i rzekła rezolutnie:

– Zapisz, co chcesz.

Ja wyznaję, że nie lubię roli manekina, którego się pociąga za sznurki, nie lubię być popychanym do czegoś; więc chcąc od razu zająć jakąś rolę czynną W polityce starszych pań, wziąłem karnet i napisałem: „Czyś zrozumiała, że nas chcą żenić?”

Anielka przeczytawszy zmieniła się na twarzy, a następnie nieco przybladła. Przez chwilę milczała, jakby nie była pewna, czy jej głos dopisze, lub jakby wahając się, co ma odpowiedzieć; wreszcie podniosła swoje śliczne rzęsy i spojrzawszy mi prosto w oczy, odrzekła:

– Tak!

Ale teraz ona zaczęła pytać, wprawdzie nie słowami, jeno wzrokiem. Powiedziałem już, że zrobiłem na niej także korzystne wrażenie, a przy tym, skoro się domyślała układów, to musiała mieć napełnioną myśl mną. Toteż teraz czytałem wyraźnie w jej oczach słowa:

– Wiem, że mama i ciotka życzą sobie, byśmy się poznali, zbliżyli, więc... więc?

Więc zamiast odpowiedzi otoczyłem ręką jej stan, przygarnąłem ją z lekka do siebie i poprowadziłem do walca. Przypomniały mi się moje „godziny sali”.

Taka niema odpowiedź mogła trochę rozmarzyć dziewczynę, której już poprzednio zaimponowało to, co napisałem w karnecie. Ale myślałem sobie: dlaczego bym jej nie miał trochę rozmarzyć? W żadnym razie nie pójdę dalej, niż chcę, a gdzie ona zajdzie, to mnie jeszcze mało obchodzi. Anielka doskonale tańczy, a tego walca tańczyła tak właśnie, jak kobieta powinna walca tańczyć, to jest z pewnym zapamiętaniem się i oddaniem tancerzowi. Uważałem, że fiołki na jej gorsie poruszają się żywiej, niżby to dało się usprawiedliwić powolnym zresztą tempem. Rozumiałem, że się w niej coś poczyna. Kochanie jest po prostu potrzebą fizyczną, hamowaną wprawdzie najstaranniej w pannach należących do wyższych warstw towarzyskich, ale niemniej nieprzepartą. Toteż, gdy dziewczynie powiedzą: Tego wolno ci kochać – bywa nieraz, że dziewczyna korzysta z pozwolenia bardzo skwapliwie.

Anielka widocznie spodziewała się, że skoro raz zdobyłem się na to, co napisałem w karnecie, to po walcu nastąpi o tym rozmowa w dalszym ciągu. Ale ja umyślnie usunąłem się zaraz na bok, by ją zostawić w oczekiwaniu.

Chciałem także przypatrzeć się jej z pewnej odległości. Stanowczo to mój typ. Tego rodzaju kobiety ciągną mnie po prostu jak magnes. Ach, żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!

*Warszawa, 30 stycznia.*

Te panie przeniosły się do nas. Wczoraj cały dzień byłem z Anielką. Ma ona więcej stronic w duszy, niż miewają zwykle panny w jej wieku. Wiele z tych stronic przyszłość dopiero zapisze, ale jest miejsce na bardzo piękne rzeczy. Odczuwa i rozumie wszystko, a przy tym słucha nieporównanie, skupiając się i otwierając szeroko swe rozumne oczy na mówiącego. Kobieta, która umie słuchać, posiada jeden więcej sposób podobania się, bo pochlebia przez to miłości własnej mężczyzny. Nie wiem, czy Anielka ma świadomość tego, czy tylko szczęśliwy instynkt kobiecy. Być może także, że tyle nasłuchiwała się o mnie od ciotki, że każde słowo moje uważa za wyrocznię. Ma ona jednak trochę kokieterii. Dziś na pytanie moje: czego by sobie najmocniej w życiu życzyła? – odpowiedziała: „Zobaczyć Rzym” – przy czym opuściła swoje frędzliste powieki na oczy i była nieopisanie ładna. Widzi to doskonale, że mi się podoba, i jest z tego powodu szczęśliwa. Jej kokieteria jest śliczna, bo płynie z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu. Nie mam już najmniejszej wątpliwości, że ta dusza leci ku mnie jak ćma ku światłu. Biedne dziecko, czując zgodę star-

szych, korzysta z niej aż nadto skwapliwie. Proces ten można obserwować z godziny na godzinę.

Ja powinienem sobie może postawić pytanie: jeśli się nie chcesz żenić, to czemu czynisz wszystko, żeby tę dziewczynę rozkochać? Ale mi się nie chce odpowiadać na to pytanie. Tak mi jest dobrze i zacisznie! A właściwie mówiąc: co ja takiego czynię? Nie staram się wydać głupszym ani mniej uprzejmym, ani antypatyczniejszym, niż jestem – oto wszystko.

Anielka przyszła dziś na ranną kawę w jakiejś przestronnej, marynarskiej bluzce w paski, pod którą można się było tylko domyślać jej kształtów, ale można też było głowę stracić dzięki takim domysłom. Miała oczy trochę zaspane, a w sobie jakieś ciepło snu. Coś bajecznego, jakie ona robi na mnie wrażenie.

31 stycznia.

Ciotka wydaje wieczór dla Anielki. Chodzę z wizytami. Byłem u Śniatyńskich i siedziałem długo, bo mi jest u nich dobrze. Śniatyńscy żyją w ciągłej niezgodzie z sobą, ale zupełnie innej, niż zwykle żyją małżeństwa. Pospolicie tak bywa, że jak jest jeden płaszcz, to każde ciągnie go dla siebie, między nimi zaś jest spór o to, że on jej chce cały oddać, a ona jemu. Lubię ich ogromnie, bo dopiero u nich przekonywam się, że szczęście może być rzeczą nie tylko książkową ale zupełnie realną. On przy tym jest bystry człowiek, wrażliwy jak skrzypce Stradivariusza i posiada pełną świadomość swego szczęścia. Chce go i ma. Tego mu zazdrościć. Rozmowa z nim była zawsze dla mnie przyjemna. Dali mi doskonałej czarnej kawy – tylko chyba u literatów pija się podobną – i poczęli się wypytywać, jak mi się wydaje Warszawa i swoi po tak długiej niebytności. Były pytania i o ostatnią zabawę, zwłaszcza ze strony pani Śniatyńskiej, bo ona się trochę ciotczyńskich zamiarów domyśla, a że pochodzi z Wołynia, to jest z tych samych stron co Anielka, i Anielkę zna dobrze, więc rada by wścibić swój różowy nosek w tę sprawę.

Oczywiście unikałem rzeczy osobistych, ale dużo mówiliśmy o naszym towarzystwie w ogóle. Powiedziałem, co myślę o wytworności tego towarzystwa, że zaś Śniatyński, mimo iż sam nieraz ostro krytykuje swoje społeczeństwo, chciwy jest aż do szowinizmu na wszelką dla niego pochwałę, więc wpadł w doskonały humor i zaraz począł przytakiwać.

– Lubię – rzekł w końcu – słyszeć podobne rzeczy z takich ust jak twoje, bo jeśli kto, to ty miałeś naprzód sposobność porównywać, a po wtóre jesteś raczej pesymistą.

– Nie wiem, mój kochany! – odrzekłem – czy i ten mój sąd nie jest pesymistyczny.

– Nie rozumiem dlaczego?

– Bo widzisz, na każdej kulturze tak wyrafinowanej możesz napisać to, co się pisze na pakach ze szkłem lub porcelaną; *Fragile!* Tobie, który duchowo pochodzisz z Aten, mnie i dzieciątemu, dobrze i miło jest żyć z ludźmi mającymi tak wydoskonalone nerwy; ale jeśli chcesz coś na tej podstawie budować, to cię ostrzegam, że ci belki na głowę zlecą. Czy myślisz, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w walce o byt z ludźmi mającymi tęgie nerwy, grube mięśnie i grubą skórę?

Śniatyński, który jest bardzo żywy, zerwał się, zaczął chodzić po pokoju, a potem napadł na mnie z wielkim impetem:

– To jedna strona, i strona dodatnia, jak sam przyznajesz, nie myśl jednak, żeby w nas nic więcej nie było. Ty przyjeżdżasz z morza, a mówisz, jakbyś tu życie spędził.

– Ja nie wiem, co jest w was, ale to wiem, że nigdzie na świecie nie ma takiego braku równowagi w kulturze klas społecznych jak tu. Z jednej strony wykwit albo może i przekwit kultury, z drugiej strony absolutne barbarzyństwo i ciemnota.

Poczęliśmy się kłócić i zmrok zapadł, nim od nich wyszedłem. On mi powiedział, że jeśli będę częściej do niego przychodził, to się obowiązuje pokazać mi pośrednie ogniwa, które nie są ani przerafinowane, ani chore na dyletantyzm, ani też ciemne jak tabaka w rogu, słowem:

ma mi pokazać tęgich ludzi, którzy coś robią i wiedzą, czego chcą. Gadaliśmy jeden przez drugiego, tym bardziej że po kawie wypiliśmy po kilka kieliszków koniaku. Gdym już wyszedł, Śniatyński krzyczał jeszcze za mną na schodach:

– Z takich jak ty już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczej musicie wszyscy pierwiej pobankrutować, bo inaczej i wnuki wasze nie wezmą się do żadnej roboty!

Myślę jednak, że na ogół ja miałem słuszość. Zapisuję właśnie dlatego tę rozmowę, ponieważ od przyjazdu nieustannie myślę o tym braku równowagi. Faktem jest, że u nas klasy społeczne dzieli przepaść, wobec której wszelkie j porozumienie się, wszelkie zgodne działanie jest zupełnie niemożliwe. Śniatyński sam musi się zgodzić, że składamy się z ludzi pod pewnym względem przycywilizowanych i zgoła nieucywilizowanych. Tak ja przynajmniej widzę! Wyroby sewrskie i surowa glina – nic w pośrodku. Jedno *très fragile* – drugie Owidiuszowa *rudis indigestaque moles*. Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzej, później się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jej się podoba.

2 lutego.

Wczoraj odbył się u nas wieczór tańczący; Anielka istotnie zwracała wszystkie oczy. Jej białe ramionka wyglądały z osłon gazy, iluzji – i bo ja tam wiem z jakich jeszcze materiałów! – jak ramiona Wenus wychylającej się z piany morskiej. Rozniosło się już po Warszawie, że się z nią żenię. Uważałem, że Anielka wczoraj przy każdym zawrocie tańca wodziła za mną oczyma i słuchała z dystrakcją tego, co je tancerze mówili. Biedne dziecko, tak nie umie nic ukryć, tak okazuje wszystko, co ma w sercu, że ślepy by chyba tego nie spostrzegł. A takie to względem mnie pokorne, takie ciche, takie szczęśliwe, gdy się zbliżam! Zaczynam ją lubić bardzo i zaczynam słabnąć. Śniatyńskim tak przecie dobrze ze sobą! Nie po raz pierwszy przychodzi mi zadać sobie pytanie: czy Śniatyński jest , głupszy, czy też mądrzejszy ode mnie? Ja ze wszystkich zadań życiowych nie rozwiązałem żadnego, jestem niczym; sceptycyzm trawi mnie, nie jestem szczęśliwy, a czuję się znużony. On nie ma mniej świadomości ode mnie, przy tym pracuje; ma przystojną żonę, ale ma, bestia, jakąś filozofię życiową, która szczęście jego popiera. Stanowczo ja jestem głupszy. Kluczem do filozofii Śniatyńskiego są jego dogmaty życiowe. Jeszcze przed ożenieniem mówił mi: Jest jedna rzecz, do której nie zbliżam się ze swoim sceptycyzmem, której nie krytykuję i nie będę: jako dla literata – dogmatem dla mnie jest społeczeństwo; jako dla człowieka prywatnego – kochana kobieta. Ja wówczas myślałem sobie: jednak mój umysł jest śmielszy, skoro nie cofa się przed rozbiorem i takich uczuć. Ale dziś widzę, że ta śmiałość nie doprowadziła mnie do niczego. Z drugiej strony: on taki śliczny, ten mój długorzęsy dogmacik. Stanowczo słabnę. Ten jakiś nadzwyczajny pociąg, jaki mam do niej, nie da się wytłumaczyć samym prawem naturalnego doboru. Nie! jest w tym coś więcej – i wiem nawet co. Oto ona zakochała się we mnie tak świeżym i pocziwym uczuciem, jakim mnie nikt nie kochał. O, jakież to inne od owych „godzin sali”, podczas których zadawałem i parowałem ciosy! Kobieta, która się mocno podoba, a sama mocno kocha, jeśli tylko wytrwa, może być pewna wygranej. „Zabłąkany ptak”, jak się wyraża Słowacki, wróci niechybnie do niej, jak do swej ciszy, do swego pokoju, i wróci tym skwapliwiej, im mu samotniej i ciężiej będzie w zabłąkaniu. Nic tak nie zjednywa, nie ujmuje, nie ciągnie męskiego serca, jak gdy czuje, że jest kochane. Kilka stronic temu napisałem Bóg wie co o Polkach, ale jeśliby kto myślał, że dla jednej marnej stronicy lub ze strachu przed zarzutem niekonsekwencji nie zrobię tego, co będę uważał w danym razie za lepsze, to by się grubo mylił.

Jak ta dziewczyna zadawalnia mój zmysł artystyczny, to coś nadzwyczajnego! Po skończonym balu nastąpiła najmiłsza chwila, gdyśmy po odjeździe wszystkich kazali sobie przynieść herbaty do salonu i zasiedli do niej we czworo. Ja, chcąc zobaczyć, co się dzieje na

dworze, podszedłem do okna i odsunąłem nieco portierę. Była już ósma rano, więc przez szyby wpadło nagle światło dzienne, które przy blasku lamp wydało się tak szafirowe, ażem się zdumiał. Alem się jeszcze bardziej zdumiał, gdym zobaczył w tych szafirach Anielkę. Miałem zupełnie to wrażenie, jakby była w grocie błękitnej na Capri. Co za tony były na jej obnażonych ramionach! I cóż robić, ale taka już jest moja natura, taka wrażliwość, że w tej chwili zesłałem do reszty i że Anielka tak mnie chwyciła tym za serce, jakby to była jej zasługa. Długo i zupełnie inaczej niż dotychczas ucisnąłem jej rękę na dobranoc, a ona nie cofając tej rączki, odpowiedziała:

– Dzień dobry, nie dobranoc, dzień dobry!

Ale albowm zupełnie ślepy, albo muzyka tego głosu mówiła na równi z oczami dziewczyny:

– Kocham, kocham!

Prawie że i ja.

Ciotka, patrząc na nas, wydaje głuchy pomruk radości. Widziałem, że miała łzy w oczach.

Wyjeżdżamy do Płoszowa.

*Płoszów, 5 lutego*

Drugi dzień już jesteśmy na wsi. Mieliśmy pyszną drogę. Pogoda, mróz! Śnieg skrzypiał pod płozami i skrzył się na polach. Pod zachód słońca te ogromne białe płaszczyzny nabrały odbłasku zupełnie fioletowego. W lipach pod Płoszowem tłukły się z wielkim krakaniem stada wron. Zima, mocna zima u nas – to jednak piękna rzecz. Jest w niej jakaś siła i powaga, a przede wszystkim szczerść. Równie jak szczerzy przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta. Ale za to jej rzeškość udziela się ludziom. Wszyscyśmy byli zadowolnieni, że jedziemy na wieś. Prócz tego, starsze panie były rade, że ich najdroższe chęci mają się ku spełnieniu; ja byłem rad, bo wyczuwałem ramieniem ramię siedzącej obok mnie Anielki; ona zaś, być może, iż z tego samego powodu czuła się szczęśliwa. Parę razy, pochyliwszy się, ucałowała ciotki ręce – ot, tak sobie, z nadmiaru radości. Bardzo jej ładnie było w jakimś puszystym boa i w futrzanej czapeczce, spod której ledwie wyglądały jej ciemne oczy, prawie jeszcze dziecinne, i twarz z policzkami wyszczypanymi na różowo od mrozu. Młodość aż bije od niej.

Dobrze w tym Płoszowie i zacisznie. Lubię zwłaszcza ogromnie staroświeckie kominki. Ciotka strzeże lasów jak oka w głowie, ale paliwa nie żałuje, więc od rana do wieczora pali się na tych kominkach; płomień huczy, strzela i daje myśl wesołą. Przez całe poobiedzie siedzieliśmy wczoraj opodal ognia. Opowiadałem dużo o Rzymie i jego zabytkach, a słuchano mnie z takim namaszczeniem, że ażem się sam sobie wydawał śmieszny. Ciotka, gdy opowiadam, nie spuszcza oczu z Anielki badając z pewną surowością nawet, czy twarz jej wyraża należyty zachwyty. Ale jest go tam aż nadto. Wczoraj powiedziała mi:

– Kto inny mógłby tam całe życie mieszkać i nie dostrzec połowy tych piękności, które ty widzisz.

Ciotka natychmiast dodała z dogmatycznym spokojem:

– Ja zawsze to samo mówiłam.

Dobrze, że nie ma tu drugiego takiego sceptyka jak ja, bo obecność jego wprawiałaby mnie w zakłopotanie.

Pewnym rozdzwinkiem między nami jest matka Anielki. Tyle w życiu przeszła, tyle się nakłopotowała, że wesołość jej została raz na zawsze zwarzona. Ona się po prostu boi każdej przyszłości i bezwiednie podejrzewa, że nawet pomyślność ukrywa jakąś zasadzkę. Była z mężem ogromnie nieszczęśliwa, później przechodziła tysiące zmartwień z powodu majątku, który jest duży, ale w złym stanie. W dodatku ciągle miewa migreny.

Anielka zdaje się należeć do kategorii kobiet liczniejszej u nas, niżby kto myślał, których z powodu majątku nigdy głowa nie zaboli.

Lubię ją za to, bo to dowodzi bądź co bądź wyższych zamiłowań. Zresztą, teraz mnie w niej wszystko zachwyca. Tkliwość wyrasta tak szybko na gruncie pociągu zmysłów jak trawa po ciepłym deszczu. Dziś rano zobaczyłem na korytarzu pannę służącą niosącą suknię i trzewiki Anielki – i – zwłaszcza te trzewiki tak mnie rozczuliły, jakby posiadanie i noszenie ich było koroną wszystkich cnót Anielki.

W ogóle my mężczyźni jesteśmy ogromnie słabi. Trzymam rękę na własnym tętnie i badam postęp tej uczuciowej gorączki. Puls już bardzo szybki.

*Płozów, 8 lub 9 lutego.*

Ciotka wróciła już do zwykłej wojny z panem Chwastowskim. Jest to tak oryginalne przyzwyczajenie, że doprawdy warto jeden z takich sporów opisać. Ciotce stanowczo potrzeba kłótni li tylko dla nabrania apetytu, Chwastowski zaś, który, mówiąc nawiasem, administruje wybornie Płozowem, jest to szlachcic z saletry i siarki, nie pozwalający sobie nikomu w kaszę dmuchać, więc kłótnie ich dochodzą do wielkiej zawziętości. Już przyszedłszy do sali jadalnej, poczynają rzucać na siebie złowrogie spojrzenia: pierwszą włócznię przy zupie ciska zwykle ciotka, zaczynając tak na przykład rozmowę:

– Nie pamiętam, odkąd proszę pana Chwastowskiego, żebym się mogła dowiedzieć czegoś o oziminach, a pan Chwastowski jak naumyślnie o wszystkim mówi, tylko nie o tym.

– Pani hrabino, z jesieni wschodziły dobrze, a teraz dwa łokcie śniegu leży, co ja mogę wiedzieć? Nie jestem Panem Bogiem.

– Niech pan Chwastowski nie wzywa imienia Pana Boga nadaremno.

– Ja mu pod śnieg nie zaglądam, więc go i nie obrażam.

– To może ja obrażam?

– A pewnie!

– Pan Chwastowski jest nieznośny!

– Oj, znośny, znośny, bo dużo znosi!

W ten lub podobny sposób śruba idzie do góry. Rzadki obiad, żeby sobie przynajmniej nie przymówili kilkakrotnie. Ciotka milknie w końcu i je zapalczywie, jakby chciała swój gniew spędzić na potrawy. Rzeczywiście ma dobry apetyt. Ale w miarę potraw humor jej się poprawia i stopniowo przechodzi w wyśmienity. Teraz, gdy ja podaję po obiedzie ramię matce Anielki, ciotce podaje pan Chwastowski i idą na czarną kawę w najlepszej zgodzie. Ciotka wypytuje go o synów, on zaś całuje ją po rękach. Naprawdę lubią się i szanują. Synów pana Chwastowskiego widywałem, kiedy byli jeszcze w uniwersytecie. Mają to być tęgie chłopaki, ale ogromne radykały.

Anielcia przestraszała się z początku trochę tej obiadowej wojny. Wytłumaczyłem jej, co to jest, i teraz, gdy się spór zaczyna, spogląda na mnie ukradkiem spod swoich długich rzęs, uśmiecha się kącikami ust – i wygląda przy tym tak, że chciałoby się ją schrustać. U żadnej w życiu kobiety nie widziałem takich po prostu alabastrowych skroni i takich żyłek na skroniach.

*12 lutego.*

Istne metamorfozy Owidiusza i na świecie, i we mnie. Mróz zelżał, pogoda się skończyła, ciemności panują egipskie. Nie mogę lepiej opisać tego, co się dzieje na dworze, jak gdy powiem, że czas jest zgniły. Jednak to jest okropny klimat. W Rzymie, w czasie największej niepogody, jeszcze dziesięć razy na dzień pokaże się słońce; tu zaś od dwóch dni należałoby w pokojach od rana do wieczora lampy palić. Ta czarna i ciężka wilgoć przenika do myśli, maluje je na czarno i zarazem przygniata. Na mnie działa to fatalnie. Ciotka z Chwastowskim

kłócili się dziś więcej niż kiedykolwiek. Chwastowski utrzymywał, że ciotka nie pozwalając tknąć lasów, niszczy je, bo starodrzew marnieje; ciotka zaś odpowiada, że i bez jej pomocy dosyć u nas wycinają lasów... „Ja się starzeję, niech się i las starzej!” Przypomina mi to jednego szlachcica, który, mając duży majątek w najlepszych ziemiach, nie uprawiał nigdy więcej jak tyle, „co pies obszczeka”.

Ale mniejsza z tym! Ogromną przykrość wyrządziła mi niechcący matka Anielki. Zaczęła mi dziś w oranżerii opowiadać z pewną macierzyńską, ale nieestetyczną chępliwością, jak o Anielkę starał się znajomy mój, Kromicki. Było mi tak, jakby mi ktoś drzazgę wyjmował zębem od widelca. Tak samo, jak owo błękitne światło rozczuliło mnie dla Anielki, choć nie było jej zasługą, tak te zaloty Kromickiego ostudziły mnie dla niej, choć nie były jej winą. Tę małpę, Kromickiego, znam od lat kilku i nie lubię jej. Pochodzi on ze Śląska austriackiego, gdzie kiedyś podobno Kromiccy posiadali ogromne nadania. W Rzymie rozповідаł, że jego rodzina nosiła jeszcze w XV wieku tytuł hrabiowski – i zapisywał się w hotelach *Graf von Kromicky*. Gdyby nie czarne małe oczki, świecące jak dwa ziarnka upalanej kawy, i także czupryna, wyglądałby jak człowiek wycięty ze skórki od sera po obiedzie, bo ma cerę takiego właśnie koloru. Przy tym podobny jest do trupiej głowy. We mnie budził po prostu fizyczny wstręt. Fi! jak mi to popsulo Anielkę. Wiem doskonale, że ona za Kromickiego i jego zamiary nie może odpowiadać, ale jednak popsulo mi to ją bardzo.

Nie rozumiem, dlaczego matka jej opowiadała mi o tym tak obszernie, bo jeśli to miało być dla mnie ostrogą, to zupełnie chybiło celu. Ona ma swoje ogromne przymioty, ta pani P., skoro potrafiła dać sobie rady z tyloma kłopotami i jeszcze wychować tak córkę, ale jest niezręczna i nudna ze swoimi migrenami i makaronizmami.

– Ja przyznaję się – mówiła mi – że byłam za tym. Czasem upadam pod brzemieniem kłopotów; ja jestem kobieta, która się na interesach nie zna, a która, jeśli je trochę poznała, to kosztem sił, zdrowia i dlatego, że chodziło o dziecko. Kromicki jest bardzo obrotny. On ma ogromne interesa w Odessie i robi jakieś dostawy i jakieś spekulacje na nafcie w Baku... *que sais-je!* Ale to mu podobno przeszkadza, że nie jest tutejszy poddany. Otóż myślałam sobie, że gdyby się ożenił, to by oczyścił majątek Anielki, a zarazem postarałby się o zmianę poddaństwa z racji objęcia tego majątku.

– A Anielka? – spytałem zniecierpliwiony.

– Anielka, widziałam, że nie ma do niego wielkiego pociągu, ale to takie dobre dziecko! Przy tym w razie mojej śmierci pozostałaby bez opieki, więc...

Nie wypytywałem dalej, bo mnie to drażniło więcej, niż umiem powiedzieć, i chociaż rozumiem, że jeśli małżeństwo nie doszło do skutku, to jedynie przez Anielkę, jednak mam jakiś żal do niej, że pozwoliła patrzeć na siebie takiej obrzydliwej figurze, a zwłaszcza że mogła się przez jedną sekundę wahać.

Dla mnie byłaby to kwestia nerwów. Zapominam tylko jednej rzeczy, że nie każdy ma takie nerwy jak ja i że Kromicki, mimo swej bibulastej cery i mimo podobieństwa do trupiej głowy, uchodzi między kobietami za przystojnego.

Ciekawym, co on za „afery” robi. Zapomniałem się spytać, czy jest w Warszawie, choć może być, że jest, bo on tu podobno co zima przyjeżdża. Co do tych jego interesów, powiem tylko: mogą one być świetne, wątpię jednak, czy wspierają się na trwałej i niewzruszonej podstawie. Ja nie jestem żaden spekulant i nie potrafiłbym poprowadzić żadnego giełdowego interesu, ale mam ten spryt, że wiem o tym. Jestem przy tym człowiekiem, który dużo obserwuje i dość łatwo wyprowadza wnioski. Owóż nie wierzę w naszych szlachciców mających niby genialne głowy do spekulacji. Obawiam się, że obrotność Kromickiego nie jest zdolnością odziedziczoną lub wrodzoną, tylko newrozą, która poszła w tym kierunku. Widziałem podobne przykłady. Wyradza się czasem ni stąd, ni zowąd szlachcic-spekulant; czasem bywa nawet, że mu z początku sprzyja ślepe szczęście i że szybko robi majątek... Ale nie widziałem ani jednego, który by przed śmiercią nie zbankrutował.



Takie uzdolnienia albo się dziedziczy, albo się nabywa poczynając od a, b, c. Chłopaki Chwastowskiego może sobie dadzą rady, bo ojciec stracił wypadkowo wszystko i oni zaczynają od abecadła. Ale kto z gotowym majątkiem, bez tradycji handlowej, bez fachowej znajomości rzuca się na to – ten musi szyję złamać. W szlachcicach jest to, powtarzam, pieniądze newrozą. Spekulacja nie może polegać na złudzeniach, a ile tam w tych szlacheckich spekulacjach jest ułudy, to Bóg jeden wie.

Zresztą życzę panu „von Kromicky” szczęścia.

14 lutego.

*Pax! pax! pax!* Już to przykre wrażenie minęło. Jak ona jednak wyczuwa wszystko, ta Anielka! Udawałem dobry humor, chociażem go nie miał, w postępowaniu moim z nią był ledwie cień cienia różnicy, a jednak i pochwyciła to, i odczuła. Dziś przy przeglądaniu albumów, gdyśmy zostali sami, jak zresztą często zostajemy, bo nam umyślnie nie przeszkadzają, zaczęła czegoś mieszać się, mienić. Zrozumiałem w lot, że mi chce coś powiedzieć i waha się, i boi. Przez chwilę przyszła mi do głowy szalona myśl, że ona mi robi wyznanie. Ale wnet przypomniałem sobie, że mam do czynienia z Polką. Taka polska smarkata, czyli, jeśli kto woli, takie królewiatko, pierwej umrze, niż pierwsze wyzna, że kocha. Łaska, jeśli zapytana wyjąka: Tak! Zresztą Anielka wyprowadziła mnie z błędu, bo nagle zamknęła album i zacinając się nieco ze zmieszania, spytała:

– Co tobie jest, Leonie? Bo tobie coś jest, prawda?

Począłem ją zapewniać, że mi nic nie jest, i śmiać się, i uspokajać, ale ona, kręcąc główką, mówiła dalej:

– Od dwóch dni widzę, że ci coś jest. Wiem, że takiego człowieka jak ty może byle co zrazić... i tak już rachowałam się z sumieniem, czy ja nie dałam jakiego powodu, czy czego nie powiedziałam, ale...

Tu jej troszkę głos zadrżał, spojrzała mi jednak w oczy.

– Ja ci nic nie zrobiłam złego?... prawda?

Była chwila, że miałem na języku: Jeśli mi czego brakuje, to chyba ciebie, moja Anielko najdroższa! – ale jakiś strach, jak mówi Homer, pochwycił mnie za włosy. Nie strach przed nią, tylko przed tą klamką, która mogła zapaść. Wziąłem jednak jej rękę, pocałowałem ją i powiedziałem, jak mogłem najwesielej:

– Jesteś poczciwe i kochane stworzenie, o mnie zaś nie troszcz się, bo mi nic a nic nie jest... Prócz tego, ty jesteś gościem w Płoszowie i ja to powinienem się troszczyć, żeby ci było dobrze!

Tu znowu ucałowałem jej łapkę, a nawet tym razem obie. Wszystko to można było jeszcze od biedy policzyć na karb uprzejmości krewnego – i natura ludzka jest tak nędzna, że świadomość tego, ta furtka, za którą się można było w danym razie schować, dodawała mi otuchy. Nazywam to poczucie nędznym dlatego, że mi żadna inna odpowiedzialność, jak przed sobą samym, nie grozi, a siebie przecie nie oszukam. Zresztą czuję, że nie będę odpowiadał nawet przed sobą samym, bo zmysły prowadziły mnie zawsze, dokąd same chciały, a w stosunku do Anielki jestem zupełnie pod ich władzą. Czuję ustami jeszcze w tej chwili rozkosz dotknięcia jej ręki – i to są pragnienia po prostu bez granic. Prędzej-później sam zatrasnę tę furtkę, przez którą dziś jeszcze mógłbym uciec w pole. Ale czy istotnie mógłbym jeszcze? Tak, gdyby mi coś z zewnątrz pomogło.

Tymczasem ona najwidoczniej kocha mnie. Wszystko mnie popycha ku niej.

Dziś postawiłem sobie w ten sposób pytanie: Jeśli to rzecz nieunikniona, dlaczego zwłóczę?

Znalazłem taką odpowiedź: nie chcę, by mi cośkolwiek przepadło z tych wzruszeń, z tych drgnięć, z tych wrażeń, z tego uroku, jaki mają nieudomówione słowa, pytające spojrzenia,

oczekiwanie. Chcę mój romans wysnuć do końca. Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie. Ale gdy człowiek jest już starszy, to mu o takie rzeczy chodzi. Nieraz także już spostrzegłem, że przy pewnym stopniu wyrafinowania nerwowego my, mężczyźni, mamy kobiece charaktery. Ja obok tego jestem trochę epikurejczykiem w uczuciu.

Po rozmowie z Anielką, którą przytoczyłem poprzednio, wpadliśmy oboje w wyśmienite usposobienia. Wieczorem pomagałem jej wystrzygać abażury, bo przy tym mogłem dotykać jej rąk i sukni. Przeszkadzałem jej umyślnie w tej robocie, ona rozbawiła się jak dziecko i udając dziecko, zwracała się czasem do ciotki, mówiąc tym jednostajnym a prędkim głosem, jakim skarżą się małe dziewczynki

– Ciociu, Leon dokucza!

*21 lutego.*

Licho poniosło mnie do Warszawy na męskie zebranie do radcy S. Radca S. stara się usilnie zgromadzać u siebie przedstawicieli wszystkich obozów, aby za pomocą herbaty i tartynek ułatwić porozumienie się, choć właściwie mówiąc, sam zapewne dobrze nie wie, na czym to porozumienie ma polegać. Ja, jako człowiek mieszkający prawie stale poza krajem, przyjechałem na owo zebranie, aby poznać, co też się dzieje w głowach tutejszych, i przysłuchać się, jak one rozumują. Było tłumno i wskutek tego nudno, a zarazem działo się to, co się zwykle dzieje na zbyt tłumnych zebraniach. Oto ludzie jednakich sposobów myślenia zbierali się w kółka w osobnych pokojach, tam sobie mówili o rzeczach, które ich obchodzą, tam sobie świadczyli wzajemnie, oddawali słusność itp.

Poznałem wielu radców tutejszych i przedstawicieli prasy. Za granicą wielka jest różnica między pisarzem a dziennikarzem. Pierwszego uważają za artystę i myśliciela, drugiego za procederystę (nie umiem tego inaczej nazwać). Tu różnica ta nie istnieje i ludzi z obu tych kategorii chrzczą jednym wspólnym mianem: literat. Większość też z nich zajmuje się i dziennikarstwem, i literaturą. Osobiście są powszechnie porządniejszymi ludźmi od dziennikarzy zagranicznych. Nie lubię prasy i uważam ją za jedną z plag trapiących ludzkość. Szybkość, z jaką zaznajamia ludzi z wypadkami, równoważy się pobieżnością informacji, a nie wynagradza tego niesłuchanego zbałamucenia opinii publicznej, jakie każdy, kto się nie uprzedza, musi dostrzec. Dzięki gazetom zanikł ten zmysł, na mocy którego ludzie odróżniali prawdę od fałszu, zanikło poczucie słusności, poczucie prawa i bezprawia, zło stało się bezczelnym, krzywda poczęła przemawiać językiem sprawiedliwości, słowem – ogólna dusza ludzka stała się niemoralna i oślepla.

Był też między innymi na tym zebraniu Stawowski, którego uważają za najlepszą głowę w obozie skrajnie postępowym. Mówił jak człowiek zdolny, ale zarazem chory na dwie choroby: na wątrobę i na własne ja. Nosi on to swoje ja jak szklanekę pełną wody – i ciągle zdaje się mówić: „Ostrożnie, bo się rozleje!” Ten strach udziela się przez sugestię otoczeniu do tego stopnia, że nikt nie śmie przy nim być innego zdania. Powaga jego polega także na tym, że wierzy w to, co mówi. Tego człowieka niesłusznie mają ze sceptyka. Przeciwnie, jest to temperament, jaki musieli mieć dawniejsi fanatycy. Stawowski, gdyby się urodził sto kilkadziesiąt lat temu i zasiadał w trybunale byłby tak samo skazywał ludzi za bluźnierstwa na wyrwanie języka przez kark, jak to czyniono wówczas. Dziś podstawilo się w ten fanatyzm co innego – dziś wypełnił się nienawiścią do tego, co byłby dawniej kochał, ale zresztą pozostał taki sam.

Co zauważyłem, że nasi konserwatyści otaczali Stawowskiego, mniejsza że z ciekawością, ale z pewną czujną kokieteryą. U nas, a może i wszędzie, partia ta mało ma odwagi. Każdy zbliżał się do Stawowskiego z oczyma słodkimi jak figi i z frazesem jakby wymalowanym na czole. „Jakkolwiek jestem, panie, konserwatystą, jednakże...” I to j e d n a k ż e było bramą

jakiejs skruchy, a zarazem i wszelkiego rodzaju ustępstw. Było to tak wyraźne, że gdy ja, który jestem sceptykiem względem wszystkich obozów, począłem się sprzeczać ze Stawowskim, nie jako przedstawiciel czegokolwiek, ale po prostu jako człowiek, który w danym wypadku jest innego zdania, moja zuchwałość wzbudziła pewien podziw. Chodziło o klasy tak zwane wyzyskiwane. Stawowski jał się rozwodzić nad ich położeniem bez wyjścia, nad ich słabością, nad brakiem zdolności do obrony – i właśnie poczęło się koło niego tworzyć kółko coraz większe, gdy mu przerwałem:

– Proszę pana, czy pan uznajesz teorię Darwina walki o byt?

Stawowski, który jest z zawodu przyrodnikiem, chętnie przyjął rozprawę na tym polu.

– Naturalnie! – rzekł.

– To pozwól pan sobie powiedzieć, że jesteś niekonsekwentny. Bo gdybym ja, jako chrześcijanin, troszczył się o słabych, bezbronnych, uciśnionych – to by było słuszne: mnie Chrystus tak kazał; ale pan ze stanowiska walki o byt powinien byś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych – to jest kapitalne prawo natury – więc pal ich lichu! Dlaczego pan sobie tego nie mówisz?... Wy tłumacz mi tę sprzeczność!

Czy, że Stawowski stropił się opozycją, do której nie jest przyzwyczajony, czy istotnie tych rzeczy nie zestawiał nigdy w myśli, dość że na razie nie znalazł odpowiedzi, zmieszał się i nie zdobył się nawet na wyraz: altruizm, który zresztą jest dosyć czczym wyrazem.

Na ten widok poczęła się tłumna emigracja naszych konserwatystów na moją stronę i byłbym mógł z łatwością zostać bohaterem wieczoru, gdyby nie to, że było późno, żem się znudził i że chciałem wrócić na noc do Płoszowa. Powoli też zabierali się i wszyscy.

Miałem już futro na sobie i szukałem, trochę zniecierpliwiony, między futrem a surdudem binokli, które mi się gdzieś zadziały, gdy Stawowski, znalazłszy widocznie odpowiedź, zbliżył się do mnie i rzekł:

– Pan mnie pytałeś, dlaczego ja...

Alem mu przerwał, bom szukał ciągle binokli i zły byłem, nie mogąc ich znaleźć.

– Panie – rzekłem – szczerze mówiąc, kwestia jest dla mnie obojętna. Widzisz pan, że już późno, wszyscy wychodzą, a że przy tym odgaduję mniej więcej, co pan mi możesz powiedzieć, zatem pozwól pan sobie życzyć dobrej nocy.

Zdaje mi się, że zrobiłem sobie w nim śmiertelnego wroga, zwłaszcza tą ostatnią odpowiedzią.

Była godzina pierwsza po północy, gdym przyjechał do Płoszowa, ale tu miałem najmiłą niespodziankę. Anielka czekała mnie z herbatą. Zastałem ją w sali jadalnej, ubraną zupełnie, tylko włosy jej były zaczesane jak na noc. Z tej radości; jaką uczułem na jej widok, wnoszę, jak głęboko zakradła mi się do serca. Co to za kochane stworzenie i jaka była śliczna z tymi włosami, splecionymi nisko na szyi! I powiedzieć, że słowo z mojej strony, a za miesiąc lub dwa będę miał prawo porozpinać te warkocze i rozpuścić je na ramiona! Nie mogę myśleć o tym spokojnie. Aż się nie chce wierzyć, żeby szczęście było takie łatwe.

Począłem na nią zrzędzić, że jeszcze nie śpi, ale ona odpowiedziała mi:

– Nic mi się spać nie chciało, więc uprosiłam mamy i cioci, że mi pozwoliły czekać na ciebie. Mama sprzeciwiała się trochę, że to nie wypada, ale wytłumaczyłam, że myśmy przecie krewni – i wiesz, kto stanął po mojej stronie? – Ciotka.

– Pocziwa ciotka! Napijesz się ze mną herbaty?

– Dobrze.

I zaczęła się krzątać przy nalewaniu filiżanek. Widziałem jej szybkie i zgrabne ręce, które miałem ochotę całować. Od czasu do czasu podnosiła na mnie oczy, ale spotykając się z moim wzrokiem, spuszczała zaraz powieki. Poczęła mnie wreszcie wypytywać: jak spędziłem wieczór i jakie wyniosłem z niego wrażenie. Oboje mówiliśmy przyciszonym głosem, chociaż sypialne pokoje starszych pań były daleko, i nie mogliśmy ich pobudzić. Była między nami jakaś serdeczność i poufałość, istotnie jak między krewnymi, którzy się lubią bardzo.

Opowiadałem jej, com widział i com zauważył, tak jak się opowiada przyjacielowi. Potem mówiłem o wrażeniu w ogóle, jakie towarzystwo tutejsze robi na człowieku, który przyjeżdża z dalekich stron. Słuchała mnie cicha, otwierając szeroko oczy, szczęśliwa, że ją tak wtajemniczam w moje myśli.

Potem powiedziała:

– Czemu ty, Leonie, tego nie napiszesz? Że mnie podobne rzeczy nie przychodzą do głowy, to nic dziwnego, ale tu one nikomu nie przychodzą.

– Czemu nie napiszę? – odrzekłem. – Z wielu, wielu powodów, o których później kiedyś ci powiem – ale między innymi; oto może i dlatego, że nie mam przy sobie nikogo, kto by mnie częściej, tak jak ty, pytał: „Czemu ty nic nie robisz, Leonie?”

Umilkliśmy oboje. Rzęsy Anielki może nigdy jeszcze tak nisko nie opuściły się na policzki – i niemal słyszałem, niemal widziałem, jak jej serce biło pod suknią. Bo rzeczywiście mogła się spodziewać, że teraz skończę, że powiem: Czy chcesz zostać zawsze ze mną i pytać podobnie? Ale ja zbyt rozkoszowałem się tymi pochyłościami, tym zawieszeniem wszystkiego jakoby na nici – tym sercem, które jakby na dłoni mojej biło – więc nie chciałem kończyć.

– Dobranoc – rzekłem po chwili.

I to rzeczywiście anielskie stworzenie ani mi okazało, że je w tej chwili spotyka jakiś zawód. Wstała i z trochę smutku w głosie, ale bez cienia niecierpliwości, odpowiedziała:

– Dobranoc!

I uściskawszy sobie ręce, poszliśmy każde w swoją stronę. Lecz biorąc już za klamkę zatrzymałem się nagle:

– Anielciu!

Zeszliśmy się znowu przy stole.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, czy ty czasem nie zarzucasz mi w duszy, że jestem fantasta, że jestem dziwaczny człowiek?

– Nie!... dziwaczny? – nie! Czasem myślę, że jesteś dziwny człowiek, ale zaraz sobie powiadam, że tacy jak ty ludzie muszą być dziwni.

– Jeszcze jedno pytanie: Kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że ja jestem dziwny człowiek?

Anielka zarumieniała się nagle. Śliczna była, gdy ten płomień tak jej zabierał policzki, czoło, szyję; po chwili odrzekła:

– Nie... to tak trudno... Tego nie potrafię powiedzieć...

– To przynajmniej, jeśli ja odgadnę, powiedz mi: „tak”, a ja ci powiem tylko jedno słowo.

– Jakie? – spytała z widocznym niepokojem.

– Karnet. Tak czy nie?

– Tak – odrzekła Anielka, spuszczaając główkę.

– Więc ci powiem, dlaczego tam napisał to, com napisał: oto dlatego, żeby coś było między nami, żebyśmy mieli od razu jakąś wspólną naszą tajemnicę, a po wtóre...

Tu pokazałem jej bukiet, który ogrodnik przyniósł z rana z cieplarni.

– A po wtóre, widzisz, rozmaite kwiaty lepiej rozwijają się w jasności, więc chciałem jeszcze, żeby między nami było jasno.

– Ja cię czasem mogę nie zrozumieć – odpowiedziała po chwili milczenia Anielka – ale tak wierzę w ciebie!... I tak wierzę!...

I znowu umilkliśmy oboje. Na koniec podałem jej rękę na pożegnanie.

Przy drzwiach zatrzymaliśmy się jeszcze, odwróciliśmy się w tej samej chwili i spojrzeli na siebie. Ach! jak to źródło wzbiera i wzbiera. Lada chwila rozleje się przez brzegi.

23 lutego.

Człowiek jest jak morze: ma swoje przyływy i odpływy. Dziś jest dla mnie dzień odpływu woli, energii, chęci do jakiegokolwiek czynu, ochoty do życia. Przyszło to bez jakiegokolwiek powodu – ot tak sobie! – rzecz nerwów! Ale właśnie dlatego pełen jestem gorzkich rozmyślań. Czy taki człowiek, fizycznie zmęczony, duchowo stary, ma prawo się żenić? Mimo woli przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: „Po co masz płodzić grzeszników – idź do klasztoru!” Ja wprawdzie do klasztoru nie pójdę; potomstwo moje, moi przyszli „grzesznicy” będą podobni do mnie, to jest nerwowi, przeczuleni, do niczego niezdolni, słowem – geniusze bez teki – ale pal ich lichu! W tej chwili nie o nich mi idzie, tylko o Anielkę. Czy ja mam prawo się z nią żenić? czy mi wolno wiązać to życie młode, świeże, pełne wiary w świat i Pana Boga, z moimi zwątpieniami, z moją duchową niemocą, z moim beznadziejnym sceptycyzmem, z moją krytyką, z moimi nerwami? Co z tego będzie? Ja przecie nie zakwitnę drugą młodością duchową przy niej, nie odnajdę się; mózg mój nie zmieni się, nerwy nie okrzepną – więc co? więc ona ma zeschnąć przy mnie? Zali nie będzie to coś potwornego? Mogę odgrywać rolę tego polipa, który wysysa ofiarę dla odżywienia się jej krwią?

Mam po prostu chmurę na mózgu. Bo z drugiej strony, jeśli tak jest, to dlaczego dałem się popchnąć aż do tej granicy, na której obecnie stoję. Cóżem robił od chwili poznania Anielki? Oto kładłem ręce na struny tej duszy i dawałem sobie po prostu koncerta. A przecież to, co dla mnie jest sonatą *Quasi una fantasia*, to dla niej może być sonatą *Quasi un dolore*. Tak jest! wygrywam na niej od rana do wieczora – i co więcej! – mimo tych wyrzutów, które sobie w tej chwili czynię, wiem, że się od tego wstrzymać nie potrafię, że będę tak samo grał jutro i pojutrze, jak grałem wczoraj i onegdaj, bo mnie to ciągnie nieprzeparcie, bo nic mnie więcej nie ciągnie w świecie, bo ja tej dziewczyny pragnę jako kobiety, bo ją kocham. Na co się oszukiwać? – kocham!

A zatem, co robić: cofnąć się, uciec do Rzymu? – to znaczy uczynić jej zawód i unieszczęśliwić ją. Kto wie, jak głęboko zaszło w uczucie to serce. Ożenić się z nią – to znaczy poświęcić ją dla siebie i unieszczęśliwić w inny sposób. Oto koło błędne! Tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne. I diablo mała mi teraz pociecha, że takich Płoszowskich więcej jest u nas, że imię moje jest legion. Jak dalece jednak ten gatunek skazany jest na zatracenie, jak nam się, poza całą naszą nieudolnością życiową, jeszcze nie wiedzie wszystko w życiu! Toż ja taką Anielkę mogłem spotkać dziesięć lat temu, gdy jeszcze moje żagle nie „były tak podobne do dziurawych worków jak dziś!

Żeby ta poczciwa, zacna ciotka Płoszowska wiedziała, jaką ona niechcący i w najlepszej myśli wyrządziła mi krzywdę, to by się zmartwiła. Mało miałem tej tragedii płynącej z poczucia mojej nicości, z tego mroku, w którym brodzę – mam teraz nowe: być albo nie być – gdzie tam! – gorzej niż to!

26 lutego.

Wczoraj jeździłem znów do Warszawy, gdzie miał się spotkać z p. Juliuszem Kw., na którego majątku jest umieszczona część kapitałów, jakie mi przypadają po matce. Pan Juliusz Kw. zaciągnął pożyczkę Towarzystwa Kredytowego i chce tę sumę spłacić.

Ale Niech diabli porwą sposób, w jaki ludzie załatwiają sprawy w tym kraju! Kw. sam mnie wezwał, sam wyznaczył termin – i – czekałem go na próżno cały dzień. Wezwie jeszcze pięć razy i jeszcze pięć razy się nie stawi. Kw. jest człowiek zamożny, sam się chce pozbyć tej sumy i jest w stanie spłacić ją na każde zawołanie. Ale – to są u nas terminy.

Z moich własnych spostrzeżeń dawno doszedłem do wniosku, że jesteśmy jednym z najbardziej w stosunkach pieniężnych lekkomyślnych i nie szanujących terminu społeczeństw. Ja, który lubię dociekać wszelkich przyczyn, zastanawiałem się nieraz nad tym objawem – i

oto, co sędzę. Podług mnie, pochodzi on stanowczo z wyłącznie rolniczego zajęcia narodu. Handlem zajmowali się u nas Żydzi, i ci nie mogli nas nauczyć ścisłości – rolnik zaś często musi być nierzetelnym, bo ziemia jest niesłychanie nierzetelna; musi być bezterminowym, bo ziemia jest bezterminowa. Ten jej charakter udziela się i tym, którzy w niej grzebią – wchodzi następnie w skład moralnej istoty całego społeczeństwa i powoli staje się wadą dziedziczną. Wprawdzie zrozumienie tej rzeczy nie poprawia mi humoru, bom się musiał na cały dzień oderwać od Anielki, i co więcej, grozi mi jeszcze to samo za parę dni – ale na to nie ma rady.

W mieszkaniu ciotki zastałem bilety Kromickiego, jeden dla mnie, dwa dla starszych pań. Obawiałem się, żeby mu nie przyszło do głowy powtórzyć odwiedzin w Płoszowie, więc nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem rzucić mu kartę. Na nieszczęście był w domu i musiałem przesiedzieć u niego z pół godziny.

Zaczął od tego, że się obiecał do Płoszowa, na co odpowiedziałem, że jesteśmy tam tylko dla odpoczynku i że lada dzień zjedziemy do Warszawy. Dopytywał się o matkę . Anielki, i ze wszelką ostrożnością – o Anielkę. Widocznie chciał mi dać do zrozumienia, że pyta zupełnie bezinteresownie, tylko Jako znajomy. Jestem tak wrażliwy, że mnie i to ukłuło, ale bo też co za wstrętna dla mnie bestia! Widocznie Tatarzy Batuchana, po zwycięstwie pod Legnicą, musieli i na dzisiejszym austriackim Śląsku dużo dokazywać, bo że te oczki Kromickiego, podobne do ziarenek kawy, są nie śląskiego pochodzenia, to nie ma wątpliwości.

Był dla mnie niezmiernie uprzejmy, ponieważ jestem człowiekiem zamożnym. Wprawdzie on niczego ode mnie nie potrzebuje, ja mu nic nie dam i nic mu nigdy z mojej zamożności nie przyjdzie, ale on przejął się już tą czcią dla bogactwa, jaką odznaczają się finansiści. Mówiliśmy z początku o kłopotach, jakie miała, a raczej jakie ma dotąd; matka Anielki. Według Kromickiego, dałoby się dużo uratować, gdyby pani P. zgodziła się sprzedać majątek. Kromicki patrzy na ten upór jak na czysty romantyzm – bo, żeby tego można uniknąć, to by jeszcze rozumiał, ale jeśli rzeczy pójdą, jak idą, to się musi na tym skończyć, chyba że jaka „forsa” przyjdzie: „jeżeli forsa przyjdzie, to co innego”.

Jest to człowiek gadatliwy, więc rozgadał się ogromnie o naszym niedołęstwie. Zdaniem jego, pieniądze leżą u nas na bruku, dość się schylić. On jest najlepszym przykładem. Jego ojciec był jak wszyscy wielcy panowie: miał tyle długów, że pozostało maksimum sto tysięcy guldenów – a dziś co?

– Dziś, jeśli mi się jeden interes w Turkiestanie uda, no, to mogę się zaraz potem zlikwidować. Żydzi i Grecy porobili miliony na dostawach; pytam się: dlaczego my byśmy nie mieli robić? Nie podaję się za wzór, ale pytam się! Tam dla wszystkich dość miejsca – i dlatego się pytam!

Podług mnie, jest to człowiek mający pewien spryt do interesów, ale, ogólnie biorąc, głupi. Że jesteśmy niezaradni – stara historia; że pojedynczy jakiś człowiek może zrobić miliony na dostawach, wierzę, ale całe społeczeństwo musi pracować w domu, nie zaś szukać milionów z dostaw do Turkiestanu.

Bóg strzegł Anielkę, że nie związała życia z tym człowiekiem. Może on mieć swoje przymioty, jest to jednak zgoła inny moralny typ. A jeśli ona istotnie może gorzej trafić jak na mnie, to czy powinienem się wahać?

*28 lutego.*

Starsze panie zaczynają się nieco niepokoić, że sprawa nie idzie tak prędko, jakby chciały; szczególnież żyma się zapewne w duszy ciotka, która z natury jest niecierpliwa. Łagodzi jednak wszystko i dodaje starym paniom otuchy spokój i szczęście malujące się na twarzy Anielki. Ta wierzy mi, jak tylko wierzyć można, i spogląda na mnie oczyma, w których czytamy ufność bez granic. Napełniła moją myśl tak, że jej od niej od rana do wieczora oderwać nie mogę. Pragnę jej coraz więcej. Nie chcę już koncertów – chcę jej.

4 marca.

Dzień dzisiejszy tak zakończył się dla mnie, że muszę zbierać cały spokój i zimną krew, żeby przy opisywaniu trzymać się kolejnego porządku – nie zaś poczynać od zakończenia. Jednak nie mogę wytrzymać. Oto kości są rzucone lub tak jak rzucone. Nie umiałbym nic napisać, gdybym przede wszystkim tego nie napisał.

A teraz mogę zacząć. Przyjechali koło południa na wczesny obiad Śniatyńscy. Dziś w teatrze jego nowa sztuka, więc musieli wracać na wieczór do miasta. Jakkolwiek dobrze nam jest w pustelni płoszowskiej, jednak przyjazd ich ucieszył nas. Anielka ma dla niej wiele szczerzej przyjaźni – przypuszczam także, że czuła potrzebę wypowiedzenia się przed kimś ze wszystkiego, co jej się w piersiach zebrało. Pani Śniatyńska domyślała się od początku, jak rzeczy stoją, i podsadzała nawet, jak mogła, swoje ramionka pod ten wóz, żeby jak najprędzej z miejsca ruszył. Zaledwie przyjechali i zaledwie zaczęła się gawęda o naszym ustroniu wiejskim, powiedziała zaraz do ciotki:

– Ach! jak tu miło i zacisznie! Rozumiem, że i tej młodej parze dobrze tu ze sobą i że nie tęskni do Warszawy.

I ja, i Anielcia zrozumieliśmy doskonale, że pani Śniatyńska, nazywając nas młodą parą, nie wiek nasz ma na względzie. Zresztą powtórzyła z dziesięć razy umyślnie w czasie obiadu: to „młoda para”, to „państwo młodzi” – niby przeciwstawiając nas starszym paniom.

Tyle było jednak sympatii dla nas w spojrzeniach pani Śniatyńskiej, tyle czysto kobiecego nastawiania uszków na wszystko, co do siebie mówimy, i tak było kobiecie z tym ładnie, że chętnie przebaczam jej owo pocziwe wścibstwo. Doszedłem do tego, że mnie to umyślnie łączenie naszych imion raczej gładzi po sercu, niż drażni.

Anielka zdawała się także słuchać tego z przyjemnością. W jej uprzejmości dla Śniatyńskich, w tym zajmowaniu się nimi podczas obiadu było coś takiego, że robiła istotnie wrażenie młodej gospodyni, przyjmującej po raz pierwszy miłych gości we własnym domu. W ciotce serce rosło na ten widok – i przez cały obiad prawiała grzeczności Śniatyńskim. Dostrzegłem przy tym niesłychaną rzecz, której bym stanowczo nie wierzył, gdybym własnymi oczyma na to nie patrzył: oto pani Śniatyńskiej czerwieni się uszy, gdy ktoś wychwala jej męża. Czerwienić się z powodu męża po ośmiu latach pożycia... nie!... czy ja nie popisałem wypadkiem kapitalnych głupstw, pisząc poprzednio o Polkach?

Obiad zeszedł nam wybornie. Taka jedna para może narobić małżeństw jak maku, każdy bowiem patrząc na nich musi sobie powiedzieć: E! jeśli to tak, to się żenię! Ja przynajmniej pierwszy raz widziałem małżeństwo nie w szarym mroku prozy życia, spowszednienia, ukrywania mniej więcej obojętności, ale w takim wesołym świetle.

Anielka widocznie również widziała naszą przyszłość przez to światło; poznałem, że tak jest, z jej rozjaśnionej twarzy.

Po obiedzie zostaliśmy ze Śniatyńskim w jadalnym pokoju, wiedziałem bowiem, że on rad wypija jeden i drugi kieliszek koniaku po kawie; starsze panie przeszły do bocznego salonu, Anielka z panią Śniatyńska pobiegły na górę po jakieś albumy z widokami Wołynia, ja zaś począłem wypytywać Śniatyńskiego o jego sztukę, o którą był niespokojny. Rozmowa przeszła następnie na nasze dawne czasy, kiedyśmy to obaj próbowali wlatywać na nieopierzonych jeszcze skrzydłach. Śniatyński opowiadał mi, jak stopniowo przychodziło mu uznanie, jak nieraz wątpił o sobie i jak jeszcze często wątpi, mimo iż się do pewnego stopnia wybił.

– Powiedz mi – spytałem – co ty robisz ze swoją sławą?

– Jak to, co robię ze sławą?

– No, czy ją nosisz jak mitrę na głowie, czy jak złote runo na szyi, czy to stoi na twoim biurku, czy wisi w salonie? Pytam jak człowiek, który nie ma pojęcia, co to jest i co się z tym robi, gdy się to ma.

– Przypuśćmy, że to mam, więc ci odpowiem tak: trzeba być diabło źle urodzonym duchowo, żeby tak zwaną sławę nosić na głowie, na szyi, stawiać na biurku albo wieszając w salonie. Przyznaję, że to łechce z początku miłość własną, ale tylko parweniuszowi duchowemu może takie łechtanie wypełnić życie i zastąpić wszystkie pozostałe gatunki szczęścia. Inna rzecz przeświadczenie, że to, co robię, znajduje uznanie i budzi echo – z tego publiczny człowiek może być zadowolony. Ale żeby mnie, prywatnego, miało uszczęśliwiać to, że mi ktoś w salonie powie z mniej więcej głupią miną: „Tyle przyjemnych chwil panu zawdzięczamy”, albo, że gdy zjem coś niestrawnego, to jakiś dziennik zaraz napisze: „Dzielimy się z czytelnikami smutną wiadomością, że naszego znakomitego X. X. brzuch boli” – żeby mnie to miało uszczęśliwiać? – fi! za kogo mnie masz?

– Słuchaj – rzekłem – ja także nie jestem próżny, ale człowiek chce od ludzi jakiegoś uznania. Jest to namiętność wrodzona. Dalibóg, nie jestem próżny, a jednak powiem ci szczerze: gdy ludzie widzą we mnie jakieś zdolności, gdy mówią o nich, gdy ich żałują, to chociaż wówczas moja nicość staje mi wyraźniej niż kiedykolwiek przed oczyma – jednak to mnie cokolwiek łechce, jednak mi to sprawia jakąś – może gorzką przyjemność, ale przyjemność.

– Bo się żałujesz, w czym zresztą masz rację. Nie odwracaj kwestii. Ja wcale nie dowodzę, żeby to mogło komuś sprawić przyjemność, gdy go nazwą osłem.

– Ale ten szacunek ludzki, który idzie za sławą?

Śniatyński, który jest bardzo żywy i który w czasie rozmowy ma zwyczaj latać po pokoju, przysiadł na wszystkich stołkach, stołach, przysiadł tym razem na oknie i odpowiedział:

– Szacunek? Mylisz się, mój kochany. My jesteśmy dziwnym społeczeństwem. U nas panuje czysto republikańska zazdrość. Ja piszę komedie, pracuję dla teatru – dobrze! zyskałem pewien rozgłos – jeszcze lepiej; otóż tych komedii będzie mi u nas zazdrościł – myślisz, że tylko drugi komediopisarz? – nieprawda! Będzie mi ich zazdrościł inżynier, urzędnik bankowy, pedagog, lekarz, agent kolejowy, słowem, ludzie, którzy by i tak nigdy nie pisali komedij. Ci wszyscy w stosunkach z tobą będą ci okazywali, że mało sobie z siebie robią, w rozmowach poza twoimi oczami będą cię lekceważyli, będą cię umyślnie umniejszali, żeby się przez to samo mogli więksi wydać. Jeśli kto kazał sobie u tego samego krawca surdut zrobić, to przy pierwszej sposobności ruszy ramionami i powie: Śniatyński? wielka rzecz! ubiera się u Pacykiewicza, tak jak i ja! Oto, jak u nas jest – oto, co prowadzi za sobą twoja sława!

– Musi jednak ona być coś warta, skoro sobie ludzie dla niej i przez nią karki kręcą.

Śniatyński zamyślił się nieco i odpowiedział z powagą:

– W prywatnym życiu sława jest tyle coś warta, że można z niej zrobić podnózek dla kochanej kobiety.

– Nową sławę zdobędziesz sobie tym określeniem.

Śniatyński przyleciał do mnie z wielkim impetem:

– A tak! tak! Pakuj laury w pokrowiec, ruszaj z nimi do kochanego stworzenia i powiedz mu: To, przez co ludzie karki kręcą, to, co mają za szczęście, cenią na równi z bogactwem, to ja mam, tom zdobył, a teraz stawiaj mi zaraz na tym łapy! Jeśli to zrobisz, wówczas będziesz kochany całe życie – rozumiesz. Chciałeś wiedzieć, co jest sława warta – więc masz!

Dalszą rozprawę przerwało Śniatyńskiemu wejście żony i Anielki. Wybierały się do cieplarni.

Jednakże w tej pani Śniatyńskiej siedzi jakiś diabełek! Przyszła niby pytać męża o pozwolenie, a gdy ów, zastrzegłszy sobie, żeby się odpowiednio ubrała, pozwolił, ona zwróciła się ku mnie i z prawdziwie kocią miną spytała:

– A pan Anielci pozwoli?

Ze Anielka zaczerwieniła się po uszy, to naturalne, ale że ja, stary wyga, ostrzony jak brzytwa na najrozmaitszych towarzyskich paskach, zmieszałem się także w pierwszej chwili, tego sobie nie mogę darować. Nadrabiając jednak odwagę, podszedłem do Anielki, podniosłem do ust jej rękę i powiedziałem:



– Anielka tu w Płoszowie rozkazuje, a ja pierwszy gotów jestem słuchać jej rozkazów.

Miałem ochotę, byśmy ze Śniatyńskim poszli zaraz z nimi do oranżerii, ale powstrzymałem się. Czulem potrzebę mówienia o Anielce, o moim przyszłym małżeństwie, widziałem zaś, że Śniatyński w końcu dojdzie do tego przedmiotu. Ułatwiłem mu to nawet, spytawszy zaraz po odejściu naszych pań:

– Więc wierzysz zawsze niewzruszenie w swoje życiowe dogmaty?

– Więcej niż kiedykolwiek, a raczej zawsze jednakowo. Nie ma na świecie bardziej użytego wyrazu niż miłość, dlatego aż przykro go powtarzać, ale tobie, we cztery oczy, powiem: miłość w znaczeniu ogólnym, miłość w znaczeniu szczegółowym – i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tym, żeby nad nimi nie filozofować – i niech mnie licha porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tym – życie jest coś warte; bez tego – nie warte torby sieczki.

– Mówmy o tej szczegółowej miłości, albo lepiej zastąpmy ten wyraz wyrazem: kobieta.

– Dobrze, zastąpmy. Dobrze: kobieta!

– Mój kochany, czy nie widzisz, na jak niesłychanie kruchej podstawie opierasz osobiste szczęście?

– Na tak kruchej, jak jest życie – nic więcej.

Ale ja nie miałem na myśli tych rozłączeń, tych przepaści, które może powodować śmierć – i powiedziałem Śniatyńskiemu:

– Zlituj się, nie uogólniaj swego osobistego szczęścia. Tyś dobrze trafił, ale można i źle trafić.

Lecz Śniatyński nie chciał o tym słyszeć. Według niego, na sto razy, dziewięćdziesiąt razy trafia się dobrze. Kobiety, jego zdaniem, są lepsze, czystsze, szlachetniejsze od nas.

– My jesteśmy gałgany w porównaniu! – krzyczał, machając rękoma i swoją płową czupryną. – Nic, tylko gałgany! Ja ci to mówię, który obserwuję życie i umiem obserwować, choćby dlatego, że jestem komediopisarzem.

Tu siadł na krzesło jak na konia i atakując mnie poręczą, mówił dalej z niemniejszym rozmachem:

– Są, jak mówi Dumas, małpy z krainy Nod, na które nie ma hamulca, ale ty masz od tego oczy, żebyś małpy z krainy Nod nie brał; w ogóle zaś kobieta nie zawiedzie męża, nie zdradzi, chyba że sam w niej serce zepsuje albo je podepce, albo zrazi i odepchnie swoją małością, swoim egoizmem, swoją ciasnotą, swoją lichą i nędzną naturą. Kochaj przy tym! Niech ona czuje się nie tylko twoją samicą, ale twoją najdroższą głową, twoim dzieckiem, przyjacielem; noś ją w zanadru, niech jej będzie ciepło, a wówczas bądź spokojny, a wówczas co rok będzie mocniej przytulać się do ciebie, aż się zrośniecie jak bliźnięta syjamscy. Nie dasz jej tego, zepsujesz ją, zrazisz swoją lichotą – to odejdzie! Odejdzie, jak tylko jakieś szlachetniejsze ręce wyciągną się ku niej, bo musi odejść, bo ona tego ciepła, tego uznania potrzebuje jak powietrza do oddechu.

I tak naciskał mnie poręczą, że musiałem się cofać; w ten sposób przysunęliśmy się do okna. Tam zerwał się i mówił dalej:

– Jacy wy jesteście tępi! Wobec takiej posuchy społecznej, wobec takiego braku ogólnego szczęścia, jakim odznacza się nasz wiek, wobec braku podstaw, nadziei, żeby sobie przynajmniej tego szczęścia, tej podstawy nie stworzyć! Marznąć na forum i w domu sobie jeszcze ognia nie napalić! Głupota dalej nie idzie! A ja tobie do oczu powiadam: żeń się!...

Tu ukazał mi przez okno Anielkę wracającą z jego żoną z oranżerii.

– Ot, gdzie twoje szczęście! Ot, tam ono drepce w berlachach po śniegu! Powtarzam ci: żeń się! Na wagę złota ją bierz! co to na wagę złota! – na karaty – rozumiesz! Ty nie masz po prostu stałego miejsca zamieszkania, nie tylko pod względem fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie masz spokoju, ona ci to wszystko da. Tylko jej nie prze-filozofuj, jakieś prze-filozofował swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat życia!

Nie mógł mi nic lepszego, zacniejszego i bardziej zgodnego z moimi pragnieniami powiedzieć, więc uściskałem mu rękę i odrzekłem:

– Nie, jej nie przefilozofuję, bo ją kocham.

I uściskaliśmy się po przyjacielsku.

Tymczasem nadeszły młode panie. Śniatyńska, spostrzegłszy nasz uścisk, rzekła:

– Wychodząc słyszałyśmy jakieś spory, ale widzę, że się skończyły zgodnie. Wolno powiedzieć, o czym była mowa?

– O kobietach, pani – odrzekłem.

– I co wynikło?

– Jak pani widzi: uścisk, a dalsze wyniki przyjdą niebawem.

Lecz przedtem jeszcze przyszły ich sanki. Przy krótkim dniu miało się pod wieczór i musieli wracać, ale że pogoda była piękna i cicha, a śnieg w alei ubity jak posadzka, postanowiliśmy z Anielką odprowadzić ich aż do kołowrotu przy gościńcu.

I tak się stało. Pożegnawszy tę miłą parę, wracaliśmy do domu. Mroczyło się już, ale mieliśmy, światło zorzy wieczornej w oczy, więc twarz Anielki widziałem doskonale. Była jakaś wzruszona. Domyślałem się, że musiały mówić bardzo otwarcie z panią Śniatyńską; może też spodziewała się, że teraz właśnie wypowiem to oczekiwane słowo. Już i mnie ono paliło wargi, ale o dziwo, ja, który sądziłem, że w sprawach uczuciowych władne sobą jak mało kto, ja, który się mam za artystę koncertowego, ja, który w czasie „godzin sali”, jeśli z niedostateczną zręcznością, to przynajmniej z zupełnie zimną krwią parowałem najbardziej mistrzowskie pchnięcia – byłem teraz tak wzruszony jak student. Co za różnica uczucia! Miałem obawę, że nie posklejam wyrazów – i milczałem.

W tym milczeniu szliśmy ku gankowi. Podałem jej rękę, bo śnieg był wyslizgany płozami sanek – i gdy się wsparła na moim ramieniu, odczułem raz jeszcze, jaka to jest dla mnie upragniona kobieta. Po chwili uczucie to poczęło mnie przejmować dreszczem i przebiegać po wszystkich nerwach na kształt iskier.

Weszliśmy do przedsionka.

Nie było tam nikogo, nie było nawet jeszcze światła, tylko przez otwory drzwiczek od pieców przebłyskiwał płomień palącego się ognia. W mroku i w ciągłym milczeniu poczęłem zdejmować futrzany płaszczyk z Anielki, i gdy nagle spod tego płaszczyka wionęło na mnie jej ciepło, objąłem ją ramionami i przygarnąwszy do siebie dotknąłem ustami jej czoła.

Stało się to z mojej strony niemal bez rozeznania, co robię. Anielka musiała po prostu zdrętwieć, bo nie stawiała najmniejszego oporu. Wysunęła się jednak z moich ramion prawie natychmiast, gdyż w drugiej sieni dały się słyszeć kroki służącego, który niósł światło. Ona uciekła do siebie na górę, ja zaś cały wzburzony wszedłem do sali jadalnej.

Każdemu mężczyźnie obdarzonemu pewną przedsiębiorczością trafiają się podobne chwile w życiu, więc trafiały się już i mnie – ale zwykle bywałem dość spokojny i zachowywałem zupełną świadomość siebie. Obecnie wrażenia i myśli przelatywały mi przez głowę, jakby je wiatr przeganiał. Szczęściem, jadalna sala była pusta; ciotka i matka Anielki siedziały dalej, w mniejszym saloniku.

Wszedłem tam, ale myśl moja była tak dalece gdzie indziej, że ledwie rozumiał, co do mnie te panie mówiły. Ogarnął mnie niepokój. Wyobrażałem sobie, że Anielka jest teraz w swoim pokoju i że ściska sobie skronie rękoma; starałem się wyczuć i zrozumieć, co mogło dziać się w tej chwili w jej sercu i w głowie.

Tymczasem Anielka wkrótce nadeszła. Odetchnąłem, gdyż nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że się tego wieczora nie pokaże. Miała silne wypieki i oczy błyszczące jakby ze snu. Widocznie starała się ochłodzić pudrem swoją rozpaloną twarz, bo ślady jego osiadły gęściej przy lewej jej skroni. Widok jej poruszył mnie. Poczulem, że bardzo ją kocham.

Zająwszy się jakąś robotą, siedziała ze spuszczoną głową, spostrzegłem jednak, że oddycha szybko, a raz i drugi chwyciłem jej przelotne, pytające i pełne niepokoju spojrzenie.

Więc chcąc rozproszyć ten niepokój, wtrąciłem się do rozmowy starszych pań, które mówiły o Śniatyńskich, i rzekłem:

– Śniatyński zarzucał mi dziś, że ze mnie czysty Hamlet, bo zbyt filozofuję, ale ja mu dowiodę, że tak nie jest – i to nie dalej, jak jutro.

Owo „jutro” wymówiłem z przyciskiem i uważałem, że Anielka doskonale zrozumiała, bo spojrzała na mnie przeciągle, ciotka jednak, nie domyślając się wcale, o co idzie, spytała:

– To zobaczycie się jutro?

– Trzeba nam być na jego sztuce; jeśli Anielka się zgodzi, to może się jutro wybierzemy.

Kochana dziewczyna podniosła na mnie oczy zmieszane, ale pełne ufności i odrzekła z nieopisaną słodyczą:

– Ja się na wszystko z radością zgodzę!

Była chwila, żem chciał skończyć od razu – i może powinienem był skończyć, ale że to „jutro” było już powiedziane – więc się wstrzymałem.

Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę.

Ale też istotnie myślę, że prawdziwą perłę znajdę na dnie tej głębinie.

*6 marca, Rzym, Casa Osoria.*

Od wczoraj jestem w Rzymie. Ojciec nie jest tak chory, jak się obawiałem. Lewa ręka i lewa strona ciała są na wpół sparaliżowane, ale lekarze uspokajają mnie, że serce nie jest zagrożone paraliżem i że można żyć lata całe w takim stanie.

*7 marca.*

Więc Anielka pozostała w niepewności, oczekiwaniu, rozterce. Ale nie mogłem inaczej postąpić. Nazajutrz po bytności Śniatyńskich w Płoszowie, zatem tegoż samego dnia, i w którym postanowiłem oświadczyć się Anielce i jej matce, odebrałem list z Rzymu od ojca donoszący mi o jego chorobie: „Spiesz się, kochany chłopcze – pisał ojciec – bo chciałbym cię jeszcze uściskać przed śmiercią, a czuję, że łódź po mnie przybiła już do brzegu.” Oczywiście, po odebraniu takiego listu wyjechałem pierwszym pociągiem i dopiero zatrzymałem się w Rzymie. W chwili wyjazdu rozumiałem, że nie zastanę już ojca przy życiu. Próżno ciotka uspokajała mnie, że gdyby niebezpieczeństwo było nagle, ojciec wysłałby lub kazał wysłać depeszę zamiast listu. Ja wiedziałem, że ojciec ma swoje dziwactwa, do rzędu których należała zawsze jego antypatia do telegrafów. Ciotka zresztą tylko udawała spokój, a w gruncie rzeczy była również przestraszona.

W tym pośpiechu, przerażeniu i pod grozą prawdopodobnej śmierci ojca nie mogłem i nie chciałem się oświadczać. Byłoby czymś przeciwnym naturze i cynicznym z mojej strony szeptać czułe słowa nie wiedząc, czy właśnie w tej chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia. Rozumieli to wszyscy, a przede wszystkim rozumiała Anielka. Na odjeźdźnym powiedziałem jej: „Napiszę do ciebie z Rzymu” – na co odrzekła: „Pierwej niech ci Pan Bóg da spokój!” Ona ufa mi zupełnie. Słusznie czy niesłusznie, mam opinię człowieka lekkomyślnego względem kobiet, i opinia ta musiała się obić o uszy Anielki, ale może właśnie dlatego drogie to stworzenie okazuje mi tym więcej ufności. Odgaduję i rozumiem, co ona myśli i czuje. Oto słyszę niemal, jak czysta jej dusza mówi do mnie: Skrzywdzono cię; ty nie jesteś lekkomyślny, a te, które oskarżają cię o lekkomyślność, czynią to dlatego, że nie umiały cię kochać ani tak pocziwie, ani tak głęboko, jak ja kocham. I Anielka ma słuszość. Być może, iż mam usposobienie nieco wichrowate, ale że na rozwój takiego usposobienia wpłynęła wichrowatość, czczość i jałowość uczuć, z którymi się spotykałem – to nie podpada wątpliwo-

ści. Mogło to po prostu całkiem skazić i wysuszyć mi serce – i gdyby się tak było stało, wówczas taka istota jak Anielka musiałaby płacić za winy innych. Ale sądzę, że jeszcze jest ratunek i że błogosławiony lekarz nie przychodzi za późno. Kto wie zresztą, czy kiedykolwiek bywa za późno i czy uczciwe i czyste serce kobiece nie posiada zawsze daru wskrzeszania zmarłych.

Być może także, że serce męskie ma większą moc odradzania się. Istnieje jakieś podanie o róży jerychońskiej, która, choćby zeschnięta do cna, byle spotkała się z kroplą dżdżu, zaraz poczyna żyć i puszcza nowe liście. Zauważyłem, że w naturze męskiej leży w ogóle nierównie więcej sprężystości niż w kobiecej. Mężczyzna nieraz zbruka się w rozpuszcieniu tak bezceńnej, że połowa tego jadu pokryłaby raz na zawsze śmiertelnym trądem duszę kobiety; tymczasem syn Adamowy nie tylko umie otrząsnąć się z zarazy, nie tylko odzyskuje z łatwością moralne zdrowie i świeżość, ale po prostu dziewictwo serca. Tak samo jest pod względem uczucia. Znałem kobiety z sercem wyjałowionym do tego stopnia, że utraciły stanowczo zdolność kochania, a nawet szanowania kogokolwiek lub czegokolwiek. Mężczyzn takich nie znałem. Miłość stanowczo powraca nam dziewictwo.

Podobne określenia mogą wydawać się dziwne pod piórem sceptyka, ale naprzód, ja nie mam większego zaufania do swych zwątpień, jak do wszelkiego rodzaju twierdzeń, pewników i spostrzeżeń, które ogółowi ludzi służą za podstawę życia. W każdej chwili gotów jestem zgodzić się na to, że moje zwątpienia mogą być równie dalekie od istoty rzeczy jak te pewniki. Po wtóre, to co piszę, piszę pod wpływem uczucia dla Anielki, która sama może nie wie, jaką mądrą drogę wybrała, okazując mi tę bezgraniczną ufność; jak mnie tym chwytą za serce i przykuwa do siebie. Wreszcie, czy mówię o miłości, czy o jakimkolwiek innym życiowym czynniku, mówię i piszę zawsze to, co mi się wydaje dziś. Jaki będzie mój sąd jutro – nie wiem. Ach, gdybym wiedział, że jakikolwiek mój pogląd, jakiegokolwiek przekonanie, jakakolwiek zasada ostoi się przed jutrzejszym i pozajutrzejszym powiewem sceptycyzmu, chwyciłbym się jej oburącz, uczyniłbym z niej mój kanon – i płynąłbym, jak Śniatyński, pełnymi żaglami i w świetle – zamiast brodzić w ciemności i pustce.

Nie chcę jednak znów wracać do mojej wewnętrznej tragedii. Co do miłości w ogóle, jako sceptyk względem życia i wszystkich jego zjawisk, mogę i nad nią wymówić Salomonowe *vanitas vanitatum*, ale byłbym chyba zupełnie ślepym, gdybym nie dostrzegł, że ze wszystkich czynników życiowych jest to najpotężniejszy i tak wszechmocny, że ilekroć o tym myślę, ilekroć ogarnę wzrokiem wieczne morze wszechżycia, staję za każdym razem po prostu w osłupieniu i podziwieniu – nad tą wszechmocą. Są to przecie rzeczy uznane i znane tak samo jak wschód słońca, jak przypyływy i odpływy oceanu – a jednak zawsze jednakowo zdumiewające. Po Empedoklesie, który odgadł, że Eros wyłonił światy z chaosu, metafizyka nie postąpiła krokiem naprzód. Jedna śmierć jest siłą równie bezwzględna, ale w odwiecznych zapasach tych dwóch sił miłość bierze ją za gardło i przyciska jej kolanem piersi, bije ją w dzień i w nocy, bije ją każdej wiosny, chodzi krok w krok za nią – i w każdy dół, który ta wykopie, rzuca posiew nowego życia. Ludzie zajęci codziennymi sprawami zapominają lub nie chcą pamiętać, że służą tylko i wyłącznie miłości. Dziwna rzecz pomyśleć, że wojownik, kanclerz państwa, rolnik, kupiec, bankier, w wysiłkach swych, nie mających pozornie najmniejszego związku z miłością, w istocie rzeczy służą tylko tej zasadzie, spełniają tylko to przyrodzone prawo, na mocy którego ramiona mężczyzny wyciągają się do kobiety. Jakim szalonym paradoksem wydałoby się takiemu Bismarckowi, gdyby mu ktoś powiedział, że ostatecznym i jedynym celem jego zabiegów jest to, by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei! Mnie równie wydaje się w tej chwili, że napisałem paradoks, a jednak!... jednak Bismarck pracuje nad spotęgowaniem niemieckiego życia, życie to zaś nie może potęgować się w inny sposób niż przez Hermana i Dorotę. Co więcej ma do roboty Bismarck, niż polityką lub bagnetem wytworzyć takie warunki, w których by Herman i Dorotea mogli się kochać spokojnie, połączyć szczęśliwie i hodować nowe pokolenie?

Jeszcze w uniwersytecie czytałem jakąś gazetę arabską porównywającą siłę miłości do siły piekielnych kleszczów. Zapomniałem nazwiska poety, ale myśl została mi w pamięci. Istotnie, w głowie się przewraca, gdy się pomyśli o tej potędze. Ostatecznie, wszystkie objawy życia są tylko różnorodnymi formami Jednej i tej samej zasady. Jest to eleackie: „ἑ χαί.άω”. Naprawdę ona jedna jest, ona jedna włada, ona jedna trwa, skupia, utrzymuje, tworzy.

10 marca.

Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki. Zastałem go rozpatrującego przez powiększające szkło pełne jeszcze ziemi epilichniony, które nadesłano mu z Peloponezu. Mówiąc nawiasem, wyglądał przepysznie w tym muzealnym, oświetlonym na przemian przez białe i kolorowe okna pokoju, pełnym etrusków, odłamów posągów i wszelkiego rodzaju greckich i rzymskich zabytków. Wśród tego otoczenia twarz jego wydawała mi się zupełnie podobna do twarzy jakiegoś „boskiego” Platona lub innego greckiego mędrca. Z chwilą mego wejścia przerwał robotę, wysłuchał mnie z zajęciem – po czym spytał:

– Czy ty się wahasz?

– Nie waham się, ale rozmyślam – i chcę wiedzieć, dlaczego chcę.

– A więc ci powiem tak: byłem człowiekiem, który nie mniej od ciebie lubił sobie zdawać sprawę z samego siebie i ze wszystkich objawów życia. Ale gdym poznał twą matkę, straciłem od razu tę zdolność. Wiedziałem tylko jedno: że chcę ją mieć – i nie chciałem wiedzieć o niczym więcej.

– Więc?

– Więc jeśli chcesz równie mocno, to się żeń. Żle mówię: jeśli chcesz równie mocno, to się ożenisz bez niczyjej rady i pomocy, będziesz tak szczęśliwy, jak ja byłem, póki mi twoja matka nie umarła.

Na chwilę umilkliśmy. Gdybym chciał ściśle stosować do swej natury słowa ojca, nie byłbym znalazł pociechy. Kocham Anielkę niewątpliwie, nie doszedłem jednak do tego, by nie było już we mnie miejsca na żadną refleksję. Ale to nie jest zły znak – po prostu tylko generacja, do której należę, posunęła się o stopień wyżej pod względem świadomości. Mam w sobie zawsze dwóch ludzi: aktora i widza. Często widz nie jest zadowolony z aktora, ale tym razem panuje we mnie między nimi zgoda.

Ojciec pierwszy przerwał milczenie:

– Powiedz mi, jak ona wygląda?

Ponieważ opis jest najnieodolniejszym sposobem malowania portretów, przyniosłem ojcu dużą i istotnie doskonałą fotografię Anielki, której począł przypatrywać się z niezmierną ciekawością.

Ja zaś przypatrywałem się niemniej ciekawie jemu, gdyż zaraz obudził się w nim artysta, a zarazem dawny, wykwintny znawca i miłośnik kobiet – dawny *Leon l'Invincible*. Oparłszy fotografię na rękawie swej biednej lewej ręki, na wpół już martwej, prawą chwycił szkło i to zbliżając je, to oddalając, począł mówić:

– Gdyby nie pewne szczegóły, byłaby to twarz w rodzaju Ary-Scheffera... Ślicznie by wyglądała ze łzami w oczach... Są ludzie, którzy nie lubią w kobiecie anielskiego wyrazu, ale podług mnie, nauczyć anioła, jak być kobietą – to szczyt zwycięstwa... Bardzo ładna i bardzo niepospolita... *Enfin, tout ce qu'il y a de plus beau au monde – c'est la femme!*

Tu znowu począł manewrować szkłem, wreszcie dodał:

– Sądząc z twarzy, a zwłaszcza z fotografii, można się zawsze omylić, ale ja mam trochę wprawy. Otóż, podług mnie, powinna to być natura bardzo lojalna. Tak mi się zdaje... Podobne typy kochają się w czystości swych piór... Dajże ci Boże szczęście, mój chłopcze, bo mi

się bardzo podoba twoja Anielka... Obawiałem się zawsze, byś się nie ożenił z jaką cudzoziemką – niechże będzie Anielka!...

Zbliżyłem się do niego, a on objął prawą ręką moją szyję, uściskał mnie i rzekł:

– Co bym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synowę!

Począłem go zapewniać, że to niechybnie nastąpi. W dalszym ciągu mówiliśmy o moim zamiarze sprowadzenia ciotki, Anielki i jej matki do Rzymu. Po oświadczeniu się listownym mogłbym tego wymagać, a te panie zgodziłyby się niewątpliwie na przyjazd, ze względu na ojca. W takim razie ślub odbyłby się w Rzymie – i bardzo prędko.

Ojcu podobał się niezmiernie ten plan, bo ludzie starsi i chorzy lubią widzieć naokół siebie dużo życia i ruchu. Wiedziałem także, że Anielka będzie uszczęśliwiona z takiego obrotu rzeczy, więc i sam nabierałem z każdą chwilą więcej ochoty. W tydzień mogło być wszystko przeprowadzone. Czułem, że taka energia i taka stanowczość będą trochę przeciwne mojej naturze, ale właśnie ta myśl, że się na nie zdobędę, sprawiała mi przyjemność. Przy tym, jako człowiek obdarzony wyobraźnią, widziałem się już ciceronującego Anielce po Rzymie. Ci tylko, którzy tu mieszkają, rozumieją, jaką jest rozkoszą pokazywać komukolwiek zabytki tego miasta, a cóż dopiero pokazywać je kobiecie kochanej!

Rozmowę z ojcem przerwało nam nadejście państwa Davis, którzy codziennie ojca odwiedzają. On pochodzi z angielskich Żydów, ona jest szlachcianką włoską, która poszła za męża dla pieniędzy. Sam Davis jest to charłak, który nadużył życia w sposób przenoszący dwukrotnie jego marne z natury siły. Obecnie jest chory, zagrożony rozrzedzeniem mózgu, obojętny na wszystko w świecie, słowem, jeden z takich okazów, jakie widuje się w zakładach hydropatycznych.

Ona wygląda jak Junona; ma brwi zrosnięte nad czołem i kształty greckiego posągu. Nie lubię jej, bo jest jak wieża pizańska: wiecznie się pochyla, a nigdy nie upada. Rok temu czyliłem względem niej zabiegi, ona zaś kokietowała mnie mocno, co jednak obustronnie pozostało bez rezultatu. Ojciec ma do niej nadzwyczajną słabość. Posądzałem go nawet, że się w niej kochał. W każdym razie zachwyca go, jako artystę i myśliciela, jest bowiem istotnie bardzo piękna i nad zwykłą miarę inteligentna. Prowadzą z sobą nieskończone dysputy, które ojciec nazywa *Causeries Romaines* i znajduje w nich stałe upodobanie może i z tego względu, że takie roztrząsanie zagadnień życiowych z piękną kobietą wydaje mu się czymś czysto włoskim, godnym czasów renesansowych i poetycznym. Ja rzadko biorę w rozprawach udział, bo nie wierzę w szczerość pani Davis. Zdaje mi się, że ta istotnie niepospolita jej inteligencja jest inteligencją mózgu, nie duszy, że naprawdę nic ją nie obchodzi, prócz własnej piękności i własnych wygod. Spotykałem tu nieraz kobiety, które wydają się być pełne aspiracji, a które w gruncie rzeczy na religię, filozofię, sztukę, literaturę – patrzą jak na przybory toaletowe. Od czasu do czasu ubierają się w nie, bo sądzą, że im z tym do twarzy. Przypuszczam, że w ten właśnie sposób pani Davis ubiera się czasem w zagadnienia życiowe, czasem w Grecję i Rzym starożytny, czasem w *Boską Komedie*, czasem w Renesans, w kościoły, w galerie Borghesów lub Colonnów i tym podobnie. Rozumiem, że potężne organizacje duchowe robią ze siebie środkowy punkt świata, ale w kobietach, którym chodzi o marne rzeczy, jest to egoizm i śmieszny, i marny.

Zadawałem sobie pytanie: skąd się bierze przyjaźń – powiem więcej: afekt pani Davis dla ojca – i myślę, że znalazłem odpowiedź. Oto ojciec, ze swoją przepyszną głową patrycjusza filozofa i z manierami przypominającymi wiek XVIII, jest dla niej rodzajem *objet d'art*, a co więcej, jest wspaniałym i inteligentnym zwierciadłem, w którym pani Davis może podziwiać do woli swój rozum i swoją piękność. Jest ona mu przy tym wdzięczna za to, że patrzy na nią bezkrytycznie, że ją lubi bardzo. Być może, że na tym gruncie wyrosło i w niej nieco przywiązania do niego, a przynajmniej, że się stał jedną z jej potrzeb. Prócz tego, pani Davis ma opinię kokietki, bywając zaś codziennie u ojca, odpowiada tym samym światu: „Nieprawda, bo oto ten starzec ma lat siedmdziesiąt, nikt mnie nie może posądzić o chęć zdobycia jego

serca, a jednak okazuję mu więcej uczucia niż komukolwiek.” Na koniec, ona pochodzi wprawdzie ze starej rodziny włoskiej, ale pan Davis, mimo swego olbrzymiego majątku, jest tylko panem Davis, więc przyjaźń z ojcem wzmacnia ich stanowisko w wielkim świecie.

Był czas, żem siebie pytał: czy czasem nie ja jestem, choć w części, powodem tych codziennych wizyt? – i kto wie! W każdym razie nie moje przymioty pociągają tę kobietę, a tym mniej uczucie. Ale ona czuje, że ja patrzę na nią sceptycznie, i to ją korci. Być może, że mnie nienawidzi, ale rada by była, gdybym przed nią klęknął. Ja bym to zresztą uczynił, bo ostatecznie jest to przepyszny egzemplarz ludzkiego gatunku, uczyniłbym to choćby dla jej zrosniętych brwi i godnych Junony ramion – ale za cenę, na którą ona zgodzić się nie chce.

Zaraz po przyjeździe Davisów ojciec wszczął jakąś filozoficzną rozprawę, która przetaczając się z kwestii na kwestię skończyła się na analizie ludzkich uczuć. Davisowa wypowiedziała kilka uwag nadzwyczaj trafnych. Z pokoju muzealnego przenieśliśmy się na wewnętrzny taras, wychodzący na nasze ogrody. Dopiero dziesiąty marca, a tu już wiosna w całej potęgę. Tego roku wszystko przyśpieszone. W dzień upał; magnolie pokryte kwiatem jak śniegiem; noce ciepłe jak w lipcu. Jaki tu jednak inny świat niż w samym Płoszowie! Oddycham całą pierśią. Davisowa na tym tarasie, przy świetle księżyca w pełni, była po prostu tak piękna jak jakiś grecki sen. Widziałem, że jest pod wrażeniem tej nieopisanej rzymskiej nocy. Głos jej stał się słodszy i cichszy niż zwykle. Być może zresztą, że jak zawsze tak i teraz myślała tylko o sobie i odczuwała tylko przez siebie; że ubierała się w księżyc, ciszę, zapach magnolii jak w kapeluszu, szal, etc. Ale było jej w tym stroju nad wyraz do twarzy. Gdyby nie to, że mam serce zajęte Anielką, byłbym pod wrażeniem tego obrazu. Mówiła przy tym rzeczy, które nie każdemu mężczyźnie przyjdą do głowy.

Swoją drogą, ile razy odbywają się owe *Causeries Romaines*, zawsze mam wrażenie, że ojciec, ja, taka pani Davisowa, że wreszcie my wszyscy ludzie, należący do pewnej sfery społecznej, nie żyjemy naprawdę życiem rzeczywistym i realnym. Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń – życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze – a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My, nie wiedząc o tym, mamy zamiłowania, nerwy i dusze dobre na święto. Pograżeni w błogim dyletantyzmie, jakby w letniej kąpieli, żyjemy wpół na jawie, wpół we śnie. Przeżywając z wolna odziedziczone mienie i odziedziczony zapas sił mięśniowych i nerwowych, tracimy stopniowo grunt pod nogami. Jesteśmy jak owe puchy, które wiatr nosi. Za ledwie gdzie przypadniemy, życie realne spycha nas – i ustępujęm – bo się nie czujemy na siłach, by dać opór.

Gdy o tym myślę, uderzają mnie w nas tysiące sprzeczności. Oto uważamy się za wykwit cywilizacji, za ostatni szczebel, a straciliśmy wiarę w siebie. Tylko najgłupszy spomiędzy nas wierzą jeszcze w rację naszego bytu. W życiu szukamy instynktownie świętecznych stron, rozkoszy i szczęścia, a nie wierzymy także i w szczęście. Pesymizm nasz jest wprawdzie lekki i nikły, jak dym naszych hawańskich cygar, niemniej jednak przesłania nam on dalsze widnokręgi. W tych przesłonach, w tym dymie, tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechzycia, zamknięty w sobie – trochę czczy i senny.

I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokrację rodu lub pieniędzy, zjawisko nie byłoby zbyt ważnym. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka. Coś się stało takiego, że to wszystko nie tkwi w samej miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złączenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami.

Nie mówię o tym jak reformator, bo na to nie mam dość sił. Wreszcie, co mnie to może obchodzić? Będzie, jak musi być! Chwilami jednak miewam półjasne poczucie jakiegoś

ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze. Fala, która nas splucze z powierzchni ziemi, zabierze więcej niż ta, która splukała świat pudrowanych peruk i żabotów. Prawda, że i tamtym ludziom, gdy ginęli, wydawało się, że wraz z nimi ginie cała cywilizacja.

Tymczasem tak miło jest zasiąść niekiedy w ciepłą, księżycową noc na tarasie i rozmawiać przyciszonym głosem o sztuce, literaturze, miłości i kobietach, a przy tym patrzeć na oświecony srebrnym blaskiem boski profil takiej kobiety jak pani Davisowa.

10 marca.

Góry, skały i wieże, w miarę jak się od nich oddalamy, przesłaniają się mgłą błękitną. Za-uważałem, że istnieje pewnego rodzaju mgła psychiczna, która tak samo przesłania nam osoby oddalone. Śmierć nie jest niczym innym, jak oddaleniem, ale tak niezmiernym, że istoty, choćby najukochańsze, pogrążone w niej, tracą stopniowo swą rzeczywistość, błękitnieją i stają się tylko drogimi cieniami. Zrozumiał to geniusz grecki, zaludniając tłumem cieniów Pola Elizejskie. Nie chcę wszelako nadużywać tych smutnych porównań, skoro mam zamiar pisać o Anielce. Jestem zupełnie pewny, że uczucie moje dla niej nie zmniejszyło się, a jednak jest ona dla mnie również jakąś błękitniejszą i mniej realną, niż była w Płoszowie. Nie wyczuwam jej bezpośrednio zmysłami. W porównaniu do uczucia, jakie miałem dla niej w Płoszowie, stała mi się nieco więcej ukochaną duszą, a nieco mniej upragnioną kobietą. Jestli to lepiej czy gorzej? Z pewnego względu lepiej, bo pożądaną kobietą mogłaby mi być nawet pani Davisowa; z drugiej strony, kto wie jednak, czy to nie jest jednym z powodów, dla których nie napisałem dotąd listu do Anielki. Niezawodnie ten profil Davisowej, który nie schodzi mi z oczu, jest wrażeniem przemijającym i bez znaczenia. Owszem, gdy porównywał te dwie kobiety, przywiązanie moje do tamtej dziewczyny potęguje się pewnym rozczeniem, a mimo tego pozostawiłem ją w niepewności i przykrym oczekiwaniu. Dziś ojciec pisał do ciotki uspokajając ją co do swego zdrowia, ja zaś dopisałem słów kilka, w których zaledwie zdobyłem się na pozdrowienie dla Anielki i jej matki. W dopisku nie mogłem wprawdzie wiele więcej powiedzieć, ale mogłem przynajmniej oznajmić, że wkrótce napiszę osobno i obszernie. Taka zapowiedź byłaby balsamem dla Anielki i dla starszych pań. Nie uczyniłem i tego, bo nie byłem w stanie. Dziś znowu mój dzień odpływu. Ochota do życia i zaufanie do przyszłości cofnęły się aż hen, na krańce, tak daleko, że ich nie widać, a widać tylko dno suche i piaszczyste. Nie mogę się uporać z myślą, że wolno mi się żenić z Anielką tylko w takim razie, jeśli sumiennie będę przekonany, że ten nasz związek będzie zarazem aktem obustronnego szczęścia. Nie mogę także inaczej przedstawić go Anielce, czyniąc zaś to, popełnię kłamstwo, oszukam ją, zanim nam stulą obwiną ręce, bo tej wiary nie ma we mnie samym, jest natomiast zwątpienie o życiu w ogóle i niechęć do niego.

Jej źle w tym oczekiwaniu i niepewności, ale mnie gorzej – i tym gorzej, im głębiej ją kocham.

11 marca.

Pani Davisowa, której w czasie owej księżycowej *Causerie* powtórzyłem o wszechmocy miłości mniej więcej to samo, com poprzednio napisał w tym dzienniku, nazwała mnie Anakreontem, radziła przybrać się w girlandy dzikiego wina, a następnie spytała poważniej:

– Jeśli tak jest, to czemu pan grywasz rolę pesymisty? Wiara w takie bóstwo powinna czynić człowieka szczęśliwym.

Czemu?



Jej nie odpowiedziałem, ale sam wiem dobrze, czemu. Miłość zwycięża nawet śmierć, ale chroni przed nią tylko gatunek. A co mi z tego, że gatunek będzie zachowany, gdy Ja, ten właśnie osobnik, który miłość odczuwa, skazany jestem na nieubłaganą i niechybną zaturę? Nie jestże raczej wyrafinowanym okrucieństwem taki układ, z mocy którego to uczucie, które może być odczuwane wyłącznie przez indywiduum, służy i przydaje się na coś wyłącznie gatunkowi? Czuć w sobie drgnienia nieśmiertelnej siły i musieć umrzeć – to przecie szczyt niedoli. W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólnym i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek przeznaczonych na zagładę, ale patriotyzm swego gatunku może mieć chyba albo bardzo nieszczerzy, albo bardzo głupi doktryner. Rozumiem teraz, że po Empedoklesie przyszli na świat, po upływie wieków, Schopenhauer i Hartmann.

Mózg mój jest tak obolały, jak może być obolały grzbiet robotnika noszącego ciężary nad siły. Ale robotnik trudząc się zarabia przynajmniej na chleb i spokój.

Przypominam też sobie bezustannie słowa Śniatyńskiego:

„Tylko jej nie przefilozofuj, jak przefilozofowałeś swoje zdolności i trzydzieści pięć lat życia.” Ja wiem, że to nie prowadzi do niczego, że to jest źle – ale nie umiem nie myśleć.

*13 marca.*

Ojciec mój zmarł dziś nad ranem. Chorował zaledwie kilkanaście godzin...

*22 marca, Pegli, willa „Laura”.*

Śmierć jest taką otchłanią, że choć wiemy, iż trzeba do niej zstąpić, to jednak ilekroć zstąpi ktoś z naszych bliskich i kochanych, nam, pozostałym na brzegu, dusza się rozdziera z trwogi, żalu, rozpaczki. Wszystkie rozumowania kończą się na tej krawędzi i chce się tylko krzyknąć o ratunek, który nie może przyjść znikąd. Jedynym ratunkiem, jedyną pociechą mogłaby być wiara, ale kto nie ma tej świecy, ten może po prostu oszaleć na myśl o takiej wiecznej nocy. Dziesięć razy na dzień zdaje mi się, że to nie może być, że to nie podobna, że to byłoby zbyt straszne, gdyby śmierć kończyła wszystko – dziesięć razy na dzień mam poczucie, że tak jest.

*23 marca.*

Kiedym przyjechał z Płozowa, zastałem ojca tak dobrze, że ani mi w głowie nie powstało, żeby koniec miał być tak bliski. I co za dziwne zakręty ma w sobie natura ludzka! Bóg widzi, że znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie, a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec i siebie klęczącego przy jego trumnie, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego napróżnego żalu. Dziś wspomnienie o tym stało się gorzkie i dokucza mi jak wyrzut.

Jak głęboko nieszczęśliwy jest człowiek, którego serce i dusza straciły prostotę! Oto niemniej gorzkim, niemniej podobnym do wyrzutu jest dla mnie wspomnienie, że gdy ojciec konał, było we mnie dwóch ludzi: jeden syn, który bolał szczerze i gryzał palce, by potłumić szlochanie; drugi mędrak, który badał psychologię śmierci. Jestem po prostu niewypowiedzianie nieszczęśliwy, bo natura moja jest nieszczęśliwa.

Ojciec umierał zupełnie przytomnie. W sobotę w wieczór czuł się nieco gorzej. Posłałem po doktora, by na wszelki wypadek był w domu. Ten przepisał jakieś lekarstwo, o które ojciec począł zaraz z nim wojować dowodząc, że środek ten może przyspieszyć atak. Doktor uspokoił mnie, oświadczywszy, że jakkolwiek, gdy chodzi o chorego, który raz miał już atak paraliżu, nigdy nie można być pewnym, czy nie przyjdzie drugi – jednakże nie sądzi, by niebezpieczeństwo było nagłe – i przypuszcza, że ojciec może żyć nawet kilkanaście lat. O tych kilkunastu latach powiedział i ojcu, który machnął na to ręką i powiedział: „Zobaczmy!” Że jednak przez całe życie miał zwyczaj drażnić się z doktorami i dowodzić nicości medycyny, nie brałem tego do serca. Tymczasem koło dziesiątej, w czasie herbaty, podniósł się nagle i zawołał:

– Leonie! prędko do mnie!...

W kwadrans później leżał w łóżku, a w godzinę rozpoczęło się konanie.

24 marca.

Przekonałem się, że człowiek do ostatniej chwili zachowuje wszystkie cechy swego charakteru, a nawet swe oryginalności. Oto ojciec w całej tej uroczystej powadze myśli, jaką daje zbliżanie się śmierci, okazywał jeszcze jakoby pewne zadowolenie miłości własnej z tego, że to doktor się pomylił, nie on – i że niewiara jego w medycynę była uzasadniona. Słuchałem tego, co mówił w ostatnich godzinach, a prócz tego czytałem myśli w jego twarzy. Było w nich przejęcie się ważnością chwili, była ciekawość, jakie też jest to drugie życie; ani cienia wątpliwości, że ono może nie istnieć – natomiast trochę niepokoju, czy go tam dobrze przyjmą, w połączeniu z jakąś bezwiedną, powiem: naiwną pewnością, że jednak nie przyjmą go jak byle kogo. Ja nie będę tak umierał, bo nie mam takich podstaw życiowych, które by mi wystarczyły nawet w godzinę śmierci. Ojciec rozstawał się z życiem z głęboką wiarą i skruczą prawdziwego chrześcijanina. W chwili gdy przyjmował Najświętszy Sakrament, był tak czcigodny i tak po prostu święty, że obraz jego pozostanie mi na zawsze w pamięci.

Jaki marny, jaki nędzny wydaje mi się mój sceptycyzm w porównaniu z tą ogromną siłą wiary, która potężniej jeszcze niż miłość umie tryumfować nad śmiercią, i to właśnie w chwili, gdy ta gasi życie. Po przyjęciu komunii i ostatnim namaszczeniu ogarnęło ojca rozrzewnienie. Chwycił mocno, prawie konwulsyjnie, moją rękę i nie puszczał jej, jakby się chciał zaczepić jeszcze o życie. Ale nie czynił tego ze strachu ni rozpacz: nie bał się nic a nic – po chwili spostrzegłem, że oczy jego, ciągle we mnie wpatrzone, stają się nieruchome i mętne, a czoło pokrywa się jakby rosą; twarz bieleła mu coraz bardziej, otworzył kilkakrotnie usta, jakby łowiąc oddech – i westchnąwszy głęboko po raz ostatni – zgasł.

Nie byłem przy balsamowaniu ciała – nie miałem na to dość sił, ale po skończeniu balsamowania nie opuściłem zwłok ani na chwilę, bom nie chciał, by ubierając je do trumny, postępowano z nimi jak z rzeczą. Jaki straszny jest cały obrządek pogrzebowy: te katafalki, świece, bractwa w kapturach na twarzy, śpiewy! Do tej pory mam jeszcze w uszach: *Anima eius* i *Requiem aeternam*. Wieje z tego istotnie ponury i przestraszony duch śmierci! Zwłoki wyprowadziliśmy z Santa Maria Maggiore – i tam ostatni raz rzuciłem wzrokiem na tę twarz drogą i wspaniałą. Campo Santo wygląda już jak wyspa zielona. Wiosna tego roku bardzo wczesna. Drzewa kwitną, a białe marmury grobowców kąpią się w słońcu. Jakie przeraźliwie smutne zestawienie tego budzącego się życia, tej zieleni, słońca i zgiełku ptactwa – z pogrzebem. Tłumy ludu szły aż na cmentarz, bo ojciec tak znany był w Rzymie ze swej dobroczynności, jak ciotka znaną jest w Warszawie. Mnie jednak drażnił ten napływ gawiedzi, na której twarzach odbijało się ożywienie i nastrój wiosenny. Tłumy, zwłaszcza we Włoszech, robią sobie ze wszystkiego widowisko – i tym razem zgromadziło je nie tyle współczucie, ile ciekawość widzenia okazałego pogrzebu. Egoizm ludzki nie zna granic, i jestem przekonany, że

nawet ludzie moralnie i umysłowo wyrobieni, gdy towarzyszą pogrzebom, towarzyszą im z pewnym uczuciem bezwiednego zadowolenia, że to kogo innego spotkało i że nie ich grzebią.

Ciotka przyjechała, bom ją wezwał depeszą. Ale ona, ze stanowiska swej niewzruszonej wiary, patrzy na śmierć jak na zmianę w istocie swej najszcześniejszą ze wszystkich, więc przyjęła cios, jaki nas spotkał, daleko spokojniej ode mnie. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie płakać szczerze przy trumnie brata, ale nie odjęło jej pogody. Potem miała ze mną rozmowę bardzo serdeczną i pocziwą, którą jednak na razie wziętem na opak, czego dziś żałuję. Nie wspomniała ani słowem o Anielce, mówiła tylko o moim przyszłym osamotnieniu – i ciągnęła mnie koniecznie do Płoszowa upewniając, że tam mi się sieroctwo mniej wyda ciężkim, bo znajdę kochające serca, a przede wszystkim jej stare serce, które mnie jednego kocha na świecie. Ja widziałem w tym tylko chęć prowadzenia dalej swatów, co wobec świeżej śmierci ojcowskiej wydało mi się niewłaściwym i rozdrażniło mnie mocno. Nie do życia mi teraz, nie do oświadczeń i ślubów, gdy pada na mnie jeszcze cień śmierci! W rozżaleniu odmówiłem stanowczo, a nawet nieco szorstko. Powiedziałem ciotce, że wyjadę w podróż, prawdopodobnie na Korfu, potem wrócę na jakieś parę tygodni do Rzymu dla uregulowania spadku, i dopiero następnie przyjadę do Płoszowa.

Na razie nie nastawała. Odczuwając mój żal, była nawet dla mnie tak pełna słodyczy jak nigdy. Odjechała w trzy dni po pogrzebie. Ja do Korfu nie wyjechałem, ale natomiast Davisowie zabrali mnie do swej willi w Pegli, gdzie bawię od kilku dni. Czy pani Davisowa jest szczerą, czy nieszczerą – nie wiem i nie chcę nawet w to wchodzić; wiem tylko to, że żadna siostra nie mogłaby mi okazać więcej współczucia i troskliwości. Ze swoją zatrutą przez sceptycyzm naturą gotówem zawsze wszystkich podejrzewać, ale gdyby się pokazało, że się tym razem mylę, będę się czuł wobec tej kobiety prawdziwie winny, bo dobroć jej dla mnie przechodzi istotnie zwykłą miarę.

*26 marca.*

Okna moje wychodzą na te niesłychane błękity Śródziemnego Morza, zamknięte na krańcach pasmami ciemnego szafiru. W pobliżu willi zmarszczona fala lśni się na kształt ognistej łuski, dal zaś jest gładka, cicha, jak gdyby ukojona w swym błękicie. Łacińskie żagle rybackich łodzi bielą się tu i owdzie; raz na dzień zaś przechodzi parowiec z Marsylii do Genui, wlokąc za sobą puszystą kiść dymu, która czernieje jak chmura nad morzem, zanim się rozejdzie i rozproszy. Wypoczynek tu ogromny. Myśl rozprasza się na podobieństwo owego dymu między dwoma błękitami, i człowiek istnieje jakimś błogim istnieniem roślinnym. Wczoraj byłem bardzo zmęczony, ale dziś wciążam pełnymi pierściami świeży powiew morski, osadzający wilgotne atomy soli na moich ustach. Bądź co bądź ta Riwiera jest jednakże arcydziełem boskim. Wyobrażam sobie, jakie teraz muszą być szarugi w Płoszowie, jakie ciemności, jakie nagle marcowe przeskoki od zimna do ciepła, od śnieżnej kaszy, sypiącej się z przelotnych chmur, do krótkich przebłysków słońca. Tu niebo świetliste, pogodne; powiew morski, który w tej chwili chłodzi mi czoło, zdaje się po prostu je całować; upajający zapach rezedy, heliotropów i róż bije przez otwarte okno z ogrodowych klombów jak z kadzielnicy. Zaczarowany kraj, „gdzie cytryna dojrzewa”, a po trochu i zaczarowany pałac, wszystko bowiem, na co mogły złożyć się miliony Davisa i wyborny smak jej, znajduje się w tej willi. Otaczają mnie arcydzieła sztuki: obrazy, posągi, nieporównane okazy ceramiki, złotnicze dzieła Benvenuto. Oczy, upojone naturą, poją się sztuką, i wzrok nie wie, gdzie ma spocząć, chyba że spocznie na tej przepysznej pogance, pani tych wszystkich skarbów, której jedyną religią jest piękno.

Ale niesłusznie zowie ją poganką, bo powtarzam, że szczerze czy nieszczerze dzieli jednak mój smutek i stara się go łagodzić. Rozmawiamy całymi godzinami o ojcu i często widują łzy w jej oczach. Spostrzegłszy, że muzyka koi moje potargane nerwy, grywa do późna w noc.

Nieraz siadam po ciemku w swoim pokoju, patrzę trochę bezmyślnie przez otwarte okno na podziwiane w srebrną siatkę morze i słucham tych tonów zmieszanych z pluskiem fal, słucham aż do zapamiętania się, aż do półsnu, w którym zapominam o rzeczywistości i jej strapieniach.

29 marca.

Nie chce mi się nawet i pisywać codziennie. Czytujemy razem *Boską Komedią*, a raczej tylko ostatnią jej część. Niegdyś bardziej mnie pociągała pełna straszliwej grozy plastyka *Piekła*; obecnie z lubością zanurzam się w tej świetlistej mgie, zaludnionej jeszcze świetlistszymi duchami która przepelnia dantejskie *Niebo*. Czasem zdaje mi się, że widzę wśród tych promieni znajome mi, kochane rysy, i żal mój staje się wówczas prawie słodki. Teraz dopiero zrozumiałem wszystkie piękności *Nieba*. Jednakże nigdy duch ludzki nie roztoczył tak szeroko skrzydeł, nie objął takich ogromów, nie zapożyczył się tak u nieskończoności, jak w tym nieśmiertelnym i wielkim poemacie. Onegdaj, wczoraj i dziś czytaliśmy w łodzi. Odjeżdżamy zwykle bardzo daleko; wówczas, jeśli cisza jest zupełna, zsuwam żagiel i czytamy kołysani przez fale, a raczej ona czyta, ja tylko słucham. Wczoraj całe niebo oblało się po zachodzie słońca czerwonym blaskiem; ona siedziała naprzeciw mnie i czytała, jakby natchniona, wznosząc od czasu do czasu oczy, w których odbijało się światło zorzy. W tych lunach zachodu, daleko od brzegu, na tej łodzi, widząc przed sobą tę przepiękną kobietę i słuchając Danta, miałem po prostu złudzenie, że nie żyję życiem rzeczywistym.

30 marca.

Czasem żal, który zdawał się już usypiać, budzi się we mnie z nową siłą. Chce mi się wówczas stąd uciekać.

31 marca, willa „Laura”.

Myślałem dziś dużo o Anielce. Mam szczególniejsze uczucie, jakby nas rozdzieliły lądy i morza. Zdaje mi się, że Płozów leży gdzieś w hiperborejskich krainach, na krańcu świata. Jest to złudzenie tego rodzaju, w którym osobiste wrażenia poczytuje się za przedmiotowy stan rzeczy. To nie Anielka jest daleką ode mnie, tylko ja oddalam się coraz bardziej od owego Płozowskiego, który poprzednio miał nią napelnione wszystkie myśli i serce. Nie idzie za tym, żeby uczucie moje dla niej miało zgasnąć zupełnie. Analizując je, dostrzegam jednak, że straciło ono swój charakter czynny. Przed kilku tygodniami kochając chciałem czegoś; obecnie kochając niczego nie chcę. Śmierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak samo byłoby na przykład, gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego. Ale to nie dosyć! Wszystkie władze mego ducha były do niedawna napięte jak cięciwa łuku, a teraz, pod wpływem zmartwień, wielkiego znużenia, pod wpływem tego słodkiego klimatu, tych błękitów, tego morza, które kołysze jak do snu, przeszły w stan folgi. Żyję, jak powiedziałem, życiem roślinnym; wypoczywam jak człowiek niezmiernie utrudzon i ogarnia mnie drzemka, jak gdybym był ciągle zanurzony w ciepłej kąpieli. Nigdy nie czułem się mniej zdolny do jakichkolwiek przedsięwzięć, i sama myśl o nich jest mi przykrą. Obmyślając sobie hasło, obmyśliłbym: „Nie budźcie mnie!”

Co będzie, jak się zbudzę – nie wiem. Teraz jest mi smutno, ale dobrze: więc i nie chcę się budzić, i nie poczuwam się do obowiązku. Rzeczywiście, aż mi samemu trudno sobie wyobrazić, jak daleki jestem od owego Płozowskiego, który czuł się związanym wobec Anielki.

Związanym? – czym? z jakiego powodu? – co między nami zaszło? Jedno przelotne, prawie niepochwytnie dotknięcie ustami jej' czoła – dotknięcie, które aż nadto dobrze może być między tak bliskimi krewnymi usprawiedliwione stosunkiem rodzinnym... To są śmieszne skrupuły. Czy to ja na takie węzły wiązywałem nieraz stosunki, których zerwanie nie sprawiło mi potem żadnych wyrzutów? Gdybym nie był jej krewnym – nie mówię! Ona wprawdzie inaczej wówczas rozumiała; ja, który nie oszukuję się nigdy, wyznaję, że także rozumiałem inaczej, ale... A więc, niech i tak będzie! niech mam tę szpilkę w sumieniu. Małoż to na świecie spełnia się w każdej godzinie występków, wobec których ten zawód, jaki sprawiłem Anielce, wydaje się istnym dzieciństwem? Sumienie może się zajmować podobną winą tylko w takim razie, gdy pozwala sobie wprost na zbytek, nie mając nic lepszego do roboty. Tego rodzaju występki mają się tak do prawdziwych, jak nasze próżniacze rozmowy na tarasach do trudnej i ciężkiej rzeczywistości życia.

Zresztą, nie przewiduję, co będzie, tylko przede wszystkim chcę teraz spokoju i wolę o niczym nie myśleć. „Nie budźcie mnie!” Dziś przy obiedzie była mowa, że w połowie kwietnia, gdy poczną się upały, opuścimy Pegli i pojedziem do Szwajcarii. Nawet i to mnie przestrasza. Zdaje się, że biednego Davisa żona będzie musiała umieścić w jakimś zakładzie. On po prostu ma początki pomieszenia. Po całych dniach milczy i patrzy w ziemię, od czasu do czasu tylko spogląda na swe paznokcie, bo ma stałą obawę, że mu odpadają. Są to skutki szalonego życia i morfiny.

Kończę pisać, zbliża się bowiem godzina naszej przejażdżki po morzu.

*2 kwietnia.*

Wczoraj była burza. Wicher południowy spędził chmury jak tabun koni. Czas jakiś targał je i szarpał, zganiał i rozganiał pod niebem, potem wziął je pod siebie i zwałił z całych sił na morze, które pociemniało w mgnieniu oka jak twarz człowieka w gniewie i poczęło na odwet ciskać pianą do góry. Istna walka dwóch wściekłości, które uderzając na siebie wzajem, wydają grzmoty i błyskawice. Ale wszystko to trwało krótko. Nie jeździliśmy jednak na naszą zwykłą wycieczkę – fale zbyt były rozkołysane. Patrzyliśmy natomiast na burzę z oszklonego balkonu, a czasem patrzyliśmy na siebie. Trudno się ludzi dłużej! Między nami coś się staje, coś się poczyna dziać. Żadne z nas nie wyrzekło ani słowa wychodzącego poza granicę zwykłej przyjaźni, żadne nie wyznało nic; a jednak, gdy odzywamy się do siebie, czujemy, że słowa nasze są tylko zagadywaniem czegoś innego. Tak samo się dzieje, gdy jeździmy na morze, gdy czytamy razem, gdy słucham jej grającej. Wszystkie te czynności nasze wydają się jak pozory, jak nieszczerze formy zewnętrzne, pod którymi ukrywa się i czai jakaś inna tajemnicza istota rzeczy, dotąd niema i z osłonioną twarzą, ale zawsze obecna, chodząca jak cień za nami. Żadne z nas nie chce dotąd jej nazwać – czujemy jednak ciągle jej obecność. Zjawisko to powtarza się prawdopodobnie stale, ilekroć mężczyzna i kobieta poczynają działać wzajem na siebie. Kiedy zaczęło się ono dla nas, nie umiem ściśle powiedzieć; wyznaję wszelako, że nie przyszło całkiem niespodzianie.

Przyjąłem gościnność Davisów, bo ona była przyjaciółką ojca i okazała mi tyle współczucia po jego śmierci jak nikt w Rzymie. Posiadam jednak tyle świadomości i tak się umiem dzielić, że zaraz po przybyciu tutaj, pomimo świeżej boleści, miałem poczucie, że między mną a tą kobietą przyjdzie do jakichś zmian w stosunku. Oburzałem się na siebie, że niemal nazajutrz po śmierci ojca mogę znaleźć w myśli miejsce na podobną świadomość, ałem ją miał. Dziś sprawdzają się tylko moje przewidywania. Jeśli się przy tym wyraził, że nasz zmieniony stosunek ma osłonioną twarz, to tylko dlatego, że nie wiem, kiedy przełom nastąpi i w jakiej formie – ale treści domyślałem się i jestem pod urokiem tych domysłów. Byłbym też naiwny, gdybym przypuszczał, że ona ma mniej pod tym względem świadomości ode mnie. Prawdopodobnie ma więcej. Prawdopodobnie ona kieruje tymi zmianami i wszystko, co się

dzieje, dzieje się z jej woli i chłodnego rozmysłu. Diana-łowczyni rozciąga sieci na zwierza! Ale co mi to szkodzi? co mam do stracenia? Jak każdy prawie mężczyzna jestem tego rodzaju niebezpieczną zwierzyną, która pozwala polować na się tylko dlatego, by sama mogła w stosownej chwili rzucić się na myśliwca. W takich wypadkach wszyscy mamy dość energii. Są to zapasy, w których z natury rzeczy zwycięstwo musi pozostać przy nas. Wiem doskonale, że Davisowa mnie nie kocha, ale i ja jej nie Kocham. Oddziaływanie nasze wzajem na siebie jest w najlepszym razie oddziaływaniem dwóch pogańskich natur, wysoce artystycznych i zmysłowych. W niej gra także i miłość własna, ale to tym gorzej dla niej, bo w takiej grze można się zapamiętać i dojść tam, dokąd miłość prowadzi.

Ja nie zajdę za daleko. W uczuciach moich dla niej nie ma wcale ani przywiązania, ani tkliwości, jest tylko zachwyt dla arcydzieła i pociąg, naturalny w mężczyźnie, gdy podziwiane arcydzieło jest żywą kobietą. Ojciec mówił, że szczytem zwycięstwa dla nas jest zmienić anioła w kobietę; ja sądzę, że niemniejszym tryumfem dla mężczyzny byłoby uczuć owinięte koło swej szyi ciepłe ramiona florenckiej Wenus.

Pod tym względem ta kobieta jest ostatnim słowem tego, czego wyobraźnia najbardziej wyrafinowana i najbujniejsza może pożądać. Jest to Fryne. Można stracić istotnie zmysły, gdy się ją widzi na przykład w amazonce tak opiętej, że wszystkie kształty jej ciała są prawie równie widoczne jak kształty posągu. Na łodzi, czytając Danta, wygląda po prostu jak Sybilla – i rozumie się wówczas świętokradzką namiętność Nerona! Jest tak piękna, że niemal złowroga w swej piękności. Tylko zrosnięte czarne brwi czynią z niej współczesną, dzisiejszą kobietę – ale drażnią tym więcej. Ma ona zwyczaj, poprawiając włosy, zakładać obie dłonie w tył głowy; wówczas ramiona jej się podnoszą, cała postać wygina się, pierś podaje się naprzód – i trzeba wysiłku woli, by jej nie porwać, nie unieść na rękach i nie zanieść daleko od ludzkich oczu.

W każdym z nas siedzi ukryty Satyr. Co do mnie, jestem, jak powiedziałem, człowiekiem wyjątkowo wrażliwym – toteż, gdy pomyślę, że między mną a tym żywym posągiem Junony zaczyna się coś dziać, że jakaś siła popycha nas nieubłaganie ku sobie, doznaję nieledwie zawrotu głowy i pytam się: co doskonalszego może mnie spotkać w życiu?

*3 kwietnia.*

Ile tylko kobieta może okazać współczucia i troskliwości przyjacielowi, którego spotkała ciężka strata, tyle mi ich ona okazuje. A jednak, dziwna rzecz, dobroć ta sprawia mi wrażenie księżycowego światła: ma blask – bez ciepła; posiada wszystkie udoskonalone formy, tylko brak jej duszy; płynie z postanowienia, nie z natury. Mówi przede mną znów sceptyk, ale ja się nigdy tak nie upoję, żebym miał w tym upojeniu zatracić nawet swą zdolność spostrzegawczą. Gdyby ta bogini była dobrą, byłaby dobrą dla wszystkich. Tymczasem – na przykład stosunek jej z mężem nie pozostawia mi co do jej serca żadnych złudzeń. Nieszczęśliwy Davis ma wprawdzie i krew tak wystygłą, że mu zimno nawet na skwarze słonecznym, ale też jakże mu zimno przy niej! Nie widziałem w niej nigdy iskry współczucia dla jego nędzy. Ona go po prostu nie widzi i nie uznaje. Ten milioner chodzi wśród przepychu, jaki go otacza, taki biedny, aż litość bierze. Jest on niby zubożetniały na wszystko, ale człowiek, póki ma choć trochę przytomności, odczuwa jednak dobroć. Najlepszym tego dowodem, iż Davis okazuje mi pewną wdzięczność za to tylko, iż czasem rozmawiam z nim o jego zdrowiu.

Może też kieruje nim ten bezwiedny pociąg, na mocy którego istota słaba i bezradna garnie się do silniejszej-Ja istotnie, gdy widzę jego kredową twarz, niewiększą od mojej pięści, jego nogi podobne do lasek, jego drobną postać otuloną nawet w upały ciepłym pledem, lituję się nad nim szczerze. Nie chcę wszelako nawet przed sobą udawać lepszego, niż jestem. To współczucie nie powstrzyma mnie od niczego. Kleń dlatego żyje, jak powiada Szekspir, aby się stał pastwą szczupaka. Uderzało mnie to nieraz, że gdy chodzi o kobietę, mężczyźni stają

się względem siebie bezlitośni; jest to w nas szczątkowy instynkt zwierzęcy, nakazujący walkę na śmierć i życie o samiec. W takiej walce, jakkolwiek przybrała ona między ludźmi odmienną postać, biada słabszym! Nawet honor nie jest w niej hamulcem; potępia ją bezwzględnie tylko jedna religia.

*12 kwietnia.*

Nie pisałem blisko dziesięć dni. Przełom nastąpił już od tygodnia. Spodziewałem się z góry, że to będzie miało miejsce na morzu. Tego rodzaju kobiety jak Laura nawet w chwilach zapomnienia nie zapominają o odpowiednim tle. Jeżeli bowiem nawet dobre uczynki spełniają tylko dlatego, że im z tym pięknie, tym bardziej potrzeba im piękna w upadku. Łączy się z tym zamiłowanie nadzwyczajności, które płynie nie z poezji tkwiącej w ich duszach, ale z chęci przyozdobienia się wszystkim, co tylko może być ozdobą. Nie straciłem głowy tak dalece, abym miał zmienić swe zdanie o Laurze, lubo doprawdy nie wiem, czy ona nie ma prawa być taką, jak jest, i uważać, że nawet słońce i gwiazdy istnieją tylko dlatego, by mogła się w nie ubrać. Bezwzględna piękność musi być z natury rzeczy niezmiernym egoizmem, który podporządkowuje sobie wszystko. Laura jest wcieleniem takiej piękności, i nikt nie ma prawa wymagać od niej więcej nad to, by była zawsze i wszędzie piękna – ja przynajmniej nie wymagam więcej...

Błogosławię moją biegłość żeglarską, dzięki której w wycieczkach naszych na łodzi możemy być sami. Tydzień temu Laura powiedziała mi w czasie największego upału, że chce jechać na morze. Ona kocha się w skwarze słonecznym, jak Hekate. Lekki powiew odepchnął nas wkrótce dość daleko od brzegu i ucichł nagle. Łaciński nasz żagiel opuścił się wzdłuż masztu. Blaski słońca, odbijając się o wygładzoną na kształt lustra toń, powiększały jeszcze znój dnia, choć godzina była popołudniowa. Laura rzuciła się na indyjskie maty wyściełające dno statku i wsparłszy głowę na poduszkach, pozostała bez ruchu, zanurzona w czerwonym świetle promieni precedzonych przez baldachim łodzi. Opanowało mnie dziwne lenistwo, a jednocześnie na widok tej kobiety, której greckie kształty rysowały się pod lekką odzieżą, przejmował mnie dreszcz zachwytu. I w niej była jakaś ociężałość; oczy miała zamglone, usta wpółotwarte, w całej postaci niemoc i bezwładność. Gdy ogarniał ją wzrokiem, przemykała powieki, jakby mi chciała powiedzieć: „Otom jest słaba...”

I wkrótce zdałem statek na wolę morza.

Późno bardzo wróciliśmy do willi, i ten nasz powrót pozostanie mi długo w pamięci. Po zachodzie słońca, w czasie którego niebo i morze stopiły się w jeden blask bez granic i rozdziału, nastąpiła noc tak cudna, że drugiej podobnej nie widziałem nigdy na Riwierze. Z toni podniósł się ogromny czerwony księżyc i nasycił ciemności łagodnym światłem, a zarazem rzucił na morze lśniący, szeroki gościnniec, po którym płynęliśmy do brzegu. Morze wzdymało się lekko zwykłym nocnym ruchem, podobnym do głębokich westchnień. Z małego portu dochodziły nas głosy ligurskich rybaków, śpiewających chórem pieśni. Powiew wstał znowu, ale szedł od lądu, niosąc zapach pomarańczowego kwiatu. Jakkolwiek nie umiem zatopić się całkowicie w żadnym wrażeniu, byłem jednak pod czarem owej niezmiernej słodczy unoszącej się nad lądem i nad morzem, osiadającej jak rosa na przedmiotach i na duszach. Chwilami patrzyłem na tę piękną jak Helena kobietę, która bielila się przede mną w świetle księżycy, i miałem po prostu złudzenie, że żyjemy w greckich czasach, że płyniem gdzieś do świętych gajów oliwnych, w których spełniają się tajemnice eleuzyjskie. Uniesienia nasze wydawały mi się nie tylko porywem zmysłów, ale jakimś kultem, jakimś mistycznym związkiem z tą nocą, z tą wiosną, z całą naturą.

15 kwietnia.

Przyszła termin naszego wyjazdu, ale nie wyjeżdżamy. Moja Hekate nie boi się słońca; Davisa ono leczy, a mnie tak samo będzie w Szwajcarii, jak jest tu. Przychodzi mi dziwna myśl do głowy; nieco się przed nią wzdram, ale wypowiadam ją otwarcie: oto wydaje mi się czasem, że dusza chrześcijanina, choćby w nim źródło wiary wyschło zupełnie, nie może żyć samą pięknnością formy. Jest to dla mnie wprost smutne odkrycie, bo jeśli się sprawdzi, wówczas usunie mi spod nóg ten grunt, na którym stoję obecnie. Ta myśl mi jednak wraca. My jesteśmy ludźmi innej kultury. Dusze nasze mają pełno gotyckich strzelistości a załamania, których się nigdy nie pozbędą, a których nie miały dusze greckie. Nasze piętrzą się instynktownie ku górze, ich – rozciągały się z pogodą i prostotą nad ziemią. Ci z nas, w których kołace się silniej niż w innych duch Hellady, potrzebują wprowadzić pięknność do życia i poszukują jej skwapliwie, ale i ci jednak bezwiednie żądają, by Aspazja miała oczy Beatryczy Danta. Podobne żądania tkwią i we mnie. Gdy sobie pomyślę, że to przepyszne zwierzę ludzkie – Laura – należy do mnie i będzie należało, póki zechcę, ogarnia mnie zupełna i podwójna radość: mężczyzny i czciciela piękna; a jednak czegoś mi brak i czegoś mi duszno. Na ołtarzu mojej świątyni greckiej stoi marmurowa bogini – ale mój gotyk jest pusty. Uznaję, że spotkało mnie coś graniczącego niemal z doskonałością, nie mogę tylko obronić się myśli, że ta doskonałość wlecze za sobą cień. Sądziłem dawniej, że Goethowskie słowa: „Bądźcie podobni bogom i zwierzętom” – ogarniają życie i są ostatnim wyrazem jego mądrości; teraz oto, gdy przykazanie to spełniam, czuję, że w nim brak anioła.

17 kwietnia.

Davis znalazł mnie dziś siedzącego na taburecie u nóg Laury, z głową opartą o jej kolana. Z jego bezkrwistej twarzy i przygasłych oczu nie zszedł ani na sekundę wyraz obojętnego przygnębienia. W swoich miękkich pantoflach, zahartowanych indyjskimi słońcami, przesunął się cicho jak duch i wszedł do przyległej biblioteki. Laura była wspaniała, gdy jej źrenice zaświeciły niepohamowanym gniewem. Ja, podniósłszy się, czekałem, co nastąpi. Przyszło mi do głowy, że Davis wyjdzie może z biblioteki z rewolwerem w ręku. Miałem zamiar wyrzucić go w takim razie przez okno, razem z jego pledem, rewolwerem i indyjskimi pantoflami. Ale nie wyszedł. Czekałem długo i na próżno. Nie wiem, co tam robił: czy rozmyślał nad swoją nędzą, czy płakał, czy też pozostał zupełnie obojętny. Zeszliśmy się we troje dopiero przy śniadaniu i siedzieliśmy, jak gdyby nic nie zaszło. Może przez wyobraźnię tylko zdawało mi się, że Laura ciska na niego groźne spojrzenia, w apatii zaś jego jest jakiś wyraz boleśniejszy niż zwykle. Wyznaję, że takie rozwiązanie sprawy było mi bardziej przykre niż każde inne. Twarz tę widziałem potem przez cały dzień, i teraz oto staje przede mną jak niemy wyrzut. Nie jestem zawadiaką, ale gotów jestem odpowiadać za to, co czynię; ostatecznie jestem szlachcicem i wolałbym, żeby ten człowiek nie był takim małym, chorym, bezbronnym, słowem – takim nieszczęśliwym cherlakiem. Doznaję paskudnego uczucia, jak gdybym wypożyczował paralityka – i rzadko kiedy czułem dla siebie taki niesmak.

Pojechaliśmy jednak jak zwykle na morze, nie chciałem bowiem, by Laura myślała, że nie śmiem tego czynić ze względu na Davisa; ale tam po raz pierwszy zaszło między nami nieporozumienie. Wypowiadałem się jej z moich skrupułów, gdy zaś zaczęła je wyśmiewać, powiedziałem jej wprost:

– Nie jest ci do twarzy z tym śmiechem, a pamiętaj, że wolno ci wszystko czynić, z wyjątkiem tego, co ci nie do twarzy.

Wówczas ona zmarszczyła swoje zrosnięte brwi i odrzekła z goryczą:

– Po tym, co między nami zaszło, jeszcze bezkarniej możesz ubliżać mnie niż Davisowi.



Wobec tego rodzaju wymówki nie pozostawało mi nic, jak ją przeprosić, toteż wkrótce zapanowała między nami zgoda, i Laura poczęła mówić o sobie. Miałem raz jeszcze dowód jej bystrości. W ogóle, ile znałem kobiet, wszystkie w pewnych warunkach okazywały nieprzewyciężoną chęć opowiadania swoich dziejów. Nie biorę im tego za złe, bo dowodzi mi to tylko, że odczuwają one potrzebę usprawiedliwienia się we własnych i naszych oczach, której my nie odczuwamy zupełnie. Swoją drogą, nie spotkałem nigdy kobiety ani tak rozumnej, by w owych wyznaniach zachowała odpowiednią artystyczną miarę, ani tak prawdomównej, by nie pozwoliła sobie kłamać dla lepszego usprawiedliwienia siebie. Powołuję się w tym na świadectwo wszystkich mężczyzn, którzy przy sposobności mogą zarazem potwierdzić, że podobne dzieje upadku są zawsze bajecznie do siebie podobne, zatem niepospolicie nudne. Laura poczęła mówić o sobie także z pewnym skwapliwym zadowoleniem, ale na tym ograniczyło się jej podobieństwo do innych upadłych aniołów. W tym, co mi mówiła, było może nieco pozy na oryginalność, żadnej – na ofiarę. Wiedząc, że ma przed sobą sceptyka, nie chciała narażać się na pobłażliwy uśmiech niedowiarstwa. Szczerość jej graniczyła z zuchwałością, a graniczyłaby niemal z cynizmem, gdyby nie była swego rodzaju życiowym systemem, w którym estetyka zastępowała całkowicie etykę. Wołała, żeby życie jej miało kształty Apollina niż garby poliszynela – oto jej filozofia! Za Davisa poszła nie wprost dla jego milionów, ale dlatego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy ludzkiej, ozdobne, i to nie w pospolitym, ale w najwyższym, artystycznym znaczeniu tego słowa. Zresztą, nie poczuwa się względem męża do żadnych obowiązków, bo go z góry o wszystkim uprzedziła; ma dla niego tyle samo litości, ile wstrętu – ponieważ zaś jest zupełnie na wszystko obojętny, więc nie potrzebuje się z nim więcej liczyć, niż jak gdyby już umarł. Dodała przy tym, że w ogóle nie liczy się z niczym, co sprzeciwia się piękności i ozdobie życia. Względy towarzyskie mało ją obchodzą, i myliłbym się, gdybym sądził inaczej. Ojcu memu okazywała przyjaźń nie dla jego-stosunków, ale dlatego, że widziała w nim arcydzieło natury. Mnie kochała od dawna. Rozumie, że więcej bym ją cenił, gdybym ją trudniej zdobył, ale nie chciała targować się z własnym szczęściem.

Dziwne wrażenie robiły na mnie tego rodzaju zasady, Wygłaszane przez te cudna usta głosem miękkim, pogodnym, pełnym metalicznych drgań. Mówiąc, ogarniała suknię wokół swych nóg, jakby chcąc zrobić obok miejsce dla mnie. Chwilami goniła oczyma przelatujące mewy, to znów zwracała je na moją twarz, ciekawa, co na niej wyczyta-Ja słuchałem z zadowoleniem jej słów, stanowiły bowiem dowód, że tę kobietę odgadł. Było jednak w nich i coś zupełnie dla mnie nowego. Oto, mimo całego uznania, jakie miałem dla jej rozumu, sądziłem, że czyny jej są więcej instynktowe, że płyną przeważnie z jej natury; nie przypuszczałem, żeby była zdolną wymyślić cały system dla poparcia i usprawiedliwienia popędów swojej natury. Poniekąd uszlachetniło ją to w moich oczach, okazało się bowiem, że tam, gdzie ja podejrzewałem ją o rozmaite mniej więcej płaskie wyrachowania, ona postępowała tylko zgodnie ze swą zasadą – być może złą i nawet straszną – ale bądź co bądź zasadą. Zdawało mi się na przykład, że ma ukryty zamiar wyjść za mnie po śmierci Davisa – teraz dowiodła mi, że byłem w błędzie. Sama zaczęła o tym mówić. Wyznała, że gdybym zażądał jej ręki, prawdopodobnie nie miałyby siły odmówić, bo mnie więcej kocha, niż myślę (tu, jakom żyw, widziałem ciepły rumieniec oblewający jej twarz i szyję); wie jednak, że to nigdy nie nastąpi; jest pewna, że prędzej-później opuszczę ją z lekkim sercem, ale cóż stąd? Oto pograża ręce w wodzie i czuje chłód rozkoszny: czy dlatego ma się pozbawiać tej rozkoszy, iż wie, że za chwilę słońce wypije chłodną wilgoć z jej rąk?

Tak mówiąc przechyliła się przez łódź, przy czym tors jej zarysował się w całej swojej niepokalanej doskonałości – i zanurzywszy dłonie, wyciągnęła je następnie ku mnie, mokre, zaróżowione, przeświecające słońcem.

Więc pochwyliłem te mokre dłonie – ona zaś, jakby do wtóru moim wrażeniom, ozwała się słodkim, pięściwym głosem:

– Pójdź!...

20 kwietnia.

Wczoraj nie widziałem Laury cały dzień, bo była niezdrowa. Przeziębła się, siedząc do późna na balkonie, następnie przeziębienie przeszło w ból zębów. Co za nuda! Na szczęście, jeszcze onegdaj wieczór przyjechał do Davisa doktor, który odtąd zostanie stale przy nim; inaczej nie miałbym do kogo słowa przemówić. Jest to młody Włoch, podobny do kawałka węgla, mały, czarny, z ogromną głową i bystrymi oczyma. Wydaje się bardzo inteligentny. Widocznie zaraz pierwszego wieczora rozpatrzył się w położeniu i panujących między nami stosunkach, następnie znalazł wszystko zupełnie naturalnym i bez wahania uznał we mnie właściwego pana domu. Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu, gdy przyszedłszy dziś rano spytał mnie, czy może „panią hrabinę” widzieć i zapisać jej lekarstwo. W tym kraju panują oryginalne obyczaje. Wszędzie gdzie indziej, gdy na zamężną kobietę pada podejrzenie, że należy do kogo innego, cały świat urządza na nią jedną wielką obławę, często pełną bezmyślnego okrucieństwa. Tu przeciwnie: panuje taka cześć dla miłości, że wszyscy stają natychmiast po jej stronie i poczynają spiskować na korzyść zakochanych. Powiedziałem Włochowi że zapytam panią hrabinę, czy zechce go widzieć. Jakoż dziś po śniadaniu wtargnąłem do buduaru Laury. Przyjęła mnie niechętnie, bo twarz ma nieco nabrzmiałą, i nie chciała, bym ją w tym stanie widział. I rzeczywiście, widok jej przypomniał mi moje dawne lekcje rysunków. Zauważyłem wówczas, że portretując twarz nowożytną można popełniać różne niedokładności, nawet to i owo zmienić – a jednak, byle został wyraz, byle została idea twarzy, podobieństwo nic na tym nie traci. Inna rzecz przy przerysowywaniu antyków: lada niedokładna linia, lada zboczenie burzy harmonię twarzy i czyni ją inną. Teraz miałem tego przykład na Laurze. Obrzmienie jej twarzy było bardzo małe, zresztą prawie go nie widział, bo obracała się uparcie do mnie zdrowym profilem; ale że oczy miała cokolwiek zaczerwienione i powieki nieco cięższe niż zwykle, nie była to już ta sama, doskonała w swej harmonii twarz – i daleko jej było do codziennej piękności. Oczywiście nie dałem Laurze tego poznać, ale ona przyjmowała moje pieszczoty z jakimś niepokojem, zupełnie tak, jakby ją dręczyły wyrzuty sumienia. Widocznie, wedle jej zasad, fluksja jest śmiertelnym grzechem.

Szczególne bądź co bądź zasady! Ja także mam niewątpliwie duszę starożytnego Greka, ale poza poganinem jest przecie we mnie jeszcze i coś więcej. Laura może być z czasem bardzo nieszczęśliwa ze swoją filozofią. Rozumiem jeszcze, że można uczynić sobie religię z piękności w ogóle, ale czynić ją sobie z piękności własnej jest to przygotowywać sobie nieszczęście. Co mi za religia, którą jedna fluksja podrywa, a którą pryszczyk na nosie jest mocen zburzyć do cna!

25 kwietnia.

Trzeba jednak jechać do Szwajcarii, bo upały zaczynają i być trudne do wytrzymania. Przy tym od czasu do czasu przychodzi *sirocco*, na kształt gorączkowego tchnienia z Afryki. Morze chłodzi wprawdzie ten oddech pustyni, jest on jednak bardzo przykry.

Davisowi szkodzi *sirocco* niezmiernie. Doktor pilnuje go teraz, by się nie morfinizował, bywa więc chwilami rozdrażniony do najwyższego stopnia, chwilami wpada w zupełną odrętwiałość. Ale zauważyłem, że nawet w napadach rozdrażnienia boi się i Laury, i mnie. Kto wie, czy w mózgu tego półwariata nie poczyna powstawać mania prześladowcza i czy nie nurtuje go już podejrzenie, że chcemy go zabić lub utopić? W ogóle stosunek do niego jest dla mnie jedną z najciemniejszych stron mojej roli. Mówię; jedną, bo zdaję sobie doskonale sprawę, że jest i wiele innych. Nie byłbym chyba sobą, gdybym nie spostrzegł, że bądź co bądź dusza moja nie tylko gnuśnieje, ale się szybko i stanowczo psuje w ramionach tej kobiety. Nie umiem nawet wypowiedzieć, ile obrzydzenia, goryczy i wyrzutów sprawiała mi z początku myśl, że zanurzyłem się w tę topiel uciech i zmysłowych uniesień tak bezpośrednio,

tak zaraz po śmierci ojca. Oburzało się na to zarówno moje sumienie, jak delikatność moich uczuć, którą niezaprzeczenie posiadam. Było mi to tak przykre, że nie mogłem o tym pisać. Dziś zobojętniałem. Czasem sobie powtarzam wyrzuty, myślę o nich, ale naprawdę ich nie odczuwam.

O Anielce staram się zapomnieć, bo wspomnienie jej nuży mnie, a raczej nie mogę z sobą trafić do ładu, gdy rozpamiętywam ten płoszowski epizod z mego życia. Raz wydaje mi się, że jej niewart; drugi raz, że byłem osłem i odegrywałem po prostu śmieszna rolę przy tej dziewczynie, podobnej do tuzina innych. Drażni to moją miłość własną, skutkiem czego uczuwam jakby urazę do Anielki. Bywa tak, że jednej godziny mam jakowąś niesmaczną świadomość moich win względem Anielki, w drugiej wydają mi się te winy głupie i dziecinne. W ogóle nie zgadzam się na siebie takiego, jakim byłem w Płoszowie, ale też nie zgadzam się i na takiego, jakim jestem obecnie. Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złem i dobrem, a co więcej, różnica ta staje mi się obojętną. Płyń to z jakiejś gnuśności ducha – z drugiej strony jednak, gnuśność ta przychodzi mi na ratunek, gdy bowiem rozterki wewnętrzne zmęczą mnie, ona powiada: „Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś – więc cóż z tego? Dlaczego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?”

Następnie widzę w sobie jeszcze jedną zmianę. Stopniowo przyzwyczałem się nawet i do tego, co z początku tak drażniło mój honor – i policzkuję już teraz, mniej więcej obojętnie, paralytyka. Spozrzegłem od kilku dni, że pozwalam sobie jednak na tysiące rzeczy, na które nigdy bym się nie ośmielił, gdyby Davis, zamiast być takim fizycznym i umysłowym łożem, był tęgim, umiejącym bronić swej czci i własności człowiekiem. Nie zadajemy już sobie teraz trudu jeżdżenia na morze... Wprost nie przypuszczałem, żeby moja drażliwość mogła i pod tym względem tak stępieć. Łatwo mi wprowadzić powieść sobie: co mnie ten marny Lewantyńczyk może obchodzić? – ale, dalibóg, me mogę natomiast obronić się często myśli, że moja czarnowłosa bogini z brwiami Junony właściwie nie Juno ma na imię, ale Cyrce, i że dotknięcie jej zmienia ludzi – jakby tu najmitologiczniej powieść? – na wychowawców Eumeja.

A gdy zadaję sobie pytanie: w czym to leży? odpowiedź równa się bankructwu wielu moich poprzednich poglądów. Oto miłość nasza jest miłością po prostu skóry, nie duszy. Wraca mi ciągle myśl, że nowożytny człowiek nie może na tym poprzestać. Byliśmy z Laurą podobni tylko bogom i zwierzętom, a nigdy ludziom. Właściwie nie można nawet naszych uczuć nazwać miłością, bo jedno dla drugiego jest tylko pożądaną, bynajmniej zaś nie drogą istotą. Gdyby Laura była inna i gdybym ja był inny, moglibyśmy być stokroć szczęśliwsi, ale obecnie nie miałbym tego poczucia, że dochodzę do Eumejowego schroniska. Rozumiem, że miłość, która chce być tylko duchem, zostanie tylko cieniem; ale ogołocona zupełnie z ducha, staje się tylko upodleniem. Inna sprawa, że ludzie, dotknięci różdżką Cyrce, mogą znaleźć smak w upodleniu.

Aż mi dziwno i smutno, mnie, człowiekowi typu helleńskiego, pisać takie rzeczy! Ale ogarnia mnie sceptycyzm względem mojej Hellady; poczynam wątpić, czy można żyć przytytymi formami życia, że zaś jestem zawsze szczerzy, więc piszę, co myślę.

*30 kwietnia.*

Wczoraj spadł na mnie list ciotki. Odesłano mi go z Rzymu. Datowany jest temu dwa tygodnie, i nie rozumiem, dlaczego przetrzymano go tak długo w Casa Osoria. Ciotka jest pewna, że byłem w Korfu, ale domyśla się, że musiałem już wrócić, i pisze mi, co następuje:

„Oczekujemy wiadomości od ciebie z wielkim utęsknieniem i niepokojem. Ja, stara, wrośłam już silnie w ziemię i byle wiatr nie potrafi mną zachwiać, ale na Anielkę aż żal patrzeć. Ona widocznie wyglądała listu od ciebie z Wiednia lub z Rzymu, a gdy nie nadchodził, po-

częła się niepokoić. Potem, jak wiesz, przyszła śmierć twego ojca. Mówiłam umyślnie głośno przy Anielce, że teraz nie możesz o niczym innym myśleć, jak o swej stracie, ale że po kilku tygodniach otrząsniesz się z odrętwiałości i wrócisz do życia czynnego. My z Anielką nie mówimy niby otwarcie, a doskonale się rozumiemy. Widziałam też, że się bardzo uspokoiła. Lecz gdy upłynął miesiąc, a ty nie dałeś nawet znać o sobie, znowu poczęła się trapić, głównie o twoje zdrowie, ale pewnie i dlatego, żeś tak o nas zapomniał. Ja także byłam niespokojna i pisałam kilkakrotnie na Korfu, *poste restante*, tak jakeśmy się umówili. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, próbuję pisać do twego domu w Rzymie, bo myśl, że możesz być chory, zatruwa nam życie. Napisz choć kilka słów – a przede wszystkim otrząśnij się, mój drogi Leonie, z apatii i pocznij być sobą. Będę z tobą otwarta. Do zmartwień Anielki przyczynia się i to, że ktoś nagadał tu jej matce, jako w całym świecie znany masz być ze swoich bałamuctw. Wyobraź sobie moje oburzenie! Celina w desperacji powtórzyła to córce i teraz jedna ma ciągłą migrenę, drugie biedactwo pobladło, wychudło i zmieniło się tak, aż litość bierze. A kochane to stworzenie i dobre zawsze jak anioł! Udaje wesołą, żeby matki nie martwić, ale ja widzę doskonale, co się z nią dzieje, i serce mi się kraje. Mój najdroższy chłopcze, Ja także nie mówiłam z tobą o tym w Rzymie, przez uszanowanie dla twojej bolesti, ale takie nieszczęście to przecie wola boska, z którą trzeba się zgodzić i nie opuszczać się w życiu. Czy nie mógłbyś nam napisać jakiego słowa, które by nas uspokoiło? Zlituj się nad dziewczyną. Ja nie ukrywam przed tobą, że najmocniej życzę sobie, abyście się po upływie twojej żaloby mogli połączyć, choćby za rok lub dwa, bo podług mnie, Anielka to feniks. Ale doprawdy, gdyby nawet miało być inaczej, to i w takim razie byłoby lepiej, gdybyś jakim sposobem dał nam to poznać. Ty wiesz, że ja nie przesadzam nigdy i jeśli ci o tym piszę, to dlatego, że istotnie obawiam się o zdrowie Anielki. Trzeba ci przy tym wiedzieć, że chodzi o całą jej przyszłość. Kromicki począł coraz częściej te panie odwiedzać i oczywista rzecz, że on ma jakieś zamiary. Chciałam go bez długich zachodów, po swojemu, przepędzić, tym bardziej że podejrzewam, iż to on nagadał o twoich bałamuctwach, ale Celina zaklinała mnie, bym tego nie czyniła. Ona zupełnie jest zdesperowana i nic a nic nie liczy na twoje przywiązanie do Anielki. Cóż więc miałam robić? A nuż ona ma prawdziwe macierzyńskie przecucie? Odpisuję, mój Leonie, jak najprędzej, a zarazem przyjmij uściśnienia i błogosławieństwo starej kobiety, która ma jednego ciebie na świecie. Anielka chciała w swoim czasie pisać do ciebie z kondolencją, ale Celina jej nie pozwoliła, o co się z nią wyklóciłam. Celina jest najlepsza kobieta, ale często mnie gniewa. Ukłony i serdeczne pozdrowienia od wszystkich. Młody Chwastowski zakłada u nas browar. Miał coś swoich pieniędzy, a reszty mu dopózyczyłam.”

W pierwszej chwili zdawało mi się, że list ten nie robi na mnie wrażenia; następnie począłem chodzić po pokoju i poznałem, że się mylę. Wrażenie zwiększało się z każdą nutą i w końcu stało się bajeczne. Po upływie godziny powiedziałem sobie ze zdziwieniem Co, u licha, ja przecie o niczym innym nie myślę! Rzecz zadziwiająca, z jaką szybkością ogarniały mnie najrozmaitsze uczucia, przelatujące jedno po drugim, zupełnie jakby je wiatr przeganiał na podobieństwo chmur. Do jakiego jednak stopnia jestem człowiekiem nerwowym! Naprzód chwyciło mnie rozczulenie nad Anielką. To wszystko, com niedawno jeszcze czuł dla niej, a co było jak gdyby zatajone w jakichś szczelinach mojej duszy, wyszło nagle na kształt oparu na jej powierzchnię. Jechać, uspokoić, utulić, uszczęśliwić – oto był pierwszy odruch, pierwszy pęd serca, daleki od jasno sformułowanej woli, ale nadzwyczaj silny. A gdym wyobraził sobie jej załzawione oczy, jej ręce w moich rękach, ów pociąg zmysłów, jaki czułem do niej, zmartwychwstał z całą mocą. Potem przebiegło mi przez myśl porównanie jej z Laurą, które musiało wypaść fatalnie dla Laury. Na razie takie życie, jakie tu wiodłem, stanęło mi kością w gardle. Uczułem potrzebę czystszej powietrza niż to, którym tu oddycham, i ciszy, i słodczy, i zwłaszcza: prawości uczuć. Jednocześnie opanowała mnie radość, że nic nie ma straconego, że wszystko da się naprawić i że zależy to jedynie od woli mojej. Nagle przyszedł mi

do głowy Kromicki i matka Anielki, która nie wierząc we mnie, widocznie stanęła po jego stronie. Na myśl o nich porwał mnie gniew, który rosnąc stopniowo, stłumił wszystkie inne uczucia. Im bardziej rozum mój przyznawał, że pani Celina ma wszelką słuszość nie liczyć na mnie, tym głębszą czułem do niej urazę, że sobie na taką niewiarę pozwoliła. W końcu doszedłem do jakiejś desperackiej złości przeciw sobie i wszystkim. Wszystko, com myślał i czuł, dało się zamknąć w tych kilku słowach: dobrze, niechże tak będzie!

List przyszedł wczoraj; dziś, analizując się spokojniej, stwierdzam wprost ze zdumieniem, że ta uraza tak głęboko zapadła mi w duszę, iż oto w tej chwili jest raczej większą niż mniejszą. Obecnie jest to uczucie panujące we mnie. Mówię sobie wszystko, co może sobie człowiek trzeźwo myślący powiedzieć, a jednak nie mogę tego Kromickiego przebaczyć nie tylko matce, ale i Anielce. Bo ostatecznie Anielka potrafiłaby jednym słowem zamknąć mu drogę do Płoszowa, jeśli zaś tego nie czyni, to jest z jej strony ustępstwo dla matki, czyli, że mnie poświęca jej migrenom. Zresztą ten Kromicki zniża w moich oczach Anielkę, szpeci ją, sprwadza ją do tego płaskiego typu panny na wydaniu. Nie mogę o tym mówić spokojnie.

Być może, iż rozumiem i czuję jak człowiek zbyt rozdrażniony; być może, iż moja miłość własna jest rozrośnięta nad miarę; przyznaję, widzę, umiem patrzeć na siebie jak ktoś obcy, ale to zdwojenie nic nie pomaga. Rozgoryczam się i rozdrażniam coraz więcej. Samo pisanie o tym męczy moje nerwy – więc urywam.

*1 maja.*

W nocy myślałem: „Może jutro będę spokojniejszy.” Gdzie tam! Wyradza się we mnie wprost zawziętość przeciw matce Anielki, przeciw Anielce, ciotce i sobie samemu. Trzeba umieć stosować wiatr do węgla jagnięcia, a nie obliczono, że moja jest diabło cienka. Albo mi tu nie dobrze w Pegli? Laura jest jak jedna bryła marmuru. Przynajmniej się przy niej nie męczę, bo poza pięknością nie ma w niej nic. Ale dosyć mam tych przerafinowanych tkliwych dusz. Niech je Kromicki pociesza.

*2 maja.*

Sam dziś odniosłem list na pocztę. Treść listu była taka: życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim. Chciała ciotka stanowczej odpowiedzi, to ją ma.

*3 maja.*

Przyszło mi do głowy, czy wzmianka o Kromickim w liście ciotki nie była dyplomacją kobiecą, czy to nie miała być ostroga dla mnie? Jeśli tak, to wieszuję ciotce zrzęczości i znajomości ludzi.

*10 maja.*

Upłynął tydzień. Nie pisałem, bom chodził jak zaczadzony. Napada też mnie ciągle ogromna zgrzyzota i żal. Anielka nie była i nie jest mi obojętna. Przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: „Kochałem Ofelię, jakby jej nie kochało czterdzieści tysięcy braci!” Zmieniałbym tylko ten wykrzyk tak: „Kochałem Anielkę więcej niż czterdzieści tysięcy Laur!” I trzeba, że to z moich rąk spada na nią zło! Migoce mi chwilami pociecha, że właśnie połączenie się z

takim człowiekiem jak ja byłoby dla niej złem – ale to nieprawda! Gdybym ją raz miał, byłbym dla niej dobry. Truje mnie tylko podejrzenie, że może wystarczy jej i Kromicki.

Gdy o tym myślę, znów zaczyna się we mnie wszystko burzyć, i gotów bym wysłać drugi taki list.

Stało się! to jedyna pociecha dla ludzi takich jak ja, bo mogą założyć ręce i gnuśnieć po dawnemu. Może to dowód wyjątkowej słabości, ale znajduję pewną ulgę w tym słowie.

Mogę już rozmyślać spokojniej.

Stukam się więc w głowę i zadaję sobie pytanie, jakim sposobem przyszło do tego, że człowiek, który nie tylko się chełpi nadzwyczaj rozwiniętą świadomością siebie, ale rzeczywistość ją ma – przez kilka dni działał tylko za pomocą odruchów. Do czego więc służy samowiedza, jeśli przy pierwszym lepszym wzburzeniu nerwów ucieka w jakieś zakamarki mózgowe i pozostaje biernym świadkiem odruchowych czynów? Do zbadania się *post factum*? Nie wiem, co mi z tego przyjdzie, ale ponieważ nie pozostaje mi już nic innego do roboty, niechże mam z niej choć ten pożytek. Więc dlaczego postąpił tak, jak postąpiłem? Chyba dlatego, że jestem wprawdzie człowiekiem inteligentnym, może nawet bardzo inteligentnym (niech mnie piorun trzaśnie, jeśli mam zamiar pochlebiać sobie lub się chwalić!) – ale nie jestem człowiekiem rozumnym. Nie posiadam zwłaszcza spokojnego męskiego rozumu. Nerwów swoich nie trzymam na wodzy, jestem przeczulony; raniłby mnie – wedle wyrażenia poety – nawet listek róży złożony we dwoje. Jest coś kobiecego w mojej inteligencji. Być może, że nie stanowią pod tym względem wyjątku i że wielu ludzi noszących spodnie należy, przede wszystkim u nas, do tego samego typu. Mała stąd dla mnie pociecha. Tego rodzaju umysł może dużo rzeczy rozumieć, ale źle się nim człowiekowi kierować w życiu: rzuca się on niespokojnie, waha, nadto precedzą każdy zamiar, wreszcie zatracą się wśród krzyżowych dróg. Skutkiem tego zmniejsza zdolność do czynu, a pozwala się rozwijać słabości charakteru, która u nas jest wadą wrodzoną i powszechną. Oto stawiam sobie na przykład nowe pytanie: gdyby nie było w liście ciotki wzmianki o Kromickim, czy w takim razie rozwiązanie sprawy byłoby inne? I dalibóg, nie śmiem odpowiedzieć: tak! Nie byłoby tak szybkie – to pewno – ale kto wie, czy pomyślniejsze. Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień; tylko potężne dusze znajdują w oporze bodziec. Laura, która pod pewnymi względami jest przenikliwa jak piżmo, prawdopodobnie zrozumiała to i może dlatego była tak – łaskawą.

Na koniec, co z tego wypada? Czy jestem safandulą? Bynajmniej! Człowiek, który sobie nie szczędzi prawdy, nie oszczędziłby i tego wyznania – ale bynajmniej!... Czuję, że mógłbym pojechać bez długich namysłów do bieguna albo zostać misjonarzem i iść w głąb Afryki; posiadam pewną czupurność, pewną odziedziczoną odwagę, i byłbym zdolny do wszelkiego rodzaju śmiałych zamiarów, ryzykownych przedsięwzięć. Temperament mam żywy, ruchliwość nie tak wielką jak na przykład Śniatyński – ale niepomierną.

Tylko, gdy chodzi o rozwiązanie jakiegokolwiek zadania życiowego, sceptycyzm mój czyni mnie bezsilnym, umysł gubi się w spostrzeżeniach, wywodach, wola nie ma się na czym oprzeć – i czyny moje zależą po części od wypadków zewnętrznych.

12 maja.

Laury nie lubiłem nigdy, chociaż byłem i dotąd jeszcze jestem pod jej fizycznym urokiem. Może to się wydaje na pierwszy rzut oka dziwne, w istocie rzeczy jest jednak zjawiskiem dość pospolitym. Można nawet kochać i nie lubić. Ile razy zdarzało mi się widzieć miłość gorzką, zgryźliwą, pełną uraz, dlatego właśnie, że nie była podszyta lubieniem, Wspomniałem już, zdaje mi się, o tym, że Śniatyńscy nie tylko się kochają, ale się ogromnie lubią; dlatego im z sobą dobrze... Ach! czuję, że i ja bym lubił nadzwyczaj Anielkę i że byłoby nam również dobrze... Lepiej o tym nie mówić... Co do Laury, ta mogła spotkać wielu ludzi, którzy na ząb kochali się w jej czarnych włosach, w jej posągowych kształtach, w jej brwiach, głosie,

spojrzeniu, noszeniu głowy etc., jestem jednak pewny, że jej nikt nigdy nie lubił. Szczególna ta kobieta pociąga prawie nieprzeparcie, ale jednocześnie odpycha. Powiedziałem, że poza pięknością nie ma w niej nic, bo i jej niezwykła inteligencja to tylko pierwsza niewolnica, klęcząca u nóg jej piękności i zawiązująca jej koturny. Nie dalej jak tydzień temu widziałem Laurę, dającą jałmużnę dziecku rybaka, który się niedawno utopił, i pomyślałem sobie tak: Gdyby wiedziała, że jej będzie piękniej powykluwać oczy temu dziecku, to by je powykluwała z całym spokojem i słodyczą. Takie rzeczy się czuje – i oto dlaczego można dla tej kobiety stracić głowę, ale nie podobna jej lubić. Ona zaś wszystko rozumie, prócz tego.

Ale za to jaka piękna! Gdy kilka dni temu schodziła ze schodów willi do ogrodu, kołysząc się na swoich przepysznych biodrach – „myślałem, że padnę”, jak powiada Słowacki. Stanowczo jestem pod wpływem dwóch sił, z których jedna przyciąga, druga odpycha. Chcę jechać do Szwajcarii i chcę zarazem wracać do Rzymu. Na czym się-skończy, nie wiem. Ribot słusznie powiada, że *c h c ę* to tylko stan świadomości, nie akt woli; tym mniej jest aktem woli podwójne *c h c ę*. Odebrałem list od mego notariusza, wzywający mnie do Rzymu w sprawie spadku; są tam jakieś formalności do załatwienia, przy których zresztą może by się beze mnie i obyło, gdybym koniecznie pragnął nie jechać... Ale zawsze to pozór... Od pewnego czasu nie lubię Laury więcej niż dawniej. Ona sama nie przyczyniła się w niczym do tego, bo ona zawsze jednaka, tylko stało się to, że niezadowolenie z siebie samego przenieśliśmy na nią. W czasie moich rozterek wewnętrznych szukałem przy niej nie tylko spokoju, lecz zarazem jakby umyślnego poniżenia; teraz czuję za to do niej niechęć. O tych moich burzach ona ani nawet wiedziała. Co ją mogły obchodzić, skoro nie nadawały się jej do zrobienia ozdoby? Zauważyła tylko, że jestem jakiś gorączkowy i bardziej porywczy niż zwykle; trochę pytała o przyczyny, ale bez zbytniego nalegania.

Być może, że pociąg, jaki mam do niej, zwycięży, że nie wyjadę, ale w każdym razie powiem jej jutro lub jeszcze dziś, że muszę wyjechać. Ciekawy jestem, jak przyjmie tę wiadomość – i tym ciekawszy, że nie umiem sobie tego dobrze wyobrazić. Podejrzywałem, że poza całym uczuciem dla mnie, podobnym zresztą do mego dla niej, ona także mnie nie lubi – naturalnie, jeśli zadaje sobie trud lubienia lub nielubienia kogokolwiek. Dusze nasze mają dużo podobieństw, ale mają i tysiące sprzeczności.

Zmęczony jestem straszliwie. Nie mogę nie myśleć o wrażeniu, jakie list mój sprawił w Płoszowie. Myślę o tym ciągle, nawet i wówczas, kiedy jestem z Laurą; ciągle widzę Anielkę i ciotkę. Jaka ta Laura szczęśliwa ze swoim wiecznym spokojem! Mnie tak trudno ze sobą wytrzymać...

Cieszę się na myśl o zmianie miejsca. Pegli, jakkolwiek są tu kąpiele morskie, jest bardzo puste. Upały nadzwyczajne. Morze leży leniwe, nie poruszając nawet falą u brzegów, jakby już nie mogło oddychać ze spiekoty. Chwilami zrywa się wiatr, ale duszny, unosząc tumany białego kurzu, który pokrywa grubą warstwą liście palm, bukszpanu, fig, mirtów i wnika przez zapuszczone żaluzje do domów. Oczy mnie boją, bo wszystkie mury odbijają tak rażąco blask, że w dzień nie podobna na nie patrzeć.

Albo do Szwajcarii, albo do Rzymu, byle stąd wyjechać! Zdaje mi się, że wszędzie będzie mi lepiej niż tu. Wszyscy zresztą gotujemy się do drogi. Davisa nie widziałem już cztery lub pięć dni. Sądzę, że lada dzień zwariuje. Doktor mówił mi, że biedaczysko ciągle wzywa go, by się z nim próbował na siłę. Ma to być niezmiernie zły znak.

*Rzym, Casa Osoria, 18 maja.*

Potrzebowałem widocznie samotności. Jest mi tak, jak było zaraz po przybyciu do Pegli – i smutno, i zarazem dobrze. Jest mi nawet lepiej, niż było w Pegli, bo nie doznaję tego niepokoju, jakim od samego początku przejmowało mnie towarzystwo Laury. Chodzę po samotnym, ciemnym domu, odnajduję tysiące szczegółów przypominających mi ojca, i wspomnie-

nie jego odświeża się w moim sercu. On mi już także był nieco zblękitniał, a teraz co krok spotykam się z jego dawnym, realnym życiem. Na stole w jego pracowni leżą szkła powiększające, przez które przyglądał się okazom; brązowe kolce, za pomocą których wydobywał zeszlą ziemię z odkopanych dzbanów; farby, pędzelki, rozpoczęte rękopisy, notatki dotyczące zbiorów, słowem: tysiące drobiazgów. Chwilami mam wrażenie, że on odszedł tylko i wróci do swej codziennej pracy, a gdy złudzenie się rozprasza, czuję za nim żal prawdziwy, głęboki i kocham go nie tylko jako wspomnienie, ale kocham go także pogrążonego teraz w wiecznym śnie na Campo Santo.

Stąd mój smutek, ale jest to uczucie tak wiele czystsze od tych wszystkich, które rządziły mną, jak same chciały w ostatnich czasach, że mi z nim dobrze, bo czuję się lepszy, a przynajmniej nie tak zepsuty, jak mi się wydawało... Spostrzegłem także, że żadne, najbardziej desperacka rozumowanie nie odbierze człowiekowi pociechy, jaką mu sprawia obecność w nim jakichkolwiek szlachetniejszych pierwiastków. Skąd to nieprzeparate i niczym nie pohamowane dążenie ludzi do dobra? Czasem, począwszy snuć nic z tego kłębka, dochodzę bardzo daleko. Rozum nasz jest przecie odbiciem logicznej prawidłowości ogólnego bytu, więc może i nasze pojęcie dobra jest również odbłaskiem jakiegoś absolutnego dobra. Gdyby zaś tak było, człowiek mógłby skończyć naraz ze wszystkimi swymi wątpliwościami i wykrzyknąć nie tylko: *eureka!*, ale i *alleluja!* Boję się wszakże, żeby mi się ta budowa nie zapadła jak tyle innych, i dlatego nie śmiem jej wznosić. To są zresztą raczej moje poczucia niż rozumowania, ale wróć do nich z czasem niewątpliwie, bo to jest dla mnie kwestia wyciągnięcia sobie cienia nie z nogi, ale z duszy. Teraz jednak jestem zbyt zmęczony, zbyt mi jest smutno, a zarazem zbyt cicho i dobrze.

Zdaje mi się, że ze wszystkich istot na świecie jeden człowiek potrafi postępować często wbrew swej woli. Pokazuje się, że miałem ochotę od dawna opuścić Pegli, tymczasem dzień za dniem uchodził, a ja siedziałem i siedziałem. Jeszcze w wigilię wyjazdu mego byłem prawie pewny, że zostanę; nadspodziewanie przysłała mi w pomoc sama Laura.

Zawiadomiłem ją o liście notariusza i o wyjeździe li tylko dlatego, by zobaczyć wrażenie, jakie to na niej sprawi. Byliśmy sami. Spodziewałem się jakiegoś okrzyku z jej strony, jakiegoś wzruszenia, jakiegoś *veto* – nic z tego!

Usłyszawszy nowinę, odwróciła się ku mnie, zanurzyła z lekka palce w me włosy i przysunawszy mi twarz blisko do swojej, spytała:

– Ale wrócisz? nieprawda?

Dalibóg, jest dotychczas dla mnie zagadką, co to miało znaczyć! Czy przypuszczała, że muszę bezwarunkowo jechać? czy ufna w moc swej piękności, nie wątpiła ani na chwilę, że wróć? czy na koniec chwyciła w lot sposobność, żeby się mnie pozbyć? – bo po takim pytaniu nie pozostało mi nic innego jak wyjechać. Pieszczotliwy ruch towarzyszący pytaniu przemawia trochę przeciw temu przypuszczeniu, które zresztą wydaje mi się najprawdopodobniejszym. Chwilami jestem prawie pewien, że chciała mi powiedzieć: Nie ty mnie, ale ja tobie daję odprawę. Przyznaję nawet, że jeśli to było odprawą, to zrzęczość Laury jest istotnie niesłychana – i tym bardziej zadziwiająca, Im sposób był słodszy, pieszczotliwszy i im bardziej pozostawił mnie w niepewności, czy ze mnie zadrwiono, czy nie. Ale po co się mam łudzić? Pytaniem swoim ona wygrała grę. Być może, że w każdym innym razie moja miłość własna czułaby się tym drażniętą, ale teraz jest mi to wszystko jedno.

Owego wieczora jednak nie tylko nie powiało na nas chłodem, ale byliśmy dla siebie jeszcze tkliwsi niż zwykle. Rozstaliśmy się bardzo późno. Widzę ją dotąd, jak ogarnia ręką świecę i odprowadza mnie ze spuszczonej oczyma do drzwi. Była tak piękna, że po prostu żałowałem, iż wypada mi odjechać. Nazajutrz żegnała się ze mną na kolei. Pęk herbacianych róż zgubiłem dopiero w Genui. Dziwna kobieta! W miarę jak się od niej oddalałem, obok tęsknoty fizycznej doznawałem coraz większej ulgi. Jechałem jednym tchem aż do Rzymu i teraz mam uczucie ptaka, który się urwał z uwięzi.



22 maja.

Ze znajomych nie znalazłem tu prawie nikogo. Upał porozganiał ich do willi albo w góry. W dzień mało chodzi ludzi po ulicach, spotyka się tylko cudzoziemców, po większej części Anglików w korkowych hełmach, owiniętych muślinem, z czerwonym Bedekerem w rękę i z wiecznym: *Very interesting!* na ustach. O południu na naszej Babuino bywa tak pusto, że kroki pojedynczych przechodniów dzwonią echem na chodnikach. Za to wieczorem roją się wszystkie ulice ludem. Miewam zawsze o tej godzinie nieco duszności i nerwowego niepokoję, więc wychodzę na świeże powietrze, włóczę się do zupełnego zmęczenia, i to sprawia mi ogromną ulgę. Przechadzka moja kończy się zwykle na Pincio. Często trzy i cztery razy przechodzę wzdłuż ten wspaniały taras. O tej porze krąży tam mnóstwo par zakochanych. Jedne chodzą pod rękę, z głowami skroń przy skroni i z oczyma podniesionymi, jakby z nadmiaru szczęścia, w górę; drugie siedzą na ławkach pogrążonych w mroku drzew. Migotliwe światło latarni wydobywa z tych ciemnych głębin czasem na wpół ukryty pod piórami profil bersaliera, czasem jasną suknię dziewczyny, to znów twarz robotnika lub studenta. Co chwila dochodzą mych uszu szepty, zaklęcia, pieśni nucone półgłosem. Robi mi to wrażenie jakby wiosennego karnawału i znajduję dziwną przyjemność, gdy się mogę zgubić w tych tłumach i odetchnąć ich wesołością i zdrowiem. Takie to jakieś szczęśliwe, pełne prostoty! Ta prostota wchodzi we mnie i uspokaja lepiej niż chloral moje nerwy. Wieczory bywają ciepłe i jasne, ale pełne rzeźwych powiewów. Księżyc podnosi się spoza Trinità dei Monti i żegluje nad tym rojowiskiem ludzkim, na kształt srebrnej łodzi, bieląc czuby drzew, dachy i wieże. U stóp tarasu szumi i świeci miasto, a hen, w dali, rysuje się w srebrnej mgle ciemna sylweta Świętego Piotra, o kopule błyszczącej jak drugi księżyc. Dawno Rzym nie wydawał mi się tak piękny! Odnajduję w nim jakieś nowe uroki. Wracam co dzień późno do domu i idę spać prawie uszczęśliwiony tą myślą, że jutro obudzę się znów w Rzymie. A śpię!... Nie wiem, może to sprawia utrudzenie, ale sypiam kamiennym snem, który jeszcze rankami pozostawia mi jakieś odurzenie.

Ranki spędzam z notariuszem. Czasem robię sobie dla własnego użytku inwentarz zbiorów ojcowskich. Ojciec nie rozporządził nimi na korzyść miasta w testamencie, który czyni mnie ogólnym spadkobiercą, więc stały się one moją własnością. Wypełniając wolę ojca, darowałbym je bez wahania Rzymowi, ale obawiam się, czy przedstawienia ciotki nie wzbudziły w ojcu pewnych skrupułów i czy nie wstrzymał się od rozporządzenia zbiorami umyślnie dlatego, by kiedyś mogły być przewiezione do kraju. Że ojciec myślał o nim w ostatnich czasach, świadczą liczne klauzule w jego testamencie. Dużo jest także drobnych zapisów dla dalszej rodziny, a jeden z nich poruszył mnie więcej, niż mogę wypowiedzieć. Brzmi on tak: „Głowę Madonny (Sassoferrato) zapisuję mojej przyszłej synowej.”

25 maja.

Rzeźbiarz Łukomski rozpoczął już od miesiąca portret ojca w całej postaci, wedle popiersia, które sam robił przed kilku laty. Często w południowych godzinach chodzę do niego pa-trzeć na postęp roboty. Pracownia jego przenosi mnie jak gdyby w świat inny. Jest to coś w rodzaju szopy z jednym ogromnym oknem w górze, wychodzącym na północ, wskutek czego oświetlona jest zimnym, nie przesiąkniętym blankami słonecznymi światłem. Gdy w niej siedzę, wydaj mi się, że nie jestem w Rzymie. Złudzenie powiększa sam Łukomski, mający głowę północnego człowieka, jasną brodę i błękitne, zamglone oczy mistyka. Dwaj pomocnicy jego są Polacy; dwa psy w ogrodzie nazywają się Kruk i Kurta; słowem: jest to jakaś hiperborejska wyspa na południowym morzu. Lubię tam chodzić dla oryginalności wrażenia; lubię także widzieć pracującego Łukomskiego. Jest w nim wówczas siła i prostota. Szczególniej zajmujący jest, gdy oddala się od roboty, by się jej lepiej przypatrzeć, potem nagle wraca

do niej, jakby do ataku. To bardzo utalentowany rzeźbiarz. Postać ojca rośnie mu w rękach i uderza podobieństwem. Będzie to nie tylko portret, ale i dzieło sztuki.

Oto, jeśli kto jest typem człowieka rozkochanego w pięknych formach, to Łukomski. Zdaje mi się, że on nawet myśli za pomocą greckich nosów, torsów, ramion, głów, słowem: nie za pomocą idei, ale kształtów – i to kształtów klasycznych. W Rzymie bawi już od lat piętnastu i tak zwiedza muzea i galerie, jakby wczoraj przyjechał. Pokazuje się jednak, że taka miłość zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jej kapłanem. Łukomski ma taką cześć dla pięknie zbudowanych ludzi, jak pobożni mają dla świętych obrazów. Pytałem się go: kto, według jego zdania, jest najpiękniejszą kobietą w Rzymie? Odpowiedział bez wahania: – Davisowa – po czym zaraz zaczął rysować w powietrzu wielkimi palcami obu rąk jej postać, z tą łatwością i wyrazistością gestów, jaką mają zwykle artyści. Łukomski jest zamknięty w sobie i melancholik, a w tej chwili ożywił się tak, że nawet oczy jego straciły zwykły mistyczny wyraz. – Oto, na przykład – powtarzał, kreśląc coraz nowe linie – albo to!... Ona jest najpiękniejszą kobietą nie w Rzymie, ale na świecie!

Szczególniej zachwyca go szyja Laury. Powiada, że przy podniesieniu głowy szyja ta daje przedłużenie twarzy niewęższe od samej twarzy, co jest niezmiernie rzadkie; czasem tylko na Transtewerze widuje się u kobiet z ludu podobne szyje, ale nigdy w takim stopniu doskonałości. Rzeczywiście, kto by w Laurze chciał odkryć jakikolwiek fizyczny błąd, ten by próżno czas tracił. Łukomski' posunął się aż do twierdzenia, że takim kobietom powinno się posągi za życia na forum stawiać. Oczywiście nie przeczyłem.

*29 maja.*

Ta cała procedura spadkowa włoska poczyna mnie nudzić. Jak oni przy swej wrodzonej żywości wolno wszystko robią, a jak ogromnie wiele gadają! Jestem literalnie zagadany. Sprowadziłem sobie kilka najnowszych powieści francuskich i czytam je po całych dniach. Autorowie ich robią na mnie wrażenie wprawnych rysowników. Jak prędko i biegle naznaczona tam każda postać, ile siły i charakteru w tym szkicowaniu! Technika w robocie nie idzie dalej. Natomiast o ludziach opisywanych muszę powtórzyć to, com już raz powiedział, że kochają wzajem na sobie tylko skórę i nic więcej. Może to się zdarzyć wyjątkowo, ale żeby w całej Francji, jak długa i szeroka, nikt nie umiał kochać inaczej – niech to mówią komu innemu. Ja ją znam zbyt dobrze i wiem, że pod tym względem jest ona lepszą od swej literatury. Ta gonitwa romansu za jaskrawą, realną prawdą czyni go fałszem. Człowiek kocha indywiduum, a na indywiduum składa się prócz twarzy, spojrzenia, wyrazu, głosu, postaci – jeszcze i rozum, i charakter, i sposób myślenia, słowem: mnóstwo pierwiastków umysłowych i moralnych. Stosunek mój do Laury jest najlepszym dowodem, że uczucie oparte wyłącznie na zachwycie zewnętrznym nie zasługuje nawet na nazwę miłości. Laura zresztą jest wyjątkiem.

*31 maja.*

Byłem wczoraj z Łukomskim na śniadaniu; wieczorem włóczyłem się jak zwykle po Pincio. Moja wyobraźnia wiedzie mnie czasem na manowce. Wyobraziłem sobie, że prowadzę pod rękę Anielkę. Chodziliśmy, rozmawiali jak dwoje ludzi, którzy się nad wszystko kochają. Było mi tak dobrze, jak nie było nigdy z Laurą, ale za to, gdy wyobraźnia przestała pracować – co za poczucie samotności! Nie chciało mi się wracać do domu. W nocy nie mogłem spać. Życie moje jest jednak niesłychanie jałowe. Te ciągle zagłębiania się w siebie prowadzą tylko do pustki. A czuję, że mogło być inaczej. Aż dziwię się, że wspomnienie Anielki takie jest we mnie żywotne. Dlaczego, na przykład, nie wyobrażam sobie nigdy, że chodzę pod rękę z Lau-

ra, a teraz zaś, wspomniawszy jej imię, dodaję w duszy: Pal ją lichu! Często myślę, że trzymałem szczęście za oba skrzydła i pozwoliłem mu odlecieć.

*2 czerwca.*

Od dawna nie byłem tak zdumiony jak dziś z powodu Łukomskiego. Poszliśmy razem do muzeum na Kapitolu. Już przy Wenus tamtejszej zdziwił mnie, gdy obracając na wszystkie strony jej ruchomą podstawę, oświadczył mi, że woli neapolitańską Praksytelesową Psyche, dlatego że jest więcej uduchowiona. Jak na takiego plastyka, było to osobliwsze zdanie. Ale większa niespodzianka czekała mnie przed konającym gladiatorem czy też Gallem. Łukomski patrzył na niego w milczeniu z pół godziny, a następnie ozwał się przez zaciśnięte zęby, jak ma zwyczaj, gdy go coś poruszy:

– Powiedziano już ze sto razy, że on ma słowiańską twarz – ale istotnie! – to jest coś nadzwyczajnego!... Mój brat dzierżawi Kozłówek koło Sierpca. Był tam Michna fornał... Zeszłego roku utonął, pławiąc konie. Powiadam panu!... kubek w kubek ta sama twarz. Ja tu często i godzinę przestoję, bo mi tego trzeba...

Uszom nie chciałem wierzyć i dziwiłem się, że sufit Kapitolu nie zapada się na nasze głowy. Sierpc, Kozłówek, Michna, tu – w tym świecie antyków i klasycznych form – i w czyich ustach, ale takiego Łukomskiego! Ale od razu odmalował mi się poza rzeźbiarzem człowiek: Toś ty, bratku, taki plastyk? – pomyślałem sobie – taki Grek? taki Rzymianin? To ty przychodzisz patrzeć na gladiatora nie tylko dla jego kształtów, ale dlatego, że ci przypomina Michnę z Kozłówka? Teraz odgaduję, co znaczy twoja małomówność i twoja melancholia!

Łukomski zaś widocznie zrozumiał moje myśli, bo wbił swe mistyczne oczy w ziemię i począł mówić głosem przerywanym i gwałtownym, jakby tłumacząc to, co powiedział poprzednio:

– Tu w Rzymie żyć, nie umierać!... Mnie się powodzi... Nie mam prawa narzekać... Siedzę, bo trzeba... Ale mnie, panie, nostalgia tłucze jak wszyscy diabli... Jak mi psy zaszczekają w nocy w ogrodzie, to mi się chce ścianę drapać, bo mi się zdaje, że to nasza wieś... Ja bym zwariował, gdybym przynajmniej raz na rok tam nie pojechał. I teraz niedługo jadę, bo już mam to tu!...

To rzekłszy począł stukać palcem w gardło i złożył wargi jak do gwizdania, dlatego że mu się trzęsły. Był to prawie wybuch, tym bardziej zdumiewający w tym człowieku, że tak niespodziany. Nagle i mnie ogarnęło wzruszenie na widok tej olbrzymiej różnicy, jaka jest między mną a takimi ludźmi, jak Łukomski lub Śniatyński. W tej chwili myślę jeszcze o niej jakby z pewną obawą. To są całe widnokreśli, dla mnie po prostu niedostępne. Co za ogrom uczucia noszą ci ludzie w sobie! Może im być z tym źle lub dobrze, ale to są bogacze w porównaniu ze mną. Im nie grozi ani pustka, ani czczość! Mają zapasu życiowego każdy za dziesięć. Ja przecież poczuwam się niby także do pewnego związku z moim społeczeństwem, ale to poczucie nie jest tak bezpośrednie, nie pali się ono we mnie jak płomień w lampie, nie stało się częścią mojej istoty. Mnie do życia nie potrzeba ani żadnego Kozłówka, ani Michny, ani Płoszowa, czyli że tam, gdzie dla takiego Łukomskiego albo Śniatyńskiego biją żywe źródła, z których czerpie się rację życia – tam ja znajduję suchy piasek. A przecie, gdyby oni nie mieli tych podstaw, zostałyby jeszcze: jednemu jego rzeźba, drugiemu jego literatura. Jest to prawie rzecz nie do uwierzenia, żeby człowiek, który posiada tyle co ja warunków do szczęścia, nie tylko nie był szczęśliwy, ale po prostu nie wiedział, dlaczego żyje. Niezawodnie wina to tych warunków, w jakich się chowałem, tych Rzymów, Metzów, Paryżów i znów Rzymów; byłem trochę jak drzewo, oderwane od swojego gruntu, a nie zasadzone do-

brze na cudzym – ale też wina i moja, bom stawiał znaki zapytania i filozofowałem tam, gdzie inni tylko kochają. Skutek był taki, że nie wyfilozofowałem nic, a wyjął mi się w sobie serce.

8 czerwca.

Zapisuję wspomnienia z całego tygodnia. Odebrałem kilka listów, między innymi od Śniatyńskiego. Pocziwe chłopczyśko tak jest zmartwione obrotem sprawy z Anielką, że mi już nawet nie wymyśla. Donosi mi tylko, że żona jego jest na mnie zagniewana na śmierć, że nie chce o mnie słyszeć i że według jej zdania, jestem potworem znajdującym największą przyjemność w pastwieniu się nad ofiarami. Tym razem prawdziwy ze mnie chrześcijanin, bo nie tylko nie czuję z tego powodu urazy do pani Śniatyńskiej, ale ujmuje mnie to dla niej. Co za gorące, zacne serce! Śniatyński uważa widocznie sprawę za straconą, a raczej za ostatecznie rozstrzygniętą, bo wstrzymuje się od rad i tylko ubolewa: „Daj ci Boże (pisze) znaleźć drugą podobną.” Dziwna rzecz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że nie chcę drugiej, podobnej do Anielki ani lepszej od niej, tylko chcę jej samej. Mówię, że mi się to wydaje, ponieważ jest to uczucie bez stałej i określonej formy. Noszę w sobie jak gdyby motek niezmiernie poplątanego jedwabiu, męcę się i nie umiem tych zwiłanych pasem przyprowadzić do porządku. Mimo całej samowiedzy, nie wiem na przykład, skąd płynie mój żal, czy z tego, że kocham Anielkę więcej, niżli sam przypuszczam, czy z tego tylko, że czuję, iż mógłbym ją bardzo kochać? Śniatyński odpowiada mi poniekąd na to w następnych słowach: „Słyszałem czy czytałem, że bryłki złota mają czasem na sobie powłokę kwarcu, z której trudno metal wydobyć. Przypuszczam, że i serce twoje ma taką powłokę; w środku jest drogi kruszec, ale ta paskudna skorupa stopiła się niecałkowicie za twoją ostatnią bytnością w Płozowie. Bawiłeś zbyt krótko i po prostu nie pokochałeś tej dziewczyny dość silnie. Ty masz może energię czynu, ale nie masz nic a nic energii postanowień; byłbyś się jednak i na nią zdobył, gdyby uczucie parło cię dostatecznie. Wyjechałeś, zacząłeś swoim zwyczajem zgłębiać się, rozmyślać, i stało się, jakem przewidział, to jest przeffilozofowałaś własne i cudze szczęście.” Uderza mnie to w słowach Śniatyńskiego, że są one jakby powtórzeniem tego, co mi w swoim czasie mówił ojciec. Śniatyński wnika jednak we mnie dokładniej, bo oto co zaraz dodaje: „Stara historia, że kto się nadto nad sobą zacieka, ten w końcu nie zgadza się na siebie, a kto się na siebie nie zgadza, ten nie jest zdolny do żadnych postanowień. Chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkim i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek.” Czytałem podobne uwagi w jednym z francuskich autorów – i pomyślałem, że dalibóg ma słuszność!

Chwilami wołałbym, żeby Śniatyński był mi wprost nawymyślał zamiast naszpikować list takimi na przykład frazesami: „Mimo twych wszystkich przymiotów, może przyjdzie do tego, że będziesz zawsze powodem zgryzot i zmartwień dla najbliższych i najdroższych ci osób.” Jest mi to tym przykrzejsze, że to prawda. Narobiłem zgryzot Anielce, ciotce, matce Anielki i wreszcie sobie samemu. Natomiast trochę mi się śmiać chce, gdy czytam dalej: „Wedle praw życia, musi coś w człowieku wyrosnąć; otóż strzeż się, żeby w tobie nie wyrosło jakieś lichy, które ciebie pierwszego otruje.” Nie!... To przynajmniej mi nie grozi. Wyrosła tam przecie jakaś pleśń zasiana ręką Laury, ale właśnie wyrosła tylko na tej kwarcowej skorupie, o której Śniatyński wspomina; nie zdołała zapuścić korzonków głębiej, i ani ja się nią nie otrujęm, ani Laura. Takiej pleśni nie trzeba nawet wrywać, dość ją obetrzeć jak kurz. Więcej ma słuszności Śniatyński wówczas, gdy zaczyna być sobą i gdy występując w imię swego dogmatu, który zawsze nosi w sercu, mówi:

– Jeśli masz się za typ wyższy, jeśli nim nawet jesteś, to ci powiem, że suma takich wyższości daje społeczne minus.

Licha tam ja się mam za typ wyższy – chyba w porównaniu z takim Kromickim! – ale Śniatyński ma słuszość. Tacy ludzie, jak ja, nie stanowią tylko wtedy minusów, jeśli nie należą do kategorii geniuszów bez teki, to jest, jeśli są wielkimi uczonymi lub wielkimi artystami. Często nawet odgrywają wówczas rolę reformatorów. Co do mnie, mógłbym być reformatorem wyłącznie względem siebie samego. Chodziłem z tą myślą cały dzień, bo istotnie jest rzeczą niesłychaną, żeby człowiek, który tak doskonale rozumie swoje braki, nie przedsiębrał nic, by im zapobiec. Ostatecznie, gdybym w tej chwili wahał się od pół dnia, czy wyjść na ulicę, czy nie, mógłbym jednakowoż wziąć się za kołnierz i sprowadzić się aż na dół. Jestem sceptykiem – dobrze! Ale czy nie mogę nakazać sobie postępować tak, jakbym nim nie był? Co to kogo może obchodzić, czy w moich czynach będzie trochę mniej lub trochę więcej przekonania? Co mógłbym na przykład uczynić obecnie? Oto kazać spakować rzeczy i pojechać do Płoszowa. Mógłbym to zrobić doskonale. Co by z tego wypadło, pokazałoby się później – tymczasem byłby jakiś czyn. Śniatyński pisze wprawdzie: „Ta mała przesiaduje teraz codziennie w Płoszowie i dopiłowywa te panie, które i bez tego wyglądają jak cienie.” Więc może być za późno? Śniatyński nie wspomina, jak dawno był w Płoszowie, przypuszczam, że tydzień albo dwa temu, zatem od jego bytności rzeczy mogły bardzo się posunąć. Tak, ale ja o tym nie wiem. W ostatnim razie, co może nastąpić gorszego, niż dziś jest? Czuję, że człowiek, posiadający choć trochę energii w postanowieniach, zdobyłby się na ten wyjazd; czuję, że nabiorę dla siebie pewnego szacunku, jeśli to zrobię, a to tym bardziej, że nawet i Śniatyński już mnie nie namawia do tego – on, który jest jednak bardzo rzutki. Na samą myśl jaśniej mi w oczach; widzę przy tym w tej jasności jedną taką miłą twarz, że w tej chwili wydaje mi się ona miłszą niż wszystko w świecie i – *per Baccho!* – prawdopodobnie uczynię, jak zamierzam!

9 czerwca.

*La nuit porte conseil!* Nie jadę zaraz do Płoszowa, byłby to bowiem wyjazd na ślepo, ale napisałem do ciotki długi list w zupełnie innym rodzaju niż ów, który wysłałem z Pegli. W ciągu ośmiu, najwyżej dziesięciu dni powinienem mieć odpowiedź i stosownie do niej, pojedę albo też... nie pojedę – i w ogóle nie wiem, co zrobię. Odpowiedzi pomyślniej byłbym pewny, gdybym był na przykład napisał: „Błagam, kochana ciotko, o przepędzenie Kromickiego za dziesiąte wrota; Anielkę przepraszam, kocham i proszę o jej rękę.” Chyba żeby było już po ślubie, w takim tylko razie prośba moja pozostałaby bez skutku; ale przecie przypuszczam, że tak szparko sprawy tam nie poszły. Nie napisałem jednak do ciotki nic podobnego. List mój ma odegrać rolę podjazdu, który idzie przed wojskiem i bada okolicę. Ułożyłem go w ten sposób, że ciotka chcąc odpowiedzieć musi mi donieść, co się dzieje nie tylko w Płoszowie, ale i w sercu Anielki. Powiem szczerą prawdę, że jeśli nie byłem bardziej stanowczy, to dlatego, że doświadczenie nauczyło mnie nie ufać sobie. Ach, gdyby ta Anielka mimo tego żalu, który mniej więcej słuszenie może mieć do mnie, odrzuciła rękę Kromickiego, jak byłbym jej za to wdzięczny, jakby odsunęła się daleko w moich oczach od tego nieznośnego typu panny na wydaniu, której jedynym zadaniem i celem jest wyjść za mąż! Szkoda, że m się dowiedział o tym Kromickim. Odleciawszy na podobieństwo ptaka od nóg Laury, co musiało nastąpić w każdym razie, byłbym najprawdopodobniej upadł przy Anielczynych. Pocziwa ciotka dała jednak dowód nieco ciężkiej ręki, donosząc mi o zabiegach Kromickiego i o poparciu, jakiego mu udziela pani Celina. W dzisiejszych czasach nerwów nie tylko kobiety są mimozowate, ale i mężczyźni. Jedno trochę szorstkie dotknięcie, a dusza się zwija i zamyka częstokroć raz na zawsze. Wiem, że to jest głupio i źle, ale tak jest! Chcąc się zmienić, musiałbym zamówić sobie u jakiego anatoma inne nerwy, a te, które mam, chować tylko na szczególne okazje.

Nikt, nawet pani Śniatyńska, poczytująca mię w tej chwili za potwora, nie patrzy na mnie krytyczniej niż ja sam. Ale czy ten Kromicki jest lepszy ode mnie? Czy jego płaska, pieniężna newroza więcej warta od mojej? Bez wszelkiej chępliwości mogę sobie powiedzieć, że mam dziesięć razy więcej delikatności uczuć, szlachetniejsze porywy, lepsze serce, więcej tkliwości, nie mówiąc już o tym, że jego rodzona matka musiałaby przyznać, iż jest głupszy ode mnie. Nie zrobię wprawdzie nigdy w życiu ani miliarda, ani jego dziesiątej części, ale Kromicki też jeszcze nie zrobił nawet i setnej; natomiast mógłbym ręczyć, że mojej żonie będzie cieplej i widniej w życiu niż jego, że będzie żyła życiem szerszym i szlachetniejszym.

Nie pierwszy to już raz porównywał się w myśli z Kromickim, co mnie nawet gniewa, tak dalece uważam się za wyższą istotę. My jesteśmy mieszkańcy dwóch różnych planet; jeśli zaś chodzi o zestawienie naszych dusz, to, między nimi jest taki stosunek, że do mojej trzeba wchodzić po schodach – przy czym przyznaję, że można kark skrócić; do jego zaś duszy taka na przykład Anielka stanowczo musiałaby schodzić.

Czy jednak przyszłoby jej to tak trudno? Obrzydliwe pytanie! Ale widziałem pod tym względem tak niesłychane rzeczy, zwłaszcza u nas, gdzie kobiety stoją powszechnie wyżej od mężczyzn, że muszę je postawić. Widziałem dziewczęta, dalibóg, prawie skrzydlate, pełne szlachetnych porywów, wrażliwe na wszystko, co piękne i niepospolite, które nie tylko wychodziły za mąż za cymbałów najpośledniejszego gatunku, ale na drugi dzień po ślubie przechodziły na ich życiową wiarę, na ich płaskość, na ich egoizm, próżność, ciasnotę i małość. Co więcej, niektóre czyniły to chępliwie, jakby w ich oczach owe dawne ideały tak samo nadawały się po ślubie do wyrzucenia przez okno, jak ich mirtowy wianek. I były przekonane, że w ten właśnie sposób stają się dobrymi żonami, nie zdając sobie sprawy, że każda z nich poświęca poloty duszy skłonnościom małpy. Prawda, że często potem, prędzej lub później, przychodziła reakcja, ale ogólnie biorąc, szekspirowska Tytania jest u nas typem pospolitym, który każdy z pewnością w życiu spotykał.

Jam jest sceptyk od stóp do głowy, ale mój sceptycyzm płynie z „tego, co mnie boli”, bo istotnie boli mnie porządnie, gdy sobie pomyślę, że może być tak samo i z Anielką. Może i ona będzie wzruszała ramionami na wspomnienie swych panieńskich polotów, przekonana, że dostawy do Turkiestanu – oto są rzeczy równie poważne jak realne, którymi jedynie warto się zajmować w życiu. Porywa mnie nieludzki gniew na tę myśl, zwłaszcza że jeśli do tego przyjdzie, to przyjdzie po części z mojej winy.

Z drugiej strony jednak, moje rozmyśli i wahania płyną nie tylko z tego braku energii w postanowieniach, o którym pisze Śniatyński, ale jeszcze z innego źródła. Ja mam tak wysokie pojęcie o małżeństwie i tak wysokie wymagania, że to odejmuje mi odwagę. Wiem, że częstokroć mąż i żona przystają do siebie jak dwie spaczne deski, a jednak jakoś to idzie; ale dla mnie to nie wystarcza. Właśnie dlatego, że, biorąc ogólnie, jestem względem szczęścia niedowiarkiem, powiadam sobie: niech choć to mi dopisze! A czy może dopisać? Dziwna rzecz! Oto tak wahającym się, tak mało stanowczym zrobiły mnie nie te złe małżeństwa, które w życiu widziałem, ale tych kilka dobrych, bo właśnie na ich to wspomnienie powiadam sobie: To może dopisać! to nie książkowa rzecz! trzeba tylko umieć znaleźć!

*11 czerwca.*

Z Łukomskim zaprzyjaźniłem się w ostatnich dniach bardzo. Nie jest już ze mną taki milczący i zamknięty, jak był dawniej. Wczoraj zaszedł do mnie wieczorem; włóczyliśmy się aż hen, ku termom Karakalli, po czym zaprosiłem go do siebie i siedział blisko do północy. Miałem z nim rozmowę, którą zapisuję, bo uczyniła na mnie pewne wrażenie. Łukomski trochę się wstydził swego wybuchu przy konającym Gallu, ale ja umyślnie zacząłem mówić o kraju, wydobyłem z niego wszystko, co mu leżało na dnie serca, i w końcu, gdy zaczęło być między nami jakoś cieplej, powiedziałem:

– Wybacz, panie Józefie, pytaniu, ale doprawdy nie rozumiem jednej rzeczy: oto dlaczego człowiek, który tak, jak pan, potrzebuje wkoło siebie swojskiego otoczenia, nie postara się o towarzyszkę z kraju? Tego wrażenia ojczystego, które ona dać potrafi, nie da panu ani pańska pracownia, ani pańscy pomocnicy, nie mówiąc już o Kruku i Kurcie.

Łukomski uśmiechnął się i pokazując mi pierścionek, rzekł:

– Ja się właśnie żenię. Czekamy tylko na wyjście żałoby po ojcu mojej narzeczonej. Za dwa miesiące jadę do tych pań.

– W okolicy Sierpca?

– Nie, one pochodzą spod Wilkomierza.

– Cóż pan robił w Wilkomierzu?

– Ja poznałem je wypadkiem w Rzymie, na Corso.

– To był szczęśliwy wypadek!

– Najszczęśliwszy w moim życiu.

– Może w czasie karnawału?

– Gdzie tam! Któregoś rana szedłem na via Condotti; wtem patrzę, jakieś dwie panie, jasne blondynki, widocznie matka i córka, rozpytują złą włoszczyznę o Kapitol. Mówiły: *Capitolio*, *Capitole*, *Capitol* – i nikt ich nie mógł zrozumieć z tej prostej przyczyny, że jak panu wiadomo, mówi się: *Campidolio*. Poznałem, że Polki, bo już mam do tego oko. Ucieszyły się ogromnie, kiedym do nich zagadał po polsku; ja się także ucieszyłem i nie tylko pokazałem im drogę, ale sam zaprowadziłem je na miejsce.

– Nie uwierzy pan, jak mnie zajmuje pańskie opowiadanie. Poszliście więc razem?

– Poszliśmy razem. Po drodze patrzę, paniątka wysmukła jak topólka, zgrabna, ładna, głowa mała, uszy jak na model, dużo wyrazu, a rzęsy po prostu złote: coś podobnego tylko u nas się zdarza; tego tu pan nie zobaczysz, chyba w Wenecji, i to rzadko. Podobało mi się też, że się bardzo zajmowała matką, która była bardzo stroskana niedawną śmiercią męża. Pomyślałem, że musi mieć poczciwe serce. Tydzień służyłem im jako cicerone, a po tygodniu oświadczyłem się.

– Jak to? po tygodniu?

– Tak, bo one wracały do Florencji.

– W każdym razie należysz pan do ludzi, którzy niedługo się namyślają.

– Gdyby to było w kraju, trwałoby niezawodnie dłużej, ale tu ja, panie, miałem ochotę całować ją po rękach za to samo, że Polka...

– Tak, ale małżeństwo to taki przełom w życiu...

– To prawda, ale co ja lepszego mogłem wymyślić we dwa lub trzy tygodnie niż w tydzień? Miałem pewne skrupuły – przyznaję. Trochę mi przykro o tym mówić... W naszej rodzinie jest dziedziczna głuchota. Dziad na starość nie słyszał nic, ojciec ogłuchł w czterdziestym roku życia... Można z tym żyć, ale bądź co bądź to kalectwo ciężkie, zwłaszcza dla otoczenia, bo głusi bywają niecierpliwi. Otóż łamałem się z myślą, czy godzi się wiązać życie takiej dziewczyny ze sobą człowiekowi, któremu to kalectwo prawdopodobnie grozi – i z którym pożycie może być trudne...

Teraz dopiero spostrzegłem, że Łukomski w wyrazie oczu, w ruchach głowy, w sposobie, w jaki słucha, gdy się do niego mówi, ma coś z tego, co mają zwykle ludzie głusi. Słyszał dotąd doskonale, ale widocznie już ciągle kontrolował się, czy mu słuch nie słabnie.

Starłem się go uspokoić, on zaś rzekł:

– Ja też to samo myślałem. Nie warto dla niebezpieczeństw, tylko prawdopodobnych, psuć życie sobie i komu. Toż i cholera bywa we Włoszech, a głupio by przecie było, żeby się żaden Włoch nie żenił dlatego, że może umrzeć na cholerę i zostawić żonę z dziećmi bez opieki. Zresztą zrobiłem, com był powinien. Powiedziałem naprzód pannie Wandzie, że ją kocham, że dałbym życie, aby ją mieć, ale jest na przeszkodzie to a to! I wiesz pan, co ona mi odpowiedziała? Powiedziała mi tak: „Jak panu nie będę mogła mówić, że pana kocham, to będę

pisala.” Nie obyło się przy tym bez łez, ale w godzinę później śmieliśmy się już z tych strachów, i ja umyślnie udawałem głuchego, żeby ja zmusić do napisania: k o c h a m.

Rozmowa ta utkwiała mi w pamięci. Śniatyński myli się twierdząc, że u nas osły tylko mają jeszcze jakąś wolę. Ten rzeźbiarz miał istotne powody do namysłu, a tydzień wystarczył mu na tak walne postanowienie. Być może, iż nie ma on świadomości siebie rozwiniętej w tym stopniu jak ja, ale to rozumny człowiek. Co za dzielna kobieta, ta przyszła pani rzeźbiarzowa! – i jak mi się podoba jej odpowiedź!... Czuję zarazem, że Anielka należy do takiego samego gatunku kobiet. Gdybym na przykład oślepl, Laurę obeszlaby tylko o tyle moja ślepotą, o ile mogłaby mnie w danym razie ukostiumować na jakiegoś feackiego Demodoka, śpiewającego pieśni przy uczcie. Ale Anielka! – ta nie opuściłaby mnie z pewnością, choćbym jeszcze nie był jej mężem. Dałbym sobie za to rękę uciąć.

Muszę tylko przyznać, że wobec tej pewności i tydzień wahania się był zbyteczny, ja zaś waham się od pięciu miesięcy; nawet ostatni mój list do ciotki nie jest także niczym stanowczym.

Pocieszam się jednak myślą, że ciotka, jako kobieta rozumna i kochająca mnie, domyśli się, o co mi chodzi, i przyjdzie mi w pomoc po swojemu. Kołacze się też w mym sercu nadzieja, że Anielka będzie ciotce w tej robocie sprzymierzeńcem; żałuję wszelako, że listu nie napisał wyraźniej. Przychodzi mi chętka wysłać drugi, ale ją zwalczam. Trzeba doczekać się odpowiedzi na pierwszy. Szczęśliwi tego rodzaju ludzie jak Łukomski, którzy poczynają od czynów.

*15 czerwca.*

Czy nazwę to uczucie, jakie mam dla Anielki, miłością czy inaczej, zawsze spostrzegam ogromną różnicę między nim a tymi wszystkimi, które dotychczas przelatywały mi przez serce. Myślę o nim od rana do wieczora; wyrosło ono na jakąś moją sprawę osobistą, czuję się odpowiedzialnym za nie przed sobą. Tego dawniej nigdy nie bywało. Owe dawne związki zawiązywały się, trwały i rozwiązywały, zostawiając mi mniejszy lub większy smutek, czasem przyjemne wspomnienie, czasem niesmak, ale nigdy nie pochłaniały mej wewnętrznej istoty w tym stopniu. W takim życiu próżniaczym i światowym, jakie prowadzimy my wszyscy, którzy nie stawiamy sobie żadnych wysokich celów, nie wysługujemy się żadnej idei, a jednocześnie nie potrzebujemy na chleb pracować, kobieta nie schodzi ze sceny: ciągle się na nią patrzy, ustawicznie się wedle niej zabiega, ale też się diabelnie z nią oswaja, tak że w końcu liczy się ją do grzechów powszednich żywota. My, czyniąc kobiecie zawód, doznajemy tak mało wyrzutów sumienia, że mniej wyrzutów sumienia doznaje chyba tylko kobieta czyniąc nam zawód. Ja, przy całej wrażliwości swej natury, należę także do sumień pod tym względem przytępionych. Zdarzały się wypadki, że sobie mówił: Ot, byłaby pyszna sposobność do zrobienia sobie kilku patetycznych wymówek! – ale wolałem zawsze kiwnąć ręką i myśleć o czymś przyjemniejszym. Tym razem tak nie jest. Czasem umysł mój zajęty bywa zgoła czym innym; nagle czuję, że mi czegoś niedostaje; nadlatuje na mnie jakiś niepokój, jakiś strach, zupełnie jakbym coś ogromnie ważnego pominął, czegoś uczynić zaniedbał – i w danej chwili spostrzegam, że to myśl o Anielce przedostaje się znów ze wszystkich obsłon, aby opanować mnie całego. Kołacze to we mnie dzień i noc, jak ów kołatek w biurku, w Mickiewiczowskim poemacie. Gdy wzruszam ramionami i usiłuję zmniejszyć albo nawet ośmieszyć to wrażenie, mój sceptycyzm i ironia nie dopisują mi, a raczej dopisują tylko dopóty, dopóki trwają, bo zaraz potem wracam znów do zaklętego koła. Nie jest to, wprost biorąc, zgryzota ani nawet wyrzuty; to prędzej męczące przytwierdzenie myśli do jednego przedmiotu, a zarazem tak gorączkowa i niespokojna ciekawość, co dalej będzie, jakby od tego d a l e j zależało moje życie.



Gdybym się mniej biegle analizował, powiedziałbym sobie, że to jest wielkie i niepospolite uczucie, ale spostrzegam, że w tych rozmyślaniach i niepokojach chodzi mi jeszcze o coś innego niż o posiadanie Anielki w przyszłości. Niezawodnie, uczyniła ona na mnie głębokie i silne wrażenie; Śniatyński ma jednak słuszość twierdząc, że gdybym ją był pokochał tak mocno, jak na przykład on swoją żonę, to bym przede wszystkim zapragnął ją posiadać. Ja zaś – rzecz zupełnie pewna – mniej pragnę ją posiadać, niż boję się ją utracić. Może nie każdy potrafiłby zauważyć tę dziwną i wielką różnicę. Ja jednak mam ustalone przekonanie, że gdyby nie Kromicki, gdyby nie prawdopodobna utrata Anilki, nie doznawałbym ani tego strachu, ani tego niepokoju. Rozwikłuje to poniekąd moje splątane nici, dowodzi mi bowiem względnie jasno, że ja nie tyle kocham Anielkę, ile czuję, że mógłbym ją pokochać, i tego właśnie, tych widoków szczęścia, tej jedynej sposobności do zapelnienia szczęściem życia, żal mi ogromnie, a jeszcze bardziej strach owej pustki, która się przede mną otworzy, jeśli mi się Anielka usunie.

Zauważyłem, że najwięksi pesymiści, gdy im los lub ludzie chcą odjąć coś z życia, tak dobrze wymachują rękoma i nogami i tak krzyczą wniebogłosy jak najwięksi optymiści. Jestem właśnie w tym położeniu. Nie krzyczę wprawdzie, ale mnie trwoga ogarnia na myśl, że może za parę dni nie będę wiedział, co ze sobą zrobić na świecie.

*16 czerwca.*

Miałem uboczną wiadomość o Laurze; dał mi ją mój notariusz, który prowadzi zarazem sprawę Davisów. Davis już w zakładzie obłąkanych. Ona bawi w Interlaken u stóp Jungfrau. Ma pewnie zamiar dostać się na szczyt. Wyobrażam sobie, jak się ubiera w Alpy, w ich śniegi, mgły, wschody słońca, jak pływa po jeziorach, staje nad przepaściami. Wyraziłem notariuszowi moje współczucie dla Davisa, a zarazem dla pani, która w tak młodym wieku pozostała sama i bez opieki. Stary prawnik uspokoił moją troskliwość co do niej, oświadczywszy, że właśnie przed tygodniem wyjechał do Szwajcarii hr. Maleschi, neapolitańczyk, krewny pani Davisowej. Znam! znam! Piękne Włoszysko jak Antinous, ale karciarz i jak mówią, tchórzem podszyty. Zdaje mi się, że niesłusznie nazwałem w swoim czasie Laurę wieżą pizańską.

Zdarza mi się literalnie po raz pierwszy w życiu, żeby ze wspomnieniem kobiety, której wprawdzie nie kochałem, ale którą okłamywałem, że kocham, łączyła się we mnie taka niechęć. Dla Laury jestem niewdzięczny i niewspaniałomyślny. Aż mi wstyd! Właściwie, jakie mam powody niechęci dla niej i czego jej nie mogę darować? Oto zawsze, jak powiedziałem, tego, że od początku naszego stosunku, wprawdzie nie wprost z jej winy, ale przez samo zętknięcie się z nią, popełniłem tysiące rzeczy lichych i marnych, których nie popełniałem nigdy w życiu. Nie uszanowałem swej żałoby, nie uszanowałem słabości i niedołęstwa Davisa, zgnuśniałem, popsulem się, wysłałem ten fatalny list... Wszystko to moja wina! Ale jeśli ślepy, potknąwszy się o kamień, upada na drodze, przeklina zawsze kamień, choć w istocie upadł dlatego, że był ślepy.

*17 czerwca.*

Zaniósłem dziś pieniądze Łukomskiemu, zostawiłem zupełne pełnomocnictwo notariuszowi, rzeczy moje spakowane, i jestem na wszelki wypadek gotów do drogi. Rzym zaczyna mi być nieznośny.

18 czerwca.

Wyliczyłem, że odpowiedź ciotki mogłaby już tu być. Odkładając na bok najgorsze przypuszczenia, staram się odgadnąć, co mi ciotka doniesie. Żałuję, nie wiem już po raz który, żem nie napisał do niej wyraźniej. Napisałem jednak, że może wybrałbym się do Płoszowa, gdybym był pewien, że moja obecność nie będzie przykrą gościom ciotki, a zarazem przesłałem serdeczne pozdrowienie tym paniom. Wspomniałem i o tym, że w ostatnich dniach mego pobytu w Pegli byłem chory i tak rozdrażniony, iż sam nie wiedziałem, co robię. List, gdy go pisałem, wydawał mi się bardzo rozumny, teraz zaś wydaje mi się czasem szczytem głupoty. Po prostu miłość własna nie pozwoliła mi odwołać jasno i stanowczo tego, com przedtem napisał z Pegli. Liczyłem, że ciotka uchwyci pierwszą sposobność, by wszystko naprawić, a wówczas ja zjadę jako księżę wspaniałomyślny. Natura ludzka jest bardzo marna. Nie pozostaje mi nic, jak trzymać się oburącz tej nadziei, że jednak ciotka powinna domyślić się, o co mi chodzi.

Teraz, gdy niepokój mój powiększa się z każdą chwilą, czuję nie tylko to, że mógłbym Anielkę kochać ogromnie, ale że w ogóle mógłbym być bez porównania lepszy, niż jestem. Właściwie, dlaczego ja tak postępuję, jakby poza egoizmem i rozdrażnionymi nerwami nie było we mnie nic więcej? A jeśli nie ma nic więcej, czemu moja autoanaliza nie wykryje mi tego niewątpliwie? Posiadam odwagę do wyprowadzania ostatecznych wniosków i nie taję przed sobą prawdy, a jednak ten wniosek stale odrzucam. Dlaczego? Bo mam niezachwianą pewność, że jestem lepszy od moich postępów. Przyczyną ich jest jakaś nieudolność życiowa, płynąca po części z rasy, po części z choroby wieku, którego jestem dzieckiem – z tego właśnie przeanalizowania się, które nie pozwala nam nigdy pójść za pierwszym, prostym porwyem natury ludzkiej, ale krytykuje wszystko aż do zupełnego ubezwładnienia duszy. Kiedy byłem dzieckiem, bawiłem się w ten sposób, żem nakładał pieniądze jeden na drugi, dopóki słupek pochylony własnym ciężarem nie upadał i nie zmieniał się w bezładną kupkę. Teraz robię to samo z myślami i zamiarami, także dopóty, dopóki nie zwałą się chaotycznie. Stąd daleko łatwiej zdołać mi się na czyn ujemny niż dodatni; zniszczyć coś niż stworzyć. Zdaje mi się, że wielu ludzi inteligentnych choruje na tę chorobę. Krytyka wszystkiego i samych siebie wyzarta w nas siły dodatnie; brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja na przykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić.

Ale gdy mówię o chorobie wieku, nie chcę się ograniczać na mówieniu wyłącznie o sobie. Że ktoś kładzie się do łóżka w czasie epidemii, to jest rzecz bardzo zwyczajna – a dziś krytyka wszystkiego jest epidemią grasującą w całym świecie. Prosty stąd wynik, że rozmaite dachy, pod którymi ludzie żyli, zapadają im się na głowy. Religia, której sama nazwa oznacza wiązanie, rozwiązuje się. Wiara, nawet w wierzących jeszcze, stała się niespokojna. Przez ten dach, który się nazywa ojczyzną, poczynają przeciekać prądy socjalne. Pozostał tylko jeden ideał, przed którym nawet bardzo zuchwali sceptycy czapki zdejmują – lud. Ale na cokole posągu zaczynają już różni psotnicy wypisywać mniej więcej cyniczne koncepta – a co dziwniejsze: pierwsze mgły zwątpienia podnoszą się z tych głów, które z natury rzeczy powinny się chylić najniżej. Przyjdzie w końcu jaki genialny sceptyk, jaki drugi Heine, oplwa i spoliczkuje tego bożka – jak to w swoim czasie uczynił Arystofanes – ale oplwa go nie w imię żadnych starych ideałów, tylko w imię wolności myśli, w imię wolności wabienia – i co wówczas nastąpi – nie wiem. Prawdopodobnie na tej ogromnej pustej karcie diabeł będzie pisał sonety do swej kochanki.

Czy na to jest rada? Przede wszystkim: co mi do tego? Chcieć czegokolwiek to nie moja rzecz. Jestem na to zbyt dobrze wychowanym dzieckiem wieku. Jeśli jednak to wszystko, co się myśli, co się dzieje i staje, ma służyć do powiększenia sumy szczęścia, to pozwolę sobie na jedną osobistą uwagę, nadmieniając przy tym, że nie mam na względzie położenia materialnego, ale spokój wewnętrzny, którego może tak dobrze brakować mnie jak każdemu in-

nemu: oto dziad mój był szczęśliwszy od mego ojca, mój ojciec ode mnie, a mój syn, jeśli go będę miał, będzie wprost litości godną figurą.

*Florencja, 20 czerwca.*

Dom z kart runął. Odebrałem list od ciotki. Anielka wychodzi za Kromickiego i ślub ich za kilka tygodni. Ona sama żądała tak krótkiego terminu. Po odebraniu tej nowiny siadłem do wagonu i chciałem jechać do Płoszowa, mając jednocześnie świadomość, że ten wyjazd jest głupstwem i awanturą, która do niczego nie doprowadzi. Oto dlaczego jestem we Florencji. Porwało mnie i niosło, ale zebrawszy resztki przytomności i rozwagi, ulgnałem tu.

*Florencja, 22 czerwca.*

Jednocześnie z listem ciotki odebrałem *faire part* zaadresowane ręką kobiecą. Nie jest to charakter Anielki ani jej matki. Żadna z nich by tego nie zrobiła. Prawdopodobnie to koncept i złośliwość pani Śniatyńskiej. Zresztą wszystko mi jedno. Dostałem pałką w głowę, więc jestem odurzony. Ale widzę, że to więcej wstrząsa, niż boli. Nie wiem, jak będzie później: kuli podobno się także zrazu nie czuje. Jednakże nie strzeliłem sobie w łeb, nie zwariowałem; patrzę sobie na Lung, Arno, układałbym nawet pasjanse, gdybym umiał, słowem: mam się dobrze... Że wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły, to stara historia... Ciotka poczytywała sobie za chrześcijański obowiązek powtórzyć Anielce to, co napisałem z Pegli.

*Florencja, 23 czerwca.*

Z rana, gdy się budzę, a raczej gdy otwieram oczy, muszę sobie powtarzać, że to ta sama Anielka idzie za Kromickiego – taka dobra, kochająca, która nie kładła się spać, by mnie przywitać wracającego z Warszawy do Płoszowa, która patrzyła mi w oczy, słuchała tego, com mówił, i każdym spojrzeniem mówiła mi sama, że jest moją. I ta sama będzie nie tylko panią Kromicką, ale w tydzień po ślubie nie będzie jej się chciało w głowie pomieścić, jak mogła wahać się w wyborze między takim Płoszowskim a takim Jowiszem jak Kromicki. Dzieją się jednak rzeczy dziwne na świecie i tak strasznie nieodwołalne, że się traci tę podłą resztę ochoty do życia. Pani Celina i pani Śniatyńska przyjmują teraz zapewne *al pari* Kromickiego i wnoszą go umyślnie moim kosztem. Żeby już zostawiły lepiej w spokoju tę Anielkę! Jednak ciotka pozwoliła na to wszystko! Mniejsza o mnie, ale przecież ciotka wie i widzi, że Anielka nie może z nim być szczęśliwa. Sama mówi mi, że Anielka wychodzi za niego z rozpacz. Oto ten długi przeklęty list:

„Dziękuję ci za ostatnie wiadomości, tym bardziej że tamten pierwszy list z Pegli był nie tylko stanowczy, ale i okrutny. Trudno mi było wierzyć, żebyś ty nie miał dla tej dziewczyny nie tylko ani trochy przywiązania, ale ani przyjaźni, ani litości. Ja przecie, mój Leonie, nie żądałam i nie namawiałam cię, byś się zaraz oświadczał Anielce, prosiłam cię jedynie o to, abyś napisał jakieś słowo serdeczniejsze dla niej, choćby nie wprost, ale w liście do mnie. I wierzaj mi, że byłoby to wystarczyło, bo ona tak cię kochała, jak tylko podobna dziewczyna kochać może. Wejdz jednak w moje położenie: co miałam robić po odebraniu twego listu? jakim sumieniem mogłam utrzymywać dłużej Anielkę w tych złudzeniach i zarazem w niepokoju, który truł widocznie jej zdrowie? Po listy Chwastowski zawsze posyła umyślnego do Warszawy i przynosi je sam z rana na herbatę. Anielka wiedziała, że jest list od ciebie, bo to biedactwo czyhało zawsze na Chwastowskiego i zabierało mu z rąk listy niby dlatego, żeby je

ułożyć na mojej serwecie, a w rzeczy, by zobaczyć, czy od ciebie czegoś nie ma. Otóż spostrzegła, że list jest. Zauważyłam, że już herbatę nalewała nam tak, iż wszystkie łyżeczki dzwoniły w filiżankach. Mnie tknęło jakieś złe przeczucie; wahałam się, czy nie odłożyć czytania, póki nie znajdę się w swoim pokoju, ale byłam niespokojna, czyś nie chory, i nie mogłam wytrzymać. Bóg widzi, ile mnie kosztowało nie pokazać po sobie niczego, zwłaszcza że czułam oczy Anielki, wlepione we mnie. Ale jakoś się przemogłam; powiedziałam nawet: Leon zawsze zboleją; chwała Bogu, zdrów, i przesyła wam ukłony. Anielka spytała niby zwyczajnym głosem: czy długo jeszcze zabawi we Włoszech? Widziałam, ile się mieści w tym pytaniu, i nie miałam odwagi powiedzieć prawdy, zwłaszcza że było to przy Chwastowskim i służbie; powiedziałam więc tak: Niedługo; myślę, że się wkrótce tu wybierze. Żebyś ty widział te ognie, które przez nią przeleciały, tę radość, te wysiłki, żeby się nie rozplakać. Biedactwo! Mnie się dziś chce płakać, gdy o tym wspomnę. Co przesłam, wróciwszy do siebie, to nie uwierzysz; aleś ty napisał wyraźnie: «Życzę jej szczęścia z Kromickim» – i trzeba było, sumienie kazało, otworzyć jej oczy. Nie potrzebowałam jej wołać bo nadeszła sama; wówczas powiedziałam jej tak: Anielciu, ja wiem, że ty jesteś dzielna, pocziwa dziewczyna, która się zawsze zgodzi z wolą bożą. Musimy pomówić otwarcie. Wiem, moje dziecko, że między tobą a Leonem zaczynało się coś podobnego do przywiązania, i powiem ci, żem sobie tego najmocniej życzyła; ale widocznie woli bożej nie było; jeśliś miała pod tym względem jakie złudzenia, to się ich wyrzecz! Poczęłam ją ścisnąć, bo pobladła jak papier; myślałam, że zemdleje; na szczęście, nie przyszło do tego. Schyliła się tylko do moich kolan i poczęła powtarzać raz po raz: Co on mi kazał, ciociu, powiedzieć? Co on mi kazał, ciociu, powiedzieć? – Broniłam się, nie chciałam cytować twoich słów – ale przyszło mi na myśl, że będzie lepiej dla niej dowiedzieć się całej prawdy, i powiedziałam jej wreszcie, że jej życzysz szczęścia z Kromickim. Na to wstała i po chwili rzekła mi zupełnie już innym głosem: Niech mu ciocia podziękuje – potem zaraz odeszła. Boję się, że będziesz nierad, żem tak wiernie powtórzyła twoje słowa, nie obwijając ich w żadne uprzejmości; skoro jednak Anielki stanowczo nie chcesz, to nie można jej było tego dość raźnie powiedzieć. Im bardziej będzie przekonana, żeś się źle z nią obszedł, tym prędzej cię zapomni. Wreszcie, jeśli ci to będzie przykro, pomyśl, przez ile nie tylko przykrości, ale cierpienie przeszłyśmy tu wszystkie trzy, a zwłaszcza Anielka. Ma ona wprawdzie tyle mocy nad sobą, że ani się spodziewałam. Cały dzień miała oczy suche i nie dała nic poznać matce, o której zdrowie bardzo się boi; tuliła się tylko do niej więcej niż zwykle, a i do mnie, co mnie tak rozczulało, aż, mi się broda trzęsła. Pan Śniatyński, który tego samego dnia przyjechał, nic po Anielce nie poznał; dopiero sama mi powiedziałam, bo wiem, że to twój przyjaciel – toteż zmartwił się okropnie i począł się na ciebie tak złościć, ażem się na niego rozgniewała. Bóg wie, co nie wygadywał – wiesz, jak to on. Ty, który Anielki nie kochasz, nie możesz ocenić, jaki byłbyś z nią szczęśliwy; źle jednak zrobiłeś, mój Leonie, żeś ją zostawił w tym mniemaniu, że ją kochasz. Nam wszystkim się to zdawało, nie tylko jej, a to było źle, bo naprzód Bóg jeden policzył, ile ona się nacierpiąta, a po wtóre, to było powodem, że zaraz postanowiła przyjąć Kromickiego. Rozumiem doskonale, że ona to zrobiła z desperacji. Musiały mieć z matką jakąś o nim rozmowę, po której zapadło postanowienie. Kromicki przyjechał nazajutrz po twoim liście. Była od razu dla niego taka inna niż zwykle, że w tydzień później się oświadczył i został przyjęty. Pan Śniatyński dopiero przed paru dniami dowiedział się o tym i włosy sobie z głowy wyrывał, a co się ze mną od początku działo, tego ci nawet nie piszę.

Byłam tak rozżalona na ciebie jak nigdy w życiu, i dopiero twój drugi list złagodził trochę urazę, chociaż przekonał mnie ostatecznie, że z moich zamków na lodzie nic nie będzie. Bo ci się przyznam, że po tym pierwszym liście, póki Kromicki się nie oświadczył, przychodziło mi do głowy: A nuż Bóg wejrzy na nas łaskawie i odmieni jego serce! Nuż Leon z gniewu tylko tak napisał! Ale gdy potem znalazłeś już kilka słów serdecznych dla Anielki, a nie odwołałeś nic z tego, co było w pierwszym liście, poznałam, że już nie ma się co łudzić. Ślub Anielki

ma być 25-go lipca i powiem ci, dlaczego tak prędko. Celina, naprawdę bardzo chora, przewiduje swój bliski koniec i nie chce, żeby potem, z powodu żałoby po niej, zaszła długa zwłoka; chce przed śmiercią zobaczyć dziecko pod męską opieką. Kromickiemu pilno, bo on ma interesa na Wschodzie, których nie może zaniedbywać, a Anielka pragnie jak najprędzej wypić ten kielich. Ach! mój Leonie, czemu to wszystko tak poszło i czemu to dziecko jest tak nieszczęśliwe?

Nie pozwoliłabym nigdy w świecie, żeby ona wyszła za Kromickiego, ale jak ja mogę choć słowo powiedzieć, ja, która czuję się i tak winną względem Anielki? Mnie opanowała zanadto chęć ożenienia cię i nie obliczyłam, co za następstwa mogą wyniknąć stąd dla Anielki. Moja wina, ale też cierpię niemało i modlę się co dzień za to dziecko.

Oni wyjeżdżają po ślubie na Wołyń. Celina zamieszka u mnie w Warszawie; gadała o Odessie, ale nie puszcze jej za nic. Ty, mój drogi, wiesz, jakam szczęśliwa, gdy cię widzę, ale nie przyjeżdżaj teraz do Płoszowa; zrób to dla Anielki. Jeśli chcesz, to ja zaraz potem przyjadę do ciebie; Anielkę trzeba teraz oszczędzać.”

Po co ja mam się oszukiwać!? Ilekroć odczytuję ten list, chce mi się głową o ścianę tłuc – i to już nie z gniewu, nie z zazdrości, ale z żalu!

*23 czerwca.*

Nie podobna mi było, po prostu nie podobna, założyć ręk i dać już zupełnie za wygraną. To byłoby potworne małżeństwo. Dziś, we czwartek, wysłałem do Śniatyńskiego depeszę, w której zakląłem go na wszystkie świętości, by w niedzielę był w Krakowie. Sam wyjeżdżam tam jutro. Prosiłem go, żeby o depeszy nikomu nie wspominał. Pomówię z nim, a raczej będę go błagał na wszystko, żeby się rozmówił w moim imieniu z Anielką. Liczę wiele na jego wpływ. Anielka szanuje go i lubi ogromnie. Nie udałem się do ciotki, bo my mężczyźni lepiej się rozumiemy. Śniatyński jako psycholog łatwiej uwzględni ten cały przekłety proces psychiczny, przez który przechodziłem w ostatnich czasach. Jemu mogę powiedzieć i o Laurze: gdybym zaś wspominał o niej ciotce, przeżegnałaby się krzyżem świętym. Chciałem początkowo napisać do samej Anielki, ale list mój zwróciłby uwagę, wywołał zamieszanie. Znam prawość Anielki, wiem, że pokazałaby zaraz list matce – a ta musi mnie niecierpieć i nie omieszkałaby go na swój sposób wytłumaczyć, w czym by jeszcze dopomógł jej Kromicki. Trzeba, żeby Śniatyński pogadał z Anielką sam na sam, co może mu ułatwić jego żona. Mam nadzieję, że on podejmie się misji, choć widzę doskonale, jak jest drażliwa. Nie spałem już kilka nocy. Gdy przymknę powieki, przypominam sobie Anielkę, jej twarz, włosy, oczy, sposoby mówienia, uśmiech – widzę ją, jak gdyby stała przede mną... Nie mogę tak żyć!

*Kraków, 26 czerwca.*

Śniatyński jest. Podjął się! Poczciwy chłop – niech mu Bóg zapłaci! Godzina jest czwarta w nocy, ale że ciągle spać nie mogę, więc siadam do pisania, bo nie mam co z sobą robić. Gadaliśmy ze Śniatyńskim do trzeciej, klóciliśmy się, rozprawiali. Teraz on przewraca się na drugi bok w sąsiednim pokoju. Nie od razu udało mi się go namówić. Powtarzał mi ciągle: Mój kochany, jakim prawem ja, obcy człowiek, mam wtrącać się w wasze stosunki rodzinne, jeszcze w sprawie tak drażliwej? Panna Aniela może mi zamknąć usta jednym pytaniem: Co panu do tego? Przysięgałem mu, że Anielka tego nie powie, tak zupełnie, jakbym miał na to jej podpis. Przyznawałem słuszność jego uwagom, ale mówiłem, że są położenia, w których się nawet z takimi względami nie powinno liczyć. Trafił mu do przekonania ten mój argument, że tu nie chodzi o mnie, tylko o Anielkę, ale w ogóle, jeśli się podjął mówić z nią, to

dlatego, że mu żal mnie. Zmizerniałem okrutnie przez tę parę dni; sam mi to powiedział, i widziałem, że go to wzruszyło. Przy tym nie cierpi Kromickiego, bo to są dwa typy zupełnie różne. Śniatyński utrzymuje, że spekulacje pieniężne równają się wygarnianiu pieniędzy z cudzych kieszeni do swojej. On różne rzeczy ma Kromickiemu za złe i powiedział o nim tak: Gdyby miał jakiś wyższy i uczciwszy cel robiąc pieniądze, to bym mu wybaczył, ale on je robi dlatego tylko, ażeby je mieć! Małżeństwo Anielki oburza go bez mała jak i mnie – i jest tego zdania, że Anielka gotuje sobie nieszczęście. Na moje prośby wyjeżdża Śniatyński zaraz jutro rannym pociągiem.

Pojutrze oboje z żoną będą w Płoszowie i jeśli nie będzie można rozmówić się swobodnie z Anielką, to zabiorą ją na parę godzin do siebie. Ma przedstawić Anielce moją mękę, powiedzieć jej, że całe życie moje jest w jej ręku. On to potrafi. Przemówi do niej z powagą, słodyczą i rozumnie; przekona ją, że kobieta, choćby z najbardziej zranionym sercem, nie ma prawa oddawać ręki człowiekowi, którego nie kocha; że postępując tak, postępuje nierzetelnie i nieuczciwie; że również nie ma słuszności odpychać człowieka kochanego i łamać jego życia dlatego, że ten w uniesieniu zazdrości uczynił coś, czego żałuje z całej duszy.

Na zakończenie powiedział mi Śniatyński tak:

– Zrobię to wszystko pod jednym warunkiem: oto jeśli mi dasz słowo honoru, że w razie niepomyślnym nie wpadniesz do Płoszowa i nie narobisz awantur, które twoja ciotka, pani Celina i panna Aniela mogłyby przyplącić zdrowiem. Możesz do panny Anieli pisać, jeśli chcesz – ale osobiście nie przyjedziesz, chyba że otrzymasz jej upoważnienie.

Za kogo on mnie ma? Przyrzekłem, choć mnie to zaraz zaniepokoiło. Ale liczę na serce Anielki i na wymowę Śniatyńskiego. Ach! jak on umie mówić! Nie robił mi niby wielkiej nadziei, widzę jednak doskonale, że sam ją ma. W ostatnim razie obiecuje sobie wymóc na Anielce przynajmniej to, żeby termin ślubu odłożyła na pół roku. W takim razie zwycięstwo, bo Kromicki sam się pewnie cofnie. Popamiętam dzień dzisiejszy długo! Śniatyński, gdy widzi prawdziwy ból, jest delikatny jak kobieta i oszczędzał moją miłość własną. To jednak dużo kosztuje przyznać się do swych szaleństw, win, słabych stron i złożyć swoje losy w cudze ręce, zamiast samemu się z nimi borykać. Ale co mi to wszystko, gdy chodzi o Anielkę?

*27 czerwca.*

Śniatyński wyjechał rano. Odprowadzałem go na kolej. Powtarzałem mu tak rozmaite zlecenia, jak gdyby był idiotą. On, drażniąc się ze mną, mówił, że jeśli mu się misja uda, to znowu zacznę filozofować. Miałem ochotę go wytuzać. Odjeżdżał pełen dobrej otuchy; przysiągłbym, że jest pewien, iż wszystko pójdzie jak najlepiej. Po jego odjeździe poszedłem do kościoła Panny Marii, i ja – sceptyk, ja – filozof, ja, który – nie wiem, nie wiem, nie wiem! dałem na mszę na intencję Leona i Anieli. Nie tylko wysłuchałem mszy, ale teraz piszę oto czarno na białym; Niech piorun trzaśnie sceptycyzm, filozofię z nim razem i moje n i e w i e m w dodatku!

*28 czerwca.*

Godzina pierwsza po południu. O tej porze Śniatyńscy mieli właśnie wyjechać do Płoszowa. Na jedno przynajmniej Anielka powinna się zgodzić, to jest na odłożenie ślubu. Ona nie ma prawa mi tego odmówić... Przez cały dzień rozmaite myśli przychodzą mi do głowy. Kromicki jest chciwy na pieniądze – to nie ulega wątpliwości – czemu on nie szuka bogatszej

partii? Majątek Anielki jest duży, ale obdłużony – może on być Kromickiemu potrzebny dlatego, by go nie uważano za przybłędę, którego nie ma na czym poszukiwać; może mu dopomóc do uzyskania poddaństwa – prawda! – jednak Kromicki przy swej opinii bogacza mógłby to wszystko znaleźć – plus posag. Widocznie ona mu się jednak podoba – i podoba się od dawna. Co to dziwnego, że Anielka się podoba!

I powiedzieć, że ona czekała, jak szczęścia, jak zbawienia, jednego słowa z moich ust! Przecie ciotka pisze, że „czyhało biedactwo na Chwastowskiego, by mu zabierać listy z rąk”. Strach mnie bierze, że mi to wszystko może nie być darowane i że tak nade mną, jak nad podobnymi do mnie ludźmi wisi zatrała.

*Godzina 10 wieczorem.*

W dzień dostałem szalonej newralgii w głowie; teraz to przeszło, ale z tego bólu, z bezsenności i niepokoju jestem w takim stanie, jakbym był zahipnotyzowany. Umysł mój, otwarty i podniecony w jednym kierunku, skupiony całą siłą w jednej tylko myśli, widzi tak jasno, co będzie, jak nigdy w życiu nie widział. Zdaje mi się po prostu, że jestem w Płoszowie, że słucham tego, co Anielka odpowiada Śniatyńskiemu – i nie rozumiem, jak mogłem się ludzi. Ona nie zmiłuje się nade mną. Nie są to przypuszczenia, ale zupełna pewność... Istotnie, dzieje się ze mną coś szczególnego. Czuję w sobie taką przeraźliwą powagę, jakbym dotąd był dzieckiem – i zarazem smutno mi ogromnie. Przypuszczam, że mogę zachorować. Na Śniatyńskim wymogłem, że będzie zaraz telegrafował. Dotąd depeszy nie ma, chociaż właściwie nie przyniesie mi ona nic nowego.

*29 czerwca.*

Depesza od Śniatyńskiego nadeszła – i oto com w niej znalazł:  
„Wszystko na nic – zbierz siły i ruszaj w świat”.  
Tak też i zrobię – moja Anielko!

*Paryż, 2 kwietnia.*

Nie pisałem dziennika przeszło dziesięć miesięcy, choć tak już przywykłem do tej roboty, że mi tego brakło. Ale mówiłem sobie: po co? Miałem to gnębiące uczucie, że choćbym spisywał myśli godne Pascala, głębsze od głębin oceanu, wyższe od Alp, nie odrobinę tego jednego prostego faktu, że ona poszła za męża. Wobec tego opadały mi ręce. Życie skupia się czasem w jednym celu, przedmiotowo małym, a gdy go zabraknie, człowiek nie wie, dlaczego spełnia najprostsze czynności. Aż dziwnie i śmiesznie pomyśleć, ale byłem długo w takim, stanie, że gdym się ubierał, wychodził na miasto, do teatru lub do klubu, nie mogłem się nigdy obronić pierwszemu wrażeniu: po co? – i potrzebowałem nieraz długiej chwili, by się opamiętać, że przecie jadałem obiady, strzygłem brodę i załatwiałem podobne czynności jeszcze przed jej poznaniem. W pierwszych miesiącach dużo podróżowałem; zabłąkałem się aż do Islandii; otóż na widok jezior szwedzkich, norweskich fiordów, islandzkich gejzerów nie miałem własnych bezpośrednich wrażeń, tylko starałem się wyobrazić sobie, co by Anielka na taki lub owaki widok odczuła i jakby się wyraziła, słowem – widziałem jej oczyma, myślałem jej myślą, czułem jej sercem. A gdym następnie przypomniał sobie, że ona nazywa się pani Kromicka, siadałem co prędzej do wagonu lub na statek i jechałem dalej, bo to, com widział, przestawało budzić we mnie zajęcie. Co mnie to mogło obchodzić, że to jest jeden z takich zwykłych, ośmieszonych nawet dramatów, przez który tysiące głupców przeszło

przede mną! Przez śmierć przechodzą także wszyscy, a każdemu konającemu wydaje się, że świat zapada się z nim razem. I istotnie się zapada!

Nie wiem i nie wdaję się w to, czy uczucia moje były w pierwszych miesiącach mniej lub więcej bezdenną rozpaczą. To wszystko jest względne. Wiem tylko, że istota moja była przez tę kobietę pochłonięta i że po raz pierwszy zrozumiałem pustkę, jaką może spowodować śmierć osoby bardzo kochanej.

Ale zwolna przyzwyczajenia – nie ponęty – życiowe odzyskiwały we mnie zwykłą moc. Zdaje mi się, że jest to zjawisko dość powszechne. Znałem ludzi wewnątrz ogromnie smutnych, którzy, nie mając ni ziarna makowego wesołości w duszy, zachowywali jednak pewną zewnętrzną wesołość dlatego tylko, że niegdyś byli weseli i że przywykli do tej formy. Musiał przecie nadejść i dla mnie czas, w którym na przykład ból zębów przestałem odczuwać tylko przez przykrość, jaką by taki ból mógł sprawić Anielce. Prócz tego, krótko mówiąc: odrętwiałem, a wreszcie znalazłem lekarstwo w samej truciźnie. Czytałem niegdyś w podróży Fariniego, że Kafrowie leczą się od ukąszenia skorpiona pozwalając mu ukłuć drugi raz w to samo miejsce. Takim skorpionem, takim antidotem w samejże truciźnie, było dla mnie, jak zresztą jest w ogóle dla ludzi, słowo: stało się.

Stało się, więc cierpię – stało się, więc przestaję cierpieć. W tym poczuciu, że nie ma już rady, leży pewne ukojenie. Zawsze przychodzi mi na myśl ów Indianin, który, porwany przez prąd Niagary, walczył z początku z całym wysiłeniem, na jakie zdobyć się może rozpacz, a następnie, spostrzegłszy, że nie ma rady, rzucił wiosła, położył się na dnie łodzi i począł śpiewać. Ja obecnie gotówem także śpiewać. Prąd Niagary ma zresztą tę dobrą stronę, że kogo porwie, to go zmiele na otręby; ale są inne, które wyrzucają człowieka na ławice piaszczyste, puste, bezwodne i jałowe. To właśnie przytrafiło się mnie.

Zły duch mego życia nie przewidział tylko jednej rzeczy. Oto człowiek bardzo przyciśnięty i bardzo nieszczęśliwy daleko mniej sobie robi z siebie niż człowiek szczęśliwy. Wobec tego zawistny los staje się do pewnego stopnia bezbronny. Byłem i jestem w takim usposobieniu, że gdyby na przykład zagniewana Fortuna przyszła do mnie we własnej osobie i powiedziała mi: Pal cię lichu! – odpowiedziałbym jej: Dobrze! pal mnie lichu! I powiedziałbym to wcale nie z powodu rozpacz po Anielce, ale z powodu tej głębokiej obojętności dla wszystkiego, co jest we mnie i koło mnie.

Jest to swego rodzaju zbroja bardzo hartowna, która nie tylko ochrania człowieka, ale czyni go niebezpiecznym. Jasna rzecz, że kto gotów nie oszczędzać siebie, ten nie będzie oszczędzał i drugich. Nawet przykazanie boskie nie każe kochać bliźniego więcej niż siebie samego.

Nie idzie za tym, żebym miał zamiar poderżnąć komu w tych dniach gardło. To, com powiedział, ma znaczenie przeważnie teoretyczne; w praktyce życiowej nikt wielkiej szkody z tego nie ponosi, jeśli bowiem taka obojętność zmniejsza altruizm, to zupełnie o tyle samo zmniejsza i egoizm. Gdyby mi przyszło spać z bliźnim pod jednym płaszczem, nie oddałbym mu go całego, ale też nie zabrałbym całego dla siebie. Niebezpiecznym, może nawet bardzo niebezpiecznym, bywa taki człowiek tylko wówczas, gdy ludzie mącą mu ten spokój, polegający na ograniczeniu własnego ja – i zmuszają go do natężonej czynności. Wówczas ma on pewność ruchów, a zarazem bezlitosną siłę maszyny.

Tę jakąś mechaniczną pewność siebie zyskałem. Od niejakiego czasu spostrzegłem, że swój sposób myślenia i swoją wolę wrażam ludziom daleko silniej niż dawniej, chociaż zupełnie się o to nie staram. Niewyczerpanym źródłem wahania się i słabości jest miłość własna, próżność i kokieteria względem innych. Człowiek bezwiednie prawie pragnie się podobać, pragnie się wkupić w sympatię, więc szukając do tego dróg czyni tysiące ustępstw z własnej prawdy. Obecnie kokieteria owa, jeśli nie znikła we mnie zupełnie, to zmniejszyła się niezmiernie – i obojętność na to, czy się podobam lub nie, daje mi jakąś zimną i spokojną wyższość nad innymi. Spostrzegłem to w czasie podróży, a zwłaszcza teraz w Paryżu. Było tu



wielu ludzi, którzy mieli nade mną przewagę; teraz ja mam nad nimi przewagę właśnie dlatego, że mi mniej od nich o to chodzi.

W ogóle robię sobie wrażenie człowieka, który mógłby być energiczny, ale nie chce, albowiem wola jest w prostym stosunku do namiętności, moje zaś są przede wszystkim ujemne. Ponieważ został mi dawny nałóg zdawania sobie sprawy ze wszystkiego, więc objaśniam to w ten sposób, że w pewnych warunkach można równie zawzięcie nie pragnąć życia jak w innych go pragnąć. Prawdopodobnie też moja obojętność jest skupioną zawziętością przeciw życiu. Stąd tak mało podobny jestem do Davisa.

Niewątpliwie stałem się człowiekiem bez porównania więcej bezwzględny, niż byłem dawniej, i mógłbym powtórzyć za Hamletem, że jest we mnie coś niebezpiecznego. Na szczęście, nikt mi nie wchodzi w drogę. Wszyscy są dla mnie tak doskonale obcy i obojętni, jak ja dla nich. Jedna ciotka kocha-mnie tam po staremu w Warszawie, ale przypuszczam, że i jej miłość straciła charakter czynny, przynajmniej o tyle, że mi w przyszłości nie grożą swaty.

*3 kwietnia.*

Niestety, moja obojętność, którą przyrównywałem do czystej wody bez smaku i barwy, jest pozornie tylko bezbarwną. Przypatrując się jej dokładniej, spostrzegam, że pływają po niej pewne obłoczki, które mącą jej przezroczystość. Są to idiosynkrazje. Nic mi nie pozostało, a to pozostało. Nie kocham nikogo i nie mam do nikogo czynnej nienawiści, ale jestem pełen wstrętów do rozmaitych i ludzi. Do takich należy na przykład Kromicki. Nie o to mi już chodzi, że mi zabrał Anielkę, ale o to, że ma ogromnie długie nogi a grube wiązania kolan, że jest długi jak tyczka i że głos jego przypomina mielenie kawy w młynku. Zawsze zresztą odrzucało mnie od niego, i jeśli teraz o tym wspominam, to głównie dlatego, że owe wstręty mają obecnie we mnie jakąś dziwną żywotność. Ciągłe myślę o ludziach, od których mnie nerwowo odrzuca. Gdyby chodziło tylko o Kromickiego i panią Celinę, byłoby to jeszcze zrozumiałe, mógłbym bowiem przypuszczać, że moje uczucia dla nich są zamaskowaną wstrętem nienawiścią; ale obok nich stoją mi równie uparcie w pamięci różne inne figury, które kiedykolwiek w życiu budziły we mnie niechęć lub obrzydzenie. Nie mogę tego tłumaczyć stanem mego zdrowia – jestem zdrow jak nigdy – więc tłumaczę to w sposób następujący: ludzie zabrali mi miłość, czas wysuszył nienawiść; że zaś człowiek żyjąc musi czuć – czuję przeto, jak umiem, żyję tym, co mi zostało. Muszę także wyznać, że nie przesyci się szczęściem, kto tak czuje i żyje...

Ochłodziłem niemal zupełnie dla dawniejszych sympatii. Do Śniatyńskiego mam wprost niechęć, której żadne rozumowania nie mogą potłumić. Śniatyński posiada niezaprzeczenie wysokie przymioty, ale też się sobie podoba i przez to staje się często – mówiąc językiem malarzy – zmanierowany. Przypuszczam, że jest rzeczą niesłychanie rzadką, by człowiek, który spostrzega, że jego sposób postępowania, jego cechy indywidualne i oryginalności podobają się ludziom, nie rozmiłował się w swym typie i nie poczuł w końcu sam siebie przesadzając. Śniatyński nadto chce być zawsze i wszędzie Śniatyńskim, skutkiem czego staje się sztuczny i dla pozy poświęca swą wrodzoną delikatność. Mniejsza już o ową szorstką depeszę, którą mi przysłał do Krakowa po niepomysłnym poselstwie do Anielki, o owo: „Ruszaj w świat!” które było zbyt cenne, bo byłbym ruszył w świat i bez jego rady; ale odebrałem list od niego w Chrystianii, zaraz po zamążpójściu Anielki, pisany niby z serca, ale równie szorstki i pełen maniery. Da się on streścić mniej więcej tak: Panna Aniela już panią Kromicką – stało się – żal mi cię – ściskam cię serdecznie – nie myśl, że będzie dziura w niebie – są rzeczy na świecie ważniejsze – niech mnie diabeł porwie – pyszna musi być Norwegia – wracaj i bierz się do roboty – bądź zdrow – etc. Nie przytaczam dosłownie, ale taki był ton listu. Był on mi nieprzyjemny, bo naprzód nie prosiłem Śniatyńskiego, by mi pożyczał łokcia do mierzenia mego nieszczęścia; po wtóre, miałem go za mądrzejszego i przypuszczałem, że zrozumie, iż

te jego „rzeczy ważniejsze” wtedy tylko nie są pustym słowem, kiedy oznaczają uczucia, które się uprzednio ma. Chciałem mu na razie odpisać, by mnie wypuścił ze swojej duchowej opieki; rozmyśliwszy się jednak, nie odpisałem wcale – i mniemam, że to jest najmniej utrudzający sposób rozwiązania stosunku.

Zstępując jednak w siebie głębiej, spostrzegam, że powodem zaniku mej przyjaźni dla Śniatyńskiego były nie tylko jego depesze lub listy. Właściwie mówiąc, nie mogę mu darować tego, za co powinienem mu być wdzięczny, to jest jego pośrednictwa między mną a Anielką. Sam go o to błagałem, ale właśnie dlatego, że mu powierzyłem moje losy i ster mojej łodzi, że się przyznał do mej słabości i zrobiłem go niejako mym opiekunem, że na koniec to upokorzenie i nieszczęście, jakie mnie spotkało, przeszło naprzód przez jego ręce, została mi na dnie w sercu uraza. Jest we mnie gniew na siebie samego, ale zarazem i na Śniatyńskiego za to, że brał we wszystkim udział. Wiem, że to jest niesłuszne, ale nie mogę na to poradzić, że przyjaźń moja wypaliła się jak świeca.

Zresztą nie byłem nigdy zbyt pochopny do uczuć przyjaźni. Żyłem w bliższych stosunkach ze Śniatyńskim może właśnie dlatego, żeśmy żyli na dwóch końcach Europy. Innych przyjaciół nie miałem. W ogóle należą do istot które zowią pojedynkami. Przypominam sobie, że nieraz myślałem o tym z pewną chępliwością, biorąc to za dowód siły. Istotnie, w świecie na przykład zwierzęcym skupiają się tylko istoty słabe, te zaś, którym natura dała potężne kły i pazury, chodzą samotnie, bo sobie wystarczają. Zasada ta jednak wyjątkowo tylko może stosować się do ludzi. Niezdolność do przyjaźni dowodzi w człowieku najczęściej nie siły, ale oschłości serca. We mnie była obok tego niesłychana nieśmiałość i wrażliwość. Miałem serce podobne do mimozy, która zamyka się za każdym dotknięciem. Że nigdy nie zawarłem przyjaźni z żadną kobietą, to znowu inna rzecz. Miałem ochotę przyjaźnić się tylko z takimi, od których chciało mi się czegoś więcej, więc nie mogła to być przyjaźń rzetelna. Udawałem ją natomiast wielokrotnie, tak jak na przykład lis udaje nieżywego, aby uspić czujność wron i tym pewniej którąś capnąć. Nie idzie za tym, że bym nie wierzył w możliwość przyjaźni mężczyzny z kobietą. Przede wszystkim nie jestem głupcem, który mierzy świat własną miarą, ani szują, która zawsze podejrzewa, a następnie liczne spostrzeżenia dowiodły mi, że podobna przyjaźń zupełnie jest możliwa. Skoro w rzeczywistości istnieją takie uczucia i stosunki jak brata i siostry, to mogą mieć one zawsze miejsce, gdy dwie istoty, choćby obce, poczuwają się bratem i siostrą. Powiem nawet więcej, że zdolnością do tego rodzaju uczuć odznaczają się dusze wyborowe, mające wrodzony pociąg do platońskich biesiad, zatem dusze poetów, artystów, filozofów i w ogóle istot przechodzących zwykłą krawiecką miarę. Jeśli to jest dowód, że nie było we mnie materiału ani na poetę, ani na artystę, ani na znakomitego człowieka – to tym gorzej dla mnie. Prawdopodobnie nie było, skoro nie zostałem niczym więcej jak Leonem Płoszowskim.

Miałem w swoim czasie poczucie, że gdyby Anielka została moją żoną, to by nie była tylko żoną lub kochanką, ale i przyjacielem. Lecz wolę o tym nie myśleć. Tego rodzaju widma nawiedzają mnie i tak aż nazbyt często, i myślę, że naprawdę nie pierwej będę zupełnie spokojny, aż zdołam je raz na zawsze odpędzić.

*4 kwietnia.*

Spotykam tu dość często Davisową, bywam nawet u niej. I nic! Sporo nielubienia i trochę pogardy pod grubą warstwą popiołu – zresztą zwykły towarzyski stosunek. Jest zawsze zbyt piękna, by ją można umieścić w grupie idiosynkrazji – kochać jej nie mogę, a nienawiścią nie chcę się trudzić. Ona zrozumiała to od razu i zastosowała się do położenia. Swoją drogą trochę ją drażni moja większa pewność siebie, moja samodzielność, ale właśnie dlatego liczy się ze mną. Jest istotnie zdumiewającą rzeczą ta łatwość, z jaką kobiety wracają od stosunków najbardziej bliskich – do poprzedniej, zwykłej znajomości. My z Laurą jesteśmy nie tylko

przy ludziach tak, jakby między nami nic nie było, ale nawet i wówczas, gdy zdarza nam się zostać sam na sam. Nie kosztuje ją to nic; nie widać po niej najmniejszego przymusu: jest grzeczna, jest w miarę chłodna, w miarę uprzejma, a ten nastrój udziela się i mnie w tym stopniu, że po prostu nie przychodzi mi do głowy, iż mógłbym np. nazwać ją po imieniu.

Neapolitański jej kuzyn, Maleschi, który z początku przewracał oczy na mój widok tak groźnie, że aż czułem się w obowiązku zapytać go, dlaczego je sobie tak nadwiera, obecnie uspokoił się, widząc, jak nasze stosunki układają się równo, i jest moim przyjacielem. Odbył on tu już pojedynkę z powodu Laury, w którym wbrew opinii tchórza, jaką mu zrobiono we Włoszech, zachowywał się bardzo poprawnie. Biedny Davis przeszedł już od kilku miesięcy do nirwany – i sądzę, że po wyjściu żałoby Laura wyjdzie za Maleschiego. Będzie to najpiękniejsza w świecie para. Ten Włoch ma tors i głowę Antinousa, z dodatkiem złotawej cery, czarnych jak kruk włosów i oczu koloru Morza Śródziemnego. Być może, że Laura go kocha, ale dla jakichś niewiadomych mi przyczyn czasem wyraźnie nim pomiata. Kilkakrotnie obezła się z nim przy mnie tak niegrzecznie, że aż mnie zdziwiła, bom nie przypuszczała, żeby jej estetyczna natura była zdolną do takich porywów. Widocznie obok Aspazji siedzi w niej Ksantypa. Nieraz to spostrzegłem, że kobieta tylko piękna, bez innych przymiotów duszy, którą ludzie mają za gwiazdę, bywa często czymś więcej niż gwiazdą, bo całą konstelacją, a nawet dwiema na raz, mianowicie; Wielką Niedźwiedzicą dla otoczenia, a Krzyżem dla męża. To pewna, że Laura była Krzyżem dla Davisa, a jest Wielką Niedźwiedzicą dla Maleschiego. Byłaby nią może i dla mnie, gdyby nie to, że się czuje nieco obcą w świecie paryskim i że spostrzegła, iż lepiej mieć tu we mnie sprzymierzeńca niż nieprzyjaciela. Dziwna rzecz, ona się mniej podoba w Paryżu niż we Włoszech lub w ogóle nad brzegami Morza Śródziemnego. Jest po prostu za klasyczna i za piękna na Paryż, gdzie smak jest do pewnego stopnia chorobliwy, co się daje także widzieć w literaturze i sztuce, i gdzie charakterystyczna brzydota silniej podnieca stępałe nerwy niż prosta piękność. Każdy może z łatwością zauważyć, że najśłynniejsze gwiazdy półświata są raczej brzydkie niż piękne. Co do Laury, istnieje jeszcze jedna przyczyna jej stosunkowo niewielkiego powodzenia nad Sekwaną. Oto umysł jej jest wprawdzie niepospolity, ale także zbyt prostoliniorny na tutejsze stosunki, a zwłaszcza za mało rzutki. Tu mnóstwo jest ludzi, którzy ogromnie poważnie i szeroko myślą, ale w stosunkach towarzyskich szczerzy poklask znajduje przede wszystkim taki umysł, który się umie zawiesić na każdym przedmiocie, jak małpa zawiesza się ogonem na gałęzi – i wywracać koziółki. Im bardziej owe koziółki będą cudaczne i nagłe a niespodziewane, tym powodzenie będzie pewniejsze. Laura to rozumie, ale zarazem czuje, że jest to dla niej takim samym niepodobieństwem, jakim byłoby np. chodzenie po linie. Mnie uważa za biegłego w tej umysłowej gimnastyce i dlatego jestem jej potrzebny.

Chcąc powiększyć *the attraction* swego salonu, uczyniła z niego przybytek muzyki. Sama śpiewa jak syrena i rzeczywiście ściąga tym ludzi. Widuję też często u niej fortepianistkę, Klarę Hilst, młodą i hożą Niemkę ogromnego wzrostu, którą jeden z malarzy tutejszych określił w ten sposób: *C'est beau, mais c'est deux fois grandeur naturelle!* Miała ona tu w ostatnich czasach, mimo swego niemieckiego pochodzenia, wielkie powodzenie. Co do mnie, należę widocznie do starej szkoły, bo nie umiem się poznać na dzisiejszej grze, polegającej na sile, to jest na wybijaniu zębów fortepianom. Słuchając ostatnim razem Hilstówny u Laury, pomyślałem w duchu, że gdyby fortepian był człowiekiem, który uwiódł jej siostrę, nie mogłaby go walić zawzięciej. Grywa ona także na fisharmonii. Utwory jej mają wielkie powodzenie w tutejszym świecie muzycznym i uchodzą za głębokie, prawdopodobnie dlatego, że gdy się je słyszy raz dziesiąty, człowiek mówi sobie: Może za jedynastym coś zrozumieć. Przyznaję, że te uwagi moje są złośliwe, a nawet zuchwałe, gdyż nie jestem znawcą. Przychodzi mi jednak do głowy pytanie: czy muzyka, dla której zrozumienia potrzeba być profesorem konserwatorium, od której nie mają klucza już nie tylko prostaczkowie, ale nawet ludzie rozwinięci i poniekąd muzycznie wykształceni – jest tym, czym być powinna? Obawiam

się, aby idąc tą drogą, muzycy nie wytworzyli z czasem kasty egipskich kapłanów, przechowujących wiedzę i piękność wyłącznie dla siebie.

Mówię to dlatego, że zauważyłem, iż od czasów Wagnera muzyka, w porównaniu na przykład z malarstwem, idzie wprost przeciwną drogą. Nowsze malarstwo zacieśnia dobrowolnie granice swej kompetencji, wyzbywa się idei literackich i filozoficznych, nie kusi się na oddawanie mów, kazań, zdarzeń historycznych potrzebujących komentarzy, nawet alegorii nie tłumaczących się od pierwszego rzutu oka, słowem – ogranicza się z zupełną świadomością tego, co robi, do odtwarzania kształtów i plam barwnych. Muzyka od czasów Wagnera wprost przeciwnie: usiłuje być nie tylko harmonią tonów, ale zarazem filozofią tej harmonii. Sądzę, że wkrótce przyjdzie jaki wielki geniusz muzyczny, który powie jak w swoim czasie Hegel: „Tylko jeden mnie rozumiał – a i ten mnie nie rozumiał.”

Hilstówna należy do kategorii filozofujących w muzyce, co jest tym dziwniejsze, że dusza jej jest pełna prostoty. Ta kariatyda posiada jasne, naiwne oczy dziecka, jak również jego szczerłość i dobroć.

Wielu ludzi zabiega tu koło niej, bo nęci ich zarówno jej piękność jak i ów nimbus otaczający każdą kobietę, na której głowie spoczęła ręka sztuki; a jednak najmniejszy cień nie padł nigdy na jej opinię. Mówią o niej dobrze nawet kobiety, bo je rozbraja swoją rzeczywistością niezwykłą dobrocią, prostotą i wesołością. Wesoła jest jak ulicznik, i nieraz widziałem ją śmiejącą się, jak śmieją się pensjonarki – do łez, co gorszyłoby ludzi, gdyby nie to, że Klarze, jako artystce, wszystko uchodzi. Jest to w ogóle piękny moralnie, lubo poza artyzmem może niezbyt bogato uposażony typ. Laura, która w gruncie rzeczy jej nie lubi, dawała mi kilka razy do zrozumienia, że „kariatyda” kocha się we mnie. Przypuszczam, że tak nie jest, ale że mogłoby tak być, gdybym się o to postarał. To pewna, że Klara lubi mnie bardzo i że poczuła dla mnie sympatię od pierwszego spotkania. Ja płacę jej wzajemnością, nie myślę jednak czynić żadnych zabiegów na jej zgubę. Gdy widzę jakąś kobietę po raz pierwszy, spoglądam na nią, z mocy dawnych przyzwyczajęń, jak na przyszłą możliwą zdobycz – ale są to raczej odruchy myślowe. Druga następna myśl już jest inna. W ogóle mam dla kobiet uczucie tego rodzaju, jakie może mieć jubiler, wycofany z interesu, dla drogich kamieni. Ujrzawszy jakiś cenny klejnot powiadam sobie: warto się o niego postarać, następnie przypominam sobie, że się już zlikwidował – i idę dalej.

Powiem jednak całą prawdę. Bezpieczeństwo Klary strzeże także, obok powyższych przyczyn, jej zbyt wysoki wzrost. Tak strzeliste kobiety nie robiły nigdy na mnie wrażenia.

Mimo tego począłem ją kiedyś półzartem namawiać, by przyjechała z koncertem do Warszawy; obiecywałem jej, że pojedę z nią razem jako honorowy impresario. Nie powiem, żeby taka podróż, gdyby kiedykolwiek przyszła do skutku, nie miała dla mnie pewnego powabu.

Do kraju wybieram się rzeczywiście. Ciotka oddała mi swój dom w Warszawie i wzywa mnie do uregulowania tytułu własności. Bywa zresztą zawsze w Warszawie w czasie wyścigów. Kto by pomyślał, że ciotka, kobieta tak poważna, oddana gospodarstwu, modlitwom, dobrym uczynom, ma jedną światową słabość – sport wyścigowy! Jest to jej namiętność. Może jej odziedziczone rycerskie instynkta, które kobiety dziedziczą równie dobrze jak mężczyźni, znajdują sobie w ten sposób ujście. Konie nasze biegają od Bóg wie ilu lat – i stale są bite. Ciotka nigdy nie opuszcza wyścigów, zapala się; w czasie biegów naszych koni staje oparta na lasce na tylnym siedzeniu powozu, z kapeluszem na bakier, śledzi namiętnie gonitwę, po czym wpada w nieopisany gniew i przez całe miesiące zatruwa życie panu Chwastowskiemu. Obecnie dochowała się podobno jakiegoś nadzwyczajnego konia i wzywa mnie, bym przyjechał widzieć tryumf barwy czarno-żółtej. Pojadę.

Pojadę i dla wielu innych przyczyn. Powiedziałem już, że jestem względnie spokojny, niczego nie żądam, niczego się nie spodziewam i ograniczam wedle sił własne ja, słowem, zgadzam się na pewnego rodzaju duchowy paraliż, zanim przyjdzie fizyczny i porwie mnie, jak porwał mego ojca. Ale nie mogłem przecie zapomnieć, skutkiem czego paraliż mój nie

jest ani doskonały, ani zupełny. Ta jedyna istota, którą w życiu kochałem, rozdzieliła się obecnie we mnie na dwie odrębne. Jedna z nich zowie się pani Kromicka, druga Anielka. Dla pani Kromickiej jestem obojętny i obcy, ale Anielka nawiedza mnie i przynosi mi w darze poczucie mojej winy, mojej głupoty, duchowego niedołęstwa, bólu, goryczy, zawodu i zaty. Hojny i dobroczynny duch! Byłoby mi naprawdę dobrze dopiero wówczas, gdyby mi wycięto ten zwój mózgowy, w którym siedzi pamięć. Można wprawdzie i tak żyć, ale takie życie jest niesłychanie liche, bo człowiek ma ciągłą świadomość tego, że jest wozem bez kół. Staram się za każdym razem przepędzić za dziesiątą granicę myśl o tym, co by być mogło, gdyby wszystko złożyło się inaczej – i nie zawsze umiem tego dokazać. Mój hojny i dobroczynny anioł wraca i znów wysypuje mi na głowę róg obfitości. Więc oto przypuszczam chwilami, że pani Kromicka zabije we mnie Anielkę – i dlatego chcę jechać, przypatrzeć się jej szczęściu, jej pożyciu i wszystkim tym koniecznym zmianom, które musiały w niej zajść i uczynić ją całkiem niepodobną do Anielki. A być może, że zobaczę panią Kromicką w Płoszowie. Nie podobna przecie, by mając tam chorą matkę nie odwiedziła jej po dziesięciomiesięcznej rozłące.

Przypuszczam, że się pod tym względem nie oszukuję i nie łudzę – i że *ceci tuera cela*. Liczę w tym głównie na moje nerwy, które lada co razi. Pamiętam przecie, że gdym poznał Anielkę i że gdy jej urok zaczął mnie ogarniać z nieprzewartą siłą, sama myśl o tym, że jakiś Kromicki zbliżał się do niej, odstręczała mnie od niej i czyniła mi ją mniej drogą. Cóż dopiero teraz, gdy ona jest żoną jakiegoś Kromickiego, gdy nosi w sobie poczucie przynależności do niego i gdy jest jego ciałem i duchem. Prawie na pewno mogę powiedzieć, że mnie będzie razila, odstręczała na każdym kroku i że *ceci tuera cela!*

A wreszcie, gdyby i nie? Gdyby się stało inaczej – co właściwie mam do stracenia? Zysków nie pożądam, ale gdyby nawet wypadki ułożyły się w taki sposób, iżby z nich wykazało się, że wina jest nie tylko po mojej stronie, że nie ja sam jestem odpowiedzialny za to, co się stało, i że ciężar trzeba jednak rozłożyć na dwoje pleców – może dałoby mi to pewne zadowolenie. Powiadam: może, bo nie ręczę. Myśl jakowejś zemsty jest ode mnie daleka. Za zawody uczuciowe mszczą się ludzie tylko na scenie. W życiu realnym odwracają się z niesmakiem – i na tym koniec. Przede wszystkim, ażeby dowieść dzisiejszej pani Kromickiej, że źle postąpiła wzgardziwszy mą skrucą, musiałbym sam w to niezachwianie uwierzyć, a ja mam i takie chwile, w których dalibóg niczego nie jestem pewny.

5 kwietnia.

Już wiem na pewno, że panią Kromicką zobaczę, albowiem dowiaduję się z listu ciotki, że mąż jej sprzedał majątek na Wołyniu, sam zaś wyjechał w interesie swych spekulacyj na Daleki Wschód, nie pozostało więc jej nic innego, tylko wrócić do matki, do Płoszowa. Wiadomość tę przyjąłem w pierwszej chwili jeśli nie obojętnie, to z zupełną równowagą umysłu, uważam jednak, że wrażenie coraz więcej potęguje się we mnie. Jest to zresztą właściwość mego ustroju duchowego. Obecnie nie mogę już myśleć o czym innym; wypadek to niezmiernie doniosłości dla obydwóch tych kobiet. Sprzedał po upływie dziesięciu miesięcy te majątki w nieporównanej ziemi, które rodzina Anielki od czterystu lat miała w ręku i dla których utrzymania pani Celina poświęciła całe życie. A ów pan Kromicki przyszedł i sprzedał z lekkim sercem dlatego tylko, że mu za nie dobrze zapłacono i że w ten sposób mógł zapewnić powodzenie dla swych dostaw.

Przypuszczam, że zrobi na nich miliony, ale co to za cios dla obydwóch tych kobiet – i co one mogą teraz o nim myśleć? Ciotka pisze mi, że siedzi teraz koło łóżka pani Celiny, która, otrzymawszy tę wiadomość w Płoszowie, zachorowała dwakroć mocniej. Jestem zupełnie pewny, że Anielka podpisując plenipotencję dla męża do sprzedaży nie wiedziała, co robi. Broni go jednak wobec ludzi; ciotka cytuje mi w liście następne jej słowa: „Stało się nie-

szczęście, ale nieszczęście nieuniknione, za które Karola nie można obwiniać.” Broń go, broń, wierna, lojalna małżonko! nie zabronisz mi jednak myśleć, że cię zranił podwójnie i że w duszy musisz nim najserdeczniej pogardzać. Jego objęcia i pieszczoty nie wymażą ci z pamięci jednego wyrazu: s p r z e d a ł! A ta pani Celina, jego protektorka, która sądziła, że pierwszym jego czynem po ślubie będzie oczyszczenie za pomocą swych milionów majątku Anielki!... Ja – moje panie – człowiek bez „obywatelskich” frazesów – nie byłbym sprzedał, jeśli nie z innych powodów, to przez delikatność uczuć, to przez przywiązanie do was, to przez obawę zadania wam ciosu. Ale przy spekulacjach potrzebna jest gotówka – i poparcie. Nie przesądzam, czasem jednak te miliony wydają mi się znakiem zapytania. Może być, że Kromicki je zdobędzie, może sprzedaż owa posłuży mu do tego, ale gdyby je poprzednio miał, nie byłby ranił tak boleśnie żony i nie byłby pozbawiał jej dachu nad głową. Ciotka pisze mi, że zaraz po sprzedaży wyjechał do Baku, a następnie do Turkiestanu. Anielka, , zbyt młoda, żeby sama mogła mieszkać, będzie przez ten czas przy matce, matka zaś siedzi w Płoszowie, raz dlatego, że się nie może ruszyć z powodu choroby, po wtóre, że ciotka jej nie puszcza, ona zaś nie chce sobie narazić ciotki. Poznałem Anielkę zbyt dobrze, bym ją miał posądzać o jakie wyrachowanie. Jest ona ostatnim wyrazem bezinteresowności. Ale matka, która by chciała zagarnąć świat cały dla swej jedynaczki, rachuje na to, że ciotka nie zapomni o niej w testamencie. Zresztą rachuje słusznie. Ciotka, która nigdy nie wierzyła zbyt mocno w miliony Kromickiego, dawała mi to kilka razy do zrozumienia z niepokojem i prawie z pokorą, uważa bowiem, że wszystko, co ma, należy do Płoszowskich, więc obawia się, bym na jej zamiar nie patrzył jak na krzywdę rodu. Jak ona mnie nie zna! Gdyby dziś jeszcze Anielka została bez trzewików i gdyby za parę ich trzeba oddać Płoszów wraz z resztą mego majątku – to bym oddał. Może wypłynęłoby to ze złośliwej chęci przeciwstawienia się Kromickiemu, ale oddałbym niechybnie.

Obecnie mniejsza jednak o to. Bez ustanku myślę, że te panie mieszkają już w Płoszowie i że pozostaną tam dopóty, dopóki potrwa podróż Kromickiego, to jest Bóg wie jak długo. Będę widywał codziennie panią Kromicką... Na tę myśl ogarnia mnie pewien niepokój, w którym jest i ciekawość, w jaki sposób ułożą się nasze stosunki – i widzenie różnych zdarzeń, które by mogły nastąpić, gdyby usposobienie i uczucia moje dla niej były inne. Ja sam siebie nie okłamuję nigdy; powtarzam raz jeszcze, że jadę się leczyć, że pani Kromickiej nie kocham i nie będę kochał, że owszem, mam nadzieję, iż jej widok wyprze z mego serca dawną Anielkę lepiej od wszystkich fiordów i gejzerów; ale nie byłbym sobą, nie byłbym człowiekiem, który dużo żył i dużo myślał, gdybym nie widział tych niebezpieczeństw, jakie we wszelkich innych warunkach mogłoby wytworzyć podobne położenie.

Gdybym się bowiem chciał mścić – gdyby samo to nazwisko: pani Kromicka, nie odpychało mnie, jak odpycha – co by zdołało mi przeszkodzić i co mnie wstrzymać? Wszakże w tym cichym, odsuniętym od miasta Płoszowie byłoby tylko nas dwoje i te dwie starsze panie, naiwne jak dzieci w swej nieskalanej nigdy cnotcie. Znam pod tym względem ciotkę i panią Celinę. W wyższych sferach naszego towarzystwa często można napotkać kobiety z gruntu zepsute, ale też zwłaszcza między starszym pokoleniem są i takie, które przechodzą przez życie w sposób, mówiąc najprościej: anielski, nie zabrudziwszy nigdy myśli pojęciem złego. W głowie takiej ciotki lub takiej pani Celiny nie postoi myśl, żeby Anielce mogło grozić jakieś niebezpieczeństwo, skoro raz za męża poszła. Anielka sama także należy do takich kobiet. Ona nie byłaby odrzuciła ostatniej mojej prośby, gdyby nie to, że Kromicki już miał jej słowo. Ale ten gatunek Polek woli złamać serce niż słowo. Na myśl o tym porywa mnie złość. Tłumię w sobie tę potrzebę, którą odczuwa każdy człowiek – potrzebę dowiedzenia własnej prawdy; nie chcę niczego dowodzić pani Kromickiej, ale gdyby się znalazł ktoś taki, kto by wykazał tego rodzaju kobiecie, że praw natury, praw serca bezkarnie się nie depce, że te prawa są silniejsze od sztucznych etycznych doktryn, że podobne postęпки się mszczą – byłbym bardzo, a bardzo szczęśliwy. Prawda, że względem Anielki zawinił ciężko, ale chciałem

szczerze wszystko naprawić – i ona wiedziała o tym, a jednak odtrąciła mnie... Odtrąciła zapewne dlatego, by móc sobie powiedzieć: Ja nie jestem Leonem Płoszowskim; dałam słowo, więc go dotrzymam. To nie cnota, to oschłość serca; to nie bohaterstwo, tylko głupstwo; to nie prawość sumienia, tylko jego próżność. Nie mogę i nie mogę zapomnieć!...

Ale pomoże mi do tego sama pani Kromicka. Gdy ją ujrzę zadowoloną ze swego bohaterstwa, chłodną, nasyconą pieśzcotami, zakochaną lub udającą miłość do męża, śledzącą z ciekawością, czy też biedą, która mnie gniecie, gniecie mnie dostatecznie – tedy mi ta cnotliwa, syta szczęścia i własnej cnoty małżonka tak obrzydnie, że może znów pojedzie gdzie do reniferów. Ale już wówczas nie poleci za mną wspomnienie Anielki, tak jak mewa leci za okrętem.

Być może także, iż pani Kromicka będzie grała trochę przede mną rolę mej ofiary i że całe jej postępowanie będzie mi mówiło mniej więcej wyraźnie: Twoja wina! Dobrze! Widziałem i takie rzeczy na świecie. Jak sztuczne kwiaty mają tę wadę, że nie pachną, tak sztuczne cieniowe wieńce mają tę zaletę, że nie kolą, nosi się je więc na głowie chętnie, jak kapelusz, w którym do twarzy. Ilekroć widziałem taką ofiarę, która poszła za męża niby z rozpacz, tylekroć miałem jej ochotę powiedzieć: Kłamiesz! byłaś może ofiarą, a przynajmniej byłaś w dobrej wierze, póki on, ów twój wybrany, nie zbliżył się do ciebie po raz pierwszy w pantoflach. Od tej chwili przestałaś być patetyczna, jesteś tylko śmieszna i płaska, a to tym bardziej, im bardziej udajesz ofiarę.

6 kwietnia.

Jakie to piękne i rozumne słowo greckie: *Ananke!* Było gdzieś zapisane, że przez tę kobietę nie zaznam spokoju nawet wówczas, gdy przestanę o nią dbać. Wzburzyła mnie jednak ogromnie myśl o tej sprzedaży i o przyjeździe jej do Płoszowa. Źle spałem zeszłej nocy; rozmaite pytania cisnęły mi się do głowy i szukałem na nie odpowiedzi. Starłem się rozwiązać zagadnienie: czy też miałbym na przykład prawo sprowadzić panią Kromicka z drogi obowiązku na manowce – czy nie? Nie chcę tego i nie uczynię, bo mnie pani Kromicka nie nęci – ale czy miałbym prawo? Zapełniam sobie życie podobnymi *to be or not to be?* – bo nie mam czym innym żyć. Nie należą zresztą takie rozmyślenia do najwyższych, znanych w świecie rozkoszy, bo najczęściej bywają podobne do gonitwy psa za własnym ogonem: nic nie złapię, niczego nie dowiodę i zmęcę się – ale mam tę pociechę, że upłynął jeden więcej dzień lub jedna więcej noc. Zauważyłem zarazem, że przy całym swym sceptycyzmie posiadam zdolność odczuwania skrupułów, doprawdy godnych płoszowskiego wikarego. Nowożytny człowiek złożony jest z tyłu nici, że gdy się chce rozplatać, zwikła się jeszcze bardziej. Próżnom dziś w nocy powtarzał sobie, że to przecie jest czysta teoria, ale że takie prawo mam. Jakiś głos z parafialnej kruchty mówił mi bez przerwy: Nie! nie! nie! Trzeba jednak podobne skrupuły wziąć za uszy, bo to jest dla mnie kwestia równowagi umysłowej. Jestem o tej wieczornej godzinie w odpowiednim do tego usposobieniu. Dziś po południu w domu znajomego malarza słyszałem, jak pani Davisowa dowodziła dwóm literatom francuskim, że kobieta powinna zostać całe życie niedostępną, choćby tylko: *pour la netteté du plumage!* Maleschi powtarzał: *Oui! oui!... du plumage!* – ja zaś wyobrażałem sobie, że wszystkie kraby Morza Śródziemnego wywróciły się na wznak i wyciągnęły szczypcy do góry, z prośbą do Jowisza o grzmot. Mówiąc nawiasem, Davisowa pożyczyła tego wyrażenia ode mnie, ja zaś pożyczyłem od Feuilleta. Zachowałem się jednak z całą powagą, nie pozwoliłem sobie nawet na uśmiech, ale popadłem w jakieś wesołe i cyniczne usposobienie, którego odbłask jeszcze w tej chwili jest we mnie, a które jest zawsze najlepszą bronią przeciw skrupułom.

Więc dalej! Czy miałbym prawo rozkochać w sobie panią Kromicką i w razie powodzenia sprowadzić ją z drogi obowiązku? Patrząc naprzód na to ze stanowiska honoru tak, jak go w ogóle pojmują ludzie, którzy siebie samych mają za gentlemanów i których cały świat ma za

takowych. Otóż nie znajduję ani jednego paragrafu, który by mi zabraniał tak postąpić. Swoją drogą na pierwszy rzut oka jest to najdziwaczniejszy z kodeksów, jakie kiedykolwiek istniały pod słońcem. Bo jeśli komuś ukradnę pieniądze, tedy, według pojęć światowych o honorze, hańba spada na mnie jako na złodzieja, okradziony zaś wychodzi ze sprawy czysto; ale jeśli komuś ukradnę żonę, tedy ja, złodziej, wychodzę czysto, a hańba spada na okradzionego. Co to jest? Czy proste zboczenie zmysłu moralnego, czy też między kradzieżą portmonetki a żony zachodzą tak wielkie różnice, że podobnych postępów zestawiać nawet nie wolno? Zastanawiałem się nad tym nieraz i doszedłem do przekonania, że to nie jest to samo. Istota ludzka nie może być taką własnością jak rzecz – i kradzież żony jest aktem dwustronnej woli. Dlaczego miałbym uznawać prawo męża, jeżeli tego prawa nie uznaje sama żona? Co on mnie obchodzi? Widzę oto istotę, która chce należeć do mnie, i biorę ją. Jej mąż dla mnie nie istnieje, a jej przysięgi to nie moja rzecz. Co więc ma mnie powstrzymać: czy szacunek dla instytucji małżeńskiej? Ale oto gdybym kochał, gdybym mógł kochać panią Kromicką, to krzychałbym z głębi wnętrza: Protestuję przeciw jej małżeństwu! protestuję przeciw jej obowiązkom dla Kromickiego! Jam jest robak, którego to małżeństwo rozgniała nogą, który się wije z bólu – i mnie, który w ostatnim tchnieniu pragnąłbym ukąsić tę stopę, każą ją jeszcze szanować! Za co? dlaczego? Co mnie obchodzi taki układ społeczny, który wyciska ze mnie wszystką krew, wszystką ochotę do życia? Zapewne, iż to jest porządek natury, że ludzie żywią się rybami, ale każcież szanować taki porządek rybnie, którą żywcem skrobiją, zanim ją włożą do garnka. Protestuję i kąsam! – oto moja odpowiedź. Spencerowski ideał rozwiniętego ostatecznie człowieka, w którym indywidualne popędy znajdują się w zupełnej harmonii z układem społecznym, jest tylko postulatem. Wiem, wiem doskonale, że taki Śniatyński pobiliłby mnie jednym pytaniem: Więc jesteś za wolną miłością? Nie! nie jestem! Jestem tylko za sobą samym. *I am for myself!* Nie chcę zresztą nic wiedzieć o waszych teoriach. Jeśli ty pokochasz inną kobietę albo twoja żona innego mężczyznę, zobaczymy, na co ci się przydadzą wasze przepisy, paragrafy uszanowania dla układu społecznego. W najgorszym razie jestem niekonsekwentny. Tak samo niekonsekwentny byłem, gdym ja, sceptyk, dał na mszę na intencję Leona i Anieli i gdym się modlił jak dziecko, a łykał łzy jak głupiec. Na przyszłość obiecuję sobie być zawsze niekonsekwentnym, ilekroć będzie mi z tym lepiej, dogodniej, szczęśliwiej. Na świecie istnieje tylko jedna logika – logika namiętności. Rozum do czasu tylko przestrzega, a następnie, gdy konie rwą się niepowstrzymanie do biegu, siada na koziele i pilnuje tylko tego, by się wóz nie potrzaskał. Serce ludzkie nie może się zabezpieczyć przeciw miłości, a miłość to jest żywioł, to taka siła jak przyptyw i odpływ morza. Kobiety zakochanej w mężu bramy piekielne nie przemogą, bo przysięga ślubna jest tylko uświęceniem miłości – ale gdy jest tylko zobowiązaniem, wówczas pierwszy lepszy przyptyw wyrzuca ją na piasek jak śniętą rybę. Nie mogę się zobowiązywać do tego, że mi broda nie będzie rosła albo że się nie będę starzał – a ilekroć to uczynię, prawa życiowe przejadą po mnie i po moich zobowiązaniach.

Dziwna rzecz: wszystko to, co piszę, jest, jak już powiedziałem, czystą teorią. Nie mam żadnych takich zamiarów, które potrzebowałbym przed sobą usprawiedliwiać, a jednak rozmyślania podobne wzbudzają mnie i teraz wzburzyły do tego stopnia, że musiałem przerwać pisanie. Mój spokój jest jednak diablo sztuczny... Chodziłem przeszło godzinę po pokoju i w końcu doszedłem, co mnie tak podnieciło... Oto już jest bardzo późno. Z okien moich widać kopułę Inwalidów, która błyszczy w księżycu, jak błyszczał w swoim czasie Św. Piotr, gdym przepełniony nadzieją chodził po Pincio i myślał o Anielce. Mimo woli oddałem się tym wspomnieniom. Niech sobie będzie, jak chce i jak jest, to pewna jednak, że mogłem być szczęśliwszy i że ona także mogła być dziesięć, sto razy szczęśliwsza. Ja jeszcze dziś, gdybym miał nawet jakie ukryte zamiary, gdyby ona była nie wiem jaką dla mnie pokusą, cofnąłbym się przed jej nieszczęściem. Za nic tego nie chcę, za nic! Sama myśl o tym odejmowałaby mi przedsiębiorczość i stanowczość. Życie moje ułożyło się w ten sposób, że ujemne stro-



ny mego charakteru rozwinęły się, a dodatnie zanikły, ale faktem jest, że nie przyniosłem na świat złego serca. Miałem w sobie całe góry tkliwości dla niej.

Ale to są dawne rzeczy. Sceptyk siedzący we mnie podsuwa mi inne w swoim rodzaju pytanie: czy w danym wypadku ona byłaby istotnie tak nieszczęśliwa? Sprawdziłem niejednokrotnie w życiu, że kobiety poty są tylko nieszczęśliwe, póki walczą. Gdy raz walka się rozstrzygnie, następuje, bez względu na jej rezultat, okres spokoju, słodczy, szczęścia... Znalazłem tu niegdyś w Paryżu kobietę, która przez trzy lata toczyła ze sobą bój w największej męce, a potem, gdy serce wzięło górę, został jej jeden tylko wieczny wyrzut, mianowicie, że opierała się tak długo.

Ale na co mi się przyda stawianie tych wszystkich pytań i rozwiązywanie zagadnień! Wiem, że każdej zasady można dowieść, a o każdym dowodzie zwątpić. Te dobre czasy, w których ludzie wątpili o wszystkim, z wyjątkiem o zdolności rozumu do rozeznawania prawdy od fałszu, dobra od zła – minęły. Obecnie naokoło manowce, manowce i manowce. Lepiej mi myśleć o bliskiej podróży... A ten Kromicki sprzedał jednak majątek żony i zranił ją tak głęboko... Musiałem to sobie napisać czarno na białym, bo inaczej nie chciałoby mi się w to wierzyć...

*10 kwietnia.*

Byłem wieczorem z pożegnaniem u Davisowej i trafiłem na prawdziwy koncert. Zdaje się, że Laura naprawdę rozmiłowała się w muzyce. Hilstówna grała na fisharmonii. Rad ją zawsze widzieć, ale przede wszystkim lubię ją, gdy zasiada do melodykonu i biorąc pierwsze akordy, trzyma oczy spuszczone na klawiaturę. Jest w niej jakaś powaga, skupienie, a przy tym nadzwyczajny spokój. Przypomina mi ona wówczas świętą Cecylię, która jest mi najsympatyczniejszą ze świętych i w której kochałbym się, gdybym był jej współczesnym. Ten sam pogodny, czysty profil, te same szlachetne a chrześcijańskie linie. Szkoda, że Klara jest tak duża, ale jednak, gdy się ją widzi grającą, zapomina się o tym. Od czasu do czasu spuszczone jej powieki podnoszą się ku górze, jakby chciała sobie przypomnieć Jakąś nutę zasłyszaną gdzieś na wysokościach w chwili natchnienia – i sama wygląda wtedy jak natchniona. Słusznie nosi imię: Klara, bo przezroczyściej duszy trudno spotkać. Powiedziałem, że lubię ją widzieć, nie zaś słyszeć; muzyki jej, niestety, jak zawsze, nie rozumiem, a przynajmniej chwytam jej myśl z trudnością. Sądzę jednak, że wbrew moim złośliwym i zuchwałym uwagom, ma ona niezwykły talent.

Gdy skończyła grać, zbliżyłem się do niej i półzartem oświadczyłem, że nadeszła chwila wyjazdu do Warszawy i że na mocy naszych dawnych układów zapowiadam jej, żeby była gotowa. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że bierze moje słowa poważnie. Odpowiedziała mi, że do Warszawy naprawdę dawno się już wybiera, a co do gotowości, to jest kwestia zabrania starej krewnej, która towarzyszy jej wszędzie, i głuchej klawiatury, na której grywa gamy nawet w wagonie.

Cokolwiek mnie to przstraszyło. Jeśli istotnie pojedzie, będę jej musiał choć cokolwiek pomagać w urządzeniu koncertu, a wolałbym od razu jechać do Płozowa. W ostatnim razie oddam ją w ręce Śniatyńskiemu, który może jej być pożyteczniejszy ode mnie. Zresztą Hilstówna jest córką bogatego przemysłowca z Frankfurtu i powodzenie materialne jest dla niej obojętne. Zastanawia mnie jednak skwapliwość, z jaką się zgodziła na tę podróż. W pierwszej chwili chciałem jej nawet powiedzieć, że zgadzam się na głuchą klawiaturę, ale myśl zabrania starej krewnej uważam za mniej szczęśliwą. My, mężczyźni, jesteśmy tak przyzwyczajeni do dybania zawsze i wszędzie na kobietę, że do młodej i przystojnej żaden z nas nie zbliża się nigdy bez ubocznej myśli. Kto twierdzi inaczej, ten chce właśnie okłamać kobietę, aby tym łatwiej wpadła w zasadzkę. Co do mnie, mam w tej chwili umysł pochłonięty czym innym, a jednak owa stara krewna zrobiła mi na razie wrażenie przeszkody, tym bardziej że prawdopo-

dobnie moja osoba odgrywa jakąś rolę w tym pośpiesznym postanowieniu. Paryż jest ostatecznie szerszym polem do popisów muzycznych niż Warszawa, skoro zaś o zyski Klarze także nie może chodzić, więc dlaczego chce jechać? Laura, jak już wspomniałem, dawno dała mi do zrozumienia, że Hilstówna ma dla mnie więcej niż sympatię... Dziwna kobieta ta Laura. Niewinność Klary budzi w niej zazdrość, ale tylko taką, jaką by budził na przykład oryginalny klejnot, bogaty diadem, jakaś przepyszna koronka... Zawsze kwestia ozdoby – nic więcej! Zapewne dlatego rada by popchnąć to ogromne dziecko w moje ramiona. O mnie Laurze nie chodzi, jestem bowiem ozdobą, którą już nosiła na szyi.

Ta kobieta uczyniła mi niechcący tyle złego, że powinienem ją nienawidzić – a nie mogę. Naprzód, sumienie mi mówi, że gdyby wcale nie była się pojawiła na drodze mego życia, byłbym wynalazł jakiś inny, równie skuteczny sposób przemarnowania szczęścia; po wtóre, jak szatan jest upadłym aniołem, tak nienawiść jest wyrodzoną miłością, ja zaś Laury nie kochałem nigdy. Mam dla niej trochę pogardy, to inna rzecz, ale też i ona wypłaca mi pod tym względem wzajemnością. Przypuszczam nawet, że ona mi gorzej życzy niż ja jej.

Co do uczuć Klary dla mnie Laura może mieć jednak trochę słuszności. Dziś przedstawiło mi się to jaśniej niż kiedykolwiek. Jeśli tak jest, jestem jej wdzięczny. Po raz pierwszy w życiu mam ochotę zawrzeć przyjaźń z kobietą i nie zawieść jej ufności. Dusza tak niespokojna, jak moja, może w danym razie znaleźć ukojenie w podobnej przyjaźni.

Rozgadaliśmy się dziś z Klarą jak para przyjaciół. Inteligencja jej nie jest nadto obszerna – ale natomiast jasna, dobrze odróżniająca to, co uważa za złe i szpetne, od tego, co uważa za dobre i piękne, i wskutek tego nie błędna, a zarazem bardzo pogodna. Jest w niej jakieś zdrowie duchowe, które zresztą często spotyka się u Niemców. Stykając się z nimi tu i ówdzie, zauważyłem, że na przykład tego rodzaju typów, do których należą ja, jest między nimi bardzo niewiele. Niemcy, jak również Anglicy, są to ludzie pozytywni, którzy wiedzą, czego chcą. Zagłębiają się nieraz i oni w to bezbrzeżne morze wątpliwości, ale czynią to metodycznie jako uczeni, nie jako ludzie czujący i nie jako geniusze bez teki, skutkiem czego ich niedawna filozofia transcendentna, ich obecny naukowy pesymizm, ich poetyczny weltszmerz, mają znaczenie tylko teoretyczne. W praktyce dostosowują się oni doskonale do warunków życia. Według Hartmanna, im ludzkość potężniej i świadomiej żyje, tym jest nieszczęśliwszą, tenże sam zaś Hartmann nawołuje w praktyce z całym spokojem Niemca-kulturträgera do spotęgowania niemieckiego życia kosztem Poznańczyków. Ale pominąwszy ten wypadek, należący zresztą do kategorii nikczemności ludzkich, Niemcy nie biorą w ogóle do serca teorii, dlatego są spokojni i zdolni do czynu. Ten spokój ma i Klara. Wszystko to, co może przewrócić duszę ludzką do dna, musiało się jednak objąć o jej uszy, ale jakoś ześlizgiwało się po niej, nie przechodząc w krew, dzięki temu nie zawzięła nigdy o swojej prawdzie, również jak o swojej muzyce. Jeśli ona żywi dla mnie więcej niż sympatię, to prawdopodobnie jest to jakoweś uczucie nieświadome i nie żądające niczego. Z chwilą, gdyby takim przestało być, zaczęłby się jej dramat, albowiem nie mógłbym odpłacić jej wzajemnością; mógłbym tylko wyzyskać owo uczucie w sposób przynoszący jej nieszczęście. Nie jestem zarozumiałcem, który sądzi, że mu się żadna kobieta oprzeć nie zdoła; jestem tylko zdania, że żadna w świecie kobieta nie zdoła się oprzeć człowiekowi, którego prawdziwie kocha. Określenie: forteca oblężona, forteca zdobyta, należy wprowadzić do oklepanych i nieznośnych określeń, ale wspiera się na prawdzie, a jest jeszcze stokroć prawdziwsze, gdy się stosuje do kobiety, która poza murami swej cnoty nosi w piersiach takiego zdrajcę, jakim jest serce. Ale Klara może być spokojna. Pojedziemy w spokoju; ona, ja, stara krewna i głucha klawiatura.

Od trzech dni jestem w Warszawie, ale nie mogłem dotąd wyruszyć do Płoszowa, albowiem zaraz po przyjeździe dostałem bólu zębów i twarz mam opuchniętą. Nie chcę się tak przedstawić tym paniom.

Widziałem już Śniatyńskiego, ciotka była także, u mnie i witała mnie jak marnotrawnego syna. Anielka przyjechała przed tygodniem. Matka jej jest tak chora, że lekarze, którzy początkowo chcieli ją wysłać do Wiesbadenu, uznali obecnie, że nie przeniosłaby żadnej podróży. Zostanie więc w Płoszowie aż do powrotu do zdrowia lub do śmierci – i Anielka z nią, o ile Kromicki nie załatwi prędko swych spraw i nie uzna za stosowne obrać gdziekolwiek stałą siedzibę. Tymczasem z tego, co mi mówiła ciotka, wnoszę, że podróż jego potrwa kilka miesięcy. Staralem się wyciągnąć z ciotki jak najwięcej wiadomości o Anielce i poszło mi to tym łatwiej, że ciotka mówi ze mną z całą swobodą. Ciotka wprost nie przypuszcza, ażeby kobieta zamężna mogła zajmować kogoś inaczej jak krewna, a raczej nie zastanawia się nawet nad podobnymi kwestiami. Mówiła więc ze mną otwarcie o tej sprzedaży, której i sama nie może Kromickiemu darować. W końcu wpadła w taki gniew, że aż zerwała łańcuszek, który nosi na szyi, skutkiem czego zegarek wyleciał na podłogę.

– Do oczu mu powiem – mówiła – że to jest podwójna niegodziwość. Wołałabym była pożyczyc mu pieniędzy. Tylko na co by się to zdało! Te jego spekulacje – to przepaść! Nie wiem, co z niej wyjdzie, ale tymczasem wszystko w nią włązi. Niech mi się pokaże, powiem mu natychmiast: pan i Anielkę zaprzepaścisz, i Celinę zaprzepaścisz, i w końcu zbankrutujesz! Co tym kobietom po milionach, skoro każdy grosz muszą opłakać! Niegodziwość i nic więcej! Zawszem nie cierpiała tego suszonego grzyba i miałam rację.

Spytałem ciotki, czy mówiła o tym otwarcie z Anielką.

– Z Anielką? – rzekła. – Dobrze, żeś przyjechał, bo się przynajmniej mogę wygadać. To mi ulży. Z Anielką nie ma sposobu mówić o tym otwarcie. Raz nie wytrzymałam, raz zaczęłam, to się zaperzyła na mnie, a potem w płacz; Musiał, musiał, musiał! – i tyle. Ona słowa na niego nie pozwoli powiedzieć, ona rada by wszystkie jego wady ukryć przed światem. Ale mnie starej nie zwiedzie: w duszy tak samo potępia tę sprzedaż jak i ja.

– Więc ciotka myśli, że ona go nie kocha?

Ciotka spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Co? A kogóż będzie kochała? Właśnie dlatego się martwi, że go kocha. Ale kochać można swoją drogą, a widzieć złe strony swoją drogą.

Mam na tę sprawę nieco inny pogląd, ale wołałem przed ciotką o nim zamilczeć, tymczasem ona mówiła dalej:

– Najbardziej mam mu to za złe, że to jest człowiek, który kłamie. Zapewnił Celinę i Anielkę, że za rok, lub najdalej dwa, będzie mógł odkupić te majątki. Powiedz, czy to jest możliwe? Mów!... Ale te kobiety wmawiają same w siebie, że tak będzie.

– Podług mnie, jest to zupełnie niemożliwe. Będzie spekulował w dalszym ciągu.

– I on wie o tym jeszcze lepiej niż my, więc okłamuje umyślnie te kobiety.

– Może dlatego, żeby się nie martwiły zbyt mocno.

Ciotka wpadła w gniew jeszcze większy.

– Co to: nie martwiły! Nie byłyby się martwiły, żeby nie był sprzedawca. Nie broń go na próżno! Każdy musi go za to potępić. Chwastowski nie posiadał się z oburzenia. Rozpatrzył się w tych interesach i powiada, że choćby grosza znikąd nie było, on w parę lat podjąłby się oczyścić te majątki, a pieniędzy ja pierwsza bym dała – i ty byś dał. Dałbyś?... Widzisz! A teraz wszystko przepadło!

Począłem następnie wypytywać o zdrowie Anielki. Dopytywałem z ukrytym, dziwnym, niewytłumaczonym niepokojem, bom się bał usłyszeć coś takiego, co by było zupełnie naturalne, co leżałoby w porządku rzeczy, a co jednak potargałoby, sam nie wiem dlaczego, moje

nerwy ze szczętem. Jestem wielki nędzarz! Na szczęście ciotka zrozumiała doskonale, o co mi chodzi, odrzekła bowiem z taką jak poprzednio złością:

– Na nic się nie zanosi!... Majątek to potrafił sprzedać, a nie zanosi się na nic!

Zwróciłem zaraz rozmowę na inny przedmiot. Powiedziałem ciotce, że przyjechała jednym pociągiem ze mną największa współczesna fortepianistka, a zarazem osoba bardzo mądrą, która niczego tak nie pragnie, jak dać parę koncertów na biednych. Usposobienie ciotki jest jednak osobliwsze. Przede wszystkim poczęła fukać na Hilstównę, że nie przyjechała w zimie, kiedy jesit najlepszy czas na koncerta; następnie dopiero namyśliła się, że nie jest jeszcze całkiem za późno, i w te pędy chciała biec do Klary. Ledwie mógł ciotce wytłumaczyć, że lepiej będzie, gdy uprzedzę Hilstównę o jej wizycie. Ciotka stoi na czele kilku stowarzyszeń dobroczynnych i uważa za punkt honoru złupić dla nich, kosztem innych towarzystw, co się tylko da – boi się więc, żeby jej kto nie podszedł.

Wychodząc, spytała mnie:

– Kiedy przeniesiesz się do Płozowa?

Lecz ja odpowiedziałem, że się wcale nie przeniosę. W drodze namyśliłem się, że lepiej będzie, gdy zamieszkam w Warszawie. Płozów leży o milę; pojedę więc tam każdego rana i zostanę aż do wieczora. Dla mnie jest to wszystko jedno, a nie dam tym sposobem ludziom powodu do przypuszczeń. Wolę, żeby i pani Kromicka nie pomyślała, że mi może chodzić o mieszkanie z nią pod jednym dachem. Wspomniałem także w rozmowie ze Śniatyńskim, tak zresztą, jak gdybym mówił o rzeczy pobocznej i bez znaczenia, że nie myślę przenosić się do Płozowa. Uważałem, że uznał to zupełnie i miał nawet ochotę obszerniej pomówić o Aniëlce. Śniatyński jest to człowiek stanowczo inteligentny, a jednak nie zrozumiał, że odmiennie warunki wytwarzają odmienny stosunek nawet między najbliższymi przyjaciółmi. Przyszedł do mnie tak, jakbym dotychczas był owym Leonem Płozowskim, który, trzęsąc się jak liść, prosił go w Krakowie o ratunek; zbliżył się z tą samą szorstką otwartością i od razu chciał zanurzyć rękę po łokieć pod moje żebra. Zahamowałem go w jednej chwili, skutkiem czego był nieco zły i zdziwiony. Później dopiero dostosował się do mojej nuty i poczęliśmy rozmawiać tak, jakby nasze ostatnie spotkanie nigdy nie miało miejsca. Widziałem jednak, że go interesuje mój obecny nastrój, nie mogąc bowiem wprost, począł mnie badać ubocznie, z tą całą niezręcznością pisarza-artysty, który jest głębokim psychologiem i bystrym analitykiem, gdy siedzi przy swoim biurku, a naiwnym po studencku człowiekiem w praktycznym życiu.

Gdybym był miał pod ręką flet, mógłbym, jak ongi Hamlet, podać mu go i powiedzieć: Proszę cię, zagraj, a jeśli mówisz, że nie umiesz, jakże możesz przypuszczać, ty, który z kawałka drzewa nie potrafisz wydobyć tonu, że zagrasz, jak ci się podoba, na mojej duszy?

Wczoraj w nocy czytałem właśnie *Hamleta* po raz nie wiem który w życiu, i stąd przyszło mi to porównanie. Jest to dla mnie wprost rzecz nie do pojęcia, że dzisiejszy człowiek, w każdym położeniu, w każdym najbardziej nowożytnym i złożonym rozstroju duchowym, nie znajdzie w niczym tyle analogii z sobą, ile w tym dramacie, opartym na grubej i krwistej legendzie Holinshaeda. Hamlet – to dusza ludzka, jaka była, jaka jest i jaka będzie. Podług mnie, Szekspir przeszedł w nim granice zakreślone nawet geniuszom. Bo Homera lub Danta rozumiem na tle ich epoki. Pojmuję, że mogli zrobić to, co zrobili – ale jakim sposobem ten Anglik mógł w siedemnastym wieku przeczuć wszelkie psychozy, będące wytworem dziewiętnastego, to mimo wszelkich studiów o Hamlecie pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

Podawszy więc Śniatyńskiemu hamletowski flet, poleciłem jego opiece Hilstównę; następnie począłem z nim mówić o jego dogmatach. Powiedziałem mu, że właśnie tęsknota do kraju i poczucie obowiązku jest powodem mego przyjazdu. Ale mówiłem to tonem tak niedbałym, że Śniatyński nie wiedział, czy trochę drwię, czy wypowiadam istotnie swoje uczucia. I znów powtórzyło się zjawisko, o którym już wspomniałem w Paryżu. Owa przewaga moralna, którą Śniatyńskiemu dały nade mną ostatnie wypadki, topniała z każdą chwilą. Nie wiedział sam,

co ma myśleć; zrozumiał tylko jedną rzecz: oto, że starymi kluczami mnie nie otworzy. Na odchodnym, gdym mu znów polecał Hilstównę, spojrział na mnie bystro i rzekł:

– Czy ci na tym bardzo zależy?

– Bardzo, bo to jest osoba, dla której mam wielką przyjaźń, a jeszcze większy szacunek.

W ten sposób promienie jego uwagi skupiłem na Hilstównę. Prawdopodobnie przypuszcza, że to jest nowa jakaś moja miłość. Odszedł zły. On nigdy nie umie nic ukryć. Drzwi zamknął za sobą trochę za mocno, a gdym, odprowadziwszy go na schody, wracał nazad do przedpokoju, słyszałem, jak schodził po cztery stopnie i gwizdał bardzo głośno, co zawsze czyni, gdy jest z czego niekontent.

Zresztą powiedziałem mu prawdę, że mi chodzi o Hilstównę. Pisałem dziś do Klary, wyjaśniając, dlaczego nie odwiedziłem jej dotąd – i miałem zaraz odpowiedź. Klara zachwycona jest Warszawą, a zwłaszcza ludźmi. Wszyscy znakomici muzycy tutejsi złożyli jej w ciągu tych trzech dni wizyty, przesadzając się w grzecznościach i ofiarowaniu pomocy. Pisze, że tak uprzejmych ludzi nie spotkała w żadnym mieście. Przypuszczam, że gdyby chciała osiąść tu na stałe, może nie byłiby dla niej tak uprzejmi, choć zresztą ona ma dar jednania sobie wszędzie przyjaciół. Zwiedziła już trochę miasto, i szczególnie podobały się jej Łazienki. Rad jestem z tych zachwytów Klary, tym bardziej że po przebyciu granicy krajobraz zrobił na niej przygnębiające wrażenie. Rzeczywiście, w tej pustej a płaskiej okolicy oko nie ma na czym spocząć, i trzeba się chyba tu urodzić, żeby znaleźć w niej jakikolwiek wdzięk. Klara wyglądając przez okna wagonu powtarzała ciągle: Ach, teraz rozumiem Szopena! Swoją drogą myli się, bo ani go rozumie, ani go odczuwa, również jak nie umiała odczuć tego krajobrazu.

Ja, chociaż jestem duchowym dzieckiem zagranicy, posiadam przez jakiś atawizm dar odczuwania naszej natury i ze zdziwieniem stwierdziłem niejednokrotnie, że ilekroć na wiosnę wracam do kraju, nie mogę się nasycić jego widokiem. A właściwie mówiąc, co to jest za widok? Nieraz umyślnie starałem się sobie wyobrazić, że jestem cudzoziemcem-malarzem, że żadnego uczucia nie mam i patrzę obiektywnie jak obcy. Wówczas ten krajobraz robił na mnie zupełnie takie wrażenie, jakby go rysowało dziecko, umiejące rysować tylko kreski, lub dziki człowiek. Te płaskie ugory, mokre łąki, chałupy o zarysach prostokątnych, dworskie topole na krańcu widnokregu, na koniec przestrzeń polna, zakończona opaską lasu, owo „dziesięć mil niczego”, jak mówią Niemcy, wszystko to przywodziło mi na myśl zawsze jakieś pierwociny krajobrazu z całym ubóstwem pomysłów i linii. Ściśle mówiąc, jest to zaledwie tło. Z chwilą jednak, gdy przestaję patrzeć jak człowiek obcy, gdy poczynam odczuwać prostotę widoków, włączać się w tę ich niezmierną szerokość, w której wszelki określony kształt tak topnieje jak dusza w nirwanie – mają one dla moich oczu nie tylko artystyczny urok „prymitywów”, ale zarazem działają na mnie w sposób kojący. Mogę podziwiać na przykład Apeniny, ale duch mój nie umie wnikać w nie, zostaje na zewnątrz i odbija się o nie łokciami. Wobec tego prędzej-później musi nastąpić znużenie. Człowiek wypoczywa naprawdę tylko w takim razie, jeśli się stapia z otoczeniem, a stopić się może jedynie wówczas, gdy jego dusza i dusza natury posiadają wspólną, odpowiadającą sobie organizację. Nostalgia pochodzi właśnie z wyłączania się duszy z ogółu otaczających ją rzeczy. Zdaje mi się, że ową zasadę psychicznego powinowactwa można by zastosować jeszcze szerzej. Może dziwnym się wyda, że ja, wychowany poza krajem i przesiąknięty kulturą tamtejszą, wypowiadam podobne poglądy, ale powiem więcej: oto nawet kobieta cudzoziemka, choćby najpiękniejsza, pozostaje dla mnie w pewnym stopniu tylko okazem żeńskiego rodzaju, nie zaś duszą kobietą.

Pamiętam, com swego czasu wypisywał na Polki. Lecz to jedno drugiemu nie przeszkadza. Mogę widzieć ich wady, a czuć się bliższy im niż cudzoziemkom. Zresztą większa część moich dawnych poglądów podarła mi się na kształt starego ubrania.

Lecz dosyć o tym. Spostrzegłem ze wstydem i ze zdziwieniem, że to wszystko, com pisał, było zagadywaniem siebie samego. Tak jest! – tak! Rozprawiam o krajobrazach, nostalgii, a

naprawdę wszystkie moje myśli są w Płoszowie. Nie chcę się do tego przyznać, ale trzeba! Siedzi we mnie niepokój, podobny do jakiegoś ściskania w piersiach. Być bardzo może, że i przyjazd tam i pobyt będzie bez porównania lżejszy, łatwiejszy, niż to sobie teraz, w tym stanie oczekiwania, wyobrażam. Wszelka wigilia jest nieznośną. Będąc młodym chłopcem miałem raz pojedynek i przypominam sobie, że niespokojny byłem tylko w wigilię. Staralem się także wówczas myśleć o czym innym, i podobnie jak dziś na próżno. Myśli moje nie są wcale tkliwe ani nawet przyjazne dla pani Kromickiej, są tylko jakoś dziwnie mrowiące się; opadają mnie jak zaniepokojone pszczoły, i nie podobna mi się od nich opędzić.

17 kwietniu.

Byłem dziś i zastałem wszystko zupełnie inaczej, niżemy sobie wyobrażał. Wyjechałem z Warszawy dorożką o siódmej rano, wyliczywszy, że na ósmą mniej więcej będę w Płoszowie. Ciotka mówiła mi, że te panie rano wstają. Owo nieprzyjemne uczucie ściskania pod sercem i mrowienia się myśli nie opuściło mnie ani na chwilę. Przynależem sobie, że nie będę obmyślał żadnych planów powitania ani postępowania w dalszym ciągu z Anielką. Niech tak będzie, jak musi być i jak wypadnie – oto wszystko, com postanowił. Nie mogłem jednak nie myśleć, jak to właśnie będzie, jak ona wygląda, jak mnie powita, co zechce dać mi do zrozumienia, w jaki sposób pokieruje nasze stosunki. Bo ponieważ sam nie miałem i nie chciałem mieć żadnych w tym względzie postanowień, byłem, nie wiem dlaczego, pewny, że ona je będzie miała. W przewidywaniu tego wpadałem chwilami w usposobienie dla niej nieprzyjazne, to znów na myśl, że bądź co bądź i dla niej wyniknie z tego wielki przymus, czułem coś na kształt żalu nad nią. Wyobrażnia moja była jednak do tego stopnia nią zajęta, że ją widział jak żywą. Przypominałem sobie z niezmierną plastyką zarost jej kasztanowatych włosów nad czołem, jej długie rzęsy, oczy, jej twarz drobną i delikatną. Staralem się odgadnąć, jak będzie ubrana. Wracały mi też różne wspomnienia jej słów, poruszeń, wyrazów twarzy, ubrań. Z dziwną uporczywością przypominała się zwłaszcza ta chwila, w której ona wróciła raz z górnych pokoi do salonu, z twarzą, której wzruszenie usiłowała pokryć pudrem. Wreszcie wspomnienia owe spotężniały tak bardzo, że stały się niemal widzeniem. Pomyślałem: „Oto znów mnie nawiedza!” – i chcąc się od tego uwolnić, począłem rozmawiać z dorożkarzem. Pytałem go, czy jest żonaty, na co mi odpowiedział, że „bez baby nijak” – po czym jeszcze coś mówił, czego już nie słyszałem, bom naraz dojrzał w dali majaczące topole płoszowskie. Anim się spostrzegł, kiedyśmy ujechali kilka wiorst od rogatek.

Na widok Płoszowa uczucie wewnętrzznego niepokoju wzrosło we mnie, a myśli moje stały się jeszcze szybsze. Staralem się zwrócić uwagę na rzeczy zewnętrzne, na zmiany, jakie zaszły w czasie mej niebytności, na nowopobudowane domy przydrożne. Mechanicznie powtarzałem sobie, że pogoda jest bardzo piękna, a wiosna wyjątkowo wczesna. Dzień rzeczywiście był przepyszny, w powietrzu rzeźwa poranna świeżość i pełno jasności; przy domach kwitły jabłonie, pod którymi leżał kwiat na kształt śniegu; otaczał mnie jakby szereg obrazów nowej szkoły malarskiej. Wszędy, gdzie spojrział, widziałem świetlisty i przeźroczy *plein-air*, w którego jasnej głębi poruszały się postacie ludzi pracujących przy domach i w polu. Dziwna rzecz, że wszystko to widział, wszystko zauważył, ale nie zdołał się tym przejąć ani się temu całkowicie oddać. Owe wrażenia straciły niejako swą wnikliwość, natomiast skupiały się i uświadamiały tylko na powierzchni mego mózgu, nie mogąc zasunąć się w głąb, gdzie kryły się inne myśli. W tym stanie rozdwojonej uwagi zbliżyłem się do Płoszowa. Nagle ogarnął mnie cień i chłód lipowej alei, przez którą spoglądały z dala na świat okna pałacu. Rozproszone marne myślatka poczęły tłuc się we mnie jeszcze niespokojniej. Nie umiem dokładnie powiedzieć, dlaczego, zamiast wjechać na dziedziniec, zatrzymałem dorożkarza przed bramą i ścigany jego podziękowaniami poszedłem piechotą do ganku.

W ogóle nie umiem sobie również zdać sprawy, z jakich powodów byłem tak niespokojny: chyba dlatego, że w tym znanym domu oczekiwało mnie coś nieznanego, co jednak stało w takim wprost tragicznym związku z moją przeszłością. Idąc przez dziedziniec, doznałem tak silnego ściskania w piersiach, że chwilami robiło mi się duszno. „Co u diabła! co u diabła!” – powtarzałem sobie w duchu. Ponieważ zostawiłem dorożkarza przed bramą, nikt nie wyszedł na moje spotkanie. Sień była pusta. Wszedłem do sali jadalnej i postanowiłem tam czekać, póki te panie nie zejda.

Miało to niebawem nastąpić, stół bowiem był nakryty, zastawa gotowa, a samowar szeptał i mruczał puszczać kłęby pary ku górze. Znów najmniejszy szczegół nie uszedł mojej uwagi. Zauważyłem, że w sali było chłodno i stosunkowo ciemno, bo okna jej wychodziły na północ. Przez jakąś chwilę skupiłem baczność na to, że od trzech okien odbijają się w ciemnej woskowanej podłodze trzy szlaki świetliste; potem zacząłem rozpatrywać, jakby coś nowego, kredens, który znałem od dzieciennych lat; następnie przypomniałem sobie rozmowę, jakąśmy mieli kiedyś w tej sali ze Śniatyńskim, gdyśmy spoglądali przez szyby na jego żonę i Anielkę, idące w berlaczach po śniegu do cieplarni.

Na koniec chwyciło mnie uczucie pustki i smutku. Siadłem w oknie, by być bliżej światła i czynić nowe spostrzeżenia nad ogrodem. Ale wszystko to nie uwolniło mnie od owego rozwojenia wewnętrznego, o którym już wspomniałem, zupełnie bowiem jednocześnie myślałem, że wkrótce, może za parę minut, zobaczę ją, że muszę ją powitać, przemówić do niej i następnie widywać ją co dzień przez całe miesiące. Pytania: jak to będzie? co to będzie? – cisnęły mi się jedno przez drugie do głowy. Są ludzie, którzy ze strachu popełniają czyny szalonej odwagi; ze mną znów zdarza się często tak, że niepokój, brak postanowień i niewiadomość tego, co ma nastąpić, zmieniają się we mnie w jakiś wybuch wewnętrznego zniecierpliwienia i gniewu. Tak stało się i teraz. Różnica między dawną Anielką a dzisiejszą panią Kromicką ujawniła mi się z taką siłą, jak nigdy przedtem.

„Choćbyś księżyc wzięła na głowę – pomyślałem sobie – choćbyś była stokroć piękniejsza, stokroć bardziej urocza, niż sobie mogę wystawić, będziesz dla mnie niczym, a raczej czymś tylko odpychającym.” I gniew mój wzmógł się jeszcze, bom wyobraził sobie, nie wiadomo dlaczego, że ona po to tylko teraz przyjdzie i po to będzie mię widowała w przyszłości, by mi dowieść, że się mylę i że właśnie zostanie dla mnie na wieki pożądaną i na wieki niedostępną. – Zobaczymy! – odpowiadałem jej w duchu, pod wrażeniem, że mnie czeka z tą kobietą jakiś dziwny i nieokreślony pojedynek, jakaś walka, którą zarazem przegram i wygram, bo stracę wspomnienia, ale odzyskam spokój. Zdawało mi się w tej chwili, że mam dość sił i odwagi do odparcia każdego ataku.

Wtem drzwi otworzyły się po cichu i w sali ukazała się Anielka.

Na jej widok poczułem szum w głowie i zimno w końcach palców. Ta postać, którą miałem w tej chwili przed sobą, nosiła wprawdzie nazwisko pani Kromickiej, ale miała słodkie, stokroć ukochane rysy i niewysłowiony urok mojej dawnej Anielki. W tym chaosie, jaki ogarnął mą głowę, jeden głos wołał mocniej od innych: Anielka! Anielka! Anielka! A ona nie dostrzegła mnie zrazu lub wzięła za kogo innego, gdyż byłem odwrócony od światła. Dopiero gdy się do niej zbliżyłem, podniosła oczy, stanęła jak wryta – i nie potrafię nawet opisać tego wyrazu zaleknięcia, zmieszania, wzruszenia i pokory, jaki odbił się na jej twarzy. Zbladła tak bardzo, że się przestraszył, czy nie zemdleje. Gdy uścisnąłem jej rękę, miałem uczucie, że ściskam kawałek lodu. Wszystkiemu się spodziewałem, ale nie takiego powitania. Byłbym przed chwilą przysiągł, że witając się ze mną da mi natychmiast w jakikolwiek sposób uczuć, że jest panią Kromicką. Tymczasem nic z tego! Stała przede mną wzruszona, zaleknioma – moja dawna Anielka. Ja oto uczyniłem ją nieszczęśliwą, jam był winien, stokrotnie winien, a ona w tej chwili patrzyła na mnie tak, jakby sama chciała przebaczenia. Uczucie dawnej miłości, skruchy i politowania opanowało mnie z taką siłą, że zupełnie straciłem głowę. Zachowałem tylko tyle przytomności, że nie pochwyciłem jej, nie przycisnąłem do piersi i nie zacząłem

uspokajając takimi słowami, jakimi się mówi do ukochanego stworzenia. Zresztą miałem ich pełne serce. I ja byłem tak wzburzony, tak zmieszany niespodzianym, nieprzypuszczalnym znalezieniem nie pani Kromickiej, ale Anielki, że ścisnąłem tylko jej rękę, nie umiając słowa przemówić. A jednak trzeba było – więc zebrawszy resztki myśli, spytałem przytłumionym, jakby cudzym głosem:

– Czy ciotka ci nie mówiła o moim przyjeździe?

– Ciotka... mówiła... – odrzekła z wysileniem Anielka.

I znów umilkliśmy oboje. Czułem, że wypada mówić dalej, spytać jej o zdrowie matki i jej własne, a nie podobna było mi się na to zdobyć. Pragnąłem z całej duszy, żeby ktokolwiek nadszedł i wybawił nas oboje. Jakoż nadeszła ciotka z młodym doktorem Chwastowskim, młodszym synem rządcy, który bawi od miesiąca przy pani Celinie. Anielka usunęła się zaraz do stołu dla nalewania herbaty, ja zaś począłem się witać i rozmawiać z ciotką. Przez ten czas oprzytomniałem zupełnie i zasiedliśmy do herbaty.

Począłem teraz wypytywać o zdrowie pani Celiny. Ciotka w odpowiedziach swych odwoływała się co chwila do młodego doktora, ten zaś zwracał się do mnie z tym pewnym odcieniem lekceważenia, z jakim świeżo patentowany uczonek traktuje laików, a zarazem, z jakim demokratą czuwający nad swą godnością nawet wówczas, gdy mu nikt nie chce ubliżyć, odpowiada człowiekowi, którego uważa za arystokratę. Wydał mi się bardzo zarozumiały, i koniec końców ton mój w rozmowie z nim był grzeczniejszy niż jego ze mną. Sprawiało mi to pewną rozrywkę i pozwalało przyjść do ostatecznego ładu z moimi myślami, które mącił co chwila widok Anielki. Od czasu do czasu spoglądałem na nią przez zastawę stołową i z pewną desperacją powtarzałem sobie w duszy: To te same rysy, ta sama drobna twarz z czołem ocienionym włosami; to ta sama Anielka, prawie dziewczynka! To samo kochanie, to samo szczęście, tylko już nie moje i na zawsze utracone!... Była w tym wrażeniu ogromna słodycz, pomieszana z równie wielkim bólem. Anielka opanowała już mniej więcej wzruszenie, ale była jeszcze jakby zalękniona. Odważyłem się kilkakrotnie zwrócić do niej z zapytaniem o matkę, by nasz stosunek wepchnąć jakoś na gładsze tory i uczynić swobodniejszym. W części mi się to udało. Powiedziała mi nawet: „Mama się ucieszy, jak cię zobaczy.” Nie wierzyłem temu, ale jej głosu słuchałem z przymkniętymi oczyma, bo był mi miłszy nad wszelką muzykę. Rozmawialiśmy coraz swobodniej. Ciotka była w wyśmienitym humorze, raz z powodu mego przyjazdu, a po wtóre, że była już u Klary, która jej przyrzekła koncert. Wyjeżdżając ciotka spotkała na schodach dwie inne panie, protektorki innych instytucji dobroczynnych. Przybyły one za późno – i to właśnie cieszyło tak ciotkę. Wypytywała mnie o Klarę, która zrobiła na niej jak najlepsze wrażenie. Pod koniec śniadania, zmuszony pytaniami, począłem nieco opowiadać o swoich podróżach. Ciotka dziwiła się, że byłem aż w Islandii, a wypytywając mnie, jak tam świat wygląda, rzekła:

– Trzeba być desperatem, żeby tam jechać.

– Toteż było mi tam wówczas bardzo źle – odpowiedziałem.

Anielka spojrzała w tej chwili na mnie i znów w oczach jej dostrzegłem lęk i pokorę. Gdyby mnie wprost ręką brała za serce, nie zdołałaby nim targnąć mocniej. Im bardziej byłem przygotowany na to, że ona przyjmie mnie z jakimś tryumfującym chłodem, z jakimś zadowoleniem z mojej biedy, z jakimś pogardliwym uznaniem swej wyższości, tym bardziej wzruszało mnie, a zarazem przybijało do ziemi to jej anielskie współczucie. Zawiodły mnie wszystkie obliczenia, wszystkie przewidywania. Sądziłem, że choćby nawet pragnęła nie być dla mnie panią Kromicką, to nie potrafi tego dokazać i odepchnie mnie tym i zrazi, a tymczasem ona nie wyglądała nawet na mężatkę. Ja to musiałem sobie teraz przypominać, że jest zamężna, ale w przypomnieniach tych znajdowałem nie odrazę, tylko niewypowiedziane strapienie.

Mam tę naturę, że w każdym zmartwieniu moralnym lubię rozdrapywać własne rany, chciałem więc uczynić to i teraz – i rozpocząć rozmowę o jej mężu. Ale nie mogłem; miałem



poczucie, że to będzie okrucieństwo i profanacja. Wypowiedziałem natomiast chęć powitania pani Celiny. Anielka wyszła, by ją spytać, czy może mnie przyjąć, i wróciwszy po chwili, rzekła:

– Mama prosi cię zaraz.

Poszliśmy razem na drugą stronę domu, a ciotka z nami. Czułem potrzebę powiedzenia Anielce jakiegoś dobrego słowa, które by ją uspokoiło, krępowała mnie tylko obecność ciotki; lecz po chwili pomyślałem, że właśnie lepiej będzie, gdy przy ciotce powiem jej to, co chcę powiedzieć, więc przed drzwiami, wiodącymi do pokoju pani Celiny, zatrzymałem się i rzekłem:

– Daj mi rękę, siostrzyczko kochana...

Anielka wyciągnęła do mnie dłoń. Czułem, że mi jest wdzięczna za ten wyraz: siostrzyczko, że wielki ciężar spada jej z piersi i że tym serdecznym uściśnieniem ręki chce mi powiedzieć: O, bądźmy przyjaciółmi, przebaczymy sobie wszystko!

– Spodziewam się, że będziecie w zgodzie – mruknęła, widząc to ciotka.

– Będziemy, będziemy! On taki dobry! – odpowiedziała Anielka.

I naprawdę miałem w tej chwili serce pełne dobroci. Wszedłszy do pokoju pani Celiny, powitałem ją bardzo serdecznie, na co odpowiedziała mi z pewnym przymusem; widocznym było, że gdyby nie obawa obrażenia ciotki, byłaby odpowiedziała zupełnie chłodno. Lecz nie miałem jej tego za złe; żal jej do mnie był aż nadto usprawiedliwiony. Być może, że w jej umyśle wyrobiło się przekonanie, że i za tę sprzedaż rodzinnych majątków ja jestem także poniekąd odpowiedzialny, bo gdybym umiał być w swoim czasie innym człowiekiem, wszystko to mogło nie nastąpić.

Zastąpiłem ją zmienioną bardzo. Od niejakiego czasu nie podnosiła się już z fotela na kółkach, na którym ją wytaczano w piękne dni do ogrodu. Twarz jej, zawsze delikatna, wydelikatniała tak, że wyglądała jak ulepiona z wosku. Znać było, że niegdyś musiała być bardzo piękna, a zarazem przez całe życie bardzo nieszczęśliwa.

Począłem ją wypytywać o zdrowie i wyraziłem nadzieję, że ożywczy wpływ wiosny wróci i jej siły. Słuchała, uśmiechając się smutno i kiwając głową; na koniec w oczach jej ukazały się dwie duże łzy, którym pozwoliła spłynąć spokojnie po twarzy.

Potem zwróciwszy się ku mnie spytała:

– Wiesz, że Głuchów sprzedany?

Widocznie była to myśl, która nie opuszczała jej ani na chwilę, jej wieczne zmartwienie, jej ciągła zgryzota, jej nieszczęście.

Anielka usłyszawszy pytanie spłonęła nagle. Był to przykry rumieniec – bo rumieniec żalu i wstydu – ja zaś odpowiedziałem:

– Wiem. Albo to się da odrobić, i w takim razie nie ma nic straconego, albo nie da, i wówczas trzeba się zgodzić z wolą bożą.

Anielka spojrziała na mnie z wdzięcznością, pani Celina zaś rzekła:

– Ja się już nie łudzę.

Lecz nie była to prawda: łudziła się. Oczy jej spoczywały na moich ustach, czekając jakiegoś słowa, które by utwierdziło w niej ukrywaną nadzieję, chcąc więc być do końca wspaniałomyślnym, rzekłem:

– Konieczności każdy musi ustąpić i trudno kogoś za to winić, ale z drugiej strony myślę, kochana ciotko, że nie ma takich przeszkód na świecie, których by wytrwałością i odpowiednimi środkami nie można przezwyciężyć.

Tu zacząłem mówić, że słyszałem o wypadkach, w których sprzedaż została unieważniona z powodu nieformalnego kontraktu. Mówiąc nawiasem, nie była to prawda, ale widziałem, że mówiąc tak wlewam po prostu balsam do serca pani Celiny. Pośrednio występowałem także w obronie Kromickiego, nie wymieniając jednak jego nazwiska, które zresztą nie było ani razu przy mnie przez nikogo wymienione.

Trzeba jednak powiedzieć prawdę. Wspaniałomyślność tylko w części dyktowała mi moje słowa, głównie zaś mówiłem je dlatego, iż czułem, że ujmuje sobie nimi Anielkę i przedstawiam się sam w świetle wielkiej dobroci i szlachetności.

Jakoż Anielka była mi wdzięczna, bo gdyśmy wreszcie odchodzili z ciotką, pobiegła za nami i wyciągnawszy do mnie rękę, rzekła:

– Dziękuję ci za mamę.

W odpowiedzi podniosłem w milczeniu jej dłoń do ust.

Ciotka była także wzruszona moją dobrocią. Rozstawszy się z nią, poszedłem z cygarem do ogrodu, by uporządkować moje wrażenia i przyjść do ładu z moimi myślami. Ale w ogrodzie spotkałem młodego doktora Chwastowskiego, odbywającego swą ranną przechadzkę. Ponieważ chciałem sobie zjednać wszystkich w Płoszowie, zbliżyłem się do niego i począłem go wypytywać o zdrowie pani Celiny, z tym uznaniem, jakie się ma dla wiedzy i powagi. Wiedziałem, że mu to pochlebiło bardzo; po chwili pozbył się swej demokratycznej czujności, gotowej za lada słowem najeżyć pióra na głowie, i jał rozpowiadać mi o chorobie matki Anielki z pewnym skwapliwym upodobaniem, jakie okazują zwykle młodzi adepci wiedzy, których zwątpienie nie zdołało jeszcze zaczadzić. Mówiąc, używał co chwila łacińskich terminów, jakby rozmawiał z drugim doktorem. Jego tęga, zdrowa figura oraz siła mowy i spojrzenia zrobiła na mnie korzystne wrażenie, bom widział w nim uosobienie tej nowej, niepodobnej zupełnie do geniuszów bez teki, generacji, o której dużo mi nagadał swego czasu Śniatyński. Chodząc po długich alejach parku, poczęliśmy wreszcie prowadzić jedną z tych tak zwanych inteligentnych rozmów, polegających przeważnie na cytowaniu nazwisk. Chwastowski to, co wiedział, wiedział zapewne dokładniej ode mnie, ale ja czytałem więcej w życiu, sądzę przeto, że go niepomiernie zadziwił. Chwilami spoglądał na mnie prawie niechętnie, jak gdyby uważał za wdzieranie się w cudze prawa to, że człowiek, którego on zaliczał do arystokracji, pozwala sobie wiedzieć o pewnych książkach lub pewnych autorach. Natomiast ująłem go swobodą moich poglądów. Mój liberalizm polega wprawdzie na tym, że uwzględniam wszystko, bo o wszystkim wątpię, jednakże już to samo, że człowiek mego majątku i położenia nie stał na zupełnie wstecznym stanowisku, zjednało mi całkowite uznanie młodego radykała. Pod koniec rozmowy byliśmy z sobą jak ludzie, którzy się porozumieli i zrozumieli.

Sądzę, że z czasem stanę się dla doktora Chwastowskiego wyjątkiem z reguły. Zauważyłem to już dawno, że w tym kraju, jak każdy szlachcic ma swego Żyda, którego wyłącza z ogólnej niechęci dla Żydów, tak każdy demokratą ma swego arystokratę, do którego czuje wyjątkową słabość.

Na odchodnym wypytywałem doktora Chwastowskiego o braci. Powiedział mi, że jeden z nich założył browar w Płoszowie, o czym wiedziałem, bo mi to pisała w swoim czasie ciotka; drugi ma księgarnię z elementarnymi książkami w Warszawie; trzeciego, który ukończył szkołę handlową, wziął Kromicki jako swego pomocnika na Wschód.

– Najlepiej spomiędzy nas idzie piwowarowi – mówił młody doktor – ale wszyscy pracujemy tego i być może, że się czegoś dorobimy. Szczęście, że ojciec stracił majątek: inaczej bylibyśmy *glebae adscripti*, siedzielibyśmy każdy na swojej wiosce i w końcu jeszcze byśmy pobankrutowali tak jak ojciec.

Mimo iż umysł mój był nie tylko zajęty, ale wprost pochłonięty czym innym, słuchałem doktora z pewnym zajęciem, Otóż, pomyślałem sobie, ludzie nie przerafinowani ani też nie pogrążeni w ciemnocie. Pokazuje się jednak, że w tym kraju są tacy, którzy mogą coś robić i którzy tworzą jakieś pośrednie a zdrowe ogniwa pomiędzy przekwitem a barbarzyństwem. Być może, że tego rodzaju warstwa tworzy się dopiero po większych miastach i że zasilają ją codziennie synowie pobankrutowanej szlachty, którzy z konieczności przyswajają sobie mieszczańską tradycję pracy, a przynoszą do niej tęgie mięśnie i nerwy. Mimo woli przypomniałem sobie, jak raz Śniatyński krzyczał za mną na schodach: „Z was już nic nie będzie, ale

z waszych dzieci mogą być jeszcze ludzie; musicie tylko pierwszej pobankrutować, bo inaczej i wasze wnuki nie wezmą się do roboty!” A oto synowie pana Chwastowskiego wzięli się do niej i prą się w świat za pomocą własnych jedynie ramion. Ja także, gdybym nie miał majątku, musiałbym sobie jakoś dawać rady i może wyrobiłbym w sobie tę energię postanowień, której mi tak brakło w życiu.

Doktor pożegnał mnie niebawem, miał bowiem jeszcze jednego chorego w Płoszowie, którego miał odwiedzić. Chory ów był to młody kleryk z seminarium warszawskiego, syn jednego z płoszowskich chłopów. Był on w ostatnim stopniu suchot. Ciotka umieściła go w oficynie pałacu i odwiedzała co dzień wraz z Anielką. Dowiedziawszy się o tym, udałem się i ja do niego i nad moje spodziewanie, zamiast umierającego człowieka znalazłem młodzieńczyka o twarzy chudej, ale rumianej, pełnego życia i wesołości. Według doktora, był to jednak ostatni błysk lampy. Młodego księdza pilnowała matka, która od razu złała na mnie, z powodu ciotki, taki potok błogosławieństw, że mogłem się w nim utopić.

Anielka nie przyszła odwiedzić tego dnia chorego; siedziała cały czas u matki. Widziałem ją dopiero przy obiedzie, na którym obecna była i pani Celina, przytaczają ją bowiem co dzień na obiad w jej fotelu. Było to zupełnie naturalne, że Anielka cały czas przedtem spędziła z matką; wyobraziłem sobie jednak, że ona unika spotkania ze mną. Stosunki nasze muszą się jakoś z czasem ułożyć, ale rozumiem, że z początku muszą być kłopotliwe i trudne. Anielka ma tyle inteligencji serca, tyle wrażliwości i dobroci, że nie potrafi zachować się obojętnie względem tego położenia, w jakim jesteśmy, nie posiada zaś dość owej wprawy towarzyskiej, która we wszystkich, najbardziej powikłanych warunkach, umie zachować pozory swobody. Taka wprawa przychodzi z wiekiem, gdy żywe źródła uczuć poczynają wysychać, a dusza staje się konwencjonalną.

Co do mnie, dałem poznać Anielce, że nie ma we mnie urazy dla niej ani nienawiści, bo mi tak podyktowało serce. Zresztą nie będę nigdy mówił z nią o przeszłości, i z tego powodu nie szukałem dziś rozmowy sam na sam. Przy herbacie wieczornej mówiliśmy o rzeczach ogólnych, o tym, co sływać u nas i za granicą. Ciotka wypytywała się jeszcze o Klarę, która za-  
dęła ją mocno, ja opowiadałem, com o niej wiedział, i z wolna zgadało się o artystach w ogóle. Ciotka patrzy na artystów jako na rodzaj ludzi, który Pan Bóg dlatego stworzył, żeby od czasu do czasu miał kto wyprawić widowisko na biednych. Ja twierdziłem, że artysta, byle miał serce czyste, napełnione nie lichą miłością własną, ale miłością sztuki, może być najszcześniejszym człowiekiem w świecie, bo styka się ustawicznie z czymś nieskończonym i bezwzględnie doskonałym. Z życia przychodzi wszystko zło, ze sztuki płynie tylko szczęście. Jest to istotnie moje zdanie, poparte obserwacją. Anielka była po mojej stronie, i jeśli tę rozmowę zapisuję, to dlatego, że uderzyła mnie jedna jej uwaga, bardzo prosta, ale dla mnie bardzo znacząca. Oto, gdyśmy mówili o zadowoleniu płynącym ze sztuki, ona powiedziała: „Muzyka to najlepsza pociecha.” Ja widziałem w tym mimowolne wyznanie, że nie jest szczęśliwa i że zdaje sobie z tego sprawę. Zresztą nie mam i tak pod tym względem żadnej wątpliwości.

Nawet twarz jej nie jest twarzą kobiety szczęśliwej. Prawie jeszcze wypiękniała, jest niby spokojna, a nawet pogodna, ale nie jest rozjaśniona światłem wesołości bijącej od wewnątrz i widać w niej pewne skupienie, którego dawniej nie było. W ciągu dnia spostrzegłem, że jej skronie mają leciuchny żółtawy ton, taki jaki ma na przykład kość słoniowa. Patrzyłem na nią ciągle, bo mi to sprawiało niewypowiedzianą rozkosz; powiedziałbym: przypomi-  
nałem ją sobie i z jakimś dziwnym, drażniącym, a zarazem słodkim uczuciem stwierdzałem, że to jest ta sama twarz, te same długie rzęsy, te same oczy, które nie są czarne, a wydają się jak czarne, te same ocienione usta. Nie mogłem się nasycić tą zamianą wspomnień na realność. Jest w Anielce coś tak dla mnie nieprzepraczonego, że gdybym jej nigdy przedtem nie widział i gdyby postawiono ją między tysiącem najpiękniejszych kobiet, a mnie kazano wybierać, czuję, że poszedłbym wprost do niej i powiedział: Oto moja wybrana! Są może piękniej-

sze na świecie, ale takiej, która by bardziej odpowiadała temu jakiemuś prototypowi kobiety, który każdy mężczyzna nosi w wyobraźni, dla mnie nie ma. Myślę, iż ona jednak musiała to widzieć, że ją obserwuję i że ją podziwiam.

Wyjechałem o zmroku. Byłem tak dalece zagłuszony wrażeniami dnia, a moje poprzednie rozumowania i nadzieje były do tego stopnia unicestwione, że w czasie drogi nie miał i jeszcze nie mam siły do zwykłych moich zagłębiań się w siebie. Spodziewałem się znaleźć panią Kromicką, a znalazłem Anielkę. Oto, co jeszcze raz zapisuję. Bóg jeden wie, co z tego może dla nas obojga wypłynąć. Myśląc o tym, mam zarazem wrażenie i wielkiego szczęścia, i jakby jakiegoś zawodu. Bo jednak ja teoretycznie miałem słuszość, gdyż po jej zameściu mogłem się spodziewać tych zmian psychicznych, które z konieczności zachodzą w każdej kobiecie – i mogłem się spodziewać, że ta kobieta przynajmniej to da mi do zrozumienia, że rada jest, iż wybrała nie mnie. Nie ma drugiej na świecie, która by odmówiła sobie tego za-dosćuczynienia miłości własnej... A jak się znam, jak znam moją wrażliwość i moje nerwy, tak gotów bym przysiąc, że w takim razie wracałbym pełen goryczy, ironii, gniewu – ale wyleczony. Tymczasem stało się inaczej, zupełnie inaczej! To jest istota o takiej niezgłębionej dobroci serca i prostocie, że miara, jaką miałem na dobroć ludzką, okazuje się za małą dla niej miarą. Co teraz nastąpi, co będzie ze mną, nie chcę na to odpowiadać. Życie moje mogło spłynąć jasną i spokojną rzeką w to morze, do którego spływa wszystko – teraz zaś rzuci się wodospadem w przepaść. Ale niech będzie, jak chce. W najgorszym razie będę ogromnie nieszczęśliwy. Nie spoczywałem na różach i przedtem – z tą nicością w duszy. Nie pamiętam, zdaje się, że to ojciec mój mówił mi, że z życia musi coś wyrosnąć, bo takie jest prawo natury. Jeśli musi, to musi. Prawda, że nawet i na pustyni siły życiowe, ukryte w głębi, wystrzelają w górę palmami na oazach.

*21 kwietnia.*

Mieszkam niby w Warszawie, ale cztery dni z rzędu spędziłem w Płoszowie. Pani Celina ma się lepiej, natomiast ksiądz Łatysz umarł onegdaj. Doktor Chwastowski nazywa chorobę jego „wspaniałym przebiegiem gruźlicy płucnej” i z trudnością ukrywa zadowolenie, że koniec tego wspaniałego przebiegu przepowiedział niemal na godzinę. Odwiedzaliśmy nieboszczyka na dwanaście godzin przed śmiercią. Żartował z nami i był pełen otuchy z powodu zmniejszenia się gorączki, która zmniejszała się właśnie skutkiem osłabienia. Wczoraj rano siedzieliśmy z Anielką na ganku, gdy nadeszła matka biednego księżyka i poczęła opowiadać o jego śmierci w ten szczególny chłopski sposób, w którym żal miesza się z zupełnym zgodzeniem się na to, co zaszło. We współczuciu moim była i ciekawość, bom się z ludem dotąd mało stykał i mało na niego zwracałem uwagi. Jakim ci ludzie mówią dziwnym językiem! Starałem się zapamiętać jej słowa, by je sobie zapisać. Stara chłopka na powitanie podjęła w milczeniu pod nogi mnie i Anielkę, następnie zaś, przykrywszy oczy wierzchem dłoni, poczęła zawodzić:

– O Jezusinku mój serdeczny, o Maryjo Przynajświętsza! Pomer ci mój nieboraczek, pomer! Wolał ci do Pana Boga iść niż z matką i ojcem ostawać. Na nic mu się dworski starunek nie przydał. Wina mu ta dawali po próżnicy, bo mu ta i wino nie pomogło. O Jezusinku Przynajświętszy, o Jezu! o Jezu!

W głosie jej był niezawodnie szczery żal macierzyński, ale co mnie uderzyło, to zachowywanie w jękach i narzekaniu czegoś w rodzaju nuty obyczajowej. Nie słyszałem dotąd chłopków lamentujących po śmierci bliskich, a byłbym przysiągł, że wszystkie muszą podobnie lamentować, jakby na to istniał jakiś wiejski przepis.

Anielka miała łzy na rzesach i z tą nieopisaną dobrocią, jaką posiadają tylko kobiety, poczęła wypytywać o okoliczności śmierci, odgadując, że opowiadanie przyniesie kobiecie ulgę. Jakoż staruszka poczęła opowiadać niemal z chciwością:

– Kiej dobrodziej z Panem Jezusem od niego odszedł, ja mu powiem tak: „Czy ta umrzesz, czy nie umrzesz, wola boska! Przyrzuciłeś się na śmierć pięknie, a teraz śpij.” On powie: „Dobrze!” i zdrzemnął, a ja też, bo, niech to nie będzie Panu Bogu wymowne, ale się też bez trzy noce nabiedowała. Dopiero o pierwszych kurach przyszedł mój stary, zbudził mnie, i siedzieliśmy oboje —a on śpi i śpi. Mówię staremu: „Ej, czy nie pomej?” A stary mówi: „Może i pomej!” Pociągnął go, on się też obudził i mówi: „Lepiej mi.” Poleżał z pięć pacyerzy spokojnie i wzion się uśmiechać do pułapu. Jakem to zobaczyła, tak złość mnie schwycała i mówię: „A ty, kaścianie, to ty się mojej biedzie uśmiechasz?” A on się śmierci uśmiechał, nie mojej biedzie, bo zaraz potem poczęło dychać niebożatko i tyle go było do wschodu słonka.

Tu znowu poczęła jęczeć, następnie wezwwała nas, byśmy poszli zobaczyć nieboszczyka, bo już go przyoblekła, i „taki piękny jak malowanie”. Anielka była gotowa pójść z nią, ale ją powstrzymał; zresztą babina, zapomniawszy po chwili o swym żądaniu, przeszła do opowiadania o swojej biedzie. Mąż jej był kiedyś zamożnym gospodarzem, ale całą chudobę stracili na to, by syna wychować. Sąsiedni gospodarze kupowali morgę za morgą, a dziś została im tylko chałupa, ale gruntu nic. Tysiąc dwieście rubli wydali. Myśleli, że się na starość przy synu przytulą, a tymczasem Pan Bóg go zabrał. Staruszka z całą chłopską rezygnacją oświadczyła nam, iż już ułożyli się z mężem, że zaraz po pogrzebie pójdą „na dziady”! Nie zdawało się to jej wcale przestraszać; mówiła nawet o tym jakby z pewną utajoną satysfakcją, bała się tylko, czy w gminie nie będzie mitregi ze świadectwem, które nie wiem do czego jej było potrzebne. W opowiadaniu jej tysiączne szczegóły realne mieszały się z wezwaniami do Pana Jezusa i do Matki Boskiej, ze łzami i żalem.

Anielka wbiegła do domu i po chwili wróciła z pieniędzmi, które chciała wręczyć starej kobiecie, lecz mnie przyszła inna myśl, którą na razie uznałem za dobrą. Zatrzymałem rękę Anielki i zwróciwszy się do babiny spytałem:

– Toście wydali tysiąc dwieście rubli na wychowanie syna?

– Juści, proszę jaśnie pana. Myśleliśwa, jak ostanie proboszczem, przytulić się przy nim na probostwie, ale Bóg Najwyższy pokierował nas nie na probostwo, ino pod kościół.

– To ja wam podaruję tysiąc dwieście rubli. Zagospodarujcie się na nowo i życie spokojnie w chałupie.

Byłbym to zaraz uczynił, ale nie miałem ze sobą pieniędzy; umyśliłem jednak wziąć potrzebną kwotę z kasy ciotki i kazałem babuli przyjść za godzinę. Była tak zdumiona, że przez jakiś czas patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczyma, nie mówiąc ani słowa, następnie padła mi do nóg prawie z krzykiem. Potrafiłem się jej jednak pozbyć dość prędko, głównie dlatego, że pilno jej było lecieć do męża i powiedzieć mu dobrą nowinę. Zostaliśmy sami z Anielką, która również była wzruszona i na razie nie umiała znaleźć potrzebnych jej słów; dopiero po chwili poczęła powtarzać:

– Jakiś ty dobry! jakiś ty dobry!

Lecz ja wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem Anielce takim tonem, jakbym mówił zarówno o rzeczy obojętnej jak naturalnej:

– Ja, moja Anielko, bynajmniej nie uczyniłem tego przez . dobroć ani dla tych ludzi, których pierwszy raz widzę. Zrobiłem to jedynie dlatego, że ty się nimi zajmujesz, i w tej myśli, że to tobie sprawi przyjemność. Inaczej zbyłbym ich pierwszym lepszym datkiem.

Tak mówiąc, powiedziałem szczerą prawdę. Ludzie ci tyle mnie obchodzili, ile każdy inny biedak; natomiast z równą łatwością dałbym dwa i trzy razy tyle dla zrobienia przyjemności Anielce. Powiedziałem to przy tym umyślnie, bom doskonale rozumiał, że podobne słowa, mówione do kobiety, są niezmiernie doniosłe, nie mając bowiem formy wyznania, równają się niemal wyznaniu. Znaczy to samo, co powiedzieć jej: dla ciebie uczyniłbym wszystko, boś ty mi wszystkim. I co więcej, żadna na świecie kobieta nie może się obronić podobnym wyznaniem i nie ma prawa za nie się obrażać. A ja chciałem jeszcze i dlatego wyrazić to Aniel-

ce, że to czułem. Złagodziłem tylko ukryte znaczenie moich słów w ten sposób, że mówiłem takim tonem, jakby o rzeczy najzwyczajniejszej, która się sama przez się rozumie. Anielka jednak pojęła ich doniosłość, bo spuściła oczy i nie wiedziała, co mi odpowiedzieć. Z widocznym zmieszaniem rzekła wreszcie, że musi iść do matki, i zostawiła mnie samego.

Ja mam najzupełniejszą świadomość, że postępując w taki sposób, wprowadzam do duszy Anielki myśli obce jej i niepokojące. Ale ze zdziwieniem widzę, że jakkolwiek z jednej strony wzburza to moje sumienie i budzi dręczącą obawę o spokój istoty, za którą oddałbym życie, z drugiej jednak sprawia mi jakąś drapieżną radość, jak gdybym zaspakajał wrodzony człowiekowi instynkt niszczenia. Mam także przekonanie, że nic mi tu żadna świadomość zła ni żadne skrupuły nie pomogą. Mam zbyt silny charakter, bym się umiał i mógł na tej drodze zahamować, zwłaszcza wobec tego nieprzewartego, niewypowiedzianego uroku, jaki wywiera na mnie ta kobieta. Teraz dopiero jestem naprawdę jak ów Indianin, który porwany przez prąd wodospadu, złożył wiosła i zdał się na wolę prądu. Nie rozmyślam nawet o moich winach i o tym, że wszystko mogło być inaczej, że mi trzeba było wyciągnąć tylko rękę po tę istotę, o której teraz mówię sobie: dla kogo warto żyć, jeśli nie dla niej? kogo warto kochać, jeśli nie ją? Wpadam w determinizm i często zdaje mi się, że nie mogło być inaczej, że na tę nieudolność moją życiową składały się całe pokolenia, które już wyczerpały od dawna zasób życia – że ja taki byłem i taki jestem, jak musiałem i muszę być – i że nie pozostaje mi nic innego jak złożyć wiosła.

Dziś z rana byliśmy z ciotką i Anielką na pogrzebie młodego kleryka. Pogoda dopisuje nam ciągle; pogrzeb odbył się z rana i nie utrudził tych pań, bo do kościoła i na cmentarz mamy niedaleko. Dziwny to widok takiego korowodu wiejskiego, poczynającego się od księdza i trumny na wozie, a kończącego zbitym tłumem chłopów i wieśniaczek. Wszystko to śpiewa pieśni niesłychanie posępne, przypominające jakąś chaldejską muzykę. W końcu orszaku mężczyźni i kobiety rozmawiają jakimś sennym, wlokącym się głosem, poczynając zawsze swe uwagi od: „O, moiście wy!” Wyraz ten słyszałem co chwila. Równie dziwne wrażenie robi podczas takiego obrzędu, jak pogrzeb, jaskrawość chustek na głowach dziewcząt. Szliśmy aleją jarzębową do kościoła i gdy pochód zasuwiał się w przerwach między drzewami w słońce, chustki owe rozpały się w blasku żółto, czerwono, błękitnie, co dawało całemu temu orszakowi pozór wesołości, tak, że gdyby nie ksiądz, me wóz z trumną i nie zapach jałowcu, można by mniemać, że to wesele idzie. Zauważyłem także, z jakim zadowoleniem ludzie na wsi idą za pogrzebem. W ogóle śmierć nie robi na nich żadnego wrażenia; może widzą w niej tylko jakoweś wieczyste świętowanie? Gdyśmy stanęli nad dołem, dostrzegłem w twarzach tylko skupioną uwagę nad ceremonią i ciekawość; żadnego śladu, żadnego cienia refleksji, że jest to jednak nieubłagane zakończenie, poza którym zaczyna się coś strasznego i nieznanego. Patrzyłem na Anielkę w chwili, gdy schyliła się po garść piasku na trumnę. Była nieco blada, że zaś słońce padało właśnie na jej twarz, można było czytać w tych przezroczystych rysach jak w książce. Byłbym przysiągł, że myślała w tej chwili o własnej śmierci. Mnie wydało się to po prostu niepodobieństwem, jakąś dziką i potworną myślą, żeby ta twarz, taka czująca, taka pełna bujnej młodości, widnej w tym puszkę nad ustami, w tych długich rzęsach, w tym swoim uroczym indywidualizmie, mogła kiedykolwiek zbieleć, skamienieć, pozostać w wiecznej ciemności.

A jednak było mi tak, jakby jakiś mróz zwarzył moje myśli. Oto przyszło mi do głowy, że pierwszy obrzęd, w jakim uczestniczymy w Płoszowie z Anielką, jest to pogrzeb. Równie jak śmiertelnie chory człowiek, który stracił wiarę w naukową medycynę, gotów jest uwierzyć w leki znachorów, tak śmiertelnie chora, o wszystkim wątpiąca dusza gotowa jest uwierzyć nawet w przesady. Prawdopodobnie nikt nie stoi bliżej od otchłani mistycyzmu jak bezwzględny sceptyk. Ci, którzy zwątpili o ideałach religijnych i socjologicznych, ci, którzy stracili zaufanie w potęgę wiedzy i ludzkiego rozumu, cała masa ludzi właśnie najbardziej rozwiniętych, niepewna dróg, pozbawiona wszelkich dogmatów, szamocąca się, beznadziejna, zasuwająca

się obecnie coraz głębiej w mgły mistycyzmu. Występuje on wszędy ze zwykłą siłą reakcji przeciw dzisiejszemu życiu, polegającemu na pozytywnym ograniczeniu myśli ludzkiej, na potłumieniu ideałów, na użyciu, na bezdusznym bankierstwie. Duch ludzki poczyna rozsądzać budynek, w którym kazano mu mieszkać, dlatego że budynek ów jest zbyt pod każdym względem giełdą. Kończy się jakaś epoka, nadchodzi jakaś ewolucja na wszystkich polach. Przychodziło mi to nieraz do głowy i napełniało mnie zdumieniem, że na przykład najnowsi więksi powieściopisarze sami nawet nie wiedzą, jak niewiele brak im do tego, by się stali mistykami. Niektórzy mają już świadomość, że nimi są, i głośno to wyznają. W każdej książce, którą w ostatnich czasach otwierałem, widziałem nie dusze ludzkie, nie wolę i namiętności osobiste, ale ogólne siły fatalne, mające cechy strasznych istot, niezależne od pojedynczych zjawisk, żyjące same w sobie jak Goethowskie macierze.

Co do mnie, jestem zapewne także na granicy. Widzę to i nie lękam się. Otchłań pociąga; mnie osobiście pociąga nawet tak dalece, że gdybym już dziś mógł, zeszedłbym na samo dno – i zejść, jak tylko będę mógł.

28 kwietnia.

Upajam się tym życiem w Płoszowie, codziennym widokiem Anielki i zapominam, że ona należy do kogo innego. Ten Kromicki, który siedzi tam w Baku czy też jeszcze gdzieś dalej, wydaje mi się jakąś istotą nierzeczywistą, pozbawioną realnego bytu, jakimś złem, które kiedyś ma nadejść, tak jak na przykład nadejdzie śmierć, o której się przecie ciągle nie myśli. Ale wczoraj spotkało mnie coś w rodzaju *memento*. Drobną to na pozór i najzwyczajniejszą rzecz! Anielka odebrała rano, przy herbacie, aż dwa listy. Ciotka spytała jej, czy od męża, ona zaś odpowiedziała: – Tak! – Usłyszawszy to, doznałem takiego wrażenia, jakiego doznawać musi człowiek skazany, który w wigilię egzekucji miał słodki sen, ale którego zbudzono oświadczeniem, że czas ostrzyć włosy i iść pod nóż gilotyny. Ujrzałem naraz z niebywałą dotąd wyrazistością moje nieszczęście. Cały dzień zostało mi to złowrogie poczucie, tym bardziej że ciotka jakby się uwzięła, żeby mnie męczyć. Anielka chciała odłożyć czytanie listów na wolną chwilę po herbacie, tymczasem ciotka kazała jej czytać je zaraz, następnie zaś zaczęła wypytywać, jak się ma Kromicki.

– Dziękuję cioci, dobrze! – odpowiedziała Anielka.

– A jak mu tam idzie?

– Chwała Bogu! Pisz, że nadspodziewanie.

– Kiedy wróci?

– Mówi, że jak tylko będzie mógł.

I ja ze swą wrażliwością musiałem wysłuchać tych pytań i tych odpowiedzi. Gdyby ciotka z Anielką zaczęły jaką nieprawdopodobną, cyniczną rozmowę, nie więcej poszarpałaby mi ona nerwy. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Płoszowa poczułem niechęć i głęboką urazę do Anielki.

– Miejże przynajmniej trochę instynktu litosnego i nie gadaj przy mnie o tym człowieku – nie dziękuj w odpowiedzi na pytanie o jego zdrowiu i nie mów: „Chwała Bogu!” – pomyślałem sobie w duszy. Tymczasem ona otworzyła drugi list; spojrzawszy na datę, powiedziała: „To dawniejszy” – i zabrała się do czytania. Spoglądałem na pochyloną jej głowę, na rozbiór włosów, na czoło i spuszczone powieki – i wydawało mi się, że to czytanie trwa nieznośnie długo. Zarazem zrozumiałem, że tych ludzi, to jest ją i Kromickiego, łączy cały świat wspólnych interesów i celów, że oni są związani nierozzerwalnymi węzłami, że z koniecznych powodów oni muszą się poczuwać do związku ze sobą i do wzajemnej przynależności. Pojąłem, że ja stoję i będę stał siłą rzeczy na zewnątrz, nawet choćbym pozyskał jej wzajemność. Dotąd, od pierwszego widzenia Anielki, czułem tylko głębię mojej nędzy tak, jak się czuje głębię

przepaści, którą przesłania tuman. Teraz mgły się rozdarły i ujrzałem bezdeń w całej rozciągłości.

Mam to jednak do siebie, że pod nadmiernym uciskiem poczynam się odprężyć. Miłość moja nie śmiała dotychczas chcieć czegokolwiek, ale w tej chwili zawiść poczęła rozpaczliwie pożądać zniszczenia i podeptania tych wszystkich nieubłaganych praw, tych węzłów i tych przynależności. Anielka czytała zaledwie parę minut; przez ten czas przeszedłem przez całą skalę udręczeń, tym bardziej że, jak zwykle, gnębiły mnie i inne myśli, będące analizą i krytyką zasadniczego bólu. Oto mówiłem sobie, że to wzburzenie i ta gorycz, którą odczuwam, mają jednak śmieszne niemal cechy jakichś kobiecych dąsów; dalej myślałem, że z takimi nerwami nie podobna żyć, a na koniec stawiałem sobie pytanie: Jeśli taka przeprsta rzecz, jak to, że mąż pisze do żony, a ona czyta jego listy, przyprawia cię o zupełną utratę równowagi, co będzie, gdy on tu przyjedzie i gdy co chwila będziesz widział i stwierdzał wzajemną ich przynależność?

Odpowiadałem w duchu: zabiję go! – i jednocześnie czułem całą śmieszność i głupotę tej odpowiedzi.

Łatwo zrozumieć, że podobne pytania nie uspokajały mnie. Anielka skończywszy czytać spostrzegła zaraz, że jestem w jakimś niezwykłym stanie, i poczęła mi rzucać niespokojne spojrzenia. Jest to jedno z tych słodkich usposobień, które potrzebuje koniecznie koło siebie atmosfery przyjaznej, inaczej i źle mu, i straszno. Płyynie to z niezmiernej delikatności serca. Pamiętam, że za czasów, gdy stary Chwastowski nie jadał u syna-piwowara, ale w pałacu, i ciotka kłóciła się z nim co obiad, Anielka, nim przekonała się o błahości tych kłótni, bała się ich i nie mogła ich znosić. Teraz widocznie zaniepokoiło ją moje wzburzenie, chociaż nie umiała się domyślić jego powodów. Kilkakrotnie zagadnęła mnie niby o koncert Klary, a jednocześnie wzrok jej pytał: Co tobie jest?

Lecz ja odpowiadałem zimnym spojrzeniem, nie mogąc jej wybaczyć ani tych listów, ani rozmowy z ciotką. Zaraz po herbacie wstałem i oświadczyłem, że muszę jechać do Warszawy.

Ciotka chciała, żebym został na obiad, po którym mieliśmy, wedle pierwotnego układu, jechać razem na koncert. Lecz ja odpowiedziałem, że mam kilka spraw do załatwienia w Warszawie, a i naprawdę pragnąłem zostać sam. Dałem rozkaz, by zaprzęgano, tymczasem ciotka rzekła:

– Chciałabym się wywdzięczyć jakoś Hilstównie i namyślam się, czy jej nie zaprosić na jeden dzień do Płoszowa?

Widocznie ciotka uważała zaproszenie do Płoszowa za tak wielką nagrodę, że wahała się, czy to jednak nie będzie dla Klary zbyt wiele.

Po chwili ozwała się znowu:

– Gdybym była pewna, że to jest osoba zupełnie dobrego towarzystwa...

– Hilstówna jest przyjaciółką królowej rumuńskiej – odrzekłem z niecierpliwością – i co rok spędza u niej po kilka tygodni. Jeśli dla kogo będzie zaszczyt, to dla nas.

– No, no! – mruknęła ciotka.

Na samym odjeździe zwróciłem się do Anielki:

– A ty wybierzesz się z ciotką na koncert?

– Muszę być przy mamie, a przy tym muszę pisać listy.

– Jeśli chodzi o uczucia stęsknionej małżonki, to nie przeszkadzam.

Na razie ironia tych słów przyniosła mi ulgę. Niech wie, że jestem zazdrosny, pomyślałem; ona tak jak ciotka i jej matka należy także do kobiet „anielskiego gatunku”, nie dopuszczających istnienia złego. Niechże zrozumie, że ją kocham, niech ta myśl wstąpi w nią, niech się oswoja z tym pojęciem, niech się pocnie nim niepokoić, niech z nim walczy. Wprowadzić do jej duszy taki obcy, rozkładający pierwiastek, taki ferment – to już jest pewne zwycięstwo. Obaczymy, co dalej będzie.



Była to dla mnie ulga chwilowa, ale duża, podobna do złej radości. Zaraz jednak w powo-  
zie ogarnął mnie gniew na samego siebie i niesmak. Niesmak ów pochodził stąd, iż czułem,  
że to wszystko, com powiedział i pomyślał, jest swoją drogą małostkowe, oparte na przerafi-  
nowanych i grymaśnych nerwach, godne historycznej kobiety, nie mężczyzny. Miałem ciężką  
drogę do Warszawy, cięższą niż wówczas, gdy po ostatnim powrocie z zagranicy jechał po  
raz pierwszy do Płoszowa. Zastanawiałem się nad tym, że owa straszna nieudolność życiowa,  
która ciąży jak fatum nad podobnymi do mnie ludźmi w ogóle, a nade mną w szczególności,  
pochodzi stąd, że pierwiastek kobiecy przeważa w naszych charakterach nad męskim. Nie  
chcę powiedzieć, byśmy byli zniewieściałymi fizycznie, tchórzami, ludźmi bez energii na  
razie. Nie! to wcale co innego; przedsiębiorczości i odwagi mamy jeśli nie więcej, to przy-  
najmniej tyle, co i wszyscy; każdy z nas gotów jest wsiąść na nieokiełzanego konia i jechać,  
gdzie potrzeba. Ale pod względem psychicznym o każdym można by powiedzieć: o n a, nie  
o n. Brak w naszym ustroju duchowym jakiejś spokojnej, syntetycznej równowagi pomijają-  
cej drobiazgi. Lada co nas razi, zniechęca i zraża, skutkiem czego co krok poświęcamy rzeczy  
niezmiernie wielkie dla niezmiernie małych. Moja przeszłość jest tego dowodem. Przecie ja  
poświęciłem niewypowiedziane szczęście całego życia, swoją przyszłość i przyszłość uko-  
chanej kobiety dlatego tylko, że w swoim czasie wyczytał w liście ciotki, jakoby Kromicki  
miał zamiar starać się o rękę Anielki. Nerwy moje wzięły na kiel i poniosły mnie tam, gdzie  
nie chciał. Nie było to nic innego, tylko objaw choroby woli. Ale w ten sposób chorują o n e,  
nie o n i. Cóż dziwnego, że i teraz postępuję jak historyczka! Jest to nieszczęście, które ze  
sobą na świat przyniosłem, a na które składały się całe pokolenia, z dodatkiem wszystkich  
warunków życia, jakim musimy żyć.

To zdjęcie z siebie odpowiedzialności nie przyniosło mi jednak żadnej pociechy. Przyje-  
chawszy do Warszawy miałem naprzód zamiar odwiedzić Klarę, ale napadł mnie gwałtowny  
ból głowy, który przeszedł dopiero wieczorem, przed samym przybyciem ciotki.

Ciotka zastała mnie już ubranego i wkrótce pojechaliśmy na koncert, który udał się świet-  
nie. Sława Klary ściągnęła świat inteligentny i muzyczny, cel zaś dobroczynny sprowadził  
całe wyższe towarzystwo. Widziałem mnóstwo znajomych, między innymi Śniatyńskich. Sala  
była nabita. Ale byłem tak źle usposobiony i nerwy moje były w takim rozstroju, że wszystko  
mnie gniewało. Nie wiem sam dlaczego, ogarnęła mnie obawa, że Klara zrobi fiasko. W  
chwili gdy weszła na estradę, zdarzyło się, że ciągnęła za sobą po podłodze afisz, który ucze-  
pił się do garnirowania jej sukni. Wydało mi się, że to ją ośmiesza. Sama ona, przybrana w  
balową tualetę, odłączona od czarnego tłumu pustą przestrzenią estrady, czyniła mi wrażenie  
raczej obcej artystki niż bliskiej znajomej i przyjaciółki. Mimo woli pytałem siebie, czy to jest  
ta sama Klara, z którą łączyła mnie serdeczna niemal zażyłość. Tymczasem powitalne oklaski  
umilkły. Na twarzach zjawilo się owo niby rozumne skupienie i powaga, za pomocą których  
ludzie nie mający żadnego pojęcia o sztuce udają znawców i sędziów. Klara siadła do forte-  
pianu, i chociaż byłem zły na nią, równie jak na cały świat, musiałem jednak przyznać w du-  
chu, że ma głowę szlachetną, lekko osadzoną, i układ artystyczny, pełen prostoty i wolny od  
presady. Poczęła grać koncert Mendelssohna, który umiem na pamięć – i czy to dlatego, że  
czuła, iż oczekują od niej niezmiernie wiele, czy że była wzruszona niezwykle serdecznym  
przyjęciem, dość że zaczęła grać gorzej, niżem się spodziewał. Uczyniło mi to wielką przy-  
krość; spojrzałem na Klarę ze zdziwieniem i oczy nasze spotkały się na jedną chwilę. Wyraz  
mej twarzy zmieszał ją do reszty i znów usłyszałem kilka uderzeń mętnych, bez należytej siły  
i wyrazistości. Byłem już pewny fiaska. Nigdy fortepian ze swymi tonami, w których brak  
ciągłości zwiększa się jeszcze przez odległość i przygłuszoną tłokiem akustykę sali, nie wydał  
mi się nędzniejszym koncertowym instrumentem. Chwilami miałem wrażenie, że słyszę ury-  
wane dźwięki harfy. Po niejakim czasie Klara odzyskała równowagę, ale podług mnie cały  
koncert grała miernie. Ogarnęło też mnie prawdziwe zdziwienie, gdy po zakończeniu rozległy  
się takie oklaski, jakich nie słyszałem nigdy w Paryżu, gdzie Klarę przyjmowano z wyjątko-

wym zapalem. Muzycy powstali z miejsc i poczęli rozprawiać żywo ze sprawozdawcami; w rozjaśnionych ich twarzach czytałem wyraźne zadowolenie. Oklaski trwały tak długo, póki Klara nie ukazała się na estradzie. Wyszła ze spuszczonej oczyma, a ja, który umiałem czytać w jej twarzy, czytałem wyraźnie: Jesteście dobrzy, dziękuję wam, ale było źle i chce mi się płakać! Biłem także brawo, za co otrzymałem przelotne, pełne wyrzutów spojrzenie. Klara nadto kocha sztukę, by ją mogły zadowolić niezasłużone oklaski. Uczułem dla niej litość; chciałem pójść . za nią i powiedzieć parę słów otuchy, ale nieustające brawa nie puściły jej z estrady. Zasiadła znowu i zagrała *Sonatę cis-moll* Beethovena, której nie było w programie.

Nie ma, podług mnie, na świecie utworu, w którym by tak wyraźnie było widać wielką duszę targaną przez jakiś tragiczny niepokój. Mówię zwłaszcza o trzeciej części sonaty: *presto agitato*. Nastrój ów odpowiadał widocznie chwilowemu rozdrażnieniu Klary, a z pewnością był zgodny z moim usposobieniem, toteż, jak żyję, nie słyszałem tak granego Beethovena i nie odczułem go tak dokładnie. Jam nie muzyk, ale przypuszczam, że i muzycy nie wiedzieli dotąd, ile się w tej sonacie mieści. Nie umiem znaleźć innego wyrazu na określenie wrażenia, jakiego doznali wszyscy, tylko: ucisk! Miało się poczucie, że staje się coś mistycznego, widzenie jakiejś zaświatowej pustki, przeraźliwie smutnej, bez kształtów, wpółrozwidnionej przez światło księżyca – wśród której krzyczy, łka i wrywa sobie włosy beznadziejna rozpacz. Było to i straszne, i przejmujące, bo działo się jakby już z drugiej strony życia, a zarazem nieprzeparcie pociągające, gdyż, co do mnie przynajmniej, nigdy muzyka nie zetknęła mnie tak blisko z czymś absolutnym. Nie będąc więcej od innych ludzi wrażliwym, miałem niemal halucynację. Wydało mi się, że w tej pustce, w tym bezkształcie, w tym zagrobowym mroku szukam kogoś droższego mi niż świat cały, bez którego żyć nie umiem, nie mogę, nie będę, a szukam z tym przekonaniem, że muszę to czynić przez wieczność całą i że nigdy go nie odnajdę. Miałem serce tak ściśnięte, że mi tamowało oddech – nie zwróciłem najmniejszej uwagi na stronę zewnętrzną wykonania, które zresztą musiało dojść do tych wyżyn, na których nie ma już o nim kwestii. Cała sala była pod podobnym wrażeniem, nie wyjmując samej Klary.

Gdy skończyła grać, pozostała czas jakiś z głową i oczyma podniesionymi w górę, z twarzą pobladałą i rozchylonymi ustami. I nie był to efekt estradowy, było to proste, wyższe tym razem nad wszelką wątpliwość, natchnienie i zapamiętanie. W sali trwała głucha cisza, jakby ludzie oczekiwali jeszcze czegoś, jakby zdrętwieli ze smutku lub łowili ostatnie echa tej łkającej rozpacz, którą porwał zaświatowy wicher. Później stało się coś takiego, co prawdopodobnie nie zdarzyło się nigdy, na żadnym koncercie. W sali podniesiono taki okrzyk, jakby zgromadzonym zagroziła katastrofa. Kilku sprawozdawców i muzyków zbliżyło się do estrady. Widziałem głowy pochylające się do rąk Klary. Ona miała łzy na rzesach, ale twarz natchnioną, jasną i spokojną. Poszedłem wraz z innymi uściskać jej rękę.

Od pierwszej chwili naszej znajomości aż do tego czasu Klara mówiła do mnie zawsze po francusku; dziś dopiero po raz pierwszy, oddając mi gorąco uścisk dłoni, spytała po niemiecku:

– *Haben Sie mich verstanden?*

– *Ja* – odpowiedziałem – *und ich war sehr unglücklich.*

Było tak rzeczywiście. Dalszy ciąg koncertu stał się dla Klary jednym wielkim tryumfem. Po skończeniu Śniatyńscy zabrali ją do siebie na wieczór. Ja nie chciałem jechać. Wróciwszy do domu czułem się tak zmęczony, że w ubraniu rzuciłem się na sofę i przeleżałem z godzinę nie śpiąc. Dopiero na chwilę przed rozpoczęciem pisania spostrzegłem się, że rozmyślam ciągle o pogrzebie księdza, o Anielce i o śmierci. Następnie kazałem podać światło i zabrałem się do pióra.

Listy Kromickiego pognębiły mnie do tego stopnia, że *to* wrażenie trwa dotąd. Nieuzasadniony żal mój do Anielki mija wprawdzie; im bardziej czuję, że niezasłużenie byłem j. dla niej tak szorstki, tym większa ogarnia mnie skrucha i z tym większą tkliwością myślę o niej. Ale za to coraz jaśniej widzę, jak nieubłaganie łączy tych ludzi sama siła faktów. Od wczoraj jestem w szponach tej myśli i dlatego nie pojechałem dziś do Płoszowa. Tam trzeba mi czuć nad sobą, trzeba być spokojnym lub udawać spokój; w tej chwili nie wymógłbym tego na sobie. Wszystko, co jest we mnie: myśli, uczucia, wrażenia zmieniły się w jeden bunt przeciw temu, co się stało. Nie wiem, czy może istnieć stan bardziej rozpaczliwy, jak nie zgadzać się na coś, protestować każdym kawałkiem mózgu i serca, a jednocześnie czuć się wobec spełnionego faktu bezsilnym. Rozumiem także, że to jest zaledwie przedsmak tego, co mnie czeka. Nic do zrobienia, jedno nic! Poszła za męża, jest panią Kromicką, należy do niego i będzie należała zawsze – ja zaś, który nie mogę na to przystać, bo przystawszy, nie mógłbym istnieć – muszę przystać. Z równym skutkiem mógłbym protestować przeciw sile przyciągania ziemi, jak przeciw takiemu porządkowi rzeczy, na mocy którego kobieta, która raz za męża poszła, należy do męża. Więc co? Zgodzić się z tym porządkiem? Co mi pomoże puste, czerce, bezmyślne słowo: *z g a d z a m* się – skoro w mojej istocie nie ma ani atomu zgody? Chwilami przychodzi mi do głowy, żeby wyjechać, ale czuję doskonale, że poza tą jedyną kobietą świat ma dla mnie tyle znaczenia ile śmierć, to jest tyle ile nicość – i co więcej, wiem z góry, że nie wyjadę, bo nie znajdę na to dość siły. Nieraz miałem jakby rozumienie, że nędza ludzka może być większą od ludzkiego wyobrażenia o niej i że może być taki stan, w którym myśli o nędzy kończą się, a ona jakby morze idzie jeszcze i jeszcze dalej. W tej chwili wydaje mi się, że żegluję po tym morzu.

A jednak nie. Jest coś, co mi zostaje. Czytałem kiedyś w pamiętniku Amiela, że czyn to tylko zgęszczona aż do stanu materii myśl. Ale myśl może pozostać w stanie oderwanym; uczucie – nie. Teoretycznie byłem tego świadom i przedtem, dopiero teraz jednak sprawdziłem ten pewnik na sobie samym. Od czasu mego powrotu do Płoszowa aż do tej chwili nie powiedziałem sobie jasno i wyraźnie, że pragnę wzajemności Anielki, ale była to kwestia słów. W rzeczywistości wiedziałem o tym, że jej chcę i chciałem. Każde moje spojrzenie, każde słowo, wszystkie postęпки – zdążyły tylko do tego celu. Uczucie, które nie jest jednoznaczne z żądaniem i czynem – jest niczym. Niechże więc te słowa zostaną wymówione: *chcę!* Chcę dla Anielki stać się najbardziej upragnioną i najbardziej ukochaną istotą, jak ona jest dla mnie; chcę posiadać jej wzajemność, jej wszystkie myśli, jej duszę – i nie myślę stawiać granicy dla moich pragnień; uczynię wszystko, co mi nakaże serce, i użyję wszystkich środków, jakie mój rozum uzna za najskuteczniejsze, aby jej wzajemność zdobyć. Zabiorę Kromickiemu tyle z Anielki, ile będę tylko mógł – a odbiorę ją całkowicie, jeśli tylko ona na to się zgodzi.-. W ten sposób będę miał cel w życiu, będę wiedział, dlaczego budzę się rano, dlaczego przyjmuję pokarm we dnie, dlaczego krzepię się snem. Nie będę zupełnie szczęśliwy, bo na to trzeba by mi nie tylko zabrać ją całkowicie dla siebie, ale pomścić się na tamtym za to, że ją posiadał – będę jednak miał czym żyć. W tym mój ratunek. I nie jest to postanowienie powzięte dopiero w tej chwili; to tylko słowne stwierdzenie tych wszystkich sił, które poruszają się we mnie, tej woli i tych pragnień, które leżą w naturze uczucia i stanowią nierozdzielną część jego istoty.

Rozpędzam na cztery wiatry wszelkie skrupuły. Obawa, że Anielka będzie nieszczęśliwa, gdy mnie pokocha, musi ustąpić przed tą wielką jak cały świat prawdą, że sama obecność w sercu miłości już wypełnia życie, już daje mu pokarm i jest sto tysięcy razy więcej warta niż pustka i nicość życiowa.

Tysiące temu lat wiadano już na świecie, że dobrym i moralnym jest tylko to, co potęguje życie, a pustka i nicość leżą w królestwie zła. Chwila, w której ta ukochana głowa oprze

się mi na piersiach, w której te drogie usta spoczną na moich, będzie aktem dobra i prawdy. Wśród zwątpień, jakie zalegają mi mózg, ta jedna świeci jasno – o tej jedynie mogę powiedzieć: wierzę, że tak jest. Znalazłem coś przecie pewniejszego w życiu. Wiem doskonale, jaki rozbrat leży między tą moją wiarą a ową zdawkową konwencjonalną moralnością, wyrabianą na codzienny użytek ogółu ludzi; wiem, że i dla Anielki będzie to świat obcy, przestraszający, ale wezmę ją za rękę i poprowadzę w ten świat, bo ze szczerym przekonaniem będę jej mógł powiedzieć: Tam jest dobro i prawda!

Znajduję pokrzepienie w podobnych myślach. Większa część dnia zeszła mi jednak bardzo źle, bo w poczuciu własnej niemocy, wobec tych wszystkich warunków, w jakich znajdujemy się oboje z Anielką. Przychodzi mi nawet do głowy i to, że ona może kocha Kromickiego. Na samo przypuszczenie myślałem, że oszaleję. Na szczęście, przybycie po południu doktora Chwastowskiego przerwało bieg tego rodzaju przypuszczeń. Przyjechał on z Płoszowa na poradę ze starszym lekarzem, którego w swoim czasie wzywano do pani Celiny. Na odjeźdnym przyszedł mnie odwiedzić. Powiedział, że pani Celina ma się tak samo jak zawsze, ale że pani Kromicka miała z rana mocny ból głowy i nie pokazywała się przy rannej herbacie.

Następnie zaczął długo mówić o Anielce, a ja słuchałem go chętnie, bo zastępowało mi to niejako jej obecność i jej widok. Mówił zresztą jak człowiek inteligentny, lubo młody. Oświadczył mi, że woli patrzeć na ludzi z niedowierzaniem, nie dlatego, żeby takie stanowisko uważał za jedynie słuszne, ale że na razie uważa je za bezpieczniejsze. Co do pani Kromickiej sądzi jednak, iż może z całą pewnością policzyć ją do natur wyższych pod każdym względem. Odzywał się o niej w ogóle z taką żywością, iż przez głowę przemknęło mi przypuszczenie, że w głębi serca żywi dla niej coś więcej niż podziw.

Przypuszczenie to nie sprawiło mi najmniejszej przykrości, zapewne ze względu na ogromną przestrzeń, dzielącą tego niedawnego studenta od Anielki. Owszem, byłem mu wdzięczny, że się na niej poznał, i zatrzymałem go dłużej, bo oprócz tego rozmowa z nim chroniła mnie od zbyt ciężkich myśli. W toku gawędki spytałem go, co zamierza robić na przyszłość. Odpowiedział mi, że naprzód musi zebrać trochę grosza na wyjazd do klinik zagranicznych, następnie wróci do kraju i ustali się w Warszawie.

- Co pan rozumiesz przez ustalenie się w Warszawie?
- Pracę naukową przy jakim szpitalu i możliwą praktykę.
- I zapewne ożenisz się?
- Przyjdzie czas i na to, ale nie zaraz.

– O ile nie przyjdzie jakieś uczucie i nie opanuje woli. Pan, jako doktor, wiesz, że miłość jest potrzebą fizjologiczną.

Młody Chwastowski chciał jednak widocznie uchodzić za trzeźwą i tęgą głowę, wyższą ponad słabości ludzkie, wzruszył więc swymi szerokimi ramionami, pogładził ostrzyżoną w szcztokę czuprynę i powiedział:

– Potrzebę uznaję, ale nie chcę jej przyznać więcej miejsca, niż jej się należy. Na każdą potrzebę jest rada.

Tu uśmiechnął się zwycięsko, lecz ja odrzekłem poważnie:

Zastanowiwszy się nieco głębiej nad kwestią uczucia, kto wie, czy warto dla czego innego żyć?

Chwastowski pomyślał przez chwilę.

– Nie! jest pełno innych rzeczy: choćby nauka, choćby obowiązki społeczne. Nie mówię nic przeciw małżeństwu: człowiek powinien się ożenić i dla siebie samego, i dlatego żeby mieć dzieci – bo to też obowiązek społeczny. Ale małżeństwo to co innego, a ciągły romans znów co innego.

– Jak pan to rozumiesz?

– Rozumiem tak, że my, panie, jesteśmy mrówki, które budują mrowisko. My, ludzie od roboty, nie mamy po prostu czasu, żeby życie poświęcać głównie kobietom i kochaniu się w nich. To dobre dla tych, którzy mogą nic nie robić albo którzy nie chcą nic innego robić.

To rzekłszy spojrział na mnie jak człowiek, który przemawia w imieniu najtęższych w kraju ludzi i przemawia równie silnie jak mądrze. Patrzyłem z pewnym zadowoleniem na ten zdrowy okaz ludzkiego rodzaju – i przyznaję, że pominąwszy pewną młodocianą, prawie studenczką pychę – to, co mówił, nie było wcale głupie. Prawdą jest, że kobieta i miłość dla niej nie odgrywają ani w połowie takiej niezmiernej roli w życiu ludzi pracy lub życiu ludzi mających przed sobą poważne zadania, poważne cele. Chłop żeni się, byle się ożenić i założyć gospodarstwo. W rzeczywistości zdolność jego do głębokich uczuć jest mała, chociaż poeci i noweliści wmawiają w nas co innego. Człowiek naukowej pracy, mąż stanu, wódz, polityk poświęcają kobiecie zaledwie małą część życia. Wyjątek stanowią artyści. Tych fachem jest kochać, albowiem sztuka sama istnieje przez miłość i kobietę. W ogóle zaś tylko w społeczeństwach bogatych, w których mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, kobieta panuje wszechwładnie i wypełnia takim ludziom życie od wierzchu do dna. Opanowuje ona w nich wszystkie myśli, staje się motorem wszystkich czynności, wyłącznym celem zabiegów. I nie może inaczej być. Biorę oto siebie za przykład. Społeczeństwo, do którego należę, nie jest wprawdzie bogate tak jak inne, ale ja osobiście jestem człowiekiem zamożnym. Z tej zamożności skorzystałem w ten sposób, że nigdy nic nie robił, skutkiem czego nie miałem i nie mam określonego celu w życiu. Może byłoby inaczej, gdybym się był urodził Anglikiem lub Niemcem, ale ciążył jeszcze nade mną ten fatalny grzech pierworodny, który nazywają: *l'improductivité slave*. Żaden ze składowych czynników dzisiejszej cywilizacji nie pociągnął mnie i nie wypełnił mi duszy, z tej prostej przyczyny, że ta cywilizacja jest mdlejąca i przesiąknięta sceptycyzmem. Jeśli ona sama czuje, że się kończy, i wątpi o sobie, trudno wymagać, abym ja w nią uwierzył i poświęcił jej życie. W ogóle więc żyłem jakby zawieszony w powietrzu, bom nie mógł przyczepić się do ziemi. Gdybym był człowiekiem suchym, zimnym albo bardzo głupim, albo zwierzęco zmysłowym, byłbym ograniczył życie aż do roślinnego wegetowania lub do zaspokajania zwierzęcych potrzeb – i istniałbym jakoś, ale zdarzyło się właśnie przeciwnie. Przyniosłem na świat żywy umysł, naturę bujną i siły żywotne niepowszednie. Siły te musiały znaleźć jakieś ujście i mogły je znaleźć tylko w miłości dla kobiety. Nic innego mi nie pozostało. Jestem tego świadom i poddaję się, bo zresztą próżno byłoby przeciw tej potędze walczyć. Miłość do kobiety – oto jedyna racja, jedyna podstawa mego życia. Całe moje nieszczęście polega na tym, że jako dziecko chorej cywilizacji wyrosłem krzywo, więc i ta miłość przyszła mi krzywo.

Prostota pojęć byłaby mi dała szczęście, ale o tym szkoda mówić. Każdy garbus rad by się pozbyć swego garbu – jeno że nie może, bo garbatym już był w łonie matki. Tak samo moje garby spowodowało nienormalne łono cywilizacji i epoki, która mnie na świat wydała. Ale krzywy czy prosty, muszę kochać – i chcę.

4 maja.

Rozum mój poszedł zupełnie na służbę uczucia i stał się już tym woźnicą, który czuwa jedynie nad tym, by się wóz nie połamał. Od kilku dni znów jestem w Płozowie i wszystko, co mówię i czynię, jest tylko taktiką miłości. Doktor Chwastowski miał rozum, że kazał Anielce chodzić dla zdrowia po parku. Znalazłem ją tam dziś rano. Bywają chwile, że uczucie, noszone w sercu choćby z pełną świadomością, ujawnia się nagle z niezwykłą siłą i niemal przestrasza swoim ogromem. Taką chwilę miałem dziś, gdy na skrawku alei zobaczyłem Anielkę. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą, więcej upragnioną, konieczniejszą mi należną. To jest właśnie ta jedyna w świecie kobieta, której, z mocy tajemnych, zaledwie dopiero nazwanych przez naukę sił, przeznaczono pociągnąć mnie, jak magnes pociąga żelazo, opanować, przy-

wiązać do siebie, stać się moim celem i wypełnieniem życia. Jej głos, postać, spojrzenie upajają mnie. Dziś, gdy się do niej zbliżał, zdawało mi się, że ona nosi w sobie wdzięk nie tylko swój własny, ale tej porannej godziny, tej wiosny, tej pogody, tej radości ptaków i roślin, skutkiem czego jest dla mnie więcej niż kobietą, bo zarazem wcieleniem piękności, ponęt i rozkoszy całej natury. I przyszło mi na myśl, że jeśli natura stworzyła ją tak, iż ona mocniej działa na mnie niż na jakiegokolwiek innego mężczyznę, to tym samym przeznaczyła ją dla mnie – i że to moje prawo zostało podeptane przez jej zamążpójście. Kto wie, czy wszystkie krzywizny świata nie pochodzą właśnie z niespełniania takich praw i czy nie w tym leży niedoskonałość życia.

Miłość źle sobie ludzie wyobrażają z zawiązanymi oczyma. Przeciwnie: nic, żaden najdrobniejszy szczegół nie uchodzi jej wzroku; ona wszystko w istocie ukochanej widzi, wszystko zauważy – tylko wszystko stapia swym płomieniem w jedno wielkie i proste: kocham! Zbliżając się do Anielki, zauważyłem, że ma oczy błyszczące jeszcze jakby ze snu, że na jej twarz i jasną perkalową suknię pada złoto-zielonawe światło precedzonych przez młode grabowe liście promieni słonecznych; zauważyłem, że włosy jej związane są niedbale, że lekko puszczone bluzka zarysowuje z niewypowiedzianym urokiem wysmukły jej stan i ramiona, że jest w jej uczesaniu i ubiorze jakieś zaniedbanie poranne, a zarazem jakaś świeżość, która potęguje tysiącrotnie jej ponęty. Nie uszło mej baczności, że w tej alei wysokich grabów postać jej wydaje się drobniejsza niż zwykle i tak młoda, że prawie dziecinna – słowem, nic nie wymknęło się mej uwadze, ale wszystkie spostrzeżenia zmieniły się w jeden zachwyty człowieka, który kocha bez pamięci.

Na moje „dzień dobry” odpowiedziała z pomieszaniem. Od kilku dni ona się mnie boi, bo hipnotyzuję ją każdym słowem, każdym spojrzeniem. Pogoda jej myśli jest już zmacona, ferment wprowadzony do duszy. Nie mogła nie spostrzec, że ją kocham, a jednocześnie widzę wyraźnie, że nie chce przyznać się do tej myśli za żadne skarby świata, nawet sama przed sobą. Czasami uczuwałam takie wrażenie, jakbym trzymał w ręku gołębia i czuł pod palcami jego zalęknione, bijące niespokojnie serce. Szliśmy w kłopotliwym milczeniu, którego nie przerywałem umyślnie. Wiem, że takie zakłopotania są dla niej ciężkie, ale czynią ją już poniekąd moją współpracowniczką i zbliżają mnie do celu. W ciszy, jaka nas otaczała, słyszeliśmy tylko skrzypienie piasku pod naszymi nogami i wesołe pogwizdywanie wilg, których pełno było w parku.

Począłem wreszcie rozmowę. Kierowałem nią, jakem sam chciał, bo jakkolwiek umysł mój zamknięty był na wszystkie wpływy zewnętrzne, nie mające związku z uczuciem, za to w zakresie mego uczucia posiadałem niemal zdwojoną przytomność i bystrość taką, jaką posiadają ludzie pogrążeni w śnie magnetycznym, którzy w danym kierunku widzą jaśniej od ludzi normalnych. Przeszliśmy prędko na tory osobiste. Mówiłem o sobie tym tonem poufnych zwierzeń, jakim się mówi do istoty najbliższej, która jedna na świecie ma prawo wiedzieć wszystko. Wytwarzał się przez to między nami cały świat porozumień i wspólności, należący tylko do nas dwojga. Ponieważ zaś taki związek powinien być, z mocy małżeństwa, istnieć tylko między nią i mężem, więc wiodłem ją tym samym do duchowego przeniewierstwa krokami tak nieznacznymi, że ich nie mogła dostrzec.

Subtelna ta natura przeczuwała jednak, iż idziemy jakąś niezwykłą drogą. Prowadziłem ją jakby za rękę, coraz dalej i dalej, lecz prowadząc, czułem pewien moralny opór. Zdawałem sobie doskonale sprawę i z tego, że opór ten zwiększyłby się natychmiast, gdybym ją pociągnął silniej lub gdyby niebezpieczeństwa nie były tak nieuchwytnie. Ale widziałem jasno, że przewaga jest po mojej stronie i że zwolna zaprowadzę ją, dokąd zechcę.

Tymczasem mówiłem umyślnie o przeszłości.

– Pamiętasz – rzekłem – jak za dawnych, lepszych czasów pytałaś mnie kiedyś, czemu nie siedzę w kraju i pozwalam marnować się tym zdolnościom, które ludzie widzą we mnie. Co do mnie, pamiętam każde twoje słowo. To było wówczas, gdy wróciłem późno z miasta, a ty

czekałaś na mój powrót... Trudno mi nawet powiedzieć, jakiś ty miała na mnie ogromny wpływ. Nie mogłem się zabrać od razu do jakiejś roboty, bo musiałem wyjechać; potem przyszła śmierć ojca... Ale słowa twoje zapadły we mnie i powiem ci szczerze, że jeżeli wrócił, jeżeli zamierzam stale tu osiąść i coś robić, jeżeli wreszcie czegoś dokażę – to będzie twój wpływ i twoja zasługa...

Przez chwilę trwało między nami milczenie – słyszałem tylko ciągle pogwizdywanie wilg. Anielka widocznie szukała odpowiedzi, na koniec odrzekła;

– Nie podobna mi temu uwierzyć, żeby taki człowiek jak ty nie miał innych, ważniejszych powodów. Ty doskonale wiesz, że to jest obowiązek, a tamto minęło i teraz jest zupełnie co innego.

– Jest co innego i nie jest – odpowiedziałem. – Może, jak zacznę jakąś robotę, to z czasem znajdę w niej samej i zachętę, i zamiłowanie. Ale człowiek jak ja, który wbrew temu, co mówisz, nie poczuwał się nawet do obowiązku zajęcia się czymkolwiek, musi mieć jakieś osobiste powody do gruntownej odmiany życia... I im mu gorzej na świecie, tym mu potrzebniejsza taka osobista pobudka... A po co mam przed tobą kłamać?... Ja wcale nie jestem szczęśliwy... Poczucie obowiązków społecznych to bardzo piękna rzecz – tylko, na nieszczęście, ja go nie mam. Ty, która jesteś lepsza i szlachetniejsza ode mnie, mogłaś być mnie tego nauczyć... stało się inaczej... Ale i dziś jeszcze, tylko przez pamięć, żeś ty niegdyś chciała ode mnie pracy, tylko przez ciebie i dla ciebie potrafiłbym cośkolwiek przedsięwziąć.

Anielka przyśpieszyła kroku, jakby pragnęła zaraz wracać do domu, i odpowiedziała mi, prawie szepcząc:

– Nie mów tak, Leonie, proszę cię, nie mów tak. Przecie ty rozumiesz, że ja nie mogę przyjąć takiej intencji.

– Czemu nie możesz? Nie chciej mnie źle rozumieć. Jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze bardzo kochaną siostrą. Nic więcej nie chciałem ci powiedzieć.

Anielka podała mi rękę prawie gorączkowo, którą podniosłem do ust zwolna i z największą czcią.

– Tak, zostanę, zawsze zostanę! – odpowiedziała pośpiesznie.

A ja widziałem, że jakby kamień spadł jej z serca, tak ją uspokajał, ujmował i wzruszał ten jeden wyraz: s i o s t r a. To sprawiło, że i ja zdołał zapanować nad sobą, bo w pierwszej chwili, gdy ustami dotknął tej najdroższej ręki, prawie mi w oczach pociemniało i chciałem objąć ją, przytulić do siebie i wyznać całą prawdę.

Tymczasem twarz Anielki stała się jaśniejsza i weselsza. W miarę jak zbliżaliśmy się do domu, niepokój jej niknął, ja zaś widząc, jak bardzo ją sobie ujmuję idąc taką drogą, mówiłem dalej tonem spokojnej, zwykłej rozmowy;

– Widzisz, siostrzyczko, koło mnie jest ogromna pustka. Ojciec mój nie żyje, ciotka jest święta kobieta, ale nam trudno się zrozumieć, bo ona ani nowych czasów, ani nowych ludzi nie pojmuje. Jej wyobrażenia są zupełnie inne od moich. Nie ożenię się nigdy, więc – pomyśl tylko, jaki ze mnie samotnik! Nikogo naokoło! Nikogo, z kim by się podzielić czy to myślą, czy zamiarem, czy zwierzyć się ze zmartwieniem... Pustka i pustka... Powiedźże sama: co w tym dziwnego, że szukam współczucia tam, gdzie spodziewam się je znaleźć?... Jestem jak dziad kaleka, który staje przed bramą, czekając, czy mu nie wyniosą parę groszy. W tej chwili ten dziad, naprawdę bardzo biedny, staje pod twoim oknem i żebrze o trochę życzliwości, przyjaźni i miłosierdzia. Ani mu w głowie coś więcej jak jałmużna, ale przecie jałmużny mu nie odmówisz?... prawda?

– Prawda, Leonie – odpowiedziała Anielka – prawda; tym bardziej że jeśli ci tak źle...

Tu słowa urwały się jej i usta poczęły drżeć. Znow potrzebowałem całej siły, żeby jej nie upaść do nóg. Wzruszyłem się sam jej widokiem do tego stopnia, iż i mnie gardło ścisnęło się jakby płaczem.

– Anielko! Anielko! – ozwał się, nie wiedząc, co mam jej powiedzieć.

Lecz ona poczęła potrząsać dłońmi, jakby się chciała ode mnie opędzić, wreszcie powiedziała wśród łez:

– Zaraz, zaraz!... uspokoję się. Nie mogę tak wrócić... pozwól mi...

I odeszła szybko.

– Przepraszam cię, Anielko! – zawołałem za nią.

Naprzód chciałem koniecznie biec w jej ślady, alem pomyślał, że trzeba ją zostawić samą, goniłem ją więc tylko wzrokiem. Wróciła się pośpiesznie w tę samą aleję, po której chodziliśmy poprzednio, potem skręciła w bok. Czasem gąszcz przesłaniał ją, to znów jasna jej suknia ukazywała się w przerwach drzew, błyszcząc bardzo w słońcu. Z dala widziałem, jak składała, rozpiniała i znów składała parasolkę, pragnąc widocznie tym fizycznym zajęciem rozproszyć wzruszenie. Przez ten czas wołałem na nią w duszy wszystkimi najśłodszymi wyrazami, jakie może podyktować miłość. Nie mogłem wymóc na sobie, by odejść nie spojrzawszy raz jeszcze w jej twarz; musiałem jednak czekać dość długo. Wróciła wreszcie, ale przeszła koło mnie prędko, jakby się bojąc ponownego wzruszenia; uśmiechnęła się tylko po drodze do mnie z anielską przyjaźnią i słodyczą – i rzekła:

– Już dobrze! już dobrze!

Jakoż na zarumienionej od prędkiego ruchu jej twarzy nie znać było łez. Zostałem sam i chwyciła mnie szalona, nieopisana radość, nadzieja przepelniła mi serce, w głowie miałem tylko jedną myśl: ona mnie kocha, broni się, nie poddaje, ludzi się sama, ale kocha. Czasem najbardziej świadomy siebie człowiek staje pod nadmiarem uczuć prawie na granicy szaleństwa, ja zaś byłem jej tak blisko, że chciało mi się lecieć w głąb parku i tarzać się w trawach, i krzyczeć na cały głos, że ona mnie kocha.

W tej chwili, gdy już spokojniej rozmyślałem nad tą radością, widzę, że składała się ona z Bóg wie ilu czynników. Było w niej między innymi i szczęście mistrza, który czuje, że mu się arcydzieło udaje, było może i zadowolenie pajaka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci – ale była i dobroć, i litość, i tkliwość, i to wszystko, z czego, jak mówi poeta, radują się anieli w niebie. Żał mi było, że to bezbronne biedactwo musi wpaść w moje ręce, i zarazem żał ten wzmagał miłość, a więc i chęć zdobycia Anielki; jednocześnie doznawałem wyrzutów, że ją oszukuję, i jednocześnie miałem poczucie, że nigdy w życiu nie mówiłem tak szczerze i tak z głębi serca.

Bom przecie nie kłamał prosząc jej o współczucie i o przyjaźń. Potrzeba mi i tego jak zdrowia. Nie wypowiedziałem tylko wszystkich żądań, bo nie przyszedł na to czas; nie wypowiedziałem całej prawdy, by nie przstraszyć tej drogiej a bojaźliwej duszy. Wreszcie zdążam do mego i jej dobra drogą, która najprościej do niego wiedzie.

*10 maja.*

Pogoda na niebie i pogoda między nami. Anielka jest spokojna i szczęśliwa. Uwierzyła głęboko słowom moim, że nie chodzi mi o nic więcej jak o braterskie uczucia, że zaś sumienie pozwala jej kochać mnie miłością siostry, więc dała folgę sercu. Ja jeden wiem, że to jest tylko lojalny sposób oszukiwania samej siebie i oszukiwania męża, bo pod stemplem tego siostrzanego uczucia kryje się i wzrasta w niej inne; ale naturalnie nie myślę wywodzić jej z błędu, póki owo uczucie nie stanie się nieprzepartym... Ogarnie ją ono wkrótce jak płomień, którego nie przytłumi ni wola, ni poczucie obowiązku, ni wstydlivość tej kobiety, białej jak łabędź. Tymczasem i mnie jest dobrze, tak dobrze, że chwilami mam poczucie, iż mógłbym niczego więcej nie żądać, pod tym jednym tylko warunkiem, żeby nikt nie miał do niej żadnych praw. Ciągle wraca mi do głowy myśl, że ponieważ ja kocham ją najbardziej, więc moje prawo jest najlepsze. Co może być nad to logiczniejszego i słuszniejszego? Wszakże w etyce wszystkich ludów i wszystkich wyznań przynależność wzajemna mężczyzny i kobiety wspiera się na miłości.



Ale dziś taki jestem uciszony i szczęśliwy, że wolę czuć niż rozumować. Panuje teraz między nami wielka serdeczność, swoboda i zażyłość. Jak my jednak byliśmy dla siebie stworzeni, jak nasze istoty lgną do siebie, jak to kochane biedactwo wygrzewa się i rozkoszuje w tym zwodniczym ciepłe braterskich uczuć! Nigdy, od czasu powrotu, nie widziałem jej tak wesołą. Nieraz poprzednio, gdym na nią patrzył, przypominał mi się Szekspirowski *poor Tom*. Taka natura, jak jej, potrzebuje miłości jak powietrza do oddychania, a ów Kromicki, zajęty spekulacjami, nie kocha jej dostatecznie i nie jest zdolny kochać. Ona słusznie mogłaby się skarżyć i powtarzać za Szekspirem: „Biednemu Tomkowi zimno”. Myśląc o tym, nie mogę się oprzeć rozrzewnieniu i przyrzekam jej w duszy, że jej nie będzie zimno, póki ja żyję.

Gdyby miłość nasza była złą, nie mógłby się unosić nad nami taki spokój. Bo, że Anielka nie nazwała swego uczucia po imieniu – to wszystko jedno: niemniej ono istnieje. Cały dzisiejszy dzień zeszedł nam jak sielanka. Nie lubiłem dotąd niedzieli; teraz spostrzegam, że niedziela od rana do wieczora może być jednym poematem, zwłaszcza na wsi. Zaraz po herbacie poszliśmy do kościoła na ranną wotywę. Ciotka szła z nami, a nawet i pani Celina, korzystając z cudnej pogody, kazała się przy nas toczyć w fotelu. Ludzi było niewiele, bo lud zbiera się tłumnie dopiero na sumę. Siedząc w ławce obok Anielki miałem jakieś błogie złudzenie, że siedzę obok mojej narzeczonej. Chwilami spoglądałem na jej słodki, kochany profil, na ręce, które trzymała oparte przed sobą na ławce, i to skupienie, jakie było widać w jej postawie i twarzy, udzielało mi się mimo woli. Zmysły moje uspiły się, myśli stały się czyste, i kochałem ją w tej chwili zupełnie idealną miłością, bom czuł jak nigdy, że to jest bezwzględnie inna kobieta od tych, które spotykałem dotychczas – stokroć lepsza i czystsza.

Dawno nie zaznałem podobnych wrażeń jak w tym wiejskim kościele. Złożyła się na nie i obecność Anielki, i powaga kościelna, i łagodne migotanie świec w mroku ołtarza, i smugi kolorowe światła z okien, i świergot wróbli przy szybach, i cicha msza. Wszystko to miało w sobie jeszcze jakąś senność poranną, a oprócz tego było ogromnie kojące. Myśli moje zaczęły się układać tak równo i spokojnie jak obłoki dymu z kadzielnicy przed ołtarzem. Zbudziło się we mnie coś, jakby chęć ofiary z siebie, i głos wewnętrzny jął mi mówić: Nie mać tej jasnej wody, uczcij jej przezroczyłość.

Tymczasem msza się skończyła i wyszliśmy z kościoła. Przed progiem kościelnym spostrzegłem z niemałym zdumieniem oboje starych Łatyszów, siedzących na ziemi z drewnianymi miseczkami w rękę i proszących o jałmużnę, Ciotka, która wiedziała o moim datku, wpadła na ich widok w wielki gniew i poczęła ich łajać, lecz stara Łatyszowa, nie przestając wyciągać ku nam swojej miseczki, odrzekła spokojnie;

– Co je pańska hojność, to pańska hojność, a co wola boska, to wola boska. Woli boskiej nie trza się przeciwieć. Kiejś nam, Jezusicku, kazał tu siedzieć, to ostaniem, teraz i na wieki wieków, amen.

Z tego rodzaju rozumowaniem nie było się co spierać. Zwłaszcza owo: „na wieki wieków, amen”, zaimponowało mi do tego stopnia, że dałem im jałmużnę dla samej oryginalności. Ten lud wierzy w gruncie rzeczy w przeznaczenie; poddając się mu ślepo, chrystianizuje je tylko na własny sposób. Tacy Łatyszowie, którym dałem tysiąc dwieście rubli, są teraz zamożniejsi, niż byli kiedykolwiek, a jednak poszli pod kościół w przekonaniu, że im tak kazało przeznaczenie, które staruszka nazywa po swojemu: wolą boską.

Wracaliśmy teraz do domu. Dzwoniono właśnie na sumę. Drogą ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet. Ludzie z dalszych folwarków szli gęsiego przez pola, ścieżkami w zbożu, które, lubo jeszcze zielone, wyrosło już tej wczesnej wiosny dość wysoko. Jak okiem sięgnąć, widać było w jasnych głębiach powietrznych jaskrawe chustki dziewcząt, jak różnobarwne kwiaty maku rosnącego wśród zieleni. Mówiąc nawiasem, takich szerokich przestrzeni powietrznych nie ma w całej Europie, jak u nas. Co mnie także uderzyło, to ów wybitny charakter niedzielny, widoczny zarówno w ludziach, jak w naturze. Prawda, że pogoda była przepyszna, ale zdawało się, że wiatr nie wieje dlatego, że to niedziela, że zboże nie kołysze

się łanem i liście nie trzęsą się na topolach, bo niedziela; wszędy wielki a wesoły spokój, cisza, odświętne stroje i w bród światła.

Wyjaśniałem Anielce, ze stanowiska sztuki, piękności widoku i tych barwnych plam, harmonizowanych przez błękitny ton powietrza. Potem zaczęliśmy mówić o chłopach. Ja przyznając się, że widziałem w nich tylko wielki zbiór mniej lub więcej malowniczych modeli. Anielka za to patrzyła na nich zupełnie inaczej. Opowiadała mi o nich mnóstwo charakterystycznych rzeczy, smutnych i wesołych, przy czym ożywiła się opowiadaniem i ruchem, i tak była urocza, że mimo woli począłem, spoglądając na nią, powtarzać trzy ostatnie wiersze poematu, który pisałem jeszcze w uniwersytecie, a którego całej reszty zapomniałem zupełnie.

I dziwię się tylko, że kwiaty  
Pod twymi stopami nie rosną,  
Ty maju, ty raj, ty wiosno!

Rozmowa zeszła znów na Łatyszów, a raczej na starą Łatyszowa, której podkościelne rozumowania rozśmieszyły nas w końcu. Począłem stosować je do siebie. Ponieważ ciotka pozostała z panią Celiną, którą służący toczył w wózku, o kilkanaście kroków za nami, mogłem z całą swobodą wspomnieć o naszej ostatniej przechadzce po parku.

– Niedawno – rzekłem – ja prosiłem cię o jałmużnę, a ty mi ją dałaś. Widzę teraz, że mnie to nie obowiązuje do niczego i że mogę iść pod kościół.

– Aha! – odpowiedziała Anielka – i prosić inne dusze miłosierne o to samo. Ciocia wybierze się dziś, by jedną taką duszyczkę zaprosić na jutro do Płozowa; rozumiem!

W odpowiedzi rzekłem, że Hilstówna jest za duża, żeby ją jedno serce zdołało pomieścić, i że trzeba by się co najmniej we trzech w niej kochać, ale Anielka nie przestała się ze mną przekomarzać i wygrażając mi palcem, powtarzała:

– Coś ja tam podejrzewam, coś podejrzewam!

– Na teraz niesłusznie – odpowiedziałem – bo serce moje jest składem tylko braterskich uczuć, i panuje w nim wyłącznie to złośliwe stworzenie, które mi w tej chwili dokucza.

Anielka przestała mi wygrażać i śmiać się, a jednak zwolniła kroku i po chwili połączyliśmy się ze starszymi paniami. Zresztą cały dzień zszedł nam bez chmurki i tak wesoło, iż często wydawało mi się, że jestem studentem. Oczyma mówiłem jej wprawdzie, że ją kocham – ale pożądanie spało we mnie. Była mi na to tego dnia zbyt droga. Ciotka zaraz po śniadaniu pojechała do Warszawy; ja resztę dnia przesiedziałem w pokoju pani Celiny, czytając jej listy Montalemberta, z którym ojciec mój był swego czasu w korespondencji. Listy owe nudziłyby mnie dosyć, gdyby nie obecność Anielki. Podnosząc oczy od książki, spotykałem jej wzrok, który napępiał mnie radością, bo albowiem zupełnie stracił dar sądu, albo patrzyła na mnie, jak patrzy kobieta niewinna i czysta, ale nieświadomie całą duszą kochająca. Co to był za dobry dzień! Ciotka przyjechała wieczorem z zapowiedzią gości. Będą jutro Śniatyńscy i Klara Hilst.

Jest już dość późno, ale nie chcę spać, bo mi szkoda rozstawać się z wrażeniami dzisiejszego dnia. Sen nie może być od nich piękniejszy. Przy tym park trzęsie się literalnie od śpiewu słowików, a we mnie tyle jeszcze siedzi starego romantyka; Noc przyszła równie pogodna, jak był dzień. Niebo nabite gwiazdami. Myśląc o Anielce, mówię jej w duszy dobranoc! Powtórzyłem ten wyraz ze sto razy. Widzę, że obok *l'improductivité slave* jest we mnie w dodatku jakiś wyłącznie polski sentymentalizm. Nie znałem się dotąd z tej strony. Ale co mi to szkodzi... Kocham ją bardzo!

Klara i Śniatyńscy nie przyjechali. On dał znać, że wybiorą się jutro, jeżeli pogoda będzie odpowiednia. Dziś srożyła się nad Płoszowem taka burza, jakiej nie pamiętają tu dawno. Około dziesiątej rano zerwał się gorący wichur, który przesłonił świat kłębam kurzu. Nie wiał on ciągle, ale uderzenia przychodziły do południa jedne po drugich tak gwałtowne, że przyginały drzewa do ziemi. Nasz piękny park napelnił się trzaskiem łamanych gałęzi, a wśród tumanów kurzu unosiły się chmury zerwanych liści. Wielka lipa stojąca przed prawym pawilonem, w którym zmarł ksiądz Łatysz, rozszczepiła się na dwie połowy. Było nieznośnie duszno; płucom naszym brakło powietrza; zdawało się, że ten wichur wychodzi z jakichś rozpalonych czeluści i niesie z sobą czad węgla. Mnie, przywykłemu do *sirocco* we Włoszech, niewiele to szkodziło, ale pani Celina cierpiała ogromnie, Anielka z nią razem, ciotka zaś zrobiła awanturę staremu Chwastowskiemu o szkody w parku. Czupurny szlachcic, którego zapewne nieraz w szkołach wytargano za uszy z powodu Homera, nie zapomniał widocznie ani *Odysei*, ani języka w ustach, bo zapowiedział ciotce, że gdyby był Eolem, to by nie służył u niej za rządcę i nie narażał się na niesłuszne napaści. Ciotka ustąpiła tym razem, zdaje się, głównie z powodu nowych gróźb ze strony nieba. Oto od południa uciszyło się nagle, natomiast poczęły się toczyć olbrzymie wały chmur, na przemian czarnych jak kir lub bramowanych złotem, o tułowiach koloru miedzi. Chwilami robiło się ciemno jak w nocy, tak że pani Celina prosiła o zapalenie lamp, to znów padał na świat złowrogi rudy blask. W całej naturze był jakby przestach. Pan Chwastowski poleciał na folwark, by kazać sprowadzić bydło z pola, ale pastusi przygnali je sami przed otrzymaniem rozkazów, wkrótce bowiem usłyszeliśmy żalony ryk krów, który wśród tej ciszy przed burzą dochodził aż do zabudowań folwarcznych. Ciotka, chwyciwszy loretański dzwonek, poczęła obiegać cały pałac i dzwonić zawzięcie. Nawet nie próbowałem tłumaczyć jej, że dzwonienie wśród atmosfery tak nieruchomej może raczej sprowadzić niż oddalić pioruny – i pomimo doskonałej świadomości, że w danym razie nie potrafię jej nic dopomóc, towarzyszyłem jej w tej wycieczce, bo mi wstyd było, żeby narażała się sama. Ciotka była po prostu pyszna, gdy z głową podniesioną spoglądała wyzywająco w te czarne i miedziane zwały chmur – i przegrzała im swoim dzwonkiem. Nie żałowałem, że z nią poszedłem, bom miał przed sobą jakby symboliczny obraz: w chwili, gdy wszystko drży przed grozą, przylega w przerażeniu i drętwieje, wiara jedna nie boi się, wyzywa – i dzwoni! Jest to, bądź co bądź, pierwiastek nieobliczonej potęgi w duszy ludzkiej.

Wróciliśmy, gdy pierwsze grzmoty jęły roztaczać się naokół po niebie. W kilka minut huk stał się nieustający. Miałem takie wrażenie, że gdy się grzmot toczy po podścielisku z chmur, pułap ich zarywa się co chwila pod nim i wszystko razem zwala się z nieopisanym łoskotem na ziemię. Piorun palnął w staw leżący w końcu parku, a zaraz po nim drugi jeszcze bliżej, tak że aż ściany naszego płoszowskiego domu zadygotały w podstawach. Panie moje poczęły odmawiać litanie, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z nimi, będzie to z mojej strony hipokryzja; jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przede wszystkim strachu kobiet. Niebawem spostrzegłem jednak, że myłę się, posądzając je o strach; twarze ich były spokojne a nawet pogodne. Widocznie ta obyczajowa litania wydała im się tak warownym puklerzem przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, że na obawę nie było już miejsca w ich sercach. Przyszła mi wówczas do głowy także i inna myśl, a mianowicie, jakim ja jestem obcym duchem wśród tych trzech polskich kobiet, z których każda wie dziesięć razy mniej, a jest, wedle zwykłej ludzkiej miary, warta dziesięć razy więcej ode mnie. One są jak książki o stosunkowo niewielkiej liczbie stronic, ale pełne jasnych i prostych prawideł – gdy tymczasem we wszystkich tych tomach, z których się ja składam, nie ma ani jednej niewątpliwej prawdy – i ja pierwszy gotówem zwątpić o każdej.

Ale była to krótka chwila, bo rozpedziła ją burza, która istotnie przybierała coraz straszniejsze rozmiary. Wicher zerwał się znów z taką siłą, że park kładł się pod jego uderzeniami. Były chwile, że nagle ustawał, a wówczas strumienie dżdżu lały się na ziemię. Widziałem nie krople, ale nieprzerwane sznury wody, łączące niebo z ziemią. Aleje parku zamieniły się w rwące potoki. Czasem niespodziany, straszliwy podmuch rozbijał w pył wszystką wodę, zawieszoną między niebem a ziemią – i świat przesłaniał się tak zbitym tumanem mgły, że o krok nie można było nic dojrzeć. Ogłuszająca kanonada grzmotów trwała bez przerwy. Powietrze było przeładowane elektrycznością. Pulsa moje biły ciężko; nawet w pokojach dawał się czuć ów drażniący zapach burzy, który powstaje z uderzeń piorunów. Na koniec, za przykładem zewnętrznych żywiołów, rozpętały się moje myśli i pragnienia. Zapomniałem o burzy, widziałem tylko przed sobą Anielkę; straciłem zupełnie panowanie nad sobą i zbliżywszy się do niej rzekłem:

– Chcesz patrzeć na burzę?

– Dobrze – odpowiedziała.

– Pójdź obok, do tamtego pokoju... Tam jest okno weneckie...

Poszła i stanęliśmy w oknie. W tej chwili mrok uczynił się prawie zupełny, ale co kilka sekund rozdzierały go błyskawice, białe i czerwone, odsłaniając głębiny nieba, a zarazem rozświecając nasze twarze i cały świat, zasnuty falą. Anielka była spokojna, tylko za każdym błyskiem wydawała mi się bardziej pożądaną.

– Nie boisz się? – spytałem, szepcząc.

– Nie...

– Daj mi rękę...

Ona spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Chwila jeszcze, a byłbym ją porwał i usta przycisnął do jej ust – po czym niechby się Płoszów zapadł w ziemię. Ale ona zlekła się – nie burzy – tylko mego wyrazu twarzy i tego szeptu, bo cofnąwszy się szybko od okna, wróciła do pokoju, w którym siedziały starsze panie.

Zostałem sam – z poczuciem gniewu i upokorzenia. Byłbym niewątpliwie nadużył ufności Anielki, a jednak zdawało mi się, że tym brakiem zaufania wyrządziła mi obelgę. Postanowiłem dać jej to uczuć. Wśród podobnych wrażeń nieprędko odzyskałem równowagę; z godzinę jeszcze stałem przy oknie, patrząc bezmyślnie w oślepiające błyskawice. Tymczasem na świecie stawało się coraz jaśniej, na koniec chmury przerwały się, i w przerwie zajaśniało słońce, świetne, jakby wykąpane i jakby zdziwione spustoszeniami, które narobiła burza.

Były one bardzo znaczne; alejami parku płynęła jeszcze żółta i zapieniona woda, nad którą sterczały odłamane gałęzie. Gdzieś widać było zwalone drzewa lub widne z daleka na pniach odarcia na kształt wielkich ran. Jak okiem sięgnąć, wszędzie zniszczenie i ruina, niby po bitwie.

Gdy woda nieco spłynęła, wyszedłem ku stawom, chcąc bliżej obejrzeć szkody. Nagle cały park zaroił się ludźmi, którzy z jakąś dziwną energią i radością poczęli porywać odłamane gałęzie i rąbać zwalone pnie. Pokazało się, że to komornicy wiejscy, nie mający własnego lasu, zbiegli się z siekierami do parku przez połamane siłą burzy sztachety, by zaopatrzyć się w drzewo. W gruncie rzeczy było mi to wszystko jedno, ale ponieważ uczynili to bez pozwolenia i w jakiś dziki sposób, ponieważ zresztą byłem w złym usposobieniu, więc począłem ich wypędzać z wielkim gniewem, który wzrastał w miarę ich oporu. Zagroziłem już im wójtem, gdy nagle ozwał się za mną najśłodszy w świecie dla moich uszu głos, pytając po francusku:

– Czy to naprawdę co szkodzi, Leonie, że oni uprzątą park?

Obróciłem się i ujrzałem Anielkę w chusteczce na głowie, podwiązanej pod brodę. Obiema rękoma podtrzymywała sukienkę, odsłaniając do kostek swoje małe stopy, przybrane w wysokie buciki – i pochylona nieco, patrzyła na mnie jakby z prośbą.

Na jej widok gniew mój zniknął w jednej chwili – zapomniałem o tych przykrych wrażeniach, przez które przeszedłem niedawno – i tylko patrzyłem na nią nie mogąc oczu nasycić.

– Każesz? – spytałem.

I zwróciwszy się do ludzi rzekłem:

– Podziękować pani i brać drzewo.

Tym razem spełnili mój rozkaz chętnie. Niektórzy, nie znając widocznie stosunków dworskich, nazywali ją, dziękując, „jasną panienką”, co mi sprawiało niewysłowioną rozkosz. Gdyby Płoszów był mój, byłbym pozwolił na jedno jej słowo wyrąbać cały park. W pół godziny wszystko, co połamała burza, było uprzątnięte, i park rzeczywiście przybrał weselszy pozór. Chodząc z Anielką po alejach znaleźliśmy pełno jaskółek i innych ptaków albo zupełnie pobitych przez burzę, albo na wpół żywych i na wskroś przemoczonych. Zbierając je i oddając Anielce, dotykałem jej rąk, spoglądałem jej w oczy, i znów było mi dobrze. Sielanka poprzedniego dnia wróciła dla nas obojga, a z nią swoboda i wesołość. Ja miałem serce do dna rozradowane, bom widział to, czego nie widziała Anielka, to jest, że było między nami, w tych niby braterskich stosunkach, dwa razy tyle tkliwości, ile mogło i powinno być między choćby i najczulszym rodzeństwem. Byłem zupełnie pewny, że ona kocha mnie nieświadomie, ale kocha zupełnie tak jak ja ją. W ten sposób większa połowa moich nadziei i moich zamiarów była już spełniona – pozostawało mi tylko doprowadzić ją do świadomości i do przyznania tego uczucia.

Gdy o tym teraz myślę, przypominam sobie z bijącym ze szczęścia sercem to, com kiedyś już w tym pamiętniku napisał, że żadna w świecie kobieta nie oprze się mężczyźnie, po którego stronie stoi jej serce.

*15 maja.*

Goście nasi przyjechali dopiero dziś, nie wczoraj, i słusznie zrobili, bo dziś dopiero obeszło należycie i pogoda była prześliczna. Ten piętnasty maja będzie jednym z najpamiętniejszych dni w moim życiu. Teraz jest już po północy, a nie śpię i nie położę się spać; sen odbiegł ode mnie gdzieś za dziesiątą granicę; zmysły moje są tak rozbudzone, że nie czuję najmniejszego znużenia i zamierzam pisać do rana. Wysilam się tylko na to, by nie rozpocząć od końca i zanotować wszystko po porządku. Pomaga mi w tym bardzo przyzwyczajenie.

Ciotka wysłała powóz po Śniatyńskich i po Klarę bardzo rano, tak że już przed południem byli w Płoszowie. Te panie przyjechały świeże, wesołe i rozszczebiotane jak wróble, tak je cieszyła pogoda i ta wycieczka. Co za toalety! Co za fantazyjne kapelusze! Klara doskonale była ubrana w jakąś paskowatą, jasną suknię, gdyż wyglądała w niej nie tak ogromna jak zwykle. Spostrzegłem, że Anielka, od pierwszej chwili przywitania, przypatrywała się jej badawczo i że była jakby zdziwiona jej pięknnością, o której prawie nie wspominałem w naszych rozmowach o Klarze. Nie uczyniłem tego z żadnego wyrachowania, ale po prostu umysł mój tak jest przesłonięty przez Anielkę, że wiele rzeczy nie przychodzi mi na myśl, wielu nie widzę. Oto na przykład, pomimo dwukrotnej bytności u Śniatyńskich, teraz dopiero, w Płoszowie, zauważyłem, że pani Śniatyńska ma krótko obcięte włosy, z czym jej zresztą bardzo do twarzy. Ta jasna, opadająca na czoło czupryna daje jej minę równie rezolutnego jak różowego chłopca. Żyjemy ze sobą teraz w wielkiej przyjaźni. W swoim czasie byłaby mnie w łyzce wody utopiła za Anielkę. Widocznie jednak musiał jej mąż później powiedzieć, ilem przecierpiał, że zaś kobiety mają w ogóle największą słabość do ludzi, którzy cierpieli z miłości, więc przebaczyła mi wszystkie winy i darzy mnie swą łaską. Obecność tak miłej a żywej i swobodnej kobiety bardzo przydała się do złamania pierwszych lodów między Anielką a Klarą – zauważyłem bowiem, że ciotka, która poczuwała się do wdzięczności względem Klary, przyjęła ją nadzwyczaj serdecznie, Anielka natomiast, mimo całej uprzejmości i wrodzonej słodczy, była jakby onieśmielona i trochę sztywna. Dopiero przy śniadaniu, wśród ogólnej wesołej rozmowy, nastąpiło między tymi paniami pewne zbliżenie. Klarę uderzyła niezmiernie piękność Anielki, że zaś jest pełna prostoty i przywykła do wypowiedzania swych myśli z

całą swobodą artystyczną, wypowiadała Anielce w oczy swe zachwyty, ale z takim wdziękiem i z takim szczerym zapalem, że Anielkę musiało to ująć. Obecna przy śniadaniu pani Celina rosła jak na drożdżach i jakkolwiek zapewne po raz pierwszy w życiu znalazła się w towarzystwie kobiety ze świata artystycznego, poczęła spoglądać na Klarę coraz milej. Na koniec, zwróciwszy się do niej, oświadczyła, że chociaż jest matką Anielki, musi jednak przyznać, że Anielka była zawsze bardzo niebrzydkim dzieckiem i że można- się było po niej jeszcze więcej spodziewać. Oboje Śniatyńscy wmieszali się także do rozmowy. On wszczął zaraz spór z Klarą o rozmaite typy kobiece, przy czym rozprawiał o typie Anielki i jego estetycznej doskonałości w sposób tak zabawnie obiektywny, jakby Anielka była portretem wiszącym na ścianie, nie zaś żywą i obecną osobą. Ona słuchając tego, czerwieniła się i spuszczała swoje cieniste rzęsy, zupełnie jak mała dziewczynka, przez co stawała się istotnie jeszcze śliczniejsza niż zwykle.

Ja milczałem, alem porównywał w duchu te trzy twarze kobiece, starając się patrzeć na nie także obiektywnie, to jest usuwając na bok wzgląd, że Anielka jest kobietą przeze mnie kochaną, a więc tym samym najbardziej wyróżnioną i pociągającą. Lecz porównanie nawet w tych warunkach wypadło na jej korzyść. Pani Śniatyńska, teraz zwłaszcza, gdy nosi włosy obcięte, jest to bardzo wdzięczna głowa, ale każdy *keepsake* angielski zawiera mniej więcej podobne; na piękność Klary składają się jej pogodne rysy, głównie zaś błękitne oczy i przezroczysta cera, jaką powszechnie miewają Niemki; gdyby jednak nie jej powołanie, które sprawia, że patrząc na nią myśli się zarazem o muzyce, twarz uchodziłaby co najwyżej za hożą. Anielka nie tylko ma regularne rysy, nie tylko jest pomysłem artystycznym w stylu niezmiernie szlachetnym, ale ma w sobie coś tak indywidualnego, że nie może być podciągnięta pod żaden ogólny wzór. Może ten indywidualizm polega na tym, że ona, nie będąc ani brunetką, ani blondynką, robi fizyczne wrażenie brunetki a duchowe blondynki; może sprawia to wyjątkowa bujność jej włosów przy stosunkowo drobnej twarzy, dość, że jest ona unikatem w swoim rodzaju. Przewyższa nawet pod tym względem Davisową, która była piękna bez zarzutu, ale pięknocią posągów. Davisowa budziła we mnie tylko podziw i zmysły, Anielka budzi we mnie prócz tego idealistę, który się zachwyca poezją jej wyrazu, i to poezją nową, dotąd nie znaną.

Ale nie chcę nawet porównywać dwóch tak różnych istot. Oddałem się podczas śniadania tym rozmyśleniom dlatego, że się o podobnych rzeczach zgadało i że analiza piękności Anielki sprawia mi zawsze wielką przyjemność. Ciotka przerwała tę rozprawę, sądząc, że jako gościnnej gospodyni wypada jej pomówić z Klarą o ostatnim koncercie. Mówiła wiele i dobrze; nie przypuszczałem nawet, że posiada tyle znajomości muzyki; wypowiadała przy tym swe komplementy z taką uprzejmością wielkiej damy, w sposób tak potoczny i miły, jak umieją je wypowiadać tylko ludzie starszego pokolenia, którzy przejęli jeszcze nieco ducha osiemnastego wieku. Jednym słowem, ze zdziwieniem spostrzegłem, że moja weredyczna ciotka potrafi, gdy chce, przypomnieć sobie czasy peruk i muszek. Klara, którą to ujmowało, nie pozostała jej dłużną w uprzejmościach.

– W Warszawie – rzekła – będę zawsze dobrze grała, bo publiczność mnie rozumie, ale najlepiej grywam w małych kółkach znajomych, gdzie mi są wszyscy sympatyczni – i jeśli państwo pozwolicie, to was przekonam o tym zaraz po śniadaniu.

Ciotka, której bardzo chodziło o to, by pani Celina i Anielka słyszały Klarę, ale która nie była pewna, czy wypada sadzać ją u siebie do fortepianu, wpadła w doskonały humor. Ja począłem opowiadać o wystąpieniach Klary w Paryżu i jej tryumfach w sali Erarda, Śniatyński zdawał sprawę z tego, co mówią w Warszawie, i w ten sposób zeszedł nam czas aż do końca śniadania. Gdyśmy wstali, Klara sama chwyciła za poręcz fotelu, w którym siedziała pani Celina, aby przetoczyć ją do salonu, i nie pozwoliła się nikomu wyręczyć, śmiejąc się i mówiąc, że pewno jest najmocniejsza w całym towarzystwie i nie boi się zmęczyć rąk. W chwilę potem siedziała przy fortepianie, i tym razem widocznie Mozart odpowiadał najbardziej jej

usposobieniu, bo usłyszeliśmy *Don Juana*. Zaledwie ozwały się pierwsze dźwięki, już była to inna Klara: nie owo hoże i wesołe dziecko, z którym rozmawialiśmy podczas śniadania, ale jakby uosobiona święta Cecylia. Wytwarzało się powinowactwo między jej zewnętrzną postacią a muzyką; spływała na nią jakaś duchowa powaga i harmonia, które czyniły ją wyższą od zwykłych kobiet. Zrobiłem przy tym jedno spostrzeżenie, mianowicie, że zakochane serce mężczyzny umie podsycać swoje uczucie nawet tym, co wypada na niekorzyść kobiety kochanej. Gdym pomyślał, jak daleko mojej Anielce do tego, by mogła być podobną Sybillą, gdym ją ujrzał siedzącą w kącie salonu, cichą, malutką, niejako przytłumioną, uczułem, że ją kocham tym więcej i że mi jest tym droższa. Przyszło mi także do głowy, że kobieta nie jest w rzeczywistości taką, jaką się ogółowi ludzi przedstawia, ale taką, jaką ją widzi zakochany w niej mężczyzna, że zatem bezwzględna jej doskonałość jest w stosunku prostym do siły miłości, jaką potrafiła wzbudzić. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym pomysłem, ale przypadł mi on bardzo do smaku, bom jak przez mgłę ujrzał i ten wniosek, że w imię owej doskonałości kobieta winna zgodzić się na przynależność do serca, które najbardziej ją kocha.

Klara grała cudownie. Szukałem wrażeń na twarzach innych, niebawem jednak spostrzegłem, że Anielka szuka ich na mojej. Byłali to prosta ciekawość czy też mimowiedny niepokój serca, które nie umiałoby powiedzieć, czego się obawia, a jednak się obawia? Powiedziałem sobie, że gdyby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwe, stanowiłoby nowy dowód, że ona mnie kocha. Myśl ta przejęła mnie radością, i postanowiłem znaleźć w pozostającym ciągu dnia odpowiedź na owo pytanie.

Od tej chwili nie odstępowałem Klary. Mówiłem z nią więcej i byłem dla niej serdeczniejszy niż kiedykolwiek w życiu. W lesie, do którego pojechaliśmy wszyscy razem, chodziłem z nią ciągle, spoglądając tylko od czasu do czasu na Anielkę, idącą opodal ze Śniatyńskimi. Klara zachwycała się lasem, który istotnie był bardzo piękny z powodu obfitości drzew liściastych, tworzących pod ciemnym sklepieniem sosen drugie, nierównie weselsze sklepienie.

Słońce wnikało obficie do wnętrza lasu przez szczeliny między liśćmi, kładąc na paprocie, rosnące na podłożu, jakby haft złoty i drgający. Naokół rozlegały się, jak zwyczajnie wiosną, głosy kukulek; tu i owdzie dzieciół kuł w drzewo.

Gdyśmy połączyli się ze Śniatyńskimi i z Anielką, prosiłem Klarę, by za powrotem do domu przetłumaczyła nam na język muzyki ten las, słońce, szum drzew i całą tę wiosnę. Powiedziała mi, że już jej się w duszy śpiewa jakiś *Frühlingslied* i że popróbuje go wygrać. Rzeczywiście widać było po jej wyrazie, że w niej coś śpiewa – bo zresztą ona jest jak wielka harfa, która wypowiada się tylko dźwiękami.

Twarz miała rozjaśnioną i pałające rumieńce; natomiast Anielka wyglądała jakby zgaszona, choć czyniła widocznie wszystko, żeby się przewyciężyć i dotrzymać towarzystwa Śniatyńskiemu, którzy rozswawolili się zupełnie jak żaki szkolne. W końcu poczęli się oboje gonić po lesie; Klara wzięła w tym także udział, czego nie powinna była robić, ruchy jej bowiem, przy ogromnej jej postaci, nie mogły być zgrabne; zwłaszcza kołysanie się jej szerokich bioder wydało mi się wprost komiczne.

W chwili gdy tamci upędzali się za sobą, zostałem z Anielką sam na sam. Wedle mojej taktyki trzeba mi było doprowadzić jej niepokój do świadomości, więc rzekłem:

– Tobie coś dzisiaj jest, Anielko, nieprawdaż?

– Mnie? Nic a nic!

– Bo chwilami mam takie wrażenie, jakbyś była z czegoś niezadowolona. Czy może nie podoba ci się Klara?

– Ona mi się bardzo podoba i wcale się nie dziwię, że się nią tak ludzie zachwycają.

Dalszą rozmowę przerwało nam zbliżenie się Klary i Śniatyńskich. Czas był wracać do domu. Po drodze spytał Śniatyński Klarę, czy rzeczywiście jest zadowolona, jak mówi, ze swej wycieczki do Warszawy.

– Najlepszy dowód, że nie myślę o odjeździe – odpowiedziała wesoło.

– Postaramy się – wtrąciłem – by pani na zawsze z nami została.

Klara, mimo całej prostoty, z jaką zwykle przyjmuje to, co się do niej mówi, spojrzała tym razem na mnie pytającym wzrokiem, po czym zmieszala się nieco i odrzekła:

–Wszyscy tu dla mnie tak dobrzy!...

Ja wiedziałem, że moje słowa są poniekąd szelmostwem, mogą bowiem wprowadzić w błąd Klarę, ale chodziło mi przede wszystkim o wrażenie, jakie one wywrą na Anielce. Na nieszczęście, nie mogłem nic widzieć; Anielka w tej właśnie chwili poczęła zapinać rękawiczkę i spuściła głowę tak nisko, że kapelusz zasłonił mi zupełnie jej twarz. Nagły ten ruch wydał mi się jednak dobrą wróżbą.

Wróciliśmy do domu. Starsze panie czekały nas z obiadem, który przeciągnął się do dziewiątej wieczór. Potem Klara improwizowała przy fortepianie swój *Frühlingslied*. Zapewne Płoszów, od czasu jak istnieje, nie słyszał takiej muzyki, ale tym razem mało na nią zważałem, gdyż myśli moje zbyt były napełnione Anielką. Zająłem blisko niej miejsce i siedzieliśmy w półmroku, albowiem Klara nie pozwoliła wnieść lamp do salonu. Śniatyński wymachiwał ręką jak batutą, żona jego, której widocznie to zawadzało, pociągała go od czasu do czasu za rękaw, Anielka zaś siedziała nieruchomie. Być może, że pogrążona we własnych myślach, nie słyszała również jak i ja tej *Pieśni wiosennej*. Byłem prawie pewien, że w tej chwili myśli o mnie i o Klarze, a zwłaszcza że zastanawia się nad znaczeniem słów, jakie powiedziałem do Klary. Łatwo mi było zgadnąć, że choćby mnie nie kochała, choćby nie miała cienia świadomości, że moje uczucie dla niej jest czymś więcej niż przywiązaniem braterskim, to i tak, podejrzewając teraz, że inna może jej je zabrać, doznaje uczucia żalu, osamotnienia i goryczy. Kobieta, która nie jest w małżeństwie szczęśliwa, obwija się koło każdego uczucia, chociażby koło uczucia przyjaźni, jak bluszcz koło drzewa, i boi się utracić tej podpory. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że gdybym w tej chwili klęknął przed nią i wyznał, że ją jedną kocham, to mimo całego przerażenia, jakim by ją napełniło wyznanie, ogarnęłaby ją zarazem i taka radość, jakiej doznaje się z odzyskania rzeczy drogiej. A jeśli tak – pomyślałem w duchu – to czy nie należy przyspieszyć wyznania, byle tylko wynaleźć sposób, który by ją jak najmniej przeraził, a jak najwięcej uradował?

I zaraz zacząłem rozmyślać o tym sposobie, od którego mogło wszystko zależeć. Rozumiałem, że to trzeba uczynić tak, by zarazem rozbroić Anielkę i odjąć jej możliwość odepchnięcia mnie raz na zawsze. Umysł mój pracował ciężko w tej chwili, gdyż zadanie nie było łatwe. Stopniowo ogarniało mnie coraz większe wzruszenie, i dziwna rzecz: byłem wzruszony więcej za Anielkę niż za siebie, zdawałem sobie bowiem sprawę, że to będzie ogromny przełom w jej życiu – i bałem się o nią.

Tymczasem w salonie zrobiło się widniej; księżyc wy dostał się nad drzewa parku i rzucił na podłogę cztery jasne odbicia okien. Nuty *Pieśni wiosennej* napełniały ciągle salon. Słowik odpowiadał Klarze z gęstwiny przez otwarte drzwi szklane. Był to niezwykły wieczór, na który złożyły się: ciepła majowa noc, muzyka i miłość. Pomyślałem mimo woli, że jeśli życie nie daje szczęścia, to często daje przynajmniej gotowe na nie ramy.

W tym świetlistym mroku począłem szukać oczyma wzroku Anielki, ale ona patrzyła wciąż na Klarę, która w tej chwili robiła istotnie wrażenie zjawiska. Światło księżyca, wnioskując coraz dalej w głąb salonu, oświeciło wreszcie ją i fortepian, że zaś przybrana była w jasną suknię, więc wyglądała teraz jak jakiś srebrny duch muzyki.

Wizja jednak nie trwała już długo. Klara skończyła swoją *Pieśń wiosenną*, po czym zaraz pani Śniatyńska, której pilno było do domu, dała hasło do odwrotu. Ponieważ wieczór był dziwnie ciepły, zaproponowałem, byśmy poszli piechotą aż do szosy, odległej o pół wiorsty od naszego domu. Uczyniłem to dlatego, by odwrotną drogę odbyć z Anielką sam na sam. Jej nie wypadało wymawiać się od odprowadzenia tych pań, wiedziałem zaś, że ciotka nie pójdzie z nami, więc wyrachowanie nie mogło mnie zawieść.



Wydałem polecenie, by powóz czekał na szosie, my zaś wkrótce potem ruszyliśmy aleją lipową, prowadzącą od pałacu do publicznego gościńca. Podałem rękę Klarze, ale szliśmy wszyscy jedną gromadką, odprowadzani przez rzechotanie żab w płoszowskich stawach.

Klara przystała nieco i poczęła wsłuchiwać się w owe chóry, które chwilami uciszały się, chwilami odzywały jeszcze rozgłośniej, wreszcie rzekła:

– Finał mojej *Pieśni wiosennej*.

– Co za pyszna noc! – ozwał się Śniatyński.

I zaraz począł deklamować śliczny ustęp z *Kupca weneckiego*:

                                            ..Jak cicho  
Śpi na pagórku tam światło miesiąca!  
Spoczniemy trochę, i niech dźwięk muzyki  
Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza  
Godzą się z słodkim urokiem harmonii...

Dalej nie mógł sobie przypomnieć, lecz ja pamiętałem, więc kończyłem za niego:

Usiądź, o miła! patrz, jak przestwór nieba  
Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany,  
A każdy krążek z tych, które tam widzisz,  
Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją  
Do jasnookich chóru cherubinów.  
Tak są harmonii pełne czyste duchy;  
Tylko my, których duch jest spowinięty  
W skorupę prochu, słyszeć jej nie mogę.

I następnie powtórzyłem Klarze, która nie rozumiała po polsku, cały ustęp we francuskim, zaimprovizowanym naprędce przekładzie. Ona, słuchając, mimo woli podniosła oczy ku górze, wreszcie rzekła, ukazując na gwiazdy:

– Byłam zawsze pewna, że to wszystko gra.

Okazało się, że i pani Śniatyńska była również tego pewna; twierdziła nawet, że nieraz o tym rozmawiała z mężem, który jednakże nie mógł sobie absolutnie tego przypomnieć. Powstała stąd sprzeczka małżeńska, z której uśmieliśmy się oboje z Klarą. Anielka przez cały czas nie mieszała się prawie wcale do rozmowy. Przechodziło mi przez myśl, że może to drogie stworzenie dąsa się na mnie za to, że prowadzę pod rękę Klarę i że się nią głównie zajmuję. Samo podobne przypuszczenie napępniało mnie szczęściem. Staralem się wszelako nie stracić zupełnie głowy i mówiłem do siebie w duchu: Nie pochlebiaj sobie, aby ona wiedziała, iż doznaje uczucia zazdrości: czuje tylko smutek, może trochę urazy – i oto wszystko. Oddałbym był w tej chwili cały zastęp takich artystek jak Klara, byle móc Anielce powiedzieć, że wszystko, co jest we mnie, należy do niej. Tymczasem Śniatyński począł coś mówić o astronomii, czego słuchałem piąte przez dziesiąte, chociaż nie umiem nawet wypowiedzieć, jak dalece zajmuje mnie ta nauka, która z natury rzeczy nie może ani sobie, ani duchowi ludzkiemu stawić granic ciaśniejszych od nieskończoności.

Doszliśmy wreszcie do bitej drogi, gdzie Śniatyńscy z Klarą siedli do powozu. Po chwili koła zaturkotały; do uszu naszych doszły ostatnie: do widzenia! – i zostaliśmy z Anielką sam na sam.

Zwróciliśmy się zaraz ku domowi i długi czas szliśmy w milczeniu. Rzechotanie żab już ucichło, tylko z dala od zabudowań folwarcznych dolatywały gwizdania stróżów nocnych i szczekanie psów. Nie mówiłem umyślnie do Anielki, bo owe chwile milczenia są jakby do-

wodem, że się między nami coś dzieje, i podsuwają myśl o tym Anielce. Wreszcie jednak w połowie drogi odezwałem się:

– Jak doskonale zeszedł dzień dzisiejszy, nieprawda?

– Dawno już takiej muzyki nie słyszałam – odpowiedziała Anielka.

– A jednak byłaś jakby z czegoś nierada: tego mi nie wytłumaczysz. Ja tak uważam na to, co się z tobą dzieje, że widzę najmniejszy cień na twojej twarzy,

– Dziś musiałeś się zajmować gośćmi... Jesteś bardzo dobry, ale zaręczam ci, że mi nic nie jest.

– Dziś zajmowałem się, jak zawsze, tylko tobą, a na dowód tego, jeśli mi pozwolisz, to powiem ci, o czym myślałaś w ciągu dnia.

I nie czekając jej pozwolenia mówiłem dalej:

– Myślałaś, że jestem podobny trochę do Łatyszów; myślałaś, że cię zwiódł mówiąc ci o pustce, jaka mnie otacza; myślałaś wreszcie, że niepotrzebnie prosił cię o przyjaźń, bom ją sobie poprzednio znalazł gdzie indziej. Czy nie tak było? powiedz mi szczerze...

Anielka odpowiedziała jakby z pewną trudnością:

– Skoro koniecznie chcesz, więc... być może... Ale to mnie mogło tylko cieszyć..

– Co cię mogło cieszyć?

– Wasza wzajemna przyjaźń z Klarą.

– Może być, że mam dla niej wiele życzliwości, ale zresztą Klara, jak wszystkie inne kobiety, jest mi obojętna. A wiesz dlaczego?

Tu zacząłem trochę drzeć, bom uznał, że chwila nadeszła; czas jakiś czekałem, by Anielka powtórzyła pytanie, następnie ozwałem się głosem, który usiłowałem uczynić bardzo spokojnym:

– Przecież ty musisz widzieć i rozumieć, że cała moja istota należy do ciebie, że ja ciebie jedną kochałem i kocham dziś jeszcze jak szalony!

Anielka stanęła jak wryta. Ja po zimnie w twarzy uczułem, że błędę, bo jeżeli pod tym biedactwem ziemia rozstępowała się w tej chwili, to przecież i o moją duszę chodziło. Ale wiedząc, z jaką kobietą mam do czynienia, musiałem się śpieszyć, by ją obezwładnić, nim przyjdzie do siebie i nim mnie odepchnie.

Więc zacząłem mówić prędko:

– Nie odpowiadaj mi, bo ja niczego nie chcę, niczego nie żądam – niczego, słyszysz? Chciałem ci tylko powiedzieć, żeś mi zabrała życie i że ono jest twoje. Zresztą tyś już sama dostrzegła, że tak jest, więc wszystko jedno, czy o tym mówię, czy nie. Powtarzam ci raz jeszcze, że niczego nie pragnę ani oczekuję. Ty nie możesz mnie odtrącić, bo ja się sam odtrącam... Wyznaję ci to tylko tak, jakbym wyznał przyjaciółce albo siostrze. Przychodzę i skarżę się przed tobą, bo nie mam przed kim innym; przychodzę i powiadam, że mi jest bieda, bo kocham kobietę, która należy do innego, a kocham bez pamięci, moja Anielko, bez granic!

Byliśmy już przy bramie, ale jeszcze w głębokim mroku drzew. Przez chwilę miałem złudzenie, że ona pochyli się ku mnie jak kwiat złamany i że pochwycę ją w ramiona, ale się mylił. Anielka, ochłonawszy z wrażenia, zaczęła nagle powtarzać z jakąś nerwową energią, o którą jej nawet nie podejrzewałem:

– Ja nie chcę tego słuchać, Leonie! nie chcę, nie chcę, nie chcę!

I wbiegła na oświecony księżycem dziedziniec. Po prostu uciekła ode mnie, od moich słów i wyznań. Po chwili znikła w ganku, ja zaś pozostałem sam, z uczuciem niepokoju, strachu, wielkiej litości. nad nią, ale zarazem i tryumfu, że te słowa, od których zaczęło się dla nas obojga nowe życie, zostały już wymówione. Bo naprawdę, na razie nie mogłem się niczego więcej spodziewać, a tymczasem ziarno, z którego coś musi wyrosnąć, było rzucone.

Wróciwszy do domu nie znalazłem już Anielki. Zostałem tylko ciotkę, która chodząc po pokoju mruzczała różaniec, rozmawiając ze sobą głośno w przerwach między pacierzami. Pożegnałem ją zaraz, by jak najprędzej znaleźć się u siebie. Myślałem, że spisywanie wrażeń

dnia uspokoi mnie i przyprowadzi do ładu moje roztargane myśli. Ale zmęczyłem się tylko jeszcze bardziej. Postanawiam jutro (a raczej dziś, bo już biały dzień na dworze) wyjechać do Warszawy. Chcę, by Anielka mogła umocnić się w przekonaniu, że niczego nie żądam, a przede wszystkim, by miała czas uspokoić się i oswoić z tym, co jej powiedziałem. Mówiąc jednak całą prawdę, postanawiam wyjechać i dlatego, że boję się jutrzejszego z nią spotkania – i pragnę je odwlec. Chwilami zdaje mi się, że popełniłem coś niesłychanego, wprowadzając pierwiastek mego własnego zepsucia w ten świat dotąd tak czysty. Lecz właściwie, czy zło zasadnicze nie leży w tym, że ona została poślubiona człowiekowi, którego nie kocha i nie może kochać? Co jest niemoralniejszym: czy moja miłość, która jest objawem wielkiego prawa natury, czy przynależność Anielki do tamtego człowieka, która jest bezecnym tegoż prawa podeptaniem? Najbardziej uprawniony związek staje się sromotnym, jeśli nie wspiera się na miłości. I ja, który to jasno rozumiem, jestem jednak tak słaby, że strach mnie chwyta, gdy mi przyjdzie potraścić nogą tę trupią moralność. Szczęściem, jest to chwilowy strach. Choćbym nawet nie był pewien, czy po mojej stronie jest słuszność, nie mam najmniejszej wątpliwości, że nie ma jej po przeciwnej. Zresztą tego rodzaju skrupuły rozprasza siłą faktyczną rzeczy jedno słowo: kocham!

A jeśli serce taje po prostu we mnie na myśl, że ona może także w tej chwili nie śpi, że może płacze i szarpie się z własnymi myślami – to tylko nowy dowód, że kocham. Wobec tego wszystko, co się dzieje i dzieć będzie, jest koniecznością.

*19 maja.*

Pierwszy dzień po przyjeździe do Warszawy przespałem kamiennym snem. W Płoszowie żał mi każdej minuty dnia, którą mogę spędzić w towarzystwie Anielki, a nocami pisuję. Znużyło mnie to w końcu śmiertelnie. I teraz jestem jeszcze ociężały, ale przynajmniej mogę już myśleć. Trochę mi wstyd, że uciekłem z Płoszowa i zostawiłem Anielkę samą, pod ciężarem mego wyznania. Ale gdy się ma do czynienia z kobietą kochaną, trochę tchórzostwa nie przynosi ujmy. A i tak nie byłbym pewno zmykał, gdyby mi nie nakazywało tego przyszłe dobro mojej miłości. Bo oto od kilku dni Anielka, wstając rano, odmawiając pacierze, chodząc po parku, doglądając chorej matki, musi jednak, choćby nie chciała, powtarzać sobie: On mnie kocha – i z konieczności myśl ta wydaje się jej coraz mniej niesłychaną, coraz mniej straszną. Natura ludzka oswaja się ze wszystkim, kobieta zaś prędko godzi się z myślą, że jest kochaną, zwłaszcza gdy sama kocha. To pytanie: czy ona mnie kocha? – zadałem sobie od pierwszej chwili, w której zeznałem sam przed sobą, że ja ją kocham; obracam je odtąd na wszystkie strony w mojej głowie, staram się rozważać wszystkie okoliczności tak, jak gdyby nie o mnie chodziło – i dochodzę do przekonania, że tak jest. Wychodząc za męża kochała mnie, nie Kromickiego; zgodziła się na oddanie mu ręki tylko z rozpacz. Gdyby jeszcze była wyszła za człowieka niepospolitego, który by ją pociągnął sławą albo ideą, gdyby jeszcze była trafiła na jakiś wyjątkowy charakter – może by była o mnie zapomniała. Ale przecie Kromicki nie mógł jej pociągnąć swoją piękną newrozą. Prócz tego odjechał ją wkrótce po ślubie; prócz tego sprzedał ów Głuchów, który był celem życia tych dwóch kobiet. Sądząc Kromickiego najobiektywniej, jest to człowiek mały i nie ma w nim nic takiego, czym by mógł zjednać sobie tę istotę, pełną idealnych uczuć i porywów. Tymczasem przyjechałem ja, dla którego miłość prawdopodobnie jeszcze w niej nie wygasła, i od samego przyjazdu brałem ją za serce i wspomnieniami, i każdym słowem, i każdym spojrzeniem; ciągnąłem ją ku sobie nie tylko z tą umiejętnością, jaką daje doświadczenie życiowe, ale przede wszystkim z tą siłą magnetyczną, jaką mi dawała obecność i w moim sercu prawdziwej miłości. Dodawszy do tego, że Anielka wiedziała przecie, ilem cierpiał z powodu jej postanowienia w chwili, gdy wysyłał do niej Śniatyńskiego, że jej przecie musiało być żal mnie, że ta litość nie mogła dotąd zga-

snąć – powiadam sobie: gram o życie, ale gram w takich warunkach, że tej gry nie mogę przegrać.

Jestem o tyle w moim prawie, o ile w prawie jest każdy, kto broni swego życia. Powiadam to nie w żadnym uniesieniu, ale rozumując spokojnie. Ja nie mam nic, żadnych przekonań, żadnych wierzeń, żadnych zasad, żadnego gruntu pod nogami, bo te podstawy wyjadła we mnie refleksja i krytyka. Mam tylko wrodzone każdemu siły życiowe, które, nie mając się gdzie podziać, skupiły się w uczuciu dla tej kobiety. Więc chwytam za tę miłość, jak tonący chwytą za deskę. Jeżeli mi i tego zbraknie, przestanę chyba istnieć. Gdy mnie rozum pyta, dlaczego nie ożeniłem się po prostu z Anielką – odpowiadam mu to, com już raz powiedział: nie ożeniłem się po prostu, bom nie prosty, ale krzywy. Takim wyniańczyły mnie moje dwie niańki: refleksja i krytyka. Dlaczego ta a nie inna kobieta stała się dla mnie deską ocalenia – nie wiem. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ta a nie inna. To nie zależało ode mnie.

Gdyby ona dziś stała się wolną – pochwyliłbym ją dla siebie bez wahania – ale gdyby wcale nie była wyszła za męża... kto wie... wstyd mi wypowiedzieć tę myśl, a jednak, być może, żebym jej mniej pożałował.

I byłoby tak nie przez żaden romantyzm, nie dlatego, bym miał uważać, że małżeństwo jest powszednią prozą życia. Śmieję się z takich przestarzałych poglądów. Wspierając się wszelako na faktach spełnionych, przypuszczam, że począłbym kontrolować do nieskończoności siebie i Anielkę – póki mi jej ktoś nie zabrał.

Wolę o tym nie myśleć, bo mi się chce kłąć.

*20 maja.*

Zastanawiałem się dzisiaj nad tym, co będzie, gdy uzyskam wzajemność Anielki, a raczej wyznanie z jej strony? Widzę przed sobą szczęście, ale nie widzę możliwego czynu. Zdaje mi się, że gdybym wymówił w Płoszowie, wobec tych kobiet, słowo: rozwód, to by się dom zapadł pod ziemię. Nie może być o tym nawet mowy, bo wyobrażenia ciotki i pani Celiny są tego rodzaju, że żadna z nich nie potrafiłaby przeżyć podobnego ciosu. Nie łudzę się i co do Anielki. Pojęcia jej są takie same jak starszych pań. A jednak z chwilą gdy wyzna, że mnie kocha – wymówię ten wyraz, i ona musi się oswoić z myślą rozwodu. Nie ma innego wyjścia, na to zaś jedyne trzeba będzie czekać aż do śmierci ciotki i pani Celiny. Poza tym nic nie pozostaje do zrobienia. Kromicki albo się na to zgodzi dobrowolnie, albo nie. W tym ostatnim razie zabiorę Anielkę i wywiozę ją choćby do Indii; rozwód zaś czy też unieważnienie małżeństwa będę przeprowadzał wbrew jego woli. Na szczęście, nie brak mi środków. Co do mnie, jestem gotów na wszystko, i to wewnętrzne głębokie przekonanie usprawiedliwia mnie zupełnie w moich oczach. Tym razem nie jest to pospolity romans, ale uczucie, w którym się ześrodkowuje cała istność. Jego szczerość i siła uprawniają również moje postępowanie z Anielką. Ja .wiem, że zwodzę ją, wmawiając, że mi tylko chodzi o jej siostrzane uczucia; zwodzę, zapewniając, że niczego nie żądam – ale to wszystko byłoby złym kłamstwem tylko w takim razie, gdyby kłamstwem była sama miłość. Wobec jej prawdy, jest to tylko taktyka, tylko dyplomacja uczucia. To należy do procesu miłości. Jest rzeczą pewną, że nawet narzeczeni mają swoje podstępny, za pomocą których wydobywają z siebie wyznania. Co do mnie, jestem szczerzy nawet wówczas, gdy zmyślam.

*21 maja.*

Powiedziałem Anielce, że chcę się czymś zająć – i chcę rzeczywiście, choćby dlatego, żem jej to mówił. Postanawiam przede wszystkim sprowadzić zbiory ojca do Warszawy – i założę tu muzeum Płoszowskich. Będzie to zasługa Anielki – i pierwszy pożyteczny czyn, jaki wy-

płynie z naszej miłości. Przewiduję, że rząd włoski będzie mi stawiał przeszkody, istnieje tam bowiem jakieś prawo, zabraniające wywożenia dawnych zabytków i cennych dzieł sztuki. Ale to rzecz mego adwokata. Ach! przypominam sobie, że i owa Madonna Sassoferrata, którą ojciec przeznaczył dla przyszłej synowej, znajduje się w moim zbiorze. Każę ją wysłać zaraz, bo mi się tu przyda.

22 maja.

Jaka natura ludzka jest złośliwa! Ten Kromicki, przewracający gdzieś tam na dalekich stepach koziołki dla zyskania milionów, podczas gdy tu szepczą słowa miłości do ucha jego żonie – wydaje mi się, bądź co bądź, śmieszny; napęła mnie to zadowoleniem, że ta myśl musi przyjść do głowy i Anielce, a jeśli nie przyjdzie, to ja jestem od tego, aby ją wyłuszczyć ze wszystkich obsłon. Cały Kromicki maluje się wybornie w tym, że sprzedawszy Głuchów zostawił te kobiety bez własnego dachu nad głową... Myślał zapewne, że zamieszkają w Odessie lub Kijowie; tymczasem choroba pani Celiny sprowadziła Anielkę do Płoszowa.

Lecz on przecie wiedział, jak dalece wątle jest zdrowie pani Celiny, powinien był przewidzieć, że ona może ciężko zachorować i wówczas Anielka pozostanie sama z brzemieniem zmartwień i kłopotów. Być może, iż jego sprawy wymagają niezbędnie jego obecności na Dalekim Wschodzie – ale w takim razie czemu się żenił?

Jutro wracam do Płoszowa. Zbyt tu tęsknię – i przy tym chce mi się już spojrzeć w oczy Anielce, bo czasem j mam takie uczucie, jakbym się wymykał przed odpowiedzialnością. Trzeba było wyjechać po wyznaniu – ale teraz trzeba wrócić. Kto wie, może moje szczęście jest większe, niż przypuszczam? Może i ona tęskni za mną...

Byłem dziś u Śniatyńskich, u Klary, której nie zastałem, i u słynnej tu piękności, pani Koryckiej. Ta ostatnia nosi historyczne nazwisko jak dżokejską czapkę, a dowcip jak szpicrutę, którą przecina twarzę. Wyszedłem jednak bez pręgi – owszem, byłem nawet nieco kokietowany. Następnie odbyłem kilkanaście wizyt za pomocą biletów. Pragnę, by ludzie myśleli, że stale mieszkam w Warszawie.

Ponieważ sprowadzenie zbiorów ojcowskich mi nie wystarcza, jest to bowiem kwestia mojej woli i mego worka, nie zaś pracy, zastanawiałem się więc nad tym, co mógłbym robić prócz tego. Ludzie mego położenia poprzestają .u nas ogólnie na administrowaniu swą fortuną, co, mówiąc nawiasem, robią, z nielicznymi wyjątkami, źle, daleko gorzej ode mnie. Zaledwie kilku spomiędzy nas odgrywa jakąś rolę w życiu publicznym. Powiedziałem już wyżej, że tu się ludzie bawią jeszcze w arystokrację i demokrację, są więc między nami tacy, którzy jako cel życia postawili sobie walkę z prądami demokratycznymi i obronę hierarchii społecznej. Co do mnie, uważam to za sport taki dobry jak każdy inny, ponieważ jednak nie jestem sportsmanem, zatem nie mogę należeć do zabawy. Gdyby nawet nie była to zabawa, gdyby krył się w tym jakiś sens praktyczny, jestem nadto sceptykiem względem obu obozów, bym potrafił do którego przystać. Demokracji nerwowo nie znoszę – to jest, nie ludzi gminnego pochodzenia, ale takich, którzy uważają się za patentowanych demokratów.-O arystokracji myślę, iż jeśli istotnie rację jej bytu stanowią historyczne zasługi przodków, to większość tych zasług jest u nas tego rodzaju, że spadkobiercy ich powinni włożyć włosiennice i posypać sobie głowy popiołem. Zresztą, naprawdę, to te obozy same w sobie nie wierzą, z wyjątkiem może kilku indywiduów nader głupich. Inni udają szczerłość w celach osobistych, że zaś ja nigdy nic nie udaję, więc udział w podobnej walce to robota nie dla mnie.

Istnieją także syntetyści w rodzaju Śniatyńskiego, którzy stoją ponad obydwoima obozami, gotowi zaś są oba stopić w swojej syntezie. Są to w ogóle tędzy ludzie, ale choćbym się na ich sposób widzenia rzeczy nawrócił, to jeszcze musiałbym coś obok tego robić, bo samo uczucie nie jest pracą – i trzeba je jakoś uzewnętrznić. Śniatyński pisze przecie dramata... Naprawdę, przypatrując się. rzeczom i położeniu bliżej, to ja jestem jakoś za nawiasem i nie wiem, jak

dostać się w nawias. Jest to, bądź co bądź, dziwne, żeby człowiek, który ma znaczne środki, wykształcenie, pewne zdolności i wolę, nie miał o co rąk zaczepić. Znów mi się chce kłąć, bo widzę jasno, że i tego powodem jest moje przerafinowanie umysłowe. Na mnie powinni robić diagnozę choroby starczej wieku i cywilizacji, bo przybrała ona we mnie typowy charakter. Kto jest sceptykiem względem wiary, sceptykiem względem wiedzy, konserwatyzmu, postępu itd., temu istotnie trudno coś zrobić.

A w dodatku jeszcze aspiracje moje są nierównie większe niż możność ich zaspokojenia. Wszędzie życie wspiera się na pracy, pracują więc ludzie i tu. Temu trudno zaprzeczyć. Jest to jednak praca fornalskich koni zwożących z wysileniem snopki do stodoły. Ja, choćbym chciał, tego nie potrafię. Ja jestem paradier – mógłbym ciągnąć jakąś karetę, ale zwykły wóz po piaszczystej drodze lada szkapa pociągnie równiej i spokojniej ode mnie. Przy budowie domu nie potrafiłbym żadną miarą nosić cegły; przydałbym się może do ornamentyki; na nie-szczęście, tam gdzie chodzi o prostą budowę i zwykły dach nad głową, takich majstrów nie potrzeba.

Gdybym zresztą czuł w sobie popęd wewnętrzny do pracy lub pragnął coś zrobić z mocy dogmatów Śniatyńskiego – być może, iż zdołałbym się zmusić do prostej roboty. Ale w grun-tu rzeczy mnie chodzi o pozory. Chcę pracować dlatego, że to ujmie dla mnie kobietę kocha-ną. Anielka jest pod tym względem bardzo egzaltowana, i ujęłoby to ją z pewnością. Ale wła-śnie dlatego zarówno miłość własna, jak i wyrachowanie nakazują mi zająć stanowisko wy-bitne, które by mnie mogło podnieść w jej oczach. Zobaczę, potrzeba mi jeszcze się rozpa-trzyć. Tymczasem niech pracuje mój worek. Sprowadzę zbiory ojcowskie, będę wspierał rozmaite instytucje i dawał pieniądze, gdzie wypadnie.

Co za dziwny wpływ jest takiej kobiety jak Anielka! Oto styka się z nią prawdziwy ge-niusz bez teki, tak wyjątkowy nieużytek jak ja – i zaledwie się zetknął, bez jakiegokol-wiek apostołowania z jej strony, już poczuwa się do różnych rzeczy i obowiązków, do któ-rych się dawniej nie poczuwał. Niech mnie diabeł porwie, jeśli mi choć przez głowę prze-szło ujmować sobie paryżankę lub wiedeńkę przez sprowadzanie zbiorów moich do Paryża lub Wiednia!

Wracam już do Płoszowa, bo mi pilno do mego dobrego ducha.

*23 maja.*

Oddaliłem się na pewien czas z Płoszowa jeszcze i dlatego, by zostawić Anielce czas do jakiegokolwiek postanowienia. W Warszawie i w czasie powrotnej drogi do Płoszowa stara-łem się odgadnąć, co mianowicie postanowi. Wiedziałem, że nie mogła wprost napisać do męża: Przyjeżdżaj i zabieraj mnie, bo Płoszowski napastuje mnie swoją miłością. Nie uczy-niłaby tego nawet, gdyby mnie nienawidziła. Natura jej zbyt jest na to delikatna. Pominąwszy, że wynikłoby z tego koniecznie jakieś zajście między mną a Kromickim, Anielka musiałaby porzucić chorą matkę, albowiem zdrowie pani Celiny nie pozwala jej na opuszczenie Płoszo-wa.

Położenie Anielki jest istotnie trudne i ja wziąłem to w rachubę przedtem, nim uczyniłem jej wyznanie. Ale wracając tu zląkłem się, czy jej nie przyjdzie do głowy zamknąć się w po-koju matki i unikać mnie ile możności. Po chwili jednak uspokoilem się. Na wsi i pod jednym dachem jest to zupełnie niemożliwe, a w każdym razie stałoby się nadto widoczne i zwróciło-by uwagę ciotki i pani Celiny, następnie zrodziłoby jakieś podejrzenia i mogłoby źle wpłynąć na zdrowie tej ostatniej.

Prawdę mówiąc, wyzyskuję położenie bez skrupułu, ale kto go nie wyzyskuje, gdy kocha? Odgadywałem, że Anielka, choćby najmocniej była mi wzajemną, nie zechce jednak pozwolić, bym w przyszłości powtarzał jej wyznania, że będzie się opierała nawet daleko silniej, niż opierają się zwykle kobiety zamężne, bo wobec jej zasad, wobec jej skromności, każde najmniejsze ustępstwo będzie się jej wydawało niesłychaną zbrodnią. Lecz jakimże sposobem mogła mi zabronić, bym jej nie mówił o swojej miłości? Jeden miała tylko środek: uzyskać moją dobrowolną na to zgodę; przypuszczałem, że zechce rozmówić się ze mną stanowczo – i nie myliłem się.

Przybywszy do Płozowa znalazłem ją mizerną, ale spoglądała na mnie dość raźnie. Widocznie miało kochane biedactwo gotowe w zapasie argumenty i wierzyło w ich siłę; wierzyło, że gdy je wypowie, nie pozostanie mi nic innego, tylko położyć uszy po sobie i umilknąć raz na zawsze. Anielskie złudzenie, że prawda może być tylko jedna na świecie! Nie wdawaj się ze mną nigdy, moja Anielko, w żadne rozumowania, bo ja jeśli wierzę w jaką prawdę i w jakie argumenty, to chyba w prawdę i prawa miłości, a przy tym dość jestem przebiegły, by każdy twój argument przewrócić jak rękawiczkę i uczynić z niego broń przeciw tobie. Nie ocala cię ani twoje rozumowania, ani moja dla ciebie litość, bo im się okażesz bielszą, doskonalszą, im bardziej mnie wzruszysz, tym cię będę kochał więcej, a im bardziej cię pokocham, tym będziesz mi pożądańszą. Mam dla ciebie tylko krokodyły łyżki, które płynąc zaostrzają zarazem moją drapieźność. To jest błędne koło miłości.

Na sam widok Anielki poczułem się w tym kole. Po południu, w dniu mego powrotu, gdy pani Celina usnęła głęboko na werendzie, Anielka dała mi znak, bym poszedł za nią w głąb ogrodu. Zmiarkowałem po jej twarzy, która uderzyła mnie swą niezwykłą powagą, że teraz właśnie chce się ze mną rozmówić, poszedłem więc za nią skwapliwie. W miarę jak oddalaliśmy się od werandy, animusz Anielki począł jednak niknąć. Spostrzegłem, że przybladła, że widocznie przestrasza ją własna energia, ale że nie mogła się już cofnąć, więc zaczęła mówić niepewnym głosem:

– Żebyś ty wiedział, jaka ja byłam nieszczęśliwa przez te kilka dni...

– Czy myślisz, że i mnie lekko żyć? – odpowiedziałem.

– Nie, nie myślę – i dlatego mam do ciebie wielką prośbę... Wiem, że ty wszystko rozumiesz, że jesteś wspaniałomyślny i dobry – więc mi nie odmówisz; jestem tego pewna, bo cię znam.

– Powiedz mi, czego żądasz?

– Trzeba, Leonie, żebyś ty wyjechał za granicę i nie wracał, póki mama nie będzie w stanie opuścić Płozowa.

Byłem pewny, że tego właśnie zażąda, przez chwilę jednak milczałem, jakbym szukał odpowiedzi.

– Możesz mną rozporządzać, jak zechcesz – rzekłem – ale powiedz mi przynajmniej, czemu skazujesz mnie na wygnanie?

– Ja cię nie skazuję na wygnanie, ale ty wiesz dlaczego...

– Wiem – odpowiedziałem z nieudanym smutkiem i rezygnacją – dlatego, że oddałbym za ciebie ostatnią kroplę krwi; dlatego, że gdyby piorun miał w tej chwili w jedno z nas uderzyć, to ja bym ciebie osłonił, a swoją głowę nadstawił; że wziąłbym na siebie wszystko złe, jakie cię może spotkać; dlatego, że cię kocham nad życie – to istotnie są ciężkie grzechy...

– Nie – przerwała z wysiłkiem energii Anielka – ale dlatego, że ja jestem żoną człowieka, którego kocham i szanuję – i że nie chcę słuchać takich słów!

Zniecierpliwienie i gniew wstrząsnęły mną nagle jak iskra elektryczna. Wiedziałem, że Anielka nie mówi prawdy, że miłością i szacunkiem dla męża osłaniają się wszystkie kobiety zamężne, gdy zdarzy im się stanąć na rozdrożu życia – wszystkie, o zakład! – choćby ani cienia tych uczuć nie miały w sercu; a jednak słowa Anielki tak zgrzytnęły po moich nerwach, że ledwie zdołałem powstrzymać wykrzyk: Kłamiesz, bo ani go kochasz, ani szanujesz! Lecz

jednocześnie przyszła mi myśl, że ta jej energia wkrótce się wyczerpie, więc odpowiedziałem niemal pokornie:

– Nie gniewaj się na mnie, Anielko – ja wyjadę!

I widziałem, że ją ta pokora moja rozbraja, że jej mnie żal. Nagle zerwała liść z niskiej gałęzi i poczęła go rozrywać nerwowo. Czyniła nadludzkie wysilenia, żeby się nic rozplakać, a miała pełne piersi łkań.

Ja byłem także poruszony do dna duszy i mówiłem dalej z pewną trudnością:

– Nie dziw się jednak, że się ociągam, bo to przecie okropna krzywda dla mnie. Ja ci już powiedziałem, że nie żądam niczego więcej prócz tego, żebym mógł oddychać tym samym powietrzem i patrzeć na ciebie. Bóg widzi, że to chyba niezbyt wiele. I to jest całe moje dobro... A ty mi i to odejmujesz! Pomyśl tylko: każdy może tu przyjechać, rozmawiać z tobą, patrzeć na ciebie – tylko ja nie – i to dlatego, żeś mi droższa niż innym. Co to za wyrafinowane okrucieństwo losu! Wejdźże na chwilę w moje położenie. Tobie to jest trudno, bo ty nie znasz tej pustki, ty kochasz męża albo się łudzisz, że kochasz, a to prawie wszystko jedno – ale wyobraź sobie na minutę, że jesteś mną, a zobaczysz, że to jest gorsze od wyroku śmierci. Trzeba i nade mną mieć trochę litości. Czy ty wiesz o tym, że odpędzając mnie od siebie pozbawiasz mnie nie tylko swego widoku, ale usuwasz mi jedyną podstawę życia. Mówiłem ci, że wróciłem do kraju z postanowieniem, by dla niego pracować. Może bym w tym znalazł i zapomnienie, i spokój, może bym tym odkupił moje winy dawniejsze; świeżo oto zamierzyłem sprowadzić zbiory ojcowskie – ty mi każesz teraz tego wszystkiego się wyrzec, wszystko porzucić i jechać przed siebie, i rozpocząć znów to bezcelowe życie, bez jednego promienia słońca! Dobrze, wyjadę! Ale wyjadę, jeśli mi za trzy dni ten rozkaz powtórzysz, bo w tej chwili przypuszczam jeszcze, żeś ty nie wiedziała, czym on będzie dla mnie. Teraz już wiesz! Proszę cię o trzy dni – o nic więcej!

Anielka zakryła oczy dłonią i poczęła powtarzać:

– Ach! Boże! Boże! Boże!

Było w tym coś tak poruszającego, taka skarga dziecka na swoją bezradność, że i mnie pochwyił żal ogromny. Nastąpiła chwila, że chciałem jej upaść do nóg i przystać na wszystko, czego żądała, lecz właśnie w tej skardze dojrzałem zapowiedź mego bliskiego zwycięstwa i pożałowałem jego owoców.

– Słuchaj mnie – rzekłem – w jednym razie wyjechałbym natychmiast, dziś jeszcze! I przedzieliłbym się od ciebie morzami: oto, gdybym wiedział, że ci to nie tylko dlatego potrzebne, żeby nie mącić sobie spokoju widokiem nieszczęśliwego człowieka, ale i dla twego własnego serca. Mówię do ciebie jak przyjaciel i brat: wiem od ciotki, żeś mnie kochała; jeśli to uczucie żyje jeszcze w tobie – to mnie tu jutro nie będzie.

Zupełnie szczerzy ból dyktował mi te słowa, a jednak były one straszną zasadzką względem Anielki, bo mogły wyrwać z jej ust wyznanie; gdyby zaś to było się stało – nie wiem – może bym istotnie wyjechał, ale na razie byłbym, jak Bóg na niebie, pochwyił ją w objęcia. Lecz ona wzdrygnęła się tylko, jak gdybym dotknął nieostrożnie jej rany; twarz jej zapłonęła w jednej chwili rumieńcem gniewu i oburzenia.

– Nie! – zawołała z rozpaczliwym uniesieniem – to nieprawda! nieprawda! Jedź sobie czy zostań, ale to nieprawda! nieprawda!

Ja zaś z samego jej uniesienia poznałem, że to może być prawdą. Porwała mnie dzika ochota, żeby jej to powiedzieć z całą brutalnością, wprost w oczy, ale z dala ujrzałem zbliżającą się ku nam ciotkę. Anielka nie zdołała już opanować wzruszenia, tak że ciotka, spojrzawszy na nią, spytała od razu:

– Co tobie jest? O czym mówiliście z Leonem?

– Anielka – odrzekłem – opowiadała mi, jak źle wpłynęła na zdrowie jej matki sprzedaż Głuchowa – i nie dziwię się, że to ją wzruszyło....



Czy siły Anielki były już zupełnie wyczerpane, czy też to kłamstwo moje, do którego musiała się milczeniem przyłączyć, przepelniło i tak już pełny kielich goryczy, dość, że w tej chwili wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem; łkania wstrząsały jej ciałem na kształt spazmów; ciotka pochwyciła ją w ramiona i przytuliła do siebie jak dziecko.

– Moja Anielko! – rzekła – moje kochanie! Cóż na to poradzić... Wola boska we wszystkim! Mnie pięć folwarków grad poniszczył w-czasie ostatniej burzy, a nawet panu Chwastowskiemu marnego słowa nie powiedziałam!

Nie wiem, dlaczego ta wzmianka o gradzie i pięciu folwarkach wydała mi się czymś tak egoistycznym, tak marnym w porównaniu do jednej łzy Anielki, że porwała mnie złość na ciotkę.

– Mniejsza o folwarki – odpowiedziałem szorstko – jej idzie o zdrowie matki.

I odszedłem w męce, bom czułem, że zadaję mękę kobiecie, którą kocham nad wszystko. Wygrałem niby na całej linii, a czuję ogromny smutek, jak gdyby przyszłość groziła mi czymś nieznanym a strasznym.

*25 maja.*

Dzisiaj trzeci dzień od naszej ostatniej rozmowy. Anielka nie powtórzyła mi swego żądania, więc zostaję. Mało do mnie mówi, przesiaduje więcej w swoim pokoju, ale nie unika mnie zbyt często; boi się zwrócić tym uwagę starszych pań. Ja staram się być dla niej dobry, troskliwy, przyjazny, ale nie narzucam się jej. Chcę, by jej się wydawało, że miłość moja sama się zdradza, ale że ja robię, co mogę, by ją w sobie zamknąć. Musi też widzieć, że uczucie moje się wzmacnia, bo rzeczywiście wzmacnia się z każdą chwilą. Nie podobna, żeby to nie miało na nią działać. Bądź co bądź, mamy już nasz świat odrębny, w którym jest nas tylko dwoje; mamy nasze wspólne tajemnice względem ciotki i pani Celiny. Gdy mówimy o rzeczach obojętnych, gdy usiłujemy wobec ludzi utrzymać pozory dawnego stosunku, czujemy tak samo oboje, że na dnie dusz naszych jest coś innego; mam wreszcie słowa i spojrzenia, które rozumie tylko ona. Przyszło do tego samą siłą rzeczy – i jakkolwiek przyszło raczej wbrew woli niż z wolą Anielki – jednakże nas to łączy. Czas, przywyknienie z jej strony i moja cierpliwość dokonają reszty. Ja z mojej miłości wysnuję tysiące takich nici, którymi ją omotam i które będą nas łączyły coraz mocniej. Byłaby to próżna robota tylko w takim razie, gdyby ona kochała męża. Wówczas wzbudziłbym w niej na pewno nienawiść dla siebie. Lecz przeszłość jest za mną, a teraźniejszość nie należy do Kromickiego. Rozmyślam nad tym z taką siłą obiektywizmu, jak gdybym był kimś trzecim, i zawsze dochodzę do tego przekonania, że ona go kochać nie może. Opór Anielki – to walka wewnętrzna duszy wyjątkowo czystej, która nie dopuszcza nawet myśli o wiarołomstwie. Ale nic jej nie wspiera w tej walce. Ja też nie łudzę się: wiem, że opór będzie długi i do złamania trudny. Muszę być zawsze czujnym, wszystko ogarniać myślą, ze wszystkiego zdawać sobie jasno sprawę; muszę tkać moją sieć z nici tak misternych, że prawie niewidocznych. Nie wolno mi będzie nigdy przycisnąć ani przedwcześnie, ani zbyt mocno żadnego klawisza – ale też będę się strzegł omyłek i nie ustane poty, póki nie urobie tej duszy na moją modłę. Wreszcie, jeśli mi się zdarzy popełnić jakie błędy, to one wypłyną z miłości, i mam nadzieję, że dla tego samego wyjdą na moją korzyść.

*26 maja.*

Zawiadomiłem dzisiaj Śniatyńskiego, że stanowczo zamierzam sprowadzić zbiory ojcowskie do Warszawy. Uczyniłem to z tym wyrachowaniem, że przez niego wieść ta dostanie się do redakcji dzienników, które nie omieszkają podnieść mego zamiaru do znaczenia wielkiej

obywatelskiej zasługi. Anielce mimo woli nasunie się porównanie między mną a Kromickim, które wypadnie na moją korzyść. Wysłałem też stąd depeszę, by mi jak najprędzej i osobno wyprawili ową główkę Sassoferrata.

W czasie śniadania powiedziałem Anielce umyślnie przy wszystkich, że ojciec zapisał jej ten obraz w testamencie, co ją zmieszało, domyśliła się bowiem natychmiast, że ojciec uważał ją wówczas za przyszłą swoją synową. Rzeczywiście w testamencie nazwisko jej nie było nawet wymienione; było powiedziane tylko: „Głowę Madonny, numer taki a taki, przeznaczam dla przyszłej mojej synowej.” Ale właśnie dlatego chciałem ją oddać Anielce. Tymczasem wzmianka o tym zapisie wywołała w nas obojgu cały świat wspomnień. Po to też ją uczyniłem, by zwrócić myśl Anielki do owych dawnych czasów, w których mnie kochała i mogła kochać z całym spokojem. Wiem, że zostało w jej sercu z tamtej epoki i wiele goryczy, i wiele serdecznego żalu do mnie. Inaczej nie może być. Byłbym też zgubiony w jej sercu bez ratunku, gdyby nie owa prośba, którą w ostatniej chwili zaniósłem do niej przez Śniatyńskiego. Ale to jest okoliczność łagodząca moje winy. Bo jednak Anielka, myśląc o tym, musi pomyśleć, że chciałem wszystko naprawić, że ją kochałem, że cierpiałem, że pokutowałem i pokutuję dotąd, jeśli zaś oboje jesteśmy teraz nieszczęśliwi, to i ona przyłożyła się do tego. Tego rodzaju myśli muszą ją doprowadzić do odpuszczenia mi grzechów, do żalu za tą przeszłością i do upajania się obrazami szczęścia, jakie by było dziś naszym powszednim chlebem, gdyby nie moje winy i nie jej surowość.

Dostrzegłem i teraz na jej twarzy, że ona się boi tych upajających widzeń i że pragnie je rozproszyć rozmową o rzeczach obojętnych. Ciotka ma obecnie tak zajętą głowę bliskimi wyścigami i spodziewanym zwycięstwem naszego Naughtyboya w gonitwie o nagrodę rządową, że nie może myśleć o czym innym; Anielka poczęła więc rozmawiać z nią o wyścigach. Ale mówiła, byle mówić, zatem z wielką dystrakcją, i zadała kilka pytań tego rodzaju, że zgorziona ciotka rzekła jej wreszcie:

– Moje dziecko, widzę, że nie masz najmniejszego pojęcia, co to są wyścigi.

Ja powiedziałem jej oczyma: Wiem, że w tej chwili chcesz się tylko zagłuszyć – i ona zrozumiała mnie tak dokładnie, jakbym to wypowiedział słowami. I rzeczywiście, jestem prawie pewien, że ona tak samo jest pochłonięta naszym wzajemnym stosunkiem, jak i ja. Idea o miłości poza małżeństwem jest już wszczepiona w jej duszę, tkwi w niej i nie opuszcza jej ani na chwilę. Anielka musi z nią żyć i zżyć się. W takich warunkach serce kobiety, nawet kochającej męża, mogłoby się od niego odwrócić. Kropla wody, spadająca ciągle, wydrąży kamień. Jeśli Anielka mnie choć trochę kocha, jeśli kocha tylko przeszłość naszą, to musi być moją. Nie mogę o tym rozmyślać spokojnie, bo mnie przecucie szczęścia dławi.

Gdzieniedzie nad brzegami mórz znajdują się piaski chłonnae. Dla wędrowca, który na nie wstąpi, nie ma ratunku. Czasem zdaje mi się, że moja miłość podobna jest do owych piasków. Ja wciągam na nie Anielkę, ale też i sam zapadam się coraz głębiej.

Byle razem!

28 maja.

Ciotka przesiaduje teraz po sześć do ośmiu godzin dziennie w Burzanach, jednym ze swoich folwarków, odległym o milę od Płoszowa, gdzie trawi czas na zachwycaaniu się Naughtyboym i doglądaniu Anglika Weba, który trenuje konie. Byłem tam wczoraj przez godzinę lub półtorej. Naughtyboy jest naprawdę obiecującym koniem i może być, że nie okaże się zanadto *naughty*, gdy przyjdzie pora popisów. Ale co mnie to może obchodzić! Różne sprawy powołują mnie do miasta, żal mi jednak opuszczać Płoszowa. Pani Celina czuje się słabszą niż przed paru dniami. Młody Chwast, jak go nazywa ciotka, uważa to wprawdzie za przemijający objaw, każe tylko, żeby zawsze był ktoś przy chorej i rozrywał ją; inaczej poczyna biedna kobieta zaraz rozmyślać o stracie ukochanego Głuchowa i nerwuje się coraz bardziej. Staram

się jej okazywać synowską niemal troskliwość, bo w ten sposób zjednywam sobie wdzięczność Anielki i przyzwyczajam ją do uważania mnie za kogoś najbliższego. Nie żywię już w sercu dawnej urazy do pani Celiny: zbyt jest na to nieszczęśliwa, a przy tym ja już poczynam kochać wszystkich należących do Anielki – wszystkich – prócz jednego! Dziś i wczoraj spędziłem kilka godzin u chorej, w towarzystwie Anielki i Chwasta. Czytaliśmy i rozmawiali. Pani Celina nie sypia po nocach, że zaś doktor nie daje jej chloralu, więc w dzień, po każdej dłuższej rozmowie, wpada zwykle w głęboki sen, z którego – rzecz szczególna – budzi ją tylko cisza. Z tego powodu czytamy i rozmawiamy w dalszym ciągu. Tak było i dziś. Gdyby nie obecność doktora, mógłbym być zupełnie swobodnie rozmawiać z Anielką.

Właśnie dzienniki przyniosły wiadomość o ostatecznym przebiegu i ukończeniu sprawy rozwodowej pięknej pani Koryckiej. Cała Warszawa zajmuje się bardzo tą sprawą, a w szczególności ciotka, która jest daleką powinowatą Koryckiego. Ja postanowiłem skorzystać zaraz ze sposobności, by zaszcześcić w duszy Anielki kilka takich pojęć, które w niej dotąd nie powstały.

– Ciotka – rzekłem tonem głębokiego przekonania – niesłusznie oburza się na postępowanie pani Koryckiej. Podług mnie, ona postępuje jak kobieta rozumna i prawa. Wola ludzka kończy się tam, gdzie zaczyna się miłość; nawet i ciotka musi się na to zgodzić. Jeśli pani Korycka kocha innego, to nie pozostaje jej nic, jak rozstać się z mężem. Wiem, co powiedziałaby ciotka i co ty prawdopodobnie myślisz w tej chwili, Anielko; myślisz, że pozostaje jej obowiązek – czy nieprawda?

– Ja myślę, że i ty jesteś tego zdania – odpowiedziała Anielka.

– Niewątpliwie. Kwestia tylko, po której stronie jest obowiązek pani Koryckiej?

Nie rozumiem dobrze, dlaczego młody doktor zastrzegł się w tej chwili, że nie uznaje wolnej woli, następnie jednak zaczął słuchać uważnie, bo mu się podobała śmiałość moich poglądów.

Ja zaś, widząc zdziwienie na twarzy Anielki, mówiłem dalej:

– Co może być dzikszego i bardziej przeciwnego naturze, jak wymagać od kogoś, by istotę więcej kochaną poświęcił dla mniej kochanej. Rozmaite wyznania religijne mogą być najsprzeczniejsze ze sobą, wszystkie jednak mają jednakową etykę; małżeństwo zaś według tej etyki powinno się wspierać na miłości. Czymże więc ono jest? Albo czymś niezłomnym i istotnie świętym, jeśli wspiera się na takiej podstawie; albo, w przeciwnym razie, tylko sprzecznym z moralnością i religią kontraktem, który jako niemoralny winien być rozwiązany. Inaczej mówiąc, obowiązki kobiety wypływają z uczucia, nie zaś z całego szeregu mniej lub więcej uroczystych obrzędów, które same przez się są tylko szeregiem formalności. Mówię to dlatego, że jestem człowiekiem, który istotę rzeczy wyżej ceni od formy. Wiem, że wyraz „wiarołomstwo” brzmi bardzo przestraszająco. Ale nie ludźcie się, że kobieta staje się wiarołomną dopiero wówczas, gdy porzuca męża: ona nią jest – i jest całkowicie – już w chwili, w której poczuwa, że miłość jej dla niego przestaje istnieć. Co potem następuje, to już jest kwestia tylko jej zdolności do logicznego postępowania, jej odwagi i jej serca, które umie albo nie umie kochać. Pani Korycka człowieka, dla którego się dziś rozwodzi, kochała jeszcze, zanim wyszła za dzisiejszego swego męża – i nie oddała mu swej ręki tylko wskutek nieporozumień, tylko dlatego, że wybuch jego zazdrości poczytała za obojętność. To był jej główny błąd, ale że dziś chce ten błąd naprawić, że zrozumiała, iż nie wolno jej poświęcać istoty ukochanej dla obojętnej – i że obowiązki jej są nie po stronie konwenansu, ale uczucia, to mogą jej wziąć za złe albo hipokryci, albo ludzie mający przepaskę na oczach.

Było w tym, com mówił, tyleż kłamstwa, ile i szczerości. Wiedziałem doskonale, że ciotka nigdy w świecie nie zgodziłaby się na teorię, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość; ale powiedział tak umyślnie, by tę prawdę wrazić Anielce, jako nie podpadającą żadnej wątpliwości. Wiedziałem, że pani Korycka jest osobą lekkomyślną, z powodu której nie warto wytaczać ciężkich dział zasad; zmyśliłem wreszcie historię o jej pierwszej miłości tylko

dlatego, by analogie uczynić podobniejszą. Natomiast byłem szczery w tym, com mówił o prawach i obowiązkach wypływających z uczucia. Inna rzecz, że może nie uznawałbym tej teorii tak szczerze, gdyby mi mniej dogadzała, ale człowiek zawsze jest subiektywny, a zwłaszcza człowiek, który zwątpił o wszystkich prawdach obiektywnych.

Przemawiałem za sobą, i byłbym głupi, gdybym przemawiał przeciw sobie. Liczyłem, że wdrażając Anielkę w tego rodzaju pojęcia, przyspieszam pożądaną dla mnie ewolucję w jej duszy, bo mogą ją one ośmielić i rozgrzeszyć we własnych oczach. Mając na uwadze wielką jej wrażliwość, przypuszczałem, że szczepienie moje przyjmie się choć w części. Jakoż ona rozumiała mnie doskonale, i łatwo mi było spostrzec, że każde słowo moje gra na jej nerwach jak na strunach. W miarę, jakem mówił, na twarzy jej pojawiały się coraz widoczniejsze różowe piętna; przyłożyła kilkakroć rękę do pałających policzków, jakby chcąc je ochłodzić; wreszcie, gdym skończył mówić, rzekła:

– Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle robi, sumienie zawsze powie: źle! źle! – i niczym nie da się przekonać.

Młody Chwastowski musiał zapewne w tej chwili pomyśleć, że Anielce brak zupełnie filozoficznego wykształcenia, ja jednak wyznaję, że w pierwszej chwili doznałem takiego uczucia, jak gdybym na przykład fechtując się, trafił ostrzem szpady w ścianę. Odpowiedź Anielki, przez swoją prostotę i przez swoją dogmatyczność, uczyniła jedno nic ze wszystkich moich wywodów. Bo jeżeli zasada, że woła tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość, może ostatecznie podlegać wątpieniu, to natomiast zupełnym pewnikiem jest, że gdzie zaczyna się dogmat, tam kończą się rozumowania. Kobiety w ogóle, zwłaszcza jednak Polki, póty zgadzają się na logikę, póki nie staje się ona dla nich groźną. Gdy ujrzą niebezpieczeństwo, chowają się za ową fortecę prostych wierzeń i prawd katechizmowych, którą może zburzyć samo tylko uczucie, ponieważ rozum jest wobec niej bezsilny. Jest to ich słabość i zarazem ich moc, albowiem myślenie ich posiada przez to mniej tęgości od myślenia mężczyzn, natomiast świętość ich może być w pewnych warunkach niepokonana. Diabeł potrafi przywieść do upadku kobietę tylko w razie, jeśli ją rozkocha; drogą rozumowania nic z nią nie wskóra, choćby wyjątkowo miał rację.

Wobec podobnych uwag ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie. Pomyślałem, że każdy gmach, który ja najmisterniej i najmozolniej wzniosę, Anielka przewróci jednym okrzykiem: Złe! sumienie na to nie pozwala! I wobec tego pozostanę bezsilny. Potrzeba mi przy tym wielkiej ostrożności, by jej nie przestraszać zbytnią śmiałością wyobrażeń, które staram się jej wszczepić, i nie zrazić jej dla siebie.

A jednak nie mogę się wyrzec i tego rodzaju usiłowań. Nie odegrają one nigdy głównej roli w procesie przyswajania jej duszy – prawda! Ale mogą odegrać pomocniczą – i przyspieszyć rozwiązanie. Na nic się nie przydadzą tylko w tym razie, jeśli ona mnie nie kocha. Byłaby to straszna pomyłka, lecz i wówczas musiałoby nastąpić jakieś rozwiązanie.

*29 maja.*

Zostałem dziś Anielkę w sali jadalnej, stojącą na krześle przed wielkim zegarem gdańskim, w którym się coś popsulo. W chwili gdy wspięła się na palce, chcąc nastawić wskazówkę, stołek zagibotał się pod nią. Miałem tylko czas wykrzyknąć: Spadniesz! – i porwawszy ją na rękę, postawiłem na ziemi. Przez jedno mgnienie oka przyciskałem do piersi to drogie ciało; włosy jej musnęły mnie w przelocie i uczulem na twarzy jej oddech. Dostałem takiego zawrotu głowy, że sam musiał się chwycić za poręcz krzesła, by nie upaść – i ona to widziała. Ona wie, że ją kocham bez pamięci! Nie mogę dziś pisać dłużej.

30 maja.

Miałem dzień zatruty, bo Anielka odebrała znów rano list od Kromickiego. Słyszałem, jak mówiła ciotce, że on sam nie wie, kiedy będzie mógł przyjechać; być może, iż wkrótce, być może, że dopiero za dwa miesiące. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak zniosę jego obecność przy Anielce. Czasem wydaje mi się, że po prostu nie zniosę. Liczę tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności, który może powstrzymać jego przybycie. Chwastowski zapowiedział, (ze pani Celina musi udać się do Gasteinu, jak tylko jej siły na to pozwolą. Jest to tak daleko od Baku, iż przypuszczam, że Kromickiemu wyda się za daleko. Ja zaś pojedę, jak Bóg na niebie! Co za szczęśliwy pomysł tego Chwastowskiego i dla mnie, i dla pani Celiny, której tamtejsze kąpiele mogą istotnie wrócić zdrowie. Ja także jestem zmęczony i potrzebuję górskiego powietrza, a jeszcze bardziej potrzebuję być przy Anielce. Jutro ruszam do Warszawy i zatelegrafuję do zarządu kąpielowego, by mi najęto dla tych pań mieszkanie. Jeżeli by wszystko było zajęte, gotówem kupić całą willę. Gdy pani Celina mówiła o trudnościach i kłopotach, jakie w razie wyjazdu spadną na Anielkę, ja powiedziałem: „Zdajcie to panie na mnie” – po czym, zwróciwszy się do Anielki, dodałem ciszej: „Urządzą wszystko tak, jak dla matki własnej.” Widziałem, że pani Celina, która coraz mniej wierzy w miliony Kromickiego, ma obawę, bym nie urządził im pobytu zbyt drogo, ale ja już postanowiłem w duchu pokazać im kontrakt fikcyjny, główne zaś koszty wziąć na siebie. Naturalnie, żem dotąd ani wspomniał, iż i ja wybieram się do Gasteinu. Postanawiam poprowadzić tak zrećznie tę sprawę, by mi ciotka sama to zaproponowała – i przypuszczam, że doprowadzę ją do tego, bo jej ani w głowie żadne podejrzenia. Jestem prawie przekonany, że jak zacznę się namyślać i wyszukiwać jakichś gór na letni pobyt, ciotka powie mi: To jedź z tymi paniami; będzie im i tobie raźniej. Wiem, że Anielkę to przestraszy, ale może w jakim najtajniejszym kąciuku duszy i uraduje. Może przyjdzie jej do głowy wiersz z Kordiana: „Jesteś wszędzie: nade mną, koło mnie i we mnie!” Rzeczywiście, moja miłość tworzy koło niej krąg zaklęty; otacza ją, zobowiązuje, przejednywa, wciska się do jej serca pod postacią troskliwości o nią i o jej matkę, pod postacią przysług, jakich odrzucić nie może, nie chcąc otworzyć oczu matce na to, co się dzieje, i pogorszyć jej stanu tym odkryciem; przenika ją jako wdzięczność dla mnie i jako współczucie dla wielkiego cierpienia; narzuca się jej wreszcie siłą wspomnień.

Od rana do wieczora Anielka słyszy tylko pochwały o mnie; ciotka jest zaślepiona we mnie, jak zawsze; młody Chwastowski, chcąc okazać bezstronność, do jakiej zdolni są ludzie jego obozu, utrzymuje, że jestem wyjątkiem w swej „spróchniałej sferze”; przejednałem sobie nawet panią Celinę. Okazuję jej tyle serca, że ona lubi mnie teraz – powiedziałbym – mimo woli, i jestem pewien, iż w głębi serca żałuje, że nie jestem mężem Anielki. Naokół Anielki jest jedna wielka sugestia miłości, składająca się z ludzi i natury.

A ty, kochana, czy się oprzesz tym wszystkim siłom? Kiedyż ty przyjdiesz do mnie i powiesz mi: Już nie mogę dłużej – weź mnie, bo cię Kocham!

Warszawa, 31 maja.

Pani L., opiekunka jednego z tutejszych towarzystw dobroczynnych, prosiła Klarę o drugi koncert na rzecz tegoż towarzystwa. Klara odmówiła, tłumacząc się tym, że pracuje nad większym utworem muzycznym i potrzebuje całego skupienia umysłu. Do listu jednak, który był wzorem uprzejmej odmowy, dołączyła taką samą sumę, jaką przyniósł pierwszy jej koncert. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie uczynił jej postępek w Warszawie. Dzienniki rozpisują się o tym dotychczas, wynosząc pod niebiosa artystkę i jej wspaniałomyślność. Naturalnie

fortuna jej ojca, który jest istotnie bardzo bogaty, urosła w ich opowiadaniach w trójnasób. Nie wiem, skąd się wzięły w towarzystwie wiadomości, że Klara wychodzi za mnie za męża. Może powód do nich dała nasza dawna znajomość i zażyłość oraz przesadzone wieści o milionach artystki. Byłem z tego powodu trochę zły, ale po namyśle postanowiłem wieściom nie przeczyć, bo stawiają one mój stosunek do Anielki poza obrębem wszelkich podejrzeń.

Gdym był dziś na południowym przyjęciu u Klary, pierwsza pani Korycka zbliżyła się do mnie z miną wielce dowcipną i przy kilkunastu osobach ze świata muzycznego i z naszego warszawskiego *high-life'u* rzekła na cały głos:

– Kuzynku, kto to w mitologii nie mógł się oprzeć śpiewowi syreny?

– Nikt się nie oparł, kuzynko – odpowiedziałem – z wyjątkiem Odysa, ale i ten oparł się tylko dlatego, że był przywiązany do masztu.

– A ty byłeś mniej przezorny?

Kilka osób przygryzło usta, czekając mojej odpowiedzi, więc odrzekłem:

– Czasem i to nie pomaga. Ty wiesz najlepiej, że miłość rozrywa wszelkie węzły.

Pani Korycka zmieszała się mimo całej pewności siebie, ja zaś odniosłem jedno z takich małych zwycięstw, o których opowiada się po salonach z nieodłączną cytata przysłowia: „Trafiła kosa na kamień!”

Czy ludzie powtarzają sobie, czy nie, że się żenię z Klarą, jest mi to obojętne, a nawet dla powodów, które wymieniłem, wolę, że tak mówią. Nie spodziewałem się jednak, że moje odwiedziny u Klary skończą się nieprzyjemnie z powodu jej samej. Gdy ludzie porozchodzili się i zostałem tylko ze Śniatyńskim, Klara poczęła nam grać swój świeżo ułożony koncert, rzeczywiście tak wspaniały, że nie mogliśmy znaleźć dość pochwał; tymczasem, powtórzywszy na nasze żądanie finał, Klara rzekła nagle:

– To jest pożegnanie – bo wreszcie wszystko na świecie kończy się pożegnaniem.

– Przecie pani nie myśli nas opuścić? – spytał Śniatyński.

– Najdalej za dziesięć dni muszę być w Frankfurtach – odpowiedziała Klara.

Tu Śniatyński zwrócił się do mnie:

– Cóż ty na to, ty, który w Płozowie karmiłeś nas nadzieją, że pani na zawsze z nami zostanie?

– I powtórzę raz jeszcze, że wspomnienie pani na zawsze z nami zostanie.

– Ja też to tak rozumiałam – odrzekła z naiwną rezygnacją Klara.

Mnie zaś porwała złość na siebie, na Śniatyńskiego i na Klarę. Nie jestem ani dość próżny, ani dość głupi, ani dość płaski, by mnie nad wszystko miał cieszyć każdy podbój; myśl więc o tym, że Klara może naprawdę kochać się we mnie i żywić nieuzasadnione nadzieje, była mi nad wyraz przykrą. Wiedziałem, że ona ma dla mnie jakieś nieokreślone uczucie, które w danym razie mogłoby się rozwinąć bardzo silnie, ale nie spodziewałem się, żeby to uczucie śmiało czegoś żądać i czegoś się spodziewać. Przyszło mi nagle do głowy, że cała zapowiedź wyjazdu może być tylko chęcią sprawdzenia, jak ja przyjmę tę wiadomość. Przyjąłem ją więc jak najchłodniej. Miłość taka, jaką mam dla Anielki, powinna uczyć współczucia; tymczasem nie tylko smutek Klary i jej wzmianka o wyjeździe nie wzruszyły mnie, ale wydały mi się wprost zuchwałym uroszczeniem – i obrazą dla mnie.

Dlaczego? Przecie nie z żadnych względów rodowych. Daleki jestem od podobnego rodzaju poglądów. Na razie nie umiałem sobie zdać z tego sprawy, teraz jednak tłumaczę sobie to dziwne zjawisko moją przynależnością do Anielki, tak bezwzględną i wyłączną, iż wydaje mi się, że każda kobieta, żądająca ode mnie choćby jednego tylko uderzenia serca, porywa się tym samym na własność Anielki. To tłumaczenie wystarcza mi.

Niewątpliwie pożegnanię Klarę bardzo serdecznie, gdy będzie już w wagonie, ale ta przedwczesna zapowiedź wyjazdu nappełniła mnie niesmakiem! Ach! Chyba jednej Anielce wolno by było deptać bezkarnie po moich nerwach. Nigdy nie patrzyłem na Klarę tak niechętnie i tak krytycznie, jak w tej chwili. Po raz pierwszy spostrzegłem, że obfitość jej kształtów, jej

jasna cera, ciemne włosy, błękitne, za wypukłe oczy i usta koloru wiśni, słowem, że cała jej piękność przypomina niesmaczne obrazy przedstawiające haremowe huryski lub co gorzej, oel-druki widywane w drugorzędnych hotelach. Wyszedłem od niej w jak najgorszym usposobieniu i udałem się wprost do księgarni, w której chciałem wybrać kilka książek dla Anielki.

Już od tygodnia myślałem nad tym, co by jej dać do czytania. Nie chciałem pominąć i tego środka; naprawdę jednak nie przywiązuję do niego wielkiej wagi, gdyż działa on bardzo powolnie. Zauważyłem przy tym, że dla naszych kobiet, mających nierównie bujniejszą fantazję niż temperament, książka pozostaje zawsze czymś nierzeczywistym. Jeśli nawet trafia na istotę bardzo wrażliwą, wytwarza w najlepszym razie w jej głowie jakiś świat oderwany, bezcielesny, nie mający najmniejszego związku z życiem praktycznym. Prawie żadnej z naszych kobiet nie przyjdzie do głowy, żeby pojęcia, poczerpnięte z książek, mogły być stosowane do osobistego postępowania. Jestem przekonany, że gdyby jaki wielki i sławny autor usiłował dowieść Anielce, że na przykład czystość myśli i duszy w kobiecie nie tylko jest zbyt cenną, ale że stanowiska moralności wprost naganną – i co więcej – gdyby tego jakim cudem dowiódł, Anielka sądziłaby, że ta zasada stosować się może do całego świata, z wyjątkiem do jej osoby.

Co najwyżej mogę się spodziewać, że czytanie odpowiednich książek oswoi Anielkę z pewnego rodzaju liberalizmem uczuć i myśli. Właściwie też nie życzę sobie niczego więcej. Kochając ją z całej duszy, pragnę, by odpowiedziała memu uczuciu, szukam do tego dróg, nie pomijam żadnej – i oto wszystko. Ja, który się nie okłamuję nigdy, powiadam sobie otwarcie: pragnę doprowadzić Anielkę do tego, by poświęciła męża dla mnie, ale nie chcę jej ani popsuć, ani zbrudzić. Niech mi nikt nie mówi, że jedno wyłącza drugie i że to jest sofizmat; ja i tak mam w sobie sceptycznego diabła, który dokucza mi i co chwila mówi: Tworzysz teorie dla siebie; droga wiarołomstwa jest drogą zepsucia; gdyby ci było dogodniej, tworzyłbyś teorie przeciwne. Ile w tym męki! Ale oto, co odpowiadam memu diabłu: O teoriach przeciwnych mógłbym równie dobrze wątpić; obmyślam, co się da obmyślić na obronę mego kochania – bo to moje naturalne prawo. Drugim, jeszcze większym naturalnym prawem jest miłość. Bywają uczucia płaskie i pospolite albo wyniosłe i niepowседневne. Kobieta, która idzie za głosem wielkiego uczucia, nie traci szlachectwa duszy, choćby była zamężna. Taką wielką, wyjątkową miłość pragnę właśnie wzbudzić w sercu Anielki i dlatego mogę powiedzieć, że jej nie chcę popsuć lub zbrudzić.

Wreszcie te rozprawy wewnętrzne nie prowadzą do niczego. Gdybym nawet nie miał najmniejszej wątpliwości, że źle czynię, gdybym nie potrafił dać ani jednej zwycięskiej odpowiedzi memu Chochlikowi, nie przestałbym wskutek tego kochać i poszedłbym zawsze za siłą większą, to jest postępowałbym tak, jakby mi nakazywało żywe uczucie, nie oderwane rozumowania.

Ale prawdziwym nieszczęściem analizujących i przeanalizowanych ludzi współczesnych jest to, że nie wierząc w rezultaty analizy, mają zarazem nieprzezwyyczajny nałóg badania wszystkiego, co w nich zachodzi. Tak jest i ze mną. Od pewnego czasu trapi mnie pytanie, jakim sposobem dzieje się, że ja, którego istota jest pochłonięta przez uczucie, umiem być tak czujny, obmyślam tak wszystkie środki, mające mnie poprowadzić do celu, tak zdaję sobie z nich sprawę, jakbym to czynił na zimno lub raczej jakby to czynił za mnie kto inny.

Oto, co mogę w tym względzie odpowiedzieć. Przede wszystkim człowiek dzisiejszy zachowuje zawsze jakąś część duszy, której używa do obserwowania reszty. Prócz tego cała ta zabiegliwość uczucia, pełna rozmysłu, obliczeń, nawet zasadzek, pozornie zimna, stoi właśnie w stosunku prostym do temperatury tegoż uczucia. Im ono jest gorętsze, tym silniej zmusza chłodny rozum do natężonej służby. Bo, powtarzam jeszcze raz, że miłość źle sobie wyobrażają z zawiązanymi oczyma. Ona nie potłumia rozumu tak dobrze, jak nie potłumia bicia serca lub oddychania – ona go tylko podbija. Rozum staje się wówczas pierwszym jej doradcą i

narzędziem podboju; inaczej mówiąc, staje się Agrypą cezara Augusta. On trzyma wszystkie siły w rozbudzeniu, on prowadzi wojska, on odnosi zwycięstwa, on sadza swego władcę na tryumfalnym wozie, on wreszcie wznosi – nie Panteon, jak historyczny Agrypa – ale Monoteon, w którym służy na kolanach jednemu bóstwu cezara. W tym mikrokosmie, jakim jest człowiek, rola rozumu jest nawet większa niż rola hetmana, on bowiem odbija do nieskończoności świadomość wszystkiego i siebie samego, jak zbiór odpowiednio ustawionych zwierciadeł odbija do nieskończoności dany przedmiot.

*1 czerwca.*

Wczoraj odebrałem wiadomość z Gasteinu. Mieszkanie dla pani Celiny i Anielki jest już najęte. Posłałem im zaraz tę wiadomość, wraz z całą paczką powieści George Sand i Balzaca. Dziś jest niedziela, pierwszy dzień wyścigów. Ciotka przyjechała z Płoszowa i stoi u mnie. Oczywiście była na wyścigach i jest całkowicie nimi zajęta. Ale konie nasze: Naughtyboy i Aurora, które już od dwóch dni przebywają wraz z Webem i dżokejem Dżakiem Goose w mojej stajni, biegają dopiero w następny czwartek, więc ten pierwszy dzień obchodził ciotkę tylko platonicznie. Natomiast trudno mi opisać, co się u nas wyrabia. Stajnie nasze zmieniły się w fortece. Ciotce się zdaje, że dżokeje innych hodowców drżą na samo wspomnienie Naughtyboya i że gotowi użyć wszelkich środków, byle go uczynić niezdolnym do biegu lub osłabić, wskutek czego w każdym przekupniu pomarańcz lub kataryniarzu widzi przebranego nieprzyjaciela, zakradającego się w złych zamiarach na nasze podwórze. Szwajcar w bramie i stróż domowy dostali najsurowsze polecenia, by zwracali uwagę na każdego wchodzącego. W stajni straż jeszcze pilniejsza. Trener Web, jako prawdziwy Anglik, zachowuje zimną krew, ale nieszczęśliwy Dżak Goose, który jest rodem z Burzan, i którego nazwisko jest dosłownym przekładem z polskiego: Kuba Gąsior, traci zupełnie głowę; ciotka bowiem łaje nieustannie i jego, i dwóch innych stajennych, przybyłych również z Burzan dla pilnowania koni. Przesadywała tak ciągle u Naughtyboya, że ledwie ją widział, i dopiero na odjeźdźnym powiedziała mi dobrą nowinę: pani Celina, która znów jest jakaś silniejsza, postanowiła, że Anielka koniecznie ma być na czwartkowych wyścigach. Sądzę, iż pani Celina domyśliła się, że ciotce będzie to przyjemne; zresztą, ona doskonale może pozostać przez jeden dzień pod opieką panien służących i doktora. Anielka zaś, która siedzi jak zamurowana w Płoszowie, potrzebuje rzeczywiście jakiejś rozrywki. Dla mnie to radość wielka. Sama myśl, że ona będzie pod moim dachem, ma dla mnie dziwny urok. W tym domu począłem ją kochać, a może i jej serce uderzyło żywiej dla mnie po raz pierwszy także tu, po owym wieczorze, który ciotka dla niej wydała. Wszystko będzie jej tutaj przypominało te chwile.

*2 czerwca.*

Dobrze, że nie kazałem jeszcze przerabiać sal na muzeum. Przyszło mi do głowy prosić po wyścigach kilka miłych Anielce osób na obiad. Tym sposobem zatrzymam ją o parę godzin dłużej pod moim dachem – a przy tym ona zrozumie, że to będzie obiad dla niej, na jej cześć.

*3 czerwca.*

Zakupiłem morze kwiatów; kazałem ubrać nimi całe schody i dwie sale. Pokój Anielki został zupełnie taki, jakim był w czasie, gdy ona go zajmowała. Przypuszczam, że te panie przyjadą rano i że Anielka zechce się przebrać w nim na wyścigi; kazałem więc postawić tam duże zwierciadło i urządzić całą gotownię kobiecą. Anielka wszędzie spostrzeże dowody



mej troskliwości, pamięci i uczucia. Teraz dopiero, pisząc, spostrzegam się, o ile mi jest lepiej, gdy się czymkolwiek zajmuję, gdy mnie jakieś zewnętrzne czynności wyrrywają z błędnego koła refleksji i rozmyślania nad samym sobą. Sądzę, że wbijanie w ścianę gwoździ, na których mają wisieć obrazy w przyszłym muzeum, byłoby więcej warte od tego wewnętrznego obwijania jednej myśli naokół drugiej. Czemu ja już nie mogę być człowiekiem prostym! Gdybym nim umiał być w swoim czasie, byłbym dziś jednym z najszcześniejszych ludzi na świecie.

4 czerwca.

Byłem dziś z zaproszeniem u Śniatyńskich i u kilku innych osób. Śniatyński, zgodnie z moim życzeniem, rozpuścił już na cztery strony świata wiadomość, że sprowadzam zbiory ojcowskie do Warszawy i urządzam dostępne dla publiczności muzeum. Jestem bohaterem dnia. Wszystkie dzienniki rozpisują się o tym, dając przy sposobności odpowiednią lekcję ludziom możliwym – którzy trwonią czas i pieniądze za granicą – etc. Tak znam ich styl i sposób pisania, że przewidziałem z góry, co napiszą, począwszy od treści, a skończywszy na takich frazesach, jak *noblesse oblige* itp. Ale wszystko to jest mi na rękę. Zebrałem całą paczkę gazet, by pokazać je ciotce i Anielce.

5 czerwca.

Wyścigi przyspieszono o dzień z powodu jutrzejszego święta. Anielka i ciotka przyjechały dziś rano w towarzystwie pokojowej i całego stosu pudeł zawierających wyścigowe toalety. Pierwszy rzut oka na Anielkę wrzucił mnie i przestraszył. Znalazłem, że zmizerniała bardzo; policzki jej pobladły, straciła swój dawny ciepły koloryt, zeszczuplała, i było w niej coś mglistego, co mi przypominało postacie Puvis'a de Chavannes. Ciotka i matka jej nie widzą tego, bo są ciągle z nią razem, ale dla mnie, po kilku dniach niebytności w Płoszowie, różnica już jest wyraźna. Ogarnia mnie skrucha i serdeczna litość. Oczywiście, że przyczyną tego wszystkiego jest rozterka i walka wewnętrzna w jej sercu. Gdybyż ona chciała ją rozstrzygnąć, gdybyż chciała pójść za głosem tego serca, które jest moje, po sto razy moje, i które przemawia za mną – skończyłyby się jej niepokoje, a zaczęło szczęście.

Ja zapadam coraz głębiej w moje piaski chłonnae. Zdaje mi się przecie, że znam każdy szczegół, każdy najdrobniejszy rys twarzy Anielki i że wyobrażam ją sobie, gdy jej nie widzę, jakby żywa stała przede mną, a jednak za każdym razem, ujrawszy ją po kilku dniach rozstania, odkrywam w niej jakiś nowy urok i znajduję nowe upodobanie. Nie umiem nawet wypowiedzieć, do jakiego stopnia ona zadawalnia mnie estetycznie, jak głęboko odczuwam, że to jest mój rodzaj, moja piękność, moja kobieta. To odczuwanie daje mi jakąś wpół mistyczną, wpół zbliżoną do przyrodniczej hipotezy, wiarę, że natura przeznaczyła ją dla mnie. I teraz, gdym, usłyszawszy turkot powozu na dziedzińcu, zbiegł na dół, by powitać te panie, doznałem znów owego wrażenia, które bym nazwał oddawaniem się w moc jej urokowi; znów rzeczywistość wydała mi się doskonalszą od obrazu, jaki nosiłem w duszy.

Anielka ubrana była w lekki podróżny płaszczyk z surowego jedwabiu; kapelusz jej okręcała długa, szara woalka, zawiązana *à l'anglaise* pod brodą, i z tych szarych ramek uśmiechała się jej śliczna, droga twarz, zawsze podobniejsza raczej do twarzy dziewczynki niż zamężnej kobiety. Przywitała mnie niezwykle wesoło i serdecznie: widocznie ranna przejażdżka i nadzieja zabawy wprowadziła ją w dobre usposobienie; napelniło mnie to radością, bom pomyślał, że ją jednak cieszy mój widok, a Płoszów beze mnie wydaje się jej pustszy i nudniejszy. Jako gościnny gospodarz, podałem jedno ramię ciotce, drugie Anielce, na co zresztą

szerokość schodów pozwala, i poprowadziłem je na górę. Na widok wspaniale przybranych kwiatami schodów ogarnęło je wielkie zdziwienie, ja zaś rzekłem:

– To jest moja niespodzianka...

Tu przycisnąłem nieco ramię Anielki, ale tak lekko, że mogło to ujść za ruch przypadkowy i mimowolny, następnie zwróciłem się do ciotki:

– Daję obiad dla uczczenia zwycięstwa rodziny Płoszowskich.

Ciotkę rozczuliła bardzo moja intencja. Ach, gdyby wiedziała, jak mało mnie obchodził w tej chwili Naughtyboy i wszystkie zwycięstwa, jakie konie rodziny Płoszowskich mogły odnieść na torach całej Europy! Anielka za to odgadła widocznie, co należy myśleć o moich intencjach, była jednak w tak ożywionym usposobieniu, że spojrzawszy na mnie przelotnie, przygryzła w uśmiechu usta.

Ja zaś małym nie stracił głowy. Zdawało mi się, że widzę w Anielce odcień jakiejś wesołej kokieterii, którego nie było w niej dotąd. Nie podobna, pomyślałem sobie, żeby ona nie miała całkiem miłości własnej, żeby jej to ani trochę nie pochlebiali, iż wszystko, co czynię, czynię dla niej i przez nią.

Tymczasem ciotka, zdjęwszy płaszcz od kurzu, poszła oglądać Naughtyboya i Aurorę, ja zaś podałem Anielce listę zaproszonych na obiad osób i rzekłem:

– Staralem się wybrać tylko miłych ci ludzi, ale jeśli jeszcze każesz kogo zaprosić, natychmiast wyślę zaproszenie albo sam pojadę.

– To cioci pokaż – odpowiedziała Anielka – niech ciocia wybiera.

– Nie. Ciotka będzie siedziała na pierwszym miejscu i będziemy do niej przychodzili z życzeniami lub kondolencją, a rolę gospodyni w tym domu przeznaczyłem sobie.

Anielka zaczerwieniła się nieco, i chcąc zwrócić rozmowę, rzekła:

– Mój Leonie, czy aby ten Naughtyboy wygra, bo ciocia tak na to liczy i tak jej o to chodzi?

– Jam już wygrał, bo mam takiego gościa, jak to stworzenie, które oto siedzi przede mną.

– Ty sobie żartujesz, a ja doprawdy boję się.

– Ciotka, widzisz – odrzekłem poważniej – nawet w razie przegranej, będzie miała jedną wielką pociechę. Moje zbiory za jakie kilka tygodni będą już w Warszawie, a to było jej marzenie od lat kilkunastu. Jeszcze ojca namawiała na przeniesienie ich do kraju bardzo usilnie. Już wszystkie gazety rozpisują się o tym – i co za pochwały czytałem o sobie – to trudno wypowiedzieć.

A jej droga twarz rozjaśniła się w jednej chwili.

– Pokaż, przeczytaj! – rzekła.

Miałem ochotę całować ją po rękach za ten przebłysk radości. Był to dla mnie nowy dowód. Przecie, gdybym jej był zupełnie obojętny, nie cieszyłyby ją tak pochwały dla mnie.

– Nie – odrzekłem – przeczytam, jak ciotka wróci, a raczej poproszę ją, żeby sama przeczytała, ja zaś schowam się przez ten czas za ciebie, bo będę miał niemądrą minę, a przede wszystkim nie chcę, żebyś ty moją niemądrą minę widziała.

– Dlaczego masz mieć niemądrą minę?

– Dlatego, że wszystko to nie moja zasługa, tylko twoja. Te pochwały tobie się należą. Co bym dał za to, żebym mógł powiedzieć panom dziennikarzom: Jeśli to uważacie za tak wielką rzecz, to jedźcie gremialnie do Płoszowa i tam klękniście u pewnych nóżek...

– Leonie! Leonie! – przerwała Anielka.

– Cicho, małe nic-dobrego, bo i ja to zrobię, i nie wstanę pierwej, póki nie przyznasz, że to twój wpływ.

Anielka sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Słowa moje były wprawdzie mową człowieka zakochanego bez pamięci, ale ten ton swobodny, żartobliwy i wesoły wytwarzał pewnego rodzaju nastrój, wobec którego tragiczne przyjmowanie tego, com mówił, było wprost niemożliwe.

Ja zaś rad byłem z tego nowego sposobu, bo widziałem, że za pomocą niego można dużo wypowiedzieć i dużo wyznań wcisnąć.

Nie chcąc go jednak ani nadużywać, ani przeciągnąć, począłem w tej chwili mówić poważniej o zmianach, jakie zamierzam wprowadzić w domu.

– Całe piętro przeznaczam na pomieszczenie zbiorów – rzekłem – z wyjątkiem tego jednego pokoju, w którym ty zaprzeszłej zimy mieszkałaś. Ten zostanie, jak był. Pozwoliłem go sobie tylko trochę dziś przyozdobić na twoje przyjęcie.

Tak mówiąc poprowadziłem ją ku drzwiom. Anielka, stanąwszy w progu, nie mogła powstrzymać okrzyku:

– Ach! co za kwiaty!

Ja zaś powiedziałem z cicha:

– Tyś sama kwiat, najpiękniejszy w świecie...

Po czym dodałem poważnie:

– Ty mi przecie, Anielko, wierzysz, gdy ci mówię, że tu chcę kiedyś umrzeć.

Och! ile było szczerości w tym, com powiedział. Twarz Anielki zaszła jakby mgłą; radość jej zgasła. Widziałam, że ją słowa moje wzruszyły bardzo, jak wzrusza każdy prawdziwy krzyk serca. Przez jedno mgnienie oka jej głowa, ramiona i piersi zadrgały, jakby jakaś siła, stanąwszy za nią, popchnęła ją nagle ku mnie. Ale ona oparła się jeszcze tym razem. Chwilę stała przede mną z oczyma nakrytymi przez powieki, wreszcie rzekła z jakąś smutną powagą:

– Pozwól mi być z tobą swobodną. Nie zasmucaj mnie.

– Dobrze, Anielko – rzekłem – układ zawarty, oto moja ręka!

I wyciągnąłem ku niej dłoń. Anielka oddała mi uścisk tak silnie, jakby nim chciała wypowiedzieć wszystko, czego zabroniła powiedzieć ustom. Nagrodził on mi też tysiącrotnie wszelkie słowa i upoił mnie tak, iż ledwie się na nogach nie zachwiałem. Po raz pierwszy od czasu mego powrotu uczulem wyraźnie, że oto obejmuję w posiadanie tę istotę, wraz z jej duszą i ciałem. Było to wrażenie szczęścia tak niezmiernego, iż łączył się z nim jakiś strach. Otwierał się przede mną nowy, nieznany świat. Jestem od tej chwili przekonany, że opór jej to tylko kwestia niedługiego czasu i mojej odwagi.

Ciotka wróciła ze stajen w różowym usposobieniu; żaden zamach na szacowne zdrowie Naughtyboya nie miał miejsca. Trener, Web, na wszystkie pytania ciotki znajdował tylko jedną odpowiedź: *All right*. Dżak Goose pełen był animuszu. Poszliśmy do okien, by widzieć, jak przyszłego zwycięzcę będą wyprowadzali ze stajni, zbliżała się bowiem chwila, w której miał wyruszyć na Pole Mokotowskie i tam dreptać w kółko, czekając na swoją kolej. Jakoż po kilku minutach ujrzeliśmy, jak dwaj stajenni wyprowadzali go na dziedziniec, ale oczy nasze nie bardzo mogły się nasycić pięknnością jego kształtów, był bowiem jakby zaszyty w pokrowiec. Tylko przez otwory, powycinane w kapie, widać było jego wielkie, łagodne oczy, spod dolnego obrębu zaś wysuwały się jego sprężyste nogi, które istotnie zdawały się być ze stali wykute. Za nim postępował Web, w końcu zaś nasz domorosły, mały Anglik, Dżak Goose, przybrany w nowy surdut, pokrywający kurtkę, i w dżokejskie buty. Na drogę krzyknąłem mu przez otwarte okno:

– A nie daj się tam, Kuba!

On zaś zdjął czapkę i ukazując nią na Naughtyboya odpowiedział wesoło, najczystszy, nie londyńskim, ale burzańskim akcentem:

– Bedom, proszę jaśnie hrabiego, widzieli, ale ino jego zad!

Zasiedliśmy do śniadania, które odbywało się pośpiesznie; ciotka jednak znalazła dość czasu, by przy czarnej kawie przeczytać, co mówią dzienniki o sprowadzeniu zbiorów ojca do Warszawy. Dziwna rzecz, jak kobiety są wrażliwe na wszelką publiczną pochwałę dla bliskich im mężczyzn. Ciotka aż zakwitła z radości – i była wprost nieoszacowana, gdy przerywając co chwila czytanie spoglądała poprzez okulary na mnie z uwielbieniem, na Anielkę z bacznością – i od czasu do czasu mówiła dogmatycznym tonem:

– Nic nie przesadzili! Zawsze był taki!

Ja dziękowałem tylko Bogu, że nie było przy tym jakiego mężczyzny sceptyka; w takim razie naprawdę miałbym niemądrą minę.

Nadeszła godzina ubierania się dla pań. Na odchodnym ciotka, ułożywszy jak można najojojętniejszą twarz, rzekła:

– Musimy się śpieszyć, bo obiecałam małej Zawilowskiej, że ją wezmę na wyścigi; miała jechać z ojcem, ale on parę dni temu miał atak pedogry.

To rzekłszy wyszła; my z Anielką spojrzeliśmy po sobie; kąciki jej ust podniosły się w chytrym uśmiechu, a ja rzekłem:

– Anielu, nowe swaty!

Ona zaś przyłożyła palec do ust, niby ostrzegając mnie, że za głośno mówię, i znikła w swoim pokoju, ale po chwili śliczna jej główka znów wychyliła się przez drzwi.

– Przypomniałam sobie, żeś nie zaprosił panny Hilst! – rzekła.

– A nie zaprosiłem.

– Dlaczego?

– Bo ja ją kocham w ukryciu – odrzekłem, śmiejąc się.

– Nie, czemu jej nie zaprosiłeś?

– Jeśli chcesz, to jeszcze to uczynię.

– Jak ty wolisz – odpowiedziała, chowając się na powrót.

Ja zaś wołałem nie zapraszać panny Hilst.

W godzinę później ruszyliśmy w Aleje Belwederskie. Anielka była ubrana w kremową suknię, strojną koronkami. Tak nauczyłem się wypowiadać jej wszystko oczyma, że czytała w nich wyraźnie mój zachwyt; poznałem to z jej twarzy, na wpół rozpromienionej, na wpół zakłopotanej. Po drodze zatrzymaliśmy się przed willą państwa Zawilowskich, zaledwie jednak miałem czas zadzwonić, gdy drzwi otworzyły się, i panna Helena, przybrana w szarosrebrzystą suknię, stanęła, a raczej przebiegła koło mnie w całym majestacie, zaledwie kiwnąwszy mi głową. Jest to więcej brzydka niż ładna blondynka, o zimnych, bladoniebieskich oczach, twarzy bez uśmiechu i układzie nadzwyczaj ceremonialnym. Uchodzi ona za wzór dystynkcji, na co bym się chętnie zgodził, gdyby dystynkcja znaczyła to samo, co sztywność. Obejście się jej ze mną jest równie zimne jak jej oczy, a nawet nadto zimne, by mogło być szczere. Jest to po prostu metoda, obrachowana na podrażnienie mej miłości własnej – i obrachowana głupio, bo mnie nudzi, nie drażni, i dzięki jej, zajmuję się panną Zawilowską tyle tylko, ile tego grzeczność wymaga.

Dziś jednak zajmowałem się nią nieco więcej, miała bowiem odegrać dla mnie rolę ochronnego konduktora, to jest przyciągać ciekawość i odwracać przypuszczenia, jakie by widok Anielki, siedzącej ze mną w jednym powozie, mógł ludziom nasunąć. Niebawem ruszyliśmy dalej, ale zwolna, dzień był bowiem pogodny i mnóstwo osób jechało na wyścigi, tak że nie można było dojrzeć końca powozów. Przed sobą i za sobą widziałem rzekę parasolek, co było naprawdę ładne, barwy ich bowiem grały bardzo silnie w słońcu, pod nimi zaś tworzyły się kolorowe cienie, z których wychylały się głowy kobiece o rysach delikatnych i wykończonych. Stosunkowo dużo było twarzy ładnych, ale brakło im temperamentu; nie widziałem go nawet u tych pań ze świata finansów, które zresztą, jak wiele innych rzeczy, tak i temperament raczej udają, niż mają w rzeczywistości. Ale te otwarte powozy, tu i ówdzie charakterystyczne zaprzęgi, przeważnie jasne toalety, mieniące się w powietrzu na tle zieloności drzew – to wreszcie nagromadzenie wykwintych ludzi i wykwintych koni nadawało pochodowi wysoce ucywilizowany, a nie pozbawiony przy tym malowniczości pozór. Cieszyło mnie to, że Anielkę ów ruch i tłok widocznie bawił i sprawiał jej przyjemność. Odpowiadając na moje uwagi, spoglądała na mnie z pewną wdzięcznością, jakbym to ja przygotował jej tę rozrywkę. Siedząc naprzeciw, mogłem na nią swobodnie patrzeć, częściej jednak zwracałem się do panny Zawilowskiej, od której stale szedł zamróz jak od karafki

„frapowanej” wody i która poczęła mnie po prostu bawić, zdawało się bowiem, iż jeśli odpowiada na moje pytania i zgadza się na moje towarzystwo – czyni to tylko przez dobre wychowanie i wysoką towarzyską uprzejmość. Stałem się dla niej tym bardziej nadskakujący, ale z pewnym odcieniem dobrego humoru, który w końcu począł ją drażnić. Dojechaliśmy nareszcie na Mokotowskie Pola. Dla powozu ciotki zachowano zwykle miejsce przy trybunie – i wnet różni moi znajomi z kartami na kapeluszach przyszli powitać ją i powinszować dzielnej i obiecującej postawy Naughtyboya. Jeden z najznakomitszych hodowców powiedział ciotce, że koń jest wspaniały, ale może niedostatecznie trenowany, że jednak w nocy deszcz padał i turf jest miękki, więc tak silny rumak, jak Naughtyboy ma za sobą wszelkie dane. Zdawało mi się, że mówił to z ironią, i trochę się zaniepokoiłem, klęska bowiem Naughtyboya byłaby zepsuciem dnia ciotce i pośrednio mnie – albowiem jej zły humor zwałyby nam zabawę. Tymczasem poszedłem wzdłuż powozów, oglądając po drodze pole i wyszukując znajomych. Ludzi było pełno, trybuny wyglądały jak jedna zbita ciemna masa, na której suknie kobiece tworzyły jaskrawe plamy. Całe szranki obwiedzione były grubym pierścieniem widzów. Wał miejski czernił się także od ciekawych. Po obu stronach trybuny ciągnęły się, jakby dwa skrzydła, dwa nieskończone szeregi powozów, z których każdy, osobno wzięty, wyglądał jak kosz napełniony kwiatami.

O jakie sto kroków od trybuny spostrzegłem w powozie zawadiacki nosek i różową twarz pani Śniatyńskiej. Gdy się do niej zbliżyłem dla powitania, powiedziała mi, że mąż jej poszedł szukać panny Hilst, po czym jednym tchem zadała mi następne pytania: jak się ma ciotka i pani Celina? Czy Anielka jest na wyścigach? Jakim sposobem te panie wyjadą do Gasteinu, skoro pani Celina nie może wstawać? Czy Naughtyboy wygra? Co będzie, jeśli przegra? I ile osób będzie u mnie na obiedzie? Przez ten czas, stojąc przy jej powozie, zauważyłem, iż ma wyjątkową słodycz w wyrazie oczu i prześliczną nogę, a chcąc odpowiedzieć na jej pytania równie hurtownie, jak były zadane, musiałbym chyba mieć, jak mówi Szekspirowska Rozalina, usta Gargantuy. Odpowiedziawszy piąte przez dziesiąte i poprosiwszy, by po wyścigach przyjechali oboje z mężem wprost do mnie, poszedłem także, śladem Śniatyńskiego, szukać Klary, sądziłem bowiem, że wypada mi zbliżyć się do jej powozu. Pokazało się, że stoi on niedaleko od ciotczynego. Klara wyglądała jak pagórek pokryty heliotropami. Znalazłem ją otoczoną przez artystów i melomanów i rozmawiającą z nimi wesoło. Na mój widok zasepiła się nieco i przyjęła mnie z pewną oziębłością, ale taką, która czeka tylko na jakieś cieplejsze, przyjazne słowo, by zmienić się w wielką serdeczność. Ja pozostałem jednak chłodny; po kwadransie równie grzecznej jak ceremonialnej rozmowy poszedłem dalej i zamieniwszy w drodze po parę słów z innymi znajomymi, wróciłem do naszego powozu albowiem dwie pierwsze gonitwy odbyły się przez ten czas i nadeszła kolej na Naughtyboya.

Spojrzałem na ciotkę: wyraz jej twarzy był uroczysty; widać jednak było, że usiłuje zachować zimną krew. Za to na twarzy Anielki odbił się wyraźny niepokój. Oczekiwaliśmy dość długo na ukazanie się koni, bo przy wadze marudzono jakoś niezwykle. Tymczasem nadbiegł Śniatyński, z daleka już wymachując swymi długimi rękoma i pokazując bilety zakupione w totalizatorze.

– Postawiłem miliony za Naughtyboyem! – zawołał – jeśli mnie zdradzi, obciążam hipotekę Płoszowa.

– Mam nadzieję – zaczęła z godnością ciotka – że pan...

Lecz nie skończyła, bo w tej chwili ponad ciemną masę ludzi, zebranych w okolicach trybuny, wykwitły różnobarwne kurtki dżokejskie. Wyprowadzano konie na tor. Jedne z nich, wydostawszy się na wolną przestrzeń, puszczały się natychmiast w cwał ku miejscu, skąd gonitwa miała nastąpić; inne szły wolnym, spokojnym krokiem. Po dokonanej starcie jeźdźcy ruszywszy przegalopowali koło nas zbitą gromadą i niezbyt szybko, bieg bowiem miał być podwójny i musieli oszczędzać siły koni. Ale już na drugim skřęćie szereg ów rozciągnął się w łańcuch. Robiło to takie wrażenie, jakby wiatr rozwiał kupkę płatków kwiatowych wzdłuż

po drodze. Na przedzie biegł dżokej ubrany całkiem biało, za nim niebieski z czapką i rękawami czerwonymi, za nim dwaj równo, jeden cały czerwony, drugi czerwony z żółtym – pomarańczowy zaś nasz Kuba zajmował przedostatnie miejsce, mając tuż za sobą jeźdźca, przybranego w barwę białą z błękitną. Porządek ten nie utrzymał się jednak długo. Gdy bieg doszedł do przeciwnego obrębu koła, w powozach uczynił się ruch; ciekawsze panie poczęły wstępować na poduszki powozów, by nie utracić żadnego epizodu gonitwy; za ich przykładem poszła i ciotka, która widocznie nie mogła już dłużej wysiedzieć.

Anielka odstąpiła swe miejsce pannie Zawilowskiej, która po krótkich ceremoniach stanęła obok ciotki, ja zaś umieściłem Anielkę na przednim siedzeniu, ponieważ jednak nie miała przed sobą oparcia, więc stanąwszy obok niej, podtrzymałem ją za rękę. Wyznaję, że w tej chwili mniej myślałem o gonitwie niż o tym, że ta delikatna, kochana ręka spoczywa w mojej i nie cofa się. Plecy ciotki zasłaniały mi nieco widok – lecz wspiąwszy się na palce ogarniałem wzrokiem całe błonie i dżokejów, dochodzących do zawrotu na drugiej stronie błonia. Widziani z daleka, byli podobni do jakichś jasnokolorowych żuków lecących przez powietrze. Bieg z tej odległości wydawał się powolnym, a rzuty przednich i zadnich nóg końskich miały w sobie coś mechanicznego. Cały ten mieniący się wąż, mimo pozornej powolności, zostawiał jednak za sobą szybko przestrzeń. Porządek jeźdźców był już znowu zmieniony. Na przedzie biegł zawsze biały dżokej, za nim czerwony, nasz jednak Kuba zajmował trzecie miejsce. Inni pozostali daleko i przestrzeń, dzieląca ich od przodowników, zwiększała się z każdą chwilą. Widocznie Naughtyboy nie należał do koni najgorszych. Na chwilę straciłem ich z oczu, ale ujrzałem ich znów, gdy przebiegli blisko nas. Czerwony jeździec doganiał tuż, tuż białego – ale Kuba był jeszcze bliżej od obydwóch. Wiedziałem teraz, że biały musi zostać, bo jego koń miał już boki tak mokre i świejące, jakby oblane wodą. Czerwony był bardzo groźny, pomyślałem jednak, że w najgorszym razie Naughtyboy weźmie drugą nagrodę i klęska nie będzie zupełną. Dodało mi otuchy i to, że szedł on z taką flegmą, wyrzucał nogi tak spokojnie i miarowo, jakby odrabiał jakąś codzienną pracę. Zajęcie w widzach wzrastało z każdą chwilą.

– Naughtyboy przegrał? – spytała mnie cicho Anielka, widząc porządek, w jakim konie przebiegły koło trybuny.

– Nie, kochanie. Muszą jeszcze jeden krąg zrobić – odpowiedziałem, ściskając jej z lekka rękę.

A ona jej znów nie cofnęła. Prawda, że cała jej uwaga pochłonięta była przez gonitwę. W chwili gdy konie ukazały się poza bokiem drogi, zasłoniętym dla nas przez trybunę, Kuba był już drugi; koń białego dżokeja wyczerpywał się tak, że i trzej pozostali w tyle jeźdźcy poczęli go doganiać. Widocznym już było dla wszystkich, że walka rozstrzygnie się tylko między czerwonym a pomarańczowo-czarnym. Kuba zbliżył się jeszcze do czerwonego i tak, rozdzieleni przestrzenią pięciu lub sześciu koni, obiegli znaczną część pola. Nagle szmer na trybunach zapowiedział nam, że dzieje się coś niezwykłego. Spojrzałem: Kuba doganiał stanowczo swego przeciwnika. Szmary na trybunach zmieniły się w gwar. Anielkę tak dalece porwała zabawa, że sama teraz poczęła ścisnąć nerwowo moją rękę, pytając co chwila: Co tam? co tam? Jeźdźcy byli już z lewej strony pola. Czerwony znów, za pomocą kilku uderzeń szpicrutą, wysunął się naprzód, lecz Naughtyboy sięgał go niemal nozdrzami. W szalonym pędzie wbiegli obaj na linię trybuny, na której znów straciliśmy ich początkowo z oczu. Walka za kilka sekund miała się rozstrzygnąć. Na trybunach zapadła chwilowa cisza, która w mgnieniu oka zmieniła się w okrzyki. Mnóstwo osób biegło pieszo ku sznurom, osłaniającym drogę, i w tej chwili ujrzeliśmy czerwone chrapy, łeb koński, z wyciągniętą jak struna szyją, nad nią zaś pomarańczowo-czarne barwy, niesione jakby wichrem. Dzwonek ozwał się na trybunie – zwycięstwo było po naszej stronie.

Czerwony dżokej został na odległość kilkunastu koni.

Muszę oddać ciotce sprawiedliwość, że zachowała zimną krew; na czole jej tylko ujrzałem kilka kropel potu, które poczęła wachlować chustką. Anielka była wzruszona, rozbawiona do najwyższego stopnia i szczęśliwa. Oboje poczęliśmy składać ciotce życzenia, a nawet i panna Zawilowska wypowiedziała kilka francuskich frazesów, jak gdyby wyjętych z rozmów pani Boquel. Wkrótce znajomi otoczyli nasz powóz, i tryumf ciotki był zupełny.

Ja byłem także upojony tymi uściśnieniami dłoni, które otrzymałem od Anielki. Próżno sobie mówiłem, że mogły być one nieświadome, bo znów przychodziło mi na myśl, że częstokroć opór kobiecy, gdy się ma przesilić, to przesila się zwykle w chwilach podniecenia i zapamiętania, czy to z powodu zabawy, czy pięknych widoków, czy jakichkolwiek innych okoliczności, odmiennych od pospolitych warunków życia. Przychodzi wtedy pewne rozkołysanie się nerwów, wobec którego utrata codziennej równowagi jest łatwa do zrozumienia. Wziąwszy w rachubę podobny właśnie stan Anielki doszedłem do przekonania, że ona już przestaje walczyć z ogarniającym ją uczuciem, i postanowiłem być stanowczym.

Przypuszczam, że w Płoszowie nie zbraknie mi sposobności. Jutro tam wracamy. Dzisiejszy mój obiad, rozmowy i zabawa odegrały rolę dalszych kropel narkotyku. Ona nawet nie przypuszcza, ile czeka nas oboje szczęścia – musi mi tylko oddać na to swoją duszę zupełnie, bez zastrzeżeń i granic.

Lubo ciotka ostrzegła panią Celinę, że może zostanie z Anielką do jutra w Warszawie, mieliśmy wracać jeszcze dziś, po moim obiedzie; tymczasem zaszedł wypadek, który nas powstrzymał. Obiad z następną po nim herbatą przeciągnął się do dziesiątej, w chwili zaś gdy ostatni goście wyjechali, dano znać, że Naughtyboy zachorował. Zrobił się wielki zamęt. Zanim posłano po weterynarza i zanim go znaleziono, była północ. Ciotka ani chciała myśleć o wyjeździe.

Anielka miała ochotę wracać, ale spostrzegła, że chwycę się lada pozorów, by ją odwiedzić do Płoszowa – ona zaś jeszcze się boi. Ciotka powiedziała jej, że wróciwszy tak późno, rozbudzi cały dom i matkę, a wreszcie rzekła:

– Leon nie ma mi za złe, że ja zawsze uważam, że jestem tu u siebie, więc i ty jesteś u mnie. Tak samo gdybym mu oddała Płoszów i sama bym w nim mieszkała dalej, i was nie puściła, póki Cesia nie wyzdrowieje.

To ostatecznie skłoniło Anielkę do pozostania.

Teraz jest godzina trzecia w nocy. Widno już, ale na dziedzińcu i koło stajen migają dotąd latarki ludzi, chodzących koło Naughtyboya. Ciotka, gdyśmy się rozchodzili, mówiła, że jeszcze przez dzień zostaje w Warszawie. Jam oświadczył, że zostawiłem ważne papiery w Płoszowie, pojedę więc po nie, a zarazem odwiozę Anielkę. Będziemy sami, i nie będę już wahał się dłużej. Wszystkie krew napływa mi do serca na myśl, że może odwiozę tę ukochaną istotę przytuloną do moich piersi i usłyszę jej wyznanie, że mnie tak kocha, jak ja ją kocham.

Chmurno i dżdżysto, ale dnieje coraz bardziej. Zaledwie kilka godzin oddziela mnie od tej chwili, w której zacznę nowe życie. Oczywiście nie śpię i nie mógłbym zasnąć za nic w świecie. Najmniejsze znużenie nie ciąży mi na powiekach. Piszę i rozpamiętywam. W dłoni czuję jeszcze ciepło jej ręki i drzenie jej palców, które się nie cofały z uścisku. Jam urobił tę duszę, wychowałem ją, rozwinąłem i przygotowałem dla miłości; jestem jak wódz, który wszystko przewidział, obmyślił, wyrachował, ale który nie śpi przed dniem mającym jego los rozstrzygnąć.

Anielka za to śpi tam, po drugiej stronie domu – i wierzę, że nawet sen jej pracuje dla mnie; być może, że widzi mnie we śnie i wyciąga ku mnie rękę. Mrowie przechodzi mnie, gdy myślę o tym.

W tym morzu zła, głupstw, niepewności i zwątpień, jakim jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna jak śmierć – to miłość. Nic nie ma poza nią...

6 czerwca.

Odwiozłem dziś Anielkę, a teraz zadaję sobie pytanie: czym nie zwariowałem? Nie! nie przywiozłem jej w ramionach, nie słyszałem jej wyznań! Zostałem odepchnięty tak bez wahanias, z takim krwawym oburzeniem wstydu, że zostało ze mnie nic! Co to jest? Czy ja nie mam rozumu, czy ona nie ma serca? Z czym ja walczę? o co się rozbiłem? Dlaczego ona mnie odpycha? W głowie mej zrobił się taki chaos, że nie mogę myśleć, pisać, rozumować – tylko powtarzam ciągle pytanie: o co ja się rozbijam?

7 czerwca.

Popełniłem w czymś jakąś niezmierną pomyłkę, czegoś w tej kobiecie nie dostrzegłem i nie obrachowałem. Przez dwa dni starałem się zrozumieć to, co mnie spotkało, miałem jednak taki chaos w głowie, że nie mogłem myśleć. Teraz zbieram całą zimną krew i całą przytomność, by się rozpatrzeć w położeniu. Byłoby ono bardzo jasne, gdyby Anielki broniła miłość do męża; wówczas rozumiałbym ten obrażony wstyd i oburzenie, z jakim ta istota, tak łagodna i potulna, odtrąciła mnie od swych kolan. Ale tego dopuścić nie mogę. Tyle jeszcze mózgu zostało mi w głowie, by pamiętać, że widzieć rzeczy zbyt czarno jest takim samym błędem i głupstwem, jak widzieć je zbyt różowo. Skąd się miała wziąć w niej miłość dla Kromickiego? Obrachujmy wszystko jeszcze raz. Poszła za niego bez miłości; czas, który spędzili razem, obracał na podchodzenie jej zaufania; sprzedał jej rodzinny kąk, przez co przyczynił się do choroby jej matki. Nie mają dziecka. Zresztą dziecko nie uczy kobiety kochać więcej męża, uczy ją tylko brać go więcej w rachubę i zabezpiecza go, inaczej mówiąc: zacieśnia związek rąk, nie serc. Anielka nie należy także do rzędu kobiet, w których miłość wybuchła nagle jak płomień po ślubie, bo takie kobiety albo bardziej tęsknią za mężem, albo łatwiej biorą kochanka. Wypowiadam to tak szorstko, że samemu sobie sprawiam ból, ale po co mam się oszczędzać? Ostatecznie jestem przekonany, że Anielka nie ma dla Kromickiego żadnego, zbliżonego nawet do miłości uczucia, a co więcej – nie ma i szacunku; nie pozwala sobie tylko na pogardę – i oto stan jej duszy. Uważam to wszystko za dowiedzione raz na zawsze, inaczej byłbym ślepy.

Jeśli jej serce było w chwili, gdy wróciłem, *tabula rasa*, to jednak musiałem coś na tej tablicy napisać, ja, którym to w innych warunkach nieraz potrafiłem, ja, któremu tym razem bardziej o to chodziło niż kiedykolwiek, który poruszałem w niej uczucia przyjaźni, litości, wspomnień, nie omieszkując niczego, licząc się ze wszystkim i mając tę siłę, jaką daje prawdziwe uczucie. Biorę oto w obie ręce moją głowę i mówię sobie: – Człowieku, ty przecie nie jesteś parafialnym lwem, przekonany, że żadna kobieta nie może być dla ciebie obojętna – czyś ty się nie łudził, że ona ciebie kocha, że serce jej należy w gruncie rzeczy do ciebie?

Co przemawia za tym, że to jest złudzenie?

Na pierwszy rzut oka: jej opór.

Lecz ja nie śmiałem nigdy przypuszczać, że ona nie będzie się opierała. Wyobrażam sobie oto jakąkolwiek kobietę zamężną, zakochaną bez pamięci w obcym człowieku – i zadaję sobie pytanie: czy można przypuścić, żeby taka nawet kobieta nie okazała żadnego oporu, żeby nie walczyła sama ze sobą i z ukochanym mężczyzną aż do wyczerpania sił?

Opór nie wypływa z miłości, ale skoro te dwie siły mogą się mieścić obok siebie, jak dwa ptaki w gnieździe, więc się nie wyłączają wzajemnie.

Ja nie tylko dlatego piszę ten pamiętnik, że stało się to już moją naturą i moją namiętnością, nie tylko dlatego, że się w ten jedyny sposób wypowiadam, ale również i w tym celu, aby móc sobie zawsze wszystko uprzytomnić, na nowo ogarnąć myślą cały przebieg zdarzeń i zdać sobie z nich sprawę. I oto odczytuję teraz te stronicę, na których zapisałem moją i Anielki historię od chwili mego powrotu do Płoszowa; jest tam zapisane każde niemal jej spojrze-



nie, każda rozmowa, każdy uśmiech, każda łza, chwyczone każde drgnienie jej duszy. I nie! Ja się nie łudzę, to nie jest analiza fałszywa! Były to słowa, łzy, spojrzenia i uśmiechy kobiety – może nieszczęśliwej – ale nie obojętnej.

Moje postępowanie musiało na nią oddziaływać. Nie mam katarakty na oczach: co dzień przecie rozdziera mi się serce, gdy widzę, jak ona chudnie, mizernieje, jak twarz jej staje się coraz mniejszą, ręce coraz przezroczytsze – i włosy powstają mi niemal z przerażenia na myśl, że ona zdrowiem opłaca tę walkę. Ale wszystko to są niezbita dowody. Jej serce i jej myśli należą do mnie. Ona właśnie dlatego jest równie nieszczęśliwa jak ja – nieszczęśliwsza może.

Czytam, com przed chwilą zapisał, że nawet nie śmiałem przypuszczać, że ona nie będzie się opierała. Prawda, tak było wkrótce po moim powrocie do Płoszowa, ale ostatnim razem, wracając z Warszawy, przypuszczałem, że już się nie będzie opierała – i omyliłem się. Nie uczyniła mi żadnego ustępstwa, nie okazała żadnej litości, nie chciała słuchać tego, com mówił, jakbym mówił bluźnierstwa; widziałem w jej oczach iskry gniewu i rozżalenia, wydarła mi swoje ręce, którym pokrywał pocałunkami, a słowa: „Ty mnie obrażasz!” – nie schodziły z jej ust. I energia jej pokonała moją tym łatwiej, im mniej się jej wybuchu spodziewałem. Ach! Anielka uniosła się do tego stopnia, że zagroziła mi, iż wysiądzie z powozu i pieszo pójdzie w deszcz do Płoszowa. Wyraz r o z w ó d sprawił na niej wrażenie rozpalonego żelaza. Nic, nic, nic nie wskórałem, ani wybuchami uniesienia, ani zuchwalstwem, ani prośbą, ani miłością; wszystko było wzięte za złe, za obrazę, wszystko było odrzucone i podeptane. Dziś, gdy ją widzę, jak chodzi tu po pokojach, znowu łagodna, potulna, zdaje mi się, że tam to była jakaś inna kobieta. Nie mam co przed sobą ukrywać. Poniosłem klęskę tak zupełną, że gdybym miał siłę, gdybym miał jakąkolwiek inną rację do życia, powinien bym dziś wyjechać.

Bo przypuśćmy, że mnie kocha: co mi z tego, jeśli to uczucie nie zerwie nigdy tych więzów, które je krępują, nie przedostanie się nigdy na wierzch, nie wyrazi się żadnym słowem, żadnym czynem? Tak samo mogę sobie wyobrazić, że mnie kocha grecka Helena, Kleopatra, Beatrix lub Maria Stuart! Takie też to musi być uczucie, które niczego nie chce i nic nie nakazuje. Może być, że to serce należy do mnie, ale to jest małe, niezdolne do czynu serce! Ona może pozuje sama przed sobą na wzniosłą duszę, poświęcającą na ołtarzu obowiązków uczucie – i wydaje się sobie przez to piękną. Jest to satysfakcja warta przecie, by dla niej coś uczynić! Dobrze! Poświęcaj sobie mnie, ale jeśli myślisz, że dużo poświęcasz, poświęcając swoje uczucie, i że nakarmisz nim obowiązki – to się mylisz!

Nie mogę, nie mogę jeszcze ani myśleć, ani pisać spokojnie!

*8 czerwca.*

Kokietka jest to lichwiarz; przyznaje mało, a żąda olbrzymich procentów. Dziś, gdy jestem spokojniejszy i gdy mogę jaśniej myśleć, muszę przyznać, że pod tym przynajmniej względem nie mam Anielce nic do zarzucenia. Ona nic mi nie przyznawała i niczego nie żądała. To, com ja brał w niej w Warszawie za odcień kokieterii, to była tylko chwila pogody i wesołości. To ja wywołałem wszystko, co zaszło, ja sam popełniłem szereg omyłek i sam jestem wszystkiemu winien.

Wiedzieć coś i brać w rachubę – są to dwie rzeczy różne. Możemy sobie doskonale zdawać sprawę z obcych nam czynników działających w duszy danego człowieka, w postępowaniu z nim jednak bierzemy najczęściej tylko samych siebie za punkt wyjścia. Tak zdarzyło się i mnie. Ja wiedziałem, a przynajmniej miałem poczucie, że ja i Anielka jesteśmy dwiema istotami tak przeciwnymi sobie, jakbyśmy pochodzili z dwóch różnych planet – ale nie umiałem o tym stale pamiętać; mimo woli obrachowywałem, że ona w danym razie tak postąpi, jak ja bym postąpił.

I mimo tego poczucia, że my jesteśmy dwie najniepodobniejsze pod słońcem istoty – dwa bieguny, jeszcze teraz zapisuję to jakby z pewnym zdziwieniem, jeszcze trudno zżyć mi się z tą myślą. A jednak to jest prawda. Ja tysiąc razy podobniejszy jestem do takiej Laury Davi-sowej niż do takiej Anielki.

Teraz pojmuję, o com się rozbił.

Oto, czego zanik czuję w sobie od dawna, oto, czego brak rozkiełznał i wyswobodził wprawdzie moje myśli, ale wniósł zarazem we mnie zaród śmiertelnej choroby i stał się moją tragedią.

O katechizmową prostotę jej duszy.

Teraz zdaję sobie z tego sprawę wyraźnie – może jeszcze jednak nie dość szeroko, bo jestem człowiek tak powikłany, że straciłem zmysł prostoty... „Słyszę twój głos, ale cię nie widzę”... Wzrok mój duchowy cierpi na pewnego rodzaju daltonizm i nie odróżnia pewnych barw.

Mnie w głowie się nie mieści, jak można każdej zasady, choćby od wieków nie wiem jak uświęconej, nie obejrzeć z obydwu stron, nie rozłożyć jej na części, cząsteczki, atomy, słowem, poty nie rozkładać, póki się nie rozsypie w proch i nie da się już złożyć z powrotem.

Anielce w głowie się nie mieści, jak można na zasadę, uznaną za dobrą i uświęconą zarówno przez religię jak i przez ogół ludzi, patrzeć inaczej niż jako na prawo obowiązujące.

Wszystko mi to jedno, czy to jest u niej świadome, czy instynktowne, wyrozumowane własnym umysłem, czy nabyte – dość, że to już dziś weszło w jej naturę.

Ja już dostałem jakby ostrzeżenie w tym, co mi powiedziała z powodu pani Koryckiej: „Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle postępuje, sumienie zawsze powie: «Źle! źle» – i niczym nie da się przekonać.”

Nie przypisałem wówczas temu takiej wagi, jaką należało przypisać. W Anielce nie ma żadnych wahań się, żadnych zwątpień. Dusza jej odwieca plewę od ziarna z taką dokładnością, że o zamieszeniu mowy być nie może. Ona nie sili się na wyszukiwanie własnych norm, bierze je gotowe z religii i ogólnych moralnych pojęć, ale przejmuje się nimi tak silnie, że stają się one jej własnymi, bo wchodzą w jej krew.

Im to różniczkowanie zła i dobra jest prostsze, tym jest pewniejsze i bardziej nieubłagane. W tym kodeksie etycznym okoliczności łagodzące nie istnieją. Ponieważ, według niego, mę-zatka powinna należeć do męża, więc ta, która się oddaje innemu, czyni źle. Nie ma tam rozpraw, uwzględnień, rozmyślań – jest tylko prawica dla sprawiedliwych, lewica dla grzesznych, nad nimi miłosierdzie boże, ale między nimi – nic – żadnego środka.

Jest to kodeks „zacnego Bartłomieja i uczciwej Magdy”, tak prosty, że podobni do mnie przestają go rozumieć. Nam się wydaje, że życie, że dusze ludzkie zbyt już są złożone, żeby się mogły w nim pomieścić. I rzeczywiście, może nie podobna nam się w nim pomieścić. Na nieszczęście, nie wynaleźliśmy nic innego i dlatego bujamy jak zabląkane ptaki – w pustce i w trwodze.

Ale większość kobiet, a zwłaszcza większość kobiet u nas, uznaje jeszcze ten kodeks. Nawet te, które w życiu odstępują od jego przepisów, nie pozwalają sobie ani na chwilę wątpić o jego prawowitości i świętości. Gdzie on się zaczyna, tam kończą się rozumowania.

Poeci fałszywie sobie przedstawiają kobietę jako zagadkę, jako żywego sfinksa. Sto razy większą zagadką, sto razy większym sfinksem jest mężczyzna. Kobieta zdrowa, nie histeryczka, może być złą lub dobrą, silną lub słabą, ale jest od mężczyzny duchowo prostszą. Ją po wszystkie wieki i po wszystkie czasy zadawalnia jakieś *Dziesięciorgo*, bez względu, czy się do tego *Dziesięciorga* stosuje, czy, przez ułomność natury, pomija jego przepisy.

Dusze kobiece są tak dogmatyczne, że znałem kobiety, w których nawet ateizm przybierał wszystkie cechy religii.

Jest rzeczą szczególną, że ów „kodeks uczciwej Magdy” nie wyłącza w kobietach ani przenikliwej inteligencji, ani misterności myśli, ani ich polotu.

Dusza kobieca ma w sobie coś z kolibra, który umie bujać swobodnie wśród gęstego krzewu i nie zawadzić o żadną gałązkę, nie potrafić jednego liścia.

To się da zastosować przede wszystkim do Anielki. Największa misterność uczuć i myśli łączy się w niej z największą prostotą moralnych pojęć. Jej *Dziesięcioro* jest takie same jak *Dziesięcioro* Magdy – tylko że u Magdy jest ono wyszyte na zgrzebnym płótnie, u Anielki na delikatnej jak koronka tkaninie.

Czemu ja o tym rozprawiam? Boć to przecie dla mnie nie jakaś kwestia oderwana, ale kwestia niemal życia; mówię o tym, bo mnie to boli i stanowi moje nieszczęście, bo czuję, że ja tego prostego *Dziesięciorga* nie przemogę swoją zawikłaną i złożoną filozofią miłości. I jakże mam przemóc, gdy ja pierwszy nie wierzę bez zastrzeżeń w tę filozofię, a często nawet po prostu o niej wątpię, podczas gdy Anielka wierzy spokojnie i niewzruszenie w swoje przykazania.

Tylko takie usta, które już piły ze źródła zwątpień, można przekonać, że zabroniony pocałunek nie jest grzechem. Kobieta religijna może być porwana przez miłość, Jak drzewo przez huragan, ale jej nie uzna nigdy.

Czy ja kiedy zdołam porwać Anielkę? Może to głębokie, rozpaczliwe zniechęcenie, które mnie w tej chwili ogarnia, jest chwilowe, może jutro będę z większą nadzieją patrzył w przyszłość, dziś jednak wydaje mi się to prawie niepodobieństwem.

Napisałem sam kiedyś w tym pamiętniku, że w niektórych domach u nas wychowanie wszczepia kobietom skromność tak, jak ospę. Trzeba mi się i z tym liczyć, że owo prawidło, które mówi: „Żona ma należeć do męża”, a w które Anielka święcie wierzy, chronione jest w dodatku przez wstydlivość tak w niej istotną, tak z nią zrosłą, tak przerobioną w jej naturę, że ja sto razy łatwiej mogę sobie wyobrazić tę Anielkę na marach niż odsłaniającą przy mnie piersi.

I ja mogę się jeszcze łudzić, mogę od takiej kobiety czegoś oczekiwać? To jest przecie prosta bezmyślność!

Więc co mam zrobić? Wyjechać?

Nie wyjadę! – nie chcę i nie mogę!

Zostanę – a ponieważ moje uczucie jest bezmyślne, więc będę postępował bezmyślnie. Dość systemów, obrachowywań, przewidywań. Niech będzie, co chce i jak chce! Tamta droga nie prowadzi do niczego.

9 czerwca.

Ona nie jest szczęśliwsza ode mnie. To, com widział dziś, przekonało mnie, że i w niej toczy się ciężka walka, do której siłę musi czerpać tylko w sobie. Myśli tak mi się płaczą, że się nie mogę uspokoić.

Po odjeździe pana Zawilowskiego, który był dziś w Płoszowie z córką, gdy ciotka poczęła z widoczną intencją podnosić przymioty panny Heleny, porwała mnie nagła złość; byłem zmęczony, niewyspany, nerwy miałem potargane, więc w chwili rozdrażnienia zawołałem:

– Dobrze! Jeśli chodzi więcej o moje małżeństwo niż o moje szczęście, to mogę jutro oświadczyć się pannie Zawilowskiej, bo nareszcie i mnie jest wszystko jedno!

Widocznym było przecie, że mówię to z rozdrażnienia, nie z przekonania, i że nigdy bym tego, co mówię, nie zrobił, Anielka jednak stała się nagle blada jak papier. Podniósłszy się nagle z miejsca, bez usprawiedliwionego powodu, poczęła odwiązywać sznurki rolety, przy tym ręce jej drżały jak we febrze. Na szczęście i ciotka pewnie nigdy w życiu nie była tak zmieszana, więc nic nie dostrzegła. Coś mi odpowiedziała, ale nie wiem co, bo w tej chwili wszystko przestało dla mnie istnieć poza Anielką. Ja wprawdzie rozumowaniem dochodziłem do wniosków, że jestem czymś w jej sercu, ale rozumować a widzieć coś – to dwie rzeczy różne. Nie zapomnę do ostatniej chwili życia tej bladości i tych drżących rąk! Miałem teraz

dowód niezbity, bo choćbym pewną część wrażenia przypisał temu, że odpowiedź moja spadła na nią tak niespodzianie, to i tak dosyć jeszcze zostaje! Nagłej wiadomości, nie tylko o małżeństwie, ale nawet o śmierci istoty obojętnej, nie przyjmuje się bładością.

Myślałem przed paru dniami: „Co mi z tego, że ona mnie kocha, jeśli to uczucie pozostanie na zawsze w niej zamknięte?” A jednak obecnie, gdym się przekonał naocznie, że tak jest, wszystkie nadzieje moje zmartwychwstały od razu, wszystkie zwątpienia znikły; miałem na nowo widzenie zwycięstwa, na nowo pewność, że musi przyjść czas, w którym jej uczucie stanie się od niej silniejsze, w którym ją ogarnę i zabiorę. Niestety, prawie natychmiast przekonałem się, że to jest złudzenie. Ciotka, powiedziawszy coś jeszcze, wyszła, może dlatego, żeby gdzie w kącie obetrzeć łzę żalu do mnie – ja zaś zbliżyłem się skwapliwie do Anielki i powiedziałem:

– Anielciu! za skarby świata nie ożeniłbym się z panną Zawilowską, ale wyrozumiej mnie: nie dość mi zmartwień, Jeszcze i z tej strony nie mam spokoju. Ty jednak wiesz najlepiej, że to się nigdy nie stanie.

– Owszem... cieszyłabym się, gdyby się to stało – rzekła z wysileniem.

– Nieprawda! widziałem, żeś zbladła – widziałem!

– Pozwolisz, że odejdę...

– Anielko moja, ty mnie kochasz! Nie okłamuj siebie i mnie: ty mnie kochasz;

A jej usta znowu pobiełały.

– Nie – odpowiedziała prędko – ale się boję, że cię znienawidzę.

I odeszła do matki. Ja wiem, że kobiecie, która toczy ze sobą walkę, musi się tak często wydawać; że miłość gorzka i zabroniona musi przybierać podobną barwę; a jednak słowa Anielki zdmuchnęły moją radość jak świecę. Istnieje pełno w życiu takich rzeczy, zupełnie naturalnych, których po prostu nerwy ni siły ludzkie nie znoszą. Uderza mnie teraz jedna prawda, zapoznawana dotąd przeze mnie i zapoznawana powszechnie, że miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest wielką podłością, jeśli jest rzeczywistą, jest wielkim nieszczęściem – tym większym, im kobieta jest więcej warta. Pali mnie ciekawość ogromnie gorzka, co by było w takim razie, gdybym Anielce powiedział tak: Albo mi zarzucisz ręce na szyję i wyznasz, że mnie kochasz, albo strzelę sobie w łeb w twoich oczach! Wiem, że byłoby to nikczemne, i nigdy bym się na podobny wyzysk i gwałt nie zdobył, nie!... bądź co bądź, zbyt na to jestem porządnym człowiekiem... Ale jednak nie mogę się powstrzymać od postawienia sobie pytania: co by w takim razie nastąpiło? I prawie pewny jestem, że Anielka może by nie przeżyła swego żalu – a przy tym i swojej pogardy – aleby nie uległa. Gdy o tym myślę, zarazem ją przeklinam i jeszcze bardziej uwielbiam, zarazem nienawidzę i jeszcze bardziej kocham. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć: trafiło mi się wielkie nieszczęście. Co gorzej, że nie widzę na nie środka, bo zupełnie nie czuję sił do wyrwania się z tej oberzy. Do porywu zmysłów, który ta kobieta budziła zawsze we mnie w najwyższym stopniu, dołączyło się już jakieś psie przywiązanie. Obejmuję ją myślą, wzrokiem, patrzę i nie mogę się napatrzeć na jej oczy, włosy, usta, ramiona – czuję jednak zarazem, że to jest nie tylko najpożądaną istotą, ale już i najdroższą głową w świecie. Żadna kobieta nie przywiązała mnie i tak podwójnie, i tak bezwzględnie. Czasem ten wpływ jej wydaje mi się wprost niezrozumiały, czasem go sobie tłumaczę – i jak zwykle – tłumaczę dla siebie jak najgorzej.

Oto ja żyłem szybko i przeszedłem już swój zenit. Teraz idzie droga ku dołowi, skąd wieje chłód i mrok. Czuję wszelako, że w tej jedynej istocie odnalazłbym swoją młodość i bujność, i ochotę do życia. Gdy ona dla mnie przepadnie, to naprawdę przepadnie i życie, a pozostanie tylko wegetacja niesłychanie posępna, jako przedsmak śmierci. Dlatego ja Anielkę kocham i całą siłą instynktu zachowawczego, nie przez zmysły wyłącznie, nie wyłącznie duchem, lecz także przez trwogę nicości.

Anielka tego nie wie; ale przypuszczam, że ona ma dla mnie wielką litość, co wnoszę z tego, że ja, który postępuję z nią bezlitośnie, sprzedałbym duszę za to, żeby jej ulżyć. I jak nie

mam mówić, że miłość do cudzej żony jest nieszczęściem, skoro ona prowadzi człowieka do tego na przykład, że musi dręczyć istotę, za której spokój oddałby siebie samego! I tysiące takich błędnych kół na każdym kroku! Ostatecznie, my oboje jesteśmy ogromnie nieszczęśliwi. Ale ty, Anielko, masz przecie jakieś oparcie w życiu, masz swój dogmat – ja zaś jestem istotnie jak łódź bez steru i bez wiosła.

Jestem jakiś niezdrów. Złe sypiam, a raczej wcale, i nie może inaczej być. Doprawdy, chciałbym zachorować, ale tak porządnie; przeleżeć przez jaki miesiąc bez świadomości, bez pamięci, wypocząć za wszystkie czasy. To byłyby moje wakacje. Chwastowski wczoraj mnie oglądał i filozofował nade mną; powiedział, że mam system nerwowy rasy już przeżytej, ale że odziedziczyłem jeszcze duży zasób sił muskularnych. Myślę, że rzeczywiście ma rację; gdyby nie to, to bym się był nie oparł moim nerwom. Kto wie, czy nie temu przypisać należy w części tę moją obecną wyłączność, bo przecie owe siły musiały znaleźć jakieś ujście, a że go nie znalazły ani w wiedzy, ani w czynie, więc popłynęły jak potok jednym łozyskiem: miłości do kobiety.

Tylko dzięki nerwom: mętnie, burzliwie i krzywo! Przede wszystkim krzywo!

Co ja przechodzę wrażeń dziennie! Przed wieczorem przyszło do mnie kochane ciotczysko i poczęło mnie przeproszać za swoje pochwały dla panny Zawiłowskiej. Ucałowałem jej obie ręce i nawzajem przeproszałem ją za moje rozdrażnienie – ona zaś mówiła:

– Przrzekam ci, że już o niej nie wspomnę. Prawda, mój Leonie, chciałabym z duszy serca, żebyś się ożenił, bo jesteś ostatni z rodziny, ale Pan Bóg wie najlepiej, czy mi nade wszystko nie chodzi o twoje szczęście – mój drogi, kochany chłopcze.

Ja uspokajałem ją, jakem umiał, w końcu zaś rzekłem;

– Cioteczka wie, że ja jestem trochę baba, nerwowa baba!

Lecz ciotka zaraz oburzyła się na mnie.

– Ty, baba? Każdy może pobłądzić, ale żeby wszyscy mieli tyle rozumu i charakteru, to by się inaczej na świecie działo!

I jak tu rozpraszać takie złudzenia! Czasem porywa mnie rozpacz, bo sobie mówię: co ja mam do roboty w takim domu i wśród takich kobiet, które wzięły w arendę anielstwo? Dla mnie już za późno nawracać się na ich wiarę, a ile ja im mogę zgotować zmartwień, zawodów i nieszczęść!

*10 czerwca.*

Miałem dziś dwa listy: jeden od mego notariusza w Rzymie, drugi od Śniatyńskiego. Z Rzymu donoszą mi, że przeszkody, jakie stawia zwykle rząd włoski wywożeniu z kraju starożytnych zabytków i cennych przedmiotów sztuki, mogą być usunięte, a raczej dadzą się obejść. Zbiory ojca miały czysto prywatny charakter i nie były objęte żadną kontrolą państwową, będą zatem wysłane po prostu jako meble.

Trzeba mi teraz zająć się odpowiednim urządzeniem domu w Warszawie, co uczynię z niechęcią, albowiem myśl przewiezienia tych zbiorów do kraju straciła już dla mnie wszelki urok. Co mnie to teraz obchodzi i na co się to zdało! Jeśli nie zaniecham zamiaru, to tylko dlatego, że sam tyle rozpowiadałem o nim i że tyle z tego powodu pisano.

Wrócił mi się ten stan umysłu, który mnie tak trapił w czasie moich podróży, zaraz po zamążpójściu Anielki. Teraz znowu działam, patrzę i pojmuję nie inaczej, tylko w związku z myślą o Anielce, nie mam zatem żadnych bezpośrednich wrażeń. Idee, w których na dnie nie odkrywam jej, wydają mi się zupełnie puste i bez znaczenia. Jest to uderzające jako dowód, jak dalece człowiek może się zaprzepaścić. Czytałem dziś z rana odczyt Bungego pod tytułem: *Witalizm i mechanizm*, i czytałem z wyjątkowym zajęciem; wykazuje on bowiem naukowo to, co było w moich myślach od dawna, ale miało formę raczej niejasnych poczuć niż określonych przekonań. Tu wiedza przyznaje się do sceptycyzmu względem siebie samej i

nadto stwierdza nie tylko swoją bezsilność, ale i pozytywne istnienie jakiegoś świata, który jest czymś więcej niż materią i ruchem i który się nie daje wytłumaczyć ni fizycznie, ni chemicznie. To już mi jest wszystko jedno, czy ten świat będzie czymś naddanym względem materii, czy czymś poddanym. Czysta gra słów! Ja nie jestem uczonym, nie jestem obowiązany do ostrożności we wnioskach, więc rzucam się głową naprzód w te otwarte drzwi i – niech sobie nauka sto razy mówi, że tam jest ciemno, ja czuję, że mi tam będzie widniej niż z tej strony. Czytałem z chciwością prawie gorączkową i z ulgą wielką. Tylko zacofani głupcy nie zdają sobie sprawy, jak nas materializm gnębi i śmiertelnie nuży, jaka jest utajona bojaźń w umysłach, żeby wypadkiem jego nauka nie okazała się prawdą, jakie oczekiwanie nowej ewolucji naukowej i jaka radość jeńców, gdy się otworzy lada furtka, którą można uciec na wolne powietrze. Cała rzecz, iż duchy już są tak przybite, że nie śmia ni oddychać, ni uwierzyć we własne szczęście. Ale ja śmiał i miałem takie uczucie, jakbym się wydostał z dusznej piwnicy. Może to także było chwilowe wrażenie, rozumiem bowiem, że neowitalizm nie jest żadną epoką w nauce; może też jutro powrócę dobrowolnie do więzienia... Nie wiem!... Tymczasem było mi dobrze. Mówiłem sobie co chwila: jeśli tak jest, jeśli nawet drogą sceptycyzmu dochodzi się niewątpliwiej pewności, że istnieje świat nadzmysłowy, „naigrywający się ze wszelkiego mechanicznego tłumaczenia”, leżący absolutnie poza sferą „fizykochemicznych wyjaśnień” – to wszystko jest możliwe: wszelka wiara, wszelki dogmat, wszelki mistycyzm! Więc i wolno myśleć, że jak istnieje nieskończona przestrzeń, tak istnieje i nieskończony rozum, nieskończona dobroć; wolno się spodziewać, że jest jakaś wielka sutanna, ogarniająca wszechświat, do której można się przytulić – i jakaś opieka, pod którą kończy się zmęczenie. A jeśli tak, to dobrze! – to wiem przynajmniej, dlaczego żyję i dlaczego cierpię! Co za niezmierna ulga!

Powtarzam raz jeszcze, że nie jestem obowiązany do ostrożnych i nieśmiałych wniosków, a poprzednio już napisałem, że nikt nie jest bliższy mistycyzmu jak sceptyk. Sprawdziłem to teraz na sobie, bom począł bujać jak ptak, który więziony długo w klatce, wydostawszy się na swobodę, buja, rozkoszuje się i kąpie w przestrzeni. Widziałem nowe pola, pokryte nowym życiem. Nie wiem, czy to było na jakiejś innej planecie, czy gdzieś, hen! w przestrzeniach międzyplanetarnych, dość, że i to życie, i te pola były zupełnie odmienne od naszych; światło tam było jasne i łagodne, w powietrzu chłód pełen słodczy, głównie zaś różnica polegała na tym, że związek między duszą indywidualną a duszą ogólną był tam daleko bliższy, tak bliski, że nie podobna było rozeznaczyć, gdzie się kończy indywidualność, a zaczyna się ogół. Czuję przy tym, że właśnie na tej niejasności granicy polega szczęście tamtego życia, bo człowiek nie wyłącza się tam, nie przeciwstawia, ale istnieje w harmonii z otoczeniem, a tym samym żyje całą potęgą ogólnego życia.

Nie powiem, żeby to były widzenia; było to tylko przejście tego granicznego pasa, za którym kończą się ściśle rozumowania, a zaczynają się poczucia, będące jednak jeszcze niejako wnioskami z poprzednich premis – tylko doprowadzonymi tak daleko, że prawie nieuchwytnymi, jak może być prawie nieuchwytną ciągnięta do nieskończoności nitka złota. Zresztą ja nie umiałem jeszcze wcielić się całkowicie w to życie nowych pól ani dokładnie stopić się, ani dostatecznie zatracić w nich siebie samego. Zachowałem do pewnego stopnia swoją odrębność; czegoś mi brakło i zdawało mi się, że czegoś szukam wokół siebie. Nagle uczułem, że szukam Anielki. Oczywiście: tylko jej i zawsze jej! Co mnie bez niej mogło obchodzić to odmienne życie? Znalazłem ją na koniec, i poczęliśmy się razem błąkać, jak cień Paola z cieniem Franceski di Rimini...

Zapisuję to dlatego, że widzę w tym dowód niemal przestraszający, jak dalece moja istota pochłonięta jest przez uczucie dla tej kobiety. Co u licha! jaki może być związek między Bungiem i jego neowitalizmem a Anielką? A jednak ja, nawet gdy myślę o takich rzeczach, dochodzę w końcu do niej. Naukę, sztukę, naturę, życie sprowadzam teraz do tego jednego mianownika. Jest to oś, około której obraca się dla mnie świat.

Ma to swoją niesłychaną wagę, bo wobec tego, czy jest choć najmniejsze podobieństwo, żebym kiedykolwiek poszedł za radą rozumu, która jeszcze powtarza mi od czasu do czasu słabym, przyduszonym głosem: Wyjedź, uciekaj!

Wiem, że to się dobrze nie skończy, że to się nie może dobrze skończyć, ale skąd ja wezmę sił, skąd woli, skąd energii, kiedy to wszystko mi zabrano! Tak samo mógłbym. człowiekowi pozbawionemu nóg powtarzać: „Wstań i idź w świat!” Na czym? A ja jeszcze dodam: dokąd? po co? Tu jest moje życie!

Czasem bierze mnie ochota dać do czytania ten pamiętnik Anielce, ale nie zrobię tego. Li- tość jej dla mnie może by potem wzrosła, ale miłość musiałaby się zmniejszyć. Gdyby Anielka została moją, szukałaby we mnie oparcia, uspokojenia i niezachwianej wiary za dwoje, że to tak właśnie być powinno, że tak jest dobrze; tymczasem znalazłaby i co do tego nawet zwątpienie. Przypuszczam zresztą, że chociażby zrozumiała wszystko, co się we mnie działo i dzieje, wielu rzeczy nie mogłaby odczuć. My. jesteśmy takie dwie różne istoty! Oto na przy- kład ja, nawet wówczas, kiedy popadam w mistycyzm, kiedy sobie mówię, iż wszystko jest możliwe, wyobrażam sobie życie zaświatowe nie według ogólnych pojęć, a zatem – o ile te ogólne pojęcia można nazwać normalnymi – nienormalnie. Dlaczego? Jeśli wszystko jest możliwe, to tak samo jest możliwe piekło, czyściec i niebo, jak moje blade a jasne pola! A przy tym wizje Danta są przecie większe i wspanialsze od moich. Więc dlaczego? Z dwóch powodów. Oto naprzód dlatego, że mój sceptycyzm, który zatruwa się własnym zwątpieniem jak skorpion własnym jadem, ma jednak dość siły, żeby wyłączyć z różnorodnych przypusz- czeń pojęcia proste i ogólnie przyjęte – a po wtóre?... Po wtóre, że w tych dantejskich prze- grodach nie umiem sobie wyobrazić siebie i Anielki razem... Takiego życia nie chcę...

Ale to wszystko, co piszę i myślę, załatwiam za pomocą jakiejś cząstki mojej myślącej istoty; reszta jest przy Anielce. W tej chwili widzę jeszcze światło padające z jej pokoju na krzewy berberysu, rosnące pod oknem. Moja biedna miewa także bezsenne noce! Widziałem, jak dziś zdrzemnęła się nad robotą. W wielkim fotelu wydawała mi się malutka i oddychała głęboko ze zmęczenia. Miałem dla niej takie uczucie, jakby to było moje dziecko.

*11 czerwca.*

Przysłano mi na koniec ową główkę Madonny Sassoferrata. Oddałem ją Anielce przy ciot- ce i przy pani Celinie, jako rzecz należną i zapisaną. Nie mogła żadnym sposobem odmówić. Następnie sam przybijałem obraz w jej buduaru. Ładnie to tam wygląda. Ja nie kocham się w Madonnach Sassoferrata, ale ta taka jest prosta i taka pogodna w swoich jasnych tonach! Lubię pomyśleć, że Anielka, ilekroć na nią spojrzy, musi sobie przypomnieć, że to ja jej da- łem tę świętość, a dałem ją dlatego, że kocham. W ten sposób ta miłość, którą ona uważa za grzeszną, musi w jej myśli łączyć się z wyobrażeniem świętości. Dziecinna pociecha, ale kto nie ma żadnej, temu i taka dobra.

Miałem dziś jedną lepszą chwilę. Gdy obraz był już zawieszony, Anielka zbliżyła się do mnie, by mi podziękować. Ponieważ fotel, na którym siedziała pani Celina, był odsunięty dość daleko, więc w chwili, gdy Anielka cofała swoją rękę z mojej, zatrzymałem ją na sekun- dę i spytałem półgłosem:

– Czy ty mnie naprawdę, Anielko, nienawidzisz?

A ona potrzęsnęła główką, jakby ze smutkiem:

– Oj, nie! – odrzekła krótko.

Ile się mieściło w tej krótkiej odpowiedzi!

To się tak mówi, że jeśli uczucie kobiety kochanej nie ma nigdy wydobyć się na zewnątrz, to wszystko jedno, czy ona kocha. Nie! Nie wszystko jedno! Niech mam choć to; nie oddałbym tego za nic! O! To dopiero nie miałbym z czego żyć!

*12 czerwca.*

Jestem w Warszawie na skutek listu Śniatyńskiego, który odebrałem jeszcze onegdaj, a w którym wzywał mnie, bym przyjechał na obiad pożegnalny dla Klary. Na obiad nie pojechałem; odbył on się wczoraj, ale pożegnałem ją dziś na dworcu kolejowym. Właśnie stamtąd wracam. Poczciwa dusza odjeżdżała niezawodnie z żalem do mnie i z uczuciem doznanego zawodu, ale jak mnie tylko ujrzała, przebaczyła mi wszystko, i pożegnaliśmy się najserdeczniej. Ja także czułem, że mi jej będzie brakło, że stanie się jeszcze większa pustka koło mnie. Na moich mistycznych polach nie będzie pożegnań. To dzisiejsze było prawdziwie smutne, bo w dodatku wieczór był chmurny, dżdżysty; słońca potrwa zapewne parę dni. Mimo tego mnóstwo osób odprowadzało Klarę. Jej sleeping tak był zarzucony wieńcami i kwiatami jak grobowiec. Musi to wszystko usunąć, bo inaczej się udusi. Klara, w tej chwili odjazdu, nie liczyła się już wcale z tym, co ludzie mogą sobie pomyśleć, i – o ile w takich okolicznościach było to możebne – zajmowała się wyłącznie mną. Wszedłem do jej przedziału i rozmawialiśmy jak dwoje przyjaciół, nie zważając na obecność ani starej i wiecznie milczącej krewnej Klary, ani innych osób, które też pousuwały się w końcu dyskretnie na korytarzyk.

Trzymałem obie ręce Klary, a ona patrzyła na mnie swymi poczciwymi, niebieskimi oczyma, mówiąc przy tym wzruszonym głosem:

– Panu jednemu powiem szczerze, że znikąd nie było mi tak żal wyjeżdżać... Przy tej krętaninie w chwili odjazdu nie ma nawet na to czasu, żeby coś wypowiedzieć – ale jak mi żal!... We Frankfurcie widuję dużo i ludzi uczonych, i artystów, tylko, że... sama nie wiem... jest jakaś różnica... wy jesteście jakby delikatniejsze instrumenta. A już o panu nie ma co i mówić!

– Pani pozwoli pisywać do siebie?

– I ja będę pisywała, a pana chciałam o to prosić. Niby mam swoją muzykę, ale teraz mi to już nie zawsze wystarcza. Myślę, że i panu będzie to czasem potrzebne, bo pan może mieć wielu przyjaciół, ale tak oddanej, tak bardzo życzliwej przyjaciółki pewnie pan nie ma. Jestem tak niemądra, że mnie wszystko wzrusza, a tu zaraz trzeba jechać.

– Oboje ciągle kręcimy się po świecie: pani jako artystka, ja jako cygan, więc to nie jest rozstanie, to tylko: do widzenia!

– Do widzenia! do widzenia jak najprędzej! Pan także jest artysta! Można nie grać, nie pisać, nie malować, a w duszy być artystą. Ja to od pierwszej chwili poznania pana dostrzegłam – i to także, że pan niby szczęśliwy, a w gruncie rzeczy może być ogromnie smutny. Niech pan pamięta, że jest jedna Niemka, która jest dla pana jak siostra.

Podniosłem jej rękę do ust, ona zaś, sądząc, że już chcę wyjść, rzekła spiesźnie:

– Jeszcze jest czas, dopiero po drugim dzwonku.

Ja zaś rzeczywiście miałem ochotę już ją pożegnać. Ach, do czego ja doszedłem z moimi nerwami! Oto krewna Klary ubrana była z powodu deszczu w płaszcz z gumowej tafty, niesłychanie szeleszczący za każdym jej ruchem – i szelest ten, a raczej świst gumy, doprowadził mnie po prostu do rozpacz. Zresztą i tak zostawało już zaledwie parę minut. Usunąłem się na koniec, gdy wbiegła pani Śniatyńska.

– Hilst, w Frankfurcie! – zawołała za mną Klara – z domu odeślą mi list, gdziekolwiek będę.

Po chwili znalazłem się na peronie, pod oknem wagonu, wśród gwaru żegnających Klarę osób, pomieszanego z syczeniem pary, gwałtownym oddechem lokomotywy i nawoływaniem



służby kolejowej. Okno sleepinga obsunęło się na dół i raz jeszcze ujrzałem tę pocziwą, przyjazną twarz.

– Gdzie pan spędzi lato? – spytała Klara.

– Nie wiem; napiszę pani – odpowiedziałem.

W tej chwili oddech maszyny stał się szybszy, rozległ się ostatni gwizd i pociąg ruszył. Pożegnaliśmy Klarę okrzykiem, ona posyłała nam rękoma pożegnanie od ust, aż na koniec znikła w oddaleniu i pomroce.

– Bardzo panu będzie tęskno? – spytała mnie nagle pani Śniatyńska.

– Bardzo! – odpowiedziałem i skłoniwszy się, poszedłem do domu.

Rzeczywiście miałem takie uczucie, jak gdyby odjechała osoba, która w danym razie mogła mi pomóc. Byłem niesłychanie rozdrażniony. Może przyczynił się do tego ten ponury wieczór, pełen dżdżu i mgły tak gęstej, że wszystkie latarnie wyglądały z daleka jak tęczowe koła. Ostatnia iskierka nadziei zgasła we mnie. Pesymizm nie tylko był we mnie, ale zdawał się ogarniać świat cały jak atmosfera, ciążyć na rzeczach, ludziach, przenikać we wszelkie kształty i wszelkie istoty.

Niosłem w sobie do domu ucisk i ogromny niepokój, jakby trwożę przed jakimś nieznanym i nieokreślonym niebezpieczeństwem. Zbudziła się we mnie na chwilę szalona nostalgia za słońcem i pogodą, za krajami, w których nie ma takich deszczów, ciemności i mgieł. Zdawało mi się, że jeśli ucieknę tam, gdzie będzie bardzo widno, to samo światło zdoła czegoś nie dopuścić i od czegoś mnie obronić. Cała moja zdolność myślenia streściła się w jednym wyrazie, który powtarzałem jak echo: „Wyjechać! wyjechać!” Nagle zdjął mnie strach na przypomnienie, że wyjechawszy zostawię tu Anielkę samą i wydam ją na owe nieokreślone niebezpieczeństwa, przed którymi chcę zbiec. Wiem, że to złudzenie, że jej mój wyjazd wyszedłby na dobre, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że byłoby to z mej strony jakieś tchórzostwo i jakaś nikczemność... Jest to we mnie silniejsze od wszelkich rozumowań... Zresztą: wyjechać – to puste słowo. Mogę je sobie powtarzać, mogę odczuwać, ale gdyby przyszło zmienić je w czyn – okazałoby się, że to jest czyn najmniej możliwy ze wszystkich, jakie leżą w mej mocy. Włożyłem taki ogrom nerwów, takie mnóstwo życia w to uczucie, że łatwiej bym się już mógł dziś porozrywać na kawałki, niż od niego oderwać.

Posiadam zdolność kontrolowania moich myśli i świadomość siebie w tak wysokim stopniu, iż wydaje mi się zupełnie niepodobnym przypuszczenie, abym mógł dostać pomieszania zmysłów. Nie umiem sobie nawet tego wyobrazić – chwilami czuję jednak, że moje nerwy nie dałyby się już o wiele więcej wyciągnąć.

Szkoda Klary. Widywałem ją w ostatnich czasach rzadko, ale wolałem myśleć, że ona jest niedaleko – teraz Anielka do reszty mnie zabierze, bo oddam jej i te władze, którymi się lubi spokojnie, którymi się odczuwa przyjaźń.

Wróciwszy do domu zastałem młodego Chwastowskiego; przyjechał, wieczorem na naradę z bratem księgarzem. Urządzają jakieś przedsiębiorstwo rozprzedaży elementarnych książek. Oni wiecznie coś robią, wiecznie czymś się zajmują i przez to mają ogromnie pełne życie. Doszedłem już do tego, że się ucieszyłem jego widokiem, zupełnie tak jak dziecko, które, bojąc się strachów, rade widzi, że ktoś wchodzi do pokoju. Jego czerstwość duchowa pokrzepia mnie. Mówił, że pani Celinie jest coraz lepiej i że za jaki tydzień będzie mogła wyjechać do Gasteinu. O to! to! Byle zmienić miejsce. Będę popychał tę sprawę ze wszystkich sił. Namówię i ciotkę, żeby razem pojechała. Ona to robi dla mnie, a w takim razie nikt się nie zdziwi, że i ja pojedę. Przynajmniej czegoś chcę i chcę bardzo! Ile to będzie sposobności do opiekania się Anielką! Będziem jeszcze bliżej siebie niż w Płoszowie. Czuję trochę ulgi, bo zresztą dziś był okropny dzień, a nic mnie tak nie gnębi jak niepogoda. Słyszę jeszcze, jak deszcz dzwoni po rynnach – ale w przerwach między chmurami widać już trochę gwiazd.

12 czerwca.

Kromicki dziś przyjechał...

Gastein, 23 czerwca.

Jesteśmy już od tygodnia w Gasteinie całym domem, to jest: Anielka, ciotka, pani Celina, ja i Kromicki. Przerwałem na czas jakiś pisanie, nie dlatego, bym się pozbył nałogu albo nie czuł potrzeby, ale dlatego że to, co się ze mną działo, nie mogło się żadną miarą w słowach pomieścić. Póki się człowiek odpręża i szamoce z siłą, która go ciśnie, poty nie ma głowy ni czasu na nic innego. Byłem w takim stanie, jak ów skazany w pamiętnikach Sanssona, z którego darto pasy i zalewano rany po zdartych pasach roztopionym ołowiem, a który krzyczał w uniesieniu nerwowym: *Encore! Encore!* – aż wreszcie omdlał. Ja już omdlałem, to znaczy, że się wyczerpał i poddał się zupełnie.

Ciąży nade mną taka jakaś ogromna ręka jak te góry, w których siedzimy.

Ale cóż na to poradzę? Przecie się jej nie wyprę, niech więc mnie gniecie. Nie wiedziałem, że można znaleźć jeśli nie pewną pociechę, to pewne uspokojenie w poczuciu swej bezsilności i rozumieniu swej nędzy.

Obym tylko znów nie zaczął się odprężać, oby ten stan trwał jak najdłużej! Spisywałbym sobie to, co mnie spotyka, jak gdybym był kimś innym. Ale wiem z doświadczenia, jak dzień bywa niepodobny do dnia – i boję się tego, co jutro przyniesie.

24 czerwca.

Napisałem przy końcu mego pobytu w Warszawie takie zdanie: „Miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest podłością; jeśli jest rzeczywistą, jest jednym z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może.” Pisząc to przed przybyciem Kromickiego, nie zdawałem sobie sprawy ze wszystkich składników takiego nieszczęścia. Myślałem, że jest ono szlachetniejsze, niż jest istotnie. Teraz dopiero widzę, że prócz wielkich bólów składają się na nie i małe upokorzenia, i poczucie własnej nikczemności, i własne śmieszności, i konieczność kłamstwa, i potrzeba spełniania tysiąca nędznych uczynków, zachowywania tysiąca niegodnych człowieka ostrożności – co za bukiet! Doprawdy, od zapachu tych kwiatów można się udusić.

Bóg widzi, z jaką rozkoszą wziąłbym Kromickiego za gardło, przycisnął go do ściany i powiedział mu w same białka: Kocham twoją żonę! – a zamiast tego, muszę się starać, by nawet nie przyszło mu do głowy, że ona mi się podoba. Jaka to piękna rola względem niej! Co ona sobie może o mnie pomyśleć! To właśnie jeden kwiatek z tego bukietu.

25 czerwca.

Póki będę żyw, nie zapomnę tego dnia, w którym przyjechał Kromicki. Zajechał w Warszawie wprost do mnie. Wróciwszy do domu późnym wieczorem, zobaczyłem w przedpokoju jakieś pakunki. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi od razu do głowy, że to mogą być kuferki Kromickiego. Nagle on sam wyjrzał z przyległego pokoju i wypuściwszy na mój widok monokl z oka, skoczył z otwartymi rękoma witać nowego krewnego. Widziałem jak przez sen jego suchą czaszkę podobną do trupiej głowy; jego świecące oczka i czarną czuprynę. Po

chwili objęły mnie ramiona jakby drewnianego manekina. Przyjazd Kromickiego był rzeczą łatwą do przewidzenia, a jednak było mi tak, jakbym zobaczył śmierć. Zdawało mi się, że mam straszny sen i że te słowa: „Jak się masz, Leonie!” – są najbardziej fantastycznymi, najmniej prawdopodobnymi słowami, jakie mogę usłyszeć. Nagle porwała mnie taka wściekłość, takie obrzydzenie i taka trwoga, że potrzebowałem całego natężenia woli, żeby się na tego człowieka nie rzucić, nie obalić go na podłogę i nie rozbić o nią jego czaszki. Doznawałem nieraz uczucia wściekłości i obrzydzenia, ale zaprawa tych uczuć trwogą była dla mnie czymś nowym i niepojętym; nie był to bowiem strach przed żywym człowiekiem, ale jakby przed umarłym. Długi czas nie zdołałem się zdobyć ani na jedno słowo. Na szczęście on mógł przypuszczać, że go nie poznał albo że był zdziwiony, iż on, człowiek, z którym zaledwie się znałem, od razu traktuje mnie jak krewnego i mówi mi ty... Drażni mnie to jeszcze do dziś dnia w najwyższym stopniu.

Starłem się ochłonać; on tymczasem założył monokl i, potrząsając na nowo moją ręką, mówił:

– Jak się masz? Jak tam Anielka? Jak matka?... chora zawsze, co? a ciocia? – a?

I znowu ogarnęło mnie zdumienie z zaprawą nieludzkiego gniewu, że on najbliższe i najdroższe mi kobiety wymienia tak, jakby były równie bliskie jemu. Człowiek światowy, jakim jestem, wszystko zniesie, wszystko ukryje, bo go do tego wdrażają od dzieciństwa – a jednak czułem, że nie wytrzymam. Począłem wołać na służbę, by podawano herbatę, chcąc w jakikolwiek sposób wyrwać się z tego odretwienia i zająć myśl czym innym. Kromickiego jednak zaniepokoiło to, że mu nie odpowiadam, i wypuściwszy drugi raz monokl, spytał żywo:

– Czy się co nie stało? Czemu nic nie mówisz?

– Zdrowi wszyscy – odrzekłem.

Nagle przyszło mi na myśl, że to moje wzruszenie daje z miejsca przewagę nade mną temu nienawistnemu człowiekowi, i opanowałem się w jednej chwili.

Zaprowadziłem go do jadalnego pokoju i posadziwszy za stołem spytałem:

– Co u ciebie słyhać? Na długo przyjechałeś?

– Nie wiem – odrzekł. – Tęskno mi było do Anielki – a myślę, że i jej do mnie. Myśmy le-dwie parę miesięcy spędzili razem. Jak na młode małżeństwo, to trochę za mało – co?

I roześmiał się swoim drewnianym śmiechem, po czym rzekł:

– Zresztą mam i tu interesa. Interesa! Interesa i zawsze interesa!

Tu począł zaraz opowiadać mi obszernie o swoich sprawach, ale ja nie słuchałem i nie rozumiałem z tego ani słowa. Słyszałem tylko co chwila wyraz *f o r s a* i widziałem ruch monokla. Dziwna rzecz, jak w wielkim nieszczęściu mogą drażnić rzeczy małe. Nie wiem, czy tak jest ogólnie, czy tylko ze mną, dość że ten wyraz *f o r s a* i ten monokl były mi przykre nie do zniesienia. W pierwszej chwili powitania byłem prawie nieprzytomny, a jednak mogłem być porachować wszystkie ruchy monokla. Tak bywa zawsze – i teraz.

Po herbacie odprowadziłem Kromickiego do pokoju, który mu przeznaczyłem na nocleg. Tam, nie przestając opowiadać, począł się z pomocą służącego rozpakowywać. Czasem przerwał opowiadanie o interesach pokazując mi jakieś osobliwości przywiezione z Dalekiego Wschodu. Między innymi rozwiązał paski podróżne, w których obok pledu były dwa małe dywaniki wschodnie, i rzekł:

– To kupiłem, jakem był w Batum. Ładne, co? Pójdą przed nasze łóżka.

Zmęczony się, siadł po wyjściu służącego na fotelu i gadał dalej o swoich obrotach na Wschodzie i nadziejach, ale ja myślałem o czym innym. Jest to niechybnie ratunkiem dla człowieka, iż w danym razie, nie mogąc się obronić ogółowi nieszczęścia, broni się pojedynczym jego szczegółom. Mnie teraz chodzi głównie o to, czy Kromicki pojedzie, czy nie pojedzie do Gasteinu; dlatego po chwili rzekłem:

– Mało cię znałem dotychczas, ale teraz wierzę, że ty zrobisz majątek. Nie jesteś nic a nic lekkomyślny i dla sentymentów nie poświęcisz spraw ważniejszych.

Kromicki uściskał mi gorąco rękę.

– Nie uwierzysz – odpowiedział – jak mi na tym zależy, żebyś miał zawsze do mnie zaufanie.

Ja w pierwszej chwili nie uważałem na szczególne znaczenie tych słów; zajęty byłem myślą, że już popełniłem względem Kromickiego kłamstwo i podłość – kłamstwo, bom nie wierzył w jego zdolności do interesów, a podłość, bom mu pochlebiał – jemu, którego bym chętnie utopił w łyżce wody. Ale chodziło mi przede wszystkim o to, by go odwieść od podróży do Gasteinu – więc brnąłem przez tę wodę dalej.

– Widzę, że ci nie na rękę podróż tych pań – rzekłem.

On w odpowiedzi począł narzekać na zdrowie pani Celiny, tak jak pospolity egoista, który wszystko odczuwa o tyle tylko, o ile jego to dotyczy.

– Naturalnie – mówił – że mi ta wyprawa nie jest na rękę. Między nami, myślę, że mogłoby się bez niej obyć. Wszystko powinno mieć swoją miarę, nawet przywiązanie córki do matki. Kobieta, która wyszła za męża, powinna rozumieć, że pierwsze jej obowiązki są względem męża. Przy tym ta matka siedząca wiecznie o ścianę, w sąsiednim pokoju, krępuje swobodę, nie pozwala ludziom żyć się ze sobą i oddać się wyłącznie sobie. Nie przeczę, że przywiązanie dzieci do rodziców jest rzeczą chwalebną, ale gdy jest posunięte do przesady, staje się przeszkodą życiową.

Wpadłszy na ten przedmiot, rozgadał się i wygłosił mnóstwo podobnych prawd, ogromnie płaskich i pospolitych, które drażniły mnie tym więcej, że jest w nich pewna doza słuszności. Na koniec rzekł:

– Ale trudno. Ja jestem jak kupiec: wiedziałem, jaki kontrakt zawieram, i gotów jestem spełnić wszystko to, co mnie obowiązuje.

– Więc pojedziesz do Gasteinu?

– Naprzód mam w tym osobisty interes. Chodzi mi o to, żebyśmy się poznali bliżej z sobą i z ciotką, i żebyście naprawdę nabrali do mnie zaufania. Pogadamy o tym w przyszłości. Mam miesiąc albo półtora wolnego czasu. Zostawiłem na Wschodzie Lucjana Chwastowskiego, który pilnuje moich spraw, a który jest, jak mówią Anglicy, *a solid man*. Rozumiesz przy tym, że jak się ma taką żonę jak Anielka, to się człowiekowi chce pomieszkać z nią trochę Pod jednym dachem – rozumiesz, co?

To mówiąc wytrzeszczył swoje żółte, spróchniałe zęby, roześmiał się i począł mnie klepać po kolanie. A mnie czyniło się zimno w mózg i czaszkę. Czulem doskonale, że blednę. Wstałem i odwróciwszy się prędko od światła, by on nie dostrzegł zmiany w mojej twarzy, wysiliłem się na pytanie:

– Kiedy jedziesz do Płoszowa?

– Jutro, jutro!

– Dobranoc!

– Dobranoc! – odrzekł, wypuszczając monokl z oka.

I wyciągnąwszy do mnie obie ręce, dodał:

– Ogromnie rad, że się będziemy mogli zbliżyć. Zawsze miałem do ciebie jakąś słabość... Ręczę, że zrozumiemy się doskonale.

My z nim mamy się zrozumieć? Jaki on jest bezdennie głupi! Ale im jest głupszy, tym mi straszniej pomyśleć, że Anielka jest jego własnością, jego, po prostu, rzeczą. Nie próbowałem nawet rozbierać się tej nocy. Nigdy nie widziałem tak jasno, że może być położenie, w którym słowa się kończą, kończy się zdolność rozumienia i odczuwania klęski – a klęska się nie kończy. Istotnie obmyślono nam wspaniałe życie! Dość powiedzieć, że poprzedni okres mego istnienia, w którym Anielka deptała po moim uczuciu i który uważałem za szczyt niedoli, wydał mi się teraz okresem bajecznego szczęścia. Gdyby wówczas i gdyby dziś jeszcze zjawił się przede mną diabeł i dał mi do podpisania kontrakt, że wszystko zostanie tylko tak, jak było dotąd, że Anielka wiecznie będzie policzkowała moją miłość, ale za to Kromicki

nigdy nie przyjedzie, to bym w zamian ofiarował moją duszę i podpisałbym go bez wahania. Bo w mężczyźnie, którego kobieta odtrąca, wyrabia się mimo woli przekonanie, że ona stoi na szczycie jakiejś wieży gotyckiej, na jakiejś niedostępnej wyżynie, ku której oczu nie wolno podnieść. Tak ja mimo woli myślałem o Anielce. Tymczasem przyjeżdża taki pan Kromicki, z dwoma dywanikami z Batum, i ściąga ją bez ceremonii z tej wyżyny aż na te dywaniki – ją, tę nieugiętą, tę nieubłaganą, tę kapłankę! Jaka to straszna rzecz, że człowiek może myśleć i wyobrażać sobie wszystko – a jaki jest przy tym obrzydliwie płaski i śmieszny! Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teoryj, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślubnych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie – i teraz – ja będę mieszkał z moimi teoriami, a Kromicki z Anielką.

Ponieważ wiatr ma być stosowany do wełny jagnięcia, więc pomyślałem sobie, że i człowiek także może unieść tylko pewien oznaczony ciężar, a jeśli mu nałożą więcej na plecy, to musi upaść. W swoim nieszczęściu bez miary, w swojej również bez miary głupocie i poniżeniu, i śmieszności czułem, że od chwili przyjazdu Kromickiego zaczynam pogardzać Anielką. Dlaczego? Żadnymi ludzkimi powodami nie umiałbym tego usprawiedliwić. Żona powinna należeć do męża. Tę prawdę umiem równie dobrze na pamięć, jak każdy inny głupiec, ale w stosunku do mego uczucia jest ona upodleniem dla Anielki. Co mnie zresztą mogą obchodzić wszystkie rozumowania! Wiem, że gardzę i że to jest właśnie więcej, niż mogę przenieść. Poczulem, że istnienie w tych warunkach jest dla mnie czystym niepodobieństwem i że koniecznie, bez najmniejszej wątpliwości, muszą teraz przyjść zmiany zupełne, w których zatrafi się to, co było.

Ale jakie zmiany? Gdyby pogarda udusiła moje uczucie jak wilk owcę, to byłoby dobrze. Miałem jednak zaraz poczucie, że nastąpi coś innego. Gdybym Anielki nie kochał, to bym nią nie pogardzał – więc pogarda to tylko nowy łańcuch do mojej obroży. To doskonale rozumiałem, że poza panią Kromicką, poza panem Kromickim i ich wzajemnym stosunkiem nie obchodzi mnie na świecie nic, zupełnie nic! – ani światło, ani ciemność, ani wojna, ani pokój, ani żadna rzecz, która jego jest. Ona, Anielka, a raczej teraz oni oboje i mój udział w ich życiu, to jedyna racja mego istnienia. Jeżeli zaś z tej samej racji nie mogę istnieć, więc co ma nastąpić? Nagle doznałem jakby zdziwienia, że jedyna, najprostsza rzecz nie przysłała mi do głowy – śmierć. Co za niesłychana siła w rękę ludzkim ta możliwość przecięcia nici! Teraz czekam cię, zły duchu mojego życia, i powiadam ci tak: „Będiesz poty tylko dokładał mi ciężaru na kark, póki ja sam zechcę. Gdy mi będzie nadto, to cię kopnę razem z twoim ciężarem”... *E poi eterna silenza...* nirwana, czwarty wymiar Zöllnera... zresztą, czy ja wiem co! Na samą myśl o tym, że ostatecznie wszystko zależy ode mnie, doznałem ogromnej ulgi... Z godzinę przeleżałem na sofie rozważając, jak i kiedy to uczynię – i już samo oderwanie umysłu od Kromickiego, od jego przyjazdu, od mej dla niego zawiści, było dla mnie jakby odpoczynkiem. Taka rzecz, jak odebranie sobie życia, wymaga pewnych materialnych zachodów – co także prowadzi za sobą konieczność myślenia o czymś jeszcze poza swoją biedą. Przypomniałem sobie zaraz, że mój podróżny rewolwer ma zbyt mały kaliber. Wstałem, by go obejrzeć, i dokonawszy tego, postanowiłem kupić inny.

Począłem sobie łamać głowę, jak w danym razie urządzić rzecz w taki sposób, iżby powszechnie uwierzono w wypadek. Wszystko to zresztą była czysta teoria. Nic nie krystalizowało się we mnie w określony zamiar. Nazwałbym to raczej poczuciem możliwości samobójstwa niż postanowieniem. Owszem, byłem teraz pewny, że to nie nastąpi prędko. Bo, myślałem sobie, skoro wiem, gdzie jest brama i zawsze mogę wydostać się na pole, to zostanę, żeby zobaczyć: do jakiego też stopnia zło może się wysilić? jaką jeszcze obmyślono mi mękę? Pa-liła mnie bolesna, ale niepohamowana ciekawość, co się jeszcze stanie, jak tych dwoje ludzi będzie żyło z sobą, jak Anielka będzie mi patrzyła w oczy?... Znużyłem się na koniec i usnąłem w ubraniu ciężkim snem, bo pełnym monokłów Kromickiego, rewolwerów i wszelkiego rodzaju bezładu, w którym ludzie mieszają się z rzeczami. Zbudziłem się jednak późno, Słu-

zący powiedział mi, że Kromicki już był wyjechał do Płoszowa. Pierwszą myślą moją było jechać za nim, widzieć, zobaczyć ich razem. Ale siedząc już w powozie, uczułem nagle, że tego nie przeniosę, że mi to będzie zbyt ciężkie i nieznośne; zrozumiałem, że to mogłoby zbyt przyspieszyć moje wyjście przez otwartą bramę na owo nieznane pole – i kazałem się wieźć gdzie indziej.

Człowiek, choćby był największym pesymistą, unika instynktownie złego i broni się od niego wszystkimi siłami. Dlatego chwyta się każdej nadziei, oczekuje polepszenia od każdej zmiany. Obudziła się we mnie taka chęć, byśmy jak najprędzej mogli wyjechać do Gasteinu, jakby mnie tam czekało zbawienie. Ale jednak chciałem wyjechać. Byle ich ruszyć z Płoszowa! – ta myśl nie dawała mi spokoju i opanowała mnie tak zupełnie, że poświęciłem cały dzień jej wykonaniu.

Nie przyszło to trudno. Te panie były już prawie gotowe. Kromicki nic poprzednio nie pisał o swoim przyjeździe, widocznie chciał zrobić żonie niespodziankę, więc mieliśmy i tak za parę dni wyruszyć. Teraz wypadało zapewne dać mu odpocząć i zapytać go, kiedy będzie mógł wyjechać, ale ja umyślnie postanowiłem nie liczyć się z nim, tak jak gdyby nie istniał.

Pojechawszy na kolej, zamówiłem sleeping do Wiednia na dzień następny, po czym wysłałem służącego do Płoszowa z listem do ciotki, w którym napisałem, że bilety już kupiłem, ponieważ zaś wagony na wszystkie dalsze dni tygodnia są przez kogo innego zamówione, więc musimy jutro jechać.

*26 czerwca.*

Wracam jeszcze do ostatnich chwil naszego pobytu w Warszawie. Te wspomnienia z nadto wycisnęły się na moim mózgu, bym mógł o nich zamilczeć. Miałem dziwne wrażenie na drugi dzień po przyjeździe Kromickiego. Oto zdawało mi się, że już nie Kocham Anielki – ale że swoją drogą nie mogę bez niej żyć. Pierwszy raz doznawałem takiego stanu, który nazwałbym rozłamaniem psychicznym. Dawniej, gdy cały ten proces uczucia odbywał się we mnie prawidłowej, mówiłem sobie: „Kocham ją, więc jej pragnę” – z równą logiką, jak Kartezjusz mówił: „Myślę, więc jestem.” Teraz zmieniło się to na: „Nie Kocham, ale pragnę” – i obie te części istniały we mnie, jakby wypisane na dwóch oddzielnych odłamkach kamienia. Obie mnie gnioły niewypowiedzianie. Nieprędko zrozumiałem, że owo *n i e k o c h a m* – jest złudzeniem. Kocham jak i dawniej, tylko w sposób tak bolesny, tak gorzki, tak zatruty, że ta miłość nie ma już nic wspólnego ze szczęściem.

Czasem myślę, że gdybym nawet teraz usłyszał wyznanie Anielki, gdybym ją rozwiódł, gdyby ona owdowiała i została moją, nie byłbym już szczęśliwy. Kupiłbym taką godzinę za cenę życia, ale doprawdy nie wiem, czy potrafiłbym ją przerobić na istotne szczęście. Kto wie, czy te nerwy, którymi się odczuwa szczęście, nie zostały we mnie sparaliżowane. To się może zdarzyć. Rzeczywiście, na co mi takie istnienie?

W wigilię wyjazdu byłem w składzie broni. Co za szczególniejszy człowiek sprzedawał mi rewolwer! Gdyby nie był puszkarzem, mógłby zostać profesorem psychologii. Wszedłszy do sklepu, powiedziałem mu z góry, że mi jest wszystko jedno, czy to będzie system Colta, czy Smitha, byle sztuka była dobra i posiadała odpowiednio duży kaliber. Stary człowiek wybrał mi broń, na którą zgodziłem się natychmiast, następnie spytał:

– Zapewne będą panu potrzebne i ładunki?

– Właśnie chciałem o nie prosić.

Puszkarz począł na mnie patrzeć uważnie.

– Czy mam dodać pokrowiec na rewolwer?

– Naturalnie. Proszę i o pokrowiec.

– To dobrze – odpowiedział – w takim razie dostanie pan ładunki tego samego numeru, co rewolwer.

Teraz ja spojrziałem na niego ze zdziwieniem, on zaś mówił dalej:

– Ja, panie dobrodzieju, mam czterdzieści lat praktyki w moim zawodzie i nauczyłem się niejednego. Często kupowali u mnie broń ludzie, którzy potem strzelali sobie we łby. I co pan powiesz? Nie zdarzyło się, żeby taki człowiek kupił pokrowiec. Zawsze było tak. Przychodzi i powiada: „Proszę o rewolwer.” „A z pokrowcem?” „Nie, niepotrzebny.” To jest osobliwsza rzecz, bo przecie człowiek, który sobie chce w łeb strzelić, nie potrzebuje rubla oszczędzać. Ale taka już natura ludzka... Każdy, widać, sobie mówi: Na diabła mi futerał! Ale właśnie dlatego, jak kto przychodzi po rewolwer, zaraz wiem, czy sobie chce w łeb strzelić czy nie.

– Pan mi powiadasz bardzo ciekawe rzeczy – odpowiedziałem.

Istotnie wydało mi się to niezmiernie charakterystycznym.

Puszkarz zaś mówił dalej:

– Jakem to pomiarkował, tak wymyśliłem taki sposób: kto bierze rewolwer bez futerału, to ja się niby myślę i daję mu ładunki o jeden numer za duże. Strzelić sobie w łeb, to przecieź niemała rzecz. Trzeba ha to diablo wziąć się w kupę i zebrać odwagę. Myślę, że niejednego zimny pot obleje... Nareszcie zdobył się człowiek na postanowienie i dalej do rewolweru. A tu ładunki nie leżą... Choć głową o mur bij – trzeba odłożyć do jutra... A co pan myśli: że to łatwo drugi raz się na to zdobyć? Niejeden, co byłby sobie na razie w łeb strzelił, jak już śmierci zajrzał w oczy, nazajutrz tego nie robi. Byli tacy, co przychodzili na drugi dzień i kupowali futerał... A mnie się tylko śmiać chciało. „Masz futerał i żyj zdrów!”

Zapisuję tę rozmowę, bo mnie teraz rzeczy dotyczące samobójstwa mocno obchodzą, a słowa starego puszkarza wydały mi się dokumentem ludzkim do tej sprawy.

*27 czerwca.*

Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe – że wszystko to zależało ode mnie i że wszystko to zmarnowałem tylko przez nieudolność życiową. A wówczas zadaję sobie pytanie: czy nie mam początków pomieszania zmysłów? – i czy istotnie mogłem mieć Anielkę na zawsze? Ale przecie pamiętam doskonale cały przebieg wypadków od chwili poznania się naszego aż do dziś. I powiedzieć, że ta kobieta byłaby moją i tak wierną mnie, jak jest tamtemu, i stokroć jeszcze wierniejszą, bo mnie by kochała całą duszą! Wrodzona nieudolność – tak jest! Ale choćby mnie to całkiem usprawiedliwiała we własnych oczach – co mi z tego, kiedy nie znajduję w tym żadnej pociechy? Trochę ulgi przynosi mi jedynie myśl, że tak potomkowie rodów przeżytych jak i najbujniejszych skończą na tym, że ich zasypią ziemią... To mi zmniejsza różnicę między mną a tak zwanymi dzielnymi ludźmi. Całym nieszczęściem istot podobnych do mnie jest ich wyłączenie. Jak głupie pojęcie mają w ogóle nie tylko romansopisarze, ale psychologowie fachowi i nawet fizjologowie, o rodach przeżytych! Wyobrażają sobie zawsze, że wewnętrznej nieudolności życiowej odpowiada stale nikłość fizyczna, mały wzrost, słabe mięśnie, anemiczny mózg i licha inteligencja. Może tak czasem bywa, ale czynić z tego ogólną zasadę – to błąd i pedantyczne powtarzanie jednego w kółko. Potomkowie rodów przeżytych odznaczają się nie brakiem sił żywotnych, ale brakiem harmonii między nimi. Ja sam jestem fizycznie tęgim człowiekiem i nie byłem nigdy głupcem – a znałem ludzi mojej sfery zbudowanych jak antyki greckie, uzdolnionych, bystrych, którzy jednak nie umieli żyć i źle skończyli, właśnie z braku równowagi między zbyt zresztą bujnymi siłami żywotnymi. Są one w nas jakby źle uorganizowane społeczeństwo, w którym nie wiadomo, gdzie zaczynają się prawa jednych, a kończą drugich. Stoimy nierządem, a wiadomo powszechnie, że nierządem stać nie można. Każda z tych sił działa i ciągnie tylko w swoją stronę, często przeciąga wszystkie inne – i stąd rodzą się tragiczne wyłączenia. Ja właśnie jestem teraz chory na taką wyłączenie, dzięki której poza Anielką nic mnie nie obchodzi, nic mnie nie zajmuje, o nic nie mogę życia zaczepić. Ale ludzie nie rozumieją, że taki brak harmonii,

że taka anarchia sił żywotnych jest chorobą cięższą niż fizyczna i moralna anemia. Oto rozwiązanie zagadki, Dawniej życie i stosunki społeczne przynosiły nam ratunek, bo żądały od nas czynów i poniekąd zmuszały nas do nich. Dziś, gdy usunęliśmy się od życia i gdy zatruwa nas filozofowanie i zwątpienie, choroba nasza zaostrza się jeszcze bardziej w tak niehygienicznych warunkach. Doszliśmy wreszcie do tego, że zdolni jesteśmy nie do czynów, ale tylko do wyskoków, skutkiem czego właśnie najzdolniejsi i najbogaciej uposażeni spośród nas kończą zawsze na jakimś szaleństwie. Ze wszystkiego, z czego się składa życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta – i jedno z dwojga – albo rozpraszamy się wydając po groszu kapitał życiowy na rozpustę, albo też, uczepliwszy się za jakąś miłość, jak za gałąź rosnącą nad otchłanią, wisimy w powietrzu, tym bardziej narażeni na skrzywienie karku, że najczęściej wybieramy miłość nieprawą, noszącą w istocie swej zarody tragedii. Ja wiem, że uczucie moje dla Anielki musi się źle skończyć – i wiedząc o tym, nie próbuję już nawet bronić się od niego, bo zresztą obrona byłaby także zgubą.

*28 czerwca.*

Kąpiele, a zwłaszcza chłodne tutejsze powietrze, służą pani Celinie. Co dzień jest rzeświejsza – i ponieważ otaczam ją staraniami, ponieważ dbam o jej wygody, jakby była moją rodzoną matką, więc jest mi wdzięczna i lubi mnie coraz więcej. Anielka to uważa – i również nie może się obronić wdzięczności dla mnie, ale jestem pewny, że uczucie to miesza się z coraz większym żalem, albowiem daje jej widzenie tego wielkiego szczęścia, jakiego używalibyśmy wszyscy, gdyby się to było stało, co się stać mogło. Mam teraz wszelką pewność, że ona Kromickiego nie kocha. Jest i pozostanie mu wierna – ale gdy ich widzę razem, dostrzegam na jej twarzy jakby przymus, jakby upokorzenie. Widzę, że ilekroć razy on, który jest może naprawdę zakochany, a może jeszcze bardziej chce, by uważano ich za zakochane w sobie małżeństwo, pieści jej ręce, gładzi jej włosy, całuje czoło – tylekroć, jestem pewien, ona wolałaby się pod ziemię zapaść, niż poddawać się tym pieścizdom wobec mnie i innych. Znosi je jednak, musi się uśmiechać, a i ja znoszę ten widok i także się uśmiecham; tylko, dla rozrywki, wkładam sobie wówczas w duchu ręce do wnętrzości i szarpie je. Czasem przychodzi mi także na myśl, że ta kapłanka Diany jest zapewne swobodniejsza i mniej powściągliwa w okazywaniu swych uczuć, gdy jest z mężem sam na sam... Ale takiej rozkoszy, jaką dają podobne myśli, wystrzegam się, bo czuję, że kropelka jeszcze, a stracę równowagę i przestanę panować nad sobą. Stosunek mój do Anielki jest okropny i dla niej, i dla mnie. Miłość moja przybiera pozory nienawiści, pogardy, ironii. Męczy to Anielkę i przestrasza. Czasem spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: Co ja winna? Ja sam powtarzam sobie często: Co ona winna? – ale nie mogę, na miły Bóg, nie mogę być dla niej inny! Im widzę ją bardziej skrzepowaną, pogwałconą, tym większa budzi się we mnie zawziętość przeciw niej, przeciw Kromickiemu, przeciw sobie i całemu światu. I nie dzieje się tak z braku litości we mnie dla tej, równie jak ja, nieszczęśliwej istoty. Ale jak woda, zamiast gasić zbyt rozszalały pożar, podnieca go jeszcze więcej – tak i we mnie wszystkie uczucia podniecają jeszcze rozpacz. Ja, gdy okazuję tej jedynej i najdroższej kobiecie pogardę, gdy mam dla niej tylko gniew, tylko szyderstwo, sobie wyrządzam taką samą krzywdę jak i jej – większą nawet, bo ona jest zdolna mi to przebaczyć, ale ja sam nie daruję sobie tego nigdy!

*29 czerwca.*

Ten człowiek spostrzegł, że istnieje jakaś głęboka uraza między mną a jego żoną, i wytlumaczył to sobie w godny siebie sposób. Zdaje mu się, że ja jej nienawidzę za to, że wolała jego ode mnie. Widzi we mnie nienawiść dla niej, płynącą z obrażonej miłości własnej – i nic



więcej. Trzeba być na to... mężem. Tak patrząc stara się nagrodzić jej to zwiększoną czułością, mnie zaś okazuje pobłażliwość wspaniałomyślnego zwycięzcy. Tylko miłość własna może do tego stopnia ludzi ogłupiać. Co to za dziwny człowiek! Chodzi codziennie do hotelu Straubingera, podpatruje pary przechadzające się pod Wandelbahnem i z pewną radością czyni o nich najgorsze przypuszczenia; ukazuje wszystkie swe popróchniałe zęby, wyśmiewając się z mężów oszukiwanych, wedle jego spostrzeżeń, przez żony, i każde nowe tego rodzaju odkrycie daje mu tak wyborny humor, że dziesięć razy na godzinę wypuszcza monokl z oka i kładzie go na powrót. I ten sam człowiek, który niewiarę małżeńską uważa jedynie za dobrą sposobność do robienia conceptów, uważałby ją za największą i najtragiczniejszą zbrodnię, gdyby chodziło o niego samego. O ile to tyczę się innych, jest farsą; o ile by dotknęło jego, wołałoby o pomstę do nieba. Dlaczego, głupcze? Któż ty jesteś taki? Idź do lustra i przejrzyj się; zobacz swoje mongolskie oczy, swoje włosy podobne do czarnej krymki, swój monokl, swoje długie piszczele; wejdź w siebie, zdaj sobie sprawę z całej lichoty swego umysłu, z całej pospolitości swego charakteru – i powiedz, czy taka kobieta jak Anielka powinna ci być choć przez godzinę wierna? Jakim sposobem doszedłeś do niej, ty fizyczny i duchowy parweniuszu? Czy raczej nie jest to potworne i przeciwne naturze, że ty jesteś jej mężem? Beatrycze Danta, oddająca rękę ostatniemu gburowi florenckiemu, zrobiłaby lepszą partię!...

Przerwałem pisanie, bo znowu unoszę się, znow trzęcę równowagę, a jużem był tak doskonale zdrętwiął! Zresztą niech się Kromicki pocieszy: naprawdę, nie mam się za lepszego od niego. Choćbym nawet przypuścił, że jestem ze szlachetniejszego kruszcu ulany – mała pociecha, gdy czyny moje są gorsze od jego czynów. On nie potrzebuje przede mną udawać – ja muszę przed nim udawać, muszę się z nim liczyć, muszę się ukrywać, muszę stosować do niego moje postępowanie, oszukiwać go, podchodzić. Czy może być coś więcej płaskiego nad to, że ja, zamiast go wziąć za gardło, wymyślam mu w tym pamiętniku? Takiej zaocznej satysfakcji może sobie pozwolić i niewolnik względem swego pana. Kromicki nigdy zapewne nie wydawał się sobie tak nikczemny, jak wydawałem się sobie ja, gdym popełniał tysiące małości, gdym zdobywał się na mnóstwo lichych przebiegów, byle tylko umieścić go daleko od Anielki w najętej przeze mnie willi. W dodatku nie udało mi się. On jednym prostym frazesem: „Chcę być obok żony” – wypowiedzianym z całą otwartością, zdruzgotał wszystkie moje plany. I mieszka obok ż o n y ... Jest przy tym wprost nie do zniesienia to, że Anielka rozumie każdy mój postępek, zdaje sobie sprawę z każdego mego słowa i zamiaru. Myślę, że ona musi się często wstydić za mnie. Wszystkie te rzeczy, razem wzięte, stanowią mój chleb powszedni. Nie sądzę też, żebym długo wytrzymał, bo jednak nie jestem na wysokości położenia, inaczej mówiąc: nie jestem tak podły, jak tego wymagają warunki, w których żyję.

30 czerwca,

Zasłyszałem dziś z werendy taki koniec rozmowy, prowadzonej dość podniesionym głosem między Kromickim a Anielką:

– Ja – mówił Kromicki – sam z nim pomówię, ale ty musisz powiedzieć, jak rzeczy stoją, ciotce.

– Nigdy tego nie zrobię! – odpowiedziała Anielka.

– Ale ja cię bardzo proszę! – rzekł z naciskiem Kromicki.

Wszedłem do pokoju nie chcąc być mimowolnym świadkiem dalszej rozmowy. Spostrzegłem na twarzy Anielki głęboką przykrość, którą, zobaczywszy mnie, starała się ukryć. Kromicki był blady z gniewu, ale wyciągnął do mnie z uśmiechem rękę. Przez chwilę porwał mnie niepokój. i strach, że ona poczyniła mu wyznania. Bałem się nie Kromickiego, ale tego, że on może wywieźć Anielkę i oderwać mnie od moich udręczeń, upokorzeń, męki. Przecie ja tym tylko żyję; inaczej umarłbym z głodu. Raczej wszystko inne, niż nie widywać Anielki! Przez cały czas łamałem sobie głowę: o czym oni mogli rozmawiać? Chwilami wydawało mi

się najprawdopodobniejszym, że ona mu coś powiedziała – ale w takim razie obejście się jego ze mną musiałoby się zmienić, tymczasem stało się ono prawie jeszcze uprzejmiejsze. W ogóle, gdyby nie nienawiść, jaką do niego czuję, nie mógłbym na niego narzekać. Jest dla mnie grzeczny, przyjazny, serdeczny; ustępuje mi na każdym kroku, jak nerwowej kobiecie. Stara się pozyskać moją ufność. Nie zraża go to, że czasem odpowiadam mu szorstko albo ironicznie, że często zbyt bezwzględnie wydobywam na jaw jego brak wykształcenia lub brak subtelnych nerwów. Nie tracę żadnej sposobności, by wobec Anielki wykazać, o ile on jest pospolitszym jako umysł i jako serce. Ale on jest cierpliwy. Być może, że jest nim tylko ze mną. Dziś widziałem po raz pierwszy jego gniew na Anielkę, i cerę miał zielonawą jak ludzie, którzy umieją się gniewać na zimno, to jest bardzo zawzięcie. Anielka prawdopodobnie się go boi, ale ona się wszystkich boi – a teraz nawet i mnie. Nieraz trudno mi zrozumieć, skąd ta kobieta, mająca słodycz gołębia, czerpie w danym razie taką nadzwyczajną energię. W swoim czasie łudziłem się, że ona jest bierna i że gdy ją zechcę porwać, ona się nie obroni. Co za zawód! Opór jej jest tym większy, im bardziej niespodziewany. Nie wiem, o czym była mowa między nią a Kromickim, ale jestem pewien, że gdy mu zapowiedziała, iż nie zrobi tego, czego od niej wymaga, to będzie się trzęsła ze strachu, ale nie zrobi. Gdyby była moją, kochałbym ją tak, jak może kochać pies swoją panią. Nosiłbym ją na rękę, zdmuchiwał przed nią proch, kochałbym ją na śmierć.

*1 lipca.*

Zazdrość moja byłaby nędzną, gdyby nie to, że jest w niej ból wyznawcy, któremu profanują jego bóstwo. Już bym się wyrzekł nawet dotknięcia jej ręki, gdybym mógł umieścić ją na jakiejś górze niedostępnej, do której nie wolno by się było nikomu zbliżyć.

*2 lipca.*

Łudziłem się, że zdrętwiał. To, co było chwilowym stanem nerwów, poczytałem za stały stan duszy. Zresztą już wówczas podejrzewałem, że to nie będzie trwałe.

*3 lipca.*

Jednak coś między nimi zaszło. Ukrywają oboje urazę, jaką wzajem do siebie czują, ale ją widzę. Od kilku dni nie spostrzegłem, by on brał jej rękę, jak to miał zwyczaj czynić poprzednio – i podnosił je kolejno do ust, albo żeby gładził jej włosy, albo całował czoło. Miałem chwilę prawdziwej radości, ale zatrąła ją sama Anielka. Zauważyłem, że ona usiłuje go jakby przebłagać, wprowadzić w lepszy humor i wrócić do dawnych stosunków. Na ten widok ogarnęła mnie wściekłość, która odbiła się w moim postępowaniu z Anielką. Nigdy nie byłem dla niej, a tym samym i dla siebie, tak niemilośierny.

*4 lipca.*

Dziś wracając z Wandelbahnu spotkałem ją na moście, naprzeciw kaskad. Zatrzymała się nagle i poczęła coś mówić, ale huk wodospadów zagłuszył jej słowa. Rozdrażniło mnie to, bo mnie teraz wszystko rozdrażnia, więc sprowadziwszy ją z mostu w stronę naszej willi, rzekłem z niecierpliwością:

– Nie mogłem dosłyszeć, coś do mnie mówiła.

– Chciałam się spytać – odpowiedziała ze wzruszeniem – czemu ty taki dla mnie jesteś? Czemu ty nie masz wcale dla mnie litości?

A mnie wszystka krew zbiegła do serca na te słowa.

– Czy ty nie widzisz – odrzekłem prędko – że cię kocham bez pamięci? Jak można za nic mieć takie uczucie! Słuchaj, ja już od ciebie niczego nie chcę. Powiedz mi tylko, że mnie kochasz, oddaj mi swoją duszę, a wszystko zniosę, wszystko wytrzymam – i oddam ci w zamian życie, i będę ci służył do ostatniego tchnienia Anielko, ty mnie kochasz, powiedz!... prawda? Ty mnie zbawisz tym jednym słowem – powiedz je!

Anielka stała się tak blada, jak piana wodospadów. Zdawało mi się, że powiał na nią lodowaty wiatr i ściął krew w jej żyłach. Przez chwilę nie mogła przyjść do słowa, wreszcie z największym wysileniem odrzekła:

– Proszę cię na wszystko, nie mów tak do mnie!

– Więc nigdy mi tego nie powiesz?

– Nigdy – odrzekła.

– Pomyśl tylko, że to ty nie masz dla mnie...

I urwałem. Przez głowę przeleciało mi, że gdyby Kromicki żądał od niej tego słowa, to by mu go nie odmówiła – i na tę myśl zadzwoniło mi z rozpacz i wściekłości w uszach, a po ciemniało w oczach. Straciłem całkiem przytomność. Wiem tylko, że cisnąłem jej w oczy tak straszne i cyniczne słowa, jakich żaden inny mężczyzna nie považylby się powiedzieć bezbronnej kobiecie. Nie śmiem po prostu zapisać ich w tym pamiętniku. Jak przez sen pamiętam, że przez chwilę patrzyła na mnie zdumionymi i przerażonymi oczyma, a potem chwyciła mnie za rękaw i, potrząsając moim ramieniem, poczęła pytać gwałtownie:

– Leonie! co tobie? co tobie?

Mnie było to, że traciłem zmysły. Wyszarpnąłem jej rękę i odszedłem w drugą stronę. Po chwili wróciłem, ale już jej nie dostrzegłem. Wówczas zrozumiałem tylko jedno: że oto nadszedł czas – i że trzeba skończyć. Ta myśl utworzyła natychmiast jakby jasną szczelinę w tej ciemności, która otaczała mi głowę. Był to dziwny stan jednostronnej przytomności. Nie zdawałem sobie dobrze sprawy z tego, co zaszło. Straciłem prawie zupełnie poczucie istnienia własnego i istnienia Anielki; natomiast o śmierci począłem myśleć nie tylko jak człowiek przytomny, ale jak człowiek spokojny. Wiedziałem np. doskonale, że gdy się rzucę ze skał w przepaść, to będzie mogło ująć za wypadek, ale jeśli się zastrzelę w swoim pokoju, to takiego ciosu ciotka moja nie przeżyje. Jeszcze dziwniejszym było to, że mając podobną świadomość, nie poczuwałem się do żadnego wyboru, jak gdyby związek między moim rozumowaniem a moją wolą i płynącymi z niej czynami został już przerwany. Mając zupełnie jasne przekonanie, że lepiej jest rzucić się ze skał niż się zastrzelić, szedłem jednak do willi po rewolwer. Dlaczego? Nie wiem. Wiem tylko, że śpieszyłem się coraz bardziej i że wbiegłszy pędem po schodach na górę, począłem szukać klucza od kufra, w którym był zamknięty rewolwer. Nagle wytrącił mnie z tej kolei wyłącznego myślenia o samobójstwie odgłos szybkich kroków po schodach. Błysnęła mi myśl, że to może Anielka odgadła moje zamiary i śpieszy im zapobiec. Tymczasem drzwi otworzyły się gwałtownie i ujrzałem w nich ciotkę, która zawołała zdyszczanym głosem:

– Leonie! biegaj po doktora, Anielka zasłabła!

Usłyszawszy to, zapomniałem o wszystkim innym: wybiegłem z willi bez kapelusza i po upływie kwadransa sprowadziłem lekarza z hotelu Straubingera. Gdyśmy przybyli, było już wszystko dobrze. Doktor poszedł do Anielki, ja zaś zostałem z ciotką na werendzie i wypytywałem, co zaszło.

– Przed pół godziną – mówiła ciotka – Anielka wróciła z twarzą tak rozpaloną, że zaraz obie z Celiną poczęłyśmy pytać: co jej jest? Odpowiadała: – Nic, nic! – jakby z niecierpliwością, ale widziałyśmy, że to nieprawda. Celina poczęła nalegać. Wówczas Anielka uniosła się, co pierwszy raz w życiu widziałam, i zawołała: Czemu mnie tu wszyscy męczą! Potem zaraz

dostała jakichś spazmów czy serdecznego śmiechu. Przeraziłyśmy się okropnie i ja poleciałam do ciebie. Chwała Bogu, że to już przeszło. Płakało tylko biedactwo i poczęło przeproszać nas obie za swoje uniesienie...

Ja milczałem, bo mi się serce darło na strzępy. Ciotka poczęła chodzić wielkimi krokami po werendzie, nareszcie stanęła przede mną i wzięwszy się pod boki, ozwała się:

– Wiesz, co mi się zdaje, mój chłopcze? Oto my tego Kromickiego wszyscy nie dość lubimy – bo i Celina nie bardzo go znosi. Dziwna rzecz, on aż nadto stara się wkupić w nasze łaski, a ciągle ma minę intruza. To źle z naszej strony. Anielka to widzi i cierpi nad tym...

– Czy ciocia myśli, że ona go tak bardzo kocha?

– O, zaraz: bardzo, bardzo!... Kocha go, bo jest jej mężem i – i naturalnie, że jej przykro widzieć, jak go źle traktujemy.

– Ale kto go źle traktuje? Moim zdaniem, ona po prostu nie jest z nim szczęśliwa – i cała rzecz...

– A niechże Pan Bóg broni! – odrzekła ciotka. – Nie przeczę, że mogła lepszą partię zrobić, ale co znowu można mu tak dalece zarzucić? Jest widocznie bardzo do niej przywiązany... Celina nie może mu wprawdzie przebaczyć sprzedaży Głuchowa, a i ja mu tego nie zapomnę nigdy, sama jednak słyszałam, jak Anielka broniła go zawzięcie.

– Może wbrew przekonaniu?

– Choćby; to tym bardziej dowodzi, że ona go kocha. Co do jego interesów, bieda, że nikt dobrze nie wie, jak rzeczy stoją, i stąd ciągle obawy Celiny. Ale tak naprawdę, czy to majątek daje szczęście? Zresztą ja ci już mówiłam, że nie zapomnę o Anielce, i ty na to pozwalasz. Co? pozwalasz? My oboje mamy dla niej pewne obowiązki, mój Leonie, nie mówiąc już o tym, że to jest kochane stworzenie, które zasługuje na naszą opiekę.

– Z całego serca, moja ciociu. Ponieważ nie mam siostry, więc póki żyję, nigdy Anielce nie dokuczę kłopoty materialne.

– Tak liczę na to, że umrę spokojnie – odrzekła ciotka.

I poczęła mnie ścisnąć, ale dalszą rozmowę przerwał nam doktor. W kilku słowach uspokoił nas zupełnie. „Małe wzburzenie nerwowe, które zresztą często się przy tych kąpielach z początku zdarza. Przerwać kąpiele na kilka dni, dużo być na powietrzu – oto, czego trzeba! Organizm jest zdrow, sił dużo i wszystko będzie jak najlepiej.” Ponatykałem mu kieszenie za te słowa tak, że kapelusz włożył dopiero za kratą willi. Byłbym sprzedał kilka lat życia, by móc pójść do Anielki i ucałować ją po nogach, przepraszając za wszystko, com jej złego zrobił. Przysiągłem sobie być dla niej innym, znosić cierpliwie Kromickiego, nie burzyć się, nawet nie szemrać. Skrucha, skrucha zupełna i głęboka – oto był teraz stan mojej duszy. Kocham Ją jednak niewypowiedzianie. Przed samym południem wrócił z dalekiej przechadzki po Kaiserwegu Kromicki. Zaraz spróbowałem być i dla niego serdeczniejszym. On to wziął za współczucie i był mi prawdziwie wdzięczny. Wraz z panią Celiną spędzili cały dzień przy Anielce. Ona po południu chciała się ubrać i wyjść, ale jej nie pozwolili. Ja także nie pozwoliłem sobie burzyć się z tego powodu. Nie pamiętam, żebym kiedy w życiu odniósł nad sobą tak wielkie zwycięstwo. A mówiłem sobie: – To dla ciebie, moja ukochana! – Byłem w głupim usposobieniu przez resztę dnia. Ciągle chciało mi się płakać, jak małemu dziecku. I teraz duszą mnie łyzy. Nabroilem, ale też pokutuję za to porządnie.

*5 lipca.*

Po wczorajszych uniesieniach folga najzupełniejsza, jakby cisza po burzy. Chmury wyładowały całą swą elektryczność. Czuję się słabym i moralnie, i fizycznie. Anielka ma się le-

piej. Rano znaleźliśmy się sam na sam na werendzie. Posadziłem Anielkę na fotelu z biegunami i otuliwszy ją ciepłym szalem, bo tu poranki chłodne, rzekłem: – Moja Anielko droga, przepraszam cię z całej duszy za to, com wczoraj powiedział. Przebacz mi i zapomnij – bo i tak ja sam sobie tego nigdy nie zapomnę.

Ona od razu wyciągnęła mi w odpowiedzi rękę, w którą wpiłem się ustami. Musiałem użyć całej siły woli, aby nie jęczeć głośno, tak wielka była przepaść między moją miłością a moją nędzą. Anielka czuła to doskonale, bo nieprędko cofnęła mi rękę. Ona także starała się opanować wzruszenie, a może i opanować uczucie, które popychało jej serce ku mnie. Szyja jej i piersi drgały, jakby łkanie chciało się gwałtem wyrwać na zewnątrz. Czuła przecie, że ją kocham nad wszystko, że na taką miłość nie natrafia się co dzień i że to mógłby być skarb szczęścia na całe życie.

Ale po chwili przemogła się i twarz jej stała się pogodną. Widać w niej było tylko rezygnację i wielką dobroć.

– Już zgoda będzie między nami, nieprawda? – spytała.

– Tak jest! – odrzekłem.

– I raz na zawsze?

– Co ja ci odpowiem, mój ty aniele! Ty wiesz najlepiej, co się we mnie dzieje...

Jej znów zasłzy oczy mgłą, ale znów się przemogła.

– Dobrze już! – rzekła – to ty jesteś dobry...

– Ja? – zawołałem ze szczerym oburzeniem – czy ty wiesz, że gdybyś wczoraj nie była nagle zasłabła, to ja byłbym sobie...

Ale nie dokończyłem. Zrozumiałem nagle, że byłoby niegodziwością z mojej strony wyzykiwać ją przez strach i groźbę. To nie była droga dla mnie. Ogarnął mnie wstyd tym większy, że ona zaniepokoiła się zaraz i spojrzawszy na mnie bacznie, spytała:

– Co ty chciałeś powiedzieć?

– Chciałem powiedzieć coś, co byłoby niegodne mnie i co zresztą nie ma już dziś znaczenia.

– Nie, Leonie, ja chcę wiedzieć koniecznie: inaczej nie będę miała chwili spokoju.

Wiatr zsunął jej promyk włosów na czoło – więc ja wstałem i począłem go z lekka układać na powrót na jej główce z taką troskliwością, jakbym był jej matką, i rzekłem:

– Anielko kochana, nie każ mi mówić tego, czegom mówić nie powinien. Jeżeli zaś chodzi o twój spokój, dam ci słowo, że nie potrzebujesz mieć na przyszłość żadnych obaw.

Ona podniosła ku mnie oczy.

– Dajesz mi na to słowo?

– Najwyraźniej i najsolenniej. Co tam się troi w tej główce kochanej!

Dalszą rozmowę przerwał nam listonosz, który oddał całą paczkę listów. Były do Kromickiego ze Wschodu, do Anielki od Śniatyńskich (poznałem jego rękę na kopercie) i do mnie od Klary. Pocziwa Klara pisała niewiele o sobie, natomiast dopytywała się bardzo szczegółowo o mnie. Powiedziałem Anielce, że mam od niej list, wskutek czego Anielka, chcąc widocznie stworzyć zupełną pogodę między nami, zaczęła mnie nią prześladować. Ja oddałem jej pięknym za nadobne mówiąc, że Śniatyński stracił jakoś w ostatnich czasach głowę. Przez chwilę śmieliśmy się oboje i żartowali. Dusza ludzka jest jak pszczoła, która szuka słodczy nawet na gorzkich kwiatach. Najnieszczęśliwszy człowiek stara się wycisnąć choć odrobinę szczęścia nawet z własnej męki, i by to uczynić, chwytą za lada cień, za lada pozór. Czasem myślę, że ta niepomahowana potrzeba jest dowodem, iż nam się jeszcze coś należy po śmierci. Jestem przekonany, że pesymizm wymyślono także gwoli tej potrzeby, dla pociechy, jaką mogło sprawić ujęcie ogólnej niedoli w filozoficzną formułę. Było to zaspokojeniem dążenia do świadomości i prawdy, szczęście zaś nie jest niczym innym, tylko szeregiem zaspokojień.

A może też miłość jest tak ogromnym źródłem szczęścia, że – nawet najciemniejsza – jeszcze jest przetkana promieniami; dość, że taki promyk dziś zaświecił nam obojgu. Nie spo-

dziewałem się już tego. Nie spodziewałem się również, żeby człowiek, który w pragnieniach swoich nie ma granic i pożąda wszystkiego, mógł w prawdziwej biedzie poprzestawać prawie na niczym. Ale miałem tego przykład na sobie.

Zaledwie ukończyliśmy czytać nasze listy, gdy pani Celina, która już chodzi o własnej mocy, ukazała się we drzwiach niosąc stołeczek pod nogi dla Anielki.

– Ach, mammo! – rzekła zgorziona Anielka – czy to się godzi?

– A małoś to ty się nawysługiwała mnie, jak byłam chora? – odpowiedziała pani Celina.

Lecz ja wyjąłem z jej rąk taburecik i klękawszy przed Anielką, czekałem dopóty, dopóki nie postawiła na nim swych nóżek – i to tylko, żem przez sekundę u nich klęczał, napełniło mnie szczęściem na cały dzień. Tak jest! Człowiek bardzo a bardzo biedny żyje okruszynami i zbierając je uśmiecha się jeszcze z wdzięcznością – przez łzy.

*6 lipca.*

Posiadam serce kalekie, ale zdolne do kochania. Teraz dopiero rozumiem Śniatyńskiego. Gdybym nie był człowiekiem zwichniętym, niezrównoważonym, zatrutym przez sceptycyzm, krytykę samego siebie i krytykę tej krytyki, gdyby moja miłość była prawidłową i prawą, byłbym znalazł w Anielce mój życiowy dogmat, za którym przysłyby i inne. Ale nie wiem... może ja właśnie nie umiałbym inaczej kochać, jak krzywo, może w tym mianowicie leży moja nieudolność życiowa, dość, że to, co powinno się było stać moim zdrowiem i zbawieniem, stało się śmiertelną chorobą i potępieniem. Dziwna rzecz, jak dalece nie brakło mi ostrzeżeń. Zdawać by się mogło, iż ludzie przewidywali, co mnie spotka. Toż ja sobie ciągle przypominam, że Śniatyński napisał mi jeszcze wówczas, gdy byłem w Pegli u Davisów, następane słowa: „Z życia musi coś wyrosnąć: baczże, żeby nie wyrosło coś takiego, co by się stało nieszczęściem dla ciebie i twoich bliskich.” Wówczas śmiałem się z tego, a przecie nie podobna było lepiej przewidzieć przyszłości! Ojciec mój również kilkakrotnie przemawiał także tak, jakby chwilami przebijał wzrokiem tę zasłonę, która zakrywa przyszłość. Dziś są to wszystko wspomnienia spóźnione. Wiem, że nic mi z tych rozmyślań nie przyjdzie, ale nie mogę się od nich wstrzymać, bo mi żal nie tyle siebie, ile Anielki. Ona byłaby ze mną stokroć szczęśliwsza, niż jest z Kromickim. Przypuszczając nawet, że byłbym ją z początku poddawał analizie i powykrywał w niej liczne wady, to i tak kochałbym ją z całej duszy. Byłaby moją, a zatem weszłaby w sferę mego egoizmu. Na jej wady patrzyłbym jak na swoje własne słabości, a sobie samemu człowiek wszystko wybacza – i choćby się jak najostrzej krytykował, nie przestaje jednak zabiegać wedle własnego dobra, a zatem być sobie drogim. Tak byłaby mi drogą i ona – a ponieważ jest stokroć doskonalszą ode mnie, więc z czasem stałaby się moją chlubą, moją najlepszą, najszlachetniejszą częścią duszy, i uznałbym, że na moją krytykę nie ma przy niej miejsca – i przeszedłbym na jej wiarę i był zbawiony przez nią.

To wszystko zmarniało, zepsuło się, zmieniło w tragedię dla niej – w zło i tragedię dla mnie.

*7 lipca.*

Odczytuję, com wczoraj napisał – i uderza mnie to, co powiedziałem w końcu, że uczucie moje, które, gdyby było prawe, mogło stać się moim zbawieniem, zmieniło się w źródło zła... Trudno mi się pogodzić z tą myślą. Jakim sposobem miłość dla istoty tak czystej, jak Anielka, może rodzić zło? Ale jedno słowo wszystko tłumaczy: jest to miłość krzywa. Zresztą trzeba mi uznać fakt. Gdyby ktoś dwa lata temu powiedział mi, człowiekowi ucywilizowanemu, posiadającemu estetyczne nerwy, żyjącemu w zgodzie z kodeksem karnym już dlatego samego, że natura moralna nie pozwala mu żyć inaczej – gdyby mi ktoś, powtarzam, powiedział,

że ja będę rozmyślał po całych dniach i nocach o usunięciu ze świata – choćby przez zabójstwo – człowieka, który mi zawadza, to bym takiego proroka poczytał za wariata. A jednak – oto do czego doszedłem! Kromicki zasłania mi świat, odbiera ziemię, wodę i powietrze. Nie mogę żyć właśnie dlatego, że on żyje – iż tego powodu piastuję w duszy myśl o jego śmierci, bez chwili przerwy. Jakie by to było proste i zupełne rozwiązanie wszystkich zawikłań, jakie zakończenie wszystkich nieszczęść, gdyby on umarł! Myślałem niejednokrotnie, że jeśli hipnotyzer może powiedzieć swemu medium: „Śpij!” – i medium zasypia – czemu by ta sama siła, jeszcze bardziej natężona, nie miała wystarczyć do uspienia kogoś snem wiecznym? Popisywałem sobie świeżo rozmaite książki o hipnotyzmie, tymczasem zaś mimo woli mówię Kromickiemu każdym spojrzeniem: „Umrzyj!” – i gdyby taka sugestia wystarczała, dawno by go nie było na świecie. Skutek z tego dotychczas jest taki, że on ma się dobrze i jest, jak był, mężem Anielki, mnie zaś pozostaje przekonanie, iż moja intencja jest zarówno zbrodnicza, jak głupia, śmieszna, niegodna człowieka czynu – i pogardzam sobą coraz bardziej.

Nie przeszkadza mi to jednak hipnotyzować Kromickiego w dalszym ciągu. To znowu ta sama historia człowieka inteligentnego, który opuszczony w ciężkiej chorobie przez lekarzy, udaje się do znachorów. Ja chcę zabić przeciwnika hipnotyzmem – że zaś przez to widzę tym dokładniej moją nicość, to tym gorzej dla mnie. Trzeba przy tym wyznać, że ilekroć jestem samotny, tylekroć chwytam się na rozmyślaniach o usunięciu nienawistnego mi człowieka za pomocą wszelkich środków, jakie leżą w mocy ludzkiej. Przez długi czas pieściłem się z myślą zabicia go w pojedynku. Ale to droga do niczego! Anielka nie mogłaby zaślubić zabójcy swego męża – więc zacząłem rozmyślać, jak pospolity zbrodniarz, o innych sposobach. I co dziwniejsza, znalazłem mnóstwo takich, których by nie wykryła żadna ludzka sprawiedliwość.

Głupstwo! marność! czysta teoria! Kromicki może sobie żyć bezpiecznie, bo podobne myśli nigdy nie staną się we mnie czynem. Nie zabiję go, choćbym wiedział, że nie będę za to więcej odpowiedzialny niż za rozdeptanie pająka; nie zabiłbym go, choćbyśmy mieszkali na bezludnej wyspie – ale jednak, gdyby można rozciąć czaszkę ludzką jak jabłko i wydobyć ukryte wewnątrz myśli, pokazałoby się, że robak zbrodni toczy mój mózg. Co więcej: czuję to doskonale, że jeśli w żadnym razie nie zamordowałbym Kromickiego, to nie z tych wyższych pobudek moralnych, ujętych w przykazaniu: *N i e z a b i j a j !* To przykazanie jam już w sobie zdeptał. Nie zabiłbym go tylko dlatego, że może jakieś resztki tradycji rycerskiej stanęłyby mi na przeszkodzie, dlatego, że moje wyrafinowane nerwy nie byłyby zdolne zdobyć się na czyn brutalny, zdem za daleko odszedł od pierwotnego dzikiego człowieka: słowem dlatego, że nie umiałbym się fizycznie na to zdobyć. Ale moralnie ja go morduję co dzień – i wobec tego pytam się siebie, czy przed jakimś sądem, wyższym nad sądy ludzkie, nie będę odpowiadał za ten postępek tak, jak gdybym go dokonał?

Być może wprawdzie, że gdyby tak, jak już powiedziałem, można było otwierać czaszki ludzkie, to w mózgu najnotliwszego nawet człowieka znalazłyby się myśli, od których włosy powstawałyby na głowie. Pamiętam, iż gdy byłem małym chłopcem, przyszedł na mnie okres pobożności tak wielkiej, iż modliłem się całą duszą od rana do wieczora, a jednocześnie w chwilach największych religijnych uniesień przelatywały mi przez głowę bluźnierstwa, tak zupełnie, jakby mi je wiatr nawiewał albo jakby mi je podsuwał demon. Tak samo zdarzało mi się bluźnić przeciw osobom, które najmocniej kochałem i za które byłbym bez wahania oddał życie. Pamiętam również, że stanowiło to moją dziecinną tragedię i że cierpiałem z tego powodu prawdziwie. Ale mniejsza o to. Wracając do owych bluźnierczych albo zbrodniczych myśli, sądzę, że się za nie nie odpowiada, ponieważ płyną one ze świadomości zewnętrznej zła, nie ze zła wszczepionego już w moralny organizm. I właśnie z powodu tej ich zewnętrzności człowiekowi wydaje się, że mu je diabeł szeptem do ucha.

Człowiek zaś słucha ich, i nie chcąc zła, odpycha je – w czym jest może nawet zasługa. Ale ze mną jest rzecz i inna. Myśl o pozbyciu się Kromickiego nie przychodzi mi z zewnątrz,

ale wykwita i tkwi we mnie. Jam moralnie już do tego dojrzał, jeżeli zaś nie zdobywam się i nie mógłbym się zdobyć na zamordowanie go, to jest tylko, jak wspomniałem, kwestią nerwów. Rola mojego diabła ogranicza się tylko do tego, że drwi ze mnie szepcząc mi w ucho, że czyn dowodziłby tylko energii, nie byłby zaś większą zbrodnią.

Oto są rozdroża, na których stoję, a na których nie spodziewałem się tak dalece nigdy stać, że spoglądam w głąb własnej istoty ze zdumieniem. Nie wiem, czy istotnie wyjątkowe moje udęczenia okupują, choć w części, mój upadek, wiem tylko, że komu życie nie mieści się w ten kodeks prosty, którego trzyma się Anielka i podobne do niej istoty, komu dusza z takiego naczynia wykipi, ten musi zmieszać się z prochem i błotem.

*9 lipca.*

Dziś w czytelni Kromicki pokazał mi jakiegoś Anglika, w towarzystwie kobiety nadzwyczaj pięknej, i opowiedział mi ich historię. Piękność ta jest z pochodzenia Rumunką i pierwotnie była za jakimś zrujnowanym bojarzem wołoskim, od którego Anglik kupił ją po prostu w Ostendzie. Słyszałem podobne opowiadania z dziesięć razy w życiu. Kromicki mówił mi nawet, za jaką sumę piękną Kokona została nabyta. Opowiadanie to zrobiło na mnie dziwne wrażenie. Pomyślałem sobie: „I to jest sposób” – zapewne, że haniebny dla sprzedającego i kupującego, ale prosty. Kobieta może przy tym w takich razach nie wiedzieć o układach, same zaś układy mogą osłonić się możliwie przyzwoitymi pozorami. Mimo woli począłem stosować te myśli do naszego położenia. „A nużby!” Cała rzecz przedstawiła mi się podwójnie: ze względu na Anielkę – jako ohydna profanacja, ze względu na Kromickiego – jako sposób nie tylko możliwy, ale nasycający moją dla niego nienawiść i pogardę. Bo gdyby on się na to zgodził, dopieroż wykazałaby się cała jego nikczemność, dopieroż stałoby się jasnym, jaki to jest człowiek i jaką potwornością było oddawać mu Anielkę. Czułbym się wówczas od razu usprawiedliwiony we wszystkich moich usiłowaniach odebrania mu żony. Lecz czyby się zgodził? Mówiłem sobie: „Nienawidzisz go, zatem przypuszczasz o nim wszystko złe.” Z drugiej strony, starając się o nim myśleć nawet najobiektywniej, nie mogłem zapomnieć, że ten człowiek sprzedał Głuchów, że uzyskał na to podstępem pełnomocnictwo Anielki, że poniekąd oszukał ją i panią Celinę, że na koniec chciwość pieniężna była najwidoczniej główną jego namiętnością. Nie ja jeden uważałem go za człowieka, mającego wprost gorączkę złota. Tak samo na niego patrzył Śniatyński, tak samo ciotka, tak samo pani Celina. Otóż tego rodzaju moralna choroba może zawsze doprowadzić do odpowiedniego upadku. Rozumiem swoją drogą, że wszystko będzie prawdopodobnie zależało od stanu jego interesów. Jaki jest ten stan, nikt dobrze nic wie. Ciotka robi przypuszczenia, że nie jest pomyślny; ja przypuszczam, że wszystko, co miał, zasiał w jakąś rolę, która ma przynieść bujne żniwo. Czy przyniesie? On sam zapewne jeszcze nie wie, i stąd ten jego jakiś ciągły niepokój, te tuziny listów wysyłanych do młodego Chwastowskiego, który jest jego pełnomocnikiem na Wschodzie. Przyszło mi nagle do głowy, że właśnie przez tegoż Chwastowskiego można by się dowiedzieć, jak rzeczy stoją. Potrzeba by jednak na to długiego czasu. Być może, że pojedę na jeden dzień do Wiednia, obaczę się z doktorem Chwastowskim, który tam pracuje w klinice, i przez niego czegoś się dowiem. Bracia muszą przecie do siebie pisywać. Tymczasem wybadam Kromickiego, ale z wszelką ostrożnością, by nie obudzić jego czujności ani podejrzeń. Przede wszystkim spytam go zaraz jutro: co on myśli o owym bojarze rumuńskim, który sprzedał żonę Anglikowi? Przewiduję, że nie zechce być ze mną szczery, ale mu do tego dopomogę w miarę możliwości, resztę zaś odgadnę. Cała ta suma myśli i zamiarów sprawiła, że cokolwiek odżyłem. Nie ma nic strasniejszego, jak cierpieć biernie – i wszystko mi jest dobre, co mnie z tego stanu wyprowadza. Powtarzam sobie: – Oto przynajmniej jutro i pojutrze będziesz coś przedsiębrał, będziesz coś próbował czynić dla swego uczucia – i pokrzepiam się tym. Z zupełnej bezwładności przechodzę do jakiejś gorączki czynów. Chodzi o moją głowę,



o moje -zmysły, które się rozprzegają. Przyrzekłem Anielce słowem honoru, że się na własne życie nie targnę, nie mam więc już i tego wyjścia. A tak, jak żyję, nie mogę żyć. Jeśli ta droga, na którą chcę wstąpić, jest haniebną, w każdym razie haniebniejszą będzie dla Kromickiego niż dla mnie. Muszę ich rozłączyć nie tylko ze względu na siebie, ale ze względu na nią. Naprawdę mam gorączkę. Wszystkim tu kąpiele służą, prócz mnie.

10 lipca.

Gorące dni zdarzają się nawet tu, w Gasteinie. Co za upał! Anielka nosi suknie z białej flaneli, takie, jakich Angielki używają do *lawn-tennis*. Pijamy rano kawę na świeżym powietrzu. Ona przychodzi po kąpieeli świeża, jasna jak śnieg o wschodzie słońca. Wysmukłe jej ciało rysuje się wyraźniej niż zwykle pod miękką suknią. Poranne światło oświeca ją tak dokładnie, że widzę każdy włoszek jej brwi, rzęs i owego puszkę pokrywającego jej delikatne policzki. Włosy jej bywają jakby mokre, ale w tym blasku zdają się jaśniejsze niż zwykle, a źrenice są przeźroczystsze. Jaka ona młoda, jaka upajająca! W niej jest moje życie, w niej się streszcza wszystko, czego chcę. Nie odejdę, nie potrafię!

Patrzę na nią i tracę zmysły z upojenia, a zarazem i z bólu, że oto siedzi przy niej – mąż. To nie może tak zostać – niech nie będzie niczyją, byle nie była jego! Ona sobie zdaje, do pewnego stopnia, sprawę z tej męki, która mi skręca nerwy, jednak niedostatecznie. Męża nie kocha, ale pożycie z nim uważa za prawowite – mnie zaś na samą myśl o tym chce się zgrzytać, bo mi się zdaje, że przyznając tę prawowitość, sama siebie upadła. A tego nie wolno, nawet jej! Niechby lepiej umarła. Wtedy będzie moją, bo ten prawowity mąż tu zostanie – a ja nie! Przez to samo jam jej prawowitszy niż on. Dzieje się czasem ze mną coś dziwnego. Oto, gdy się bardzo zmęczę, wymorduję, gdy umysł mój, przez natężone w jednym kierunku myślenie, widzi jakieś odległe przestrzenie, których w normalnym stanie dostrzec nie można, przychodzą na mnie chwile takiej pewności, że Anielka należy się mnie, że w jakiś sposób jest czy że będzie moją – iż gdy się budzę z tego stanu, przypominam sobie jakby ze zdziwieniem o istnieniu Kromickiego. Może w takich chwilach przechodzę tę granicę, której za życia zwykle się nie przechodzi, i mam widzenie rzeczy doskonałych, takich, jakimi są w ideale i jakimi powinny być w objawach zewnętrznych? Dlaczego te dwa światy sobie nie odpowiadają – i jakim sposobem mogą sobie nie odpowiadać, nie wiem. Usiłuję to nieraz rozwiązać i gubię się, i nie rozumiem tej nieodpowiedniości, czuję tylko, że w niej leży niedoskonałość i zło. To poczucie pokrzepia mnie – w takim razie bowiem przynależność Anielki do Kromickiego byłaby właśnie objawem zła.

11 lipca.

Nowy zawód, nowa ruina zamiarów, lubo mam jeszcze iskrę nadziei, że niezupełna. Mówiłem dziś z Kromickim o bojarze, który sprzedał żonę, przy czym zmyśliłem całą historię w celu ułatwienia Kromickiemu szczerości.

Spotkaliśmy Anglika z kupioną żoną przy kaskadach. Począłem zaraz mówić o jej nadzwyczajnej piękności, wreszcie rzekłem:

– Opowiadał mi doktor tutejszy, jak się odbyło kupno i sprzedaż. Ty za surowo sądzisz tego bojara.

– On mnie przede wszystkim bawi – odpowiedział Kromicki.

– Są okoliczności łagodzące. Był to nie tylko bojar, ale właściciel wielkich garbarni, które prowadził za pożyczone pieniądze. Nagle, z powodu zarazy, dowóz skór z Rumunii został przez sąsiednie państwa wzbroniony. Ten człowiek wiedział, że jeśli nie przetrzyma zakazu, nie tylko sam zbankrutuje, ale pograży w ruinie setki rodzin, które mu zaufały. Mój kochany,

albo się jest kupcem, albo się nim nie jest. Być może, iż moralność kupiecka jest odmienna od ogólnej, ale gdy się raz na nią zgodziło...

– To ma się prawo sprzedać nawet żonę? – spytał Kromicki. – A nie! Nie wolno dla jednych obowiązków deptać drugich, kto wie, czy nie świętszych...

Kromicki nie mógł mnie rozczarować bardziej i zniecierpliwic bardziej, niż odzywając się jak porządny człowiek. Ale nie straciłem od razu nadziei. Wiem, że każde najmarniejsze indywiduum ma do rozporządzenia pewien zapas frazesów pięknie brzmiących – więc mówiłem dalej:

– Nie uwzględniasz jednej rzeczy, mianowicie, że ten człowiek pograżyłby w nędzę razem z sobą i tę kobietę. Przyznaj, że to jest dziwny sposób pojmowania obowiązków względem najbliższych – odbierać tym najbliższym ostatni kawałek chleba.

– A wiesz, nie wiedziałem, że ty jesteś tak diablo trzeźwy.

Ja zaś pomyślałem:

– Nie rozumiesz, głupcze, że to nie są moje poglądy: to są tylko pojęcia, które ci chcę podsunąć!

Głośno zaś odpowiedziałem:

– Staram się wejść w położenie tego przemysłowca. Ty przy tym nie uwzględniasz jednej rzeczy: że ta kobieta mogła go nie kochać, mogła kochać swego dzisiejszego męża, a tamten mógł o tym wiedzieć.

–W takim razie oboje byli siebie warci.

– To inna sprawa. Patrząc nieco głębiej, jeśli ona, kochając tego Anglika, pozostała jednak wierną mężowi, to może jest więcej warta, niż myślimy. Co do twego bojara, może on być człowiekiem podłym, ale pytam, co w podobnym wypadku ma robić kupiec, do którego ktoś przychodzi i powiada mu tak: „Pan jesteś bankrut podwójny, bo masz długi, których nie możesz zapłacić, i żonę, która cię nie kocha; ale rozwiedź się z tą kobietą, a ja zapewnię jej dostatek i możliwe szczęście, a po wtóre zapłacę pańskie długi.” Bo to się mówi: sprzedaż! sprzedaż! – a czy to właściwie jest sprzedaż? Pomyśl, że ten kupiec, który się na ów układ zgadza, uwalnia za jednym zamachem od nieszczęścia kobietę (a kwestia, czy to właśnie nie jest prawdziwym zrozumieniem obowiązku względem bliskich) – i od nędzy tych wszystkich, którzy mu zawierzyli...

Kromicki pomyślał chwilę, wypuścił monokl i odrzekł:

– Mój kochany, ja pochlebiam sobie, że na interesach znam się lepiej od ciebie, ale w rozprawę wdawać się z tobą nie mogę, bo mnie w kozi róg zapędzisz. Żebyś nie miał po ojcu milionów, a został adwokatem, byłbyś je i tak zrobił... Jak w ten sposób przedstawiłeś sprawę, dalibóg, nie wiem, co mam o tym rumuńskim chłystku myśleć: wiem tylko, że tam był układ o żonę, a to, mów sobie, co chcesz, wygląda na szelmstwo. Po wtóre, ponieważ sam jestem poniekąd kupcem, powiem ci jeszcze to: – Bankrut ma zawsze sposób wyjścia: albo zrobić drugi raz majątek i pospłacać dawne długi, albo strzelić sobie w łeb. W ten sposób płaci krwią; żonę zaś, jeśli ją ma, uwalnia od siebie i otwiera przed nią widoki nowego losu.

Miałem chwilę takiej wewnętrznej wściekłości, że dałbym nie wiem co, byle móc mu krzyknąć w ucho: Tyś już bankrut, przynajmniej pod tym względem, że żona cię nie kocha! Widzisz te wodospady? Skaczże w nie na łeb i uwolnij ją od siebie, i otwórz jej to nowe życie, w którym będzie stokroć szczęśliwsza!

Alem milczał, przezuwając to nowe przekonanie, pełne dla mnie goryczy, że Kromicki jest wprawdzie pospolitym człowiekiem, zdolnym nawet do takich postępów, jakim jest na przykład sprzedaż Głuchowa lub nadużywanie zaufania żony, ale nie jest tak nikczemną duszą, za jaką go miałem. Był to dla mnie i zawód, i ruina planów, do których przyczepiłem chwilowo swoje istnienie. Znów czułem się bezradnym, znów zobaczyłem przed sobą pustkę, znów zawisłem jak w powietrzu. Nie chciałem jednak wypuścić z ręki ostatniej nici, bo rozumiałem dobrze, iż jeśli potrafię w jakikolwiek sposób działać, to jeszcze jako tako będę

mógł żyć – w przeciwnym zaś razie, prawdopodobnie oszaleję. „Przygotuję sobie chociaż grunt na przyszłość i na wszelki wypadek – mówiłem sobie – oswoję Kromickiego z myślą rozstania się z Anielką.” Nie wiedziałem, powtarzam, jak stoją jego sprawy majątkowe, w przypuszczeniu jednak, że kto spekuluje, tak dobrze może stracić jak zyskać, począłem mówić:

– Nie wiem, o ile to, coś mi powiedział, odpowiada moralności kupieckiej, ale z przyjemnością ci przyznaję, że jest godne porządnego człowieka. Jeślim dobrze zrozumiał, twierdzisz, że mąż, który stanie nad brzegiem ruiny, nie ma prawa pociągać za sobą żony w otchłań nędzy?

– Ja mówiłem tylko, że sprzedaż żony jest zawsze szelmostwem. Zresztą, żona powinna dzielić losy męża. Dziękuję ci za taką, która zgodzi się na zerwanie małżeństwa dlatego tylko, że mąż stracił majątek.

– Przypuściwszy, że się nie zgodzi, on może przeprowadzić rozwód mimo jej woli. Każde w takim razie powinno pilnować swego tylko obowiązku... Przy tym, jeśli ona widzi, że przez rozwód może w dodatku uratować męża, to dobrze zrozumiany obowiązek nakazuje jej zgodzić się.

– O tych rzeczach przykro nawet mówić.

– Dlaczego? Czy ci zaczyna być żal Rumuna?

– Nie! Dalibóg, zawsze go będę miał za szuję.

– Bo nie umiesz patrzeć obiektywnie. Ale to nic dziwnego: taki, któremu wszystko idzie jak po maśle, nigdy nie potrafi zdać sobie sprawy z psychologii bankruta, chyba byłby filozofem – a filozofia nie chodzi w parze z robotą milionów...

Nie chciałem dalej przedłużać tej rozmowy, bo i mnie moja przewrotność była nad wyraz przykra. Zdawało mi się, że rzucił jakieś ziarno – marne wprawdzie i zbyt może nędzne, by mogło wzejść, ale chwyciłem przynajmniej znów za jakąś nitkę. Jedna rzecz dodała mi ducha. Oto w chwili gdy zacząłem wmawiać w Kromickiego, iż to on jest zdania, że zrujnowany mąż powinien uwolnić od siebie żonę, dostrzegłem na twarzy jego jakby niepokój i przymus. Zauważyłem także, że przy wzmiance o jego milionach westchnął z cicha. Wyprowadzać z tego wnioski, że mu grozi ruina, byłoby wnioskować zbyt pośpiesznie, ale mogłem przypuszczać, że jego interesa nie są zupełnie pewne i że mogą się tak albo owak obrócić.

Postanowiłem sobie to sprawdzić. Tymczasem czułem w sobie wyraźnie dwóch ludzi. Jeden mówił w duchu do Kromickiego: „Jeśli choć trochę się chwiejesz, to ja ci pomogę do upadku – i choćbym miał ja także stracić cały majątek, obalę cię jednym zamachem, a wówczas będę miał do czynienia z człowiekiem złamanym, i zobaczymy, czy na pewnego rodzaju układy i warunki nie znajdziesz delikatniejszego terminu niż szelmostwo.”

Zdawałem sobie jednak zarazem sprawę, że to są sposoby nie moje, ale jakieś obce, które przyszły mi drogą czytania lub słyszenia, i których, gdyby nie rozpaczliwe moje położenie, nigdy bym się nie chwycił, bo są mi wstrętne i wprost przeciwne mojej naturze. Pieniądze nie odgrywały nigdy roli w moim życiu, ani jako środek, ani jako cel; uważam się za niezdolnego do władania podobną bronią; czułem, jakim jest poniżeniem dla mnie i dla Anielki wprowadzenie podobnego pierwiastku w nasze stosunki; sprawiało mi to tak niesłychane obrzydzenie moralne, że mi sobie mówiłem: „Czy i tego rodzaju upadku sobie nie oszczędzisz? Czy i z tego naczynia musisz się napić? Patrz, jak zstępujesz coraz niżej: dawniej do głowy nie przyszły by ci podobne sposoby, które, na domiar wszystkiego, mogą się na nic nie przydać, a zostawią ci ostateczną dla siebie samego pogardę.”

Istotnie dawniej, gdy zdarzało mi się czasem słyszeć ciotkę, mówiącą o sprawach pieniężnych Kromickiego i wyrażającą swe wątpliwości co do ich pomyślnego stanu, sprawiało mi to zawsze przykrość. W przewidywaniu, że on może kiedyś zażądać ode mnie pomocy lub wezwać mnie do udziału w swych obrotach, rozmyślałem, co w takim razie uczynię – i zawsze obiecywałem sobie, że stanowczo odmówię i pomocy, i udziału – tak dalece nie chciałem, by

w stosunek między mną a Anielką był wmieszany pieniądz. Pamiętam, że w tym widział pewną delikatność własnej natury i dowód szlachetności moich uczuć. Dziś doszło do tego, że chwytam za tę broń, jak gdybym był bankierem i całe życie wojował pieniędzmi.

Widzę z wszelką pewnością, że moje postęпки i moje myśli są gorsze ode mnie – i często nie zdaję sobie sprawy, jakim sposobem się to dzieje. Prawdopodobnie dlatego, że nie mogę wyjść z manowców. Kocham kobietę szlachetną, miłość moja jest wielka, a jednak z tego zestawienia rodzą się krzywizny i błędne koła, w których gubi się mój charakter, ztraca się nawet szlachetność moich nerwów. Gdym dawniej, w chwilach upadku, rzucał w kąć moralność, zostawało mi zawsze coś... jakieś poczucie estetyczne, za pomocą którego różniczkowałem samo zło. Dziś nie mam i tego, a raczej jest to we mnie bezsilne. Gdybym był przynajmniej ztracił jednocześnie w sobie świadomość szpetoty! Ale nie! Posiadam ją zawsze w równym stopniu, tylko że przestała ona być hamulcem i służy mi jedynie do spotęgowania udręczeń. Poza miłością dla Anielki nie ma we mnie miejsca na nic innego, ale świadomość nie potrzebuje miejsca. Gnieździ się ona i w miłości, i w nienawiści, i w bólu, jak rak gnieździ się w chorym organizmie.

Kto nie był w położeniu podobnym do mego, ten nie może mieć o nim pojęcia. Ja wiedziałem wprawdzie, że z miłosnych zawikłań mogą wynikać różne męki, ale wierzyłem w nie niedostatecznie. Nie myślałem, żeby były takie realne i takie nie do wytrzymania. Teraz dopiero rozumiem różnicę między „wiedzieć” a „wierzyć”, teraz rozumiem, dlaczego francuski myśliciel powiedział: „Wiemy, że musimy umrzeć, ale w to nie wierzymy.”

*12 lipca.*

Dziś mam pulsa rozbite i szum w głowie, bo zaszedł wypadek, na którego wspomnienie trzęsie się we mnie każdy nerw, jak w febrze.

Dzień był piękny, a wieczór jeszcze piękniejszy i pełnia. Postanowiliśmy zrobić wycieczkę do Hofgastein; jedna tylko pani Celina wołała zostać w domu. Ciotka, ja i Kromicki zeszliśmy zaraz do bramy ogrodowej willi, stamtąd Kromicki poszedł po powóz do Straubingera, my zaś z ciotką czekaliśmy na Anielkę, która pozostała jeszcze w domu. Gdy jej długo nie było widać, pobiegłem po nią i znalazłem ją na krętych zewnętrznych schodach, prowadzących z pierwszego piętra willi do ogrodu.

Ponieważ księżyc oświecał drugą stronę willi, ta zaś była zupełnie ciemna, więc Anielka zstępowała bardzo powoli. Schody szły wężem, prawie prostopadle na dół. Przyszła chwila, gdy głowa moja znalazła się na wysokości stóp Anielki, i zaledwie je dojrzałem, objąłem je dłońmi z czcią największą i począłem przyciskać do nich moje spragnione usta. Miałem świadomość, że przyjdzie mi odcierpieć za te minuty szczęścia, ale nie potrafiłem i nie umiałem się ich wyrzec. Zresztą Bóg widzi, ile było czci na moich ustach, których nie mogłem oderwać od tych kochanych nóg, i za ile męki płaciła mi ta chwila. Gdyby nie opór Anielki, byłbym jej stopę postawił na swojej głowie na znak, że jej się oddaję raz na zawsze w służbę i w niewolę. Ale ona cofnęła się zaraz ku górze, ja zaś zbiegłem w jednej chwili na dół i począłem wołać tak, aby mnie ciotka stojąca u bramy mogła dosłyszeć:

– Idzie już Anielka, idzie!

Nie pozostawało jej nic innego, tylko zejść, co mogła uczynić bez wszelkiej obawy, bom poszedł naprzód. W tej chwili też zajechał Kromicki z powozem. Anielka jednak, połączwszy się z nami, rzekła:

– Ja przyszedłam ciocię przeprosić: rozmyślałam się i nie chcę mamy samej zostawiać. Jedźcie państwo, a ja poczekam z herbatą.

– Ależ Celina ma się doskonale – odrzekła z lekkim niezadowoleniem ciotka – i sama zaproponowała tę wycieczkę głównie dla ciebie.

– Tak, ale... – zaczęła Anielka.

Wtem Kromicki zbliżył się do powozu i dowiedziawszy się, o co idzie, rzekł sucho:  
– Proszę nie robić trudności...

Anielka siadła za ciotką do powozu bez słowa odpowiedzi.

Mimo całego wzruszenia zwróciłem uwagę i na ton Kromickiego, i na milczące posłuszeństwo Anielki, a zwróciłem ją głównie dlatego, iż rano już zauważyłem, że przez cały dzień obejście się jego z nią było jeszcze chłodniejsze niż poprzednio. Widocznie te same nie znane mi powody nieporozumienia, które już raz rzuciły chłód między nich, powtórzyły się znowu z większą siłą. Ale nie miałem czasu o nich rozmyślać; świeże wrażenie tych pocałunków, które złożyłem na nogach Anielki, ogarnęło mnie całkowicie. Odczuwałem zarazem rozkosz, radość i bojaźń. Z rozkoszy zdawałem sobie sprawę, bom ją odczuwał zawsze, ilekroć dotknąłem choćby jej ręki. Ale skąd brała się we mnie radość?... Z tego, iż odgadywałem, że ta nieugięta i niepokalana Anielka nie zdołała jednak uchronić się całkowicie przede mną i że w tej chwili musi sobie mówić: I ja jestem na pochyłości i ja nie mogę patrzeć ludziom w oczy bez zmruczenia powiek: oto przed chwilą był u moich nóg człowiek, który mnie kocha, ja zaś muszę być poniekąd jego współniczką, bo jednak nie pójdę do męża i nie powiem mu: Ukarz go – a mnie zabierz.

Ja także wiedziałem, że ona nie może tego zrobić bez narażenia stosunków rodzinnych, a choćby nawet mogła, nie zrobiłaby tego ze względu na zajście, jakie jej skarga musiałaby wywołać między mną a Kromickim. I jakiś głos szeptał mi po cichu: „Kto wie, kogo się ona boi więcej narazić?”

Położenie jej było istotnie wyjątkowe, ja zaś wyzyskiwałem je z całą świadomością, bez większych skrupułów od skrupułów wodza, który w czasie wojny wyzyskuje niepomysłne położenie nieprzyjaciela. Zadałem sobie tylko pytanie: „Czy uczyniłbyś to samo, gdybyś wiedział, że Kromicki pociągnie cię do osobistej odpowiedzialności?” Ponieważ mogłem sobie sumiennie odpowiedzieć; tak! – więc sądziłem, że na inne względy nie potrzebuję uważać.

Nie!... Kromicki budzi we mnie bojaźń tylko przez to, że może zabrać Anielkę i wywieźć ją Bóg wie gdzie. Rozpacz ogarnia mnie na samą myśl o tym.

Ale w tej chwili, w tym powozie, bałem się przede wszystkim Anielki. Co będzie jutro? jak ona to przyjmie? czy jako zuchwałość, czy jako poryw czci i ubóstwienia? Mianem uczucie psa, który zbroiwszy boi się, że będzie obity. Siedząc naprzeciw Anielki starałem się w chwilach, w których światło księżyca padało na jej twarz, wyczytać z niej, co mnie czeka. Poglądałem na nią tak pokornie, byłem tak biedny, że sam litowałem się nad sobą, i zdawało mi się, że ona także powinna mieć nade mną litość. Ale ona nie patrzyła we mnie, tylko słuchała uważnie lub udawała, że słucha tego, co do ciotki mówił Kromicki, który opowiadał obszernie, co by zrobił i w jaki sposób osiągnąłby największe zyski w razie, gdyby Gastein był jego własnością. Ciotka kiwała głową, on zaś powtarzał ustawicznie: „Nieprawdaż?” Widocznym było, iż chce wpoić w nią przekonanie, że ma obrotny rozum i że z każdego grosza potrafi zrobić dziesięć.

Droga do Hofgastein jest po prostu wrębem skalnym i kręci się nad przepaścią w licznych zawrotach. Światło księżyca padało, stosownie do skrętów drogi, na przemian, to na nas, to na te panie. W twarzy Anielki widziałem tylko jakby łagodny smutek, ale już to dodawało mi otuchy, że wyraz jej nie był surowy. Nie otrzymałem ani jednego jej spojrzenia, pokrzepiałem się wszelako myślą, że gdy sama pogrążona jest w cieniu, a światło mnie oświeca, wówczas może ona patrzy na mnie, a może i mówi sobie: „Jednak nikt w świecie mnie tak nie kocha jak on – i nikt zarazem nie jest tak nieszczęśliwy”... Bo to przecie była prawda.

Oboje milczeliśmy. Gadał ciągle tylko Kromicki; słowa jego mieszały się z szumem rzeki płynącej na dnie przepaści i z przykrym zgrzytem hamulca, który woźnica co chwila zakładał pod koła. Zgrzyt ów drażnił bardzo moje nerwy, ale uciszała je natomiast ciepła a jasna noc. Mówiłem, że była pełnia; księżyc wybił się nad góry i płynął po przestworzu, rozświecając czuby Bocksteinkoglu, lodowce Tischikaru i przepaściste boki Grankoglu. Śniegi na szczy-

tach błyszczały jasnozielonym, metalicznym światłem, a ponieważ stoki leżące poniżej zlewały się z ciemnością i nocą w jedną szarą masę, więc owe jasności śnieżne zdawały się wisieć w powietrzu, lekkie, jakby nie do ziemi należące. Taki był w tym urok i spokój, i było coś tak kojącego w tych uśpionych górach, że mimo woli przyszły mi na myśl słowa:

O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,  
Co mają sobie przebaczyć – przebaczą,  
Co mają sobie zapomnieć – zapomną...

A właściwie ona mi miała do przebaczenia tylko to, że ucałowałem jej nogi; gdyby była posągami świętej i stała w kościele, jeszcze by nie miała prawa gniewać się i obrażać za taki dowód czci. Pomyślałem sobie, że gdy przyjdzie do wyjaśnień, to jej to powiem, bo ją to powinno przekonać.

Myślę często, że dzieje mi się wielka krzywda z tego powodu, iż ona, może nie zdając sobie sprawy, nie nazywając rzeczy po imieniu, uważa jednak moją miłość za uczucie czysto ziemskie, za poryw zmysłów. I ja nie przeczę, że ono jest splecione z różnych pasm; ale Anielka tego zdaje się nie rozumieć, iż są w nim nici niesłychanie idealne, po prostu jakby z poezji wysnute. Nieraz zmysły moje usypiają, i kocham ją tylko duchowo, tak jak człowiekowi wydaje się, że kocha w pierwszej młodości. Nieraz także ten drugi człowiek który we mnie siedzi i który wszystko rozbiera, sprawdza, a często i wyśmiewa, mówi mi: Nie wiedziałem, że kochasz jak student i jak romantyk! – Ale tak! Może to jest śmieszne, ale kocham w ten sposób i czuję, że to nie jest sztuczne i że właśnie dlatego miłość moja jest taka zupełna, a zarazem tym smutniejsza, im jednostronniejsza i bardziej zapoznawana.

I teraz właśnie przyszła na mnie chwila uśpienia zmysłów, więc mówiłem w duchu do Anielki: Czy ty myślisz, że idealne struny we mnie nie grają? A oto w tej właśnie chwili kocham cię w ten sposób, że ty nawet możesz i powinnaś się na takie uczucie zgodzić, i szkoda będzie, jeśli je zmarnujesz – bo sama nie straciłabyś nic, a mnie byś uratowała. Powiedziałbym sobie: oto jest mój świat, oto granice, w których mi żyć wolno – i miałbym choć cokolwiek, i starałbym się przeistoczyć własną naturę, przejść na twoją wiarę i raz na zawsze się jej trzymać.

Zdawało mi się, że ona może i powinna zgodzić się na taki układ, po którym nastąpiłby między nami i dla nas obojga wieczny spokój. Obiecywałem sobie, że jej to powiem i przedstawię, a gdy uznamy, że dusze nasze należą raz na zawsze do siebie, to potem będziemy mogli choćby nawet się rozjechać. Obudziła się we mnie nieprzeparta nadzieja, że na taki układ ona się zgodzi, bo zrozumie, że bez niego życie stanie się nam obojgu niemożliwe.

Była godzina dziewiąta, gdy dojechaliśmy do Hofgasteinu. We wsi było już spokojnie; ani jednego powozu przed hotelami, w domach ciemno. Świeciły się tylko okna w gasthausach, a u Megera jodłowało kilka wcale niezłych głosów męskich. Gdyśmy stanęli, wysiadłem z powozu chcąc, zaproponować śpiewakom, czyby się nie chcieli popisać przed hotelem, pokazało się jednak, że to byli nie wieśniacy, ale jacyś alpiniści z Wiednia, którym nie podobna było ofiarować zapłaty. Kupiłem dwa bukiety z edelwajsów i innych kwiatów alpejskich. Wróciwszy do powozu, oddałem jeden Anielce, drugi rozwiązałem, niby niechcący, tak że rozrzucone kwiaty spadły pod jej nogi.

– Niech tam leżą – rzekłem widząc, że chce się po nie schylić.

I poszedłem po trzeci bukiet dla ciotki. Zbliżając się do powozu, usłyszałem następne zdanie Kromickiego:

– I tu, w Hofgasteinie, gdyby urządzić dobrze drugi zakład, można by mieć sto od sta.

– A ty zawsze o tym samym? – spytałem go spokojnie.

I zadałem to pytanie umyślnie, było to bowiem to samo, co powiedzieć Anielce: Patrz, gdy cała moja istota tobą jest tylko zajęta, on, obok ciebie, myśli o pieniądzech – porównaj nasze uczucia – i porównaj nas!

Jestem niemal pewny, że ona mnie zrozumiała.

W powrotnej drodze kilkakrotnie usiłowałem zawiązać rozmowę, ale nie udało mi się wciągnąć w nią Anielki. Gdyśmy stanęli przy bramie willi, Kromicki poszedł z paniami na górę, ja zaś zostałem, by zapłacić powóz. Wróciwszy nie znalazłem już Anielki przy herbacie. Ciotka powiedziała mi, że czuła się nieco zmęczona i poszła się położyć. Porwał mnie zaraz wielki niepokój, i począłem czynić sobie wyrzuty, że to ja ją męczę. Nie może być nic bardziej gnębiącego dla człowieka, który prawdziwie kocha, niż to poczucie, że przynosi zło i szkodzi istocie kochanej. Piliśmy herbatę w milczeniu, bo ciotka była senna, Kromicki także jakiś niespokojny, ja zaś dręczyłem się coraz bardziej. Musiała – myślałem sobie – wziąć bardzo do serca mój postępek. Ona wszystko bierze ze złej strony. Czułem, że jutro będzie mnie unikała i że pokój, jaki zawarliśmy między sobą, uważa za zerwany przeze mnie. Te myśli przejęły mnie strachem, i postanowiłem nazajutrz jechać, a raczej uciekać do Wiednia, raz dlatego, że bałem się Anielki, po wtóre, że chciałem zobaczyć Chwastowskiego, a po trzecie myślałem – i Bóg jeden wie, z jaką goryczą – że jednak lepiej będzie uwolnić ją od mojej osoby i dać jej, choć przez dwa dni, wypoczynek.

*15 lipca.*

Cały szereg zdarzeń i wypadków! Nie wiem, od czego zacząć, bo ostatnie wrażenia najsilniejsze. Nigdy w życiu nie miałem tak jasnego dowodu, że jednak ona nie jest dla mnie obojętna. Muszę się wysilać, żeby zachować porządek w opowiadaniu. Mam prawie pewność, że Anielka zgodzi się na te warunki, które jej przedstawię. Chwilami dostaję zawrotu głowy. Lecz oto zmuszam się do jakiegoś ładu w pisaniu i zaczynam od początku.

Byłem w Wiedniu. Wróciłem dziś wieczorem. Przywiozłem nieco wiadomości, o których pogadamy z ciotką.

Widziałem Chwastowskiego i rozmówiłem się z nim. Co to za dzielny chłopak!... Pracuje, jak wół, w klinice; zabrał się do pisania higieny dla ludu, którą brat jego księgarz ma wydawać w postaci kilkugroszowych małych broszurek; należy do różnych stowarzyszeń lekarskich i nielekarskich, których jest czynnym członkiem, a oprócz tego umie znaleźć czas na rozmaite wesołe, może zbyt wesołe, stosunki w okolicach Kärthnerstrasse. Nie wiem, do prawdy, kiedy ten człowiek sypia. Wygląda przy tym bestia jak Herkules jarmarkowy. Co za bujność życia: aż kipi!

Mówiłem z nim o powodach, które mnie sprowadziły do Wiednia, bez żadnych ogródek.

– Nie wiem, czy panu wiadomo – powiedziałem – że i ja, i ciotka posiadamy dość znaczne kapitały; nie potrzebujemy spekulować, ale bądź co bądź gdybyśmy mogli włożyć je w jakie obroty, przynoszące znaczne zyski, zyski te przysłyby do kraju. Przypuszczam także, że panu Kromickiemu moglibyśmy oddać przysługę – byłaby więc dwustronna korzyść. Mówiąc otwarcie, osoba jego, jako taka, jest nam dość obojętna, ale ponieważ stał się naszym krewnym, więc radzi byśmy byli przyczynić się do powiększenia jego majątku, naturalnie, o ile byśmy mieli pewność, że sami nie poniesiemy przy tym szkód.

– I chcielibyście państwo wiedzieć, jak stoją jego sprawy?

– Oczywiście. On naturalnie ma jak najlepsze nadzieje, i nie wątpię, że jest szczery. Chodzi tylko o to, czy się nie myli. Dlatego, jeśli panu brat pisał coś o tym nie wymagając tajemnicy, to mi pan powiedz, a po wtóre poproś go pan, by umyślnie napisał do mnie i przedstawił mi jak najściślej cały stan rzeczy. Ciotka liczy w tym względzie na jego życzliwość dla siebie i na stosunki, które was łączą z nią dawniej niż z Kromickim.

– Dobrze, powiem to bratu – odrzekł doktor. – On nawet pisał mi już coś o tym, ale co, to dobrze nie pamiętam, bo mnie to mało obchodziło.

To rzekłszy począł szukać listu na biurku, wśród mnóstwa innych; znalazł go z łatwością i czytał, co następuje:

„Mało się nie skręć. Kobiet tu nic, a przystojnej ani na lekarstwo...”

Tu rozśmiał się i rzekł:

Nie, to co innego. Temu byłoby dobrze w Wiedniu!...

I przewróciwszy stronicę, podał mi ją do czytania, ja zaś znalazłem małą tylko wzmiankę w kilku wierszach:

„Co się tycze Kromickiego – z naftą była kłapa. Z Rotschildami wojna niemożliwa, a on z nimi zadarł. Wycofaliśmy się, ale ze znaczną stratą. Ogromne pieniądze włożyliśmy w dostawę i zdobyliśmy monopol, z tego jednak są albo milionowe zyski, albo może być i odpowiedzialność. Wszystko zależy od dobrej woli. Staramy się robić jak najuczciwiej, więc mamy dobrą nadzieję. Potrzeba by tylko pieniędzy i pieniędzy, bo nas płacą w stałych terminach, a ci, od których my bierzemy, żądają natychmiast, a w dodatku często dają zły materiał. Wszystko teraz na mojej głowie” etc.

– To my dostarczymy pieniędzy – rzekłem skończywszy czytać.

W powrocie do Gasteinu dużo nad tym rozmyślałem i odzywały się we mnie jakieś lepsze instynkta. „Co będzie, to będzie – myślałem sobie – a tymczasem zamiast gubić Kromickiego, czyby nie prościej i uczciwiej było pomóc mu? Przecie Anielka potrafiłaby ocenić taki postępek, i musiałaby ją ująć moja bezinteresowność – a o przyszłości niech Opatrzność rozstrzygnie.”

Zastanowiwszy się jednak głębiej, spostrzegłem, że i w tych lepszych myślach egoizm mój gra pewną rolę. Oto przewidywałem, że Kromicki dostawszy pieniędzy wyjedzie zaraz z Gasteinu i uwolni mnie od wszystkich mąk, jakie mi zadaje obecność jego przy Anielce. Anielka zostanie sama wobec mego uczucia, z wdzięcznością w sercu dla mnie, z pewną niechęcią, a może i oburzeniem dla Kromickiego, choćby za to, że przyjął moją pomoc. Zdawało mi się, że położenie takie otwiera przede mną nowe widnokreśli. Przede wszystkim jednak chciało mi się pozbyć Kromickiego za wszelką cenę.

Jadąc, rozmyślałem nad moim stosunkiem do Anielki tak silnie, że anim się spostrzegł, kiedy przyjechaliśmy do Lend-Gastein. W Lend zastałem mnóstwo ludzi rannych i zabitych z powodu wypadku na bocznej linii do Zell am See; ale zaledwem siadł do powozu i to wrażenie, jakie mi sprawił widok ran i krwi, przeszło bez śladu, i znów myślałem tylko o naszym stosunku. Miałem poczucie że potrzebuje on jakiejś reformy, że trzeba coś zrobić koniecznie, inaczej stanie się coś złego ze mną i z Anielką. Ale co należało uczynić? Widziałem jasno tylko jedno: że ona męczy i zabija mnie, a ja ją, bo gdy ja dążę do wszystkiego, a ona nie zgadza się na nic, tworzy się przez to takie rozdarcie między nami, taki dramat, że lepiej by dla niej było rzucić się w wodospady Achy, a dla mnie zlecieć wraz z powozem i końmi w przepaść. A oprócz tego doszedłem do przekonania, że nawet taka kobieta, która nie zgadza się na nic, musi wpaść w wewnętrzną straszną rozterkę, jeśli pokocha ją człowiek obcy. Bo oto Anielka nie zrobiła mi nigdy najmniejszego ustępstwa, a jednak ja od czasu do czasu całuję jej ręce i nogi, jednak musi słuchać moich wyznań – i musi mieć cały szereg tajemnic przed matką i mężem; musi się przy tym strzec, pilnować, czuwać nad sobą i nade mną, nigdy nie wiedząc, dokąd mogę się posunąć. Życie w tych warunkach staje się dla nas obojga niemożliwe. Trzeba to skończyć.

Nareszcie zdawało mi się, że znalazłem rozwiązanie. Niech Anielka – myślałem sobie – zgodzi się na to uczucie i uzna je; niech mi powie: Jestem twoja! Sercem i duszą należę i będę wiecznie należała do ciebie. Ale na tym musisz poprzestać. Jeśli się na to zgodzisz, dusze nasze są od tej chwili poślubione.



I oczywiście obiecywałem sobie zgodzić się. Wyobrażałem sobie, że podam jej rękę i powiem jej: Biorę cię i przyrzekam, że więcej od ciebie nie będę żądał – że stosunek nasz będzie i pozostanie czysto duchowy – ale niemniej będę uważał te nasze wzajemne zobowiązania za ślub, ciebie zaś za moją żonę.

Czy taki układ był możliwy i kończył mękę? Dla mnie równał się on ogromnemu ograniczeniu pragnień i nadziei, ale stwarzał mi świat własny, w którym Anielka należałaby do mnie niepodzielnie. Obok tego uprawniał on moją miłość, a chodziło mi o to tak bardzo, że za to uznanie jej ze strony Anielki gotów byłem oddać zdrowie. Widzę w tym dowód, jak dalece kocham tę kobietę, jak wszystkimi siłami duszy chcę, żeby w jakikolwiek sposób należała do mnie.

Tak jest! Jam się już tak dalece zmienił, tak dalece przenaturzył, że za tę cenę gotów byłem zgodzić się na wszelkie ograniczenia.

Więc począłem z największym wysiłkiem rozmyślać tylko nad tym, czy Anielka się zgodzi.

I zdawało mi się, że powinna.

Słyszałem naprzód siebie mówiącego do niej w sposób nieprzepartry: Jeśli rzeczywiście mnie kochasz – powiedz sama, nie jestże wszystko jedno, czy to ustami wyznasz, czy nie? Co może być szlachetniejszego i świętszego nad taką miłość, jakiej od ciebie żądam? Ja i tak ci życie oddaję, bo nie mogę inaczej – zapytaj więc własnego sumienia, czy nie powinnaś mi przyznać choć tego? A przecie to jest stosunek Beatryczy do Danta. Takim uczuciem wolno się kochać nawet aniołom. Będziesz mi bliską tak, jak tylko dusza może być bliską drugiej duszy, ale zarazem tak daleką, jakbyś żyła na najwyższym z tych szczytów. Jeśli to jest miłość nieziemska, jeśli zwyczajni ludzie nie mogą się na nią zdobyć, tym bardziej jej nie odrzucaj, bo godząc się na nią zostaniesz biała jak śnieg, a uratujesz mnie, kupisz spokój zupełny i tyle szczęścia, ile go na świecie mieć można.

I czułem szczerze, że jest we mnie zasób na takie uczucie prawie mistyczne, wierzące, że z larwy ziemskiej i doczesnej wyrodzi się jakiś wieczny motyl, który, oderwany od warunków ziemskiego bytu, będzie leciał z planety na planetę, póki nie połączy się z duszą wszechistnienia. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ja i Anielka możemy jako kształty przejść, a miłość nasza może nas przetrwać, zostać i być właśnie naszą nieśmiertelnością. „Kto wie – myślałem – czy to nie jest jedyna istniejąca forma nieśmiertelności”, czułem bowiem najwyraźniej, że w moim uczuciu jest coś wiecznego i wyłamującego się spod zmienności zjawisk. Trzeba bardzo kochać, żeby się uzdolnić do podobnych poczuć i widzeń, trzeba także być nieszczęśliwym, a może i stanąć na granicy obłąkania.

Ja na granicy obłąkania chyba jeszcze nie stoję, ale coraz częściej zanurzam się w mistycyzm i nigdy nie czuję się .szczęśliwszy jak wówczas, gdy się tak zgubię, tak rozproszę, że nie mogę odnaleźć własnego ja. I rozumiem, dlaczego tak jest. Moje zdwajanie się, moja krytyka wewnętrzna wystarczały mi zawsze do rujnowania wszystkich podstaw życia, a tym samym do psucia tego względnego szczęścia, jakie dać mogą owe podstawy. W tych zaś kramach, gdzie zamiast sylogizmów występują poczucia i wizje, nie mam co ze swoją krytyką robić, więc wypoczywam i doznaję ulgi niezmierniej.

Taik wypoczywałem, dojeżdżając do Gasteinu. Widziałem siebie i Anielkę duchowo poślubionych, spokojnych. Doznawałem uczucia dumy na myśl, że jednak potrafił wydostać się z błędnego koła i że wynalazłem sposób do szczęścia. Byłem pewien, że Anielka poda mi z radością swoją ukochaną rękę na taką wspólną podróż.

Nagle zbudziłem się jak ze snu, spostrzegłem bowiem, że moja własna ręka jest zupełnie zakrwawiona. Pokazało się, że powóz przewoził rannych wskutek kolejowego wypadku. Na bokach siedzenia odnalazłem w zagięciach dużo krwi, której woźnica nie dostrzegł i nie wytarł. Mój mistycyzm nie idzie tak daleko, abym miał wierzyć w mieszanie się potęg nadziemskich do ludzkiego życia, zwłaszcza pod formą znaków, ostrzeżeń i wróżb. Ale jeśli nie je-

stem sam przesądny, umiem natomiast doskonale wejść na tor myśli człowieka przesądnego, a zatem zauważyć i zaznaczyć, co jest dziwnego w danym zdarzeniu. W tej chwili dziwnym było to, że w tym samym powozie, w którym zacząłem snuć obrazy nowego życia, prawdopodobnie dopiero co jakieś życie zagasło, a po wtóre, że o zgodzie i pokoju myślałem z pokrzwawionymi rękoma. Podobne zestawienia napełniają zawsze każdego nerwowego człowieka smutnymi – nie przeczuciami – ale wrażeniami – i mogą rzucić posepny cień na cały bieg jego myśli.

Niezawodnie też i moje sposepniałyby niebawem, gdyby nie to, że byłem już niedaleko od Wildbadu. Naraz, jadąc zwolna pod górę, spostrzegłem powóz pędzący z pochyłości niezwykle szybko. Znów mógłby być wypadek – pomyślałem – zwłaszcza że na tej stromej drodze trzeba się mijać z wielkimi ostrożnościami. Lecz w tejże chwili woźnica owego powozu zahamował koła ze wszystkich sił, tak że konie jego przeszły niemal w stępa... Nagle, z ogromnym zdziwieniem, zobaczyłem w owym powozie ciotkę i Anielkę, które na mój widok poczęły krzyczeć: – Jest! jest! Leonie! Leonie! – W jednej minucie byłem przy nich. Ciotka zarzuciła mi oba ramiona na szyję i powtarzając: – Chwała Ci, Boże! – oddychała tak gwałtownie, jak gdyby piechotą biegła z Wildbadu. Anielka chwyciła moją rękę i nie puszczała jej. Nagle okropne przerażenie odbiło się w jej twarzy i krzyknęła:

– Tyś ranny!

Zrozumiałem, o co idzie, i odpowiedziałem natychmiast:

– Ani trochę! Nie byłem przy wypadku. Pokrwawiłem się o powóz, który przewoził rannych.

– Pewno? pewno? – pytała ciotka.

– Najpewniej.

– Co to za pociąg się rozbił?

– Idący do Zell am See.

– O Boże! Boże! A depesza przyszła, że wiedeński! Małom nie umarła. O Boże, co za szczęście! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Ciotka poczęła ocierać pot z czoła; Anielka była blada jak płótno. Puściwszy teraz moją rękę, odwracała twarz, bym nie mógł dostrzec jej drgania ust i łez w oczach.

– Byłyśmy same w domu – mówiła ciotka – bo Kromicki poszedł z Belgami do Nassfeld. Tymczasem przychodzi gospodarz i opowiada o nieszczęściu na kolei. Wiedziałam, że dziś wracasz; wyobraź sobie, co się ze mną działo! Wysłałam gospodarza natychmiast po powóz; Anielka poczciwa nie chciała mnie jednej puścić...Co za chwile przeszłyśmy, ale Bóg łaskaw, że się skończyło na strachu...Widziałeś rannych?

Ucałowałem rękę Anielki i ciotki, po czym zacząłem opowiadać, na com patrzył w Lend-Gastein. Pokazało się, że w depeszy, jaka przyszła do Kurhausu, były słowa: „W Lend-Gastein pełno rannych i zabitych.” Stąd rozumiano powszechnie, że wypadek zaszedł na linii Wiedeń-Salzburg. Opowiadałem piąte przez dziesiąte, bo w głowie miałem tylko jedną radośną myśl: oto, że Anielka nie chciała czekać w domu na powrót ciotki, ale wyjechała wraz z nią na moje spotkanie. Czy to uczyniła tylko dla ciotki? Byłem pewien, że nie. Widziałem jej niepokój i pomieszanie, jej strach, gdy zobaczyła krew na moich rękach, jej rozjaśnioną, pełną radości twarz, gdy okazało się, że nawet nie byłem świadkiem wypadku; widziałem, że jeszcze była wzruszona i że chce się jej płakać ze szczęścia. Rozpłakałaby się nawet niezawodnie, gdybym wziął jej rękę i powiedział jej, że ją kocham, i prawdopodobnie już by mi rękę cofnęła. A gdy wszystko to stało mi się jasne jak dzień, zdawało mi się, że przyszedł koniec mojej męki, że życie moje przełamie się od tej chwili i że rozpocznę nowy okres istnienia. Nie próbuję nawet opisać, co czułem i jaka radość rozsadała mi piersi. Od czasu do czasu spoglądałem na nią wzrokiem, w którym usiłowałem skupić całą moją ogromną miłość, a ona uśmiechała się do mnie. Dostrzegłem, że była bez rękawiczek i okrycia. Widocznie zapo-

mniała o wszystkim w przerażeniu i pośpiechu. Ze zaś czyniło się chłodno, więc okryłem ją własnym paltotem. Trochę się broniła, ale ciotka kazała jej wziąć go.

Za powrotem naszym do willi pani Celina powitała mnie z wylaniem i serdecznością taką, jak gdyby w razie mojej śmierci Anielka nie była jedyną spadkobierczynią majątku Płoszowskich. To są tak szlachetne i zacne kobiety, że ze świecą trzeba by szukać podobnych. Nie ręcę natomiast, czy Kromicki, gdy za powrotem z Nassfeld dowiedział się o całym przejściu, nie westchnął z cicha i nie pomyślał, że jednak świat szedłby zwykłym biegiem, gdyby zbrakło na nim Płoszowskich.

Przyszedł zmęczony i kwaśny. Belgowie, których poznał i z którymi jeździł do Nassfeld, byli to kapitaliści z Antwerpii. Nazwał ich kilkakrotnie idiotami za to, że zadowolają się trzecim procentem od swoich kapitałów. Powiedział mi wreszcie na odchodnym, że jutro musi ze mną w ważnej sprawie pomówić. Dawniej byłbym się tym zaniepokoił, obecnie domyślam się, że to będą jakieś finansowe propozycje. Byłbym go natychmiast wezwał na tę rozmowę, ale chciałem zostać sam z moimi myślami, z moim szczęściem, z moją Anielką w sercu i w duszy... Uścisnąłem jej rękę na dobranoc, jak człowiek, który kocha, a ona oddała mi równie gorąco uścisk. Czyś ty już moja naprawdę?

*16 lipca.*

Rano, za ledwie skończyłem się ubierać, ciotka przyszła do mego pokoju i po powitaniu rzekła bez żadnych wstępów:

– Wiesz, w czasie twej niebytności Kromicki zaproponował mi, bym z nim weszła do spółki.

– A ciocia co mu odpowiedziała?

– Odmówiłam bez namysłu. Powiedziałam mu tak: mój kochany, ja z łaski Boga mam dosyć, a Leon po mojej śmierci będzie należał do zamożniejszych ludzi w tym kraju. Po co nam rzucać się w jakieś awantury i kusić Opatrzność? Jeśli ty na swoich przedsięwzięciach zrobisz miliony, zróbże je dla siebie; jeśli stracisz – dlaczego mamy tracić razem z tobą? Ja się na tego rodzaju sprawach nie znam, a nie mam zwyczaju wdawać się w rzeczy, o których nie mam pojęcia. Czy miałam słuszność?

– Najzupełniej.

– Właśnie chciałam z tobą o tym pomówić i rada jestem, że tak samo na rzeczy patrzysz. On, widzisz, trochę się obraził za to, że nazwała jego roboty awanturami, począł mi jednak przedstawiać widoki, jakie ma na przyszłość, i tłumaczyć całą tę historię dostaw bardzo obszernie. Jeśli to wszystko prawda, to istotnie zrobi miliony – i życzę mu, by je zrobił. Ale spytałam go zaraz: jeśli ci tak dobrze idzie, na co ci spółki?... Powiedział mi, że im się więcej pieniędzy włoży, tym większe będą zyski – że tam się wszystko robi forszą i że woli do zysków dopuścić rodzinę niż obcych. Podziękowałam mu za te uczucia rodzinne, ale powtórzyłam odmowę. Widziałam, że mu to jest bardzo przykro. Zaczął ubolewać nad tym, że nikt się u nas nie rozumie na interesach, a wszyscy tylko zjadają to, co odziedziczyli. Powiedział mi bez ogródki, że to jest grzech względem społeczeństwa, na co ja znowu się rozgniewałam. Mój kochany – powiadam – jam gospodarowała po kobiecemu, ale grosza nie straciła i jeszcze przymnożyłam majątku, a o grzechach społecznych, jeśli komu wypada mówić, to nie tobie, który sprzedałeś Głuchów. Chciałeś całej prawdy, to ją masz! Gdybyś był nie sprzedał Głuchowa, miałabym do ciebie więcej ufności. O twoich przedsiębiorstwach nie tylko ja nic nie wiem, ale są one dla wszystkich ciemne; jedno tylko widzę jasno, że gdyby one były naprawdę tak dobre, jak mówisz, to byś spółników nie szukał i nie brał tak do serca mojej odmowy. Szukasz, bo ci tego trzeba, ale i przed chwilą nie byłeś ze mną zupełnie otwarty, a ja tego nie lubię.

– I cóż on?

– On mi na to odrzekł, że przede wszystkim nie rozumie, dlaczego na niego spada odpowiedzialność za sprzedaż Głuchowa. Głuchów wypuścił z rąk nie on, ale ci, co przez brak rozumu, niedoświadczenie, lekkomyślność i rozrzutność uczynili jego sprzedaż konieczną. Anielka, wychodząc za niego, miała tylko długi. On uratował tyle, ile by nikt inny uratować nie potrafił, i za to, zamiast wdzięczności, spotyka się z przymówkami i... czekaj... jak to on się wyraził?... z patetyczną deklamacją.

– To nieprawda – rzekłem. – Głuchów można było uratować.

– To samo mu powiedziałam, a w dodatku jeszcze i to, że na Głuchów byłabym pożyczyła pieniędzy. Mogłes (mówię) przed sprzedażą napisać słowo do Anielki, żeby ze mną o tym pomówiła, a Bóg widzi, czybym się była chwilę wahała... Ale to twój system, żeby nikt nic nie wiedział. Wszyscy wierzyliśmy w twoje miliony, i dlatego tylko nie ofiarowałam pomocy. On się począł śmiać ironicznie. – Anielka – powiada – jest za wielka pani i za idealna istota, żeby się miała zniżać do takich marności, jak są sprawy pieniężne albo też przemówienie w interesie męża. Dwakroć teraz ją prosiłem, by z ciotką pomówiła w kwestii spółki, i dwukrotnie odmówiła mi stanowczo. Co do ratunku Głuchowa, łatwo teraz mówić, gdy sposobność pomocy minęła. Wnosząc z odmowy, jaka mnie dziś spotyka, mam prawo wątpić, czyby i z ratunkiem Głuchowa nie było tak samo.

Począłem wsłuchiwać się z zajęciem, bo teraz stały mi się jasne te nieporozumienia między Kromickim a Anielką – ciotka zaś mówiła dalej:

– Jakem to usłyszała, tak powiadam: Widzisz, mój kochany, jak w tobie mało szczerości; mówiłeś mi z początku, że tylko dlatego proponujesz mi spółkę, bo wolisz, iżby rodzina zyskała niż obcy ludzie, a teraz pokazuje się, że to tobie samemu na tym zależy. On, że to mu sprytu istotnie nie brak, odpowiedział mi, że w tego rodzaju sprawach korzyść powinna być dwustronna i że naturalną jest rzeczą, że mu także na tym zależy, by rozporządzał jak największymi kapitałami, bo interesa mają to do siebie, że im na szerszej wspierają się podstawie, tym są pewniejsze. – Zresztą – dodał – biorąc Anielkę bez posagu miałem nadzieję, że mogę liczyć na pomoc rodziny przynajmniej w tych wypadkach, w których ta pomoc będzie dla samejże rodziny korzystną. – Zły był ogromnie, a zwłaszcza rozgniewał się, gdy mu powiedziałam, że Anielki bez niczego nie wziął, bo ja jej zapiszę dożywotnią rentę.

– Powiedziała to ciocia?

– Tak jest. Powiedziała wszystko, com miała pod sercem. – Anielkę kocham jak rodzone dziecko – powiedziałam – i właśnie dlatego, by ją ubezpieczyć, zapisuję jej nie kapitał, ale rentę. Kapitał (mówię) mógłby przepaść w twoich przedsiębiorstwach, które Bóg wie jak wypadną, a renta zapewni Anielce przynajmniej środki do dostatniego życia. Jeśli (powiadam) będziecie mieli dzieci, to dzieci dostaną i kapitał, ale dopiero po śmierci Anielki – i oto jest moja pomoc główna, obok której jestem zresztą gotowa do wszelkich mniejszych usług.

– I na tym skończyła się rozmowa?

– Prawie na tym. Widziałam, że jest ogromnie rozdrażniony. Myślę, że w duszy gniewało go i to, że Anielce zapisuję rentę nie kapitał, bo z tego mógł odgadnąć, jak mało ufam jego przedsiębiorstwom. Odchodząc zapowiedział, iż postara się o współników między obcymi, sądzi bowiem, że nie znajdzie między nimi mniej życzliwości, a spodziewa się znaleźć dokładniejsze rozumienie interesów. Zniosłam te przymówki z cierpliwością. Wczoraj on poszedł na wycieczkę z Belgami, ale wrócił z niej niekontent. Domyślałam się, że chciał ich wciągnąć do spółki i że również się zawiódł. Wiesz, Leonie, co ja teraz myślę? Oto, że jego sprawy źle stoją, skoro tak gorączkowo szuka współników. I powiem ci, że ta myśl mnie gryzie – jeśli bowiem tak jest, to prosta ostrożność nakazuje nie przystępować do spółki, ale jeszcze prostszy obowiązek rodzinny nakazuje pomóc mu, choćby ze względu na Anielkę. Dlatego właśnie chciałam z tobą pogadać.

– Jego interesa nie są tak rozpaczliwe, jak ciocia sądzi – odrzekłem.

I począłem opowiadać, czegom się dowiedział przez doktora Chwastowskiego. Powiedziała ciotce, że jużem się dawno był domyślił z samego zachowania się Kromickiego, że on szuka i potrzebuje pieniędzy – i po trochu dlatego jeździłem do Wiednia. Ciotka tak była zachwycona moją przenikliwością i taktyką, że chodząc po pokoju, rozpoczęła ze sobą monolog, z nieodstępnym zawsze pomrukiwaniem: We wszystkim jeniałny!... – na koniec oświadczyła, że całą sprawę zdaje na mnie i że zrobi, co postanowię.

To rzekłszy zeszła na dół, ja zaś przejrzałem jeszcze swój wczorajszy dziennik i w pół godziny później podążyłem również w jej ślady. Zostałem całe towarzystwo przy herbacie, ale zaledwem rzucił okiem na twarze, spostrzegłem, że znowu musiało się zdarzyć coś niezwykłego, bo Anielka miała minę zalęknioną, pani Celina zbolała, a zacna twarz ciotki była zarumieniona od gniewu. Jeden Kromicki czytał niby spokojnie gazetę, ale był kwaśny i wyglądał przy tym tak mizerny, jakby po chorobie.

– Czy wiesz – rzekła ciotka, ukazując Anielkę – co ta bieda oświadczyła mi na dzień dobry?

– Nie wiem – odrzekłem siadając do stolika.

– Ni mniej, ni więcej, tylko to, że za dwa tygodnie, jeżeli zdrowie Celiny pozwoli, wyjeżdżają sobie gdzieś do Odessy czy jeszcze dalej.

Gdyby piorun uderzył był w tej chwili w stół, nie byłbym się więcej zdumiał i przeraził. W pierwszej chwili po prostu serce zamarło we mnie.

Spojrzałem na Anielkę, która zaczerwieniła się, jakby złapana na jakimś niegodnym siebie uczynku, i wreszcie począłem pytać: – Co? dokąd? czemu?

– „Robią mi kłopot w Płoszowie” – rozumiesz – mówiła, przedrzeźniając Anielkę ciotka – „nie chcą mi być ciężarem” – miłosierne dusze! Myślą widocznie, że mi potrzebna samotność i że jeśli, gdy tobie wypadnie gdzie wyjechać, zostanę na starość sama, wśród czterech ścian w Płoszowie, to mi będzie zdrowiej i weselej... Naradzały się nad tym całą noc, zamiast spać.

Tu ciotka wpadła w gniew jeszcze większy i zwróciwszy się do Kromickiego, spytała:

– Czy to ty przydywowałeś na tej naradzie?

– Bynajmniej – odrzekł Kromicki – wcale mnie nie wezwano, ale ponieważ przypuszczam, że moja pani małżonka postanowiła i dlatego wyjechać, żeby być mnie bliżej, więc muszę być jej wdzięczny za to postanowienie.

– To tylko projekt... – ozwała się Anielka.

Ja, przepomniawszy wszelkich ostrożności, patrzyłem wciąż na nią, ona zaś nie śmiała oczu podnieść, co mnie tym bardziej utwierdzało w przekonaniu, że to moja osoba wpłynęła głównie na ten zamiar. Słów mi brak na opisanie tego, com czuł w owej chwili, i jaka śmiertelna gorycz zalała mi serce. Anielka dobrze to wiedziała, że żyję tylko dla niej, istnieję tylko przez nią, że wszystkie moje myśli należą do niej, wszystkie czynności ją tylko mają na celu, że ona jest dla mnie kwestią życia lub śmierci – i pomimo to z całym spokojem zrobiła sobie postanowienie wyjazdu. A czy ja zginę, czy sobie łeb o mur rozbiję – o tym nie pomyślała. Takich rzeczy nie bierze się pod uwagę. Będzie spokojniejsza, nikt nie będzie wił się w jej oczach jak chrabąszcz na szpilce, nikt nie będzie całował jej nóg, niepokoił jej cnotliwego sumienia – a to właśnie jest wszystko, czego jej trzeba. Jak można się wahać, gdy taki wyborczy spokój kupuje się za tak marną cenę, jak poderżnięcie gardła człowiekowi!

Podobne myśli przelatywały mi tysiącami przez głowę; czułem truciznę w ustach. „Jesteś cnotliwą i zostaniesz cnotliwą – mówiłem w duchu do Anielki – ale to dlatego, że ci brak serca. Gdyby pies przywiązał się tak do ciebie, jak ja się przywiązałem, jeszcze by mu się coś od ciebie należało. Nie zrobiłaś mi nigdy najmniejszego ustępstwa, nie ukazałaś mi nigdy iskry litości, nic przyznałaś nigdy nic, a odjęłaś zawsze, coś tylko mogła odjąć. Gdybyś mogła, odjęłabyś mi nawet możliwość patrzenia na siebie, choćbyś miała zupełną pewność, że bez twego widoku oczy moje zagasną raz na zawsze. Ale teraz rozumiem cię nareszcie dobrze, teraz wiem, że twoja nieugiętość jest właśnie dlatego tak wielka, że serce twoje jest tak małe. Jesteś

suchą i zimną kobietą, a cnota twoja to nic innego, tylko wygórowany egoizm, który chce przede wszystkim pozostać spokojnym i dla swego spokoju gotów wszystko poświęcić.”

Przez cały czas śniadania nie ozwałem się ani słowem. Poszedłszy do siebie na górę porwałem się za głowę i poczałem myśleć swoim obolałym i zmęczonym mózgiem nad tym, co zaszło. Myśli moje nie traciły jednak goryczy. Kobiety o małym sercu pozostają częstokroć nieugięte przez pewne filisterstwo cnoty. Chcą przede wszystkim mieć w porządku swoje księgi rachunkowe, tak jak pierwszy lepszy sklepikarz. Boją się one tak miłości, jak episjer boi się zaburzeń ulicznych, wojny, wielkich słów egzaltowanych głów, zuchwałych myśli, zuchwałych zamiarów i polotów. Przede wszystkim – spokój, bo tylko w spokoju idą dobrze prawdziwe, pozytywne interesa. Co przekracza zwykłą, rozsądną, a zarazem pospolitą miarę życia, jest złem i zasługuje na pogardę ludzi rozsądnych. Cnota ma swoje góry i otchłanie, ale ma także swoje płaszczyzny. Porąłem się teraz z pytaniem niesłychanie bolesnym: czy Anielka nie należy do takich płasko-cnotliwych kobiet, które chcą być bezwarunkowo w kupieckim ze sobą porządku – i dlatego nie poddają się miłości, że to jest rzecz przerastająca miarę ich serc i głów. Ogarniałem całą przeszłość – i szukałem w niej dowodów. Kto wie – mówiłem sobie – czy ten jej prosty kodeks, który mnie ubezwładnia i gniecie, nie wspiera się właśnie na takiej podstawie? Bo mnie się nieraz zdawało, że to jest istotnie jakaś wyjątkowa natura, różna od wszystkich innych kobiet, niedostępna jak śnieżny szczyt alpejski, dlatego, że pozbawiona pochyłości i strzelająca prostopadle ku niebu. Ale oto ta strzelista natura uważa za rzecz w zupełnym porządku, że pantofle męża depcą po owych śniegach. Co to jest? Ilekroć podobne myśli opadają mi głowę, czuję, że jestem bliski szaleństwa, czuję wściekłość, i gdybym mógł jednym zamachem zwalić, a potem zdeptać i oplwać te ohydne formy życia, to bym zwalił, zdeptał i oplwał, i pogrzyzył w chaos cały świat, i stał z jego powierzchni wszelkie istnienie. Budowałem, wracając z Wiednia, jakiś nadziemski gmach, w którym miałem kochać Anielkę taką miłością, jaką Dant kochał Beatrycę; zbudowałem go z cierpień, w których moja miłość oczyściła się jak w ogniu, ze zrzeczeń się, z ofiar, byle tylko w jakikolwiek sposób, choćby zaświatowy, choćby po prostu anielski, należeć do niej i czuć, że ona należy do mnie. A teraz przyszło mi do głowy, że nawet nie warto jej mówić o tym, bo ona tego nie zrozumie, że nie warto prowadzić ją na te wyżyny, bo jej tam zbraknie oddechu. Ona zgodziłaby się może w duszy na to, bym ją kochał i cierpiał – to zawsze gładzi miłość własną – ale na żaden układ, na żaden związek nawet najbardziej duchowy, na żadną przynależność do mnie, choćby dantejską, ona się nie zgodzi, bo mnie nie pojmie, bo ona pojmuje jedną tylko przynależność i jedne prawa – takie, jakie daje szlafrok męża – i dusza jej nie jest w stanie wznieść się ponad płaską i nędzną buchalterię małżeńską.

Ogarnął mnie żal ogromnie szczery i mocny, żem nie był w owym pociągu, który spadł z nasypu. Żal ten płynął zarówno z serdecznego oburzenia na okrucieństwo Anielki, jak i z wyczerpania przechodzącego wszelką miarę sił, zarówno duchowych jak fizycznych. Śmierć przedstawiła mi się tak, jak się przedstawia wypoczynek temu, kto przy kochanym chorym spędził kilkanaście bezsennych nocy. I przy tym pomyślałem, że gdyby mnie przywieziono zakrwawionego do Gasteinu, to przecie może by się w tej kobiecie coś poruszyło. A szło mi o to, nawet i w owej chwili, więcej niż o wszystko. inne. Myśląc o tym przypominałem sobie nagle tę wczorajszą Anielkę, która wyjechała z ciotką naprzeciw mnie; przypominałem sobie jej przerażenie, jej następną radość, te oczy, do których cisnęły się łzy, te roztargane włosy, i miłość niezmierna, stokroć rzeczywistsza od wszelkich sądów i rozmowań, ogarnęła mnie całego. Był to jakby gwałtowny, chwilowy odruch serca, które zaraz potem zaczęło znów zalewać się jadem zwątpień. To wszystko, com widział wczoraj w powozie, mogło tłumaczyć się inaczej.

Kto wie, czy moja osoba, czy też osoba ciotki odgrywała w tym większą rolę? Zresztą kobiety wrażliwe mają zawsze . do rozporządzenia cały kapitał współczucia nawet dla obcych, nie dopiero dla krewnych, zwłaszcza gdy jaka katastrofa zaskakuje je niespodzianie. Dlaczego

i Anielka nie miała się przerazić wieścią o mojej śmierci, a ucieszyć się zobaczywszy mnie żywego? Gdyby zamiast niej bawiła przy ciotce pani Śniatyńska, prawdopodobnie przełękłaby się, a następnie ucieszyła się tak samo, i widziałbym ją tak samo bez rękawiczek, z włosami w nieładzie i bez kapelusza na głowie. Zdawało mi się, że pod tym względem nie mam się co łudzić. Anielka dobrze wiedziała, że jej wyjazd będzie i większą, i wprost niebezpieczniejszą dla mnie katastrofą niż rozbitcie głowy w pociągu albo utrata ręki lub nogi – a jednak nie zawahała się ani na chwilę. Czułem doskonale, że to był jej pomysł. Chciała oto być bliżej małżonka, a co się ze mną stanie – to nie było wzięte w rachubę.

I znowu poczułem, że blednę z gniewu, zawiści, oburzenia i że krok jeden oddziela mnie od szaleństwa. – Czekaj! – mówiłem sam do siebie trzymając rękoma skronie – czekaj!... Może ona dlatego wyjeżdża, że cię kocha i że czuje, iż dłużej ci się nie oprze? – Ach, tak! I takie myśli były we mnie, ale nie znalazły w tej chwili odpowiedniego gruntu i zginęły jak owe nasiona, które padną na opokę, a poruszyły tylko rozpaczliwą ironię. Literalnie targałem sobie wnętrze. – Tak – mówiłem w duchu – to jest miłość podobna do tej troskliwości, przez którą wyciągają konającemu poduszkę spod głowy, żeby mniej głośno chrapał i krócej się męczył. Ja będę krócej się męczył, a za to Kromickiemu będzie łatwiej dojeżdżać z pociechą, której ta idealna istota przywykła oczekiwać od małżonka.

I Anielka stała mi się w tej chwili nienawistną. Pierwszy raz w życiu poczułem, że wolałbym, gdyby ona naprawdę kochała Kromickiego – byłaby mi mniej wstrętną! Gniew i zawziętość odbierały mi przytomność, widziałem jasno tylko to jedno: że jeśli czegoś nie uczynię, jeśli nie pomieszam jej planów, jeśli nie zemszczę się nad nią w jakikolwiek sposób, to stanie się ze mną coś strasznego. Zerwałem się pod wpływem tej myśli, jakby dotknięty rozpalonym żelazem, i chwyciwszy kapelusz, poleciałem szukać Kromickiego.

Nie znalazłem go w domu ani w ogrodzie. Poszedłem pod Wandelbahn – następnie do czytelnicy; nie było go i tam. Przez chwilę przystanąłem na mostku przy wodospadach, namyślając się, gdziebym mógł go znaleźć. Wiatr wiał od strony kaskad i rzucał mi w twarz tumany wodnego pyłu. Sprawilo mi to ogromną ulgę i przyjemność. Zdjąwszy kapelusz wystawiłem głowę na ów pył, i wkrótce włosy moje były mokre. Czułem jakąś zwierzęcą rozkosz w tym chłodziu. Oprzytomniałem. Pozostała mi tylko wyraźna i stanowcza wola pomieszczenia zamiarów Anielki. Mówiłem do niej: „Wiedz, że nie pojedziesz, a potem będę się z tobą obchodził jak człowiek, który cię zapłacił.” Widziałem też teraz jasno środki, które mogły mnie doprowadzić do celu, i nie miałem obawy, abym popełnił jakie głupstwo, rozmawiając z Kromickim. Opanowałem się pod tym względem zupełnie.

Kromickiego znalazłem czytającego gazety przed hotelem Straubingera. Ujrawszy mnie, wypuścił monokl z oka i rzekł:

- Właśnie miałem iść do ciebie.
- Chodźmy na Kaiserweg.

I poszliśmy.

Nie czekając, aż Kromicki zacznie pierwszy, przystąpiłem do rzeczy.

- Ciotka mówiła mi – rzekłem – o waszej wczorajszej rozmowie.
- Żałuję, że ona miała miejsce – odrzekł Kromicki.

– Boście oboje nie mówili tak spokojnie, jak się powinno mówić o interesach. Mój kochany, pozwolisz, że będę z tobą zupełnie otwarty. Trzeba ciotkę znać. Ona jest najzacniejsza w świecie kobieta, ale ma jedną słabość, zresztą zupełnie zrozumiałą. Mając istotnie dużo trzeźwego rozumu, lubi zaznaczać, że go ma – i dlatego na wszystko, co się jej przedstawia, woli patrzeć z niedowierzaniem, choćby nieco przesadnym. Z tego również powodu odpowiada zrazu najczęściej odmownie. Stary Chwastowski mógłby ci coś o tym powiedzieć. Trzeba jej zostawić czas do namysłu – a przede wszystkim nie zadrażnić jej, bo wówczas się zacina; ty zaś nie umiałeś tego uniknąć.

- Ale czym ja ją mogłem zadrażnić?... Jeśli kto, to ja umiem przecie gadać o interesach.

- Źleś zrobił, żeś wspomniał, iż wzięłeś Anielkę bez posagu. Ciotka dotąd o to zła.
- Powiedziałem to wówczas, gdy mi poczęła wymawiać sprzedaż Głuchowa. Zresztą powiedziałem prawdę. Głuchów tak był obciążony, że Anielce nic się z niego nie należało.
- Właściwie mówiąc, po coś ty ten nieszczęśliwy Głuchów sprzedawał?
- Bom sobie mógł tym ująć kogoś, od kogo cały mój przyszły majątek, zatem cały los zależy. Jak się nie ma wyboru, to się robi to, co się musi – co? Oprócz tego zapłacono mi dobrze.
- Więc mniejsza o to. Ciotkę twoje słowa ubodły tym więcej, że ona myśli o Anielce.
- Myśli jej zapisać rentę.
- Więc ci powiem pod sekretem, że bynajmniej. Wiem, że tobie tak wczoraj powiedziała właśnie dlatego, żeś ją rozgniewał. Chciała ci dać przez to do zrozumienia, że twoim zdolnościom do interesów nie ufa. Ale bynajmniej. Ze mną nieraz o tym mówiła, i ja, jako przyszły jej spadkobierca, mogę najlepiej o tym wiedzieć...

Kromicki spojrział na mnie bystro.

- I ty przecie tracisz na tym, jako przyszły spadkobierca.
- Tak – rzekłem – ale ja nie wydaję nawet swoich własnych dochodów, dlatego mogę o tym mówić z taką zimną krwią. Ciebie, jako człowieka interesów, może to dziwi. Jeżeli inaczej sobie tego wytłumaczyć nie możesz, przypuść, że jestem oryginał. Bywają i tacy na świecie. Otóż zapowiadam ci, że po pierwsze: nie myślę ograniczać hojności ciotki, a po wtóre, że wiem z pewnością, iż ciotka myśli wyposażyć Anielkę nie rentą, ale wprost gotowizną. Naturalnie, że mój wpływ na ciotkę mógłby odegrać ważną w tym rolę, ale ci powiadam, chcesz, wierz, chcesz, nie wierz, iż użyję go raczej na twoją korzyść niż na szkodę.

Kromicki uściskał mi silnie rękę. Ramiona jego poruszały się przy tym zupełnie jak ramiona drewnianego manekina. Był mi w wysokim stopniu wstrętny. Przypuszczam także, że miał mnie bardziej za głupca niż za dziwaka, ale wierzył mi, o to zaś chodziło mi przede wszystkim. Wierzył zresztą słusznie, gdyż w tej chwili była to rzecz postanowiona w moim umyśle, że Anielka dostanie gotowiznę, nie rentę.

Czułem także, iż Kromickiego pali ochota zapytać mnie: ile? I kiedy? Zrozumiał jednak, że byłoby to zbyt niedelikatne, i milczał jak gdyby ze wzruszenia, ja zaś mówiłem dalej:

– Musicie tylko pamiętać, że z ciotką trzeba umieć postępować. Że ona ma zamiar wyposażyć Anielkę, za to mogę ci ręczyć, ale ostatecznie, póki ci posagu nie położy na stole, a ty go nie zagarniesz, wszystko zależy od jej woli, a nawet kaprysu. Tymczasem, co wy wyrabiacie? Wczoraj ty ją zagniewałeś, a dziś Anielka, i to w wysokim stopniu. Jako przyszły spadkobierca, powinien bym cieszyć się z tego i nie ostrzegać was, a jednak widzisz, że to czynię. Ciotce był ogromnie przykry zamiar Anielki; zwróciła się do ciebie niby z gniewem, ale w duszy z nadzieją, że staniesz po jej stronie, tymczasem tyś niejako potwierdził pomysły tych pań...

– Mój drogi! – rzekł Kromicki, ściskając mnie ponownie. – Powiem ci szczerze, że jeśli niby potwierdził, to trochę ze złości na ciotkę. W gruncie rzeczy to jest projekt niedorzeczny. Czego nigdy nie mogłem znieść, to egzaltacji, a te obie panie mają jej powyżej głowy. Ciągłe im się zdaje, że nie powinny nadużywać waszej gościnności, że nie mogą siedzieć wiecznie w Płoszowie, *et caetera*. Mam tego póty... Tymczasem oto jak rzeczy stoją. Do Turkiestanu brać ich przecie ze sobą nie mogę, a jak raz tam jestem, to czy Anielka mieszka w Odessie, czy w Warszawie, to już mi jest wszystko jedno. Gdy wycofam się z tych odległych interesów i jak mam nadzieję, z majątkiem więcej niż znacznym, wówczas, oczywiście rzecz, że urzędę się odpowiednio. Nastąpi to za rok najdalej. Za samo ustąpienie interesu powinienem przecie zyskać... Naturalnie, że gdyby nie było Płoszowa, musiałbym pomyśleć o jakimś tymczasowym pobycie dla tych pań, ale skoro ciotka ofiaruje im gościnność i sama sobie życzy, by one u niej mieszkały, to głupstwem byłoby szukać schronienia gdzie indziej. Teściowa moja dopiero od kilku tygodni na nogach. Kto wie, co dalej będzie, a gdyby było źle, wówczas



wszystko by spadło na Anielkę, która jest kobieta młoda i niedoświadczona. Ja teraz nie mogę absolutnie być przy nich. Ja tu już i tak siedzę jak na węglach, i skoro mówimy tak otwarcie, to ci powiem, że tylko nadzieja wciągnięcia ciebie albo ciotki do spółki zatrzymała mnie tutaj tak długo. Powiedziałem ci wszystko, com miał pod sercem – teraz ty powiedz: czy mogę w jakikolwiek sposób liczyć na waszą dobrą wolę?

Odetchnąłem.

Zamiar Anielki był zburzony.

Napełniła mnie radość, postawiłem bowiem na swoim. Obok tego, jakkolwiek moja miłość dla Anielki była podobna w tej chwili do głębokiej nienawiści – nienawiść ta, stanowiąca teraz moją wyłączną podstawę życia, potrzebowała, zarówno jak i miłość, pokarmu. Takim pokarmem mogła być dla niej tylko obecność Anielki. Wniosłem na koniec ze słów Kromickiego, że za jednym zamachem mogę dokazać tego, co było najgorętszym moim pragnieniem, to jest pozbyć się go na czas niemal nieokreślony. Nie okazałem jednak najmniejszego wzruszenia, sądziłem bowiem, że będzie lepiej, gdy Kromickiemu nie pójdzie z nami zbyt łatwo i gdy pozwolę się trochę prosić. W tym celu rzekłem.

– Nie mogę ci z góry nic powiedzieć. Przede wszystkim przedstaw mi dokładnie stan twoich interesów.

Kromicki począł mówić i mówił z pewną skwapliwością, dowodzącą, że tego rodzaju rozmowy stanowią jego ulubiony temat. Co chwila zatrzymywał się i brał mnie za guzik lub przypierał do skalistej ściany. Gdy powiedział coś, co mu się zdawało bardzo przekonującym, nakładał z niesłychaną szybkością monokl i patrzył na mnie, jakby szukając na mojej twarzy wrażeń. Wszystko to, w połączeniu z jego drewnianym, nieco skrzypiącym głosem i z pytaniami: co? co? którymi zarzucał mnie ustawicznie, było mi nieznośne, ale muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że nie zmyślał. Mówił mniej więcej to samo, com wyczytał w liście młodego Chwastowskiego. Sprawa przedstawiała się w sposób następujący: ogromne kapitały były już włożone w dostawy, zyski mogły być wielkie, tym bardziej że na mocy kontraktu Kromicki miał sam jeden prawo do pewnych dostaw. Niebezpieczeństwo interesu leżało w tym, że kapitały, które trzeba było wyłożyć zaraz, wracały po przejściu całej procedury biurowej, zatem zwolna, a po wtóre, że Kromicki miał do czynienia z poszczególnymi dostawcami, których interesem było dawać materiał jak najgorszy, cała zaś odpowiedzialność za to ciążyła na nim. Ten ostatni punkt zdawał go niejako na łaskę i niełaskę intendenty, która zresztą miała zupełne prawo przyjmować tylko materiał dobry. Bóg wie, jakie niebezpieczeństwa mogły z tego powodu grozić Kromickiemu.

Wysłuchawszy jego opowiadania, które trwało z godzinę, odrzekłem:

– Mój kochany, wobec tego, co przedstawiasz, ani ja, ani ciotka, nie możemy zostać twymi współnikami...

Twarz Kromickiego zżółkła w jednej chwili.

– Powiedz mi: czemu?

– Bo jeśli ty, mimo wszelkich ostrożności, będziesz miał proces, my nie chcemy w nim figurować.

– Rozumiejąc w ten sposób, nie zaczęłoby się żadnego interesu.

– My też nie mamy najmniejszego powodu zaczynać. Chciałeś, byśmy przystąpili do spółki; powiedz mi: z jakim kapitałem?

– Co tu o tym mówić!... ale gdybyście mogli włożyć choć siedmdziesiąt pięć tysięcy rubli...

– Nie, nie włożymy i nie poczuwamy się do obowiązku. Ponieważ jednak jesteś, a raczej stałeś się naszym krewnym, więc ci chcę pomóc. Krótko mówiąc, pożyczę ci siedmdziesiąt pięć tysięcy rubli na prosty kupiecki weksel.

Kromicki stanął i począł patrzeć na mnie mrugając oczyma jak człowiek, który śni. Ale trwało to chwilę. Widocznie przyszło mu do głowy, że okazać zbyt wielką radość byłoby z

jego strony niepolitycznie. Kupiecka przezorność – wobec mnie zresztą i śmieszna, i niepotrzebna – wzięła w nim górę; uściśnęła moją rękę i rzekł:

– Dziękuję ci. Na jaki procent?

– O tym pomówimy w domu. Teraz muszę wracać. Chcę pomówić z ciotką.

I pożegnałem go zaraz. Wracając, zastanawiałem się, czy Kromickiemu nie wyda się zbyt dziwnym moje postępowanie i czy się czegoś nie domyśli. Ale była to próżna obawa. Meżów zaślepiła po większej części nie miłość do żon, ale miłość własna. Przy tym Kromicki, patrząc na nas ze swego kupiecko-pozytywnego stanowiska, poczytuje i mnie, i ciotkę za dwoje ludzi fantastycznych, nie mających pojęcia o interesach, a natomiast przejętych na wskroś jakimiś przestarzałymi zasadami, do liczby których należy i poczucie solidarności rodziny. Jest to istotnie pod wielu względami typ zupełnie różny od nas – i z tego powodu, nawet mimo woli, uważamy go za intruza.

Wróciwszy do willi spotkałem w ogrodzie Anielkę kupującą od miejscowej chłopki poziomki.' Przechodząc mimo, powiedziałem jej szorstko:

– Nie wyjedziesz, bo ja tego nie chcę!

I poszedłem do siebie.

Przy obiedzie wszczęła się znów rozmowa o wyjeździe tych pań. Tym razem Kromicki zabrał głos i mówił o tym zamiarze, wzruszając nad nim ramionami jak nad dzieciństwem, z którego człowiek prawdziwie rozsądny może się tylko śmiać. Nie umiał być przy tym dość delikatny ani dla żony, ani dla pani Celiny, bo natura jego nie jest w ogóle delikatną. Ja nie zabierałem wcale głosu, jak człowiek, którego cała rzecz z daleka tylko obchodzi. Spostrzegłem, iż Anielka zdaje sobie jednak doskonale sprawę, że Kromicki jak pozytywka wygrywa tylko tę nutę, na którą go nakręciłem. Widziałem, że jej było wstyd za niego i że sama czuła się głęboko upokorzona. Nosilem w sercu tyle urazy do niej, że sprawiało mi to przyjemność.

Zostałem jednak co się zowie zraniony. Nie mogę się dotąd uspokoić i nie mogę tego Anielce przebaczyć. Gdybym był nie obmyślił w powrocie z Wiednia tego układu, gdybym był nie uczynił ofiary z tyłu swoich pragnień, namiętności, ze swoich zmysłów, ze swojej natury, nie czułbym tak głęboko zawodu. Ale to właśnie wypadło tak jakoś okrutnie, że gdym ja, z miłości dla niej, chciał się z gruntu przeistoczyć i gdym wchodził na jakieś wyżyny, na których dotąd nie bywałem, byle tylko być przy niej, ona chciała mnie bez żadnego względu ni miłosierdzia zepchnąć na samo dno rozpaczony – i nie wzięła w rachubę, czy też nie stanie się ze mną co złego... Te myśli zatruwają mi radość płynącą z tego, że Kromicki wyjeżdża, a ona pozostaje. Przyszłość przyniesie jakieś rozwiązanie, ale tak jestem wymęczony, że go nawet nie przewiduję. Byłoby jedno – bardzo proste – gdybym dostał choroby mózgowej. Może i to z czasem przyjść, bo ja po całych dniach dręczę się, a nocami, nie mogąc spać, pisuję. Wypalam przy tym mnóstwo cygar, aż do odurzenia się, i prawie co dzień dosiaduję do białego dnia.

*30 lipca.*

Nie pisałem przez dwa tygodnie. Jeździłem do Wiednia wraz z Kromickim dla załatwienia interesów, potem wróciliśmy razem i on bawił jeszcze trzy dni. Dostałem w tym czasie tak silnych bólów głowy, że nie mogłem pisać. Kuracja pani Celiny ukończona od tygodnia; bawimy jeszcze w Gasteinie tylko dlatego, że wszędy na równinach panują ogromne upały. Wyjazd Kromickiego przyniósł wielką ulgę mnie, pani Celinie, którą on drażni do tego stopnia, że gdyby nie był jej zięciem, to by go nie znosiła, ciotce, a może i Anielce. Anielka nie może mu przebaczyć, że wciągnął mnie do swoich interesów. On, ani się domyślając, że między mną a jego żoną może istnieć co innego niż zwykły towarzyski stosunek, nie robił wcale z tej pożyczki sekretu; ona zaś była jej przeciwna z całej duszy. Nie mogła mu oczywiście nic powiedzieć – może z obawy, by nie stracić reszty złudzeń co do niego, gdyby ją i w takim

razie pozostawił przy ciotce. Czasem myślę, że i ona, i pani Celina, nie zdradzając się wzajem przed sobą, nie mają do niego, od czasu jak sprzedał Głuchów, najmniejszego zaufania i że w głębi duszy przypuszczają, iż jest gorszy, niż jest rzeczywiście. Podług mnie jest to przede wszystkim duchowy parweniusz, z naturą suchą, drewnianą, niezdolną zarówno do delikatnych uczuć, jak do subtelnych myśli. Nie ma w nim także żadnej wspaniałomyślności; nie jest to dusza ani szlachetna, ani wrażliwa, ani głęboka, ale natomiast jest to w pospolitym, kodeksowym znaczeniu tego słowa, porządny człowiek. Dopomaga mu do tego pewien wrodzony pedantyzm, bo w nim pedantyzm łączy się w dziwaczny sposób z newrozą pieniężną, która nie jest znów niczym innym, jak zwyrodniałą fantazją, która przez ten kierunek znalazła sobie ujście.

W ogóle biorąc jest mi tak niewypowiedzianie nienawistny i wstrętny, razem ze swoim monoklem, skośnymi oczyma, długością nóg i brakiem zarostu na żółtej twarzy, że i tak dziwię się, jak mogę się zdobyć na sąd o nim równie obiektywny. Myślę jednak, że jeśli on wszystkiego nie straci, to i ja nie stracę swoich pieniędzy. Ale zapisuję i z całą otwartością, że wolałbym, gdyby stracił pieniądze, rozum, życie – i przepadł raz na zawsze.

Chory jestem. Anielkę mało w ostatnich dniach widywałem. Częścią bóle głowy zatrzymywały mnie na górze, częścią umyślnie powstrzymywałem się od widywania jej, aby jej dać poznać mój gniew i urazę. A kosztowało to mnie niemało, bo oczy moje potrzebują jej jak światła. Pisałem już, że ona, przy całej nieugiętości swego charakteru, posiada pewną płochliwość. Wprost nie znosi, żeby się ktoś na nią gniewał, boi się tego i stara się każdy gniew przejednać. Jest wtedy cicha, łagodna, patrząca w oczy, jak dziecko, które obawia się kary.

Wzruszało mnie to zawsze do najwyższego stopnia, ale i sprawiało mi rozkosz, albowiem karmiłem się złudzeniem, że byłem otworzył jej ramiona, to ona padnie w nie i głowę złoży na moich piersiach, choćby tylko dla prześlągnięcia gniewu. Tego rodzaju złudzeń nie umiem się pozbyć, a choć wiem, że je przyszłość rozproszy, i teraz jeszcze tai się w głębi mego serca nadzieja, że gdy się wreszcie przeprosimy, to przecie coś się stanie, to ona uczyni mi jakieś ustępstwa, to będzie mi bliższa. Z drugiej strony, w samym tym rozdrażnieniu zobopólnym widzę jakby mimowolne przyznanie, mimowolną zgodę Anielki na to, że mam prawo ją kochać; jeśli bowiem ona uznaje urazę płynącą z miłości, to musi uznać i miłość samą. Są to prawa nikłe jak sen, nie mające krwi i ciała – ale ja się nimi ratuję od zupełnej apatii i nimi żyję.

*2 sierpnia.*

Miałem znów list od Klary. Ona się chyba czegoś domyśla, bo tyle jest litości, tyle współczucia w jej słowach, jakby wiedziała, do jakiego stopnia jest mi źle. Nie wiem i nie chcę dochodzić, czy ona mnie kocha jak siostra czy inaczej, ale czuję, że bardzo mnie kocha. Odpisałem jej tak serdecznie, jak tylko potrafi człowiek nieszczęśliwy, pisząc do jedynej przyjaznej i współczującej duszy. Klara wybiera się do Berlina, a na początek zimy do Warszawy. Namawia mnie, bym przyjechał do Berlina choć na parę dni. Nie pojedę, nie oderwę się od mojej troski, ale rad zobacze Klare w Warszawie.

Z Anielką rozmawiamy tylko o rzeczach potocznych, żeby nie zwrócić uwagi starszych pań na ten rozbrat, jaki nas dzieli. Gdy zostajemy na chwilę sami, milczymy oboje. Widziałem kilka razy, że ona chciała coś mówić, ale bojaźliwość zamyka jej usta – ja zaś mam jej do powiedzenia tylko jeden wyraz: „kocham”, który wobec tego, co czuję, jest tak niedołącznym wyrazem, że prawie nic nie wypowiada. Bo teraz jest żal w moim kochaniu. Gnębi mnie ciągle myśl, że jej dał Pan Bóg małe serce i że w tym leży tajemnica jej nieugiętości. Dziś, gdy myślę o wszystkim spokojniej, wracam do przekonania, że Anielka może i ma dla mnie jakieś uczucie, złożone z wdzięczności, litości, wspomnień, ale to uczucie nie ma żadnej siły czynnej, nie jest w stanie na nic się zdobyć, nawet na przyznanie, że istnieje. Ona nie ma dla siebie

szacunku, uważa się za coś złego, wstydzi się siebie i zapiera, a w porównaniu z moim wyglądem tak, jak ziarno gorczyczne przy tych Alpach, które nas otaczają. Od Anielki można oczekiwać, że uczyni raczej wszystko dla ograniczenia niż cokolwiek dla podsyceńnięcia uczucia. Ja od niej niczego się nie spodziewam, niczego nie wyglądam, a tak mi źle z tym przeświadczeniem!

*4 sierpnia.*

Przez jakiś czas żywiłem na dzień serca nadzieję, że Anielka, pod wpływem oburzenia na męża, przyjdzie pewnego dnia do mnie i powie mi: „Kiedyś mnie zapłacił, to mnie masz!” Nowe złudzenie! Może tak by postąpiło wiele kobiet o egzaltowanych głowach, wykarmionych na francuskich powieściach; postąpiłaby tak niewątpliwie każda, która by miała ukrytą ochotę rzucić się w objęcia kochanka i szukała tylko dobrego pozoru. Nie! Anielka tego nie uczyni, i jeżeli mi mogła podobna myśl przyjść do głowy, to tylko dlatego, że i ja karmiłem się czytaniem tych pseudodramatów, jakie rozgrywają się w duszach kobiet, które w gruncie rzeczy mają przede wszystkim niekłamana chęć puszczenia swej cnoty z wodą. Anielkę mogłoby popchnąć w moje objęcia tylko serce, ale nie sztuczny dramat, nie frazes, nie fałszywy patos. Więc też nie ma obawy, aby się to stało.

Jest wielką klęską dla człowieka pokochać prawdziwie i głęboko cudzą żonę, choćby to była żona najpospolitszego i najmarniejszego człowieka – ale prawdziwym nadmiarem nie-szczęścia jest pokochać kobietę cnotliwą. Jest coś takiego w moim stosunku do Anielki, o czym nigdy nie słyszałem ani nie czytałem; jest jakaś niemożność wyjścia i zakończenia. Rozwiązanie, czy jest katastrofą, czy uwieńczeniem pragnień, jest zawsze czymś – a tu jest męczące koło błędne. Jeśli ona bowiem pozostanie taką, jak jest, a ja nie przestanę jej kochać, to będzie tylko męka i męka – nic więcej. A jestem rozpaczliwie pewny, że ona wytrwa i ja także.

Ja, jeśli naprawdę ma małe serce, niewiele to kosztuje. Ja chciałbym nieraz z całej duszy zrzucić to jarzmo, ale nie mogę. Nieraz mówię sobie, że trzeba; nieraz napracuję i nawysilam się nad sobą, jak się wysila dla własnego ratunku człowiek tonący; nieraz mi się zdaje, że już do czegoś doszedłem, a potem niech zobaczę ją przez okno, niech obejmę ją oczyma, doznaję takiego wstrząśnienia w sercu, że cała niezmierna głębia mego uczucia odkrywa mi się nagle, zupełnie tak jak w nocy odkrywają się w czasie burzy głębokie chmur, gdy błyskawica rozdrze ciemność.

O! jaka to męka mieć do czynienia z cnotą nieubłaganą i zimną jak litera prawa!

Ale choćby Anielka wcale nie miała serca, jeszcze bym ją kochał tak, jak kochałbym moje jedyne dziecko, choćby było kalekie.

Człowiek więcej się tylko wtedy lituje i więcej cierpi.

*5 sierpnia.*

Jaka to licha i nędzna miara rozsądek, gdy przyjdzie nim mierzyć albo rzeczy bardzo wielkie, albo genialne, albo pełne grozy. Ten rozsądek, który tak dobrze posługuje w zwykłych warunkach życia, staje się wówczas starym błaznem, jak Polonius. Zdaje mi się, że również zwyczajna mieszczańska etyka nie może być miarą dla wielkich namiętności. Widzieć w tak wyjątkowym, w tak ogromnym uczuciu, jak jest moje, tylko przestąpienie takich a takich paragrafów – i nie widzieć nic więcej, nie widzieć, że to jest żywioł, że to jest część tej siły wyższej nad wszelkie marne przepisy, siły boskiej, twórczej, niezmierniej, na której opiera się wszechistnienie – to jest swego rodzaju ślepotą i małość... Niestety, Anielka tak tylko umie patrzeć na moją miłość! Przypuszczam, iż nieraz musi jej się wydawać, że bądź co bądź

powiniennem ją za to szanować, a ja, Bóg widzi, nie dlatego to mówię, że chodzi o mnie, ale sądząc najobiektywniej, muszę się często bronić od pogardy dla niej i często mówię jej w duszy: „Miejże ty inną miarę, bo ta niegodna ciebie!” Szanowałbym ją, czcił stokroć więcej, gdyby umiała patrzeć inaczej, jeżeli nie na nasz stosunek, to na miłość w ogóle.

*6 sierpnia.*

Ten Gastein daje jednak ludziom zdrowie. Dziś spostrzegłem, że Anielka opaliła się na tutejszych górskich powiewach i że wygląda zdrowo, co jest tym dziwniejsze, że i ona miała niemało trosk i zmartwień. Zmartwieniem dla niej były nieporozumienia z mężem, ambicja jej cierpiała na tym, że on wszedł ze mną w stosunki pieniężne; moja miłość wnosi także do jej duszy rozterkę i mąci jej spokój. Mimo to w delikatnej jej twarzy widać zdrowie. Policzki jej mają żywszą barwę niż przed przyjazdem tutaj. Pamiętam, jak ona nikła prawie w oczach na początku lata – i pamiętam, jak włosy, powstawały mi na głowie, gdy myślałem, że zdrowie, a może i życie jej jest zagrożone. Dziś przynajmniej ta obawa minęła. Gdybym wiedział, że na przyszłość będzie miała jeszcze mniej litości dla mnie, że będzie jeszcze mniej brała w rachubę i mnie, i moje uczucie, ale za to będzie zdrowa, powiedziałbym:

„Niech lekceważy, niech nie ma litości, byle była zdrowa!” W skład prawdziwego uczucia wchodzi pragnienie szczęścia, ale wchodzi i tkliwość, i troskliwość, i przywiązanie wielkie.

Wczoraj Anielka ubrała się w jedną ze swoich panieńskich sukien albo w zupełnie podobną. Spostrzegłem to zaraz – i cała przeszłość stanęła mi jak żywa przed oczami. Bóg wie, co się ze mną działo!...

*7 sierpnia.*

Ciotki gniew na Anielkę minął już od dawna. Ona ją tak kocha, że gdybym ja umarł, ciotka miałaby się jeszcze o co w życiu zaczepić, byle Anielka została przy niej. Dziś pocziwe moje ciotczysko ubolewało nad tym, że Anielka się nudzi, że przesiaduje ustawicznie w domu i że nie poznała tu nic więcej nad drogę z Wildbadu do Hofgasteinu.

– Żeby mi nogi lepiej służyły – rzekła – chodziłabym wszędzie z tobą; ale kto powinien był ci przynajmniej bliższe okolice pokazać, to twój mąż, który latał od rana do wieczora.

Anielka zaczęła upewniać, że jej dobrze w domu i że nie potrzebuje więcej ruchu. Usłyszawszy to ozwałem się tonem obojętnym:

– Ja nie mam nigdy nic do roboty, a chodzę dużo, więc mogę Anielce wszędzie towarzyszyć i pokazać jej, co jest ciekawego przynajmniej w pobliżu.

Po chwili zaś dodałem jeszcze obojętniej:

– Nie widzę w tym nic takiego, co by nie było powszechnie przyjęte. W miejscach kąpielowych nawet prości znajomi chodzą razem na przechadzki, a cóż dopiero krewni.

Anielka nie odpowiedziała, ale obie starsze panie przyznały mi zupełną słusność, bo zresztą rzeczywiście tak jest, jak mówiłem.

Jutro mamy pójść razem do Schreckbrücke.

*8 sierpnia.*

Układ nastąpił między nami i odtąd ma się rozpocząć dla nas obojga nowe życie. Ma to inne kształty, niż sobie wyobrażałem, ale przyszłość moja musi się w nie wcielić. Odtąd

wszystko będzie jasne, określone. Nic już nie zajdzie nowego, niczego nie mogę oczekiwać, ale nie będę jak człowiek bez dachu nad głową...

9 sierpnia.

Wczoraj byliśmy przed wieczorem w Schreckbrücke.

Starsze panie towarzyszyły nam z początku, ale zaraz za wodospadami usiadły na pierwszej ławce, my zaś szliśmy dalej. Zdaje się, że oboje zrozumieliśmy, że jakaś ważna rozmowa musi między nami nastąpić. Chciałem zrazu pokazywać Anielce rozmaite miejscowości i wymieniać ich nazwy, ale zaledwem wymienił Schareck, wydało mi się to zagadywanie tego, co nam leżało na sercu, tak dziwaczne, tak niestosowne do naszego nastroju, żem umilkł. Mogliśmy mówić tylko o nas samych albo milczeć. I szliśmy w milczeniu dość długo, co zresztą było mi potrzebne i korzystne. Opanowałem się przez ten czas, jakem umiał, przewyciężyłem ten nerwowy niepokój, jaki człowieka ogarnia przed ważnymi chwilami życia, i starałem się odzyskać zimną krew. Odzyskałem ją o tyle, że postanowiłem rozmyślnie mówić o mojej miłości z takim spokojem, tak naturalnie, jakby o rzeczy wiadomej, stwierdzonej i uznanej. Doświadczenie nauczyło mnie, że w stosunkach z kobietami można wytworzyć dowolny nastrój. Nic tak nie wpływa na kobietę, jak ton rozmowy, i jeśli mężczyzna, czyniąc wyznanie, czyni je tak, jakby potem świat się miał zawalić, to jest ze wzruszeniem, z przerażeniem i przekonaniem, że czyni rzecz niesłychaną – to ów przestrah i to przekonanie, że staje się rzecz niesłychana, udziela się kobiecie. W razie przeciwnym dzieje się przeciwnie: wyznanie traci wówczas swój charakter wielki, ale też przechodzi głódziej i mniejszy budzi opór.

Zresztą jam już wyznawał; chodziło mi więc tylko o zapobieżenie temu, by cała dusza w Anielce nie buntowała się za pierwszym moim słowem o miłości. Ostatecznie, gdyby tak miało być zawsze, wszelka rozmowa stawała się niepodobną, a przecie trzeba nam było się rozmówić, bo trzeba było ułożyć jakoś nasze stosunki. Mając to wszystko na uwadze, rzekłem, o ilem mógł, spokojnie:

– Ty sobie może nawet nie zdajesz sprawy, Anielko, jak ty mnie zraniłaś swoim zamiarem wyjazdu. Wiem doskonale, że powody, które podałaś, to tylko pozór, i że naprawdę ja jestem przyczyną tego zamiaru. O jednej tylko rzeczy zapomniałaś, a mianowicie, co się stanie ze mną bez ciebie. Tego wcale nie wzięłaś w rachubę. Czy wiesz, że sam wyjazd twój nie byłby mnie tak dotknął, jak ta właśnie myśl, że nic a nic nie liczysz się ze mną. Powiesz może, że chciałaś to uczynić dla mego dobra, dlatego, żeby mnie wyleczyć... Nie! daj pokój! Nie lecz mnie w ten sposób, bo mi takie lekarstwo może przynieść więcej złego, niż myślisz.

Policzki Anielki pokryły się w mgnieniu oka wypiekami. Widocznie moje słowa dotknęły ją do żywego. Nie wiem, co by mi była na razie odpowiedziała, gdyby nie zewnętrzny wypadek, który w tej właśnie chwili rozerwał pasmo jej myśli. Oto z boku drogi podniósł się nagle jeden z takich kretynów, jakich pełno jest w okolicy Gasteinu, z ogromną głową, z wołami na szyi, ze spojrzeniem zwierzęcia – i kiwając palcami, począł prosić o jałmużnę. Podniósł się on z wysokich traw tak niespodzianie, że Anielka krzyknęła z przestradchu. Zanim ochłonęła i znalazła pieniądze, których ja przy sobie nie miałem, upłynęło kilka minut. Przez ten czas wrażenie słów moich osłabło w niej o tyle, że gdyśmy wreszcie poszli dalej, odrzekła mi po chwili milczenia ze smutkiem, lecz i słodyczą:

– Ty często bywałeś dla mnie niesprawiedliwy, ale nigdy więcej niż teraz. Ty sądzisz, że mi wszystko łatwo przychodzi i że mi brak serca, a mnie wcale a wcale nie lepiej niż tobie...

Tu zabrakło jej głosu, mnie zaś wszystkie tętna poczęły bić jak młotami. Zdawało mi się, że jeszcze jedno wysilenie z mej strony, a wyrwę jej z ust otwarte wyznanie.

– Na wszystko, co ci drogie – rzekłem – powiedz mi, co przez to rozumiesz?

– Rozumiem, że skoro jestem nieszczęśliwa, pozwól mi zostać uczciwą. Mój Leonie kochany, ja cię błagam, miej litość nade mną! Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jam ci wszystko gotowa poświęcić prócz uczciwości. Nie chciej, bym ci oddała tę ostatnią deskę zbawienia, bo tego nie można, tego nie wolno poświęcać! Mój Leonie, mój Leonie!

I złożywszy ręce patrzyła na mnie drżąca jak liść, z prośbą i ze łzami, które wzbierały w jej oczach. Nie wiem... gdybym ją był w tej chwili porwał w ramiona, może by potem umarła ze wstydu i zmartwienia, ale prawdopodobnie nie znalazłaby już w sobie siły na opór...

Lecz ja postąpiłem jak człowiek, który sam kocha nad wszystko – to jest zapomniałem o sobie, a widziałem tylko ją. I rzuciłem jej w tej chwili pod nogi moje zmysły, moją namiętność, mój egoizm. Co mi to wszystko znaczyło wobec niej? Kobieta kochana, która broni się łzami, płynącymi nie dla zachowania pozorów, ale z głębi prawdziwej boleści, jest niezwykciona. Wziąłem jej obie ręce i ucałowawszy je ze czcią i uniesieniem, rzekłem;

– Będzie, jak ty chcesz, to ci przysięgam na tę miłość, jaką mam dla ciebie!

Oboje nie mogliśmy przez jakiś czas mówić. Jeśli mam wyznać całą prawdę, to czułem się w tej chwili i lepszy, i szlachetniejszy niż kiedykolwiek. Byłem jak człowiek, który przeżył kryzys w ciężkiej chorobie, czuje słabość wielką, ale zarazem radosny powrót do życia. Po chwili zacząłem mówić, i mówiłem spokojnie i łagodnie, nie tylko jak zakochany, ale jak przyjaciel najbliższy, który ma przede wszystkim na widoku szczęście drogiej istoty.

– Nie chcesz iść na bezdroża – rzekłem – ale i ja już nie będę usiłował sprowadzić cię z twojej drogi. Tyś mnie zmieniła, a i te wszystkie męki, którym przeszedł, przerodziły mnie także. Zrozumiałem przez ciebie, że inna rzecz jest pożądać, a inna kochać. Nie przyrzekam ci, że cię przestanę kochać, bo nie mogę, i skłamałbym zarówno tobie, jak sobie, gdybym ci to obiecywał. W tobie jest moje życie. Mówię ci to nie w żadnej egzaltacji, ale jak człowiek, który umie patrzeć w siebie i który wie dobrze, co jest złudzenie, a co prawda. Ale będę cię tak kochał, jakbyś już umarła i jakbym kochał twoją duszę. Czy ty się na to zgodzisz, moja Anielko? Jest to miłość ogromnie smutna, ale anielska. Taką możesz przyjąć i taką możesz mi odplacić. Ja ci ją ślubuję w tej chwili, i ta przysięga jest dla mnie równie ważna, jakbym ją składał przed ołtarzem. Nigdy nie ożenię się z żadną inną kobietą, będę żył dla ciebie tylko i moja dusza będzie twoja. Ty także kochaj mnie tylko tak, jakbym już umarł. O nic więcej cię nie błagam, ale tego mi nie odmawiaj, bo to nie jest żaden grzech. Jeśli o tym wątpisz, to się na spowiedzi rozpytaj. Wszak ty czytałaś Danta? Przypomnij sobie, że on był żonaty, a jednak kochał Beatrycę taką właśnie miłością, jakiej ja chcę od ciebie; wyznawał to uczucie głośno, a jednak Kościół uważa jego poemat niemal za święty. Jeśli masz w duszy dla mnie takie uczucie, to mi daj swoją rękę i niech odtąd będzie między nami wieczny spokój i wieczna zgoda.

Anielka podała mi po chwili milczenia rękę.

– Ja taką przyjaźń – rzekła – zawsze miałam dla ciebie i z całej duszy, z całego serca ci ją przyrzekam.

Mnie, szczerze mówiąc, zabolął ten wyraz: p r z y j a ż ń. Dla mnie był on za mały, i wydało mi się, że jest także za mały dla tej chwili. Zmilczałem jednak. Ją – pomyślałem w duszy – wyraz: m i ł o ś ć jeszcze przestrasza; ona musi się do niego przyzwyczaić, więc skoro rzecz jest ta sama, czy warto, abym dla nazwy zakłócał tę zgodę i to szczęście, jakieśmy nareszcie wydobyli z całych pokładów nieporozumień, goryczy, zmartwień, udręczeń? Oboje jużemy tak zmęczeni i tak nam należy się wypoczynek, że warto coś dla niego poświęcić.

Był to zresztą cień, który zniknął przy świetle tej myśli, że ta ukochana istota należy jednak do mnie i że jest to moja żona duchowa i wiarna. Byłbym oddał nie wiem co za to, gdybym mógł na wyraźne pytanie: „Czy ty jesteś moja?” – usłyszeć jej twierdzącą odpowiedź. I pytałbym sto razy na dzień, i nigdy bym nie miał dosyć odpowiedzi – ale w tej chwili bałem się ją zastraszyć. Ja, który wszystko potrafię wyrozumieć, nie miałebym wyrozumieć tego, że są słowa, które chociaż odbijają rzeczywistość istniejącą i uznaną, przechodzą jednak z trudno-

ścią przez usta kobiety, i jeszcze takiej kobiety jak Anielka. Wszakże to wszystko, co ona mówiła, było wyznaniem, że mnie kocha, wszakże zgodziła się na to, żeby dusze nasze należały do siebie – czegoż mogłem sobie życzyć więcej?

Doszedłszy do Schreckbrücke, wróciliśmy do domu. Po drodze rozglądaliśmy się w nowym naszym położeniu tak, jak ludzie rozglądają się w nowym domu, i próbowaliśmy się do niego przyzwyczaić. Nie obeszło się to bez pewnych usiłowań, które krępowały cokolwiek naszą swobodę. Lecz mnie i to cieszyło, bo mi się zdawało, że to tak jest, jak bywa w pierwszych godzinach po ślubie, gdy nowożeńcy czują się na wieki związani, a jeszcze nie są ze sobą oswojeni. Mówiłem z nią jednak wiele o nas obojgu. Tłumaczyłem jej całą czystość i świętość takiego stosunku, jakim miał być nasz. Starłem się natchnąć ją ufnością i spokojem. Ona też słuchała mnie z twarzą pogodną i jasną, zwracając co chwila ku mnie swoje śliczne oczy. Pogoda na świecie odpowiadała pogodzie naszych dusz. Słońce już zaszło. Alpy okryły się zwykłą swoją wieczorną purpurą, której blask odbijał się na jej twarzy.

Podąłem jej ramię, które przyjęła, i szliśmy razem.

Nagle spostrzegłem, że ona ociąga się, idąc tak, jakby się czegoś bała – i że przy tym pobladła jak płótno. Trwało to jedną chwilę, ale było tak widoczne, że sam przestraszyłem się o nią ogromnie i począłem wypytywać: co jej jest?

Z początku nie chciała mi nic powiedzieć, lecz gdym począł bardzo nalegać, przyznała się, że to ów nieszczęśliwy kretyn przyszedł jej na myśl i że przez chwilę była pewna, iż on znów ukaże się niespodzianie.

– Sama nie wiem dlaczego – rzekła – ale zrobił na mnie okropne wrażenie – i wstyd mi się do tego przyznać, że mam takie niemądre nerwy. Nie mogę go zapomnieć i za nic nie chciałabym go znów zobaczyć.

Uspokoilem ją, że przy mnie nic jej nie grozi. Ona mimo woli spoglądała jeszcze czas jakiś niespokojnie na boki drogi, wkrótce jednak dalsza nasza rozmowa zatarła w niej to przykre wrażenie. Mrok już zapadał, gdy przyszedliśmy do wodospadów, ale wieczór był wyjątkowo ciepły. Na placu przed Straubingerem mnóstwo ludzi słuchało jakichś wędrownych harfiarek. Nie wiem dlaczego, ten zapadły wąż górski robił mi dnia tego wrażenie Włoch. Przypomniałem sobie, jak niegdyś, chodząc wieczorami po Pincio w Rzymie, rozmyślałem, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym miał koło siebie Anielkę. Teraz czułem jej rękę, wspartą na moim ramieniu, a jeszcze bardziej czułem jej duszę przy swojej.

W zgodzie, pełni ukojenia i słodyczy, poszliśmy do domu.

*10 sierpnia.*

Zastanawiałem się dziś cały dzień nad słowami, które Anielka powiedziała do mnie przy Schreckbrücke. Uderzył mnie szczególnie ten jeden okrzyk, który wyrwał się z jej ust: „Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa!” Ile w tym było głębokiej boleści i skargi, jakie mimowolne przyznanie że ona męża nie kocha, że nie może go kochać, a na koniec, że serce jej, wbrew wszelkim wysiłkom woli, należy do mnie. Jeśli tak jest, to ona równie była nieszczęśliwa jak ja. Mówię: była, bo dziś już nie jest. Dziś może sobie powiedzieć: Dotrzymam mu wiary, pozostanę zawsze uczciwą – a resztę zdać na wolę bożą.

*11 sierpnia.*

Przyszło mi do głowy, że ja nie miałem prawa wymagać i oczekiwać od niej, by mi poświęciła wszystko. To nieprawda, że dla miłości wszystko się poświęca. Gdybym ja, na przykład, miał jakie zajście z Kromickim i gdyby ona w imię naszej miłości kazała mi klęknąć przed nim i na kolanach prosić go o przebaczenie, to bym tego nie uczynił. Jest to niedo-



rzeczne i fantastyczne przypuszczenie, a jednak na samą myśl o tym krew napływa mi do głowy. Nie, Anielko, ty masz słuszość, że są rzeczy, których dla miłości nie można i nie wolno poświęcać.

*12 sierpnia.*

Byliśmy dziś rano na Windischgraetzhoehe. Piechotą idzie się tam trzy kwadransy, więc wystarałem się dla Anielki o konia, którego prowadziłem za uzdę. Idąc opierałem jedną rękę na karku końskim, przy czym dotykałem jej sukni. Przy wsiadaniu ona przez chwilę wsparła się na mnie i natychmiast ozwał się we mnie dawny człowiek. Chcąc go w sobie zabić, musiałbym zniszczyć własne ciało i zostać tylko duchem. Jam się zobowiązywał trzymać moje zmysły i moje porywy na wodzy – i trzymam, ale nie zobowiązywałem się ich nie mieć, tak dobrze jak nie mógłbym się zobowiązać, że nie będę oddychał. Gdyby dotknięcie ręki Anielki nie wstrząsało mną silniej jak dotknięcie kawałka drzewa, byłby to znak, że jej już nie kocham, a wówczas wszelkie zobowiązania byłyby niepotrzebne. Mówiąc Anielce, że się pod jej wpływem przerodził, nie chciałem kłamać, ale nie określiłem dokładnie tego, co się ze mną stało. Naprawdę, jam się tylko opanował. Wyrzekłem się zupełnego szczęścia, by posiadać choć jego połowę. Wołałem mieć Anielkę w ten sposób niż nie mieć jej wcale, i sądzę, że każdy, kto wie, co to jest kochać kobietę, zrozumie mnie z łatwością. Jeśli namiętności są, jak mówią poeci, psami, to ja te psy pouwiązywałem i będę je morzył głodem, ale nie w mocy mojej zabronić im, by nie targały za powrozy i nie wyły.

Wiem dobrze, com przyrzekł – i dotrzymam – bo zresztą muszę. Wobec niezłomności Anielki nie ma miejsca na moją złą lub dobrą wolę. Wystarczy jako hamulec dla mnie i obawa, by mi nie odjęto tego nawet, co mi przyznano. Raczej przesadzam teraz w ostrożności, by nie spłoszyć tego ptaka, który dla mnie zwie się: duchową miłością, a dla niej; przyjaźnią. Pamiętam to jej wyrażenie, bo było ono jak małe ukłucie, które zrazu nieznaczne, zaczyna się później jątrzyć. Na razie wyraz wydał mi się za mały, teraz wydaje mi się nadto przezorny i zbyt pełen zastrzeżeń. Jaką dziwną cechą natury kobiecej jest ten strach przed nazwaniem istoty rzeczy po imieniu! Jam przecie jasno powiedział Anielce, o co ją błagam, i ona zrozumiała równie jasno, a jednak nazwała to uczucie przyjaźnią, jakby chcąc w danym razie zasłonić się przede mną, przed sobą i przed Bogiem.

Prawda, z drugiej strony, że takie oderwane od ziemi uczucia można chrzcić, jak się komu podoba. Jest dużo gorczy i smutku w tej myśli. Ta przezorność, właściwa kobietom bardzo czystym, płynie niezawodnie z ich ogromnej wstydlivości, ale nie pozwala im być wspaniałomyślnymi. Mógłbym oto przyjść do Anielki i powiedzieć jej: „Bądź co bądź jam się wyrzekł dla ciebie połowy mojej istoty, a ty mi odmierzasz wyrazy; czy to się godzi?” I w duchu mówię jej to z wielkim żalem. Miłość tak trudno zrozumieć bez wspaniałomyślności, bez chęci przyniesienia czegokolwiek na ofiarę.

Dziś na Windischgraetzhoehe rozmawialiśmy jak dwie istoty bliskie, przyjazne, kochające się, ale ostatecznie tak samo mogło rozmawiać kochające się rodzeństwo. Gdybyśmy odbyli taką wycieczkę przed naszym układem przy Schreckbrucke, byłbym próbował całować jej rękę, nogi, byłbym starał się niechybnie pochwycić ją choć na chwilę w ramiona – dziś zaś szedłem spokojnie, patrząc jej w oczy jak człowiek, który się boi każdego zmarszczenia brwi. Co więcej, nie mówiłem prawie nic, nawet o tej naszej duchowej miłości. Po części wstrzymywałem się umyślnie, sądząc, że zaskarbię sobie tym jej ufność i łaskę. Przez to milczenie chciałem jej powiedzieć: Nie zawiedziesz się na mnie; raczej pozwolę sobie mniej, niż mi wolno – niżbym miał złamać naszą umowę.

Trochę się jednak człowiek czuje pokrzywdzonym, gdy jego ofiarę przyjmują równie chętnie i skwapliwie, jak on ją przynosi. Mimo woli mówi się wówczas w duszy kochanej istocie: Teraz ty nie daj się prześcignąć.

I ja to mówiłem – ale na próżno.

Co z tego wypada? Oto pewien zawód dla mnie. Sądziłem, że gdy podobny układ stanie między nami, to już będę w jego zakresie swobodny jak ptak, że będę powtarzał słowo „kocham” od rana do wieczora i od rana do wieczora będę je słyszał, że sobie zapłacę za wszystkie męki, za cały ten czas istotnych cierpień, że będę królem w tym moim królestwie; tymczasem dotychczas tak się jakoś składa, że mój widnokrąg się zacieśnia, a w duszy powstaje wątpliwość, streszczająca się w pytaniu: coś ty zyskał?

Ale staram się ją odpędzić. Nie! coś jednak zyskałem. Zyskałem widok jej szczęśliwej i rozpromienionej twarzy, zyskałem jej uśmiech, zyskałem to, że jej przezroczyste oczy śmiało zanurzają się spojrzeniem w moich. Jeśli mi dotąd ciasno i nieswojo w tym nowym domu, to dlatego, że nie umiem jeszcze w nim mieszkać.

Zresztą, byłem dawniej bez dachu nad głową – i jeśli nie widzę jasno, com zyskał, wiem za to doskonale, że nic nie mógł stracić. O tym nie zapomnę nigdy.

*14 sierpnia.*

Ciotka poczyną mówić o powrocie. Coraz jej bardziej tęskno bez Płoszowa. Pytałem się Anielki, czy chętnie powróci. Powiedziała, że tak – więc i mnie już pilno. Dawniej przywiązywałem zawsze jakieś dziwne i niewytłumaczone nadzieje do zmiany miejsca. Teraz niczego się już nie spodziewam, ale w tym Płoszowie tyle jest dobrych wspomnień, że z radością go zobaczę.

*16 sierpnia.*

Dnie poczynają mi płynąć jednostajniej. Rozmyślam i wypoczywam. Rozmyślenia moje często bywają smutne, czasem niepozbawione goryczy, ale dusza moja była już tak zmęczona, że lubuję się w tym wypoczynku. Przez niego głównie odczuwam, o ile mi jest jednak lepiej, niż było przedtem. Dużo teraz jesteśmy razem z Anielką; czytamy i rozmawiamy o tym, cośmy przeczytali. Wszystko, co mówię, jest tylko określeniem naszej miłości, rozwinięciem jej, wszystko się do niej odnosi, ale dziwna rzecz, spostrzegam, iż prawie nigdy nie mówię wprost o niej, jakby ten kobiecy strach nazywania rzeczy po imieniu udzielił się i mnie. Sam nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest. I martwi mnie to, czasem nawet martwi bardzo – i raduje, bo widzę, że Anielka z tego zadowolona, i co więcej, czuję, że mnie za to kocha. Chcąc wytworzyć między nami jak najściślejszy związek duchowy, począłem z nią mówić o sobie, myślałem, że po naszym układzie nie powinienem mieć dla niej nic skrytego. Zamilczałem przed nią tylko o takich sprawach, które mogły obrażać delikatność jej uczuć i czystość jej myśli, ale próbowałem natomiast wcielić ją w ten mój dramat wewnętrzny, płynący ze sceptycyzmu i z braku jakiegokolwiek podpory życiowej. Powiedziałem otwarcie, że nie mam nic na świecie prócz jej duszy. Opowiadałem przy tym, co się ze mną działo po jej zamążpójściu, przez jakie zmiany i wstrząśnienia przechodził mój umysł i moje serce od czasu powrotu do Płoszowa, a opowiadałem tym chętniej, że to był, pod pozorem zwierzeń, szereg wyznań, że to wszystko znaczyło: kochałem cię i kocham zawsze nade wszystko. Ją złudził ten pozór zwierzeń i słuchała tego, jakby nie o niej była mowa – ze wzruszeniem, współczuciem a może i z nieświadomą rozkoszą. Widziałem, jak jej oczy zachodziły nieraz łzami, jak jej pierś wzbierała, jak cała jej istota duchowa szła ku mnie z otwartymi ramionami, jakby mi chcąc powiedzieć: Chodź, bo ci się należy trochę szczęścia! Widząc to, mówiłem jej oczami: Ja sam już się o nic nie upomnę i zdaję wszystko na twoją łaskę.

Czyniłem te zwierzenia jeszcze i dlatego, by zaprowadzić między nami ten zwyczaj, by wszczępić w Anielkę poczucie, że w naszym stosunku tak być powinno. Chciałem ją zmusić

niejako, by odplaciła mi wzajemnością i opowiedziała mi także, co się działo przez cały ten czas w jej głowie i sercu. Ale nie mogłem tego dokazać. Próbowałem pytać, lecz słowa przechodziły jej przez usta z taką trudnością, taki znać było po niej przymus, żem pytać poniechał. Ona, chcąc być zupełnie otwartą, musiałaby mówić, co czuła dla mnie i jaki był jej stosunek do męża. Ja właśnie chciałem ją do tego przywieść – ale na to nie pozwalała, po pierwsze, jej wstydlivość, po wtóre, uczucie lojalności względem Kromickiego.

Rozumiem te rzeczy doskonale, a jednak nie mogę się obronić wielkiej przykrości; mój pesymizm mówi mi bowiem: Ty wyłącznie ponosisz kosztą stosunku; ty dajesz jej wszystko, a otrzymujesz w zamian prawie nic; ludzisz się, że jej dusza jest twoją, tymczasem nawet ta dusza pozostaje dla ciebie zamkniętą – co więc właściwie posiadasz?

Uznaję prawdę tego głosu – i liczę tylko jeszcze na przyszłość.

*17 sierpnia.*

Częstokroć przypominają mi się teraz słowa Mickiewicza: „I doznałem, niestety, tylko półzbawienia.” Ale gdybym nawet w tym półzbawieniu nie widział tych licznych braków, które widzę, jeszcze bym nie doszedł do zupełnego spokoju. Byłoby to możliwe tylko w takim razie, gdybym nie pożył niczego więcej, to jest, gdybym przestał kochać. Coraz częściej przychodzą na mnie chwile zniechecenia, w których sobie powiadam, że jestem tylko w nowym kole błędnym. Doznałem ulgi w tej męce, której już nie mogłem wytrzymać – to prawda! Ale ulga w bólu nie jest jego usunięciem. Gdy spragniony Arab w pustyni bierze do ust kamyki zamiast wody, nie gasi przez to pragnienia, tylko je oszukuje. Pytanie: czy ja nie oszukuję siebie? Znowu jest we mnie dwóch ludzi: widz i aktor, i znów pierwszy poczyna drugiego krytykować, a często z niego drwić. Ten Płoszowski sceptyk, ten Płoszowski, który nie ma zupełnej, i niezachwianej wiary w istnienie duszy, a zakochany tylko w duszy, wydaje mi się śmiesznym. Co to jest ten nasz stosunek? Czasem widzę w nim tylko sztuczny plód mojej, chorej egzaltacji. Teraz dopiero jestem naprawdę jak ów ptak, który wlecze jedno skrzydło po ziemi. Skazałem na paraliż pół własnej istoty, żyję tylko półżyciem i nakazuję sobie kochać tylko połową miłości. Próżny nakaz! Oddzielić pożądanie od kochania jest takim samym niepodobieństwem, jak oddzielić myślenie od bytu. Mogę myśleć tylko jako człowiek, tak samo i kochać mogę tylko jako człowiek. Nawet uczucia religijne, najidealniejsze ze wszystkich, objawiają się przez słowa, klęczenie, całowanie rzeczy świętych; jam zaś chciał, żeby miłość do kobiety wyrzekła się wszelkiego wcielenia, wszelkiego związku z ziemią i istniała na świecie w sposób zaświatowy.

Czym ona jest? – pożądaniem i dążeniem. Com ja usiłował jej odjąć? – pożądanie i dążenie. Tak samo mógłbym przyjść do Anielki i powiedzieć jej: Ponieważ cię kocham nad wszystko, więc ci przyrzekam, że cię nie będę kochał.

Jest w tym jakaś ogromna omyłka. Byłem istotnie tak zabłąkany jakby w pustyni, więc nic dziwnego, żem dojrzał fata morgana.

*18 sierpnia.*

Wczoraj zmęczyły mnie i pognębiły różne myśli. Nie mogłem spać, żeby zaś nie drażnić się więcej, przestałem zstępować w głąbie pesymizmu, a począłem myśleć o Anielce i wyobrazić ją sobie. Przynosi mi to zawsze ulgę. Natężona wyobraźnia przedstawia mi Anielkę jak żywą, tak iż chce mi się do niej przemówić. Przypomniałem sobie ową zabawę, w czasie której ujrzałem ją po raz pierwszy jako dorosłą pannę. W pamięci mojej odcisnął się taki dokładny obraz, jakby to było wczoraj. Pamiętam białą suknię przybraną fiołkami, nagie ramiona, tę twarz, nieco za drobną, ale świeżą jak poranek, a tak oryginalną przez śmiały rysunek

brwi, niezwykle długą rzęs i obfitość puszków na bokach twarzy! Zdaje mi się, że słyszę jeszcze jej głos pytający: „Nie poznajesz mnie, Leonie?” Napisałem w swoim czasie, że twarz ta czyniła na mnie wrażenie muzyki przetłumaczonej na rysy ludzkie. Był w niej jednocześnie urok dziewczyny i ponętnej kobiety. Nigdy żadna inna nie pociągała mnie silniej ku sobie, i trzeba było oddalenia, trzeba było katastrofy rodzinnej, trzeba było takiej Cyrce jak Laura, żebym sobie pozwolił zabrać tę moją wybraną i prawie już narzeczoną.

Nikt w świecie nie odczuwa lepiej ode mnie, że słowa: „Twój czar nade mną trwa” – mogą nie należeć do poetycznych urojeń, ale być ciężką rzeczywistością. Jej czar nade mną trwa. Ja ją nie tylko kocham, nie tylko jej pragnę, ale ją najmocniej lubię; ona napęnia po brzegi wszystkie moje upodobania, wszystkie wyobrażenia o kobiecym wdzięku, uroku, ona mnie pociąga ku sobie z taką niewytłumaczoną siłą, z jaką magnes pociąga żelazo. I nie może inaczej być: przecie to ta sama Anielka; nie zmieniła się nic! To ta sama twarz dziewczynki z ponętami kobiety, to samo spojrzenie, te same rzęsy, brwi, usta, ramiona, ta sama wysmukła postać. Teraz ona ma tylko jeden więcej urok: raj utraconego.

Ale za to, co za olbrzymia przepaść między naszym dawnym stosunkiem a dzisiejszym!

Kiedy sobie przypomnę tę dawną Anielkę, która oczekiwała jak zbawienia, żebym jej powiedział: „Bądź moją” – prawie mi się nie chce wierzyć, żeby takie czasy mogły niegdyś istnieć. Myśląc o tym mam uczucie, jakie musi mieć zrujnowany magnat, który w latach blasku rozrzucił pieniądze na wszystkie strony i dziwił świat, a któremu później przyszło żyć z łaski i jałmużny.

Tej nocy, gdym rozmyślał o Anielce i wpatrywał się w nią oczyma duszy, przyszło mi do głowy, że nie istnieje żaden jej portret, i nagle opanowała mnie nieprzeczona chęć posiadania jej podobizny. Chwyciłem się tej myśli oburącz i tak mnie ona uszczęśliwiła, że wobec niej odechciało mi się spać do reszty. „Będę cię miał – mówiłem – będę mógł przyjść, ucałować twoje ręce, oczy, usta – a ty nie odpędzisz mnie od siebie.” Począłem zaraz rozmyślać, jak to przeprowadzić. Nie mogłem przyjść do Anielki i powiedzieć jej: „Każ zrobić swój portret, a ja poniosę koszt” – ale z ciotką robiłem zawsze, com chciałem, i mogłem ją namówić, by ona objawiła chęć posiadania portretu Anielki. W Płozowie istnieje cała galeria portretów rodzinnych, stanowiących dumę ciotki, a moją rozpacz, niektóre bowiem są okropne – ciotka jednak bardzo stoi o to, by tam nikogo bliższego nie brakło. Wziąwszy na uwagę jej głębokie przywiązanie do Anielki, byłem pewien, że ją nawet uraduję podsunąwszy myśl o portretowaniu Anielki. Z tej strony pięć minut rozmowy wystarczyło i sprawę można było uważać za skończoną; począłem więc tylko zastanawiać się nad tym, komu powierzyć wykonanie portretu. Z westchnieniem pomyślałem, że w żadnym razie nie namówię tych pań do Paryża, gdzie miałbym wybór między dokładnością i obiektywizmem Bonnata, zuchwałym rozmachem Karolusa Durana i słodyczą Chaplaina. Przymknąwszy oczy wyobrażałem sobie, jak każdy z nich wywiązałby się z zadania, i lubowałem się wyobrażeniem. Ale zresztą nie było to możliwe do przeprowadzenia. Przewidywałem, że ciotka zechce, by Anielkę malował polski malarz. Nie miałbym nic przeciw temu, albowiem przypomniałem sobie, że na wystawach w Warszawie i Krakowie widziałem kilka portretów wcale nie gorszych od sławnych płócien zagranicznych. Przestraszała mnie tylko zwłoka. Pod względem zachceń, jak pod wielu innymi, mam usposobienie kobiece: gdy o czym pomyślę dziś, chcę, by to się stało jutro. Ponieważ byliśmy w Niemczech, w pobliżu Monachium i Wiednia, zacząłem więc przebierać myślą między niemieckimi malarzami. Wyłowiłem nareszcie dwa nazwiska: Lenbach i Angeli. Lenbacha widziałem znakomite portrety, ale tylko męskie, zresztą gniewała mnie jego pewność siebie i pobieżność, na którą jako rozmówiony we francuskim malarstwie, pozwalałem tylko Francuzom. Twarze kobiece Angelego również nie zadowalały mnie całkowicie, ale bądź co bądź musiałem mu przyznać delikatną rękę, a takiej właśnie wymagała twarz Anielki. Przy tym do Lenbacha trzeba by zbaczać, Angeli był po drodze – okoliczność, o której wstyd mówić człowiekowi, nie chcącemu uchodzić za filistra! Ale tym razem chodziło mi o czas. „Umarli

prędko jadą” – powiada poeta – ale rozkochani jeszcze prędzej. Zresztą i tak byłbym wybrał Angelego, więc ostatecznie postanowiłem, że on będzie malował portret Anielki. W ogóle nie lubię portretów w balowych sukniach, ale Anielkę postanowiłem koniecznie mieć w białej z fiołkami. Wolę, bym patrząc na nią miał złudzenie, że ona jest moją dawną Anielką. Nie chcę niczego, co by mi przypominało, że jest panią Kromicką. Przy tym taka suknia jest mi droga, jako wspomnienie.

Nie mogłem się doczekać końca nocy, tak mi było pilno pomówić z ciotką. Zmieniłem jednak zamysł. Pomyślałem, że jeśli ciotka każe robić portret, będzie się bardzo upierała przy polskim malarzu – postanowiłem więc, że to ja ofiaruję ciotce podobiznę Anielki na imieniny, które przypadają w końcu października. W ten sposób Anielka nie może odmówić. Oczywiście każe zrobić drugi egzemplarz dla siebie.

Nie spałem prawie wcale, ale liczę tę noc do dobrych, bo wszystkie godziny miałem wypełnione owymi zamysłami. Zdrzemnąłem się dopiero koło piątej, ale o ósmej byłem już na nogach. Poszedłem do Straubingera i wysłałem depezę do biura Künstlerhausu z zapytaniem, czy Angeli jest w Wiedniu; potem, wróciwszy do domu na herbatę, zastałem te panie już przy stole i przystąpiłem wprost do rzeczy.

– Anielko – rzekłem – muszę się przyznać do jednej winy względem ciebie: oto dzisiejszej nocy, zamiast spać, rozporządzałem twoim losem, a teraz zanoszę prośbę, byś się na te rozporządzenia zgodziła.

Anielka spojrzała na mnie z pewnym przestraczem. Może jej przyszło do głowy, że tracę zmysły albo że zdobywam się na jakąś desperacką otwartość wobec starszych pań; widząc jednak moją twarz spokojną, a nawet obojętną, spytała:

– Cóżżeś to o mnie postanowił?

Ja zaś zwróciłem się do ciotki:

– Chciałem z początku, żeby to była niespodzianka – rzekłem – ale widzę, że to żadną miarą nie da się przeprowadzić, wolę więc otwarcie cioci powiedzieć, jakie wiązanie obmyśliłem jej na imieniny.

I powiedziałem, o co mi chodzi. Ciotce, która mój portret, i to bardzo dobry, miała już od lat trzech – nie mogłem istotnie zrobić milszego podarunku, więc też dziękowała mi odpowiednio. Uważałem, że i Anielka była uradowana, a to jedno starczyło mi za wszystko. Zaraz też poczęliśmy bardzo żywą rozprawę, kiedy i przez kogo portret będzie malowany, jak Anielka powinna być ubrana itp. Takimi rzeczami kobiety interesują się nadzwyczajnie. Miałem też gotowe odpowiedzi na wszelkie pytania, przy tym spostrzegłem, że mogę pod pozorem portretu zyskać coś jeszcze prócz portretu.

– Nie zajmie to dużo czasu – mówiłem. – Depeszę z zapytaniem o Angelego już posłałem, i nie sądzę, żeby nasz wyjazd do Płoszowa miał się z powodu portretu bardzo opóźnić. Anielka da Angelemu cztery lub pięć posiedzeń, że zaś i tak mieliśmy zabawić kilka dni w Wiedniu dla Notnagla, więc to prawie na jedno wypadnie. Suknię może Angeli odmalować później na modelu, twarz zaś w pięciu posiedzeniach może skończyć. Trzeba tylko zaraz posłać fotografię Anielki, tę na przykład, którą ciotka Celina ma ze sobą i promień jej włosów. O włosy będę zaraz Anielkę prosił. Zanim przyjedziemy, Angeli zrobi ogólny zarys, podmaluje – a potem będzie tylko kończył.

Mogło do pewnego stopnia tak być, jak mówiłem, prosząc jednak o promień włosów Anielki, liczyłem na to, że żadna z tych pań nie zna się dokładnie na procedurze malowania portretów – promień ów bowiem chciałem mieć dla siebie, nie dla Angelego, któremu mógłby on się na coś przydać wyłącznie w takim razie, gdyby portret miał być malowany tylko z fotografii, czego by znów Angeli nie chciał się podjąć. Ale ja przedstawiłem rzecz tak, jakby od tego pukla zależały losy portretu. W dwie godziny po śniadaniu otrzymałem odpowiedź na moją depezę: Angeli bawił w Wiedniu, gdzie kończył portret księżny M. Napisałem do niego

zaraz i dołączyłem fotografię Anielki, którą zabrałem pani Celinie; potem, widząc Anielkę przechadzającą się po ogrodzie willi, zeszedłem do niej.

– A twoje włosy? – rzekłem. – Chcę przed drugą wysłać list.

Ona pobiegła do siebie i po chwili wróciła z promykami włosów. Mnie trochę ręka drżała, gdy go od niej odbierałem, ale patrzyłem jej prosto w oczy i pytałem spojrzeniem:

Czy ty się domyślasz, że ja dla siebie chcę twoich włosów, że one będą dla mnie czymś najdroższym ze wszystkiego, co posiadam?

Anielka nie odrzekła nic, ale spuściła powieki i zaczerwieniła się jak dziewczyna, która pierwszy raz w życiu słyszy wyznanie. Odgadła! Ja pomyślałem, że za jedno dotknięcie ustami jej ust zupełnie by było warto oddać życie. Miłość dla niej potęguje się we mnie czasem do tego stopnia, że przechodzi w ból.

Mam teraz cząstkę i jej fizycznej istoty. Zdobyłem ją podstępem. Ja – życiowy przechera, ja – sceptyk, ja – który w każdej chwili widzę się i analizuję, zdobywam się na podstępny, czynny i uczucia Goethowskiego Siebla.

Ale mówię sobie: w najgorszym razie jestem sentymentalny i śmieszny. Kto wie, czy nie stokroć głupszy, śmieszniejszy i nędzniejszy jest we mnie ten drugi, niesentymentalny człowiek, który wszystko doprowadza do świadomości i rozbiera. Analiza jest czymś podobnym do oskubywania kwiatu. Psuje się przez nią najczęściej piękność życia – a zatem i szczęście, czyli to, co jedynie ma sens.

*22 sierpnia.*

Po ukończeniu kuracji pani Celinie czekaliśmy całe tygodnie, aż upały w równinach przeminą, i doczekaliśmy się okropnej niepogody. Teraz znów czekamy na pierwszy jaśniejszy dzień, by wyruszyć do Wiednia. Od trzech dni panują tu egipskie ciemności. Chmury, które już na tydzień przedtem zbierały się na szczytach, wysiadując tam śniegi i deszcze, spełzły z owych wysokich gniazd i spuściwszy się na Gastein, pokryły swoim ociążałym łonem całą dolinę. Żyjemy w takiej mgle, że w południe trudno trafić do naszej willi od Straubingera. Wszystko przesłonięte: domy i drzewa, góry i wodospady. Kształty stopiły się i znikły w jednym białawym, wilgotnym tumanie, który ciąży na rzeczach, a poniekąd i na duszach. Od godziny drugiej po południu siedzimy przy zapalonych lampach. Moje panie kończą się pakować. Bylibyśmy już wyjechali mimo mgły, gdyby nie to, że strumienie górskie popsuły w jednym miejscu za Hofgasteinem drogę. Pani Celinie wróciła migrena; ciotka otrzymała list od starego Chwastowskiego o przebiegu żniw, wskutek czego przechadzała się przez większą część dnia wielkimi krokami po jadalnym pokoju, rozprawiając z Chwastowskim i łając go. Anielka dziś z rana była bardzo mizerna. Przyznała się nam, że z wieczora przyśnił się jej ów kretyń, którego spotkaliśmy po drodze do Schreckbrücke. Zbudziwszy się nie mogła już zasnąć i resztę nocy spędziła w nerwowym strachu. Dziwna rzecz, jakie wrażenie uczynił na niej widok tego nieszczęśliwego. Staralem się zatrzeć je wesołą rozmową, co mi się w części udało, od czasu bowiem naszego układu przy Schreckbrücke Anielka jest nierównie weselsza, spokojniejsza i szczęśliwsza.

Ja zaś, wobec tego, nie mam nawet odwagi szemrać, choć nieraz przychodzi mi do głowy, że stosunek między nami polega na tym, że go nie ma. Zawierając układ wiedziałem dokładnie, czegom chciałem i jakie nasze uczucie przybierze kształty; a teraz owe kształty rozpraszają się, stają się coraz bardziej nieuchwytnie i nieokreślone, jakby przesłaniała je taka sama mgła, jaka w tej chwili przesłania Gastein. Mam ciągle poczucie, że mi Anielka nie przyznaje tego, co mi się należy, a nie śmiem się o nic upomnieć. Nie śmiem może dlatego, że każda walka nuży, a cóż dopiero walka z osobą kochaną; ja zaś prowadziłem ją od pół roku i nic zgoła nie wywalczywszy wyczerpałem się do tego stopnia, że obecnie wolę byle jaki spokój niż dawne bezowocne wysiłki.

Lecz może jest i drugi powód. Jeśli ten stan rzeczy nie odpowiada moim oczekiwaniom, widzę jednak, że on zjednywa mi Anielkę. Jej się wydaje, że ja ją kocham teraz szlachetniej, więc i ona ceni, nie śmiem powiedzieć: kocha, mnie za to więcej. Mimo zupełnego braku objawów zewnętrznych czuję, że tak jest, i to dodaje mi sił, albowiem mówię: Ponieważ w ten sposób jej uczucie wzrasta, więc wytrwaj, więc się go trzymaj, a może doczekasz czasu, w którym ono przerośnie jej siłę oporną.

Ludzie w ogóle, a zwłaszcza kobiety, sądzą, że tak zwana miłość platoniczna jest jakimś osobnym gatunkiem miłości, niezmiernie rzadkim i niezmiernie szlachetnym. Jest to proste pomieszanie pojęć. Może istnieć platoniczny stosunek, ale miłość platoniczna jest takim samym nonsensem, jak np. nie świecące słońce. Nawet miłość dla osób zmarłych składa się z tęsknoty zarówno za ich duszą, jak z, a ich ziemską postacią. Między żyjącymi tego rodzaju stosunek – to rezygnacja. Ja nie chciałem kłamać mówiąc Anielce: Będę cię tak kochał, jakbyś już umarła. Ale rezygnacja nie wyłącza nadziei. Mimo tylu zawodów, mimo całego przeświadczenia, że wszelka nadzieja jest płonna, na dnię serca miałem i mam nadzieję, iż nasz dzisiejszy stosunek to tylko etap na drodze naszej miłości. Mogę sobie sto razy powtarzać: „złudzenie! złudzenie” – nie umiem się jednak pozbyć nadziei, póki nie pozbędę się pragnień. Te rzeczy są nieodłączne. Zgodziłem się na taki stosunek, bom musiał, bo wolałem taki niż żaden, ale mimo całej szczerości, prawie mimo woli uważam go za moją grę, za moją dyplomację, której celem jest zupełne, nie połowiczne szczęście.

Co mnie jednak zastanawia, dziwi i martwi, czego po prostu nie rozumiem, to, że ja i na tej drodze jestem pobity. Zwycięstwa moje leżą w mgłę przyszłości – i są podobne do jakichś majaków, do ułudy, tymczasem w czasie obecnym ja, z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacji, zostałem po prostu pobity przez tę istotę nieskończenie prostszą ode mnie, mniej świadomą taktyki życiowej, mniej przezorną i mniej obliczającą każdy krok. Zostałem pobity – nie ma gadania! Czym bowiem jest nasz obecny stosunek? Oto, w rzeczywistości, stosunkiem kochającego się rodzeństwa, zatem tym, czego ona chciała, a czego ja – nie chciałem. Dawniej płynąłem z burzą i rozbijałem się ustawicznie, ale przynajmniej sam sterowałem moją łodzią. Teraz Anielka steruje obiema – i płynę ciszej, równiej, tylko ja czuję, że płynę tam, dokąd sobie płynąć nie życzę. Teraz rozumiem, dlaczego zaledwem jej wspomniałem o miłości Danta do Beatryczy, wyciągnęła do mnie obie ręce. Dlatego, żeby mnie prowadzić! Czy ona lepiej i głębiej obrachowuje wszystko ode mnie?

Nie! nie znam istoty mniej zdolnej do jakichkolwiek wyrachowań, więc nie mogę tego dopuścić; ale nie mogę także pozbyć się myśli, graniczącej z czymś mistycznym, że to tak wygląda, jakby ktoś obrachowywał za nią.

Wszystko, co mnie otacza, jest jakieś dziwne. Dziwnym jest i to, że ja się daję ograniczać, że sam wymyśliłem ten stosunek, taki przeciwny mojej naturze, moim poglądom, moim najgorętszym pragnieniom. Gdyby mi ktoś przed poznaniem Anielki powiedział, że ja wpadnę na tego rodzaju pomysły, poczytałbym go za wariata i miałbym przez jakiś miesiąc temat do drwin i z takiego proroka, i z siebie samego. Ja – w stosunku platonicznym! Jeszcze i teraz chce roi się czasem śmiać i drwić.

Tylko czuję, że do tego doprowadziła mnie nęcza.

*23 sierpnia.*

Jutro wyjeżdżamy. Niebo się przeciera i wiatr wieje z zachodu, co wróży pogodę. Mgła pozwijiała się w długie białawe wały, które wyciągnęły się po bokach gór i posuwają się zwolna, w poprzek stoków, na kształt olbrzymich lewiatanów. Chodziliśmy z Anielką na Kaiserweg. Z rana przyszło mi do głowy pytanie: co by się stało, gdyby ten stosunek, w jakim żyjemy, przestał samej Anielce wystarczać? Ja nie mam prawa przestąpić granicy i boję się; a nużby znów ona tak samo myślała? Wrodzona jej wstydlivość i nieśmiałość stanowiłyby i tak

nieprzewycięzoną dla niej przeszkodę, gdyby zaś jeszcze sądziła, że ją układ tak samo zobowiązuje jak mnie – nie porozumielibyśmy się nigdy – i cierpielibyśmy nadaremnie.

Zastanowiwszy się jednak nad tym głębiej, zrozumiałem całą czczość podobnych obaw. Ona, której nawet ten platoniczny stosunek wydaje się za obszernym, która go z wiedzą lub bez wiedzy zacieśnia, która w tych nawet granicach nie przyznaje mi tego, co mi się należy, miałyby się dobrowolnie, pierwsza, zgodzić na przyznanie mi większych praw?!

A jednak dusza ludzka, chyba nawet i w piekle, będzie jeszcze żyła nadzieją. Mimo oczywistego niepodobieństwa postanowiłem ubezpieczyć się na wszelki wypadek i powiedzieć Anielce, że układ obowiązuje tylko mnie – a zresztą wszystko zależy od jej łaski.

Chciałem powiedzieć jej także wiele innych rzeczy, a mianowicie, że mi się krzywda dzieje, że dusza moja potrzebuje koniecznie i bezwarunkowo słyszeć z jej ust słowo: „kocham”, i to nie raz, ale często, ale co dzień; że tym tylko może żyć i tym tylko utrzymać się na wysokościach. Ale Anielka była tego poranku tak wesoła, tak swobodna i tak serdeczna dla mnie, że zbrakło mi odwagi do zamącenia tej pogody. Wczoraj nie mogłem zrozumieć, dlaczego ta istota tak pełna prostoty opanowuje mnie i zwycięża nawet na tych polach, na których ja, według wszelkich ludzkich pojęć, powinienem być zwycięzcą. Dziś mi to jest jaśniejsze – i mam gotową, bardzo smutną hipotezę: oto ja więcej ją kocham niż ona mnie.

Znałem człowieka, który miał przysłowie: „Mniejsza o moje.” Nie byłoby nic dziwnego, gdybym ja zaczął je teraz powtarzać. Bo jeśli czasem mam ochotę wyrzucić coś z siebie, co mi pali usta jak rozżarzony węgiel, a spostrzegam, że mogę tym spłoszyć jej wesołość, jej uśmiech, zmienić jej dobre usposobienie – to i milczę. Ileż razy się tak zdarza!

To, że ja ją więcej kocham niż ona mnie, przychodziło mi już ze sto razy do głowy, ale ja o tych stosunkach wczoraj myślę to, dziś owo, błąkam się, gubię, zaprzeczam sam sobie, każdą rzecz widzę co dzień inaczej. Raz mi się zdaje, że ona i mnie nie bardzo kocha, i w ogóle nie jest bardzo zdolną do kochania; drugi raz nie tylko myślę, ale i czuję, że to jest to jedno z najgłębszych i najmocniej kochających serc, jakie w świecie spotkałem. I mam zawsze dowody na obie strony. Bo mówię sobie tak: gdyby na przykład jej miłość dla mnie stała się trzy, cztery, dziesięć razy większą, czyby nareszcie nie przysła chwila, że stałaby się zarazem większą od jej oporu? Tak! Więc to jest kwestia tylko wielkości uczucia. Nie! Bo gdyby uczucie było naprawdę małe albo żadne, to ona nie byłaby tyle cierpiała, a widziałem ją tak nieszczęśliwą jak prawie ja sam. Na wszystkie przeciw niej rozumowania mam tylko jedną odpowiedź: widziałem!

Dziś wyszło z jej ust zdanie, które zapamiętam, bo stanowiło także odpowiedź na moje wątpliwości. Nie byłaby nic podobnego powiedziała, gdybym był mówił wprost o nas i o naszej miłości. Ale ja mówiłem ogólnie, jak zwykle teraz mówię. Dowodziłem, że w naturze uczucia leży czyn, że ono jest siłą powodującą i wytwarza bezwarunkowo jakieś akty woli. Ona wysłuchawszy rzekła:

– Albo też się cierpi.

I naturalnie, że się cierpi. Ale ona tymi kilkoma słowami zamknęła mi usta, a natomiast napęliła mi serce czcią dla siebie. W takich chwilach jestem szczęśliwy i nieszczęśliwy, bo mi się znów wydaje, że ona mnie tak samo kocha jak ja ją – tylko cała rzecz w tym, że chce zostać czystą przed Bogiem, ludźmi i sobą. A ja tego kościoła nie zburzę.

Ostatecznie, analiza jej serca i jej uczuć nie doprowadza mnie do żadnych pewników. Ciągle stoję na rozdrożu. Do moich „nie wiem” religijnych, filozoficznych, społecznych przybywa jeszcze jedno, osobiste, stokroć dla mnie ważniejsze to bowiem rozumiem doskonale, że przez takie „nie wiem” można kark skrócić.

Sam kułem ten łańcuch, który mnie do Anielki przywiązuje, ale też przywiązuje bez cienia podobieństwa, żeby kiedykolwiek prysnął. Kocham ją rozpaczliwie, lecz pytanie; czy i nie chorobliwie zarazem? Gdybym był młodszy, zdrowszy na duszy i ciele, mniej zwichnięty, normalniejszy, to bym się może urwał, a przynajmniej wobec tej pewności, że nigdy do niczego



nie dojdę – że mówiąc grubo, nic nie wskóram, że jej ramiona nigdy nie otworzą się dla mnie, starałbym się potargać te więzy. Ale dziś nie czynię nawet usiłowań. Kocham ją tak jak człowiek chory na nerwy, bliski manii, albo jak kochają ludzie starzy, którzy, gdy się uczeplią miłości, to trzymają się jej ze wszystkich sił. Albowiem staje się ona dla nich kwestią życia. Podobnie czepiają się ludzie gałęzi, wisząc nad przepaścią.

Z mojego życia to jedno wykwitło, więc też i wybujało nadnaturalnie. Taki objaw jest zupełnie zrozumiały i będzie się powtarzał tym częściej, im będzie więcej ludzi na świecie podobnych do mnie, to jest przeanalizowanych sceptyków i zarazem histeryków, mających w duszy wielkie nic, a we krwi wielką newrozę. Taki nowożytny produkt epoki, która się kończy, może wcale nie kochać, może utożsamiać miłość z rozpustą, ale gdy w jakimś uczuciu zestrzela się wszystkie jego siły żywotne, gdy podstawą się ono w jego newrozę, to go opakuje zupełnie i stanie się tak uporczywe, jak uporczywe bywają tylko choroby. Tego może dziś jeszcze psychologowie nie rozumieją, a z pewnością nie rozumieją dotąd powieściopisarze, zajmujący się analizą nowożytnej duszy ludzkiej.

*Wiedeń, 25 sierpnia.*

Przyjechaliśmy dziś do Wiednia. W drodze wysłuchałem rozmowy między panią Celiną a Anielką, którą zapisuję z powodu szczególniejszego wrażenia, jakie ona na Anielce uczyniła. Było nas tylko czworo w wagonie i rozprawialiśmy o portrecie Anielki, mianowicie zaś o tym, że trzeba się będzie wyrzec białej sukni, bo zrobienie jej wymagałoby zbyt długiego czasu. Nagle pani Celina, która pamięta wszelkiego rodzaju daty i wiecznie je cytuje, rzekła zwróciwszy się do Anielki:

- Wszak to dziś upływają dwa miesiące, jak twój mąż przyjechał do Płoszowa?
- Zdaje się – odrzekła Anielka.

I w tej samej chwili zaczerwieniła się tak silnie, że chcąc to ukryć wstała i poczęła zdejmować woreczek podróżny z siatki wagonowej. Gdy się odwróciła, rumieniec nie zszedł jeszcze zupełnie z jej twarzy, ale był na niej natomiast wyraz ogromnej przykrości. Starsze panie nie spostrzegły tego, bo się zaraz zaczęły sprzeczać o dzień przyjazdu Kromickiego, lecz ja i spostrzegłem, i odczułem, bo mi przyszło na myśl, że tego samego dnia ona musiała znosić jego pieszczoty, pocałunki – i ogarnęło mnie uczucie wściekłości, a zarazem było mi wstyd za ten jej rumieniec. W mojej miłości jest mnóstwo wielkich cierni, ale jest także mnóstwo małych i ohydnych. Przed tą uwagą pani Celiny byłem prawie szczęśliwy, miałem bowiem złudzenie, że tak podróżujemy z Anielką i tak z sobą jesteśmy jak para narzeczonych. Teraz w jednej chwili to dobre usposobienie znikło. Czułem urazę do Anielki i moje obejście się z nią zmieniło się zupełnie. Ona natychmiast to spostrzegła i w Wiedniu już, gdy zostaliśmy przez chwilę sam na sam w sali na dworcu, spytała mnie:

- Czy ty się na mnie o co gniewasz?
- Nie, ale cię kocham! – odpowiedziałem jej szorstko.

To znowu ją zasmuciło. Może pomyślała sobie, że mi się uprzykrzył ów pogodny stosunek i że staję się znów dawnym Leonem. Jam zaś był podwójnie zły, bo przyszło mi na myśl, że moje zdwajanie się i moja świadomość nie służy mi nawet do tego, żebym umiał zapanować nad jakimś jednym przykrym wrażeniem. Tylko następne wrażenia są lekarstwem na poprzednie, a moja filozofia jest zupełnie na nic.

Zaraz po przyjeździe byłem u Angelego, ale nimem do niego zajechał, wybiła szóstka, i pracownię zastałem zamkniętą. Anielka do jutra wypocznie, więc pójdę z nią. Rozmyśliłem się. Nie chcę już jej stanowczo w białej sukni. Nie będę miał na portrecie jej szyi i ramion, ale będę miał ją taką, jaką jest co dzień, to jest taką, jaką ją kocham najbardziej.

Wieczorem odwiedził nas doktor Chwastowski. Zdrów i tęgi zawsze.

Miałem obrzydliwy sen. Zaczynam od niego opis dzisiejszego dnia, bo jakkolwiek sam sen jest głupstwem, mam jednak przekonanie, że zdrowy mózg nie może śnić w podobny sposób. Bezsensowność trapi mnie od dawna, wczoraj zaś, ledwie oczy zamknął, zapadłem jakby w odrętwienie. O której godzinie przyśniły mi się te głupstwa, nie wiem, zdaje mi się, że dopiero nad ranem, bo gdy się obudziłem, było już widno, a nie musiałem śnić długo. Zobaczyłem masy chrząszczy i żuków wychodzących z boków ze szpar między materacem a łóżkiem. Były tak duże jak pudełka od zapalek. Wkrótce ujrzałem je idące w górę po ścianie. Dziwna rzecz, jak podobne sny są realne; słyszałem najwyraźniej szelest papierowego obicia pod haczykami nóg. Podniósłszy oczy zobaczyłem w kącie pod sufitem całe grona chrząszczy, tylko nieco odmiennych, bo jeszcze większych i białych w czarne plamy. U niektórych widziałem podbrzusza z dwoma szeregami nóg, które wyglądały jakby żebra. We śnie wydawało mi się to wszystko naturalne i zarazem ohydne. Byłem pełen wstrętu, ale anim się bałem, ani dziwiłem. Dopiero po przebudzeniu się, gdy począłem myśleć świadomie, wstręt ten stał się nieznośny i zmienił się w dziwnego rodzaju strach, bo strach śmierci. Pierwszy raz odczuwałem coś podobnego i ta bojaźń śmierci formułowała się tak: Kto wie, jakie tam mrowienie przeohydne może istnieć w tych ciemnościach z drugiej strony życia? Później przypomniałem sobie, że takie olbrzymie, białe z czarnymi plamami chrząszcze widziałem w jakimś muzeum, ale na razie wydały mi się one widzeniem rzeczy niebywałych, należących do pozagrobowej ohydy. Zerwałem się, podniosłem roletę i widok światła uspokoił mnie zupełnie. Na ulicy już był ruch; psy ciągnęły wózki z warzywem, służące szły na targ, robotnicy do fabryk. Widok normalnego życia ludzkiego jest najlepszym przeciwśrodkiem na tego rodzaju fantasmagorię. Ja teraz czuję ogromną potrzebę światła i życia. Ostateczny wniosek z tego wszystkiego, że nie jestem zdrowy. Moja tragedia toczy mnie od wewnątrz jak robak. Że spostrzegam na brodzie i głowie białe nitki, to leży w porządku rzeczy; ale twarz moja, zwłaszcza z rana, ma tony woskowe i ręce są trochę przezroczyście. Nie chudnę, raczej przeciwnie – a z tym wszystkim mam świadomość swojej anemii, tak samo jak mam świadomość swoich stanów psychicznych i czuję, że moja żywotność przesila się – i że idę ku czemuś złemu.

Nie zwariuję nigdy. Zupełnie nie wyobrażam sobie, jak mógłby nadejść taki czas, w którym przestałbym siebie kontrolować. Zresztą znakomity jeden lekarz, a co większa, rozumny przy tym człowiek, powiedział mi, że przy pewnym stopniu w rozwoju świadomości jest to rzecz niemożliwa. Zdaje mi się nawet, że o tym pisałem. Lecz nie wariując, mogę dostać jakiejś ogromnej choroby nerwowej – a że wiem trochę, co to jest – więc zupełnie szczerze mówię, że wolałbym każdą inną.

Ogólnie biorąc, nie wierzę w doktorów, zwłaszcza takich, którzy wierzą w medycynę, ale być może, że trzeba się będzie poradzić, zwłaszcza że i ciotka sobie tego życzy. Wiem zresztą jedno lekarstwo niezawodne: gdyby Kromicki umarł i gdybym się ożenił z Anielką, to byłbym zdrowy; gdyby ona przyszła do mnie i powiedziała mi: „Należę niepodzielnie do ciebie” – to byłbym także zdrowy. Choroby płynące z nerwów należy leczyć przez nerwy.

Ale ona nie zechce być moim lekarzem, choćby chodziło o moje życie.

Byłem z nią i ciotką u Angelego. Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie. Jaka ja jednak miałem słuszność twierdząc, że ona jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, dlatego że w jej piękności nie ma nic pospolitego! Angeli wpatrywał się w nią z takim upodobaniem, jakby patrzył na wysokie i szlachetne dzieło sztuki. Wpadł w doskonały humor, rysował z zapalem i nie ukrywał nam wcale powodów swego zadowolenia.

– W moim zawodzie – mówił – podobny model jest rzadkością. Jak się ma taki wzór, to się inaczej pracuje... Co za twarz! co za wyraz!

A wyraz był mniej zachwycający niż zwykle, bo to nieśmiałe stworzenie czuło się zmieszane, zawstydzone i z trudnością przychodziło mu zachowywać twarz i postawę naturalną. Ale Angeli to rozumiał.

– Na następnych posiedzeniach będzie coraz lepiej – mówił – z tym, jak ze wszystkim, trzeba się oswoić.

I co chwila wykrzykiwał:

– To powinien być portret!

Spoglądał także z przyjemnością na ciotkę, która ma rysy szlachetne, pełne charakteru, energii, a zarazem dziwnej zamaszystości. Obejście się jej z Angelim było w swoim rodzaju czymś nieporównanym. Była w nim jakaś naiwna bezceremonialność wielkiej damy, będącej zawsze w zgodzie z dobrym smakiem, ale nie robiącej sobie nic z nikogo. Angeli, człowiek przywykły do hołdów, ale bardzo zarazem sprytny, poznał się na tym i widziałem, że go to bawiło.

Zdecydowaliśmy się na czarną jedwabną suknię, nadzwyczaj zresztą wykwinną. Szczególniej figura Anielki ślicznie się w niej wydaje. Widać jej smukłość i zarazem pełność. Nie mogę o tym ani myśleć, ani pisać spokojnie. Angeli, mówiąc do Anielki, użył wyrazu *mademoiselle*. Kobieca natura jest dziwna, choćby nawet była anielska. Widziałem, że to mojemu kochanemu stworzeniu zrobiło przyjemność, a jeszcze większe zadowolenie ujrzałem w jej ślicznej twarzyczce, gdy Angeli, poprawiony przeze mnie, odpowiedział:

– Ależ ja się będę ciągle mylił! Patrząc na panią, nie podobna się nie omylić...

Rzeczywiście, z tymi rumieńcami bijącymi jej na twarz była tak zachwycająca, że mi się przypomniał – i przypomniał dokładniej niż poprzednio – ów wiersz, który pisałem niegdyś, a którego każda zwrotka kończyła się słowami:

I dziwię się tylko, że kwiaty  
Pod twymi stopami nie rosną,  
Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,  
Ty maju, ty rajy, ty wiosno!

Wychodząc, gdyśmy oddalili się nieco od ciotki, szepnąłem jej do ucha:

– Anielko, ty nie wiesz, ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakaś ty piękna.

Nie odpowiedziała nic, tylko spuściła powieki, jak czyni w takich razach zwykle. Jednakże przez cały dzień widziałem w jej obejściu się ze mną mimowolny, leciuchny odcień kokieterii. Słowa Angelego i moje nastroiły ją w taki sposób. Czowała, że ją podziwiam z całej duszy, i była mi za to wdzięczną.

A ja nie tylko ją podziwiał, ale mówiłem sobie w duszy, a raczej krzychałem:

„Niech diabeł porwie wszelkie układy! Kocham ją bez ograniczeń i zastrzeżeń!...”

Wieczorem byliśmy na *Fliegender Holländer* Wagnera. Zaledwie słyszałem cośkolwiek albo inaczej mówiąc, słyszałem tylko uczuciem, rozumiałem tylko przez moją miłość.

Zadawałem pytanie Wagnerowi: „Jakie ty na niej czynisz wrażenie? czy twoja muzyka wnika w nią, czy ją usposabia do kochania, czy ją przenosi w jakieś światy, gdzie miłość jest najwyższym prawem?” To tylko mnie obchodziło.

Kobiety nie umieją chyba kochać tak wyłącznie. One zostawiają zawsze jakąś część duszy dla siebie, świata i jego wrażeń.

27 sierpnia.

Ciotka objawiła zamiar wyjazdu. Pilno jej do Płoszowa opowiada, że obecność jej tu na nic niepotrzebna, że nawet będzie lepiej, gdy wyjedzie, bo się nie będziemy za nią oglądali i zostaniemy tak długo, jak będzie wymagała robota portretu. Trochęśmy się wszyscy opierali

temu zamiarowi ze względu na to, że osoba w wieku nie powinna jednak puszczać się w drogę sama. Czulem się w obowiązku – choć przyszło mi to niełatwo – powiedzieć ciotce, że jeśli koniecznie chce wyjechać, to będę jej towarzyszył. Przyznaję, że z pewnym drżeniem wewnętrznym oczekiwałem jej odpowiedzi. Na szczęście, moje pocziwe ciotczysko odpowiedziało z wielką żywością:

– Ani o tym myśl! Jak Celina będzie słaba albo zmęczona, to kto zaprowadzi Anielkę do pracowni? Sama przecie nie może tam iść.

Tu poczęła grozić Anielce i dodała z uśmiechem na ustach a marszem na czole:

– Zwłaszcza że ten malarz patrzy na nią więcej, niż robota portretu wymaga, a ona to widzi i rada. Oho! trzeba ją znać!

– Przecie on już niemłody – odpowiedziała Anielka, śmiejąc się i całując ciotki rękę.

Ciotka zaś poczęła mrużyć:

– Ty przylepko, ty! Niemłody, ale komplimenta gada. Leonie, pilnuj mi ich obojga.

Ja z rozkoszą ustąpiłem od jazdy do Płoszowa wobec powodów przytoczonych przez ciotkę. Pani Celina poczęła namawiać ją, żeby wzięła przynajmniej ze sobą pannę służącą, która była z nami w Gasteinie. Ciotka opierała się z początku i temu, ustąpiła jednak, gdy Anielka powiedziała jej, że w hotelu dadzą sobie doskonałe rady bez służącej.

Zaraz kazała pakować swoje kufry. Ciotka lubi wszystko prędko robić i chce jechać jutro rano. Przy obiedzie drażniłem ją twierdząc, że woli swoje konie wyścigowe od nas i że to do nich jej tak pilno. Powtarzała: „Ach, jaki niemądry! cicho bądź!” – ale po chwili, zapomniawszy się, zaczęła z sobą głośną pogawędkę o stadninie.

Posiedzenie trwało dziś bardzo długo. Anielka pozowała lepiej. Twarz jest już podmalowana.

28 sierpnia.

Ciotka wyjechała rannym pociągiem z Wiednia. Na posiedzeniu byliśmy razem z panią Celiną, która ujrawszy twarz Anielki dopiero podmalowaną, ledwie że zdołała powstrzymać okrzyk oburzenia. Ona nie ma pojęcia o malarstwie i wszystkich fazach, przez jakie przechodzić musi portret, sądziła więc, że twarz już taka zostanie – to jest, i brzydka, i nic niepodobna. Musiałem ją uspokajać; potem Angeli domyślił się także, o co idzie, i śmiejąc się zapewnił ją również, że to, co widzi, jest tylko poczwarką, z której się wylęgnie motyl.

Na pocieszenie rzekł sam w końcu:

– Myślę, że to będzie jeden z najlepszych moich portretów, bo dawno nie malowałem tak *con amore*.

Oby się jego słowa sprawdziły!

Po skończonym posiedzeniu poszedłem po bilety do opery. Gdy z nimi wróciłem, zastałem Anielkę samą – i nagle pokusy ogarnęły mnie jak huragan. Pomyślałem, że gdyby ona chciała pójść teraz w moje ramiona, to byłaby dobra chwila, i na tę myśl uczulem, że błędę, że pulsa poczynają mi bić gwałtownie, że drzę na całym ciele i tchu mi braknie. W pokoju był półmrok, firanki na wpół zasłonięte. Czyniłem nadludzkie wysilenia, by przezwyciężyć te siły niepoohamowane, które mnie parły ku niej. Zdawało mi się, że bije od niej ku mnie żar – i że takie same myśli burzą i jej duszę. Mogłem ją przecie porwać i przycisnąć do piersi, całować jej oczy, usta. Jakiś głos począł mi mówić choćby potem zginąć! Ona spostrzegła natychmiast mój stan niezwykły, w oczach jej mignął przestach, ale zaraz opanowała się i rzekła spieszenie:

– Musisz być moim opiekunem do powrotu mamy; dawniej bałam się ciebie, a teraz tak ci ufam i tak mi z tobą dobrze...

Ja począłem całować ją po rękach i powtarzać stłumionym głosem:

– Żebyś ty wiedziała, żebyś ty wiedziała, co się ze mną dzieje!...

Ona zaś odrzekła ze współczuciem i smutkiem:

– Ja wiem... i tym jesteś lepszy, tym szlachetniejszy...

Chwilę jeszcze zmagalem się sam z sobą, wreszcie rozbroiła mnie. Nie śmiałem. Za to przez całą resztę dnia starała mi się to wynagrodzić. Nigdy w jej spojrzeniu nie czytałem więcej przywiązania, nigdy nie była dla mnie tak tkliwa. Czy to jest może najlepsza droga, jaką mam przed sobą? czy w ten właśnie sposób uczucie najbardziej wzbierze w sercu Anielki i najprędzej ją zwycięży? – nie wiem i tracę głowę...

Bo z drugiej strony, idąc taką drogą, poświęcam na każdym kroku z miłości – samą miłość.

*29 sierpnia.*

Stało się dziś coś dziwnego i przestraszającego. W czasie posiedzenia Anielka, pozując najspokojniej, wzdrygnęła się nagle, twarz jej oblała się rumieńcem, a potem stała się blada jak opłatek. Obaj z Angelim przeraziliśmy się ogromnie. On przerwał w tej chwili robotę i prosił Anielkę, by odpoczęła; ja podałem jej wody. Po chwili to przeszło. Chciała pozować dalej, ale widziałem, że się do tego zmusza i że jest w niej jakiś niepokój. Być może, iż się zmęczyła. Dzień był dziś bardzo duszny; mury są rozpalone. Odprowadziłem ją do domu rychlej niż w dniu wczorajszym. Przez drogę nie odzyskała zwykłego usposobienia. Podczas obiadu znów się nagle zaczerwieniła. Poczuliśmy z panią Celiną wypytywać, co jej jest. Zaręczała nam, że nic. Na moje pytanie, czy nie sprowadzić jej doktora, odpowiedziała z niezwykłą żywością, a nawet jakby z rozdrażnieniem, że nie ma najmniejszej potrzeby i że czuje się doskonale. Ale przez resztę dnia była blada; jej czarne brwi ściągają się co chwila, a twarz przybiera wyraz jakiejś surowości. Dla mnie była obojętniejsza niż wczoraj – i chwilami zdawało mi się, że unika mego wzroku. Nie rozumiem, co to jest. Jestem ogromnie niespokojny. Nie będę znów spał, a gdybym nawet zasnął, czuję, że miałbym jakieś sny w rodzaju tego, o którym pisałem.

*30 sierpnia.*

Dzieje się koło mnie coś niezrozumiałego. O południu zapukałem do tych pań chcąc zabrać Anielkę na posiedzenie; tymczasem nie było ich w domu. Służąca hotelowa powiedziała mi, że kazały sobie przed dwoma godzinami sprowadzić powóz i wyjechały na miasto. Zdziwiony trochę, postanowiłem na nie czekać. Jakoż po upływie pół godziny wróciły, ale Anielka przeszła tylko koło mnie i podawszy mi w milczeniu rękę, udała się do swego pokoju. Przez tę chwilę zdołałem jednak dostrzec, że twarz jej jest wzburzona. Myślałem, że idzie się tylko przebrać, tymczasem pani Celina rzekła:

– Mój kochany Leonie, bądź łaskaw pójść do Angelego i przeprosić go, że Anielka dziś nie przyjdzie. Anielka taka jest zaserwowana, że żadną miarą nie mogłaby pozować.

– Co jej jest? – spytałem z największym niepokojem.

Pani Celina zawahała się przez chwilę, wreszcie odrzekła:

– Nie wiem; zawiozłam ją do doktora, aleśmy go nie zastały. Zostawiłam mu kartkę z prośbą, by zechciał przyjechać do nas do hotelu... Zresztą... nie wiem...

Nic więcej nie mogłem się dowiedzieć. Wziąłem dorożkę i pojechałem do Angelego. Gdy mu mówiłem, że Anielka nie przyjedzie, zdawało mi się, że spojrział na mnie z nieufnością. Zresztą, wobec mego widocznego niepokojem, byłoby to naturalne. Ale przyszło mi do głowy: nuż on nas podejrzewa, żeśmy się rozmyślili i chcemy wykręcić się od portretu? On nas przecie nie zna – mógłby nawet pomyśleć, że to jakiś kłopot pieniężny jest przyczyną mego pomieszania. Chcąc więc zapobiec podobnym podejrzaniom, postanowiłem go z góry zapłacić. On usłyszawszy o tym począł się bronić bardzo żywo i oświadczył, że zapłaty ina-

czej nie przyjmuje, tylko po ukończeniu portretu, ale ja odrzekłem, że jestem tylko depozytariuszem sumy zostawianej przez ciotkę, a ponieważ prawdopodobnie przyjdzie mi wyjechać, więc wolę się pozbyć kłopotu. Po długich sporach, które mnie znudziły, stanęło na moim. Umówiliśmy się, że posiedzenie odbędzie się nazajutrz, o zwykłej porze; gdyby zaś nie mogło mieć miejsca ze względu na zdrowie pani Kromickiej, to mu dam znać przed dziesiątą.

Wróciwszy do hotelu, poszedłem zaraz do tych pań. Anielka była u siebie; pani Celina powiedziała mi, że doktor dopiero co odjechał, ale nie powiedział nic stanowczego, nakazał tylko spokój. Nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że znów widzę w jej twarzy jakieś wahanie się. Może to był tylko niepokój, który zresztą łatwo mi zrozumieć, bo i ja go odczuwam.

Poszedłszy do siebie zacząłem sobie robić gorzkie wyrzuty, że jednak nasz stosunek, ta walka wewnętrzna, która musi odbywać się w Anielce, to odgadywanie mojej miłości i moich cierpień nie może być bez złego wpływu na jej zdrowie. Myśląc o tym doznawałem uczucia, które w słowach dałoby się wyrazić tak: „Lepiej, byś ty przepadł, niżby ona miała chorować!”

Myślałem z takim strachem, że ona pewnie nie zejdzie na obiad, jakby od tego Bóg wie co zależało. Na szczęście zeszła – nie przestała mnie jednak dziwić. Naprzód zmieszała się na mój widok; potem usiłowała być taką jak zwykle, a była inna. Robiła na mnie wrażenie osoby, która ukrywa zmartwienie. Musiała być przy tym chyba bledsza jak zwykle, bo ona ma przecie zaledwie ciemne włosy, a wydawała mi się prawie brunetką.

Łamię sobie głowę: czy te panie nie odebrały jakich niepomysłnych nowin od Kromickiego? A jeżeli tak, co to mogą być za nowiny? Może moje pieniądze są w niebezpieczeństwie? A palże je lichy! Wszystko, co mam, niewarte, żeby się Anielka przez pięć minut martwiła.

Muszę to jutro wyjaśnić. Jestem prawie pewny, że to są jakieś powody natury moralnej i że wszystko stoi w związku z Kromickim. Co on tam mógł nowego urządzić? Przecie drugiego Głuchowa nie sprzedał, dla tej dobrej przyczyny, że go nie ma.

*Berlin, 5 września.*

Jestem w Berlinie, a jestem tu dlatego, że uciekłszy z Wiednia musiałem gdzieś pojechać. Do Płozowa nie mogłem – tam ona przyjeżdża.

Byłem tak przekonany, że mnie żadna siła ludzka od niej nie oderwie, iż sama myśl zerwania tego stosunku wydawała mi się dziką. Ano! pokazuje się, że niczego nie można przewidzieć, bo oto odjechałem i wszystko skończone. Jestem w Berlinie. Zdaje mi się, że mam w głowie koło rozpędowe jakiejś maszyny. Tak się to szybko obraca, że aż boli – alem nie zwariował! Wszystko wiem, wszystko pamiętam. Mój lekarz miał słuszność: wariują tylko słabe głowy. Mnie się to nie mogło przytrafić także i dlatego, że to czasem może być bajecznym szczęściem.

*6 września.*

Jednak chwilami myślę, że mój mózg wykipi. Bo, że porządna kobieta, która spędziła z mężem kilka miesięcy, może poczuć się w stanie odmiennym, to jest ogromnie naturalne, a mnie ten naturalny porządek wydaje się czymś tak potwornym, że mi wysadza mózg z głowy. Nie można przecie jednocześnie myśleć, że coś jest zwykłym prawem natury i zarazem potwornością. Tego żadna głowa nie wytrzyma. Co w tym jest? Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgocze siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy.

I im to jest bardziej naturalne, tym straszniejsze.

Same sprzeczności. Ona nie jest za to odpowiedzialna – rozumiem, bom nie zwariował! Nie przestała być cnotliwa – a jednak ja bym jej prędzej przebaczył każdą zbrodnię. I nie mo-

gę, na miły Bóg, nie mogę ci przebaczyć właśnie dlatego, że cię tak kochałem! Czy ty uwierzysz, że na świecie nie ma kobiety, którą bym obecnie tak pogardzał, bo ostatecznie tyś miała dwóch: mnie od miłości platonicznej, a Kromickiego od – małżeńskiej!

I widzisz, chce mi się wprawdzie łbem o ścianę tłuc, ale dalibóg! chce mi się i śmiać...  
Anim się spodziewałem, że był jednakże sposób oderwania mnie od ciebie! Był i udał się!

*8 września.*

Jak pomyślę, że wszystko skończone, zerwane, że nic nie zostało, że ja już wyjechałem – na zawsze – nie chce mi się w to wierzyć. Nie ma już dla mnie Anielki! A co jest? – nic!

Więc po co ja żyję? Nie wiem! Przecie nie dla tej ciekawości, czy pan Kromicki będzie miał syna, czy córkę!

Ciągle myślę: jakie to wszystko naturalne! – i głowa mi pęka.

To dziwna rzecz: ja powinienem był być na to przygotowany, a nigdy nic podobnego przez myśl mi nie przeszło. Byłbym się prędzej spodziewał, że we mnie piorun trzaśnie.

Kromicki jednakże zaraz z Warszawy pojechał do Płoszowa, bawił tam kilka dni, a potem byli razem w drodze, razem w Wiedniu, razem w Gasteinie.

A ja wytwarzałem nastrój miłosny. Nerwy pani były poruszone i serce wezbrane. Dalibóg, że to ma swoje okropnie śmieszne strony.

Jestem przeraźliwie głupi. Bo skórom mógł znieść wspólny pobyt państwa Kromickich, to powinienem umieć znieść jego następstwa. Ale na Boga żywego, to nie umysł, to moje nerwy nie godzą się na te następstwa. Są ludzie, w których te dwie siły idą zgodnie; we mnie gryzą się jak psy. To jedno więcej nieszczęście.

Dlaczego właśnie jam nigdy nie przewidywał czegoś podobnego? Powinno mi było przyjść do głowy, że jeżeli istnieje jakiś zbieg rzeczy straszny, jakiś cios boleśniejszy od wszystkich dotychczasowych, to oczywiście mnie nie minie.

Czasem wydaje mi się, że jestem po prostu ścigany przez Opatrzność i że ona, postanowiwszy logikę faktów, która sama przez się urnie się mścić, nie poprzestaje jednak na tej zemście, tylko jeszcze osobno wgląda w moje sprawy i osobno mnie karze. Ale skąd taka zawziętość przeciw mnie? Iluż to ludzi kocha się w cudzych żonach, czy więc dlatego mniej cierpią, że mniej, lekkomyślniej, nieuczciwiej kochają? Co by to była za sprawiedliwość?

Toteż nie! W tych rzeczach nie ma żadnej świadomej siebie myśli i wszystko się spełnia tak, jak musi, jak wypadnie.

*10 września.*

Ciągle tkwi we mnie myśl, że dotąd tragedia ludzka wynikała z wyjątkowych zdarzeń i nieszczęść, a moja wynika właśnie z naturalnego biegu rzeczy. Doprawdy, nie wiem, co jest gorsze. Taka naturalność jest przecie nie do wytrzymania.

*11 września.*

Podobno człowiek rażony piorunem sztywnieje i nie upada od razu. Ja także trzymałem się dotąd siłą tego piorunu, który we mnie uderzył – myślę jednak, że teraz zwalę się z nóg. Jest ze mną źle. Jak tylko mrok poczyna zapadać, dzieje się ze mną coś dziwnego: odczuwam duszność, czynię usiłowania, żeby westchnąć – i zdaje mi się, że powietrze nie chce wchodzić do głębi mych płuc, że oddycham tylko ich częścią. We dnie i w nocy chwyta mnie od czasu

do czasu jakaś nieokreślona trwoga – trwoga przed niczym. Zdaje mi się, że stanie się coś strasznego, bez porównania gorszego niż śmierć.

Wczoraj zadałem sobie pytanie: co by też się stało, gdybym nagle w tym obcym mieście zapomniał, jak się nazywam, gdzie mieszkam, i powędrował wśród ciemności wprost przed siebie, bez celu, w obłąkaniu?...

Są to przypuszczenia chorobliwe. Zresztą w takim razie stałoby się z moim ciałem tylko to, co się już stało z duszą, bo w znaczeniu moralnym ja nie wiem, gdzie mieszkam; idę w ciemnościach, bez celu, w obłąkaniu.

I boję się wszystkiego – z wyjątkiem śmierci. A ściśle mówiąc: mam takie dziwne uczucie, że to nie ja się boję, tylko że trwoga zamieszkała we mnie, jakby jakaś osobna istota – i drży.

Nie znoszę teraz zupełnie ciemności. Wieczorem chodzę aż do zupełnego znużenia po ulicach oświetlonych elektrycznością. Gdybym spotkał kogo znajomego, uciekłbym na koniec świata; ale tłum jest mi potrzebny. Gdy na ulicach zaczyna się przeredzać, robi mi się straszno. Z przerażeniem myślę zawsze o nocy. A te noce takie już okropnie długie!

Czuję prawie ciągle metaliczny smak w ustach. Pierwszy raz uczułem go, gdy po odprawieniu Klary na kolej, wróciwszy do domu zastałem u siebie Kromickiego; drugi raz teraz, w Wiedniu, gdy pani Celina powiedziała mi „wielką nowinę”.

Co to był za dzień! Przyszedłem po drugiej wizycie doktora spytać o Anielkę. Przez głowę mi nie przeszło podobne podejrzenie; nie rozumiałem nic, nawet i wówczas, gdy pani Celina powiedziała mi:

– Doktor zapewnia, że to są objawy czysto nerwowe, prawie bez związku z jej stanem.

Ona zaś widząc, że się niczego nie domyślam, zaczęła mówić z zakłopotaniem:

– Bo muszę ci powiedzieć wielką nowinę...

I powiedziała mi wielką nowinę. Usłyszawszy ją, poczułem cynę w ustach i zrobiło mi się zimno w mózgu – zupełnie jak wówczas, gdy zobaczyłem niespodzianie Kromickiego.

Wróciłem do hotelu. Pamiętam doskonale, że między różnymi uczuciami, jakie mną tarzały, była i potrzeba śmiechu. Ta idealna istota, której nawet i miłość platoniczna wydawała się czymś niedozwolonym, która zamiast miłości mówiła przyjaźń!

Czułem potrzebę śmiechu – a także i rozbicia głowy o mur.

Zachowałem jednak jakąś mechaniczną przytomność... Dało mi ją poczucie, że skończyło się wszystko, raz na zawsze, i że muszę wyjechać, że nie mogę nie wyjechać... To poczucie zrobiło ze mnie automat spełniający doskonale wszystkie czynności odnoszące się do wyjazdu.

Byłem do tego stopnia przytomny, że nawet ocalił pozory. Po co? – nie wiem! Nic mi na tym nie zależało. Były to zapewne mechaniczne odruchy mózgu, który przez całe miesiące i lata przywykł do ukrywania prawdy i ratowania pozorów. Powiedziałem pani Celinie, że byłem u doktora, że jestem chory na serce, że kazał mi jechać, nie tracąc minuty, do Berlina – i ona uwierzyła.

Anielka nie! Widziałem jej oczy – rozszerzone z przestrawu, widziałem wzrok zhańbionej męczennicy, i było we mnie dwóch ludzi: jeden mówił: co ona winna? drugi miał chęć w twarz jej pluć.

O, czemu ja tę kobietę tak kochałem!

*12 września.*

To już blisko dwa tygodnie, jakem wyjechał. One pewnie już wróciły do Ploszowa. Pisałem dziś do ciotki, bo bałem się, że się o mnie zleknie i tu przyjedzie. Czasem dziwnie mi pomyśleć, że jest istota, którą ja tak naprawdę obchodzę.



13 września.

Są ludzie, którzy uwodzą cudze żony, oszukują je, potem depcą, rzucają i odchodzą spokojni. Ja tego wszystkiego nie uczyniłem, a gdyby ona była stała się moją ofiarą, to bym prochy przed nią zamiatał, to by mnie teraz żadna siła ludzka nie oderwała od jej nóg. Są więc uczucia występniejsze od mojego; ale na mnie zważyło się takie brzemie, że mimo woli mam wrażenie jakiejś wyjątkowej kary, i mierząc, również mimo woli, wielkością kary winę, nie mogę się obronić poczuciu, że moja miłość była strasznym występkiem.

Jest to rodzaj instynktownej trwogi, od której sceptycyzm nie uwalnia.

A przecież wszelka moralność musi się zgodzić na to, że większą winą byłoby ciągnąć ku sobie kobietę nie kochając jej; czynić to wszystko na zimno, co ja czyniłem z głębi serca. Odpowiedzialność nie może być cięższa za uczucia wielkie i porywające niż za małe i nikczemne.

Nie! Toteż moja miłość jest przede wszystkim strasznym nieszczęściem.

Człowiek pozbawiony przesądów może sobie wyobrazić, co by w danym wypadku czuł, gdyby był przesądny; tak samo człowiek, który wątpi, może odczuć, jakby się modlił, gdyby był wierzącym. Ja nie tylko to odczuwam, ale łączy się to we mnie z taką skargą, że się prawie szczerze modlę. I mówię: „Jeślim zawinił, Panie Boże, tom też tak za to odpokutował, że trochę miłosierdzia już by mnie nie zdziwiło.”

Ale nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby się objawić nade mną miłosierdzie. To jest zupełnie niemożliwe.

14 września.

One już pewno wróciły do Płoszowa. Myślę o niej jeszcze często, bo tylko w takim razie można się oderwać od swej przeszłości, gdy się ma coś przed sobą, a ja nie mam nic i nic. Gdybym był człowiekiem wierzącym, zostałbym księdzem; gdybym był człowiekiem, który stanowczo przeczy istnieniu Boga, może bym się nawrócił. Ale we mnie te organa duszy, którymi się wierzy, uschły tak, jak może uschnąć ręka. Nic nie wiem, prócz tego, że w cierpieniu nie ma dla mnie pociechy w religii.

Gdy Anielka wyszła za Kromickiego, myślałem, że między nami wszystko skończone. Tymczasem to nie była prawda. Teraz dopiero mam zupełne przekonanie, że wszystko skończone, bo rozdziela nas nie tylko nasza wola, nie tylko mój wyjazd, ale coś, co leży poza nami, niezależna od nas siła rzeczy.

To są odmienne całkowicie koleje, których nic zbliżyć nie może, nawet nasza wola. W kolejach Anielki będą cierpienia, ale będą nowe światy, nowe uczucia, nowe życie, przede mną zaś jest zupełnie pusto. Ona niezawodnie rozumie to tak dobrze jak ja.

Ciekawym, czy ona sobie czasem mówi: Tego człowieka zgubiłam, może bez winy, alem go zgubiła.

Nic mi z tego nie przyjdzie, a jednak chciałbym, żeby mnie choć żalowała.

I być może, że będzie, póki jej dziecko nie przyjdzie na świat. Potem wszystkie jej uczucia popłyną innym korytem – a ja przestanę dla niej istnieć. To także siła rzeczy, to także prawo natury.

Wyśmienite prawa!

16 września.

Zobaczyłem dziś na afiszu wydrukowane olbrzymimi literami nazwisko Klary Hilst. Zapomniałem, że jeszcze w Gasteinie odebrałem od niej list z oznajmieniem, iż będzie w Berli-

nie. Otóż jest – i występuje z kilkoma koncertami. Na razie ani mnie to ucieszyło, ani nie ucieszyło. Teraz, ponieważ już ogarnął mnie mój zwykły nerwowy niepokój, więc wrażenia moje rozdwiają się; myśl, że jakaś znajoma i przyjazna dusza mieszka w tym samym mieście, dodaje mi, sam nie wiem dlaczego, pewnej otuchy – ale ta myśl wystarcza mi. Wolałbym Klary nie widzieć i gdy sobie mówię, że trzeba będzie pójść do niej, doznaję uczucia przykrości. Klara ma tę ciekawą troskliwość, która chce wszystko wiedzieć i dopytuje. Skłonna jest do romantycznych przypuszczeń i posiada wiarę, że przyjaźń może uleczyć wszelkie cierpienia. A dla mnie mówić cokolwiek byłoby zupełnym niepodobieństwem. Mnie często brak sił nawet do myślenia o tym, co zaszło.

*17 września.*

Dlaczego ja rano się budzę? Po co istnieję? co mnie mogą obchodzić znajomi albo ludzie w ogóle? Nie poszedłem do Klary, bo wszystko, co ona mi może powiedzieć, nie obchodzi mnie także, a z góry nuży mnie. Cały świat jest mi tak dokładnie obojętny jak ja jemu.

*18 września.*

Jak dobrze zrobiłem, że napisałem do ciotki! Gdyby nie to, byłaby tu przyjechała, bo oto, co mi donosi:

„List twój przyszedł w dniu, w którym przyjechała Celina z Anielką. Jakże się masz teraz, mój najdroższy? Mówisz, że dobrze, ale czy zupełnie dobrze? Co ci powiedzieli doktorowie w Berlinie i jak długo tam zabawisz? Przyślij mi depezę, czy cię tam jeszcze zastanę, a przyjadę natychmiast. Celina mówiła mi, żeś wyjechał tak nagle, że obie z Anielką były ogromnie przestraszone. Gdybyś mi był doniósł, że prawdopodobnie przepiszą ci podróż morską, byłabym natychmiast po otrzymaniu twego listu wyruszyła do ciebie. Przecie to tylko kilkanaście godzin, ja zaś czuję się tak zdrowa jak nigdy. Kongestie, których doświadczałam dawniej, nie powtórzyły się ani razu. Boję się dla ciebie i tej podróży morskiej. Tyś wprowadzie do tego przyzwyczajony, ale mnie dreszcze biorą na samą myśl o okrętach i burzach.

Celina ma się dobrze, Anielka nieźle. Słyszałam, że już wiesz o nowinie. Przed odjazdem z Wiednia wezwały jeszcze raz specjalistę, który powiedział, że stan Anielki nie ulega już najmniejszej wątpliwości. Celina szczęśliwa ogromnie, a i ja także rada. Może to skłoni Kromickiego do porzucenia tych spekulacji na końcu świata i do zamieszkania w kraju. Anielka będzie niezawodnie szczęśliwsza, mając cel w życiu. Po powrocie wygląda zmęczona i jakby przybita, może być jednak, że to skutek drogi. Śniatyńskim dziecko chorowało silnie na krup, ale już jest zdrowe.”

Czytając list ciotki, miałem jedno wrażenie, że dla mnie nie ma tam miejsca między nimi, nie ma zwłaszcza przy Anielce. Jej wkrótce będzie przykre nawet moje wspomnienie.

*19 września.*

Nie umiem sobie wyobrazić siebie za rok, za dwa lub trzy. Co ja będę robił? Zupełna bezcelowość powinna wyłączać życie. Właściwie mówiąc, dla mnie nie ma miejsca nigdzie.

*20 września.*

Nie poszedłem do Klary, ale spotkałem ją na Friedrichstrasse. Ujrzawszy mnie pobladła z radości i wzruszenia, witała zaś z takim wylaniem, że mnie to zarazem ujmowało i zarazem

było mi przykre, bom czuł, że moja serdeczność dla niej jest tylko zewnętrzna i że nie doznaję nawet radości z jej spotkania. Gdy ochłonęła nieco, zaniepokoiły ją zaraz zmiany, jakie spostrzegła w mojej twarzy. Rzeczywiście, nie wyglądam świetnie i trochę posiwiiałem. Zaczęła mnie wypytywać o zdrowie, ja zaś, mimo całej wdzięczności i przyjaźni dla Klary, czułem, że zbyt częste stosunki z nią przechodziłyby absolutnie moje siły, chcąc się więc od nich zabezpieczyć, powiedziałem jej, że jestem chory i że wkrótce przyjdzie mi wyjechać do cieplejszego klimatu. Następnie zaciągnęła mnie do siebie. Rozmawialiśmy o ciotce, Anielce i pani Celinie. Zbywałem ją ogólnikami. Mówiłem sobie, że to jest może jedyna w świecie istota, która by mnie zrozumiała, a jednocześnie czułem, że za nic w świecie nie otworzę jej serca.

A jednak ja odczuwam ludzką dobroć. Chwilami, gdy pocziwe niebieskie oczy Klary wpatrywały się we mnie z największym przywiązaniem i z taką uwagą, jakby mnie chciały do głębi duszy przejrzeć, dobroć ta upokarzała mnie do tego stopnia, że chciało mi się płakać. Klara wreszcie, mimo wszelkich moich wysiłków, spostrzegła, że ja jestem zupełnie innym niż dawniej człowiekiem; instynktem kobiecym odgadła, że żyję, mówię i myślę niemal mechanicznie, a zaś dusza moja jest na wpół zabita. Spostrzegłszy to, zaniechała natychmiast badań i wypytywań, stała się tylko jeszcze tkliwszą.

Widziałem jej obawę i usiłowania, żeby mnie nie znużyć. Starła się dać mi do poznania, że w tej tkliwości, jaką mi okazuje, chodzi jej nie o to, by mnie zjednać dla siebie, ale jedynie, by mi przy niej było dobrze.

I było mi dobrze, ale się jednak znużeniu nie mogłem oprzeć. Umysł mój nie jest teraz zdolny do żadnego skupiania się i do żadnych wysiłków, nawet do tak małych, jakich wymaga zwyczajna rozmowa z przyjaciółką. A oprócz tego, gdy raz mój wielki cel zniknął mi z oczu, wszystko wydaje mi się tak niesłychanie ciche, że ciągle mam w duszy pytanie: na co to? Co z tego przyjdzie?

*21 września.*

Nigdy dotąd nie spędziłem nocy tak strasznej. Miałem wrażenie takiej trwogi, jakbym schodził po nieskończonych schodach w coraz głębsze ciemności, w których dzieją się rzeczy równie okropne jak niewyraźne. Postanowiłem opuścić Berlin, bo pod tym niebem ołowianym można się udusić. Wrócę do Rzymu, do mego domu na Babuino – i tam się już osiedlę na stałe. Myślę, że rachunki moje nie tylko z Anielką, ale z całym światem są już zupełnie ukończone, i mogę sobie wegetować spokojnie w Rzymie, póki na mnie nie przyjdzie czas. Oby przynajmniej spokojnie! Wczorajsza wizyta u Klary przekonała mnie, że choćbym chciał, nie potrafię już żyć z ludźmi, i że nie mam im się czym wypłacić nawet za ich dobroć. Zostałem wyłączony z ogólnego życia, stoję na zewnątrz i chociaż czuję pustkę nieopisaną, nie mam już ochoty wracać.

Myśl o Rzymie, o mojej pustelni na Babuino, uśmiecha mi się – wprawdzie blade i smutnie – ale wolę to niż co innego. Stamtąd wyleciałem na świat jak ptak z gniazda – tam też wypada mi się dowlec na połamanych skrzydłach – i czekać końca.

Pisuję teraz rankami, bo wieczorem zstępuję zawsze do tych moich podziemi, w których mieszka trwoga. Dziś będę na koncercie Klary, pożegnaj ją i jutro wyjadę. Po drodze zatrzymam się w Wiedniu. Być może, że wstąpię do Angelego – nie jestem pewny. Ja teraz nigdy nie jestem pewny, co nazajutrz będę czuł i czynił.

Odebrałem dziś list od Klary, w którym prosi mnie, bym przyszedł do niej po koncercie. Na koncert pójdę, bo tam takie mnóstwo zdrowych ludzi, że czuję się przy nich bezpieczniej – a nie męczą mnie, bo nie znam nikogo i widzę tylko ogół. Ale do Klary nie pójdę. Jest nadto dobra. Mówią, że ludzie umierający z głodu na pewien czas przed śmiercią nie mogą już znieść pokarmu. Tak samo mój organizm duchowy nie znosi już dobroci i pociechy.

Nie znosi także przypomnień. To mała rzecz, ale teraz wiem, że prócz moralnych były i inne powody, które mi uczyniły wizytę u Klary tak ciężką. Oto ona używa takich samych perfum, jakie przywiozłem Anielce z Wiednia do Gasteinu. To już nieraz zauważyłem, że jeśli dana osoba używa pewnej perfumy, to potem nic jej tak realnie nie przypomina, jak taki sam zapach.

*22 września.*

Chory jestem zupełnie. Zaziębłem się wczoraj wracając do domu, bo w sali koncertowej panował niesłychany upał – było mi duszno, więc wyszedłszy na świeże powietrze nie nałożyłem paltota i powróciłem skostniały do hotelu. Każde odetchnięcie sprawia mi takie wrażenie, jakby płuca moje rozszerzając się trafiały na ostrza ukrytych pod łopatkami szpilek. Robi mi się na przemian to gorąco, to zimno. Nie mogę ugasić pragnienia. Ogarnia mnie chwilami wielka niemoc i czuję, iż nie zdołałbym zejść ze schodów. O wyjeździe nie może być i mowy. Nie potrafiłbym wsiąść o własnej mocy do wagonu. Pisząc, słyszę swój własny oddech trzykroć szybszy i głośniejszy niż zwykle. Jestem przekonany, że gdyby stan moich nerwów był inny, oparłbym się temu wczorajszemu chładowi i nie zaziębił, ale w obecnym stanie rzeczy straciłem wszelką oporność. Dostałem niezawodnie zapalenia płuc.

Będę się jednak trzymał na nogach, póki będę mógł. Rano, jakem się tylko poczuł chorym, napisałem co prędzej do ciotki, że się czuję zdrowy i że za parę dni wyjeżdżam. A za parę dni, jeśli zostanę przytomny i będę miał dość sił, znów napiszę to samo. Prosiłem ciotki, żeby listy i depesze, jakie do mnie nadejdą, kazała przesłać do bankiera B. w Berlinie. Będę się starał, by nikt w Płoszkowie nie dowiedział się o mojej chorobie. Jak to dobrze, że się wczoraj pożegnał z Klarą!

*23 września.*

Gorzej mi niż wczoraj, alem się jeszcze nie położył. Mam gorączkę i mam świadomość, że chwilami w myśli moje podsuwają się gorączkowe widzenia. Zwłaszcza gdy przymknę oczy, granica między rzeczywistością a tym, co płodzi mój chory mózg, zaciera się prawie zupełnie. Jednak przez większą część dnia kontroluję się jeszcze, ale boję się, że ta gorączka mnie zmoże – i że stracę zupełnie przytomność.

Przychodzi mi do głowy jedna rzecz: oto ja, człowiek uposażony lepiej niż inni od losów, który mógł stworzyć sobie ognisko domowe, rodzinę, otoczyć się kochającymi sercami – siedzę teraz samotny i chory w obcym mieście i nie ma mi kto szklanki wody podać. Anielka byłaby może także ze mną. Nie mogę dłużej...

*14 października.*

Biorę się do pióra po trzech tygodniach przerwy. Klary nie ma przy mnie. Uspokoiwszy się stanowczo o moje zdrowie, wyjechała do Hanoweru, ale wróci za dziesięć dni. Pilnowała mnie przez cały czas choroby. Ona sprowadziła lekarzy – i gdyby nie jej opieka, byłbym zapewne umarł. Nie pamiętam już dokładnie, czy trzeciego, czy czwartego dnia mojej choroby pojawiła się u mnie. Byłem przytomny, ale zarazem tak chory, że na jej widok pozostałem zupełnie obojętny, jakby nie do mnie przyszła albo jakby jej przyjście było najzwyczajniejszą rzeczą. Weszła z lekarzem – i co zajęło moją uwagę, to jego niezmiernie obfita, bijąca i kręcona czupryna. Byłem istotnie w dziwnym stanie. Lekarz, po opatrzeniu mnie, począł zadawać mi rozmaite pytania, naprzód po niemiecku, a następnie po francusku, ja zaś, rozumiejąc

doskonale, nie odpowiadałem wcale, bom nie odczuwał najmniejszej potrzeby odpowiadania i nie zdołałem jej w sobie wzbudzić, jakby i wola moja była równie bezsilną jak ciało.

Zmęczono mnie tego dnia bańkami, potem leżałem spokojnie, bez wrażeń. Chwilami myślałem, że pewno umrę, ale nie przywiązywałem do tego większej wagi jak do innych rzeczy, które działy się koło mnie. Być może, że w każdej cięższej chorobie, nawet zachowując przytomność, traci się poczucie różnicy między sprawami większymi a mniejszymi, uwaga zaś, nie wiadomo dlaczego przywiązuje się do drobiazgów. Mnie dnia tego, prócz czupryny doktora, zajęło głównie odsuwanie górnej i dolnej zasuw od drzwi przyległego pokoju, w którym postanowiła zamieszkać Klara. Pamiętam, że mój oka nie spuszczał z tej czynności, jakby mi na niej coś zależało.

Wkrótce potem nadszedł felczer, który miał mnie doglądać pod nadzorem Klary. Zaczął coś zaraz mówić do mnie, ale Klara nakazała mu milczenie.

Jednak męczył mnie jeszcze długie pisanie – więc przerywam.

*16 października.*

Nerwy moje uspokoiły się przez tę chorobę; nie doznaję już tych trwóg, które dawniej tak mnie dręczyły; chciałbym tylko, żeby Klara wróciła jak najprędzej. Nie jest to tęsknota, tylko egoizm człowieka chorego, który czuje, że takiej opieki i troskliwości, jaką miał, nic mu nie zdoła zastąpić. Wiem, że Klara nie będzie już mieszkała obok mnie, ale obecność jej pokrzepiłaby mnie. Słabość i bezradność przywiązują się tak do opiekuńczej siły, jak dziecko przywiązuje się do matki. Jestem przekonany, że żadna inna kobieta nie uczyniłaby dla mnie tego co Klara i że każda wolałaby zachować konwenanse niż ratować człowieka. Myśląc o tym mam gorycz w ustach, a w myśli jedno imię... Ale to są rzeczy, których lepiej nie dopuszczać do głowy, póki nie ma sił, żeby się z nimi rozprawić... Klara sypiała nierozebrana na sofce w przyległym pokoju i przy otwartych drzwiach. Za każdym moim ruszeniem była natychmiast przy mnie. Widywałem ją w nocy schyloną nad moim łóżkiem, z włosami w nieładzie, mrużącą ze zmęczenia i bezsenności. Sama podawała mi lekarstwa, sama podnosiła mnie na poduszkach. Gdy w chwilach przytomności chciałem jej dziękować, kładła palce na ustach na znak, że doktor zabronił mi mówić. Nie wiem, ile nocy nie spała. Była tak znużona, że w dzień, siedząc koło mnie na fotelu, zasypiała czasem w połowie rozpoczętego zdania. Zbudziwszy się, uśmiechała się do mnie i znów poczyniała drzemać. Nocami chodziła czasem bardzo długo po swoim pokoju, żeby się bronić od snu, ale tak cicho, że byłbym o tym nie wiedział, gdyby nie to, że przez otwarte drzwi widziałem jej cień poruszający się na ścianie. Raz, gdy była przy mnie, nie wiedząc, jak jej się wywdzięczyc, podniosłem jej rękę do ust; wówczas ona schyliła się szybko i ucałowała moją, nim mogłem ją cofnąć. A trzeba wiedzieć, że nie zawsze umiałem być dla niej wdzięczny. W chorobie byle co drażni – mnie zaś drażnił jej wysoki wzrost. Czulem do niej jakby urazę za to, że nie jest taka jak Anielka. Płynęło to zapewne z tego, że przez tyle czasu przyzwyczaiłem się uznawać wdzięk i piękność o tyle, o ile zbliżały się do wdzięku i piękności tamtej. Czasem patrząc na Klarę, rozdrażniałem się wewnętrznie szczególniejszym poczuciem, że ona jest piękna nie dlatego, że natura chciała ją rozmyślnie uczynić piękną, i nie z prawa rasy, ale jakoby ze szczęśliwego wypadku. Nieraz zresztą piękna głowa kobieca sprawiała mi podobne wrażenie. Są w tych rzeczach odcienie pochwytnie tylko dla bardzo wyrobionych i wrażliwych nerwów.

Były jednak chwile, zwłaszcza nocami, w których, gdy patrzyłem na twarz Klary wychudłą, zmniejszoną i zmizerniałą od czuwania, miałem złudzenie, że widzę tamtą... Działo się tak zwłaszcza, gdy siedziała w mroku, opodal od mego łóżka. Do ułudy pomagała mi gorączka i chory mózg, dla którego niemożliwość nie istnieje. Od czasu do czasu majaczyłem zupełnie – i bodajem zginął! – ale wołałem na Klarę imieniem tamtej i rozmawiałem z nią jak z tamtą. Pamiętam to jak przez sen.

*17 października.*

Bankier B. odesłał mi kilka listów ciotki. Ciotka dopytuje się o mnie, o moje zamiary na przyszłość. Pisze nawet o omłotach, tylko o ludziach w Płoszowie nic. Nie wiem nawet, czy żyją, czy pomarli. Co za dziwny i drażniący sposób pisania listów! Wielce mnie zaiste zajmują omłoty i całe gospodarstwo płoszowskie! Odpisałem zaraz i nie umiałem ukryć niezadowolenia.

*18 października.*

Dziś odesłano mi depezę Kromickiego, adresowaną do Warszawy. Ciotka, zamiast zatelegrafować jej treść, zamknęła ją do koperty i wysłała pocztą. Kromicki błaga, bym dla ratowania własnych pieniędzy i jego całego losu nadesłał jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Przeczytawszy wzruszyłem tylko ramionami. Co mnie teraz może obchodzić Kromicki i moje pieniądze! Niech sobie giną. Gdyby Kromicki wiedział, dla jakich powodów przyszedłem mu pierwszym razem z pomocą, nie byłby teraz niczego żądał. Niechże zniesie swoje straty tak spokojnie, jak ja zniosę moją. Zresztą czeka go *w i e l k a n o w i n a*, która mu będzie pociechą. Cieszcie się, ile chcecie, miejcie dzieci, ile wam się podoba, jeśli jednak żądacie ode mnie, bym ja myślał o ich losie – to doprawdy za dużo żądacie.

Gdyby ona przynajmniej nie była mnie poświęcała z takim bezwzględny egoizmem, dla tak zwanych swoich zasad... Ale dość o tym, bo mi się mózg przewraca w głowie. Niech mi będzie wolno przynajmniej spokojnie chorować...

*20 października.*

Nie! Znaleźli mnie i tu. Znow od dwóch dni nie mam spokoju, znow się rękoma trzymam za głowę, żeby mi czaszka nie pękła od tego koła rozpędowego, które się w niej obraca. Myślę znow o Płoszowie i o niej – i o mojej pustce w przyszłości. Jaka to jest przeraźliwa rzecz, gdy komu zbraknie nagle tego, czym żył wyłącznie i jedynie! Nie wiem, czy choroba osłabiła mój umysł, ale po prostu nie rozumiem różnych zjawisk, które w sobie dostrzegam. Oto zdaje mi się, że moja zazdrość przeżyła moją miłość.

I to jest zazdrość podwójna, bo nie tylko o fakta, lecz i o uczucia. Rwie się wszystko we mnie na myśl, że to dziecko, które ma przyjść na świat, zabierze serce Anielki dla siebie, a co więcej – o co głównie mi idzie – nakłoni je ku Kromickiemu.

Ja bym tej kobiety, gdyby była wolna, już teraz nie chciał, ale nie mogę znieść przypuszczenia, że ona będzie kochała męża. Oddałbym resztę życia za to, by nikt jej już w życiu nie kochał i ona nikogo. Pod tym warunkiem jeszcze bym potrafił istnieć.

*21 października.*

Jeśli mnie ten sposób, który mi chodzi po głowie, nie wyratuje, to znowu zapadnę w jaką chorobę albo oszaleję. Oto robię ze sobą obrachunek! Co mi się jeszcze należy w życiu? – Nic! Co mnie czeka? – Nic! A jeśli tak, to nie istnieje żaden powód, dla którego bym nie miał uczynić ze siebie подарunku komuś, kogo taki подарок może uszczęśliwić. Za moje życie, za mój umysł, za zdolności, za siebie całego nie dałbym obecnie trzech złamanych groszy; w dodatku nie kocham Klary, ale jeśli ona mnie kocha, jeśli we mnie widzi szczęście najwyższe

życia, to: byłoby okrucieństwem odmawiać jej tego, co ja sam tak mało cenię. Poczynałbym się tylko do obowiązku powiedzenia jej, kim jestem, by wiedziała, co bierze. Tym gorzej dla niej, jeśli się tym nie zrazi – ale to jej sprawa.

Mnie w tym zamiarze nęci tylko jedna rzecz, a mianowicie, że przez to powiększy się jeszcze przepaść, jaka mnie dzieli od tamtej kobiety. I pokażę jej, że jeśli ona rozkopywała tę przepaść ze swego brzegu, to i ja ze swego potrafię. Wtedy będzie już koniec nad końce, bo jeszcze dziś ja o niej myślę. Widzę to i stwierdzam ze złością.

Być może, iż to już jest nienawiść, ale to jeszcze nie obojętność.

Pani Kromicka sądziła zapewne, że odrywam się od niej dlatego, że muszę – ja jej dowiodę, że także chcę. A myślę, że im grubszy mur między nami postawię, im bardziej on mi ją zasłoni, tym prędzej i dokładniej o niej zapomnę.

Co do Klary, powtarzam, że nie kocham jej, ale wiem, że ona mnie kocha. Prócz tego winienem jej wdzięczność. W chorobie miewałem takie chwile, że jej czuwanie nade mną nazywałem w duchu sentymentalizmem niemieckim, ale swoją drogą na taki sentymentalizm tamta by się nie zdobyła. Byłoby przecie godniejszym tej wysokiej cnoty dać człowiekowi skonać bez pomocy niż zobaczyć go bez krawata, bo taki przywilej przysługuje tylko prawnie poślubionemu małżonkowi. Klara nie zważała na nic; zaniedbała dla mnie muzykę, naraziła się na trud, na bezsenność, prawdopodobnie na obmowę ludzką, i wytrwała przy mnie.

Zaciągnąłem względem niej dług – i spłacam go. Spłacam źle i ze złą wiarą, bo ofiaruję się dlatego, że sam o sobie nie stoję, że mi teraz wszystko jest obojętne i że jestem tylko strzępem człowieka, nie człowiekiem. Ale skoro ona ten strzęp ceni nad życie własne – niechże on należy do niej.

Dla ciotki jednej będzie zmartwienie; zrani to i jej uczucia narodowe, i rodowe. Gdyby jednak ciotka mogła odczytać, co działo się w ostatnich czasach w moim sercu, wolałaby z pewnością to małżeństwo niż tamtą miłość. Pod tym względem nie mam najmniejszej wątpliwości.

A cóż z tego, że przodkowie Klary byli prawdopodobnie tkaczami! Ja zasad nie mam żadnych, mam tylko nerwy, moje zaś przygodne poglądy są raczej liberalne. Dawno myślę, że jeżeli ludzie wyznający zasady liberalne są często jeszcze ciaśniejsi od konserwatystów, to natomiast zasady liberalne, same w sobie, są szersze od konserwatywnych i zgodniejsze z nauką Chrystusa – co mi jest zresztą wszystko jedno.

Ale o tych względach nawet mówić nie warto. Dopiero w nieszczęściu czuje się całą ich nicość.

Mimo woli myślę ciągle, jak Anielka przyjmie wiadomość o moim postanowieniu? Tak przywykłem odczuwać wszystko przez nią, że mi ten bolesny nałóg jeszcze pozostał.

*22 października.*

Dziś rano wysłałem list do Klary. Odpowiedź otrzymam jutro – albo być może, iż sama Klara przyjedzie jeszcze dziś wieczorem.

Po południu odesłano mi drugą depezę Kromickiego. Ile j rozpaczy może się mieścić w kilkunastu wyrazach, tyle w niej jest. Musiało się tam wszystko jak najgorzej obrócić, bo nie spodziewałem się, żeby ruina przyszła tak prędko. Zaszły chyba jakieś niespodziewane okoliczności, których nie przewidywał sam Kromicki.

Strata, jaką ponoszę, nie czyni wielkiego uszczerbku w mej fortunie – i mimo tej straty pozostanę zawsze więcej niż zamożnym człowiekiem – ale Kromicki!...

Dlaczego mam się zwodzić! Jest w sercu moim zakątek, w którym wylęgło się zadowolenie z tej ruiny. Pomyśleć, że jeśli ci ludzie będą mieli w przyszłości z czego żyć, to tylko dzięki ciotce, która, jak sama mówi, jest administratorką majątku Płoszowskich.

Tymczasem nie mam zamiaru odpowiadać Kromickiemu. Gdybym jednak się na to zdecydował, za całą odpowiedź powinszowałbym mu potomka. Potem będzie co innego! – potem dam obojgu chleb – nawet obfity.

*23 października.*

Klara wczoraj nie przyjechała, a dziś do tej godziny, to jest do wieczora, nie przyszła jej odpowiedź. Jest to tym osobliwsze, że dotąd pisywała codziennie, dopytując się o moje zdrowie. Jej milczenie nie dziwiłoby mnie, gdybym mógł przypuszczać, że się będzie namyślała chociaż przez dziesięć minut.

Będę czekał cierpliwie – lepiej by jednak uczyniła, nie zwłócząc. To jedno wiem i czuję, że gdyby mój list nie był wysłany, może być, że wysłałbym drugi podobny; ale gdyby tamten można cofnąć, to prawdopodobnie bym go cofnął.

*24 października.*

Oto, co Klara mi pisze:

„Drogi mój panie Leonie! Po otrzymaniu listu pańskiego byłam jak odurzona ze szczęścia i chciałam zaraz wracać do Berlina. Ale właśnie dlatego, że pana bardzo głęboko kocham, posłuchałam głosu, który mi mówił, że najwyższa miłość nie powinna być najwyższym egoizmem i że mi nie wolno poświęcać pana dla siebie.

Pan mnie nie kocha, panie Leonie. Oddałabym życie za to, gdyby było inaczej – ale pan mnie nie kocha. List pański jest tylko porywem wdzięczności i jakiejś rozpacz. Od pierwszej chwili spotkania się naszego w Berlinie spostrzegłam, że pan nie jest ani zdrow, ani szczęśliwy – i jak dalece niepokoiłam się o pana, dowód w tym, że chociaż się pan ze mną pożegnał i zapowiedział swój wyjazd, posłałam jednak do hotelu dowiedzieć się, czy pan naprawdę wyjechał, i posyłałam następnie co dzień, póki mi nie odpowiedziano, że pan chory. Potem pilnując pana w czasie choroby przekonałam się, że i druga moja obawa była słuszna i że pan ma jakieś ukryte wielkie zmartwienie, czy też doznał pan jednego z takich bolesnych zawodów, po których trudno się z życiem pogodzić. Teraz mam przekonanie – i Bóg jeden widzi, jak mi z nim ciężko – że pan chce związać swój los z moim, żeby się zagłuszyć, żeby o czymś zapomnieć, żeby sobie zamknąć jakieś drogi. A wobec tego podejrzenia, czy ja mogę się na to zgodzić? Odrzucając pańską rękę, będę, w najgorszym razie przez całe życie bardzo nieszczęśliwa, ale nie powiem sobie nigdy: jesteś mu ciężarem i kulą u jego nogi. Ja pana pokochałam nad wszystko, od pierwszej chwili poznania, zatem od dawna, więc już przywykłam do tego smutku i do tych zmartwień, jakie płyną z rozłączenia, z braku nadziei i z tej pewności, że się nie jest kochaną. Źle mi z tym żyć, ale to jeszcze mogę wypłakać, czy przez łzy jak zwykła kobieta, czy przez muzykę jako artystka. Zawsze zostaje mi ta pociecha, że gdy pan czasem pomyśli o mnie, to pomyśli: „moja dobra siostra”. I tym żyję. Ale gdybym została żoną pańską i gdybym spostrzegła, że pan żałuje swego porywu, że pan nie jest szczęśliwy i że mnie znienawidził, to bym umarła z pewnością.

Przy tym ja sobie mówię: coś ty takiego uczyniła, czym się tak zasłużyłaś, żeby być tak bez miary szczęśliwą? Bo aż strach bierze, gdy się o takim szczęściu pomyśli. Czy pan to rozumie, że można kochać nie tylko z całej duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham.

I już to wydaje mi się zuchwalstwem, że jednak nie mam odwagi wyrzec się zupełnie nadziei. Ale niech mi pan tego nie bierze za złe: Pan Bóg jest taki miłosierny, a człowiek tak bardzo pragnie szczęścia, że sił brak, by zamknąć przed nim drzwi raz na zawsze. Jeżeli mi pan powtórzy, czy za pół roku, czy za rok, czy kiedykolwiek w życiu, że mnie pan chce jeszcze, wówczas wszystko mi się nagrodzi – i to, co już przecierpiałam, i te łzy, których nie mogę wstrzymać teraz.

*Klara.”*



Jest we mnie człowiek, który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu. Nic z niego dla mnie nie ginie i mówię sobie: tym bardziej warto wrócić, im bardziej to serce jest uczciwe, proste i kochające.

Ale jest we mnie także człowiek zmęczony, któremu odebrano siłę życia, który współczując nie kocha, bo w tamto uczucie włożył wszystko, co w nim było – i który widzi jasno, że gdy raz odejdzie, to już mu będzie niepodobieństwem wrócić.

*28 października.*

Jestem zupełnie pewny, że Klara wcale nie wróci do Berlina, a co więcej, że ona, wyjeżdżając do Hanoweru, „wyjeżdżała już ze stanowczym zamiarem niewracania. Chciała uniknąć moich podziękowań. Myślę o niej z żalem i wdzięcznością, a żal mi najbardziej tego, że ona nie trafiła na innego niż ja człowieka. Jest w tym wszystkim jakaś ironia losu; gdybym ja Klare choć w setnej części tak kochał, jak kochałem Anielkę, można by z tego stworzyć cały świat szczęścia. Ale co mi z tego przyjdzie, jeżeli będę sam siebie łudził? Ja dotąd jestem pod jarzmem wspomnień. Przypominam sobie tę Anielkę taką, jaką była w Płoszowie, w Warszawie, w Gasteinie – i od tej przeszłości nie mogę oderwać myśli. Zresztą tyle weszło w nią sił i życia, że się nawet sobie nie dziwię. Jak może być inaczej? Człowiekowi najtrudniej jest nie pamiętać.

Co chwila chwytam się na rozpamiętywaniach o Anielce – i chcąc się od nich uwolnić, muszę sobie przypomnieć, że ona już jest inna, że uczucia jej popłyną, a prawdopodobnie już popłynęły, w zupełnie innym kierunku i że ja jestem już dla niej niczym.

Dawniej wolałem o tym nie myśleć, bo mi głowa pękała, teraz czasem czynię to umyślnie, bo inaczej nie umiem się bronić głosom, które podnoszą się we mnie i pytają coraz częściej: „Co ona winna, że jej narzucono to dziecko? Skąd wiesz, co się dzieje w jej sercu? Nie byłaby kobietą, gdyby nie pokochała dziecka, skoro ono na świat przyjdzie, ale kto ci powiedział, że nie czuje się teraz równie nieszczęśliwa jak ty?”

I chwilami zdaje mi się, że ona. może być jeszcze nieszczęśliwszą, a wówczas chciałbym dostać drugiego zapalenia płuc. Życie z takim chaosem myśli jest niemożliwe.

*30 października.*

Im czuję się zdrowszy, tym częściej wracam do dawnego błędnego koła. Doktor twierdzi, że za kilka dni będę mógł wyjechać. I pojedę, bo tu mi jest za blisko do Warszawy i Płoszowa. Jest to może jedno z moich nerwowych dziwactw, ale wydaje mi się, że w Rzymie, na Babuino, będzie mi spokojniej. Nie obiecuję sobie nie myśleć o przeszłości – owszem, będę o niej myślał od rana do wieczora, ale to już będą rozmyślenia podobne chyba do takich, jakie się snują za kratą klasztorną. Zresztą, czy ja wiem, co będzie?! – wiem tylko, że tu nie wysiedzę. Po drodze wstąpię do Angelego. Muszę w Rzymie mieć jej portret.

*2 listopada.*

Porzucam Berlin, wyrzekam się Rzymu i wracam do Płoszowa. Dawniej już napisałem: „To nie tylko najbardziej kochana kobieta, to już moja najdroższa w świecie głowa.” Tak jest! tak jest! Niech to się sobie nazywa newrozą czy szaleństwem starczym, czy czym chce, wszystko mi jedno; ja mam to już we krwi i w duszy. Pojadę do Płoszowa, będę jej służył, będę jej doglądał, pilnował – i za całą j nagrodę chcę tylko patrzeć na nią.

Dziwię się, jak mogłem przypuszczać, że potrafię żyć bez jej widoku. Jeden list ciotki wyprowadził na jaw to, co było we mnie. Ciotka mówi:

„Nie rozpisywałam się o nas, bo nie mogłam ci donieść nic wesołego, a że nie umiem kłamać, więc wolałam milczeć niż cię niepokoić, wiedząc, że nie jesteś zdrow. Mam wielkie zmartwienie z powodu Kromickiego i chciałabym zasięgnąć twej rady. Stary Chwastowski pokazywał mi list syna, w którym ten donosi, że interesa Kromickiego są w najokropniejszym stanie, a on sam zagrożony odpowiedzialnością sądową. Wszyscy go tam zawiedli. Zażądano nagle olbrzymich dostaw, że zaś termin był krótki, więc on nie mógł sprawdzić, czy materiał, jakiego mu dostarczono, był dobry. Otóż wszystko okazało się złe, zepsute, fałszywe – i wszystko zostało odrzucone – a w dodatku wisi nad Kromickim proces o oszustwo. Oby Bóg dał, żeby choć to na niego nie spadło, tym bardziej że jest zupełnie niewinny. Mniejsza o ruinę, byleby nie było hańby. Ale ja tracę głowę, co zrobić i jak go ratować? Boję się narazić tej sumy, którą przeznaczyłam dla Anielki, a tu trzeba koniecznie uwolnić go przynajmniej od procesu. Radź, Leonie, bo ty masz rozum i zawsze umiesz jakiś plan wymyślić. Ani Celinie, ani Anielce nie powiedziałam dotąd ani słowa, bo zwłaszcza Anielka niepokoi mnie okropnie. Nie wyobrazisz sobie, co się z nią teraz dzieje. Celina jest zacna kobieta, ale zawsze przesadzała w pruderii i tak samo wychowała Anielkę. Nie wątpię, że Anielka będzie najlepszą matką, ale teraz aż złość mnie czasem bierze, bo kiedy się wychodzi za męża, to trzeba być gotową na następstwa, a tymczasem Anielka jest w takiej rozpacz, jakby to była hańba. Co dzień widuję na jej twarzy ślady łez. Litość bierze patrzeć na jej zmizerowaną twarz, podbite oczy, na tę gotowość do płaczu, na ten wyraz jakiejś boleści i upokorzenia, który ma w oczach. Jak życie moje, nie widziałam, żeby kobieta tak zносиła ten stan. Próbowałam perswazji i łajania, ale to nic nie pomaga. Powiem ci szczerze, że nadto ją kocham, a może być, iż na starość tracę dawną energię. Przy tym to takie skądinąd pocziwe! Żebyś ty wiedział, jak ona co dzień dopytuje się o ciebie: czy nie było listu? czyś zdrow? Gdzie zamierzasz jechać? Jak długo zabawisz w Berlinie? Ona wie, że ja lubię rozmawiać o tobie, i umyślnie po całych godzinach rozmawia. Żeby tylko Bóg zlitował się nad nią i dał jej siłę do zniesienia tych zmartwień, które ją czekają. Ja prawdziwie tak boję się o jej zdrowie, że nie mam odwagi jednym słowem jej napomknąć o położeniu męża. Ale przecie prędzej-później, musi to wyjść na jaw. Nie mówiłam nic także i Celinie, bo ona ogromnie przybita rozdrażnieniem Anielki i zachodzi w głowę, dlaczego Anielka bierze tak tragicznie swój stan.”

Dlaczego? Ja jeden w świecie to rozumiem, ja jeden mógłbym odpowiedzieć na to pytanie – i dlatego – wracam do Płozowa.

Nie! Ona nie swój stan bierze tragicznie, ale moją ucieczkę, moją rozpacz, której się domyśla, ale potarganie tego stosunku, który stał jej się drogi od czasu, jak po tylu trudach, tylu cierpieniach i wysileniach zdołała go wreszcie zmienić na czysty. Teraz oto wchodzę w jej duszę i myślę za nią. Jej tragedia jest warta mojej. Od chwili, gdy wróciłem do Płozowa, uczucie walczyło w tej niepowszednio szlachetnej istocie z obowiązkiem. Chciała pozostać czystą i wierną temu, komu zaprzysięgła wiary, bo natura jej duchowa wyłącza brud i kłamstwo, a jednocześnie nie mogła się oprzeć uczuciu dla człowieka, którego pokochała pierwszą miłością – i nie mogła tym bardziej, że ten człowiek był przy niej, że ją kochał i był nieszczęśliwy.

Całe miesiące płynęły jej w najstraszniejszej rozterce. Nareszcie, gdy nastąpiła chwila uspokojenia, gdy wydało się jej, że to uczucie przeszło w związek dusz tak nadziemski, iż ani czystość myśli, ani zaprzysiężona wiara na nim nie tracą – nagle wszystko rozerwało się, i ona została sama, z taką pustką przed sobą jak moja. Oto powód jej terażniejszej niedoli.

Czytam obecnie w jej duszy jak w książce – i dlatego wracam.

Również widzę dopiero teraz, że ja prawdopodobnie nie byłbym jej opuścił, gdybym był miał zupełną pewność, że jej uczucie dla mnie przetrwa wszelkie wypadki. Sama zwierzęca zazdrość, która przepelnia serce wściekłością, a wyobraźnię ohydnyymi widzeniami tych praw,

z których korzystał kto inny, nie miałyby dość siły, aby mnie oderwać od tej kobiety, w której był mój świat. Ale ja sądziłem, że to dziecko, zanim jeszcze przyjdzie na świat, już oładnie wszystkimi jej uczuciami, że zbliży ją do męża, a mnie wymaze na zawsze w jej sercu z listy żyjących.

I nie łudzę się; wiem, że nie będę dla niej tym, czym byłem, a zwłaszcza czym mogłem zostać, gdyby nie ten zbieg rzeczy. Mogłem bowiem zostać jej jedyną drogą istotą, wiążącą ją z życiem i szczęściem – teraz zaś tak już nie będzie. Ale póki będzie się w niej tliła choć iskierka uczucia dla mnie, nie odejdę, bo odejść nie mogę, i nie mam dokąd.

Więc wrócę i zacznę tę iskrę rozdmuchiwać, i zacznę się-rozgrzewać przy niej. Gdybym tego nie uczynił, zmarzyłbym niechybnie.

Odczytuję jeszcze raz te słowa ciotki: „Żebyś ty wiedział, jak ona co dzień dopytuje o ciebie, czy nie było listu, czyś zdrów, jak długo zabawisz w Berlinie” – i nie mogę się nimi nasycić. Zupełnie mi jest tak, jakbym umierał z głodu i jakby mi ktoś niespodzianie przyniósł kawałek chleba. Jem – i z wdzięczności chce mi się płakać. Może to już miłosierdzie boże zaczyna się nade mną?

Bo jednak czuję, że ja się zmieniał przez te ostatnie dni – i że dawny człowiek zmarł we mnie. Ja już się nie będę burzył przeciw jej woli, przeniosę wszystko, uspokoję ją, uciszę, wyratuję nawet jej męża...

*4 listopada.*

Po namyśle zatrzymałem się jeszcze w Berlinie przez dwa dni. Jest to z mojej strony ofiara, bo ledwie mogę tu usiedzieć, ale trzeba było koniecznie wysłać naprzód list donoszący, że przyjeżdżam. Depesza mogła Anielkę nastraszyć, równie jak moje niespodziewane przybycie. Wysłałem list wesoły, a zakończyłem go tak serdecznym pozdrowieniem dla Anielki, jakby nigdy nic między nami nie zaszło. Chcę, żeby zrozumiała, iż pogodziłem się z moim losem i że wracam takim, jakim byłem dawniej.

Ciotka zapewne spodziewała się trochę mego przyjazdu.

*Warszawa, 6 listopada.*

Przyjechałem dziś rano. Ciotka, uprzedzona moim listem, czekała mnie w Warszawie.

W Płoszowie nieźle, Anielka spokojniejsza. Od Kromickiego nie było żadnych w ostatnich czasach wiadomości.

Biedne ciotczysko przywitało mnie okrzykiem: „Co się z tobą stało, Leonie!” Nie wiedziała nic, że chorowałem, a oczywiście tak długa choroba musiała mnie mocno wycieńczyć. Prócz tego, włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym ani wyglądać na starego.

Ale i ciotka zmieniła się w ostatnich czasach ogromnie. Przecie nie tak dawno, jakeśmy się rozłączyli, a znalazłem ogromną różnicę. Twarz jej straciła jakoś dawny stanowczy wyraz, rysy stały się jednak więcej nieruchome. Zauważyłem zaraz, że głowa poczyną jej się nieco trząść, co się szczególnie daje widzieć, gdy czego słucha z uwagą. Gdym jej się wypytywał z niepokojem, jak się ma, odpowiedziała mi z całą, właściwą sobie otwartością:

– Po powrocie z Gasteinu miałam się wybornie, ale teraz wszystko obróciło się na złe i czuję, że już na mnie czas.

Po chwili zaś dodała:

– Wszyscy Płoszowscy kończą na paraliż – mnie zaś lewa ręka drętwieje co rano. Ale nie warto o tym mówić – wola boska!

I nie chciała więcej mówić. Natomiast naradzaliśmy się obszernie, jak przyjść w pomoc Kromickiemu, i postanowiliśmy nie dopuścić do procesu, choćby kosztem największych ofiar. Ratować go od ruiny nie mogliśmy, chyba za cenę naszej własnej ruiny, na co nie podobna się było zgodzić ze względu na Anielkę. Uczyniłem projekt sprowadzenia, po usunięciu procesu, Kromickiego do kraju i osadzenia go na gospodarstwie. Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale żeby ofiara była pełną, postanowiłem wypić i tę truciznę.

Ciotka ofiaruje się oddać mu jeden ze swoich folwarków przyległych do Płoszowa, ja dostarczę odpowiedniego kapitału, i wszystko to razem wzięte utworzy wiano Anielki. Kromicki musi się tylko zobowiązać do porzucenia raz na zawsze spekulacji.

Tymczasem wyślemy mu w pomoc jednego z adwokatów tutejszych, zaopatrzonego we wszelkie środki potrzebne doumoruszenia procesu.

Skończywszy tę naradę, począłem wypytywać o Anielkę. Ciotka opowiadała mi o niej bardzo obszernie; powiedziała mi między innymi, że zmieniła się już znacznie i zbrzydła. Usłyszawszy to, uczułem tylko tym większą litość dla niej. Nic już nie potrafi odwrócić od niej mego serca.

To moja głowa najdroższa!

Chciałem dziś, zaraz po naradzie, jechać do Płoszowa, ale ciotka oświadczyła, że jest zmęczona i że pragnie zanocować. Ponieważ przyznałem się jej, że byłem chory na zapalenie płuc, więc podejrzewam ją, że została umyślnie, by mnie nie narażać na drogę w powozie podczas niepogody.

Deszcz pada od rana.

Zresztą, nie mogliśmy dziś wyjechać, a jutro wyjedziemy prawdopodobnie dopiero wieczorem. Sprawa Kromickiego wymaga pośpiechu. Trzeba zaraz jutro umówić adwokata i wysłać go jak najprędzej.

*7 listopada.*

Przyjechaliśmy do Płoszowa o siódmej wieczór; teraz jest północ i cały dom już śpi. Chwała Bogu, powitanie nie wzruszyło jej nadto. Wyszła do mnie zmieszana, z przymusem, z niepewnością, z zawstydzieniem i jakby ze strachem w oczach, ale ja sobie przysiągłem, że powitam ją tak swobodnie, tak naturalnie, jakbyśmy się wczoraj rozstali. I odjąłem powitanie wszelki odcień przejednania, przebaczenia i wszelki nastrój uroczysty. Spozstrzegłszy ją, zbliżyłem się do niej spieszenie i wyciągnąwszy ręce, zawołałem prawie wesoło:

– Jak się masz, Anielko kochana! Tak stęskniłem się za wami, że odłożyłem swoją morską podróż do późniejszych czasów.

A ona zrozumiała natychmiast, że takie powitanie jest aktem zgody, przejednania, powrotu do niej i zarazem ofiarą z siebie samego dla jej spokoju. Przez chwilę przemknęło po jej twarzy rozrzewnienie tak wielkie, że bałem się, iż nie zdoła nad nim zapanować. Chciała coś przemówić i nie mogła, ścisła tylko silnie moją rękę. Myślałem, że się rozplacze.

Ale nie zostawił jej na to czasu i zacząłem pospieszenie mówić tym samym tonem:

– Cóż portret? Głowa już była skończona, jakieś wyjeżdżała – nieprawda? Angeli tak prędko go nie przyszło, bo sam mi mówił, że to będzie jego arcydzieło. Wystawi go pewno w Wiedniu, w Monachium i w Paryżu. Całe szczęście, że zamówiłem drugi egzemplarz, bo inaczej czekalibyśmy jeszcze z rok. Ale chciałem cię mieć koniecznie i dla siebie.

Ona zaś, mimo wszystkiego, co się działo w jej sercu, musiała się przystosować do tego tonu, zwłaszcza że do rozmowy wmieszała się ciotka i pani Celina. Tak przeszły te pierwsze chwile. Wszystko, com mówił, było zagadywaniem naszych wzajemnych uczuć. Nie wyszedłem jednak przez cały wieczór z mej roli, choć czułem, że pot osiada mi na czole z wysilenia. Byłem jeszcze bardzo osłabiony niedawną chorobą i prócz tego – to był przecie taki

okropny przymus! Widziałem, że podczas wieczery Anielka z przestachem i wzruszeniem spogląda na moją wybladłą twarz i siwiejące skronie; widziałem, że odgaduje wszystko, com przeszedł. Ale ja opowiadałem i o moich dolegliwościach berlińskich także niemal wesoło. Musiałem unikać nawet spojrzenia na jej zmienioną postać, by jej nie dać ucuć, że te zmiany widzę i że ich widok wstrząsa mną. W końcu wieczora czyniło mi się kilkakrotnie słabo, jednakże przemogłem się i ona czytała w moich oczach tylko pogodę, tylko najgłębsze przywiązanie, a zarazem zupełne pogodzenie się z położeniem. Ona jest bardzo przenikliwa; wie, odczuwa i rozumie wszystko, ale ja przeszedłem siebie samego: byłem tak naturalny i swobodny, że wreszcie mogła i ona mniemać, iż powiedziałem sobie: Z czym nie można walczyć, z tym trzeba się pogodzić. Jeżeli nawet zostały w jej duszy co do tego pewne wątpliwości, to natomiast pod jednym względem nie zostawiłem jej żadnej: mianowicie, że ją zawsze kocham jak dawniej, że jest zawsze moją uwielbioną, dawną Anielką.

I widziałem, że jej jest lepiej w tym cieple. Mogłem zaiste być z siebie dumny, bo od razu wniosłem jakiś promień weselszy do tego domu, którego nastrój był ponury. I ciotka, i pani Celina umiały to ocenić. Pani Celina w chwili, gdy im mówił dobranoc, rzekła mi wprost:

– Chwała Bogu, żeś przyjechał. Zaraz nam z tobą raźniej.

A Anielka, ściskając serdecznie moją rękę, spytała:

– Ale teraz już prędko nie odjedziesz?

– Nie, Anielko – odpowiedziałem – teraz już wcale nie odjadę.

I odszedłem, a raczej uciekłem do siebie na górę, bo czułem, że sił mi braknie. Zebrało się we mnie przez ten wieczór tyle płaczu nad moją nędzą, że mnie dusi. Są małe poświęcenia, które więcej kosztują od wielkich.

*8 listopada.*

Ja dlatego tak często powtarzałem: „To moja głowa najdroższa” – że istotnie trzeba kobietę kochać nad życie, nie tylko jako kobietę, ale jako głowę najdroższą, by od niej nie uciec w tych warunkach. Czuję doskonale, że sam fizyczny wstręt odpędziłby mnie od każdej innej – że zaś przy tej zostaję i zostanę, więc znów mi wraca myśl, że moja miłość jest jednakże poniekąd chorobą, jakimś zboczeniem nerwowym, które nie miałyby miejsca, gdybym był zupełnie zdrowym i normalnym okazem ludzkiego rodzaju. Dzisiejszy człowiek, który wszystko tłumaczy sobie newrozą i wszystko uświadamia, nie ma nawet tej pociechy, jaką by mu mogło dać przeświadczenie o jego wierności. Bo gdy sobie powie: twoja wierność i wytrwanie to choroba – nie zasługa, pozostaje mu tylko jedna więcej gorycz. Jeśli świadomość takich rzeczy uniemożliwia coraz bardziej ludziom życie – to po co my się o nią staramy?

Dziś dopiero przy świetle dziennym dostrzegłem, jak dalece nawet twarz Anielki jest zmieniona – i serce rozdzierało się we mnie na ten widok. Usta jej są obrzmiałe; to czoło, niegdyś takie niepokalane, straciło swoją jasność i czystość. Ciotka miała słuszność! Piękność jej prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnej Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość – i staje się tym bardziej ukochana. Choćby dziesięć razy więcej zbrzydła – będę ją zawsze kochał. Jeśli to jest choroba – to dobrze! Jestem więc chory i nie życzę sobie wyzdrowieć – i wolę umrzeć z tej choroby, jak z każdej innej.

*9 listopada.*

Przyjdzie czas, że stan jej minie, że piękność wróci. Myślałem dziś o tym, a zarazem zadawałem sobie pytanie: jakie też będą nasze stosunki w przyszłości i czy nie ulegną odtąd żadnej zmianie? I jestem pewien, że nie. Ja wiem już, co to jest żyć bez niej, i nie uczynię nic takiego, za co by mnie mogła odepchnąć – ona zaś pozostanie taką, jaką była. Nie mam teraz

żadnej wątpliwości, że jestem jej potrzebny do życia, ale wiem również, że tego uczucia, jakie ona ma dla mnie, sama przed sobą nawet nie nazwie nigdy inaczej, tylko wielką siostrzaną miłością. Wszystko jedno, czym ono będzie w gruncie rzeczy – dla niej zostanie zawsze idealnym przywiązaniem duszy do duszy – to jest czymś dozwolonym, bo możliwym nawet między rodzeństwem. Gdyby było inaczej, zaczęłaby natychmiast ze sobą walkę.

Pod tym względem nie mam złudzeń. Powiedziałem już, że ten stosunek stał jej się drogim od czasu, jak zmieniała go na czysty. Niechże sobie takim zostanie, byle był jej zawsze drogi!

*10 listopada.*

Co to za fałszywe pojęcie, że uczuciowość ludzi nowożytnych zmniejsza się. Czasem myślę, że jest przeciwnie. Kto nie ma dwóch płuc, ten gwałtowniej oddycha jednym, a nam odjęto wszystko, czym dawniej człowiek żył – pozostawiono tylko nerwy bardziej rozdrażnione i bardziej wrażliwe niż u dawnego człowieka. To inna rzecz, że brak czerwonych kulek w naszej krwi będzie wytwarzał uczucia nienormalne i chorobliwe; tragedia uczuciowa ludzka raczej się przez to zwiększy, niż zmniejszy. Zwiększy się dlatego, że dawny człowiek w razie zawodu miłosnego mógł znaleźć pociechę, czy to w religii, czy w poczuciu obowiązków społecznych; dzisiejszy już jej nie znajduje. Dawniej w zapędach uczuciowych hamulcem bywał charakter; dziś charaktery nikną i muszą niknąć z przyczyny sceptycyzmu, który jest czynnikiem psychicznym, rozkładającym. Stoczył on jak bacillus duszę ludzką – zmiękczył ją i zniweczył jej oporność na fizjologiczne zachcenia nerwów, które na domiar wszystkiego są chore. Człowiek dzisiejszy wszystko uświadamia, a na nic nie umie poradzić.

*11 listopada.*

Od Kromickiego nie było dość dawno żadnej wiadomości;

nawet Anielka nie miała listu. Ja wysłałem do niego depeszę z wiadomością, że adwokat wysłany, a następnie list – ale wysłałem prawie na oślep, trudno bowiem wiedzieć, gdzie on w danej chwili bawi. I list, i depesza dojdą go z czasem, ale zupełnie nie wiem, kiedy. Stary Chwastowski pisał do syna; może on pierwszej coś odbierze.

Z Anielką spędzam teraz całe godziny – i nikt mi w tym nie przeszkadza, bo sama pani Celina, którą wtajemniczyliśmy w istotny stan rzeczy, prosiła, żebym przygotował cokolwiek Anielkę na wiadomości, jakie lada dzień może od samego Kromickiego otrzymać. Ja wypowiedziałem już Anielce moje obawy co do rezultatu przedsięwzięcia jej męża, ale uczyniłem to w formie osobistych moich przypuszczeń. Mówiłem jej, że nawet zupełnej ruiny Kromickiego nie powinna brać do serca i że byłby to pod pewnym względem najpomyślniejszy wypadek, jaki by mógł ją spotkać, wówczas bowiem zaczęłby się dla niej okres prawdziwego spokoju. Uspokoilem ją zupełnie co do moich pieniędzy pożyczonych Kromickiemu i utwierdziłem w przekonaniu, że te w żadnym razie przepaść nie mogą; na koniec wspomniałem coś o planach ciotki. Wysłuchała mnie stosunkowo spokojnie, choć nie bez wzruszenia. Jej głównie dodaje siły to, że czuje koło siebie kochające serca, a tego przecie jej nie brak. Ja kocham ją teraz nad wszelki wyraz – i ona to widzi, ona to czyta we mnie. Gdy mi się uda rozweselić ją, wywołać jej uśmiech, wówczas i mnie porywa taka radość, że nie mogę jej w sobie pomieścić. Jest obecnie w mojej miłości dla niej coś ze ślepego przywiązania sługi do uwielbionej pani. Czuję czasem niepowstrzymaną potrzebę upokorzenia się przed nią. Mam ciągle poczucie, że moje właściwe miejsce jest u jej nóg. Już ona nie może dla mnie zbrzydnąć, zmienić się, zestarzeć – wszystko przyjmę, na wszystko zgodzę się, wszystko uwielbię.

12 listopada.

Kromicki nie żyje! Katastrofa spadła na nas jak piorun. Niech Bóg ochrania Anielkę od jakiego wypadku ze zdrowiem! Dziś przyszła depesza, że oskarżony o oszustwo i zagrożony więzieniem, odebrał sobie życie. Wszystkiego bym się był prędzej spodziewał niż tego... Kromicki nie żyje! Anielka jest wolna! – ale jak to przeniesie? Od kilku godzin odczytuję co chwila depeszę i zdaje mi się, że śnię. I nie śmiem oczom wierzyć, chociaż nazwisko Chwastowski, podpisane pod depeszą, ręczy mi za jej prawdę. Ja wiedziałem, że to się musi źle skończyć, ale nie przypuszczałem, żeby koniec był tak nagły i tak tragiczny. Nie! nic podobnego przez myśl mi nie przeszło! Toteż dostałem jakby obuchem w głowę. Jeśli teraz nie pomiesza mi się w mózgu, to już wytrzymam wszystko. Przyszedłem i tak Kromickiemu raz z pomocą; obecnie znów wysłałem mu na ratunek adwokata, więc sumienie nic mi nie wyrzuca. Był czas, żem życzył mu z całej duszy śmierci – prawda, ale właśnie tym większa moja zasługa, żem go mimo wszystkiego ratował. A tu śmierć przyszła, nie tylko nie wskutek moich usiłowań, afe wbrew im – i Anielka jest wolna! Dziwna rzecz: ja to wszystko wiem, ale jeszcze w to dostatecznie nie wierzę. Jestem jakby nieprzytomny. Kromicki był mi przecie obcym i zarazem największą zawadą w życiu. Ta zawada nie istnieje, więc powinien bym odczuwać radość bez granic, a jednak nie mogę i nie śmiem jej odczuwać, może dlatego, że łączy się do niej przerażenie o Anielkę. Pierwsza myśl moja po odebraniu depeszy była: co się stanie z Anielką? jak ona tę wiadomość przeniesie? Niechże ją Bóg ochrania! Nie kochała tego człowieka, ale w dzisiejszych warunkach wstrząśnienie może ją zabić. Myślę o tym, żeby ją wywieźć.

Co za szczęście, że depeszę oddano mi w moim pokoju, a nie w sali jadalnej albo w salonie. Nie wiem, czybym zdołał zapanować nad wrażeniem. Przez jakiś czas nie mogłem przyjść do siebie. Następnie zeszedłem do ciotki, ale i jej nie pokazałem od razu telegramu – rzekłem tylko:

- Odebrałem bardzo złą wiadomość o Kromickim.
  - Co? co się stało? – spytała.
  - Niech się ciotka nie przestraszy.
  - Już jest pod sądem?... tak?...
  - Nie... coś gorszego... to jest – już jest pod sądem, ale nie pod ludzkim.
- Ciotka poczęła mrugać oczyma.

– Co ty mówisz, Leonie?

Wówczas pokazałem jej depeszę. Ciotka, przeczytawszy ją, nie odpowiedziała ani słowa, tylko poszła do klęcznika, klękla i ukrywając twarz w dłonie, poczęła się modlić.

Na koniec wstała i rzekła:

- Anielka może to życiem przypłacić. Co robić?
- Ona nie powinna wiedzieć o niczym poty, póki dziecko nie przyjdzie na świat.
- Jak tu ją ustrzec? Cały świat będzie o tym mówił, i gazety również... Jak tu ją ustrzec?
- Ciotko kochana – rzekłem – ja widzę tylko jedną radę. Należy sprowadzić doktora i powiedzieć mu, żeby nakazał wyjazd Anielce, niby dla zdrowia. Wówczas ja wywiozę ją i panią Celinę do Rzymu, gdzie mam przecie własny dom. Tam ją ustrzegę przed każdą wiadomością. Tu będzie trudno, zwłaszcza gdy i służba się dowie.

– Ale czy jej zdrowie pozwoli na wyjazd?

– Nie wiem; to musi powiedzieć doktor. Sprowadzę go jeszcze dziś.

Ciotka przystała na mój projekt. Rzeczywiście nie mogliśmy nic lepszego wymyślić. Postanowiliśmy wciągnąć panią Celinę do tajemnicy, żeby popierała zamiar wyjazdu. Służbie

zapowiedziałem najsurowiej, że nie wolno zbliżać się do młodej pani z żadną wiadomością. Gazety, depesze i wszystkie listy, bez względu na to, do kogo będą adresowane, kazałem odnieść do swego pokoju.

Ciotka przez długi czas była jakby ogłuszona. Podług niej, samobójstwo jest jedną z największych zbrodni, jakich człowiek może się dopuścić – więc z uczuciem litości, jakie ma dla nieboszczyka, łączy się w niej żal, zgroza i oburzenie. Co chwila powtarza: „Nie powinien był tego czynić, wiedząc, że ma zostać ojcem.” Ale ja przypuszczam, że on mógł nie odebrać tej wiadomości. W ostatnich czasach musiał pewnie rzucać się gorączkowo i przejeżdżać z miejsca na miejsce, w miarę jak tego wymagały jego popłatane i rwące się sprawy. Ja go nie śmiem potępić i powiem otwarcie, że nie mogę się oprzeć pewnemu dla niego uznaniu. Są ludzie, którzy nawet słusznie posądzeni o nadużycia lub oszustwa i skazani wyrokiem sądowym, spijają w kozie szampana i pędzą wesołe życie. On do tego nie doszedł – i wołał się oczyścić z niesłusznych zarzutów śmiercią. Może pamiętał i o tym, kim jest. Mniej miałbym dla niego współczucia, gdyby odebrał sobie życie z powodu samej tylko ruiny. Przypuszczam jednak, że i to by mu wystarczyło. Przypominam sobie, jakie poglądy wygłaszał w Gasteinie. Jeśli moja miłość jest newrozą, to niewątpliwie była nią jego gorączka robienia pieniędzy. Gdy to chybiło, gdy ta podstawa usunęła mu się spod nóg, zobaczył przed sobą taką samą otchłań i pustkę, jaką ja widziałem w Berlinie. A wówczas, co go mogło zatrzymać? Myśl o Anielce? Wiedział przecie, że jej nie odmówimy opieki – a przy tym – kto wie? – może i to czuł, że nie jest bardzo kochany. W każdym razie ja myślałem, że to jest człowiek niższy, niż był; nie spodziewałem się po nim takiej energii – i przyznaję, że mu czyniłem krzywdę.

Złożyłem już pióro, ale do niego wracam, bo nie mogę nawet marzyć o śnie, a oprócz tego, pisząc myślę spokojniej i mniejszy mam młyn w głowie. Anielka wolna, Anielka wolna! – powtarzam te wyrazy i nie ogarniam jeszcze całego ich znaczenia. Czuję, że mógłbym oszaleć z radości, i zarazem chwytą mnie niezrozumiała bojaźń. Miałoby się naprawdę rozpocząć dla mnie nowe życie? Co to jest? czy to zasadzka losu, czy to miłosierdzie boże nade mną za to, że się tak ogromnie wymęczyłem, a tak bardzo kochałem? A może istnieje jakieś prawo bytu, jakaś siła mistyczna, która oddaje kobietę najbardziej kochającemu ją mężczyźnie po to, aby się spełniała odwieczna zasada wszechwłórcza – nie wiem! Mam tylko takie uczucie, jakby mnie i wszystkich koło mnie niosła niezmierna fala, zatapiająca wszelką ludzką wolę i ludzkie wysilenia...

Przerwałem znów, bo wrócił powóz wysłany po doktora. Doktor nie przybył. Ma dziś operację i obiecuje się na jutro rano. Musi zamieszkać u nas w Płoszowie aż do chwili naszego wyjazdu – i odprowadzić nas do Rzymu. Tam znajdę innych...

Noc późna... Anielka śpi i ani się domyśla, co nad nią zawisło, jaka zupełna zmiana zaszła w jej losach... Oby jej przyniosła szczęście i spokój! Jej się to należy. Może to nad nią poczyna się miłosierdzie boże?...

Nerwy moje są tak podniecone, że gdy doleci mnie szczekanie psa na folwarku albo grzechotka stróża nocnego, zdaje mi się, że to znów nadchodzi jakaś wiadomość i chce się dostać wprost do Anielki.

Staram się jednak sam uspokoić i tłumaczę sobie, że jakaś dziwna bojaźń, która mnie przejmuje, płynie głównie z obawy o Anielkę i że gdyby nie stan jej, nie odczuwałbym tego niepokoju. Powtarzam sobie, że te obawy miną, jak wszystko mija, i potem zaczniesz się nowe życie.

Potrzebuję się oswoić z myślą, że Kromicki już nie żyje... Z tej katastrofy wypłynie dla mnie szczęście, o jakim marzyć nie śmiałem, ale istnieje w człowieku pewien zmysł moralny, który zabrania się radować ze śmierci nawet nieprzyjaciela. A przy tym w samej śmierci tkwi pewna groza. Ludzie przy trupie zawsze rozmawiają po cichu... Oto dlaczego i ja nie śmiem się radować.



13 listopada.

Wszystkie moje plany na nic. Doktor przyjechał z rana i po zbadaniu Anielki oświadczył, że o podróży mowy być nie może i że groziłaby ona wprost niebezpieczeństwem dla życia Anielki. Zachodzą w jej stanie jakieś nieprawidłowości. Co za męka słuchać tego specjalnego języka, w którym każdy termin zdaje się grozić śmiercią ukochanej istocie! Wtajemniczyłem doktora w nasze położenie, na co odpowiedział mi, że z dwóch niebezpieczeństw woli wybrać mniejsze i mniej pewne.

Co mnie wzburzyło i zaniepokoiło najokropniej, to jego rada, by po odpowiednim przygotowaniu, powiedzieć Anielce o śmierci męża. Niestety, nie mogę odmówić pewnej słuszności jego rozumowaniom. On powiedział tak: Jeżeli państwo jesteście zupełnie pewni, że potraficie upilnować, by wiadomość nie doszła do pani Kromickiej jeszcze przez kilka miesięcy, to niewątpliwie lepiej nic nie mówić, ale jeżeli nie – lepiej ostrożnie przygotować i w końcu powiedzieć, bo gdyby się dowiedziała nagle, wówczas mogłaby nastąpić druga katastrofa.

Co tu robić? Zaprowadzę chyba zupełną kwarantannę wokół Płoszowa; nie puszcę człowieka, listu, gazety, przepiszę służbie, co ma mówić, nawet jak patrzeć... Bo jakie wrażenie robią tego rodzaju wieści, nawet po odpowiednim przygotowaniu, miałem dziś przykład na pani Celinie, której musieliśmy wreszcie powiedzieć prawdę. Mdląła dwukrotnie i dostała spazmów, które przypawiły mnie niemal o szaleństwo, bo mi się zdawało, że cały dom je słyszy. A przecie ona tak znów nie przepadała za tym zięciem. Ale i ją przeraziła głównie myśl o Anielce.

Sprzeciwiałem się radzie lekarza, jak mogłem – i zdaje mi się, że się nigdy na nią nie zgodzę. Ja im nie mogę powiedzieć jednej rzeczy: że Anielka nie kochała męża – i właśnie dlatego tym ją straszniej wstrząśnie jego śmierć.

Tu już nie chodzi o ten żal, jaki się odczuwa po śmierci drogiej istoty, tu chodzi o te wyrzuty, które ona sobie będzie czynić, że gdyby go kochała więcej, to by i jemu życie było droższe. Czcze, blahe, niesłuszne wyrzuty, bo to, co przez wolę można sobie nakazać, ona nakazała sobie i spełniła – i, oparła się mojej miłości, i pozostała czysta i wierna. Ale trzeba znać tę duszę pełną skrupułów, żeby ocenić, w jaką popadnie zgryzotę i jak zacznie się zaraz podejrzewać, czy czasem śmierć ta nie odpowiada jakimś utajonym jej życzeniom swobody i wolności, czy nie dogadza takim jej chęciom, których nie śmiała wypowiedzieć? Mnie włosy powstają na głowie, gdy o tym myślę, bo przecie istotnie ta śmierć otwiera przed nią nowe życie, więc to będą dwa wstrząśnienia, dwa gromy, które uderzą w tę biedną drogą głowę... Tego ani doktor, ani ciotka, ani pani Celina nie rozumieją.

Nie! ona nie powinna nic wiedzieć aż do końca.

Co za klęska, że ona nie może wyjechać!

Bo tu trudno, prawie nie podobna, będzie jej ustrzec. Tu ona wyczyta w twarzach, że coś zaszło. Lada słowo, lada spojrzenie może zwrócić jej uwagę i zrodzić w jej głowie najrozmaitsze przypuszczenia. Dziś zaraz zdziwił ją nagły przyjazd doktora – i wiem od pani Celiny, że zaczęła się wypytywać: dlaczego przyjechał i czy jej co nie zagraża? Szczęściem ciotka - znalazła się przytomnie i odrzekła jej, że w podobnych warunkach zawsze zasięga się od czasu do czasu porady lekarskiej, Anielka zaś tak mało ma doświadczenia, że uwierzyła od razu.

Jakim na przykład sposobem potrafię wymóc na służbie, by nie miała tajemniczych min? A oni już coś miarkują, właśnie z powodu moich ostrzeżeń i zakazów, dowiedzą się zaś o wypadku z pewnością. Nie mogę jednak wszystkich rozpędzić.

Samo częste przychodzenie telegramów zwraca uwagę. Dziś odebrałem drugą depeszę z Baku od Chwastowskiego, z zapytaniem, co ma z ciałem zrobić. Odpowiedziałem, żeby je tymczasowo pogrzebał na miejscu. Prosiłem starego Chwastowskiego, żeby pojechał do Warszawy i wysłał odpowiedź, a zarazem przekazał telegraficzny na pieniądze, potrzebne na koszt. Ale nie wiem nawet, czy do Baku można wysłać z Warszawy taki przekaz.

*13 listopada.*

Dziś przeglądałem wczorajsze dzienniki. W dwóch były telegramy o śmierci Kromickiego. Jeśli młody Chwastowski przesłał te depesze, to chyba zwariował. Służba już wie o wszystkim. Twarze są takie, iż dziwię się, że Anielka nie zwróciła na nie uwagi. Przy obiedzie była jakaś wesoła i niezwykle ożywiona. Dodaje mi otuchy tylko obecność doktora. Jego śmierć Kromickiego nic nie obchodzi, więc zagaduje Anielkę, żartuje z nią – i uczy ją grać w szachy. Za to pani Celina doprowadza mnie do rozpacz. W miarę jak Anielka była dziś coraz wesejsza, ona przybierała coraz bardziej grobową fizjognomię. Czyniłem jej dziś z tego powodu nader ostre wyrzuty.

*14 listopada.*

Jesteśmy wszyscy w Warszawie, z porady doktora. Anielce powiedziano, że w domu, w Płoszowie, będą zaprowadzali kaloryfery, wskutek tego trzeba się wynieść na kilka tygodni. Droga zmęczyła ją mocno. Pogoda zła. Ale jestem kontent, żeśmy przyjechali, bo tu jestem pewniejszy mojej służby. Dom trochę w nieładzie. Mnóstwo obrazów wypakowanych. Anielka, mimo zmęczenia, chciała je oglądać, więc służyłem jej jako cicerone. Powiedziałem, że moim najmilszym marzeniem jest być kiedyś jej przewodnikiem po Rzymie, ona zaś odrzekła jakby z odcieniem smutku:

– Ja także często myślę o Rzymie, ale czasem zdaje mi się, że tam już nigdy nie będę.

Mnie się serce ścisnęło, bo teraz boję się wszystkiego, nawet przeczuć, i w byle słowie gotówem upatrywać wróżbę. Odpowiedziałem jednak wesoło:

– Ja ci to przyrzekam uroczyście, że tam pojedziesz – i to na długo.

Dziwna rzecz, jak prędko natura ludzka przystosowuje się do każdego położenia i wchodzi w swoje nowe prawa: ja już mimo woli uważam Anielkę za swoją i strzegę jej jak mojej własności.

Doktor miał jednak słuszność. Dobrze zrobiliśmy przeniósłszy się do Warszawy. Naprzód, łatwiej tu o wszelką pomoc; po wtóre, tu można nie przyjmować żadnych wizyt, w Płoszowie zaś byłoby niepodobna zawracać ludzi od ganku. A niezawodnie różni znajomi wybraliby się z kondolencją. Na koniec w Płoszowie już wytworzyła się jakaś tajemnicza i ponura atmosfera, w której moje usiłowania, by nadać rozmowom ton wesoły, stały się czymś rażącym. Przypuszczam, że tego nastroju nie unikniemy i w Warszawie, ale tu przynajmniej umysł Anielki będzie zajęty i rozerwany tysiącem tych drobnych wrażeń, których dostarcza życie miejskie, podczas gdy w takim Płoszowie byłaby uważniejszą na wszystkie zmiany, jakie by mogła w otoczeniu spostrzec.

Na ulicę nigdy nie będzie wychodzić sama i będzie wychodziła mało. Doktor nakazuje jej wprowadzić ruch, ale znalazłem już na to radę. Za stajniami domu mam dość obszerny ogród z drewnianą galerią przy murze. Każę tę galerię oszklić, i tam będzie w zimie, a zwłaszcza w czasie niepogody, miejsce przechadzek Anielki.

Okropnie jednak męczącą rzeczą jest ten ciągły strach, który nad nami wisi.

*15 listopada.*

Jak się to stało? dlaczego? skąd jej jakiegokolwiek podejrzenie mogło przyjść do głowy? – nie mogę zgadnąć. A jednak przyszło. Dziś przy śniadaniu podniosła nagle oczy i spoglądając na nas bacznie po kolei, rzekła:

– Nie rozumiem, co to jest, ale mam takie wrażenie, jakbyście coś ukrywali przede mną.

Ja uczułem, że błędę; pani Celina zachowała się jak najfatalniej; jedna poczciwa, kochana ciotka nie straciła przytomności i poczęła natychmiast zrzedzić na Anielkę.

– Owszem, owszem – rzekła – ukrywaliśmy ci dotąd, że cię mamy za niemądrą główkę, ale dłużej ci tego nie będziemy ukrywali. Leon wczoraj mówił, że się nigdy nie nauczysz grać w szachy, bo ci zupełnie brak zmysłu kombinacji.

Ja, ochłoniwszy, pochwyciłem oczywiście ten wątek rozmowy i poczęłem śmiać się i żartować. Anielka odeszła niby uspokojona, byłem jednak pewien, żeśmy nie zdołali rozproszyć zupełnie jej podejrzeń i że moja wesołość mogła się jej wydawać sztuczną. I ciotka, i pani Celina były ogromnie przestraszone, a mnie ogarnęła rozpacz, bom od razu ujrzał całą bezowocność naszych wysiłków, by rzecz utrzymać długo w zupełnej tajemnicy. Przypuszczam, że obecnie Anielka posądza nas tylko o to, że ukrywamy przed nią jakieś niepomyślne wieści finansowe; ale co będzie, gdy przez tydzień, dwa, miesiąc nie przyjdzie żaden list od Kromickiego? Co jej wówczas powiemy? Czym wytłumaczymy jego milczenie?

Koło południa przyszedł doktor. Powiedzieliśmy mu zaraz, co zaszło – on zaś począł powtarzać swojej poprzednie zdanie, że trzeba jednak powiedzieć Anielce prawdę.

– Bo – rzekł – naturalnie, że pani Kromicka zacznie się niepokoić wkrótce brakiem listów i będzie czyniła wszelkie najgorsze przypuszczenia.

Ale ja usiłowałem oddalić jeszcze tę ostateczność i powiedziałem, że w najgorszym razie ten niepokój przygotowuje ją właśnie do wiadomości.

– Tak – odrzekł doktor – ale długi niepokój źle przygotowuje organizm do przejścia, które go czeka, a które prawdopodobnie i w pomyślnych warunkach nie byłoby zbyt łatwe.

Może to być prawda, a jednak we mnie serce po prostu zamiera ze strachu. Wszystko ma swoje granice, a zatem i odwaga ludzka. Coś jest we mnie, co się temu rozpaczliwie sprzeciwia i opiera, i boję się jakiegoś głosu, który mi mówi: nie! Tymczasem te panie już są prawie zdecydowane, żeby jej jutro powiedzieć całą prawdę. Ja nie chcę się w to wdawać. Nie miałem pojęcia, że człowiek może się czegoś bać do tego stopnia. Ale tu przecie o nią chodzi.

*16 listopada.*

Do wieczora było dobrze – wieczorem przyszedł nagle krwotok. A ja mówiłem!... Trzecia w nocy... Usnęła teraz. Doktor jest przy niej. Muszę być spokojny – muszę! To dla niej potrzebne, żeby ktoś w domu nie stracił głowy. Muszę!...

*17 listopada.*

Doktor mówił, że pierwszy okres choroby rozwija się prawidłowo. Co to znaczy? Czy to znaczy, że ona umrze?

Gorączka niewielka. Tak podobno zawsze bywa przez pierwsze dwa dni. Przytomność ma zupełną, odczuwa ogólny rozstrój i osłabienie, ale mało cierpi. Doktor uprzedził nas jednak, że następnie gorączka może dojść do czterdziestu stopni: przyjdą wielkie bóleści, mdłości, opuchnięcie nóg... To nam obiecał!

Niechże przyjdzie także i koniec świata!

O Boże! jeśli to ma być na mnie kara, to przysięgam, że odjadę, nie będę jej widział nigdy w życiu – tylko Ty ją uratuj!

*18 listopada.*

Nie byłem u niej dotąd. Waruję przy jej drzwiach, ale nie wchodzę, bo się boję, że mój widok pogorszy jej stan i wzmoże gorączkę.

Chwilami przychodzi mi do głowy straszna myśl, że mogę wpaść w obłąd i zabić Anielkę jakim porywem szaleństwa. Dlatego zmuszam się do pisania – i będę pisał ciągle, bo mi się zdaje, że się przez to opanowujemy i trzymam na wodzy zmysły.

*19 listopada.*

Słyszałem przeze drzwi jej głos i jej jęki. W tej chorobie boleści są straszne. Według doktora, to jest zwykły objaw, ale według mnie to ślepe okrucieństwo! Ciotka mówiła, że ona ustawicznie wyciąga ręce, obejmuje to ją, to matkę za szyję i prosi o ratunek. A tu nic nie można pomóc, choćby ściany drapać!

Mdłości ciągle. Bóle coraz większe. Nogi jej opuchły zupełnie.

Doktor nic nie orzeka i powiada, że wszystko może się obrócić na złe lub na dobre. To wiedziałem i bez niego! Gorączki czterdzieści stopni. Przytomna ciągle.

*20 listopada.*

Już teraz wiem. Nikt mi tego nie powiedział, ale wiem z pewnością: ona umrze! Panuję nad wszystkimi zmysłami i jestem już nawet spokojny. Anielka umrze! Dzisiejszej nocy, siedząc przy jej drzwiach, zobaczyłem to tak jasno, jak teraz widzę słońce. Człowiek w pewnym stanie widzi rzeczy, o jakich się ludziom roztargnionym nie śniło. Nad samym ranem ooś takiego stało się we mnie, żem ujrzał tę konieczność od razu, jakby mi kto zdjął zasłonę z oczu i mózgu. Nic na świecie nie może Anielki uratować. Ja to wiem lepiej od wszystkich lekarzy.

I właśnie dlatego już się nie szarpię. Co to pomoże jej i mnie? Wyrok na nas jest wydany. Musiałbym być ślepym, żeby nie widzieć, że jakaś siła, mocna jak cały świat, dzieli nas. Kto ona jest i jak się nazywa – nie wiem. Wiem tylko, że gdybym klęknął i bił głową o podłogę, i modlił się, i błagał, to góry może bym poruszył – ale jej nie ubłagam.

Ponieważ teraz zdołałaby mi Anielkę odebrać tylko śmierć – więc ona musi umrzeć.

Wszystko to może być bardzo logiczne – tylko – ja się na rozłączenie nie zgodzę.

*21 listopada.*

Anielka zażądała dziś widzieć mnie. Ciotka wyprowadziła wszystkich z pokoju, w przekonaniu, że chora chce mi polecić matkę, i tak było rzeczywiście. Widziałem tę moją ukochaną, tę duszę mojego życia. Jest zawsze przytomna; oczy ma błyszczące, władze umysłowe podniecone. Boleści prawie ustały. Wszystkie ślady jej poprzedniego stanu znikły i twarz ma teraz anielską. Uśmiechnęła się do mnie, a ja także odpowiedziałem jej uśmiechem. Od wczoraj wiem, co nas czeka, i zdaje mi się, żem już umarł, więc panuję nad sobą. Chwyciwszy mnie za rękę, poczęła mówić o matce, następnie patrzyła na mnie długo, jakby mi się chciała napatrzeć przedtem, nim jej oczy zgasną – i rzekła:

– Nie bój się, Leonie, ja się czuję znacznie lepiej, tylko na wszelki wypadek chcę, żeby ci po mnie coś zostało... Może nie powinnam czynić takich wyznań zaraz po śmierci. męża, ale ponieważ mogę umrzeć, więc teraz chcę ci powiedzieć, żem ja ciebie bardzo, bardzo kochała.

Jam jej odpowiedział: Wiem o tym, moja nadrozsza! Trzymałem ją za ręce i patrzyliśmy sobie w oczy. Ona po raz pierwszy w życiu uśmiechała się do mnie jak narzeczona. A ja też zaślubiałem ją w tej chwili ślubem trwalszym od wszystkich doczesnych. Było nam dobrze w tej chwili, choć nad nami był smutek, mocny jak śmierć. Opuściłem ją dopiero, gdy dano znać, że nadszedł ksiądz. Przedtem jeszcze prosiła mnie, bym się jego przybycia nie przestraszał, bo go wezwala nie dlatego, że myśli umierać, ale że przy każdej chorobie lepiej się uspokoić.

Po wyjściu księdza wróciłem do niej. Po tylu nocach bezsennych była zmęczona i usnęła. W tej chwili śpi. Gdy się obudzi, już jej nie będę odstępował, chyba żeby znowu usnęła.

*22 listopada.*

Polepszenie jest znaczne. Pani Celina traci zmysły z radości. Ja jeden z rodziny wiem, co to jest. Nie potrzebował mi doktor mówić, że to przychodzi paraliż kiszek.

*23 listopada.*

Anielka umarła dziś rano.

.....

*Rzym, 5 grudnia.*

Mogłem stać się twoim szczęściem, a stałem się nieszczęściem – i ja to jestem przyczyną twojej śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych – nie przyszłyby na Ciebie te wstrząśnienia, które Cię zabiły.

Jam to już podczas ostatnich Twoich chwil na świecie zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą. Jam Ci o przy Twoim łożu śmiertelnym ślubował, i pierwszy mój obowiązek jest teraz przy Tobie.

Matce Twojej zostawiam moje mienie; ciotce – Chrystusa, którego miłości znajdzie na te ostatnie dni pociechę, sam idę za Tobą, bo – muszę.

A czy Ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się, ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny nosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia; nie wiem, czy tam jest niezmierny Niepokój, czy Spokój równie niezmierny, a tak doskonały, jaki tylko Wszechmoc i Wszechdobroć dać może.

Ale jeśliś Ty przez moje „nie wiem” umarła – jakże ja mam tu zostać i żyć?

Więc im bardziej się boję, im bardziej nie wiem, tym bardziej nie mogę Cię tam samej puścić – nie mogę, moja Anielko – i idę.

Albo tam wspólnie utońmy w Nicości, albo niech wspólna będzie nasza droga, a tu, gdzieśmy się tyle namęczyli, niech zostanie po nas tylko milczenie.

**KONIEC**